

#006

Nr 1.

KSIĄDZ STANISŁAW

CHOŁONIEWSKI

PRZEZ

Ms. Jana Badieniego



w swoim czasie wrodzonych
Odbitka z „Przeglądu Powszechnego”



KRAKÓW.

DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI,

pod zarządzeniem Jana Gadowskiego.

1888.

Chotomiewski Stanisław - Wągrze
Archimowski Kacelin - Wągrze Polka 18...

182

Nakładem Redakcyi „Przeglądu Powszechnego“.



195905

V 234 - 3/75

1006

Osobisty przyjaciel a gorący wielbiciel Ks. Chołoniewskiego, J. I. Kraszewski, pisząc jego nekrolog w *Athenaeum*, tak się wyraził: „Przekonany jestem, że jako kapłana, jako pisarza nieoczniono go należycie, nie oddano mu sprawiedliwości, lecz przyjdzie chwila, że naród nasz spłaci na grobie dług zaciągnięty, za życia“. Jak w kilka tygodni po śmierci, tak i dziś jeszcze możnaby te słowa powtórzyć, a powtórzyć z tym większym żalem, że istotnie prześliczną jest postać tego znakomitego pisarza, ale lepszego jeszcze chrześcijanina i kapłana, który jak w swoim czasie, tak i dziś może być stawiony za przykład nie tylko wrodzonych nauką spotęgowanych zdolności, lecz bardziej jeszcze obywatelskiej i kapłańskiej cnoty. Mając w ręku bardzo obszerną korespondencję Ks. Chołoniewskiego, liczne jego pamiętniczki i notatki, słowem wszystkie papiery, przechowane po jego śmierci przez najbliższą rodzinę¹ —

¹ W skład ich wchodzi trzynaście książek oprawionych in 4-to z korespondencją, notatkami, pismami literackimi, kazaniami i t. d.; pięć książek in 8-to podobnej treści; nadto kilkanaście nieoprawnych kajetów i paraset listów do wyliczonych książek nie wciągniętych. Te wszystkie papiery dostały się od rodziny Ks. M. Morawskiemu.

Czego w pismach wyczytać nie mogłem i skombinować nie umiałem, tego dopełniły cenne, z nadzwyczajną uprzejmością dane mi wskazówki od tych, którzy bądź sami znali jeszcze Ks. Chołoniewskiego, bądź związkami krwi lub przyjaźni z domem jego złączeni, żywo i z miłością piękną tę postać polskiego kapłana i ważniejsze szczegóły jego życia przechowali w pamięci.

pokuszę się na ich tle skreślić obrazek tego życia pełnego zasług, a jeśli się nie mylę, to pod niejednym względem nadzwyczaj ciekawego. W ten sposób odżywiając wspomnienia tych, którzy Ks. Chołoniewskiego osobiście znali, lub tradycją cenne jakie przechowali szczegóły, zbliży się może chwila, w której „nasz naród spłaci na jego grobie dług, zaciągnięty za życia“.

I.

Młodzieńcze marzenia i projektu.

Między Lityniem a Winnicą, przy ujściu do Bohu rzeczki Śniwody leży małe miasteczko Janów, obok którego wznosi się niegdyś obronny, a i dziś jeszcze, jak widać na rysunku Ordy, wspaniale przedstawiający się raczej zamek niż pałac, stare gniazdo dobrze ojczyźnie zasłużonej rodziny Chołoniewskich. Pod koniec zeszłego wieku panem Janowa i przynależącego doń klucza z ośmiu wsi złożonego, był Rafał Myszka Chołoniewski, miecznik koronny¹, kawaler orderu św. Stanisława, starosta Dubiecki i Lityński. Około r. 1785 poślubił pan miecznik młodziutką Katarzynę Ryszczewską, a związek ten pobłogosławił Bóg czworgiem dzieci, z których ostatni Stanisław, bohater naszego opowiadania, przyszedł na świat 23 marca 1791 r. Jeszcze Stanisław był w kolebce, kiedy straszny wypadek wydarł mu matkę, dopiero dwadzieścia pięć lat liczącą; ogień na kominku rozpalony zajął białą jej suknię i nieszczęśliwa żywcem spłonęła, wzywając w okropnej tej, ostatniej chwili błogosławieństwa Bożego nad swemi dziećmi, i polecając je opiece Najświętszej Panny, do której obrazu wyciągała przepalone ręce.

Nad sierotami: Emilią, późniejszą małżonką gubernatora Mikołaja Grocholskiego, Jędrzejem, Cecylią i Stanisławem objęła ma-

¹ Miecznikowstwo wziął po Franciszku Grocholskim († 1792).

cierzyńską prawdziwie opiekę, rezydująca stale w Janowie, Pisarzówna Scholastyka Budziszewska, typ owych rezydentek, co w tyłu polskich domach tak ważną i pożyteczną odgrywały rolę, kobieta zaradna, pobożna, bardziej starająca się o dobro miecznika i o jego dzieci, niż o swoje własne. Pisarzówna obecna była tragicznej śmierci młodej miecznikowej; widząc że ogień ogarnia coraz szybciej nie-szczęśliwą, pobięła po wodę, ale skoro wróciła już było zapóźno. Miłość dla matki przeniosła poczciwa ta z gruntu kobieta na dzieci i starała się zaszcześcić w nie zasady, których piękny ślad pozostał w zdaniu jej ręką napisanem: „Czyń dla Boga to, co święci czynili, a będziesz miała nadgrodeń świętych“, i w wierszyku nie bardzo harmonijnym, ale poczciwą myślą natchnionym:

Kochać swą ojczyznę
Dług Polaka święty;
Każdy z innym zdaniem
Niech będzie przeklęty.

Obok „Luni“, jak Pisarzównę pieściotliwie nazywano, piastowała małego Stasia, starsza już wiekiem a nadzwyczajnie pobożna niańka, Józefina, która nieraz przy kolebce dziecka całe noce spędzała na modlitwie, ostro pościła, nosiła włósiennicę, a później w klastorze Benedyktynek zupełnie się Panu Bogu oddała na służbę. Dziecinne lata, zabawy i otoczenie skreślił Ks. Stanisław w niedokończonym niestety, jak tyle innych utworów jego pióra, Wyjątku z dziennika życia mego¹, w którym, choć pod innymi imionami i z kilku umyślnie zmienionymi okolicznościami, wyraźnie przecież przeziiera obraz życia w Janowie, w czasie, w którym pamiętnikarz jak się wyraża był ośmio lub dziewięcioletnim „pędrakiem“... „malec czerstwy, lubo delikatnego zdrowia, mało mówiący i smutnej fantazyi“. Na tę „smutną swą fantazyę“ nie przestawał Ks. Chołoniewski skarżyć się w poufnych listach aż do śmierci; czytając jego pisma, przeznaczone dla szerszej publiczności, trudno było domyśleć tej skłonności do melancholii, gdybyśmy nie wiedzieli, że jest ona nieraz udziałem ludzi pozornie najweselszych i najdowcipniejszych.

¹ Pisma pośmiertne Ks. St. Chołoniewskiego. Lipsk 1851. Tom I. str. 7—46. W rękopiśmie wiele imion i nazwisk przemazanych, a na to miejsce wstawione inne.

Gdy Staś nieco podrósł, kierunek nad jego naukami objął ojciec znanego dobrze w literaturze naszej, a również w Janowie zrodzonego, Stefana Witwickiego, były rektor szkół Winnickich. Z tej epoki życia przechował się tylko spory stos papierów z napisem: Szczątki dziecinnych zatrudnień; rzecz prosta, że w niemieckich czy matematycznych zadaniach, a nawet w wypracowaniach polskich nie trzeba szukać śladów genialności mistrza lub ucznia. Ale stosunek z Witwickim raz zawiązany, nigdy się już nie przerwał, i z ojca przeszedł na syna Stefana, który później, mając więcej stosunków i wpływów w świecie księgarskim, ułatwiał dawnemu uczniowi swego ojca, wydawanie napisanych dzieł¹.

Kursa uniwersyteckie odbył Stanisław w Wilnie, uczęszczając głównie na prelekye prawa; miłe mu z tych czasów zostało wspomnienie o Malewskim, obu Śniadeckich, poczciwych kolegach, wesółych zabawach i figlach. Gdy w siedem czy osiem lat później znów na kilka tygodni zawitał do Wilna, nie omieszczał odwiedzić „szkolnych zakątków“: tyle rzeczy na pamięć nasuwającego mu uniwersytetu, domku w którym mieszkał, kościoła Bernardynów, w którym widać najchętniej się modlił. Po ukończeniu studyów odbył bardzo krótką służbę wojskową², wysztyftowawszy swym kosztem chorągiew, której został porucznikiem, a r. 1810 odnajdujemy go znów na Podolu krzątającego się koło majątkowych interesów, w żywej korespondencyi ze szwagrem Mikołajem Grocholskim, z którym dnia każdego coraz bardziej zacieśniał węzły braterskiej, chrześcijańskiej przyjaźni.

Dwudziestoletni młodzieniec, pożegnawszy się z uniwersytetem, nie pożegnał się raz na zawsze z książkami. Przeciwnie, korzystając z wolnych chwil, zajął się studyowaniem głównie francuskiej i niemieckiej literatury, a obszerne wypisy pochodzące z tego czasu z *Wallensteina*, *Don Karlosa*, *Messyady Klopstocka*, *Voltaire'a*,

¹ Tak np., posyłając Bobrowiczowi w Lipsku: Artykuł nadesłany, *Obraz z Galeryi życia mego*, zachwalał Witwicki niepodpisanego tą razą Ks. Chołoniewskiego, jako liczącego się do „znakomitych i pierwszego działy rzędu pisarzy polskich... Spuść się z ufnością na moje szczęście — i drukuj chętnie!“

² Wspomina o tem Kraszewski w nekrologu Ks. Chołoniewskiego. *Athenaeum*. Oddział VI., Zeszyt VI., str. 7.

kazań *Massillona*, *Cicerona* „*De inventione*“, z „Pamiętników“ *Duclosa* i nawet z sądowych rozpraw znakomitszych mowców francuskich, wskazują, że studjum to brał na seryo, choć bez przewodnika, bez oznaczonego z góry kierunku, błąkał się na chybił trafił, a tylko pomocy Bożej i dobrym tradycjom rodzinnym był winien, że się nie puścił na zupełne manowce. W całym tym lesie różnorodnych zapisków nie znajdujemy ani jednego polskiego autora, korespondencyę prowadził w tym czasie prawie wyłącznie po francusku, a gdy się jaki polski frazes zabląkał, to zazwyczaj z gramatycznym, a przynajmniej z ortograficznym błędem. Za to później kiedyś nie miało być dowcipniejszego satyryka nad Ks. Chołoniewskiego, na ludzi chcących wszędzie, potrzebnie czy nie potrzebnie francuskim językiem błyszczyć, a wprowadzających do polskich domów, wespół z francuską ogładą i językiem, lekkie obyczaje i encyklopedyczne zasady.

Umysłu żywego a z natury wyższego nie mogło zadowolnić i napęłnić dość monotonne życie w Janowie, przerywane wycieczkami do Kijowa, okraszone czytaniem niemieckich i francuskich poetów, ale bez ściśle określonych celów i obowiązków. Głównym zarządem gospodarstwa trudnił się sam Miecznik, zostawiając synowi pewne tylko podrzędne czynności do załatwienia. Do urobienia sobie samoistnego planu życia i zatrudnień był Stanisław za młody i za niedoświadczony, a tak, rzecz prosta, że pewna czczość, nieokreślony jakiś smutek, znalazł doń przystęp. Zabawy nie zmniejszały tego melancholijnego nastroju, lecz raczej go potęgowały, brak szczeroci w światowych stosunkach, gniewał go i oburzał: „Wracam z wieczora... pisał w swem *Silva rerum*, naturalnie po francusku, pod datą 18 marca 1811 r. Śmiało powiedzieć mogę, że wszyscy śmiertelnie się nudzili. A przecież urządzano gry i to najrozmaitsze... Napróžno mi prawią, że ten świat jest błyszczącą sceną, na której każdy aktor wystroić się musi w odrębny ubiór i maskę. Nie chcę o tem i wiedzieć, a jeśli to prawda, to w moich oczach bardzo smutna prawda. Jakże posępny przedstawia mi się obraz człowieka rzuconego w wir świata, z którym jednak za ledwie pierwszą zawarłem znajomość. Nie wiem, jakem doszedł do takich myśli. Może to niepotrzebna i nierozsądna bojaźń, abym sam się kiedy nie stał przedmiotem podobnych uwag. Bądź co

„bądź, myśląc o tem, krew mi bije do głowy. Kiedy uczono mię „nauki moralności, powiedziano mi, że jedną z cech właściwych „serca ludzkiego, jest miłość wszelkiego dobra. Doszedłszy dziś do „wieku, w których zdać sobie mogę sprawę z mych uczuć, zdaje „mi się, że właściwą cechą serca pocziwego jest miłość prawdy, „i że jeśli szczerłość nie zawsze i nie koniecznie czyniła człowieka „wielkim, to niemal zawsze zachowywała go od występku. W tym „względzie słucham głosu własnego serca, a choć mi sumienie wy- „rzuca, że nie raz nie zastosowałem się do tej świętej zasady, to „jednak głęboki żal, jaki później czułem, dowodzi mi jak zawsze „brzydziłem się obłudą i fałszem. Jedyna to pochwała, którą mogę „sobie przyznać i jedyna ma pociecha“.

W słowach tych uderza dziwne zastanowienie na wiek tak młody, widać, w jakim kierunku płynęły myśli dwudziestoletniego myśliciela, a choć późniejszy Ks Choloniewski, odczytując te wy-
rzenia, pewnie pobłażliwie się uśmiechał, to przecież zarysowuje się już w nich piękny, przezroczystry jak woda jego charakter. Zresztą, bardzo dlań szczęśliwie, rozmaite interesa rodzinne i majątkowe nie dozwoliły zbyt zatapiać się w marzycielstwie, nie dozwoliły nawet gonić myślą za jakąś „ukochaną“, o której zresztą niebawem nie będzie już wzmianki, lecz wcześniej hartowały siły do twardej walki życia. Pod koniec r. 1811 interesa popędziły go do Lwowa, a w kilka miesięcy później, gdy przez „hebrajskich kuryerów“ do-
wiedziano się dokładnie w Janowie, że niedobitki świetnej niegdyś armii francuskiej opuściły już granice rosyjskie, podążył do Pe-
tersburga starać się o uwolnienie ciotki, Honoraty Rzyszczewskiej, uwięzionej wśród zawieruchy wojennej, a jeśliby było możliwem, to i o zwrot pieniędzy, wyciśniętych z dóbr Janowskich przez wygó-
rowane kontrybucye.

Po sześciomiesięcznych zabiegach w stolicy rosyjskiej, w cza-
sie których „chwile nadziei mieniały się wciąż ze zniechęceniem,
a wiele było bardzo przykrych godzin“¹, mógł Stanisław donieść
ojcu i krewnym, że udało mu się głównie dzięki pośrednictwu cio-
tecznej swej siostry Maryi Naryszkinowej, uzyskać wypuszczenie
ciotki na wolność, choć pod ciężkim warunkiem, aby syn jej Ga-

¹ Do *Mikotaja Grocholskiego*. Petersburg 1 listopada st. st. r. 1812.

bryel pułkownik zaciągniętego własnym kosztem pułku ułanów polskich, opuścił służbę wojskową. Tego samego szczęśliwego poranku, w którym długie starania zostały uwieńczone skutkiem, kuryer wysłany od ojca, przywiózł Stanisławowi cały pakiet listów i 500 rubli od szwagra, zasilek bardzo potrzebny w „tym czasie nędzy i biedy“. „Czemu dziś właśnie? — zastanawia się młody marzyciel, jakby zarażony mistycyzmem zaczynającym się już szerzyć w Petersburgu — czemu nie przedtem? czemu nie przed kilku miesiącami? Odpowiem ci poprostu, że tego nie wiem, że tego nikt nie wie, że nie wie nawet tego owa potężna osoba, która zlitowała się nad ciotką“. Bądź co bądź, najgłówniejszy interes został załatwiony; co do innych trudniejsza była sprawa. Sam Stanisław bynajmniej się w tym względzie nie ludził. „Otrzymałem, pisał dalej w tym samym liście do Grocholskiego, twe przedstawienie do ministra policyi; zrobię co będę mógł, ale jeśli mam z Tobą mówić szczerze i poprostu, to nie spodziewaj się żadnego skutku z tego kroku i zadowolnij się tem, żeś spełnił swój obowiązek... Papa niech także pomyśli, iż ja mogę tylko mówić o zabitych koniach i zabranych wołach, kiedy tutaj słyszę wciąż o ruinie jednego z największych miast europejskich (Moskwy), o drogach zawalonych trupami, o milionerach chodzących z torbą żebraczą, o przeszło 700 wiorstach pięknego kraju obróconego w perzynę, gdzie nie znajdziesz innego pożywienia, prócz trochę zimnej wody zmieszanej z popiołem. A to nie deklamacya!.. *Man hat die grossen Uebel verschmerzt, desto mehr wird man nicht auf die kleineren achten*. Oto mój sposób widzenia. Mogę się mylić, i dla tego rościć nie przestanę, co tylko będzie w mej mocy. Zresztą przywykłem już do napastowania ludzi, o których zdaje mi się, że posiadają pewien wpływ. Nudziłem ich przez sześć miesięcy; czemuż nie miałbym ich nudzić przez kilka następnych tygodni“.

Taktowne postępowanie młodego Chołoniewskiego dobre zrobiło wrażenie: pragnąc go zatrzymać w Petersburgu ofiarowano mu urząd szambelana dworu, a choć Stanisław na razie od godności tej się wymówił, to przecież widząc, że zwłaszcza wobec nowych planów względem Polski, kielkujących na petersburskim dworze, do niejednego dobrego wpływem swym i stosunkami mógłby się przyczynić, zaczął już teraz ważyć się z myślą, czy nie poświęcić się

stanowczo państwowej lub dworskiej służbie. „Ale to projekt tylko, „ostrzegaj Mikołaja, nie gadaj więc o nim, aby złym językiem przed „czasem cugli nie popuszczać. Przedewszystkiem strzeż się wiele „mówić o pomyślnym wietrze, który zawał dla naszych rodaków. „Trzeba cenić dotychczasowe łaski, ale ponieważ byćby mogło, że „są one tylko poprzednikami innych ważniejszych... Mój drogi „Mikołaju, radzę ci jako memu najserdeczniejszemu przyjacielowi, „licz na lepszą przyszłość, a staraj się o ile możesz, umysły do tego „przygotować“. Na wszelki wypadek ułożył nawet Chołoniewski cyfrowany alfabet, dla pewniejszej korespondencji z Mikołajem, dodając tajemniczo: „Wkrótce tego sam znajdziesz potrzebę; to jest „najkrótsza i najpewniejsza droga; więcej nie mogę mówić“. Najkrótszej tej i najpewniejszej drogi nie znajdujemy już więcej śladu; prawdopodobnie roztropniejszy Grocholski wyperswadował przyjacielowi, że cyfrowana korespondencya mogłaby tylko obu skompromitować, i że zupełnie jest zbyteczną. Różne reformy i łaski jeszcze nastąpiły, ale pchnięte zdarzeniami lat następnych weszły podobno na nieco odmienne tory, niż te, o których bezpośrednio po kampanii 1812 r. gawędzono w petersburskich salonach i gabinetach.

W salonach petersburskich młody, przystojny Polak mile był bardzo widziany. Zapraszano go na bale, na wieczory, a zapraszano tak często, że jak wreszcie wyznawał: ¹ „Zaczynam się nudzić nową „mą światową karyerą, i chciałbym się z nią niezadługo pożegnać“. Jakaś „piękność o oczach Uranii“ zaczęła się zwolna wkradać raczej do żywej wyobraźni, niż do serca Chołoniewskiego, a co gorsza — sama zakochała się w nim na zabój. O mało co nie przyszło do bliższych wynurzeń; ale widać nie była to partya dla Stanisława stosowna, kiedy później niemile zawsze wspominał te „szalone swoje błazeńskie“ czasy, i dziękował Bogu, że nie dozwolił waryackiej wyobraźni zaprowadzić go na manowce. Pod koniec grudnia wybrał się wreszcie z powrotem do domu, wioząc najrozmaitsze prezenta dla krewnych i przyjaciół, rad że zbliża się do Podola, ale nie bez pewnej przed sobą samym starannie ukrywanej nadziei, że niezadługo na stalszy pobyt zawita do stolicy i wejdzie może w trwałe stosunki z „piękną par excellence“, której obraz przez kilka je-

¹ *Do Mikołaja i Emilii Grocholskich*. R. 1812. Prawdopodobnie w grudniu.

szcze miesięcy w fantazyi jego pokutował. Ciepła atmosfera domowa, przyjacielskie rady Grocholskiego, który przedstawił mu niestosowność a może i niemożliwość urojonego związku, wypędziły wreszcie ten obraz z głowy i skierowały myśli na wyższe, poważniejsze przedmioty.

Stanisław, choć zaledwie spotkał się z szerszym kołem ludzi, nasłuchiwał się dosyć wyczytanych z Voltaire'a dowcipów, i z Rousseau'a zarzutów przeciw religii, ani na chwilę w wierze się nie potknął, ale też nie wgłębiał się w jej piękności, a zadowolniając się w młodocianych latach tradycyjnie wykonywanymi religijnymi praktykami, nie myślał o wyższych stopniach życia z wiary. Pierwszy Grocholski, jeszcze przed wyjazdem Stanisława do Petersburga, odezwał się doń: „Przyjacielu postąp wyżej!“ Zaproszenie nie przebrzmiało na próżno. „Jestem teraz, mój drogi, spowiadał się Stanisław przyjacielowi¹, jak ów wąż Wirgiliusza, który syczy i liże, przywdziewając nową skórę... Rozumne twe nabożeństwo powiększy moje. Skądinąd zrobiłem pierwszy krok, aby zostać dobrym „chrześcijaninem, cierpiałem“. Do dalszych kroków przeszkodziła petersburska podróż, ale Grocholski nie dał za wygraną i wnet po powrocie odnowił dawne rozmowy i odświeżył w pamięci powzięte postanowienia. Było to tem potrzebniejszem, że niewygasłe wspomnienia petersburskie, złączone z płynącą po części z nich melancholią i ze zbytnią nieufnością we własne siły, odejmowały Chołoniewskiemu energię i ochotę do pracy nad sobą, a bezwątpienia religijne pobudki najskuteczniej mogły zle przeciąć w korzeniu.

„Wyznać ci muszę, skreślał Stanisław w liście do szwagra „ówczesny stan swej duszy², że nie tylko nie jestem ze siebie zadowolony, ale wprost ścierpieć się nie mogę. Napróżno ciągnę „w nieskończoność rozumowania z rozumowań, jakie zwykle czynią „ludzie w chwilach krytycznych; ostatecznie wszystkie te rozumowania wprowadzają mię w otchłań przykrych i ciężkich wątpliwości. Wychodzę zmęczony, prawie upadły na siłach z tej walki, prowadzonej przez biedny mój rozum, przeciw jeszcze biedniejszemu „sercu. Przypominam sobie często słowa, na które nie zwracałem

¹ Z Łopatyna, 10 stycznia st. st. 1812.

² Do *Mikołaja Grocholskiego*. Janów 15 paźd. 1813.

„uwagi będąc dzieckiem, a które stara Józefina powtarzała nieraz, „donośnym, wyraźnym głosem: „Bieda na ziemi, bieda w sercu, „bieda wszędzie“, i teraz stara Józefina wydaje mi się ze swem „przysłowiem, jakby jaka wyrocznia, a książki jedną po drugiej na „bok odrzucam, bo zdaje mi się, że mieszczą w sobie same głupstwa. Oto do czego człowiek dochodzi, kiedy tak jak ja mieszka „na wsi, oddaje się lenistwu, nie ma ani karyery, ani celu, ani „energii“.

Przedewszystkiem brakowało jakiegoś jasno wytkniętego celu życia; energia i karyera jużby się były przy nim odnalazły. Dobrze życzący, zwłaszcza stryjeczny brat Stanisława, Władysław Chołoniewski, nacierali na Miecznika, aby syna przynaglił do powrotu do Petersburga; zachęcał do tego i jadący właśnie z Petersburga do Wiednia de Saint-Priest, który ugrzązłszy po drodze w domu zaprzyjaźnionych ze sobą Podolanów, bardzo gorąco wziął do serca, nierozstrzygnięte jeszcze ostatecznie w Petersburgu procesa i interesa Chołoniewskich i Grocholskich. Saint-Priest dał Mikołajowi Grocholskiemu polecające listy do wszystkich znakomitszych figur petersburskich, do: Tołstojów, Sołtykówów, Gallicyńów, Dołgoruckich, ale rzecz prosta, że nawet obok takich rekomendacyi, obecność w stolicy dobrze widzianego Chołoniewskiego bardzo się mogła przyczynić do pomyślnego rozwiązania majątkowych spraw i rozplątania intryg. Jakie niechętni dość już długim a sprężystym choć dotąd stanowczo nie ustalonym rządowi Grocholskiego przeciwni zadzierzgnęli. Stanisław w zasadzie podróży tej się nie sprzeciwiał, pragnął bardzo oddać się raz wreszcie stałemu jakiemuś zajęciu, a spodziewał się je znaleźć w Petersburgu, ale tymczasem coraz inne przeszkody odwlekały cały projekt na długie jeszcze miesiące.

Pierwszą przeszkodą była nieobecność cesarza, zajętego we Wiedniu uspokajaniem Europy po napoleońskich burzach, drugą jeszcze ważniejszą zły stan zdrowia, który na wiosnę 1815 r. zmusił Stanisława wybrać się do Karlsbadu. Droga szła na Lwów; tą razą przypatrzył mu się dokładniej i na samym już wstępie nie odniósł wcale najświetniejszego wrażenia. „Przetrząśnięto mię przy rogatce, „zabrano mi tabakę... mówię ci, że tysiąc i jedna awantur Arle- „kina nie mogły rywalizować pod względem tragiczności z tem, co

„ja tu przejść musiałem“¹. Po tygodniowym pobycie stolica Galicyi przedstawiła mu się jeszcze w ciemniejszym obrazie:² „Nie możesz sobie nawet wyobrazić, jak się człowiek we Lwowie musi nudzić. Nie można tu skorzystać ani ze względu na *leggiar-deria*, ani ze względu na naukę. Znalazłem tu wielu ludzi poczciwych, ale ani jednego człowieka wykształconego a nie zarażonego pedanterią. Dzierzkowski jest *omnis homo galicyjski*. Domski jest typem nowoczesnego Cicerona. Słyszę go ciągle, jak komentuje słowa: *O fortunatam natam me consule Romam*; brakuje jeszcze tylko Katyliny, ale szczęściem, jeśli wiek nasz nie rodzi katylińskich zbrodni, to wydaje jeszcze mniej cnót Ciceroniańskich, wyjąwszy chyba gadulstwa. Powiesz mi pewnie, że to *jalousie de métier* ze mnie przemawia, ale możebyś zmienił zdanie, widząc mię niemego w pośród tej gromady suchych figur, które, z całą możliwą powagą i świadomością nieomylności więcej niż papieskiej, paradują z sofizmatami, lub z tem, co mnie się przynajmniej sofizmatem wydaje. . . . Wszystkim tym panom brak elementarnej znajomości rzeczy i ludzi. . . . Rozmawiając o najprostszych w świecie wypadkach, wyprowadzają je zawsze z jakiejś wielkiej sztucznej kombinacji, a cały świat polityczny szykują i układają jak partję szachów“.

Obok niezaprzeczanego zmysłu spostrzegawczego, znać w tym obrazie ówczesnego Lwowa wielką cierpkość sądu, która pod innymi dopiero wpływami przemieni się w chrześcijańską pobłażliwość dla cudzych wad i wyrozumiałość dla mniej przyjemnych charakterów. Do skreślenia takiego a nie innego obrazu przyczyniły się również niemało zbyt jasne zabiegi różnych rodzin, które, jak gniewał się i żartował sobie Stanisław, „chciałyby zaszczycić mą osobistością wszystkie panny z całego kraju, co wcale się nie zgadza z dalszemi memi projektami podróży, a tak mi dokuczają, że zaczynam żałować, że się jeszcze dotąd nie wyrzekł kawalerskiej wolności“. Wreszcie, w pierwszych dniach czerwca wydobyl się surowy a znudzony cenzor z prawdziwym weselem serca ze Lwowa i po czterestu dniach uciążliwej podróży stanął w Karlsbadzie.

¹ Do *Mikoł. Grocholskiego*. Lwów 22 maja 1815 st. st.

² Do tegoż. Lwów 29 maja 1815 st. st.

Los prześladował zmęczonego podróżnika. Ledwie zajechał do hotelu i wziął do ręki spis gości karlsbadzkich, uderzyły go nazwiska osób zbyt dobrze znanych z Petersburga, a pomiędzy nimi i nazwisko tej, która chwilowo tak żywo wkradła się w młodzieńczą wyobraźnię. W pierwszej chwili sam Stanisław nie umiał sobie zdać sprawy z uczuć, poruszających teraz jego serce¹. „Jeślibyś mię spytał, czym kontent z tego spotkania, nie „wiedziałbym, co ci odpowiedzieć. Przyjemne i przykre uczucia tak „się ze sobą mieszają, że sam nie wiem, które biorą górę. Jednak, „o ile znam sam siebie, to właśnie z powodu tej walki nie mogę „się tu spodziewać zbyt przyjemnego pobytu. Bardziej jeszcze niż „zdrowia potrzebowałem pokoju serca, ale nieszczęśliwa jakaś „gwiazda, czy raczej kometa ściga za mną bez przestanku“. Pozycya była tem trudniejsza, że petersburscy goście, a zwłaszcza „mała“, jak Chołoniewski nazywał teraz w korespondencyi chwilową panią swych myśli, ani przypuszczać nie myśleli, aby podróżnik nie wiedział o ich pobycie w Karlsbadzie i byli przekonani, że właściwie przyjechał dla nich, a nie dla wód i kąpieli. Tymczasem po paru dniach Chołoniewski przyszedł do umysłowej równowagi: po pierwszym wrażeniu spostrzegł, że chwilowy dawny entuzjizm bezpowrotnie minął, i że obraz w wyobraźni i sercu wykolysany bynajmniej rzeczywistości nie odpowiada, a powodując się uczuciem dobrze pojętego honoru, w rozmowie ze siostrą „małej“ dał jasno do zrozumienia, że żadnych illuzyj uprawniać nie chce i nie może. Zrobienie tego kroku niemało kosztowało Chołoniewskiego, zwłaszcza ze względu na widoczny smutek „małej“. „Biedna dziewczyna, żal mi jej, i chciałbym ją z całego serca uzdrowić“. Ale w danych warunkach szczerłość w postępowaniu, była z pewnością dla obu stron najlepszym lekarstwem. To też, zdecydowawszy się na krok stanowczy, wolniej odetchnął: „Dużom w ży- „ciu nabredził, zwierzał się szwagrowi, zwłaszcza dużom czasu stracił na kłamliwych snach i marzeniach. Teraz zaczynam się budzić... Przypadek chciał, aby namiętności podniosły się do walki „we mnie, a powiedzieć można, przeciwko mnie! Ugięliśmy się pod

¹ Do *Mik. Grocholskiego*. Karlsbad, 15/27 czerwca.

„burzą, aleśmy powstali, a tak łączący nas węzeł przyjaźni silniej „się zacisnął. *Gaudeamus igitur*“¹.

W towarzystwie bawiących w Karlsbadzie Polaków: Winnickiego, Branickiej i kilku innych pań i panów, czas mijał, jeśli nie mile to przynajmniej znośnie. Nie obyło się naturalnie i bez znajomości mniej przyjemnych. „Przedstawiono mię księciu wirtemberskiemu, synowi króla, który raczył nas obdarzać przez dwie „godziny swą niemiecką flegmą, a później zniknął“². Ale chwilowe te przykrości i nudy nagrodził sownie dobry skutek karlsbadzkiej kuracyi; zadowolony bardzo z tego względu późną dopiero jesienią wybrał się Stanisław przez Wiedeń, Lwów i Brody z powrotem do domu. Długą podróż osładzało towarzystwo Giżyckiego, któremu zwierzył się, że znudzony leniuchowaniem w domu, a czując że, jako troskliwemu o dobro ojczyzny i własnej rodziny, nie wypada mu siedzieć z założonemi rękami, postanowił stanowczo oddać się służbie dyplomatycznej. Jakoż, wpadłszy ledwo na dwa dni do Janowa, popędził natychmiast w pierwszych dniach listopada do Warszawy, gdzie spodziewał się zastać cesarza w powrocie z kongresu wiedeńskiego i ostatecznie wystarać się o przydzielenie do ambasady rosyjskiej w Berlinie, jako w miejscu stosunkowo nie bardzo od Podola odległym. Jednocześnie przywitać miał w imieniu swych współobywateli twórcę kongresowego królestwa wspólnie z licznymi deputacyami, które ze wszech stron dawnej Polski do Warszawy ściągaly.

Sześć dni i nocy tłuc się trzeba było bez wypoczynku, słuchając na każdym niemal popasie niezbyt miłych wieści, że cesarz już podobno Warszawę opuścił. „Ale ponieważ³ w podobnych razach „nikt z drogi nie wraca, jechałem wciąż jechałem i, przybywszy do „Warszawy 11 listopada we środę, zastałem Pana, który istotnie „już od jedynastu dni tutaj bawił. Darujcie mi na teraz opis wszystkich uroczystości i wszystkiego co się odnosi do spraw publicznych; wszystko to wam kiedyś rozpowiem w poufnej pogadance „a tymczasem posyłam dla pocieszenia was gazetę, która więcej wam

¹ Listy pisane do *Mikołaja Grocholskiego* z Karlsbadu 27 i 28 czerwca, 11 i 21 lipca, 1815.

² Do *Mik. Grocholskiego* 27 czerwca 1815.

³ Do *Mik. Grocholskiego* Łopatyn 16 grudnia. N. st. 1815.

„rzeczy nagada, niż jaby m potrafił. Aby wam skreślić krótko obraz „mego położenia, wystawcie sobie piekielne *charivari*, a w niem „biedaka ocierającego się o same prawie obce twarze, tak, że mu „trudno nawet było znaleźć mieszkanie... Przyjaźń z Giżyckim zje- „dnała mi zaproszenie na dwa bale, na których był i cesarz i ro- „zmaite znajomości, związane zapomocą kart wizytowych, bo wszy- „scy tutaj w wielkim są ruchu. Giżycki kazał mi się zapisać na „liście osób, mających być przedstawionemi cesarzowi i poprowadził „mnie do Wielkiego Księcia... Zaraz nazajutrz po mem przybyciu, „poszedłem do Łanskoja. Doskonale mnie przyjął. Postanowiłem so- „bie mówić szczerze z wszystkimi tymi panami o moich zamiarach: „iść prostą, utartą drogą, nie szukając żadnych pobocznych ścieżek. „Miałem przygotowany memoryał. Łanskoj musiał o nim wiedzieć, ale „chciałem go powierzyć komuś, ktoby mógł i chciał oddać go Pa n u „jeszcze w Warszawie, aby otrzymać bezzwłoczną odpowiedź i liczy- „łem na Ożarowskiego. Łanskoj robi mi wszystkie możliwe grze- „czności i zaprasza mnie na ten sam jeszcze dzień na obiad, na któ- „rym cała świta cesarska miała się znajdować. Przybywam. Przed- „stawiam się Nesselrodemu; mówię mu o mojej sprawie: powiada „mi, że do niego, jako do przyszłego naczelnika powinienem się udać „i wręczyć mu memoryał. Oddałem też list Władysława Ożaro- „wskiemu. Nazajutrz przedstawiono mnie Wielkiemu Księciu, który „przyjął mnie bardzo uprzejmie. Winszują mi tego. Idę z memorya- „łem do Ożarowskiego, ale zachorował i to na dobre“.

„W niedzielę mieliśmy wszyscy prezentować się cesarzowi, „między innemi dwóch młodych Illińskich. Po dwóch śmiertelnych „godzinach i po śmiesznym wypadku aresztowania, o którym ci „opowiem w swoim czasie i miejscu, nadeszła nasza kolej tuż po „deputacyi litewskiej. Książę Adam Czartoryski i Broniec, quasi „marszałek dworu, byli wielkimi światłami, które prowadzić nas „miały do źródła wszelkiego światła. Uszykowano nas wedle listy. „Na przodzie kilku wojskowych i kilka wielkich wstęp, Illińscy, ja „i deputowani kujawscy. Pan przybywa. Książę Adam wy- „krzykuje jak na Vorlesunku¹. Cesarz rozmawia z kilku

¹ Słowa podkreślone w oryginalnym tekście po polsku; zresztą cały ten list po francusku.



195905

wojskowymi, przechodzi w milczeniu koło cywilnych, zbliża się do „Illińskich, którzy robią *kratzfussy* bez końca, kłania się im prędko „i mówi do Czartoryskiego: „Ci panowie odebrali wychowanie „w Petersburgu“. Potem stanął przedemną, bo i Czartoryski stanął „nie mogąc odcyfrować mego nazwiska. Kiedy je wymówił, Pan „podniósł wzrok, spojrział się basem, głęboko mi się uklonił, „co mię nieomal do śmiechu nie pobudziło; przeszedł koło innych „nie mówiąc ani słowa i odesłał nas tam, skądśmy przyszli“.

„Przy wyjściu Giżycki chwycił mię za ramię, i popychając „wedle swego zwyczaju, kłnąc, śmiejąc się i skacząc, zmusił mię do „wręczenia memoryału przechodzącemu właśnie przez dziedziniec „Łanskojowi, który znów wręczyć go miał Nesselrodemu. Trzeba „się było na to zdecydować. Nazajutrz spotykam Ożarowskiego; „mówi mi półgębkiem, że zrobi dla mnie co będzie mógł i że „tutaj Pan dostanie memoryał. Idę do Nesselrodego; zapewnia „mię, że jest czystem niepodobieństwem oddać tutaj mój memo- „ryał, bo Pan nie chce o niczem słyszeć, co się nie odnosi „do interesów Królestwa, że w każdym razie musi ta sprawa „przejsć przez Petersburg; że zaraz po przybyciu do stolicy odda „z pewnością cesarzowi memoryał, że nie obiecuje mi wpra- „wdzie na pewne przyłączenia do poselstwa Berlińskiego, jak pro- „siłem, ale ręczy, albo za poselstwo Berlińskie, albo za londyń- „skie... Piszę do Ożarowskiego, napierając na spełnienie dawnej „mej prośby; sam do niego idę. Ożarowski zapewnia, że długo „o tem mówił z Nesselrodem, ale nie wiedział co odpowiedzieć na „bardzo poważne racje... Posłałem do dyabła Giżyckiego i wszy- „stkie jego wykręty; wreszcie zrezygnowałem się, bo w najgorszym „razie mogę się zdrowiem zasłonić... Tymczasem Pan, mówiąc „o młodzieży, dał się słyszeć, że „wszyscy ci panowie zbyt są du- „mni, aby zechcieli wejść w moją służbę“. Była to przymówka do „mnie; przypomnienie na moją dawną historję. Zbieram się na wiel- „kie postanowienie i wyjeżdżam do Wielkiego Księcia, aby wyje- „dnać sobie audiencyę i poprosić go o protekcyę do wejścia w słu- „żbę cywilną... Nie zastałem go, nie wrócił jeszcze od brata. Po „dwóch śmiertelnych godzinach nadchodzi, wiesz kto? Ożarowski, „który sądząc, że będę polegać na jego zapewnieniach, robi zdi- „wioną minę, i pyta, co robię u Wielkiego Księcia. Zapewnia mię,

„że Nesselrode zobowiązał się słowem honoru do załatwienia mej sprawy, natychmiast po powrocie do Petersburga. Podziękowałem mu i pod pozorem, że zbyt już długo na próżno czekam, odszedłem jak niepyszny. Cóż miałem robić? Otóż moje smutne dzieje!“

W dwa dni po zamianowaniu Zajączka namiestnikiem *au grand déplaisir dei Grandi* i po podpisaniu konstytucyi, opuścił i Chołoniewski za cesarzem Warszawę, bogatszy o kilka miłych znajomości, między któremi pierwsze miejsce zajął dwudziestoletni Koszakowski i o pewien zasób dość szczerze udzielonych, ale we mgle rozplływających się obietnic. Wnet po świętach Bożego Narodzenia trzeba znów było, czekając tymczasem gorączkowo na skutek podanego memoriału, wybrać się na kontrakta kijowskie. „Mną jak kozakiem na stójce¹ na wszystkie strony szastają; nie wiem czy tygodnia (sic!) od przyjazdu z Wiednia w domu posiedziałem“. W Kijowie na robocie nie brakło, bo prócz interesów przez ojca sobie zleconych, musiał się jeszcze Stanisław starać o pożyczkę dla szwagra; nie brakło też na paru niemiłych awanturach. Jakiemuś niewygodnemu adwokatowi zagroził kijmi, a gdy gubernator, zresztą najsluszniej w świecie, kazał wyprowadzić z klubu jednego z dalekich jego kuzynów, tyle narobił hałasu i tak podbuntował młodzież, że ostatecznie sam gubernator przyjechał do rodziny tego „błazna i mazgaja“, jak się Chołoniewski i dosadniej jeszcze w poufnem kółku o swym kuzynie wyrażał, i przeprosił ją za wyrządzony skandal w obecności czterdziestu, umyślnie w tym celu zgromadzonych Polaków. Jeśliby powodzenie miało świadczyć o dyplomatycznych zdolnościach, to przyznać trzeba, że Stanisław, mimo pewnego braku zimnej krwi, świetnie rozpoczął już w Kijowie wymarzoną przez siebie karierę.

W rzeczywistości warszawskie obietnice nie rodziły owoców. Widząc, że z Petersburga żadna ani dobra, ani zła wieść nie nadchodzi, wysłał Chołoniewski sztafetę do Nesselrodego, przypominając mu dane słowo honoru. Przyjaciele, na pierwszym miejscu Braniccy i Stanisław Potocki, ofiarowali się poprzeć ze swej strony tę sprawę, pisać do Nesselrodego i petersburskich znajomych; inni,

¹ Do *Mik. Grocholskiego*. Janów 8 stycznia 1816. Wstęp polski w liście francuskim.

dobrze znający stosunki, nalegali aby sam jechał do Petersburga, bo bez osobistych zachodów niczego nie otrzyma. Nalegał na to i ojciec; sam Stanisław opierał się z początku wszelkiemu „intrygowaniu“. „Pracować żądam i proszę o to, lecz intrygować nie myślę“. Wkrótce jednak, lepiej namyśliwszy się a powodując się zdaniem bawiącej w Petersburgu rodzonej swej stryjenki Kolety Czwertyńskiej, przyszedł do poznania i przekonania, że wielka różnica między dozwolonemi, jawnemi zabiegami a pokątną intrygą i że, jeśli nie chce do końca życia siedzieć na wsi z założonemi rękami, jeżeli pragnie przemienić w czyn gorące pragnienie pożytecznej pracy, to na same pisemne memoriały i bardzo nawet wysokie protekcyje nie może się spuścić.

„Być bardzo może, pisał w marcu 1816¹, że niezadługo pu-
„szczę się do Petersburga. Miasto to jest teraz dla mnie tem,
„czem Jerozolima dla naszych polskich żydów. Nikt tam na nich
„nie czeka: ani Ojciec Abraham, ani król Salomon, ani zwłaszcza
„owa piękna Ester: wszyscy oni przeszli i zniknęli, jak stare suknie,
„o których mówią psalmy, a jednak dążą tam ciągle, narażając się
„na głodową śmierć wśród drogi... Za czem tak gonią? Za byle-
„jakim urzędzikiem w jakiejś ambasadzie... Dlaczego? — spyta mię
„kto. Czy dla zrobienia majątku? Nie, bo mam może więcej, niż
„chrześcijaninowi potrzeba. Dla awansu? Nie, powtarzam, bo prze-
„szedł już czas świetnych karyer. Ale, aby popracować, aby do-
„wiedzieć się dokładnie, co robią ludzie mający pretensyę do rzą-
„dzenia swymi bliźniami, co robią w tej chwili i czy wszystko jest
„prawdą, co piszą w dobrych książkach? Nie mając nawet szcze-
„gólnych talentów, będę się tam mógł może nauczyć, co na przy-
„szłość można dla innych zrobić, i czego się mam od mych bliźnich
„spodziewać. Dzień w dzień, w miarę jak opuszczają mię sny mło-
„dości, czuję coraz silniejszą potrzebę ujęcia się, mniejsza o to ja-
„kiej pracy, byleby prowadzącej do jakiegoś celu moralnego i by-
„leby praca ta przyczyniała się do rozwinięcia mych władz umysło-
„wych. Nie jest to już owo nieokreślone pragnienie gonienia po
„świecie, widzenia wielu rzeczy, chwytanie na chybił trafił wrażeń
„najrozmaitszej natury. Dzięki Bogu, spokojniej dziś zapatruję się

¹ Do *Mik. Grocholskiego*. Strzyżawka 18/30 marca 1816.

„na otaczające mię przedmioty; niejedno upokorzenie wykazało mi „dotkliwe braki w mem wykształceniu; jestem teraz bardzo spokojny „i bardziej zadowolony ze siebie samego, bo poznawszy czego mi „brakuje, wiem mniej więcej, czego mi potrzeba, a świadomość, że „złe nie jest bez lekarstwa, i że mam dosyć siły, aby go użyć, „podtrzymuje mię w chwili zniechęcenia“.

„Głównym błędem tegoczesnego wychowania nawet najbar- „dziej błyszczącego, jest brak jedności. Kształcąc młodzież, nale- „żałoby raczej zaniedbać wydoskonalenia wielu, choć potrzebnych „szczegółów, byle już małe dziecko natchnąć tą myślą, że owoców „swej nauki użyć ma kiedyś na korzyść swych bliźnich. Najmniej „nawet utalentowany to pojmie i poświęci szczupłe swe środki dla „dobra publicznego; będzie się wysilał z niewielkim powodzeniem, „ale same te wysiłki zastąpią mu powodzenie, bo posłużą za przy- „kład i za bodziec dla ludzi uzdolnionych. Tak ucząc i kształcąc „nie oglądalibyśmy owych cudownych geniuszków, przemieniających „się z biegiem lat w nieznośnych starców; owych uroczych kawale- „rów, którzy mimo pewnej dozy porządnej nauki, namyślają się „czasami czy nie powinnyby pokazać się na scenie obok Duporta „i Talmy w tragicznym kostiumie a obok Rode'a z muzycznym „instrumentem w ręku. Młodzieniec, obdarzony od natury tego ro- „dzaju przyjemnymi talentami, może nimi ozdabiać pierwsze lata „młodości ale, jeśli otrzymał porządne wychowanie, wnet poczuje, „że pożytek winien iść przed zabawą. Zawsze dosyć zrobi dla osią- „gnięcia reputacyi człowieka utalentowanego, ale zawsze dużo mu „pozostanie do zrobienia dla osiągnięcia reputacyi człowieka po- „żytecznego“...

„Wstyd mi prawdziwie! Nie ma co mówić w piękną wpadłem „zasadzkę! Wszystko to wygląda, jak jaka dySSERTACYA księdza Tru- „bleta. Istotnie, moim przyjaciółom dosyć dostarczam sposobności „do ćwiczenia się w cierpliwości. Boć czuję sam, że tego rodzaju „listy zdać się mogą chyba w sklepie korzennym!“.

Widocznie powodzenie w petersburskich salonach i między młodzieżą kijowską, tryumfalne hymny na cześć nadzwyczajnych zdolności i prorocstwa świetnej karyery, a nawet bombastyczne pochwały, oddawane kilku, co prawda z wielką biedą w tym czasie skleconym wierszykom, nie nadeły Chołoniewskiego próżnością,

i nie wytłumaczyły mu, że dość już pracował, a teraz należą mu się zasłużone wawrzyny. Skromne to, za skromne nawet ocenienie siebie samego, swych prac i zasług, stanowi jeden z rysów pięknego tego charakteru; nigdy ani cienia zarozumiałości, raczej zbyt nie niedowierzanie własnym swym siłom, przeradzające się nieraz w niezdrową trwożliwość, którą rozum dopiero, modlitwa i rady przyjaciół utrzymywać musiały w należytych granicach.

II.

Szambelan cesarski, mason i niedoszły dyplomata.

W marcu wyjazd Stanisława do Petersburga był stanowczo zdecydowanym, bo i tak bądź co bądź po przyjęciu do służby musiałby się udać do stolicy, dla złożenia przysięgi i oficjalnego przywdziania munduru. Ale, zanim od ostatecznej decyzji przyszło do wykonania, upłynęło jeszcze kilka miesięcy; wreszcie gdy ojciec zaczął wracać do siebie po dłuższej chorobie i interesa majątkowe jako tako chwilowo się rozplątały, wsiadł nasz kandydat na ambasadora 1 czerwca 1816 r. do powozu, mającego go zawieść do Petersburga. Wsiadał, zmuszony coraz silniejszymi naleganiami petersburskich przyjaciół, którzy grozili, że inaczej wszystkie dotychczasowe zabiegi pójdą na marne, ale z niewielką nadzieją i sercem ciężkiem. „Nie umiem ci powiedzieć, pisał do szwagra w wigilię „wyjazdu z Janowa¹, co mię czeka i czem zostanę w Petersburgu? „Ponieważ nic jeszcze nie jest gotowem, a wszędzie będę musiał „nadstawiać własną osobą, mam przed sobą obszerne pole naj- „rozmaitszych trudności i przykrości. Ale kiedy puszczam się po „trochu na rzemiosło awanturnika, to może mię poprowadzi dobra „jaka gwiazda“.

W lat przeszło dwadzieścia później, wjeżdżając już jako poważny kapłan do stolicy północnej, nie mógł się Chołoniewski otrząsnąć z posepnych myśli:

¹ Do *Mik. Grocholskiego*. Janów 31 maja 1816.

„Wśród tego blasku wszędzie smutek mnie przycisnął“;¹ dwudziestopięcioletni młodzieniec, widząc zdaleka wspaniałe mury nadnewskiego grodu, marzył o pożytecznej pracy, która go tu czeka, a żywa wyobraźnia zapomniawszy, choć wbrew może woli i rozumowi, na poprzednie przecucia, roztaczała w jaskrawych kolorach łądzący obraz świetnej przyszłości i wierzyć kazała w pomyślną gwiazdę. Gwiazda była jeszcze za chmurami, ale zdawało się, że chmury zaczynają się rozchodzić. Wpływowy minister Capo d'Istria, do którego Stanisław miał listy polecające od Saint-Prieste'a, przyjął bardzo uprzejmie młodego Polaka i uznał za słuszne i rozumne jego żądanie, aby przygotowując się do misji Berlińskiej, przypatrzyć się mógł najprzód sprawom publicznym w Petersburgu, pracując przez kilka miesięcy w ministeryalnych biurach. Przy drugiej wizycie przyjął go jeszcze uprzejmiej; podjął się sam rozmówić z cesarzem, który, jak sądził, nie będzie robił żadnych trudności i prosił Chołoniewskiego, aby po tygodniu znowu do niego się zgłosił. Chołoniewski zgłosił się nie raz, ale trzy razy, a za każdą razą powiedziano mu, że minister zajęty, lub w domu go nie ma. „Otóż jak stoi moja sprawa². Cesarz ma wyjechać 10 sierpnia do „Moskwy i aż do tego czasu nie zaniedbam żadnego kroku, który „rozumnie zrobić mogę; po tym dniu będę uważać milczenie „Pana za to, czem istotnie będzie musiało być tj. za odmowę „i wyjadę. Zresztą, nie posługuję się żadną *Winkelprotection*, idę „prostą utartą drogą, a jeśli mi ją zamkną, to doznam przynajmniej „losu bardzo wielu porządnych ludzi i powtórzę, wracając skądem „przyszedł: *Non omnia possumus omnes*“.

Tymczasem rzeczy zaczynały przybierać pomyślniejszy, choć niespodziewany obrót. Jeden z przyjaciół, wywiązując się widocznie z danego sobie polecenia, zwierzył się Stanisławowi, że słyszał i to nie raz ale kilka razy z ust samego Nesselrodego, jakoby tenże zamyslał go przyłączyć do rosyjskiego poselstwa w Ameryce. „Mój „przyjaciel kazał mi najprzód zgadywać³, co mię czeka, a zdaje mi

¹ Sonet na powitanie stolicy północnej, 11 maja 1838 r. *Pisma pośmiertne* t. II, str. 140.

² Do *Mik. Grocholskiego*. Petersburg 3 lipca 1816.

³ Do *Mik. Grocholskiego*. Petersburg 31 lipca 1816.

„się, że nie w mniejszym tą razą byłbyś odemnie kłopotcie. Przy-
„znam się, że myśl o podobnej podróży miała w sobie coś pocią-
„gającego. Wiesz, że awanturnicy lubią wszędzie nieokreśloność,
„a w proponowanej mi podróży, jeśli na czem, to na pewnej nie-
„określoności nie brakowało. Ale myśl o Papie wróciła mię do
„rozsądku i rzeczywistości. Ponieważ ostrzeżono mię naprzód o tej
„małej a pięknej wycieczce, miałem czas przedsięwziąć odpo-
„wiednie środki. Poprosiłem hr. Capo d'Istria, aby mię zostawił
„w swym departamencie. Przyjął mię dobrze, podjął się wręczenia
„listu do cesarza (trzeciego już z rzędu), a w cztery dni później
„przysłał mi odpowiedź. Dowiedziałem się, że mam pracować w bió-
„rze zależącem od hrabiego, i że przy pierwszym wakansie przejdę
„do jego bióra osobistego. Widzisz z tego, że przypadek, ów bo-
„żek wszechpotężny, daleko mi się lepiej przysłużył, osadzając mię
„na chwilę w Petersburgu, niż gdyby mię był poprowadził do Ber-
„lina. Tam zależałbym od nieznanego mi szefa, który sam znowu
„zależy i to aż za wiele od Petersburga. Tutaj, nie mówiąc już, że
„mogę więcej nabyć politycznego wykształcenia i doświadczenia
„przez pół roku, niż przy ambasadzie w przeciągu całego roku,
„jestem nadto pod szefem zależącym wprost od cesarza i na wszelki
„wypadek mogę sobie zawsze wyrobić przyłączenie do tego lub
„owego poselstwa“.

W pięć dni po nadejściu odpowiedzi od Capo d' Istria, ce-
sarz zamianował Chołoniewskiego szambelanem dworu. „Tem więk-
„szą było to dla mnie niespodzianką, że osobiście nie zrobiłem ani
„jednego kroku dla pozyskania tej godności“. Była to zachęta na
przyszłość; tymczasem trzeba było powiesić w szafie strojny mun-
dur szambelański, a wziąć się do biórowej pracy. „Jestem na po-
„czątek przy biurze Palenowa, bardzo *probi hominis*¹. Już mnie
„zaprzegli od ósmej do czwartej popołudniu. Przysięgę wykonałem.
„Mogłem się do Misyi wpraszać, lecz nie jest to tak bezpiecznie,
„chociaż może przyjemniej jak tu“. Zresztą i praca w Petersburgu
nie była zbyt przykrą i nudną. „Otóż mój tutejszy tryb życia².

¹ Do *Mik. Grocholskiego*. Petersburg 18 sierpnia 1816. List pisany po polsku.

² Do *Mik. Grocholskiego*. 29 sierpnia st. st. 1816.

„Wstaję mniej więcej o szóstej rano, a po pacierzu zabieram się do „roboty, przede wszystkim do biórowej. Robię wyjątek z gazet dla „Pana; nie trudna to historia, a w dodatku mogę się z nią za- „łatwiać u siebie, bo mój szef Palenow, jest najlepszym człowie- „kiem na świecie i na wszystko się zgadza. O ósmej idę na mszę „do Jezuitów. Resztę poranku studyuję historią traktatów i prawa „publicznego. Wychodzę dopiero o trzeciej i cały czas poobiedniowy „poświęcam na wizyty; wracam o ósmej, aby nie opuścić ulubionej „lektury historycznej lub religijnej; dałem za wygraną z poezją „i z muzyką, nawet na fortepianie. Zabrałoby mi to za wiele czasu“.

Tego rodzaju sposób życia, „który mnie przymusza¹ kręcić się „po świecie przez połowę dnia, a przez drugą do kancelaryi jeździć“, nie mógł ani pochlebiać wyobraźni, ani zadowolnić umysłowych po- „trzeb zdolnego młodzieńca, który jadąc do Petersburga w innych „barwach przedstawiał sobie przyszłe swe życie i zadanie i sądził, że „do innych jakichś — do jakich nie wiedział dobrze, — ale do in- „nych, jeśli nie świetniejszych, to donioślejszych czynów jest powo- „łany. Zawód ten nie był bez korzyści. „Ja sam zatem przekonywam „się, reflektował Stanisław², ile to ja czasu straciłem przez nieu- „miejętność korzystania z momentu, którego byłem panem dla ja- „kiejś nieznamomej przyszłej chwili, którą nazywałem karierą. Za- „stanowiwszy się nad tą ustawiczną niespokojnością, aby być czyn- „nym, ze wstydem ujrzałem, iż to było tylko skutkiem nierozwagi, „która mi kazała być nieczynnym teraz, aby czynnym być kiedyś. „Wiem więc już, co to jest ta czynność za stolikiem nad papie- „rami, z których niczego się nie można nauczyć, lub na posiedze- „niach, gdzie trzeba słówka ważyć i na wszystkie obzierać się strony. „Nie żałuję mego przedsięwzięcia, bo ile mi się zdało dla własnej „spokojności było mi potrzebnem: lecz mocno oraz jestem prze- „świadczony, że zaspokoiwszy naprzód pierwsze obowiązki, cała ka- „ryera uczciwego człowieka od niego samego zawisła. Środki na to „ma wskazane w własnym sercu i umyśle... Niezmiernie widzę się „odległym od tak szczęśliwego położenia; lecz że jestem przynaj-

¹ Do tegoż 5 października 1816.

² Do tegoż 18 października 1816. List polski.

„mniej w stanie pojąć to, o czem mi się pierwiej i nie marzyło i za „to Bogu dziękuję“.

Obiecanego poważniejszego jakiegoś zatrudnienia, przyłączenia do ambasady berlińskiej lub paryskiej, a choćby uregulowania zajętego stanowiska doczekać się nie było można; irytowało to tem bardziej Chołoniewskiego, że raz po raz drażniono go różnemi obietnicami, planami i projektami, które zawsze niebawem rozwiały się z dymem. Capo d' Istria zapytał, czy nie chciałby towarzyszyć mu do Warszawy; później wyjechał sam, jakby zapomniał o uczynionej propozycji. Po Podolu rozeszły się głuche wieści, że Chołoniewski przyjedzie tam ze szczególnymi jakimiś poleceniami od rządu; pokazało się, że o przyjeździe tym wiedziano tylko w pewnych podolskich kółkach, ale nic nie wiedziano w Petersburgu.

Chołoniewski widział doskonale, że nie brano go na seryo, że znajduje się w nieokreślonej, bardzo nieprzyjemnej pozycji; cofać się jednak przed czasem nie chciał, a pocieszał się uśmiechem losu dla ukochanego szwagra. Śmiało powiedzieć można, iż więcej mu leżała na sercu karyera Grocholskiego, niż własna, ciągle się też nią zajmował: to dla dodania ufności donosił, że cesarz na urzędy w Polsce chce tylko Polaków, i przestrzegał, aby więcej rachować na polskie niż na rosyjskie rekomendacye¹, to dawał wskazówki, jak witać cesarza w przejeździe przez Podole: „Wesoło „Pana i hucznie witajcie, lecz nie krzyczcie: Niech żyje król!“; to wreszcie przypominał, aby nie zaniedbując dozwolonych zabiegów, nie tracić pokoju duszy:² „Trzeba się zapatrywać na wszystkie swoje „starania, jak na posuwanie figurek szachowych. Raz zbredzisz, to „poprawisz przy następnej partyi... bo i jakież rozumny człowiek „daje na stawkę spokój serca, rachuje na protekcyę, buduje na „ruinach, jak się wyraża Bossuet. Powiesz mi: To chyba nie grać! „Nie! mój drogi, grać trzeba i to przez całe życie, ale honorowo „i nie tracąc zimnej krwi“.

Pierwsze wiadomości z Podola brzmiały niezbyt pomyślnie. Cesarz niełaskawem okiem spojrział na Grocholskiego, a Stanisław

¹ 9 sierpnia 1816.

² 22 sierpnia 1816.

musiał go pocieszać, tak jak słusznie mógł pocieszać samego siebie, że „jeśli ci się osobiście nie kleiło, to bądź przekonany, że „ważniejsze może jakieś powołanie od Pana Panów Tobie przeznaczone“, ale, dodawał z fantazją, *summa summarum* wszystko do „brze poszło“¹. Jakoż, jakby na usprawiedliwienie ostatnich tych słów, mógł Chołoniewski już w dwa tygodnie później powinszować, a podobno i pierwszy donieść szwagrowi, o dopiero co wyszłym ukazie, w którym cesarz, uznając zasługi położone na marszałkowskim urzędzie, mianował go wicegubernatorem podolskim. Powinszowanie to skreślone z niezwykłą jak na wiek tak młody rozwagą, wskazuje na wewnętrzny proces, jaki w tym czasie Chołoniewski przechodził; szumowin młodości nie będzie już wkrótce i śladu, a poczucie obowiązku i miłość Boża zajmą pierwsze miejsce w rozumie i sercu.

„Wyznam ci², że kilka miesięcy wprzód ten nowy urząd, „choć nieodpowiedni temu, co ci przyjaźń życzyć może, mocno „mnie by ucieszył, tj. po dziecinnemu. Lecz od niejakiego czasu, „takem się w wielu względach podstarzał, że nie jestem w stanie „korzystać z szczęśliwego wypadku, który nim się być zdaje, bez „rozpatrzenia się, czy nim długo będzie dla osób, do których się „on ściąga. ... Wyznam ci szczerze, że nie mam serca ci tego win „szować. Choć jest chlubnem w oczach opinii, nie może być „przyjemnem dla mnie, który znam twój sposób myślenia, tve in „teresa i twoje przywiązanie do obowiązku. Jaka cię czeka odpow „wiedzialność? Jakich będziesz miał naczelników? Jakich podko „mendnych? Jak się z nimi będziesz musiał objadać! Jak dobra „oddalone od Kamieńca!... Tymczasem do czego się weźmiesz, „wiem, że wprzód będziesz prosił o pomoc Boską, aby cię wsparła „w ciężkich, ale świętych obowiązkach“.

W kilkanaście dni później zastanawiał się bliżej nad kilku szczegółami i trudnościami nowych tych obowiązków:³ „Jeśli mu „sisz coś reformować, bierz się do tego z wolna, a przede wszystkim

¹ 18 paźdz. 1816.

² 3 listopada 1816. — List polski.

³ 18 listopada 1816. — List francuski.

„nie zaprawiaj goryczą twych przedstawień do Guriewa. ...Skoro „potrafisz przywrócić porządek w powierzony ci części administracji, pozyskasz sobie ufność, a podwładni twoi będą musieli albo „zmienić swe postępowanie, albo jeśli do tego nie zdolni, a nie „zechcą mrzeć z głodu, to będą musieli ustąpić swych miejsc dla „urzędników krajowców, którzy, mając jakąś własność, mogą w danym razie pociągnięci być do odpowiedzialności“.

Mimo pozornie świetnego stanowiska Grocholski na wicegubernatorskim urzędzie nie spoczywał na różach: wiele spraw zaległych trzeba było mozolnie odrabiać; niechętnych i zazdrośnych jednać; a w dodatku dla zjednania sobie niezbędnej powagi wobec świata urzędowego i wszystkich, co ludzi mierzą wstęgą i tytułem, krzątać się w Petersburgu o dworską jakąś rangę. Stanisław wziął na siebie to ostatnie staranie, a wywdzięczając się przyjacielowi za dawne napomnienia, pocieszał go i zachęcał do wytrwałości: „Zdajesz się zupełnie zniechęcony nowym urzędem¹, lecz wytrwaj do „końca, póki ci zdrowie i siły pozwolą, *et non poenitebit*... Ja tu „będę, ile mógł pukał, stukał i kołatał“. Jakoż pukał i do starego Siewersa, będącego w wielkich łaskach u cesarza, i do Saint-Priesta, który znowu ze swej strony obiecał przypuścić atak do Siewersa. Staruszek obiecywał, zapewniał, że Grocholski ma *wahrhaftig Recht*, obmyślił całą niemiecką przemowę do cesarza, w której miał prosić o odznaczenie dla Grocholskiego i Giżyckiego, jako jedyną nagrodę swoich własnych zasług, ale zbyt był stary i osłabiony, aby to teoretyczne uznanie w praktyce przeprowadzić i pięknie ułożoną mowę w rzeczywistości wypowiedzieć. Wysłał wprawdzie raport do cesarza, ale odpowiedź nie nadchodziła. „Z naszym staruszką wielka bieda“, donosił Stanisław w sierpniu 1817 r.², a więc po całorocznych bezskutecznych zabiegach. „Cesarz wyjeżdża, a on słaby. Raport swój posłał, odpowiedzi niema „z Carskiego siola, a starowina podobno czynnie wybiera się do „carstwa wiecznego. Na tem się kończą nasze wszystkie zabiegi; „lecz dla tego żyć trzeba, a beczyc wstyd. Najczęściej zaś krzywimy się bardzo na najmniejsze nieprzyjemności, bo nie możemy

¹ 11 stycznia 1817.

² 23 sierpnia 1817. — List polski.

„sobie wystawić, aby bieda była stanem naturalnym, tylko chcemy „ją kiedyniekiedy oglądać... Ten twój awans, to jest jakieś li- „cho, co im więcej popierać, tem się ono gorzej posuwa; kiedyś „nawiasem ci spadnie to wszystko, co długa mozoła nie dokazała“.

Jak przepowiedział, tak się stało: ranga, order, awans „spadły nawiasem“ na Grocholskiego, kiedy już Chołoniewski wyjechał z Petersburga; jego własne zamiary i starania i dla siebie i dla innych, jakby z góry skazane były na niepowodzenie. Później błogosławił Boga za te niepowodzenia, które królewską drogą krzyża poprowadziły go do oddania się zupełnego w służbę, już nie ziemskiemu, ale niebieskiemu królowi; teraz różne te zawody i trudności hartowały go w walce życia i przyzwyczajały oko do spoglądania w niebo. W listach z tego czasu spotykamy coraz częstszą wzmiankę o Bogu, coraz silniej występujące przywiązanie do religii. Prawda, że dopiero co równie pilnie uczęszczał do kościoła, jak do wolnomularskiej łoży, ale rzecz niewątpliwa, że jak największa część Polaków-masonów z tego czasu, tak i Chołoniewski nie miał wyobrażenia o właściwych celach sekty — był przekonany, że zmierza ona tylko do jakichś nie dość określonych, humanitarnych celów, a kabalistyczne jej znaki i próby uważał za nieszkodliwe a ciekawe mistyfikacje. Taki dobry chrześcijanin, jakim niewątpliwie był Mikołaj Grocholski, należał do łoży petersburskiej *Les amis réunis*; za przykładem szwagra poszedł Chołoniewski, i prawdopodobnie w czasie pierwszego swego pobytu w Petersburgu przywdział oznaki masońskie¹. Bawiło go, że przy nazwisku tego lub owego znajomego mógł umieścić trójgwiazdkowy trójkąt; że na końcu listu podpisywał się tajemniczo przybranem w łoży nazwiskiem *Petrus das Kind*, a zamiast używać słowa „łoża“, „masonerya“ lub „wolnomularstwo“, rysował tajemniczy kwadracik. Na tem podobno ograniczały się wszystkie tajemnice przekazane młodemu Bratu, ale i tego było już za wiele. Ktoś z przyjaznych, może spowiednik, może poczciwa jakaś księżka zwróciła mu pierwszą uwagę na niebezpieczeństwo tajnych sekt i walkę ich z ko-

¹ O ówczesnych łożach masońskich w Petersburgu, Kijowie, Kamieńcu, Żytomierzu, zamieścił ciekawe szczegóły Dr. Antoni J. w piątej seryi swych *Szkiców i Opowiadań* str. 392 np.

ściołem katolickim. Czy to prawda, czy to możliwa, zapytał Cholo-niewski z niedowierzaniem, otrzymawszy to poufne, choć widocznie bardzo delikatne ostrzeżenie i z cechującą go dobrą wiarą postanowił dowiedzieć się czegoś więcej o celach i istocie masoneryi: czy to prosta zabawka, czy humanitarne stowarzyszenie, śmieszne kuglarstwo, czy niebezpieczny wróg religii i obyczajów, ukrywający się pod błazeńskim strojem arlekina?

Szczęśliwy traf ułatwił otrzymanie dokładnej, a prawdziwej odpowiedzi na powyższe pytania. W połowie czerwca r. 1816, a więc w kilkanaście dni po odejździe Stanisława do Petersburga, zawitał do Janowa nowy gość, znany niemiecki poeta, ksiądz Fryderyk Ludwik Zacharyasz Werner. Nawet w tych czasach, w których życie zbyt wielu ludzi było jednym zbiorem najdziwniejszych awantur, Werner zwrócić musiał na siebie uwagę oryginalnością losów, które przechodził, a które pchając go coraz inną koleją, oblekły później w habit Redemptorysty a teraz zaprowadziły do Janowskiego zamku. Ojciec Wenera profesor historii na uniwersytecie w Królewcu odumarł go bardzo młodo; matka, kobieta wyegzaltowana, przepelniła żywą wyobraźnię niezdrowemi fantazyami, a gdy fantazy te połączyły się z metafizycznymi wykładami Kanta, którego wykładów słuchał przez lat cztery, zrodził się w młodej głowie filozoficzno-poetyczny chaos. Chaos w rozumie sprowadził chaos w sercu i w życiu. Rozkochawszy się na zabój w jakiejś kobiecie bardzo podejrzaney wartości, uciekł z nią do Warszawy, wziął tutaj ślub, a osiadłszy w Piotrkowie, po dwuletniem zaledwie wspólnem pożyciu, starać się począł o rozwód. Druga żona umarła wkrótce; z trzecią, córką jakiegoś krawca warszawskiego, również w dwa lata po ślubie się rozwiódł. Zakończywszy w ten sposób małżeńską swą karyerę, zwrócił się Werner do łóż wolnomularskich, zapisał się do nich i z nadzwyczajnym zapałem zaczął pracować nad „odrodzeniem rodzaju ludzkiego“. Z kolei posypało się z pod płódnego pióra kilkanaście dramatów napisanych z niezaprzeczoną oryginalnością i pięknnością formy, ale przesiąknięch denerwującym sceptycyzmem i jawną bezbożnością. Imię Wenera stało się głośne: dramata jego odgrywano na wszystkich niemieckich scenach; gdziekolwiek przybył, w licznych podrózach po Niemczech, Czechach, Szwajcaryi i Francyi, otaczało go koło zapalonych wielbicieli

i wielbicielek. Hołdy te oszłomiły, ale nie potrafiły napelnić serca poety; masoński mistycyzm, po bliższem przypatrzeniu się napelnił go wstrętem; biedne serce gonilo za wyższym jakimś religijnym ideałem, ale w zimnym protestantyzmie nie mógł tego ideału odszukać. W tej chwili wahania się, Opatrzność dała mu za przyjaciela biskupa Dalberga; jego rady i nauki otworzyły nowy świat przed zdziwionem okiem poety; laska odezwała się w sercu, a podróż do Rzymu, widok przejmujących do głębi uroczystości katolickich dokonały dzieła. Pierwszego kwietnia 1811 r. wyrzekł się Werner protestanckich błędów, a w parę lat później mimo głośnego oburzenia protestantów z samym królem pruskim na czele, został księdzem. Ogniste, proste, ale pełne siły kazania gromadziły do stóp jego ambony tysiące słuchaczy, a Bóg błogosławił słowom płynącym z głębi wzruszonego, prawdziwie przekonałego serca. W czasie wiedeńskiego kongresu zapoznał się Grocholski z dość dokładnie znającym Polskę Wernerem i obaj prawdopodobnie już teraz zastanawiać się poczeli nad pytaniem, czyby Redemptoryści, do których zakonu Werner później wstąpił, nie mogli się osiedlić najprzód na Podolu np. w Janowie, a później rozszedłszy się stąd po pogranicznych prowincjach, stanąć wałem przeciw silnemu jeszcze prądowi obojętności i niewiary. Dla wszechstronnego omówienia i przeprowadzenia tego planu, zjechał właśnie Werner do Janowa i wnet, zawiązawszy listowną znajomość z Chołoniewskim, zwrócił się do niego o poparcie niełatwej tej sprawy w Petersburgu; natomiast Chołoniewski, osidlony masońską propagandą, najlepszą miał sposobność dowiedzieć się od dawnego wolnomularza, i to jednego z najgorliwszych, jaką dać należy odpowiedź na dręczące go pytania, czem są tajne sekty, jakie ich cele i stosunek z Kościołem.

Z sposobności tej nie omieszkał skorzystać. Pozwalał sobie wprawdzie powątpiewać¹ „czy pobyt w Janowie tego męża świętego, ale chodzącego nadzwyczajnymi drogami, będzie pożyteczny „dla Janowskich mieszkańców, bo choć go osobiście nie znam, to „zdaje mi się, sądząc po ostatnich jego dziełach, iż zbyt wielką „wagę kładzie w religii na rozum“, ale swoją drogą w kilkanaście

¹ Do *Mik. Grocholskiego* 25 czerwca 1816.

dni później polecał szwagrowi: ¹ „Drogi Przyjacielu! Poproś Wernera, żeby się za mnie pomodlił, a jeśli to człowiek prawdziwie „święty, zapytaj go, nie jako filozofa, ale jako katolika złączonego „z kościołem rzymskim, jakie ma zdanie o wolnomularstwie“. Odpowiedź nie zaraz nadchodziła, a niecierpliwy Stanisław w dwa tygodnie później powtarza tylko dokładniej to samo pytanie ²: „Rozmów się zwłaszcza z Wernerem o instytucji wolnych mularzy. „Czy duch tej instytucji podciągnąć się da pod kategorię idei „przynoszących zaszczyt umysłowi ludzkiemu, ale jak uczy do „świadczenie zupełnie bezkorzystnych? Czy w całej tej teorii nie „ma czegoś zbyt nieokreślonego i ogólnikowego, i czy tem samem „w praktycznej aplikacji dla ludzi i rzeczy, nie traci ona na wadze? Czy dalej, wewnętrzna ta masonerya nie jest tylko może „niedoleżnem rozwinięciem środków podawanych nam przez religię? „Co nakoniec o tem myśli jako kapłan Boży? Otóż kilka myśli „i wątpliwości, świdrujących mi oddawna w głowie, a na których „rozwiązaniu wiele mi zależy“.

Odpowiedzi Wernera domyśleć się nietrudno. Wchodząc w myśl Chołoniewskiego wykazał naprzód, że wolnomularstwo co najmniej do niczego dobrego nie prowadzi i że zapowiedziany przez nie program, mający wrzekomo ludzkość uszczęśliwić, jest zbiorem ludzących sofizmatów. Na to zgadzał się Chołoniewski nietylko na słowo mistrza, lecz i opierając się na tem, co sam widział i słyszał: „Byłem raz na zebraniu łoży: *vox, vox, praetereaue nihil*“ ³. Ale czy wolnomularstwo jest nietylko niepożytecznem ale i szkodliwym; czy katolik może być masonem? „Jestem już prawie przekonany, pisał w miesiąc później ⁴, że nasze wolnomularskie stowarzyszenie w praktyce zupełnie jest niepożyteczne. Chciałbym być „teraz pewnym, czy jego członkowie istotnie podpadają kłątwie? „Spytaj o to Wernera. Chodzi tu o pytanie konkretne, więc każdy „teolog wiedzieć będzie, co na nie odpowiedzieć, a bądź co bądź „obojętnymi w tej kwestyi być nie możemy“. I znowu po dwóch

¹ 3 lipca 1816. — List franc.

² 21 lipca 1816. — List franc.

³ Do *Mik. Grocholskiego* 31 lipca 1816.

⁴ 29 sierpnia 1816.

„tygodniach, gdy szwagier doniósł, że Werner ostro przeciw masoneryi występuje¹: „Nie dziwuję się, iż Werner jest przeciwny „wolnomularstwu. Teorya ta, tak jak w niektórych głowach się „znajduje, piękna. Przystosowanie często niebezpieczne, a nie wiem, „czy było kiedy pożyteczne. Nie sądzę, iż w tem tak łatwo za cudzem idę zdaniem, lecz sądzę rzeczą sprawiedliwą, godną szlachetnego człowieka, nie unikać objaśnienia błędu nawet takiego, „który przez najszlachetniejsze pobudki za sobą pociągnął. Wtem „czas sam błąd zbawienne zdradza skutki, bo prawdę świetniej wykazuje“.

Historya Grocholskiego i Chołoniewskiego była historya wielkiej liczby polskich ówczesnych masonów: schwytni na lep pięknych, szlachetnie brzmiących formulek, szli na oślep w zastawione sidła, których byliby z pewnością uniknęli, gdyby im kto wytłumaczył, jakie w ustach masona mają znaczenie piękne słówka: filantropia, ludzkość, braterstwo. Chołoniewski — nauczony własnem doświadczeniem, jak takie jadem zatrute dwuznaczne słówka omamniają rozum i oszalamiają wyobraźnię — występował później przeciw nim, jako przeciw najszrońszym wrogom rodzaju ludzkiego, całą książkę napisał przeciw fałszywie zrozumianej filantropii, a na samo wspomnienie przedrzeźniającego chrześcijanizm masońskiego braterstwa, trząsł się z oburzenia. Tak dosłownie sprawdziły się jego słowa, że czasem „sam błąd zbawienne zdradza skutki, bo prawdę „świetniej wykazuje“. Obecnie, po otrzymaniu odpowiedzi Wenera na swe zapytania o wolnomularstwie, pozostały mu wprawdzie jeszcze chwilowo pewne teoretyczne wątpliwości, pochodzące z braku teologicznego wykształcenia, a raczej z paru gdzieś posłyszanych, czy wyczytanych, zupełnie niezrozumianych filozoficznych zasad, ale praktycznie zerwał stanowczo z lożą²: „To co mi Werner pisze „o masoneryi, bardzo jest dobrem. Moźnaby coś jeszcze odpowiedzieć na decyzję papieża o zgromadzeniach, które nie wiem czy „(theologicie) można potępiać, albowiem nie wiem, czy należą do „trybunału teologów. *Philosophice* i ja potępiam i już dawno nie „bywam i nie myślę bywać“.

¹ 10 września 1816. — List polski.

² 23 listopada 1816. — List polski.

Kiedy Werner listami swemi wyprowadzał Chołoniewskiego z łoży, to on tymczasem, wywdzięczając się przyszłemu Redemptoryście, nie przestawał się krzątać, aby wyjednać zakonnikom tym pozwolenie zakładania klasztorów w cesarstwie rosyjskiem, a najprzód w Janowie. Była to „ciężka sprawa!“ „Wybadałem tu grunt, „pisał wprost do Wenera¹, co do klasztoru Redemptorystów w Janowie i potwierdziłem się w poprzednio już zakomunikowanej myśli, iż w całej tej sprawie trzeba postępować wolno i ostrożnie. „Jezuici zostawili nieprzychylną ideę o wszystkich zakonach; dla „tego na pierwszym miejscu należy zapewnić i przekonać rząd, że „Redemptoryści nie staną się winnymi zarzucanego Jezuitom prozelityzmu. W tym celu niezbędnem jest dokładne sprawozdanie „o obecnym stanie tego zgromadzenia w Polsce, bo dopiero po „akuratnem zapoznaniu się z wszystkimi szczegółami, będzie można „dać odpowiedź na zarzuty, bądź ministra, bądź metropolity Sistrzencewicza. Zdaje mi się jednak, że, wezwawszy na pomoc cierpliwości i wytrwałości, wszystko będzie można otrzymać od osób „skłonnych do dobrego, byle je im wystawić pod kształtami odpowiedzialności ich umysłowi i charakterowi“. W tym celu proponował Chołoniewski, aby Redemptoryści starali się wejść w łaski ministra oświaty Galicya, żarliwego promotora Towarzystw Biblijnych, przyrzekając dawać swym uczniom do czytania odpowiednie dla ich wieku wyjątki z Pisma św. i zaprowadzając modną w tej chwili angielską metodę Lancastra, która, zastępując profesorów przez zdolniejszych uczniów, miała jak wszystkie tego rodzaju metody, swoje światła i cienie, zapalonych zwolenników i jeszcze zapaleńszych wrogów.

Nie wiemy, co Werner odpowiedział na te propozycje, same w sobie niewinne, ale które z czasem za daleko może mogłyby zaprowadzić; zdaje się, że żadnych tego rodzaju zobowiązań brać nie chciał na swą odpowiedzialność, bo w dalszej korespondencji nie znajdujemy wzmianki ani o Lancastrze, ani o czytaniu w szkołach Pisma św. Metropolita Sistrzencewicz za staraniami Chołoniewskiego, a może jeszcze i innych rozumnych katolików, wysłał porozumiewszy się z Galicynem list do O. Hofbauera do Wiednia, z prośbą

¹ 1 grudnia 1816.

o przysłanie kilku redemptorystów Niemców do Krymu w miejsce zmarłych tamże księży, pracujących w niemieckich koloniach. Chołoniewscy znów i Grocholscy tak żywo pragnęli osiedlenia się Redemptorystów w Janowie, że na chwilę była myśl, aby wicegubernator podolski wyjechał osobno w tym celu do Wiednia i tam ostatecznie ubił sprawę z O. Hofbauerem. Ale zanim myśl ta przyszła do skutku Chołoniewski wyjechał z Petersburga, a Werner zamianowany przez biskupa Mackiewicza honorowym kanonikiem kamienieckim, właśnie w tej chwili, w której po gazetach niemieckich kursowała pogłoska, że rzuciwszy sutannę, wrócił do protestantyzmu, opuścił Janów na wiosnę 1817 i podążył do Wiednia. Po usunięciu się na bok dwóch głównych promotorów założenia klasztoru Redemptorystów w Janowie, inne zamiary, plany i niepokoje pogrzebały na czas dłuższy, niełatwy ten do wykonania projekt. W parę lat później myślano znowu o sprowadzeniu Redemptorystów do Strzyżawki; Stanisław za bytnością w Wiedniu konferował w tym względzie z O. Hofbauerem, ale choć tenże bardzo chętnie na nową tę myśl się zgodził, do wykonania jej nie przyszło.

Pomyślna gwiazda zaświecić w Petersburgu nie chciała, nie otwierała się zaklęta brama świetnej karyery, nie dało się nic wykolatać dla rozwoju religijnych interesów Podola. W Janowie i Strzyżawce, uroczej majątności Mikołaja Grocholskiego, pocieszano się tem przynajmniej, że licznie zabrane znajomości w stolicy ułatwią Stanisławowi drogę przez życie a może i poprowadzą go w niedalekiej przyszłości na słubny kobierzec. Naturalnie, największa część nowych znajomości, tak w rosyjskich jak nawet w polskich domach, nie wychodziła poza granicę etykiety, lub koleżeńskich względów. Bywał czasami u Naryszkiców i Sołtyków, zaprezentował się księżnie Serra-Capreola, i starej księżnie Dołgorukiej, polował na niedźwiedzie z Galicyjczykami, chodził na operę z Tymowskim, ułatwiał pierwsze kroki świeżo przybyłym do Petersburga, Brzostowskiemu, Malachowskiemu, Kossakowskiemu, i „półtuzinowi młodzieńców „*optimae spei*, którzy tu *ob spem* umieszczenia się w dyplomacye „przyjechali, *ob spem* już tu przez kilka niedziel siedzą i *ob spem* „wyjadą nic nie wskórawszy¹⁴. Centrem nowych znajomości i już

¹ Do Mik. Grocholskiego. 2 września 1817. List polski.

nie powierzchownych przyjaźni była Rozalia Rzewuska, poważna, wypróbowana przyjaciółka, „trzecia ma siostra“, jak ją zwykł Chołowiecki nazywać, a która, z prawdziwie siostrzanem uczuciem, ostrzegła młodzieńca przed możliwymi niebezpieczeństwami, a zawsze gotowa go była wesprzeć zdrową, na religii opartą, przyjacielską radą czy pociechą. Małżonka awanturniczego Wacława Rzewuskiego, dość sama przeszła w życiu prób i cierpienie moralnych i materyalnych, aby mózż wskazać przyjacielowi, jak takie próby znosić, a nie tracić w nich ani hartu ducha, ani serca do ludzi. Z biegiem czasu przyjaźń ta, przypominająca rozmowy św. Benedykta ze Scholastyką, zmieni swą postać: Stanisław z słuchającego ucznia przemieni się w mistrza, ale moc przyjaźni i cel jej: wzajemne pomaganie sobie w służeniu Bogu pozostanie niezmiennem.

Obok Rzewuskiej i za jej pośrednictwem zawiązał Chołowiecki ściślejsze stosunki z domem Gołowinów. „Pani Gołowinowa, „brzmiał pierwszy nieco obszerniejszy biuletyn o nowej tej znajomości¹, jest kobietą zupełnie odrębnego rodzaju, ma dwie córki „brzydkie, bogate. Wszystkie trzy, kobiety pewne, bardzo utalentowane“. Drugi biuletyn, zredagowany w półtora miesiąca później był pochlebniejszy, choć utrzymany w tym samym tonie²: „Pani Gołowinowa, kobieta wielkiej miary, jest dla mnie małym Janowem. „Zajęła się mną, jak zajmuje się wszystkimi swymi przyjaciółmi. „Bardzo mi u nich dobrze, bo córki jej, arcybrzydkie, ale dowcipne i rozumne“.

Z tego rodzaju, zresztą bardzo ogólnikowych i do niczego nie obowiązujących wyrażzeń, wysnuto na Podolu wnioski, że Stanisław płynie pełnemi żaglami do małżeńskiego portu i że niebawem zamiast patentu na konsula w Ameryce, przywiezie młodą żonę do Janowa. Ale rok cały przeszedł, a stosunki z domem Gołowinów pozostały na tej samej przyjacielskiej, ale tylko przyjacielskiej stopie. „Bardzo się mylicie, moi najmilsi, odpowiedział kategorycznie „Stanisław na zrobioną sobie insynuację³, dysponując na poczekaniu „moim losem; prawda, że pani Rozalia robi co może, aby mię włączyć do grona tych zacnych ludzi, ale pomimo tego cały ten pro-

¹ 17 lipca 1816.

² 29 sierpnia 1816.

³ 10 lipca 1817 Do *Cecylii Chołowieckiej*.

„jekt buja jeszcze po obłokach przez samą wyobraźnię osnutych. „Do dziś dnia, pisał do szwagra w tydzień później¹ nie tylko się „nie zdecydował na osiedlenie się tutaj, ale nie czuję do tego najmniejszego powołania. Powiedz mi jednak na wszelki wypadek, „co o tem sądzisz, jako katolik. Polak, przyjaciel i brat“. Mikołaj nie nacierał, ale i nie odmawiał; radził tylko przyjść prędko do stanowczej decyzji, „bo zwłócząc i wahając się w nieskończoność, męczy się siebie i drugich, nie się nie robi, sobie i drugim los się zamyka“. „Boisz się, żebym nie był Ł. . . . w konkurach, odpowiedział Stanisław na te napomnienia². Próżna obawa, nie tylko za- „lechce koło serduszka, zobaczysz, jak decyzja przyjdzie prędko. „Dotąd tego wszystkiego nic niema. *Finis carminis*, godzina moja „jeszcze nie wybiła“.

I wybić nie miała, mimo że Miecznik bardzo się ucieszył na pierwszą wieść o możliwych projektach syna, i że on sam prosił Boga, aby mu dał powołanie do małżeństwa, dla zaspokojenia ojca i rodziny³. Jak zwykle w podobnych razach, były pewne przeszkody do zwalczania, a Stanisław, którego koło serduszka wcale nie lechtalo, nie miał najmniejszej ochoty z nimi wojować. „Panny choć „sobie życzą męża z naszych krain⁴, ojciec bynajmniej nie jest tego „zdania, a jeśliby się nakłonił, to tylko z powodu protekcji u góry. „Zresztą jest tu nas dużo, co się zwijamy w domu, chłopcy dziarskie i żwawe. Między innymi pułkowy adjutant Fredro i Kossakowski. Ja zaś wypadłem zupełnie z owej to taktyki rekognoskowania. Trzebaby mnie pomocnika, trzebaby mnie wolniejszej „głowy i nie mieć rozdrażnionego i zmęczonego umysłu pamięcią „dawnych głupich zalotów. . . *Finis carminis* chęci Bogu ofiaruję „w tej jak i w innych okolicznościach“.

Pociechę we wszystkich tych petersburskich zawodach, było dla Chołoniewskiego coraz jaśniej wyrabiające się, coraz wyraziściej w listach z tego czasu występujące przekonanie, że byle spełniać swój obowiązek a tak Bogu służyć, to ostatecznie mniejsza gdzie

¹ Do *Mik. Grocholskiego* 18 lipca 1817.

² 23 sierpnia 1817. Do *M. Grocholskiego*.

³ 17 września 1817. Do *Cecylii Chołoniewskiej*.

⁴ 4 października 1817. Do *M. Grocholskiego*.

i w jaki sposób, przyjdzie tę służbę odprawiać. Pofne, długie pogadanki z Rzewuską, wpływ De Maistre'a, niewątpliwy, ale którego niestety! nie jesteśmy w stanie bliżej określić, ascetyczne rozmowy z księżmi Nicolasem i Mauguin, listy Wenera, Grocholskiego i siostry Cecylii, zdążającej coraz goręcej i jawniej do wyłącznego poświęcenia się Bogu w życiu zakonnem, wreszcie sameż doznane zawody, coraz bardziej oczyszczały serce, wznosiły je do nieba, i w religii kazały szukać wyjaśnienia wszystkich zagadek, balsamu na wszystkie smutki. Patrząc na świat z wyższego stanowiska, ze spokojem zapatrywał się na przyszłą swą karyerę, uważając ją jako środek, nie cel. „Jeśli mi dadzą wybór, czy wyjechać, czy dostać „stałe zajęcie w Petersburgu, to przedewszystkiem poradzę się brata, „wiarza, ścisłych mych obowiązków, troszkę mego zdrowia — a potem dziej się co chce“¹. „Kto silnie wierzy“² — odsłaniał siostrze „stan swej duszy i kreślił przekonania, do których dochodził — „w istnienie wyższego nadprzyrodzonego porządku, kto zdolniejszy do „głębszego żalu za swe przewinienia, ten też zdolny do silniejszej „nadziei. Uczucie to zbadane z prostotą i nabożeństwem musi się „przedstawić naszym oczom, jako naturalny rezultat poprzedniego. „Cierpienia prowadzą chrześcijanina do nadziei, bo i czegożby się „mógł spodziewać, gdyby nigdy nie cierpiał“. W jednym z listów żartował wprawdzie, że nie wielka sztuka i zasługa chwycić się religii i nabożeństwa, kiedy to teraz w Petersburgu w modę weszło: ale nabożeństwo — które pobudzało do podobnych myśli, a na życie tak wysoki, chrześcijański dawało pogląd, i tak po chrześcijańsku uczyło znosić cierpienia — było czemś więcej, niż wynikiem przemijającej mody.

W połowie września 1817 wrócił Capo d'Istria z kapiel do Petersburga, i tą razą zdawało się, że się wreszcie los Chołoniewskiego stanowczo rozstrzygnie. Minister z nadzwyczajną uprzejmością ofiarował mu urlop na kwartał, dla załatwienia familijnych interesów, a później obiecał go przyłączyć do poselstwa, do którego sam zażądał. Z takimi wiadomościami stanął Chołoniewski pod koniec grudnia w Janowie, ale ani ojciec, ani szwagier, ani

¹ Do *M. Grocholskiego* 19 lutego 1817.

² Do *Cecylii Chołoniewskiej* 10 września 1817.

nikt z bliższej rodziny nie zapatrywał się zbyt różowo na obietnice, na których już tyle razy doznano zawodu i po dokładnej rozważce uradzono, że nie ma po co chwilowo wracać do Petersburga, aby znów przez długie miesiące kolatać u wszystkich drzwi i znów prawdopodobnie niczego się nie dokołatać.

Do wzięcia urlopu przyczyniło się kilka ważnych okoliczności. Najpierwszą w porządku czasu były kijowskie kontrakty, na które ojcu trudnoby się było wybrać, ale najważniejszą, choć przy wyjeździe z Petersburga przez mgłę tylko przewidzianą było powołanie siostry Cecylii do życia zakonnego, której ułatwić należało przeprowadzenie powziętego postanowienia a ojcu osłodzić boleść rozstania się z córką. Cecylia od dziecka okazywała szczególną skłonność do modlitwy, do wszystkiego co z służbą Bożą miało styczność: dzieckiem stroiła ołtarzyki i zachęcała rodzeństwo do urządzania uroczystych procesyj; później przestała się ubierać w papierowe stuły i ornaty, ale za to utrzymując wzajemną harmonię w domu, pielęgnując ojca w coraz częstszych słabościach, słodyczą i pokorą jednała sobie miłość wszystkich i wysługiwała sobie welon zakonny, który jakby od samej kolebki stał się ideałem najgorętszych jej marzeń i pragnień. Stanisław umiał ocenić zalety siostry: radził jej się nieraz; pytał o zdanie o tej lub owej osobie, „bo moja siostra „umie doskonale ocenić zalety drugich, a z zadziwiającym rozsądkiem rozpoznaje piękne dusze“¹; znając niemniej sam piękną jej duszę, nie zdziwił się też zbyt, gdy przyjechawszy z Petersburga do Janowa, przekonał się, że siostra niemal zupełnie już jawnie, a coraz goręcej wyrывa się do klasztoru.

Powołaniu temu w zasadzie nie mógł być przeciwny: na to zbyt po chrześcijańsku był wychowany, zbyt dobrze znał a teraz odświeżył sobie w pamięci katechizmowe zasady; zostawało jedno tylko pytanie do rozstrzygnięcia, czy to istotnie głos Boży, czy może tylko przemijająca gra młodocianej wyobraźni? W Janowie, ówczesnem zdaniem jego, wszystko powleczone było zbyt może klasztornym pokostem; z świętami tamtejszemi duszami mówić nie można było jak tylko o wieczności; niektóre pobożne praktyki zbyt były wyśrubowane; służąc Bogu nie myślano dosyć, że służba

¹ Do *M. Grocholskiego* 21 lipca 1816.

ta odbywać się zawsze powinna z wolnością i radością¹. Czyż więc może, pytał się Stanisław, pociąg siostry do zakonu nie jest tylko niezdrowym owocem tego życia w pól klasztornej; czy nie ludzi samej siebie, sądząc, że klasztorna krata nie będzie miała innych kolców prócz tych, z którymi już w Janowie się zapoznała. „Cesia „myśli o odsunięciu się od świata². Zasada sama w sobie dobra, „ale trzeba przekonać się, do jakiego stopnia Bóg zechce zasadę tę „zastosować do Cesi. Tymczasem, można pracować nad sobą samym wszędzie, gdzie jest krzyż, ołtarz i ofiara. Otóż moja zwrotka!“ Po wyczerpujących przez długie miesiące prowadzonych, prawdziwie braterskich rozmowach z siostrą, zwrotka ta przekształciła się w inną: trzeba pracować nad sobą przy tym ołtarzu i taką Bogu składać ofiarę, jakiej On sam od nas zażąda.

Lecz nie dość powiedzieć sobie: wstąpię do zakonu; należy jeszcze wybrać odpowiedni zakon i klasztor, i w tym właśnie względzie Cecylia, znająca zakony niemal jedynie z książek i opowiadań, potrzebowała najwięcej wskazówek i pomocy. Pełne zaparcia, oddane wyłącznie obcowaniu z Bogiem, niemal pustelnicze życie Karmelitanek, najbardziej przemawiało w tej chwili do jej pragnień; nie znając jednak dokładnie ich reguły i codziennych zatrudnień, trudno było stanowczo się zdecydować. Postanowiono tedy na domowej naradzie, że Stanisław wystarać się powinien o przyłączenie do poselstwa w Paryżu, a przypatrzwszy się tam dokładnie życiu Karmelitanek i innych zakonnicek, zda siostrze szczegółową relację, wedle której będzie mogła kierować przyszłe swe kroki. Ojciec bez trudności zgodził się na tę myśl, która synowi zapewnić mogła karierę, zwlekając wstąpienie córki do zakonu na długie jeszcze miesiące, a ostatecznie do niczego go nie zobowiązywała. Sam więc rachując zwłaszcza na protekcję W. księcia, którego niegdyś w Janowie u siebie gościł, naglił syna, aby czempredzej wybrał się do Warszawy, dokąd w marcu przybyć miał cesarz wspólnie z Capodistrią, i raz wreszcie dowiedział się jasno, czy chcą go, czy nie chcą użyć w dyplomatycznej służbie.

¹ Do *M. Grocholskiego*. Warszawa 23 marca N. S. 1818.

² Do *Mikołaja i Emilii Grocholskich*. Janów 26 listopada 1817. — List francuski.

„Stanałem szczęśliwie w Warszawie, donosił Stanisław ojcu¹,
„w sobotę, drugiego zrana, tj. 2/14 marca; podróż rozpędziła żółć;
„drogi bezecne były powodem wynurzenia jej obficie, lecz moralnie.
„Kwaterna z łaski Tymoskiego, jak na ten czas i tania i dobra. Je-
„dna karetka kosztuje miesięcznie 80 zł. Warszawa wybielona; place
„rozprzestrzenione, Zygmuntowski osobliwie; całe linje domów wa-
„lono, płacąc podług wszelkiej słuszności właścicielom i kazano
„gdzieindziej stawiać. Dotąd co do mego przyjazdu; następnie ra-
„port faktów tak publicznych, jak i partykularnych od czasu mego
„przyjazdu. W nocy z piątku na sobotę o godzinie 5 zrana zjechał
„N. Pan do stolicy swojej królewskiej; tego dnia prezentowali mu
„się tylko naczelnik z Wielkim księciem i niektórymi generałami.
„W niedzielę zrana pokoje były przede mszą, na których my dwo-
„racy paradowaliśmy. N. Pan nie dawał tego dnia audyencyi, jak
„tylko ministrom i senatorom. Reszta urzędników miała go szczę-
„ście oglądać i powitać na przechadzce do kaplicy. Ponieważ podług
„obydwóch kalendarzy już się post zaczął, albo kończy, żadne bale,
„ani fety nie mogą mieć miejsca w tym tygodniu. Skończył się
„więc ten dzień na assablach u naczelnika. W poniedziałek zrana,
„przygotowawszy list wiadomy papie, udałem się przed ósmą zrana
„do Monseigneur (Wielkiego księcia) lecz go już nie zastałem w pa-
„łacu. Ostrzegł mnie Kicki, adjutant, że o samej siódmej trzeba się
„tam znajdować. Powtórzyłem więc moją wizytę we wtorek. Przy-
„jechawszy kilku adjutantów rady zaciągałem względem oddania
„listu, — i czy nie lepiejby było zapytać się wprzód Monseignura
„o pozwolenie w tej mierze. Po konsultacyi z generałem Korutą
„upewniono mię, iż przy prezentacyi, kiedy W. książę przystąpi do
„mnie, bezpiecznie można oświadczyć, od kogo list i wręczyć go
„Jemu“.

„Nie od rzeczy tu jest nadmienić, że cesarz tegoż dnia uświe-
„tnił dwa pierwsze półki gwardyi polskiej, mianując się ich naczel-
„nym dowódcą, tak jak półków gwardyi starej w Petersburgu,
„i że nad innemi dwoma półkami, podobnież swego brata nazna-
„czył naczelnym szefem. Z tego powodu mnóstwo oficerów przyszło
„z powinszowaniem do W. księcia, który wesół wszedł do sali.

¹ *Varsovie* W. Piątek 7/19 mars 1818. — List polski.

„Oficerowie w linii stali: ja przy końcu. Podziękowawszy im, poleciał prosto do mnie. Oświadczyłem mu, *que mon père, qui a eu le bonheur de posséder Votre Altesse Impériale dans sa maison pendant quelque temps, a pris la liberté de me charger d'une lettre pour V. A.*, na co on grzecznie odpowiedziawszy, zażądał listu, który ja spiesznie wręczyłem. Stał obok mnie młody X. Wiaziemski, także dworak. Gadając z nim kilka minut W. książę rozpieczętował przez ten czas list papy. Potem nagle nas rzucił, a oddawszy kopertę oficerowi, na warcie u drzwi stojącemu, poszedł opatrywać żołnierzy, którzy w dalszych salach stali. W kilka minut potem widziałem go, równie spiesznie powracającego, obok nas, przez ten sam pokój, w którym z nami rozmawiał. Trzymał list w ręku, zdawał się go z atencją czytać, bo nie patrząc się na otaczających, ciągle czytając wrócił do swoich pokoiów. Tu się zakończyła audiencya, bo wkrótce parada się zaczęła; wszyscyśmy się rozjechali. *Tempus edax rerum* okaże skutki tej mojej relacyi“.

„Jeszcze w niedzielę o drugiej popołudniu dano nam znać, że nasz hr. Capo d'Istria przyjechał. Polecieliśmy do niego z Sobolewskim młodym, który także w jego biurze pracuje. Przyjął nas grzecznie, oświadczył mnie zaraz, że mnie tu będzie zajmował. Jakoż nad moje spodziewanie, drugiego dnia od 9 zrana do 2 popołudniu zaciągnięto mnie do roboty. Nie mogę jednak, jak z tego się cieszyć, bo komplet w biurze bardzo przyjemny. Prócz nas kilku rosyjskiej służby, jako to: Müller, Sallen, ja i Stroganof, mamy kilku Polaków młodych, co już byli w Petersburgu, a to Sobolewski młody, i Małachowski młody. Nic nie mogę jeszcze donieść o mojej determinacyi nadal. Jeśli bowiem ciągle mną tak się zechce trudzić hr. Cap., to zupełnie jego opinii zostawię moje nadal przeznaczenie. Wiem zaś pewnie, że z cesarzem będzie Cap. w Kiszniewie, Odessie etc. Sejm zacznie się 15/27 Marca; zakończy się 15/27 kwietnia. Cesarz 18/30 kwietnia ma wyjechać na Podole. Jeszcze po domach tutejszych nie miałem czasu być, bo rano całe w biurze, a po obiedzie nieco obchodzić trzeba Niedzielę świętą“.

Po kilkunastu dniach, kiedy Sejm na dobre rozpoczął roboty, Chołoniewski zaczął dołączać do swych listów najświeższe warszawskie gazety, prawdziwy specyał dla Podolaków, żądnych nowin,

a zbyt dotychczas w tym względzie nie rozpieszczonych. Spuszczając się więc na gazety sam krótko tylko i nawiasem wspominał o obradach sejmowych, w krótkich biletach pisanych pośpiesznie, ale wskazujących na wrażenie ówczesnej chwili, na zainteresowanie się ogólnie publicznymi sprawami. „Ukradłem nieco poranku biurowi „przeznaczonego, pisał do szwagra¹; przyszedłem wcześniej do kancelaryi, aby od twego listu zacząć mą pracę. Posyłam ci mowę „N. Pana i pismo peryodyczne Koźmiana o sejmie. Mowy Mostowskiego tak egzemplarze rozebrane, że dopiero za parę dni będę „ją mógł dostać. Dopiero jedną sesję sejmową mieliśmy prócz o „twarcia, a która trwała do białego dnia, tak, iż W. ks. Konstanty „wracając z wieczoru u p. Stanisława Potockiego, widząc jeszcze światła w izbie poselskiej, poszedł na obrady, przy zagajeniu których „zrana się znajdował“.

Kiedy Sejm noc w dzień przemieniał, w biurze, nie chcąc zostać w tyle, trzeba było przynajmniej przenieść pracę z rannych na południowe godziny; zresztą w ten, czy w ów sposób czas mijał prędko, zajęcia nie brakło, ciekawość i różnorodne wzniecone nadzieje miały ciągle nowy pokarm przed sobą. „Zrana, brzmiał następny z rzędu biuletyn², włóczę się po kościołach; potem do biura, „gdzie często do wieczora trzeba makiem siedzieć. Mamy tu awan- „taż (tj. my biurowi dworacy), że nas do stołu Wołkońskiego „w zamku zapraszają; kuchnia wyborna, a co najdogodniej, że pod „jednym dachem z biurem. Jak tylko momencik wolny, leci „się na obrady, które także obok tego biura, które tak w tej „mierze jest topograficznie szczęśliwie położonem, iż z jednej strony „okna jego na senatorską izbę wychodzą, z drugiej przez sień tylko „sąsiaduje z poselską. Szwęda się, wypytuje i błaznuje człowiek, „ile można, potem znowu do roboty. Wieczór wcale wolny; to albo „u namiestnika, albo u Stanisława Potockiego, albo u Nowosilcowa; „albo u pani Rozalii“. Naturalnie zabawę i przyjemną naukę trzeba było czasem okupić nudami: „Nieustannie tu mamy bale³, lecz „dla mnie, który mało osób znam zbliska, a o których znajomość

¹ Warszawa 19/31 marca 1818.

² Do *M. Grocholskiego* 15 marca 6 kwietnia 1818.

³ Do *M. Grocholskiego* 8/20 kwietnia 1818.

„starać się, będąc na wylocie, roztropność nie każe, wszystkie podobne zgromadzenia są tylko ciekawe, lecz niezabawne“.

Mniej jeszcze było zabawnem, że mimo grzeczności, jakich Chołoniewski na każdym kroku doświadczał, mimo, że go w biurze sumiennie pracą zajmowano, niewiele zbliżał się do głównego celu, dla którego do Warszawy przyjechał. Widząc, że dłuższe zwłoki, same kłaniania się, ściskania ręki i najskrupulatniejsze nawet pisanie sążnistych referatów do niczego nie doprowadzą, raz jeszcze stanowczo i bez ogródek postanowił rozmówić się z Capodistrią o swej przyszłości¹. „Najprzód robił niejaki trudności co do ambasadary paryskiej, ale kiedy mu przedstawił, że interes familijny zmuszają mnie prosić o pozwolenie udania się do Francji, i że w celu złączenia tych obowiązków z obowiązkami służby rządowej, proszę go o miejsce przy ambasadzie paryskiej, zapytał mnie: Jakie to interesa? Nie zawahałem się odpowiedzieć mu, choć na to nie byłem przygotowany, o pobożnych zamiarach mej siostry: wystawiłem, że we Francji najlepiej mógłbym się rozglądnać, jak te zamiary do skutku przyprowadzić, i że skoro ojciec nie jest wręcz tym zamiarom przeciwnym, to jest moim obowiązkiem ułatwić siostrze wszystkie środki do pójścia za swem powołaniem. Zdawało mi się, że zgadzał się na moją argumentację; kazał mi napisać list do cesarza, który sam mu obiecał przedłożyć, skoro za pięć dni powróci z Kalisza do Warszawy. Aż do tej chwili jestem w zawieszaniu co do ambasadary, bo co do pozwolenia na podróż do Francji, tego nie mogą mi odmówić“.

Jakoż nie odmówiono, ale wręczając paszport do Francji nie wspomniano ani słówkiem o przyłączeniu do ambasadary. Stanisław zamyślał już w pierwszych dniach czerwca puścić się do Paryża; przyjechawszy do Janowa spostrzegł wnet, że na kilka przynajmniej miesięcy będzie jeszcze musiał tę podróż odłożyć. W czasie jego nieobecności nadeszły z Paryża reguły i dokładny opis codziennego trybu życia Karmelitanek, a po przegłądnięciu tych dokumentów zawyroковано jednogłośnie i sama Cecylia, choć niezupełnie jeszcze przekonana, uznać musiała, że Pan Bóg nie dając jej zdrowia ani jakiegoś szczególnego wyraźnie z nieba płynącego zapalu do podję-

¹ Do *M. Grocholskiego* 1/13 kwietnia 1818. — List francuski.

cia tak wielkich ostrości, nie wola jej do tego zakonu. Niemal jednocześnie otrzymała Cecylia bardzo pochlebne informacye o Wizytkach wileńskich, a obraz patryarchalnego Bogu oddanego ich życia tak miłe zrobił na niej wrażenie, iż odtąd w tę głównie stronę popłynęły jej myśli i pragnienia. Wobec takiego usposobienia siostry, ustępował na bok pierwszorzędny cel podróży do Francyi: natomiast myśleć należało o zupełnem zjednaniu ojca dla projektów siostry i odprowadzeniu jej do Wilna, gdzie przypatrzwszy się nie tylko Wizytkom, ale i innym żeńskim klasztorom, mogłaby w jednym z nich, bliżej rodziny i w ojczywym kraju, spróbować swych sił i przekonać się, czy to głos i wola Boża nagli ją do celi klasztornej.

W parę dni po powrocie Stanisława z Warszawy powzięto stanowczo ostatnią tę decyzję. Ojciec¹, „po powtórzeniu próśb“ Cesi i poparciu ich przez nas, zezwolił prawie zupełnie, choć z płaczem, na jej „projekta życia zakonnego“. W gruncie rzeczy miecznik nie tracił nadziei, że córka, znalazłszy się po raz pierwszy dłuższy czas za domem, zatęskni za rodziną i powróci do niej po paru tygodniach, a może i dniach; liczył również na perswazye siostry swej, księżnej Kolety Czetwertyńskiej, z którą Cecylii polecił się w Grodnie zobaczyć; a tak ostatecznie widząc, że dłuższe przewlekanie bardziej by tylko mogło wzmocnić upór córki, zgodził się, choć z wielkim żalem, „z ciężkością i po gwałtownej walce z własnem sercem“, na podróż jej do Wilna.

¹ Do *M. Grocholskiego*. Janów, 10 maja 1818.

III.

Zakonne powołanie siostry Cecylii.

W sobotę d. 22 czerwca późnym wieczorem, wyruszyli podróżni: Cecylia, odprowadzający ją do samego Wilna Stanisław i Emilia, ładownym powozem na tę odrębnego rodzaju wyprawę po złote runo¹. Pierwsza stacya przypadła na Berdyczów, gdzie Cecylia widzieć się jeszcze chciała ze swym spowiednikiem, przeorem Karmelitów. „Gdy siostra z księdzem naradzała się o przyszlą „swoją wokacyę, najwięcej nastawał na to, aby — ponieważ tyle „zrządzeniem Boga wymogła na czułości ojca i uchylila trudności — „nie chciała skwapliwością szkodliwą zagrozić sobie sposobności „rozpatrzenia się dostatecznego we wszystkich panieńskich klasztorach w Wilnie będących. ... Najlepszą miały reputacyę Wizytki, „lecz nie zawadzało i drugim się przypatrzeć. Dla uniknięcia zaś „różnych uprzedzeń, radziłem, aby tak w Grodnie u Ciotki, jak „w Wilnie, nie oświadczać się z żadnem innem przedsięwzięciem „jak tylko oglądania wszystkich ogólnie domów panieńskich... „Po obiedzie szczęśliwie ruszyliśmy z Berdyczowa. Przeor poczciwy, „dawszy błogosławieństwo, dał jednej i drugiej siostrze relikwie „św. Teresy“.

¹ Cała ta podróż i pobyt w Wilnie opisany w osobnym dzienniczku, bardzo starannie po polsku z dnia na dzień pisanym. Z tego dzienniczka wyjęte są odnoszące się do tego czasu cytaty.

Jednostajnie toczyła się droga aż do Brześcia, przeplatana nieuniknionemi kłopotami z końmi pocztowemi, których nie zawsze na czas można było dostać. Po tygodniu podróży ujechano za ledwie 34 mil, a mimo, iż Stanisław bardzo energicznie zapowiedział damom, „iż wypada koniecznie raniej wyjeżdżać, dla tego zaś „wcześniej zasypiać“, nie zdaje się, aby te jego roztropne napomnienia bardzo przyspieszyły jazdę. W Brześciu zatrzymano się znowu blisko tydzień dla słabości Emilii. „Układamy sobie z siostrą, zapisuje Stanisław pod datą 3 lipca, objechać wszystkie klasztory, tak męskie jak i panieńskie. Są tu prócz katedry i Jezuitów, które to kościoły popaliły się, Bernardyni, Dominikanie, Bazylianie, Trynitarze, Augustyianie; panieńskie dwa klasztory: Bernardynki i Brygitki. Życzyłem sobie z wielu przyczyn, aby Cesia panieńskim klasztorom i tu przypatrzyła się, — bo sądzę, że nie może dość sama przez się przypatrywać się wewnętrznemu, rzeczywistemu ich stanowi w tym kraju i w teraźniejszym wieku“. Stosownie do tego programu zapoznał się Stanisław z gwardyanem Bernardynów, który, jako należącego do rodziny fundatorów tego klasztoru, bardzo uprzejmie go przyjął, i dał, o ile można, najdokładniejsze informacje o Bernardynkach miejscowych. Nazajutrz, 4 lipca „zawiózłszy Cesię do Bernardynów na mszę, wprowadziłem potem do furty Panien Bernardynek. Już była uprzedzona Panna Starsza. Dano nam klucze do parlatoryum. Izba dość obszerna; przedzielona kratą do sufitu; siostra na wilgoć się skarżyła. W kilka minut pokazała się Matka Wielebna. Wolnym weszła krokiem, staruszka, twarzy rumianej i czerstwej. Oświadczyliśmy jej powód naszej wizyty. Zrazu niezrozumiawszy nas dobrze, sądząc, że się wpraszamy na mieszkanie do klasztoru, zaczęła się „pomału wymawiać; aleśmy ją w tej mierze wnet uspokoili, a ona „też siostrę za klauzurę wpuściła. Przyznała mi się ta potem, że „poniewolnie wzdrygnięcie uczuła, gdym wychodził, zostawiając ją „tylko z Francuską, służącą. W kilka godzin wróciła do domu „z wesołą twarzą: opowiadała nam sposób przyjęcia i cały porządek klasztorny. Panna Wielebna z familii Przeńska, swoim kosztem „klasztor wybudowała; przełożoną już od 46 lat zostaje, bo choć „wybory co trzy lata, zawsze na nią pada wybór. Wszystkie zaś „zakonnice przez nią już przyjęte, lecz siostra przyznała się, że

„staruszka, choć przyjemny zdawała się mieć charakter, bardziej
„wydawała się, jak obywatelka zarządzająca domem własnym, niżli
„jak zakonnica, piastująca urząd przełożonej z wyboru, a w istocie
„nie różniąca się od innych zakonnice, jak tylko ściślejsem zacho-
„waniem reguły. Tymczasem cela staruszki wygodna; łóżko z fi-
„ranką; zresztą brudy w całym klasztorze. W refektarzu wszystkie
„razem jedzą prócz Wielebnej Matki.

5 lipca. Piątek. „Zrana posłałem służącego, prosząc PP. Bry-
„gitki, aby siostra mogła je odwiedzić. Chętnie zezwoliły na to.
„Ponieważ blisko stacyi był klasztor, zaszliśmy do niego piechotą.
„Powierzchnowa budowla nędzna, okazała się siostrze daleko po-
„rządniej, jak u Bernardynek. Przyjęła ją u furty Furtyanka; od-
„prawiwszy mnie, siostra była z tą Francuską, co i wczoraj. Ba-
„wiła tu kilka godzin; więcej jej się podobał ten klasztor ze strony
„czystości i porządku zakonnego. Przeorysza dożywotnia Bielska.
„Klasztor ten uboższy od Bernardynek. Panny te zachwalały Ber-
„nardynki, które im tej samej nie oddawały sprawiedliwości. Sio-
„stra nakoniec konkludowała, że pomimo chęci swoich, jeśliby inne
„zakony podobne tym były, musiałaby się wstrzymać z zamiarem
„swoim...“

7 lipca. Niedziela. „Wyjechaliśmy z Brześcia po południu;
„przez noc całą nie zatrzymywaliśmy się.

8 lipca. Poniedziałek. „Ku południowi, gdy się nam koło
„psuć zaczęło, na obiad, na stacyi blisko Różannej zatrzymaliśmy
„się... W tem miejscu nadybaliśmy Konstantego Czetwertyńskiego¹,
„który na Wołyń jechał imieniem rodzeństwa dla objęcia części
„należącej się sukcesji po stryju Gabryelu. Mocno się ucieszyliśmy
„z tego trafunku. Siostróm doniósł, że nas *ma Tante* spodziewa się
„po odebraniu listu Papy. Nic im nie wspomniał o zamiarze naszej
„podróży. Gdy go wziął na stronę, przyznał mi się, że o wszy-
„stkiem wie i z żalem o tem gadał. Rozpowiedziawszy mu w krót-
„kości, jak się rzeczy miały, nadspodziewanie rozbrojone były jego
„uwagi. Przyznał się, iż sam mówił matce, że mu się nie zdaje,
„aby ona mogła co wymóżyć na Cesi; po nadaremnych ojca usiło-
„waniach w tej mierze, zalecał mi, abym jej nie dał rozmawiać

¹ Syn księżnej Kolety, rodzony brat Gustawa Czetwertyńskiego.

„z pewnym księdzem Orlikiem, który u nich przesiaduje, a od „którego, mówił mi, trzeba aby się strzegła, bo to ksiądz „prawdziwie i głęboko nabożny¹.

10 lipca. Środa. „Po krótkim popasie, o dziesięć wiorst od „Grodna, gdzie się siostry przebrały, zajechaliśmy wieczorem szczę- „śliwie o godzinie 7, wprost do domu księżnej... Oddała nam listy „od ojca, które na nas tu czekały. W tych pisał ojciec do mnie, „a do sióstr przez domowych, aby Cesia się dała namówić do po- „wrotu. Lecz to nie było pisane w sposobie rozkazującym, lecz „perswazyi i prośby, przytem i obligujący list w tej mierze do „ciotki. Ta mię wzięła na stronę, aby się o wszystkim dowie- „dzieć. Przyznała mi się, że mało nadziei pokłada w swoich uwa- „gach, kiedy ojca nie pomogły. Kiedy jeszcze dowiedziała się, że „już i plenipotencyę i instrukcyę mnie dał ojciec, zdziwiła się, że „się spodziewał od niej rady jakowejś w tak daleko już zaszłym „interesie.

11 lipca. Czwartek. „Z rana Lery² dowiedziawszy się przeze- „mnie o całym stanie rzeczy, przyznał iż, kiedy ojciec nie zabronił „z początku córce wiadomego projektu, niepodobna teraz niedozwolić „jej doświadczyć nowego sposobu życia, lecz, że z wielką ostrożno- „ścią trzeba postępować. Przytem wszyscy się zgadzają na to, że „klasztor Wizytek w Wilnie bardzo przykładowy i z szanownych „złożony osób. Córka Szadurskiego wstąpiła do niego. Jeszcze przed „piętnastu laty miała to na myśli i dla uskutecznienia jej nie cze- „kała, jak tylko dokończenia edukacyi sióstr, którą się trudniła. „Ojciec, szanowny wielce mąż z swojej świątobliwości, był jednak „z początku przeciwny temu zamiarowi. Nakoniec przystawszy nań, „przytomnym był wzięciu sukienki i sam niezmiernie poruszającą „miał mowę. Dużo mnie Lery doniósł szczegółów o Petersburgu...

12 lipca. Piątek. „Ciotka usiłuje Cesię odwrócić od jej pro- „jektów: ta jej daje swoje argumenta. Listy piszemy do Janowa. „Ja odpowiadam, że nie odebrawszy wyraźnego rozkazu zostawienia „Cesi, nie mogę jej odmówić dalszej podróży, po próżnych ciotki

¹ Słowa podkreślone w rękopiśmie.

² Włodzimierz Józef Czetwertyński, pasierb księżnej Kolety, ciotki Stanisława, zrodzony z Kampenhausównej.

„uwagach. Decydujemy się jednak czekać jeszcze na następującą „pocztę; — pomyślniejsze może odbierzemy nowiny, a przynajmniej „bardziej jasne...

16 lipca. *Wtorek.* „Na mszy u Dominikanów... Z rana siostry oświadczyły ciotce, że wyjadą we środę. Każda z obu stron „użyła argumentów dla poparcia swej sprawy. Ciotka nie mogąc „zaręczyć, że gdy się w jej domu przez zimę zostanie, na wiosnę „swoją projekt będzie mogła skutecznie, słabo się jej odjazdowi „opierała. Zalecała jej mocno, aby, gdy się źle znajdzie w klasztorze, zaraz o tem dała jej wiedzieć.

17 lipca. *Środa.* „Z rana odebraliśmy listy z Janowa. Podobnie użalania się i perswazyje, jak i w pierwszym liście, lecz nieco „wolniej. Już w nich ojciec dorozumiewał się, że jesteśmy w Wilnie; zalecał aby i tam po rozpatrzeniu się w klasztorach, skłaniać „siostrę do powrotu... Na obiedzie był wicegubernator Andrzykiewicz z żoną, która bardzo piękna. Ten nam potwierdził nowiny „o siedmiu namiestnikostwach. W Wilnie ma być stolica z sześciu „polskich prowincyj złożonego namiestnikostwa, na których czele „W. X. Mikołaj jest wyznaczony... Mówią, że na wyjeździe cesarza za granicę, rząd nowy ogłoszonym będzie. Andrzykiewicz Le- „remu przyznał się, że w Łoży w Grodnie chciano podobne propo- „zycyje, jak i w Wilnie robić, co do uwłaszczenia chłopów; że „w Łoży w Wilnie zaproponował jeden aby na urzędy BB.. byli „tylko wybrani; że jakoby W. Wschód.. Warszawski śmiał do- „praszać się cesarza, aby Petersbur.. od niego zawiśł. Jakoby ce- „sarz miał zakupić w kraju polskim dóbr za 16 milionów, aby je „zasiedlić wojskowemi koloniami, podobnie jak stepy“.

W trzy dni później 20 lipca stanęli nasi podróżni pod bramami Wilna. Stanisław wyprzedził siostry o parę stacyi, aby poszukać dla nich wygodnej kwatery; ale zaledwie miał czas rozglądnąć się po mieście, gdy nadybał go kozak księcia Lubeckiego, „dono- „sząc, iż tu od trzech dni sztafeta na mnie czekała z Janowa, że „chcieli na pocztę ją już zwracać, że książę Lubecki, który tu dla „zdrowia żony swojej od niejakiego czasu przebywa, wstrzymał ją „do naszego przybycia, o którym był uwiadomiony przez przejeź- „dżającego Klusowicza. Mocno mię ta nowina zdziwiła i zmieszła: „lękalem się, czy nie nieszczęściu sztafetę tę przypisać... Sztafeta

„była posłana dla tego najprędzej, aby jeszcze Cesię perswazyą
„odwrócić od przedsięwzięcia. Jędrzej w liście swoim, pisany niby
„imieniem ojca, zdaje się nakazywać powrót Cesi i nas o to zaklina.
„List przeciwnie papy zdaje się tylko tłumaczyć i że tak powiem
„łagodzie wyrazy Jędrzeja, przypisując je jego smutkowi. Sam zaś
„na poprzednich przestaje uwagach i perswazyach, bez żadnego
„wyraźnego rozkazu. ... Siostry o 9-ej przyjechały szczęśliwie 20
„lipca, w sobotę, czwartą po sobocie, dniu wyjazdu z Janowa...

22 lipca. *Poniedziałek.* „Księżna Lubecka z mężem do nas
„przyjechała. We wszystkim siostry objaśniła i natychmiast pod-
„jęła się zawieść je do Wizytek. ... Oddałem wizytę X. D... za-
„chwalonemu spowiednikowi u Dominikanów. Długo mi rozprawiał
„o massonerii, jej sekretach bezbożnych i prześladowaniach, które
„od nich ucierpiał, gdyż za kazanie im przeciwne przez X. Siostrzen-
„cewiczka został strofowany. ... Cesia na spacer karetą pojechała;
„ja na teatr. Dwa słowa operetkę dano, w której p. Ledochow-
„ska z Warszawy popisowała się. Za powrotem do domu zasta-
„łem i Emilkę, która bardzo była zbudowana Wizytkami, zwłaszcza
„MM. Husson i Żabą.

23 lipca. *Wtorek.* „Z rana wizytę oddaliśmy Lubeckim; póź-
„niej byliśmy wszyscy troje u Wizytek. Siostry poszły za kratę;
„kieni wyszła do mnie. Staruszka z familii Żabów. Długo mnie
„rozprawiała o prześladowaniach tego klasztoru podczas rewolucyi.
„Mieszczka je zafundowała; klasztor liczny i złożony z familiantek.
„Fundusz nie wielki z jednej wioski składający się, za Katarzyny
„był im odebrany; przez Pawła własnoręcznem pismem przywró-
„cony. Poniatowski król, jadąc do Petersburga, obiecał im wyrobić
„kapitał na utrzymanie pensyi na dwanaście panien. Z mojej strony
„w krótkości opowiedziałem im zamiary Cesi i chęci papy i jakie
„mam w tej mierze od niego zlecenia. Po obiedzie siostry wizytę
„oddały Karmelitankom. Przyjęły je tylko u kraty, nie mogąc bez
„pozwolenia zwierzchności duchownej za kratę puszczać, nawet ko-
„biety. Mniej się siostrze ten klasztor podobał, niżli Wizytki,
„u których M. Husson, Francuska; przełożona Żaba i panna Sza-
„durska w nowicyacie będąca. M. Żaba zaproponowała, aby siostra
„dla lepszego rozpatrzenia codziennie dojeżdżała, lecz życzyła sobie
„przytem, aby administrator był o tem uwiadomiony. Przez ten

„czas oddałem wizytę p. Malewskiemu, rektorowi Uniwersytetu, „dawniejszemu mojemu profesorowi prawa, który mnie bardzo grzecznie przyjąwszy, oświadczył, iż z przyjemnością każe nas po całym Uniwersytecie oprowadzić i siostrze wszystko godne widzenia pokazać. Obydwaj Śniadeccy z przyczyny czasów wakacyi powyjeżdżali na wieś.

24 lipca. Środa. „Zrana siostra powtórnie pojechała do Wizytek. Pierwszą razą była strwożona; teraz zaczyna się bardzo z nimi cieszyć i już o Karmelitankach nie myśli. Ja udałem się powtórnie do Karmelitów, gdzie u Ojca spowiednika Panien raz byłem, od którego mało co, albo tak jak nie dowiedziałem się. Teraz nie zastawszy go, udałem się do przeora, który także nie wiele mógł mi powiedzieć o wewnętrznym porządku, gdyż prócz wizyty, nie może za kratę wchodzić. Znalazłem u niego księdza z kancelaryi administratora; obydwaj na pochwałę Wizytek zgodzili się...

25 lipca. Czwartek. „Pojechałem do administratora dla zawiadomienia go o zamiarach siostry. Ks. oficyał Cywiński rozśmieszył mię perypatetyczną wymową o wokacyach; uprzejmością pocieszył. Obiecał poznać się i pomówić z siostrą, przytem dał jej pozwolenie odwiedzać za kratą Wizytki i Karmelitki.

26 lipca. Piątek. „Tego dnia zrana odwiedził nas rektor Malewski. Siostra oddała wizytę klasztorowi. Rektor nas zaprosił do Uniwersytetu po obiedzie o godz. 4, dla widzenia obserwatorium. „Jakoż o tejże godzinie zastaliśmy go już u drzwi Uniwersytetu... „Wróciwszy zastaliśmy siostrę, która przez ten czas miała wizytę administratora. Ten do niej jak z ambony perorował dosyć oryginalnie.

27 lipca. Sobota. Siostra tego dnia zrana spowiadała się. Po obiedzie byłem u X. Korzeniowskiego, z którym powtórnie długa była konwersacya o Masonach i losach sióstr.

28 lipca. Niedziela. „Wizytki zaproponowały, aby ten dzień z nimi przepędziła i z nimi obiad jadła, chętnie na to przystała, i o 9-tej zrana już tam pojechała... Wypisaliśmy z Emilką kondukt nasz względem Cesi próby u Wizytek; na wszystkie ksieni przystała... Po obiedzie po siostrę do klasztoru pojechaliśmy. „Miałem tam konwersacyę dość długą z M. Husson, z przełożoną

„Żabianką i z mistrzynią Tyszkiewiczówną. Francuska bardzo mnie się podobała; więcej jednak Polki jako Polakowi. Powtórzyłem im to, co i pierwiej siostra i ja im względem Cesi mówiłem; o rok próby nalegałem. Siostrę wzięwszy napowrót do domu, będąc zaproszeni przez rektora Malewskiego do ogrodu Botanicznego, pojechałem tam z samą Emilką. Mile tam spędziliśmy kilka godzin, w towarzystwie sławnego profesora Jundulla, bardzo przyjemnego staruszka. Wieczór zaprosiłem rektora i administratora na dzień jutrzejszy na obiad.

29 lipca. *Poniedziałek.* „Na obiedzie mieliśmy rektora Malewskiego i administratora Cywińskiego... Rektor nam dużo rozprawiał o Podolu, Ukrainie, zwyczajach Litwy, Żmudzi, o dawniejszym języku litewskim, czyli żmudzkiem, teraźniejszym... Pod wieczór z Cesią pojechaliśmy za Wilno. Wilejka płynąca między dwoma pasmami gór obrośniętych gajami i sama ocieniona pieknymi krzakami upiększa dziwnie ten spacer. Emilka biedziła się tymczasem pokupką rzeczy potrzebnych Cesi do klasztoru, do którego jutro już przenieść się postanowiła sobie.

31 lipca. *Sroda.* „Dzień naznaczony na przenosiny Cesi do klasztoru. Cały ranek zeszedł na pakowaniu się. Siostra układała z radością garderobę swoją. Próbowwała biórko w odmykaniu, aby sobie łatwo mogła sama usłużyć. Zaproszony będąc na obiad do Ogińskiego na piątą popołudniu, musiałem się wymówić, bo wiedziałem, że odprowadzenie siostry zatrzyma mnie długo... Gdy rzeczy już były upakowane, Cesia z siostrą dość spokojnie się pożegnała. Przez drogę powtórzyłem jej wszystkie moje przestrogi poprzednie względem próby i szczerości, z jaką względem siebie i nas powinna postępować przez czas naszej tu bytności, ostrzegając ją, że jeśli w tem będzie miała obawę, to nie przez nie-szczerość, lecz fałszywe wyobrażenie, że zdradza społeczność, do której wstępuje. We wszystkim przyrzekła mi powodować się radą familii. Dzień pogodny i dziwnie był piękny. Cesia była wzruszona, ale więcej rozczulenia, jak niespokojności malowało się na jej twarzy. Gdyśmy zbliżali się do bramy klasztoru, pytałem się jej: „Czy jesteś niespokojną, jak pierwszą razą?“ Odpowiedziała mi: „Nic mnie w tem tak nie pociesza, jak miłosierdzie Boże, które mię aż dotąd doprowadziło“. Kazałem za sobą jechać Mi-

„kulskiemu dla przeliczenia pieniędzy, które na wikt roczny Cesi
„i jej pensyę półroczną miałem złożyć u ksieni. Zadzwoniliśmy
„u koła; wkrótce wyszła furtyanka i Cesię zaprosiła. Rzuciła się
„na moją szyję i mocno mię ściskając, łzami się zalała. Już też
„i ja z ciężkością się wstrzymywałem, chociaż przez ten cały czas,
„coś pocieszającego w sercu przemawiało nam, kiedyśmy się zasta-
„nawiali nad jej przeszłością. Cieszyłem ją, ile mogłem. Weszła za
„furtę. Gdym ją stracił z oczu, wnet mnie odwaga odbiegła. Myśl,
„iż ją zapewne po raz ostatni w mojem objęciu trzymałem, mocno
„mi przeraziła serce, miałem sobie za złe, iż po raz ostatni, nie
„odważyłem się jej okazać całej szczerości i mocy przywiązania
„mojego.

„Wszedłem do parlatoryum. Już tam zastałem ksienię i mi-
„strzynię. Polecilem jej powtórnie siostrę; zaraz i ta weszła. Prosi-
„łem, aby jej nie dozwoliły, choćby sama chciała, zaraz próbę po-
„czynać, aby jej spoczynek nakazywały, przytem siostrę starszą dla
„słabości wyexkuzowałem i bilecik od niej oddałem, który zawierał
„w sobie umowę o wygodę Cesi. Przeliczyłem i oddałem mi-
„strzyni 600 rubli srebrem. Obiecała ksieni dać kwit. Oddając
„pensyę Cesi oświadczyłem ksieni, iż siostra się prosiła, aby te
„pieniądze były u mistrzyni Dłuskiej złożone, dla tego, aby rozpo-
„rządzając nimi za jej wiedzą, do porządku nawykła. Ksieni i mi-
„strzyni ze zwykłą łagodnością i dobrocią na wszystko odpowiedziały.
„Zaprosiły nas jeszcze do kościoła. Uśmiechając się ksieni: Teraz
„wzięłyśmy pańskie pieniądze a panny już niepo-
„trzebujemy. Mały ten wypadek wielką dla mnie był pociechą,
„mogłem raz jeszcze siostrę uściskać. Nie cierpię rozczulania się
„próżnego, nieprzystojnego mężczyźnie, ale chwila ta była dla mnie
„tak ważną, dla przyjaźni i serca; mocno więc się uradowałem.
„Weszliśmy do kościoła, trzymając się za ręce; pomodliwszy się
„przed N. Sakramentem, zwiedzaliśmy zakrystyę, relikwie, konfe-
„syonały. Kościół piękną i jasną kopułą ozdobiony, wszędzie czy-
„stość, porządek i wdzięczne, że tak powiem ochędóstwo, przyjemny
„widok robią. Zaraz koło ołtarza piękna krata, przez którą piękny,
„obszerny i ochędózny pokój daje się widzieć: jest to chór. Tam
„wszystkie zakonnice do modlitwy, komunii i wszystkich ceremonij
„zbierają się. Wychodząc obeszlśmy w koło kościółek; słońce było

„ku zachodowi. Zwróciłem siostry uwagę na piękny widok, jaki „nam miasto wystawiało z owej wysokości, oświecone ostatnimi „słońca promieniami. Rzekła mi: Gdybyś wiedział, jakie „tam z drugiej strony piękne będą miała niebo!

„Jeszcze korzystałem z tej krótkiej chwili, aby jej uwagi robić „nad jej przyszłością. Że, jeśli chce być szczerą sama z sobą, to „wszystko w zakonie powinna uważać względem siebie i przewidu- „jąc, że z czasem mogą osoby świątobliwe, teraz żyjące powymierać, „że nim drugie się uformują na ich miejsce, duch jedności może „upaść, że wówczas nie będąc jeszcze siebie samej pewną, gdy „pierwsza czarowna ta chęć do życia zakonnego minie, która chę- „tka wszystkim w życiu ludzkim nowościom towarzyszy, powinna, „aby iść szczerą do Boga drogą, nie uważać siebie koniecznie do „tej jedynej przykuta, przez którą może Bóg chce ją tylko próbo- „wać; że nakoniec zawsze familia zostanie jej przychylną, a ten „czas, który na próbie przebędzie, dla dalszego zdrowia duszy „i ciała będzie pożytecznym, jeśliby w świecie chciała familii być „pożyteczną. Na to wszystko dała mi słowo: „Obiecuję ci tu „przed Chrystusem powodować się twojami radami“. — „Spokojny więc jestem i już mnie nie ciężko po- „żegnać się z tobą.

„Zbliżyliśmy się do furty. Zadzwonil ktoś przed nami. „Otwarły się drzwi żelazne. Uścisnąłem kilka razy siostrę — i zni- „kła z oczu moich. Wracalem śpiesznie do domu, do drugiej, aby „ją pocieszyć. We łzach ją zastałem; źle i ja moje ukrywałem...

1 sierpnia. Czwartek. ... „Ksieni upewniła mię, że wszystko „dobrze pójdzie, że siostra kontenta; nadeszła i ona. Znalazłem ją „zmęczoną, lecz dość wesołą. Wyszła matka. Siostra przyznała się, „że jeszcze nowość ją we wszystkim uderza; że ma piękną stan- „cyę, lecz że miała biedę z otwieraniem bióra, które nowe i ciężko „się otwiera. Mistrzynie sama jej kawę przyniosła. Mówiła mi: Do- „brze, że się próbuję w czasie waszej bytności, inaczejbym sił nie „mogła swoich doświadczyć. Przyznała się jeszcze, że nie wie, jak „się do klęczenia i częstych małych ukłonów wezwyczai; że to niema „dla niej żadnego powabu, że dobrze, aby się doświadczyła w tej „mierze. Gdym zawołał potem M. Husson, obawiała się, abym jej „tego nie mówił. Husson mnie zaś powiedziała, że gdy weszła do

„swojej stancyi wieczorem, wszystkie jej ściany z uniesieniem cało-
„wała. Wróciłem do domu na obiad. Ułożyliśmy ze siostrą, aby ją
„dopiero w niedzielę odwiedziła, dla lepszego wypróbowania się
„nawzajem. Po obiedzie posłaliśmy prezenta do klasztoru dla ksieni:
„kawę, cukier i herbatę; dla dam: Dłuskiej i Husson, czekoladę
„i tabaki po dwie paczek. Prosiłem Emilkę aby, pisząc do ksieni,
„nie do Cesi nie pisała“.

Tu z końcem kajetu urywa się dziennik; dalszy ciąg prawdopodobnie zaginął, lub nie było czasu dalej go ciągnąć. W powrocie do domu, trzeba się było chcąc nie chcąc zatrzymać dwa dni w Brześciu, z powodu przejazdu W. Ks. Konstantego, dla którego zabrano wszystkie konie pocztowe. Pomimo tego, już 21 sierpnia we wtorek, stanęli nasi podróżni: Stanisław i Emilia z powrotem w Janowie, pocieszyć wielce strapionego ojca, który do ostatniej chwili nie stracił nadziei, że córka może jeszcze cofnie się z pół drogi „Przysłuchując się¹ uważnie naszemu opowiadaniu o najdrob-
„niejszych szczegółach, wzdychał od czasu do czasu, ale wreszcie
„powiedział: Byleby tylko była szczęśliwa i wola Boża
„nad nią się spełniła! „Ojciec, donosił Stanisław siostrze,
„w jednym z następnych listów² po chrześcijańsku zdał się co do
„ciebie na wolę Bożą, a kiedy Mikołaj złączył się z naszą trzódką,
„odzyskał dawny pokój i zadowolenie“. Jakoż można było być za-
dowolonym czytając wiadomości nadchodzące z Wilna, zwłaszcza listy młodej postulanki, z których znać było coraz gorętszą miłość Bożą, ożywiającą jej serce, coraz większą radość, że Bóg dał jej dopiąć swego powołania. „Listy moje suche jak zapalki wobec Twoich, żartował sobie Stanisław, choć ogień ten wewnętrzny i na niego widocznie oddziaływał³: „*Depositum custodi*, zachowuj go
„dla siebie i dla nas wszystkich zostających na świecie, zwłaszcza
„dla mnie, potrzebującego Twych modlitw bardziej, niż ktokolwiek
„inny. Oddając cię w ręce Chrystusa Pana, złożyliśmy najlepszy
„nasz kapitał na wielkie procenta, owszem na lichwę... Duchowne
„cierpienia, jakich od czasu do czasu doświadczasz, zaniepokoić cię

¹ Do *Cecylii Chołoniewskiej*. Janów 24 sierpnia 1818.

² 3/15 września 1818. List francuski.

³ 12 września 1818 st. st. List francuski.

„nie mogą, bo znasz lepiej odemnie naukę krzyża. Z twoim charakterem i w twojem położeniu, zadowolenie zupełne, bez ograniczenia, mniejby mi się podobało... Ojciec pisuje rzadko, bo jak mówił mi dopiero co: Ona kontenta, i ja kontent z jej szczęścia; „cóż mam jej pisać?“

IV.

Podróż do Francyi. Śmierć ojca.

Podróż do Wilna, wzruszenia tam przebyte, rozmowy z siostrą poprowadziły Stanisława znów o wielki krok naprzód na rozpoczętej drodze duchowego życia. Cecylia dopięła już celu, do którego dążyła; Emilii, wracając kiedyś z nią sam na sam do domu, układał plan¹, „jak Jejmość ma być nadal czynną, aby mężowi „i familii tyle była pożyteczną, ile jej Bóg dał sposobności i do-„brych chęci do stanu, w którym się znajduje“, i prorokował: „Przejdzie i przeskoczy nas wkrótce ta dama na drodze zbawien-„nej“; Jędrzej nosił się już z pewnemi bliżej określonymi małżeń-„skimi planami. A on sam? On sam jeden tylko nie wiedział, w którą stronę skierować kroki, czego Bóg od niego się domaga; co więcej zdawało mu się, że jakakolwiek droga stanęłaby przed nim otworem, do podjęcia żadnej nie jest dosyć przygotowanym. Więc przedewszystkiem — przed ostatecznem zdecydowaniem się, gdzie iść i co robić — należało bardziej się umysłowo wykształcić, lepiej zwłaszcza i głębiej poznać fundament wszelkiej wiedzy i drogoszkaż na całe życie — katechizm. Wykonanie tego planu w Janowie nastęrczało niemałe trudności, a że ojciec napierał, aby skorzystać z danego paszportu i wyjechać do Paryża, dla nabrania znajomości świata i ludzi, czemuż życzenia tego nie posłuchać, i korzystając z ułatwień, jakie nastęrcza Paryż, obok zaznajomienia się z salono-

¹ Do *M. Grocholskiego*. Janów 29 sierpnia 1818 r.

wym polem, zaczerpnąć tam innej głębszej wiedzy — wiedzy o świecie, Bogu i wzajemnym ich do siebie stosunku?

Program ten stał jasno przed oczami Stanisława. „Wiesz, dla „czego wybieram się za granicę¹. Korzystając z obecnego mego „stanowiska w rodzinie i w świecie, pragnę korzystać z tych kilku „chwil pozostających do mej dyspozycji, aby trochę się rozumnie „wykształcić. Wychowanie moje naukowe, ogólnie wzięte, było „jakby wyrachowane na umęczenie mię. Miałem pewną, nie z mej „zasługi pochodzącą łatwość do pracy; skorzystano z niej na to „tylko, aby wpoić we mnie niezdrową żądzę wiedzy w ogóle, nie „zwracając mi nigdy uwagi na metody prawdziwe, do jakiegoś „celu prowadzące. Znana ci historia mego życia pogorszyła jeszcze „ten stan rzeczy. Jeszcze chwila, a byłbym zeszedł na zero. Szczę- „ściem i największem szczęściem Bóg dozwolił, abym poczuł, iż „choćby mię może można wymówić z zupełnej nieświadomości „w każdym innym kierunku, z nieznanomości katechizmu nigdy się „wytłumaczyć nie potrafię. Postanowiłem więc nauczyć się kate- „chizmu, i dziś czego dawniej po sobie nie byłbym się spodziewał, „czuję w sobie odwagę do rozpoczęcia nauk na nowo, mimo, iż „jestem nieco przystarym uczniem. Zapatrując się z zimną krwią „na to postanowienie, nazwałoby je kto mógł szalonym, ze względu „na tysiąc i jedną najrozmaitszych przyczyn; to też nie powziąłem „go, jak uciekając się do jedynego możliwego środka: na wszystkie „przyszłe me studia zapatruję się jako na dodatek do nauki kate- „chizmu. Inaczej nie potrafiłbym przeciąć tego węzła, bo złe szkolne „nawyczki ciągnęłyby mię do książek, a coby te książki dawniej „były ze mnie zrobiły, gdyby mi nie był wpadł w ręce katechizm „Montpellier’a! Podróż i przyszłe projekta zajęcia czasu, są tylko „następstwem tych moich rozumowań, opierających się o kate- „chizm!... I dla tego przyszłą mą podróż poświęcam nietylko na „byciu nauki, jakiej domaga się odemnie stanowisko właściciela

¹ Do *M. Grocholskiego*. Janów 26 maja 1818 r. List ten, a raczej po-
ważny memoriał, pisany po francusku, opatrzony na wstępie, jakby kazanie,
łacińskim tekstem Pisma św.: *Cui autem similem aestimabo generationem
istam. Similis est pueris sedentibus in foro qui clamantes coaequalibus di-
cunt: Cecinimus vobis et non saltastis, lamentavimus et non planxistis. Qui
habet aures audiendi, audiat.* (Mat. IX. 15, 16, 17).

„dóbr w kraju nie zupełnie barbarzyńskim; ale też przygotowaniu się do działania w katolickim duchu, w małej naszej prowincyi, „której tak brak środków i ludzi rozbudzających tego ducha... „Przedewszystkiem obserwować będę wszystko, co się odnosi do „kwestyi wychowania, zwłaszcza klas uboższych, do instytucyj publicznych tego rodzaju, ich materyalnego i moralnego powodzenia. „Ty, znając miejscowe potrzeby, a mając nadto większe doświadczenie odemnie w traktowaniu interesów, będziesz mógł zużytkować ten materyał na korzyść kraju. Najpierw zrobisz próbę w własnym majątku, a jeśli udadzą ci się niektóre ze zrobionych kroków, „inne nieudadzą, wtedy bogaty korzystnymi doświadczeniami, obserwacyami rozumnymi, a nadewszystko czystą intencją, która podwaja wartość każdego umysłowego skarbu, zdążać będziesz, na „urzędach przez kraj ci zleconych, do zastosowania na większą „skalę środków już wypróbowanych, a podnoszących znacznie wszelkiego rodzaju dobrobyt. Słowem, ty będziesz architektą, ja znosić „ci będę cegły i wapno...

„Wszystkie te myśli, raczej sercem niż rozumem pojęte „i dla tego tak źle wyrażone, nie są sennymi marzeniami, iluzją, „chimerą, bo w chęci do pracy chrześcijanina, pragnącego wyłącznie „zdążyć do Jezusa Chrystusa, nie masz iluzyi. A my dwaj przecież, i wielu innych z nami, pragniemy bądź co bądź iść tą drogą; „zatem, jeżeli tylko nie stracimy z oka wąskiej ścieżki Chrystusowej, zawsze korzystną odbywać będziemy podróż: czy wielkich „rzeczy dokonamy, czy małych, bylebyśmy zawsze i wszędzie stawali Chrystusa przed wszystkiem na świecie — przed dobrem publicznem i naszym dobrem osobistem i bylebyśmy dobro naszego „bliźniego stawiali na tej samej linii co i nasze. *Omnia enim vestra sunt sive Paulus, sive Caephas, sive Apollo, sive mundus, sive vita, sive mors, sive praesentia, sive futura; omnia enim vestra sunt; vos autem Christi; Christus autem Dei*“.

Po raz pierwszy to podobno wypłynęły z pod pióra Stanisława słowa już nie tylko chrześcijańskie, bo chrześcijaninem, i to coraz szerszym i gorętszym był oddawna, ale gorejące takim ogniem miłości Boga i bliźniego, wyrażające, tak silnie i jasno zrozumienie, że poznać i służyć Bogu, jedynym celem człowieka. Nie był to chwilowy płomyk, rozniecony przelotnym zapalem;

przeciwnie, wzmagał się on coraz więcej, usuwał napotykaną przeszkodę i innych również serca zapalał. W cztery miesiące po skreśleniu tego programu życia, przystępował Stanisław do wypełnienia go w szczegółach; sprowadziwszy Jędrzeja dla opieki nad ojcem, i poleciwszy modlitwom obu sióstr swe plany i pragnienia, wyjeżdżał do Francji.

Droga zapowiadała się świetnie. „Dotąd podróż idzie wspólnie, donosił z Brodów¹, i wyjąwszy paru małych przykrostek, „mam się dzięki Bogu, jak nowy most“. We Lwowie przyjęli go z otwartymi rękami bliscy krewni: Jan Chołoniewski i żona jego Józefa z Ryzszczewskich. Obraz, jaki rozwinął się tu przed oczami Stanisława, pocieszył chrześcijańskie jego serce². „Jan zachowuje „zawsze serce jedyne, ale w ciele niemal obumarłem; Józefina pełna „życia, a życie jej w Jezusie Chrystusie. Pod względem miłosierdzia więcej czyni w kwadransie, niż ja zrobiłem przez całe życie. „Bóg też przygotowuje jej piękną koronę — dozwolił, że Jan wszedł „na zupełnie dobrą drogę i do śmierci się gotuje. Dwa razy się „już spowiadał. Prosiłem jej, aby namówiła męża do przyjęcia „ostatniej Komunii św., zanim straci do reszty władzę w języku“. Ale czas naglił; po trzech dniach trzeba się było pożegnać z dawnymi i nowymi znajomymi, na pierwszym miejscu z rodzonym stryjem Franciszkiem Ksawerym Chołoniewskim, prezydentem galicyjskich stanów, i z pewnym żalem z jednej strony, pociechą z drugiej bo nieznośna szaruga nie uprzyjemniała wcale halickiego grodu — ruszyć dalej na zachód.

„Zajechałem — pisał w pierwszym liście z Wiednia³ — do oberży, „zum ungarischen Koenig, nowo założonej, którą przełożyłem nad „inne dla bliskości św. Szczepana. Płacę osiem złotych dziennie, „za dwa małe ule, zowiące się tu pokojami. Z początku apetyt „z podróży wyjednywał łaskę dla danego mi jedzenia; teraz widzę, że jest paskudne... Zwiedzanie Wiednia rozpocząłem naturalnie od św. Szczepana i szczęściem natrafiłem właśnie na *Heilig* „i błogosławieństwo N. Sakramentem. Co za kościół! jaki maje-

¹ Do *Grocholskich*. 13/25 września 1818.

² Lwów. 17/29 września 1818. Wilia wyjazdu do Wiednia. Jan Chołoniewski zmarł następnego roku.

³ 8 października 1818. Czwartek.

„stat! jak ten zmrok w nim jest miły! Obszedłem parę ulic; „deszcz zmusił mię prawie do wstąpienia do Burgu na *Maryę Stuart*; gorąco wypędziło mnie przed końcem pierwszego aktu. „Wiesz, żem dawniej kochał się w teatrze aż do namiętności, ale „właśnie częste obserwacye aktorskiego rzemiosła zrobiły mię bardziej wymagalnym dla tych ludzi. Nie mogę im darować, kiedy „źle małpują tak cenną rzecz, jaką jest serce ludzkie; nie darowuję „im, kiedy są tylko dobrymi, a nie doskonałymi, a tutejsi nie są „doskonałymi“...

Pierwszy ten wieczór w Wiedniu był obrazkiem w miniaturze następnych dni i tygodni, wyjąwszy trzech dni rekolekcyj odprawionych pod przewodnictwem Wenera. Poranki napełniała rozmowa z Bogiem i długie serdeczne rozmowy o Bogu z Wenerem i Hofbauerem; wieczory spływały w salonie Rozalii Rzewuskiej, gdzie zapoznać się mógł z kwiatem arystokracji wiedeńskiej, a w pogadance z tymi panami i paniami, filozofami i poetami, wglądać bliżej w komedye i tragedye życia ludzkiego. Pierwsza zaraz rozmowa z Hofbauerem, który snuł plany, jak Redemptorystów sprowadzić na Podole, przeciągnęła się przez dwie godziny. „Postać jego poważna i melancholiczna, rozmowa pełna treści“¹, „Hofbauer — dopełnia w miesiąc później² tego szkicu rzuconego na papier pod pierwszem wrażeniem — jest dziwnie przyjemny staruszek. Sposób mówienia gminny; myśli często dziwnie piękne i nawet głębokie. „Bardzo mię jego towarzystwo bawi i buduje. Wener nasz poczciwy przeniósł się już do OO. Augustyanów, gdzie się gotuje na „swoje 30 kazań, które przez adwent i post będzie kazał. Ciągłe „tu z sobą baraszkowaliśmy. Czytał mnie wszystkie swoje produkcye literackie — *die Mutter der Machabeer*. Dużo o tem mówić „czy chwalać, czy krytykując. Kazimierz piękną posiada duszę; co „raz to się lepiej okazuje w pożyciu, lecz ma przytem i niespokojność „umysłu przyrodzoną poetom, która truje mu najmiłsze momenta. „Teraz walczy z sobą, czy ma wszystkie swoje poezye spalić i mniemchem zostać, czyli też użyć talentu ku chwale Boskiej ... I w tem

¹ 8 października 1818.

² 4 listopada 1818. „Dzień wyjazdu mego do Francyi“. List częścią po polsku, częścią po francusku, jak wiele innych z tego czasu.

„wiele się przyczyn ukazuje na jedną i na drugą stronę... Myśli „mu się snuły, by do Alzacyi powędrować. Ale uwaga moja była, że „tu tylko poezye jego i to przyjaciele krytykują, którym nie jest „obowiązany zdawać rachunku, kazania są bez krytyki; tam zaś ro- „dzaj *Sorbonny* i do nich może się wmieszać. Wszystkie więc kwe- „rele kończą się tem, iż póki będzie sądził, iż ludowi tutejszemu „może być pożytecznym, na miejscu zostanie. U Augustyanów stan- „cyę ma nie złą, ale jedzenie mizerne. Pensyę roczną 300 złr. od „Wajmarskiego księcia regularnie zaczął pobierać. Służącego ma „wielkiego nygusa, ale świątobliwego, z którym codzień scena. Nie „skarży się na brak wygód, ale na brak ludzi wchodzących w jego „myśli i na to się krzywi jak dziecko. Przyznam się, że pomimo „przyjaźni najtkliwszej ku osobie, tak ze wszech miar szacunku „i miłości godnej, wiele myśli pięknych i nowych w rozmaitych „materyach *in thesi*, ale nie *in praxi* przyjmowałem. I oto były „kłótnie zabawne. Powiada, że obok natury niemieckiej, francuski „mam sposób myślenia“.

Przed rozłączeniem się wręczył Werner „młodszemu swemu w Chr. bratu“ 35 własnoręcznie napisanych „niezbędnych“ aforyzmów, z prośbą, aby je raz na tydzień odczytywał i głęboko sobie wyrzył na sercu i na duszy. Najważniejszymi w tej chwili dla Choloniewskiego było kilka głębiej pomyślanych aforyzmów o powołaniu Bożem i jego znakach; jako najoryginalniejszy zapowiada się ostatni aforyzm o „małpowaniu“ Francuzów i Niemców. Niestety, pisząc go późnym wieczorem, Werner był już poprzednią pracą znudzony: rzucił kilka świetnych, paradoksalnych myśli; nagromadził kilkanaście z różnego stanowiska pojętych pytań, czy i jak należy stąpać śladami Francuzów lub Niemców, i zostawił je bez właściwej odpowiedzi, urywając nagle słowami kapłańskiego błogosławieństwa: „Niech Bóg błogosławi Tobie i Twojej najukochańszej mi „rodzinie, tutaj przez krótki czas życia i tam wiecznie!“

Bardzo dokładnie z dnia na dzień pisany dzienniczek sześciotygodniowej podróży z Wiednia do Paryża, przekonuje nas, że Stanisław nie mijał się z prawdą, kiedy ze Strassburga uspokajał rodzinę¹: „Ogólnie mówiąc, nie wiem, czy kto mniej niż ja do-

¹ Strassburg. 11 listopada 1818 r.

„świadczył w tej drodze awantur; podziękować za to Bogu!“ Bawaryja przypomniała mu Litwę, „tylko tutaj staranniejsza uprawa, „większa kultura...; mężczyźni rozumniejsi niż w Austrii, kobiety „brzydsze, lud nie tak nabożny, jak austriacki. Monachium wcale „nie zbyt świetnie się przedstawia, ma kilka dość szerokich ulic, „kilka pięknych hoteli, bardzo zły bruk; razem wzięwszy ma pewne „podobieństwo z Warszawą“. Otóż i najciekawszy jeszcze ustęp w całej tej części dziennika; zresztą toczy się monotonnie aż do bram Paryża, jak monotonnie po równych drogach z tą jedną różnicą, że to wśród deszczu, to wśród pogody toczyła się bryczka pocztowa.

W niedzielę, 15 listopada ujrzał się zmęczony podróżny w Paryżu, a zakwaterowawszy się tymczasowo w *L' hôtel de Mars*, odetchnął swobodniej na myśl, że nazajutrz nikt go nie zbudzi do dalszej drogi, bo czy w Paryżu zasmakować zdoła, to mu jeszcze zupełnie nie było jasnym. „Kiedy mądry barbarzyńiec Anacharsis, „skreślał nazajutrz po przybyciu pierwsze swe wrażenia¹, datował „po raz pierwszy listy swoje z Aten, miasta najrozumniejszego „i najbardziej ucywilizowanego w owym czasie, to sądzę, że nieco „więcej doświadczał przyjemności, niż ja w tej chwili... Wszystko „mię tu razi; znajduję się niby w położeniu żyda między pogami; to mię zniechęca do Paryża, a może mię względem niego „zrobić niesprawiedliwym. Dla tego bliższych szczegółów nie udzieli „ci, aż kiedy wydobędę się choć trochę z pod tego panowania „prawa żydowskiego, które chciałoby wszystkich na swoją manierę „obrzezać“.

Ale choć Paryż raczej niemiłe niż przyjemne robił z początku wrażenie, trzeba było nie tracąc czasu korzystać z ziemskich i duchowych bogactw, złożonych w tych nowych Atenach. Nabycie pewnej oglady i zewnętrznego poloru, przypatrzenie się ludziom i światu, to wszystko co zwie się nieraz „dokończeniem edukacji“, a co wielu z polskiej młodzieży, poczawszy już od XVI. wieku, uważało za wyłączny cel wycieczek za granicę, nie mogło przedstawiać Stanisławowi trudności, dzięki rodzinnym stosunkom, dawnym

¹ Paryż, 16 listopada 1818.

znajomościom i dobrze napchanej kiesce¹. Na pierwszym zaraz wstępie otwarły się przed nim polskie domy: Jabłonowskich, Potockich, Branickich, gdzie prócz przebywających chwilowo lub stale w Paryżu Polaków: Poniatowskich, Czaplica, Gorajskiego, Mayera, Badeniego, Waleskiego spotkać zawsze można było kogoś z wysokiej angielskiej lub francuskiej arystokracji, z którą bliższe stosunki utrwały się znowu, a zawiązywały nowe z rosyjską kolonią w Paryżu, w świetnych salonach pani Gołwinowej.

„Dowiedziawszy się² w ministryum rosyjskiem o stancyi pani „Gołwinowej, wprost do niej pojechałem. Matka i córka z wielką „mnie grzecznością przyjęły. Pierwsza tak była łaskawa, że wszystkie swoje francuskie znajomości pochlebnie o mnie uprzedziła, „i z całym Faubourg Saint-Germain chce mię obeznać, zapraszając na codzień raz na zawsze, tak jak w Petersburgu. ... La Ctesse „Gołwine matka, nad moje zasługi jest na mnie łaskawą, a nadto „przenośnie rzeczy i ludzi biorąc, opisując swoich przyjaciół przed „drugimi zbyt żywymi farbami, w wielkie ich wprowadza trudności, bo jak smutno okazać się niepodobnym do opisu“.

Pomiędzy przyjaciółmi, przed którymi pani Gołwinowa „zbyt żywymi farbami“ odmalować miała Chołoniewskiego, pierwsze miejsce zajmowała słynna p. Swieczin, „siostra³ księżnej Gagarynowej, u której z Grocholskim często w Petersburgu bywaliśmy, „choć niezmiernie brzydka, od wszystkich tu lubiona dla rzadkiej dobroci serca, połączonej z zadziwiającym dowcipem i nauką“... „Po trzech wizytach⁴ poznaliśmy się wybornie. Mądra od „stóp do głowy. Należy do ścisłego grona wszystkich tutejszych „wybrańców umysłowych; Chateaubriand, Bonald, Freyssinous, La „Mennais i t. d., do niej się schodzą. Możecie sobie wystawić, jak „ktem się wślizgiwał po tych panach do jej saloniku; padłbym był „twarzą na ziemię, gdyby ta kochana filozofka nie należała do tych „umysłów i serc, o których myślał Vauvenargues, mówiąc, że „wszystkie wielkie myśli pochodzą z serca. Jest ka-

¹ Opis pobytu w Paryżu, oparty na z dnia na dzień prowadzonym dzienniczku i listach do rodziny.

² Do *Ojca*, 23 listopada 1818.

³ Do tegoż, 24 stycznia 1819.

⁴ Do *Grocholskich*. 25 lutego 1819.

„toliczką, jest dobrą, pobłażliwą, bardzo brzydka“. „Uczucie religijne¹ wnika w każdy zakątek jej nadzwyczaj urozmaiconego umysłu; promień ten słoneczny zatrzymany przyzmatem jej wyobraźni, rozstrzeliwa się w około w tysiącznych barwach i wszystko przy swem przejściu upiększa. Analizuje jak Leibnitz, opowiada jak dziecko, dla którego żaden przedmiot nie stracił ze świeżości i kolorytu, uszczęśliwiających wiek illuzyj i znowu mówi roztropnie, mądrze, jasno. Wielu się skarżyło, że wpatrzywszy się w jej rozum, dojrzeć nie można serca; bezwątpienia piękna to skarga, bo trzeba posiadać wiele przymiotów serca, aby zrównoważyć tyle rozumu i dowcipu i nie dozwolić im nieograniczonej przewagi. Niedawno temu, gdym się skarżył na cierpki ton, zbyt często panujący w książkach, skądinąd godnych zalecenia pod względem nauki i stylu, i to zwłaszcza w materyach religijnych, co nie leczy złego, ale jeszcze je pomnaża, powiedziała mi: „Ani na chwilę nie wątpię o gorliwości tych ludzi dla dobrej sprawy. Ale, czy kto kocha prawdziwie, może się dopuścić podobnych omyłek?“ „Dodaj do tego, że podobna jak kropla wody do naszej ciotki Baworowskiej, tylko większe ma oczy, pełniejsze ognia i dowcipu, a pojmiesz, jak muszą sobie cenić tę panią“.

O ile Chołoniewski cenil sobie panią Swieczin, o tyle wyjątkowa ta kobieta, słynąca z rozumu i czaru, jaki roztaczała w popularnej rozmowie, zajęła się prawdziwie po macierzyńsku interesującym Polakiem, kazała mu bywać u siebie jak najczęściej i raz po raz nowym jakby od niechcienia rzuconym poglądem, dowcipnem a głębokiem słowem, nowe przed okiem jego otwierała horyzonty. Raz, dając główne rysy działalności i charakteru Chateaubrianda i Bonalda, wyraziła się o pierwszym, że całą energię skupił w głowie, a charakterowi kazał czołgać się za rozumem; o drugim, że z wielu względów jest tylko portretem Chateaubrianda. Kiedyindziej zastanawiała się nad współczesnym i dawniejszym językiem francuskim i żałowała zagubionej jędrności, siły i prostoty Froissarda i Montaigne'a. To znów pytała poprostu: „Co myślisz zrobić ze sobą, jak pokierować życiem?“ i w długiej ciepłej rozmowie na ten te-

¹ Do tychże. 4 marca 1819.

mat, przyzwyczajają go, aby stając po ziemi, wzrok zawsze trzymał wzniesiony do nieba. Stanisław, odwdzięczając się, odczytywał poważnej przyjaciółce wiersze Wernera, które podawały im znowu materię do niekończących się, zbyt tylko licznymi wizytami przerywanych pogadanek.

Niezbyt pochlebnie przez panią Swieczin scharakteryzowanego Chateaubrianda, ujrzał Chołoniewski po raz pierwszy wespół z wielu innymi znakomitościami, przy uroczystości otwarcia parlamentu 12 grudnia 1818. „Widok izby przy otwarciu¹, gdzie między nowo „wybranymi, pp. Lafayette i Manuel figurowali, niezmiernie był ciekawy; przytem obszerność budynku, ozdoby sali i tronu; przewyborny ubiór Parów (à la Henri IV.): płaszcze aksamitne haftowane, kapelusze z piórami strusimi, szarfy ze złotem, kokardy u trzewików. Między tymi widziałem sławnych różnych czasów, sławnych przez dzieła sobie najsprzeczniejsze, sławnych przez „szczęście i nieszczęście. Boissy d' Anglas; Desèze, obrońca króla „(Ludwika XVI.); Tally Tolendal; Ferrand, są teraz parami Francji... Pokazano mnie także le vicomte de Chateaubriand. Twarz „jego nie okazuje więcej nad czterdzieści lat; włosy ciemne; rysy „szlachetne i oczy pełne ognia jakby przytłumionego; przytem „duma i jakowaś gorycz niemila, odróżniają od innych twarz tego „poety i partyzanta. Król wszedł poprzedzony marszałkami, potem „Tayllerand (którego twarz obrzydliwa przeraziła mnie niewypowiedzianie) i ministrowie za nim. Monsieur i księżna krwi obok „tronu przy królu siedli; ministrowie i marszałkowie u podnóżka „tronu, sala będąc w amfiteatr zbudowana. Galerye pełne były dam „w toaletach najwyborniejszych. Prawą stronę parowie zajęli, lewą „deputaci. Rozmaitość ubiorów bogatych w ogromnej sali niezmiernie była świetną. Król najczystszy i najwyraźniejszy głosem „wyrzekł mowę, którąś już odtąd czytał zapewne *mon Cher Père*. „Kilka razy krzyki: *Vive le Roi* przerywały mu głos. Równie przy „wchodzie i przy wychodzie był powitany. Kiedy po skończonej „królewskiej mowie posłowie nowo wybrani do kompletu, do „sięgi byli wołani i na przeczytaną sobie rotę odpowiedzieć mieli, „wszystkich oczy były zwrócone na pana Lafayette. Przyszła i jego

¹ Do *Ojca*, 14 grudnia 1818. — List polski.

„kolej; powstał, wznosił rękę: *Je jure d' être fidèle au Roi!* Silne „szemranie w całej sali nastąpiło... potem król przez kanclerza zapowiedziawszy otwarcie izb, udał się z rodziną do Tuilleries... „Król z ciężkością wstaje z krzesła, chodzi dość dobrze jeszcze, „twarz ma pełną dobroci i dowcipu. Najszlachetniejsza turniura, „Monsieur le Comte d' Artois, chociaż twarz brzydka; najprzystojniejszy zaś le Duc d'Orleans. Madame la Duchesse d'Angoulême, twarzy surowej, postawa pełna powagi i stałości“.

Wrażenie odniesione z pierwszego widzenia Chateaubrianda, nie zmieniło się przy następnym. „Szlachetny wicehrabia de „Chateaubriand, pisał Choloniowski w trzy miesiące później z nietajonym odcieniem ironii¹, ma głowę dość odpowiadającą wyobrażeniu, jakie młode panie powzięły o twórcy *Atali*. Nie lubię „gorzkiego, sardonicznego jego uśmiechu. Z domu prawie nie wychodzi. Widziałem go u pani de Duras, lecz z nim nie rozmawiałem“.

Łatwiej było dostać audyencyę u króla Francuzów, niż u króla poetów; to też Stanisław ani myślał o takim honorze, gdy niespodzianie roztwarł się przed nim na parę godzin gabinet zamknięty na cztery zamki dla całej masy profanów i hufcu wdychających z cicha literatów, aby choć raz w życiu sięś w tym gabinecie i móż rozplywać się w pochwałach najprzód przed autorem, potem przed całym Paryżem, nad kilku nieznanymi dotąd arkuszami, które dopiero co wypłynęły z pod pióra Chateaubrianda. Ale czegoż nie zrobią kobiety? „Przedwczoraj², 27 kwietnia byłem u starej księżnej de Talmont. Zastąpiłem młodą Talmont, malarza Ducisa... i kilku innych gości. Prosiłem p. Ducisa, aby mię poprowadził do pracowni słynnego Gerarda i właśnie o tem rozmawialiśmy, kiedy nagle młoda Talmont powstała i nachyliwszy się do „ucha teściowej, zaczęła jej coś szeptać. Spostrzegłem natychmiast, „że chodziło o mnie i nastrajałem się na wszelki wypadek. Elegan- „teczka stanęła przedemną, popatrzyła w około błakającym się mi- „gdałowym wzrokiem i zapytała, czy potrafię dochować sekretu; „jeśli potrafię, wtedy prosi mię na chwilkę do siebie we środę

¹ Do *Emilii Grocholskiej*. 18 marca 1819. List francuski.

² Do *Grocholskich*. 29 kwietnia 1819. List francuski.

„między pierwszą a drugą godziną, a nieomylnie doznam wielkiej „słodocy i zadowolenia, słowem nagadała mi więcej niż było po- „trzeba, aby podrażnić ciekawość takiego brzydala, jak ja. Podzię- „kowałem jej żywo, ale tak dobrze i tak długo udawałem nieczulość „i obojętność na to co mię czeka, aż piękna pani straciła cierpli- „wość i w jasnych, pozytywnych słowach oznajmiła mi, że szla- „chetny par obiecał odczytać w jej apartamentach tragedję *Moj- „żesz*, w obecności wszystkich, których sama zaproszeniem zechce „zaszczycić. Pomyśl, jakem wołał: Ach! precudnie! jakem „się zasłaniał moją niegodnością, jakem sypał wszystkimi frazesami, „z którymi każdy, niewiedzący jak się znaleźć cudzoziemiec, uważa „za swój obowiązek wyjeżdżać, jeśli nie chce uchodzić za brutala „i mazgaja w oczach pięknej Francuski, kochającej się w sztukach „pięknych i literaturze. (Mówiąc w nawiasie, już stąd widzę, jakie „grymasy stroi przyjaciel G.). Żart na stronę, wróciłem do siebie, „oczarowany tą szczęśliwą gratką...

„Naturalnie oznaczonego dnia nie kazałem na siebie czekać ; „zdawało mi się nawet, że przybył za prędko. Ale kiedym w dwóch „skokach przesadził schody, prowadzące do apartamentów młodej „pani, zastałem już dosyć gości. Byli to : pani de Choiseul, panowie : „de Levand, la Rochejaquelin, ksiądz Jagot, wybrani między wybra- „nymi słynnego przedmieścia. Zebrano się w gabinecie pani, ozdo- „bionym rysunkami jej ręki. Fortepian na wpół otwarty ; wielki „francuski kominek ; skóra tygrysia zamiast dywanu ; sofa z jednej „strony ognia, a z drugiej kilka fotelów w półkole, dużo kwiatów, „a wszystko rozplywające się w półcieniu słodkiego półmroku, — „oto mniej więcej geografia salonu. Pani salonu w bielutkim perka- „liku zachodzącym aż pod szyję i walczącym z połyskującą czarno- „ścią rozpuszczonych warkoczy ; dwie wstążeczki lazuruwe, jedna „na szyi, druga w pasie dopełniały zdradzieckiej prostoty tego „stroju. Mężczyźni stali, kobiety siedziały. Podniosły się na przy- „jęcie pani de Beaumont de Montmorency ; po niej w parę chwil „wszedł wicehrabia de Chateaubriand. Przyjrzałem mu się dawniej „i to dobrze, w ceremonialnym stroju para, w którym wyglądał „bardzo korzystnie ; niebieski frak i siwe brudne spodeńki nie mo- „gły wytrzymać porównania. Pan de Chateaubriand jest mały, źle „zbudowany, trzyma się dobrze. Bardzo piękne czoło, otoczone

„w koło kędziorami włosów, raczej czarnych, niż innego koloru;
„brwi tej samej barwy; oko, to przenikliwe, pełne ognia; to zwil-
„żone, zdradzające spokojną melancholię; to jakby chmurą zaćmione;
„wielkie usta, sfabrykowane umyślnie dla wyrażenia gorzkiego,
„dowcipnego uśmiechu; twarz wydłużona nieproporcjonalnie do tak
„małego ciała, oto mniej więcej zewnętrzna postać p. de Chateau-
„brianda... Oburzenie, a zwłaszcza duma jakby wymalowane na
„całej tej postaci. P. de Chateaubriand liczy teraz przeszło czter-
„dzieści lat. Ma żonę, ale nie ma dzieci. Wyjątkowe powodzenie
„w literackich pracach, byłoby mu zapewniło bardziej niż dzisiaj
„niezależne stanowisko, gdyby się był mniej poetycznie obchodził
„z sakiewką. Rozmawia z wielką prostotą, a choć nie popuszcza
„zupełnie wędzidła talentowi, nie afektuje owej pozornej wstrze-
„mięźliwości, mającej wskazywać na własną wyższość, a tak przy-
„krej dla słabszych.

„Czekając na starą księżnę Talmont i panią de Castellane, bo
„na nich ograniczyć się miała liczba słuchaczy, rozmawiano o zmia-
„nie ministerium; Chateaubriand politykował z miną człowieka
„zmęczonego i znudzonego, co jeszcze bardziej zasępilo jego obli-
„cze. Wreszcie pani de Talmont przybyła, wszyscy zasiedli, ude-
„rzyła naznaczona godzina; cukier, szklanka z wodą, niczego nie
„brakowało, wyjąwszy pani de Castellane; zrzuciwszy zatem skru-
„puły z serca rozpoczęto posiedzenie. P. de Chateaubriand siadł
„tyłem do okna, tak aby go wszyscy mogli widzieć, a nikt mu
„prosto w oczy nie patrzył, nawet młoda Talmont. Kazał sobie
„przynieść rodzaj pugilaresu, czyli raczej skórzanego worka, który
„żywo przypominał mi naszego przyjaciela. Wyciągnął z tego worka
„rękopis, mówiąc: W ten mniej więcej sposób nasi
„krawcy zawiązują swój obstalunek. Zapanowało głębokie
„milczenie, przerwane tylko spóźnionem przybyciem pani de Castel-
„lane, i nalanie drugiej szklanki wody z cukrem. Pan de Chateau-
„briand ma głos dość dźwięczny, a zwłaszcza bardzo jasny. Łatwo
„spostrzedz, że brał lekcye deklamacyi i posiada wszystkie jej ta-
„jemnice, jak aktor prawdziwy. Bardzo się jednak hamował, nawet
„w najbardziej porywających scenach, pragnąc bardzo rozumnie,
„aby poecie, nie aktorowi klaskano. Nie myślę wam naturalnie opi-
„sywać wykrzykników słuchaczy rodzaju żeńskiego, czułych west-

„chnień, oklasków sypanych przez obie matrony, Talmont i Beaumont, słodkich wzruszeń obu młodszych... Śmiesznem by też było chcieć wydawać jakiś sąd o sztuce, którą się raz tylko sły-
„szało i to z ust autora; ograniczę się na tem, że jak nam się
„wszystkim zdawało, kilka chórów i kilka scen, godne są pod wzglę-
„dem stylu, pióra największych mistrzów, choć koniec trochę blade
„wygląda“.

Inne znajomości, zawiązane bądź w przeznaczonym dla dobrych znajomych saloniku pani Świeczyn, bądź w salonach pani Gołowi-
nowej, bądź na galowych obiadach rosyjskiego ambasadora Pozzo
di Borgo, równie były w swym rodzaju interesujące, a choć mniej
może pochlebiały miłości własnej, niż oglądanie wicehrabiego de
Chateaubriand, patrzącego łaskawem okiem ze swej wyżyny na
gromadzących się koło jego stóp śmiertelników, to z pewnością nie mó-
wić już o przyjemności, często mogły równie wiele i więcej pouczyć.

„Towarzystwa¹, do których mię p. Gołownowa i hr. de Noailles
„wprowadzili, większą połowę czasu mego zabierają. Panu de Noa-
„illes winien jestem między innemi, przyjemność uczęszczania do
„domu du duc de Duras, premier Gentilhomme du roi, który
„z urzędu mając pomieszkanie w pałacu Tuilleries, co sobotę daje
„nam wieczory muzykalne przedziwne, gdzie się pierwsze talenta
„produkują; muzykalne i polityczne pierwsze metadory dają się
„tam widzieć. Tam się zdybać można z Wellingtonem, z księciem
„krwi Gloucester, który tu z Anglii przybył, z p. Chateaubriand,
„Fontanes, la Rochejaquelin i wielu innemi historycznymi figurami;
„przytem gospodyni sama sławna z dowcipu, daje u siebie w wła-
„snym hotelu Faubourg St. Germain małe wieczory, ciekawe przez
„zbiór osób sławnych z swoich talentów w różnych wypadkach“.

„Na wieczorze² u pana de Noailles przypatrzeć się mogłem
„całemu ciału dyplomatycznemu i wszystkim znakomitszym cudzo-
„ziemcom. Dwie rzeczy uderzyły mię zwłaszcza na tym wieczorze:
„zupełny brak pięknych kobiet, chociaż prawie wszystkie wielkie,
„a czasem za wielkie elegantki i absolutna brzydota pana de Tay-
„llerand. Nie mogę wam wypowiedzieć, jak niemiłe wrażenie wy-

¹ 24 stycznia 1819. List polski.

² Do *Ojca*, 21 grudnia 1818. List francuski.

„warła na mnie ta historyczna figura. Nieboszczyk Hulewicz, mimo całej swej brzydoty, wypiękniałby przy porównaniu“.

„Niedawno temu rozmawiałem z panią Swieczin¹, że kogo zazdrość bardzo silnie atakuje, ten jako heroicznego lekarstwa użyć powinien pobytu w Paryżu, a wyzdrowieje, albo pęknie z zazdrości. Bo i proszę cię, jakże roztaczać i karmić się widokiem mizernych swych zalet, kiedy co chwila masz do czynienia z ludźmi, których dzieła lub imię zna cały świat. Twarze ich nie wbiły mi się jeszcze w pamięć, i dlatego nieraz wychodząc od pani de Duras, dowiaduję się np., że ten mały, suchy człowieczek, któremu z taką pewnością siebie zadawałem pytania, jest słynnym Cuvierem; ten drugi, z którym bez ceremonii wszcząłem dyskusję, zwie się Humboldtem, ów tłusty mężczyzna, co raz znudził mię nie mało, bo stojąc w kole ludzi dowcipnych, nie wymówił ani słowa, jest panem de Fontanes; jakaś stara peruka, bardzo skromnie politykująca, ukrywała Bonalda; słowem te częste późniejsze odkrycia przekonały mię, że nieświadomość niebezpieczeństwa najwięcej dodaje odwagi, bo dorozumiewasz się, jakby mi język oniemiał, gdyby kto pod wszystkie te maski podpisał był prawdziwe nazwiska. Słynni liberałowie, jak Sismondi, Benjamin Constant, Say, nie onieśmielają mię, bo nie ceniąc ich zasad, nie poddają się czarowi ich talentu“.

„Wieczory², dzięki p. Gołwinowej w kilku już domach mile przepędzać mogę. Prócz domu Caraman, w którym mnie przedstawiła, zabrałem znajomość z rodziną de la Duchesse de Toursel. Sama staruszka, sławna przez swoje poświęcenie się dzieciom Ludwika XVI, których była guwernantką, niezmiernie przyjemna; opowiadała mi wszystkie wypadki w Versailles podczas rewolucji, między innymi jeden, o którym nigdzie wzmianki nie ma, chociaż najosobliwszy w swoim rodzaju. Oto, ciż sami zbójcy, którzy szóstego Oktobra napadli na zamek i prosto się rzucili do apartamentu królowej, aby ją zamordować, udali się wprzód do kościoła parafialnego św. Ludwika i przymusili proboszcza, aby przed nimi Mszę św. zmówił. Wszystko to stara Duchessa, która

¹ Do *Emilii Grocholskiej* 18 marca 1819.

² 31 grudnia 1818. List polski.

„już ma wnuczki zameżne, opowiada z niewypowiedzianą żywością „umysłu“.

„Zapoznałem się też¹ z hrabiną de Béarn, z domu Pauliną Toursel, córką starej pani Toursel, i w towarzystwie jej i p. Gołwinowej zwiedziłem Conciergerie... Widziałem pokoik zajmowany kilka miesięcy przez królowę; w pokoiku maleńkie okienko i najprostsze łóżko, stojące przez całą długość. Mała ta piwniczka oddzielona jest od strony łóżka parawanem od innego pokoiku, z którego oficerowie gwardyi mieli prawo, a nawet obowiązek zaglądać po za parawan do mieszkania królowej. Pokoik ten urządzony z wielką prostotą; ozdobiono go tylko obrazkami olejnymi, przedstawiającymi ostatnie chwile króla i królowej. Jeden zwłaszcza bardzo interesujący: królowa komunikuje w więzieniu, a wspólnie z nią dwóch żołnierzy stojących na warcie. Obok była zawsze kapliczka dla więźniów; wyrestaurowano ją również jako kaplicę expijacyjną. Kiedyśmy wracali galeryami, pokazano nam jamę, w której zamknięto Madame Elisabeth na kilka godzin poprzedzających jej śmierć na rusztowaniu. Światło dochodzi do tej jamy małym otworem we drzwiach, przeznaczonym dla szyldwachy. Ponurą tę, wilgotną dziurę zostawiono nietkniętą. Biedna ofiara była w bardzo podobnem położeniu, jak P. Jezus, zanim go wydano żydom; ileż łask spłynąć musiało na wielką tę księżnę, mogącą się poszczycić tak szczęśliwem podobieństwem! Jak potężna też łaska uświęciła niezawodnie królowę, straconą na wielkim i wspaniałym placu, zawdzięczającym swą nazwę Ludwikowi XV., a na którym z obu stron oko spoczywa na dwóch królewskich pałacach: pałacu Bourbon z jednej strony, Tuleryach z drugiej. Królowę tak uderzył ten widok, iż wstępując na rusztowanie, zwróciła się ku Tuleryom: *Erudimini reges, qui judicatis terram!* Wychodząc z Conciergerie obtarliśmy się o jakiegoś człowieka, którego wzrok i krzykliwa dzika wesołość przeniosły nas na chwilę w czasy teroryzmu. Pani de Béarn stała jeszcze na tem samym miejscu, na którym była świadkiem wszystkich minionych okropności, a widząc tego człowieka zamykającego cele z jakąś piosenką na ustach, zawołała: „Och! tak wszyscy oni wyglądali!“

¹ Do *Grocholskich*. 2 grudnia 1818.

W niespełna półtora miesiąca po zwiedzeniu więzienia królewskiej rodziny Ludwika XVI., 12 stycznia 1819, stanął Chołoniewski, przyprowadzony przez rosyjskiego ambasadora, w wspaniałych salach Tuleryj, aby innym najbliższym członkom tejże samej rodziny, a na pierwszym miejscu królowi, przedstawić się i przypatrzeć. Wieść o tej prezentacji, dobiegłszy na Podole, nabrała fantastycznych rozmiarów, jakby wyjętych ze zaklętej bajki: opowiadano sobie długo później o niej z pewnem poszanowaniem, wskazywano z tajemniczą miną na szczęśliwego podróżnika, co królowi francuskiemu kłaniał się w własnych jego apartamentach i z książętami krwi rozmawiał. W rzeczywistości prezentacja na dworze przedstawiała się mniej poetycznie, nie była żadnem odznaczeniem ze strony króla, lecz tylko grzecznością ambasadora rosyjskiego, pragnącego zadowolnić ciekawość młodego Polaka, której jednak, sądząc z lakonicznego opisu w dzienniczku, nie zbyt wiele i nie zbyt pożywnego dostarczyła pokarmu.

„Po kwadransie czekania kazano nam wejść na pokoje. *Cercle* „i prezentowanie nas królowi siedzącemu w uniformie. Król trochę „niezdrows. Zadaje pytania ambasadorowi. Przysuwają króla na fo- „telu; nachylając się mówi: Nie bardzo m zdrow, ale jakoś „to pójdzie. *Cercle* u *Madame*; zastajemy ją stojącą przed fo- „telem, z Pauliną de Béarn u boku. *Cercle* u *Monsieur*; zastajemy „go stojącego przed fotelem; prezentacja. *Cercle* u księcia de Bery; „to samo. *Cercle* u księżnej de Bery, młodziutkiej, ale niezgra- „bnej“.

Świeże znajomości, poważne rozmowy, przypatrywanie się sprawom i ludziom publicznym, literackiemu i dworskiemu światu, polerowały bezwątpienia umysł; ale Chołoniewski nie myślał się zadowolnić zewnętrzną tą politurą, podrzędnym tylko celem bytności w Paryżu i zabrał się na seryo do nauki. Z początku ciekawość, polechtana tylu skarbami naukowemi złożonemi w Paryżu, pędziła go z jednego muzeum do drugiego, z jednego wykładu na następny, ale wnet zmiarkował się, że w ten sposób męczy się, dużo czasu straci, a niczego się porządnie nie nauczy. „Trzymam się jak mogę, żartował w liście do Mikołaja¹, to jest jak Dominikan wileński,

¹ Do *Grocholskich*. 8 lutego 1819. List polski.

„którego Emilka zna, mówił mi z litewka: Płaczesz się, płaczesz niebożatko, jak możesz. Z tem wszystkim rozmaistość niesłychana obiektów w Paryżu w niepotrzebną mnie niespokojność wprawia widzenia i nauczania się wszystkiego razem; wada półgłówkom zwyczajna“. Uregulował więc czas, a oddawszy wieczory na łup salonom, teatrom, podziwianiu Talmy i Panny Mars, literackim i przyjacielskim wizytom, poranki spędzał w dwóch swoich pokoikach na trzecim piętrze przy piórze i książce, pilnie uczęszczał na wykłady słynniejszych profesorów, lub zbierał mozolnie szczegóły o różnych metodach uczenia dzieci, aby je później w kraju zastosować.

Wykłady nie zupełnie odpowiedziały powziętym oczekiwaniom: „Więcej w nich wystawy próżnej i chęci robienia sobie partyj jak zamiaru naukowego“¹. Nie zbyt też wiele kładł wagi na prywatne lekye języka greckiego i muzyki, bo nie tail sobie, że aby czytać Homera i poznać główne zasady generałbasu nie koniecznie było potrzeba do Paryża jeździć; natomiast szczególnie mu przez Mikołaja zlecone studia nad różnemi metodami kształcenia dzieci zajmowały go bardzo żywo i dużo pochłaniały czasu. „Zwiedzam² nowe szkoły Lankastra i szkółki kierowane wedle dawniejszej modły przez „Braci nauki chrześcijańskiej;“ obie metody mają na celu ułatwić wychowanie ludowi; która lepsza, o to tutaj nieustanne toczą się walki“. „Ponieważ system Lankastra³, zależący na tem, aby jedno dziecko drugie uczyło, już się w kraju naszym rozszerza, bardzo byłoby dobrze, aby i system Braci zaprowadzić jako potrzebne *antidotum*. Mam już w tym względzie pewne niejasne pojęcia“.

Jakoż nie tak łatwo było zorientować się w pierwszej chwili — tem bardziej, że ze sprawy, która zdawałaby się z polityką nie powinna mieć żadnej styczności, zrobiono jak zbyt często we Francyi, kwestyę polityczną: partya konserwatywna głosowała za szkołami „Braci nauki chrześcijańskiej, a zatem partya liberalna poczuwała się do obowiązku układania hymnów na cześć sy-

¹ Do *Ojca*. 14 Grudnia 1818.

² Do *Ojca*. 14 marca 1819. List francuski.

³ Do *Grocholskich*. 11 marca 1819. List francuski.

stemu Lankastra. „Wahałem się¹ pro i contra, czyli prześladowania „Lankastra nie mam przypisać temu duchowi stronnictwa, któremu „często najlepsze głowy podlegają. Aby się pozbyć tej niepewności, „tak małe jak wielkie szkoły *de l'enseignement mutuel* męskie i ko- „biece odwiedzałem, bawiąc po kilka godzin, od początku aż do „końca klasy w niektórych. Wkrótce i łatwo przekonałem się, jak „niemożna ufać pochwałom zawziętym pp. liberalistów. Prócz „ustawnej komenderówki, stuku i ruchu żołnierskiego, do którego „się dzieci nawyczają, a które tak są nieprzyjazne tej spokoj- „ności i cichości wewnętrznej, tak zbawiennej dla umysłu dziecinnego, „prócz powierzchownej niezmiernie nauki katechizmu i nieprzystoj- „nego zmawiania modlitwy, podczas której dyrektor całą armią „szkolną komenderujący, więcej uważa na postawę zewnętrzną mo- „dlących się, jak na ich rzetelną pobożność; pominawszy, iż za- „trudniony ustawicznie tym mechanizmem, nie może sam dać naj- „lepszego przykładu i sam zgiąwszy kolano mówić modlitwę, lecz „przeciwnie przysłuchuje się jej tylko, jak kapral mustrze swojego „plutonu; pominawszy, mówię, to wszystko, nigdy nie zgodzę się „na metodę, która w dzieciach nieograniczoną miłość własną rozwija... „Wiem, że emulacja wszędzie potrzebna, lecz w miarę i zawsze „przytłumiona powagą dorosłych nauczycieli; w tych zaś szkółkach, „najmniejszy pędrak, co słabizuje, ma prawo być mistrzem swoich „towarzyszy... Im więcej w górę idzie, tem się więcej nadyma. „W posuwaniu zaś na wyższe lub niższe niejsce nieraz się przy- „patrzyłem, jak często każdy z tych dzieci-nauczycielów „małe niesprawiedliwości popełnia, jak przytem ma ton rozkazujący, „hardy, nieprzyjazny. Zarobek więc na koszczie nie może „wynagrodzić złych nałogów: niesforności i dumy, które dzieci tak „łatwo nabywają. Zarobek na czasie żaden bo tak w szkół- „kach dawnych *des Frères de la Doctrine* (w których to, co do- „brego w nowych szkółkach, bez tych wad znajduje się), wciągu „trzech lat kończą klasy, tak jak i w tych nowych. Może zbyt „długo nad tą materią zatrzymałem się... Wiedziałem, że w War- „szawie, gdzie wszystko małpują, co pewna partya tutejsza prze- „myśla lub wychwala, i te nowe szkoły już wprowadzono. Wiem

¹ Do *Ojca*. 26 kwietnia 1819. List polski.

„przytem, że niektórzy w najlepszej wierze popierali te nowe systema. Lecz kiedy idzie o tak ważną rzecz, jak wychowanie polspółstwa w kraju naszym tak ubogim w religię, ślepo przystać na projekt dla tego, że ktoś może powiedzieć: *Magister dixit*, — to mojemu przekonaniu sprzeciwia się tembardziej, iżem się tu już przekonał, iż ci mistrzowie opinii tutejszej, *in quorum verba jurare* pospolicie u nas jest zwyczajem, ci mędrzy bogaci w dzieła, które na świat wydali, w słowa brzmiące, myśli bujne, wyrazy wytworne, katechizmu nie umieją, a co gorzej, jeszcze nim gardzą“.

Przyszłość okazała, że Chołoniewski, nie dając się zentuzjazmować dla modnych szkół Lankastra, miał słuszną; skoro moda przemineła, ucichł sztucznie wywołany rozgłos i wrócono w Paryżu i w Warszawie na bardziej utarte drogi. Z równą trzeźwością przypatrywał się młody podróżny obu politycznym stronnictwom: konserwatywnemu i liberalnemu, ciągnącym Francję we wręcz przeciwnych kierunkach, a widok ten pouczał go znowu tylko i ostrzegał, jak namiętność oslepia najbystrzejsze nawet umysły, oslepia w jednej mierze na niedostatki „własnego sklepu“ i na zalety przeciwnego. Czytając organa obu stronnictw: *Conservateur'a* i *Minerwę*, nie mógł czasem pojąć, czemu ci ludzie, zgadzający się zresztą w tylu punktach, toczą ze sobą tak zażartą wojnę, jakby *Conservateur* był organem absolutycznego Ludwika XIV., a *Minerwa* organem Robespierre'a? Głośno przed nikim nie śmiał się zwierzyć z tych swoich wątpliwości i poglądów; po cichu tylko pytał sam siebie, gdzie prawdy szukać w tym chaosie przeciwnych twierdzeń i wzajemnych oskarżeń¹. „Gdzie jesteś prawdo? rzekłem z niecierpliwością. Nie śmiem cię szukać w Faubourg Saint-Germain, ani w partii przeciwnej liberalistów, ani w gazetach, ani w żurnalach, ani u starych, ani u młodych, ani nawet u dzieci, — tak wszystko technie duchem partii“. To mu tylko było jasnym i w tem żadnej nie miał wątpliwości, że te trwałe wzajemne niesnaski, objawiające się na zewnątrz burzliwymi scenami w parlamencie, do których wówczas nie był jeszcze ogół przyzwyczajony, nie rokują Francji

¹ Do *Ojca* 8 marca 1819. List polski.

świetnej przyszłości. „Długo Francya piła kielich goryczy, lecz jak „widzę nie wypila go do dna“¹.

Wyjeżdżając z domu postanowił sobie Chołoniewski korzystać z pobytu w Paryżu dla przypatrzenia się światu, nabrania zewnętrznej oglądy i pobieżnego przynajmniej rzutu oka na pewne objawy wyższego naukowego życia, ale spełniając ten program we wszystkich kierunkach, nie zapomniał na najważniejszą jego część: na staranie się o bliższe, głębsze poznanie a zatem i ukochanie wiary i życia z wiary. Uczęszczając pilnie na kazania najbardziej wówczas cenionych kaznodziei Macartheego i Gourдона do kościoła św. Ludwika, na adwentowe kazania X. Fayeta, do kaplicy królewskiej na wieczorne nauki X. Clausela, a do Saint-Sulpice na konferencye Freyssinousa — przekonywał się coraz bardziej, że nigdy powiedzieć sobie nie można: znam wszystkie skarby, wszystkie piękności, jakie w sobie ukrywa chrześcijaństwo; lecz przeciwnie każdego dnia zdawało mu się, że w świetle tej lub owej prawdy, jaśniej malującej mu się przed oczyma, odkrył nowe światy, że teraz dopiero zaczyna rozumieć wiarę. Najbardziej może podobały mu się *verba veritatis* „wymownie i odważnie przez Macartheego w Nôtre-Dame głoszone“²; najmniej trafiały do smaku, wchodzące właśnie w modę konferencye, które zwalczając błędne zasady w imię rozumu mozolną kołującą drogą prowadzić miały słuchacza do wiary; a choć przyznawał, że w smutnych ówczesnych okolicznościach i tym środkiem gardzić nie należało, to oko jego przyzwyczajone od dziecka do patrzenia prosto w słońce nadprzyrodzonej wiary, niechętnie błąkało się w tem sztucznym półmroku.

„Obowiązek³, nakazujący siłą rzeczy ludziom utalentowanym rozprawić się na seryo na ambonie, przed audytoryum złożonem z tysiąca słuchaczy, z nedorzeczną i trywialną dyalektyką Woltera i jego współpracowników, jest najsilniejszą krytyką stanu filozofii w tym kraju“. Sam Freyssinous nie innego był zdania, lecz jak zwierzył się Chołoniewskiemu, z którym zaprzyjaźniwszy się, w długich roz-

¹ Do *Ojca*. 4 marca 1819.

² Do *Grocholskich* 26 maja 1819. List polski.

³ Do *Grocholskich* 12 lutego 1819. List francuski.

mowach snuł dalej temata, nieraz ledwie kilku słowami dotknięte na konferencyach, musiał przedewszystkiem starać się o znalezienie jakiegokolwiek dostępnej, choć złej i niewygodnej drogi „do umy-
„słów spaczonych sofistmatami i do serc obojętnością zlodowaciałych“.

Obok Freyssinousa wystąpił niedawno właśnie na arenę do walki przeciw obojętności w kwestiach, odnoszących się do religii, inny bardzo jeszcze młody, a przecież głośny już rycerz, władający jak mieczem językiem Bossueta i Pascala, patetyczny, zdaniem swych wielbicieli jak pierwszy a logiczny jak drugi, ksiądz de la Mennais. Pierwszy tom *L'Essai sur l'indifférence en matière de religion* liczył już pięć wydań i znajdował się w ręku wszystkich. Chołoniewski przeczytałszy go „z wielką przyjemnością“ zapragnął poznać się z autorem. „Zobaczyłem¹ kawaleczek człowieczka, suchego, wycieńczonego pracą i czuwaniem; rozmawiał o wszystkim „poprostu i skromnie; z pogadanki tej niktby nie poznał, jakie to „ciosy z pod jego pióra się sypią“. Przy jednej z następnych wizyt, zapuścił się la Mennais w długą dyskusję, o sposobach przywrócenia religii i Kościoła we Francji do dawnego znaczenia i świętności; zresztą spotykamy jeszcze tylko parę razy w dzienniczku suchą wzmiankę: „Byłem u Mennais'go“. Wyraźniejszego wpływu słynny filozof na Chołoniewskim nie wywarł, a sądząc z zapisków i korespondencji młody Polak o wiele więcej cenił sobie wielu innych mniej głośnych kapłanów, jak np. księży Bineta lub Treverna, nie mówiąc już o Freyssinous'ie, niż genialnego autora, który w przyszłości przynajmniej wbrew twierdzeniu, że pierwsze wrażenie zazwyczaj nie myli, nie miał wcale złożyć dowodów „prostoty i skromności“.

W czasie rekolekcyj odprawianych w Wiedniu zapisał sobie Chołoniewski² następną bardzo prawdziwą i praktyczną uwagę: „Cóż po rozumie, co po naukach, jeśli pokora i czystość serca nie „sprowadzą ich z nieba, jako podarunek od Boga? Próżność, duma „i chęć czezej chwały, pracują około nabycia prawd, które do serca „przywalonego namiętnościami, jeśli nie są przez rozum odrzucone „nigdy wstępu nie znajdują. Jak nikczemna ta istota, która się chełpi

¹ Do *Cecylii Chołoniewskiej*. 25 marca 1819.

² Zapiski z rekolekcyi odprawionych od dnia 1—4 listopada 1818. Po polsku.

„z poznania tych prawd, które jej własne czynności potępiają!“. Aby na zarzuty te nie zasłużyć, aby iść za światłem wskazanem w modlitwie, nie dość było czytać książki, wspaniale traktujące o wzniosłości chrześcijaństwa, i przysłuchiwać się kazaniom, wykazującym piękność cnót chrześcijańskich, ale trzeba było przedewszystkiem praktycznie cnót tych się nauczyć. Szczęściem znalazł dobrego, rozumnego spowiednika, a poddawszy się zupełnie pod jego kierunek, szybko postępować zaczął na wytkniętej drodze, dzięki zwłaszcza co tygodniowej spowiedzi i regularnie towarzyszącym jej tego dnia paru rozmyśleniom. Jednym z pierwszych wprost już praktycznych i bezpośrednich owoców tych rozmyślań, było wstąpienie do Towarzystwa św. Wincentego à Paulo, a zapal i poświęcenie, z jakim nowy członek krzątał się po szpitalach i nędznych mieszkaniach żebraków, jednal poważnione małżeństwa i starał się o kawałek chleba dla błakających się po Paryżu sabaudzkich dzieciaków, rozmawiał o Bogu ze „swymi przyjaciółmi po więzieniach“, zadawały mimowoli kłam zbyt niekorzystnemu o sobie samym mniemaniu.

Przy pobożnych tych wycieczkach wydarzały się czasami sceny, w sobie niewielkiego znaczenia, ale które żywo zapisały się w pamięci młodzieńca i odkrywały przed nim świat tak niedaleki a przecież z wielu względów tak różny od błyszczących salonów w Faubourg Saint-Germain. Jakiś chory, nawrócony z protestantyzmu Alzacczyk, prosił o rozwiązanie dręczących go szkrupulów; to znów nieszczęśliwy umierający w szpitalu Polak, który stracił wiarę może w czasie wypraw napoleońskich, odpowiedział na wezwanie do modlitwy, bolesnym do głębi serca przejmującym uśmiechem; odnalazłszy opuszczoną Polkę, biedną wdowę, kryjącą się ze swą nędzą na dalekiem przedmieściu, trzeba ją było wesprzeć i polecić ją litościwej opiece innych możniejszych Polek; lub wreszcie cierpliwie słuchać należało lamentów żony smutnie słynnego *Simona*, kobiety niewinnej, jak ręczyły sąsiadki, a wyratowanej z nędzy przez rodzinę królewską. Słodką pociecha, jakiej doświadczał po każdym nowym dobrym uczynku, po każdej rozumnie udzielonej moralnej czy materyalnej jałmużnie, była obfitą nadgodą za podjęte zachody i choć bardzo jeszcze niewyraźnie, to coraz częściej nasuwała się

myśl: a czemużbym całego życia nie miał oddać na służbę Bożą, na pocieszenie mych bliźnich i prowadzenie ich do nieba?

Myśl ta była jakby pierwszym zawiązkiem odpowiedzi na pytanie, które dręczyło już oddawna duszę Chołoniewskiego, stało się jednym z głównych powodów podróży do Francji i najprzód w Wiedniu, później bardziej jeszcze w Paryżu, wystąpiło z całą siłą i jasnością: Czego Bóg odemnie chce? jakie me powołanie? jaką mam drogą iść do Boga? „Widzisz mnie Panie, modlił się w czasie rekolekcyj wiedeńskich¹, niedawno zwróconego na drogę służebników Twoich, po długim czasie obłąkania, opieszałości i życia „bezbożnego. Z bojaźnią sądów i sprawiedliwości Twojej, ale z bojaźnią niewolniczą bez prawdziwej miłości, postępuję opieszale „ci ciężkiem sercem tą drogą zbawienną. Bez prawdziwego powołania, bez celu stałego w działaniach doczesnych, z trwogą i niepewnością w umyśle postępuję“. „Módl się za mnie, prosił siostry², „przybywszy zaledwie do Paryża, bo wiesz, jak w dobrem jeszcze „jestem nie utwierdzony, jak na każdym kroku lękać się muszę“. „Spytasz skąd te walki — odsłaniał dalej tajniki swej duszy w liście do szwagra³ — czemu mi wszystko idzie jak z kamienia? — Odpowiem „ci: daj mi pobudki do stałego przedsięwzięcia w teraźniejszym „mojem położeniu; daj — o co codziennie Boga proszę — powołanie, „a wonczas z radością wszelkie ofiary poniosę. Dotąd ile razy potrzeba poświęcenia się w jakibądź sposób, gwałtownie daje mi się „ten brak uczuć; projekta pracowania dla jakichśi oddalonych celów nedorzeczne mi się wydają, a jeśli mi każe rozum odrzucać „takowe myśli, to się obawiam z drugiej strony, czy głosu sumienia nie odrzucam. Wszystko to są wybiegi i wykrętarstwa głowy, „nie zajętej prawdziwie i jedynie tylko potrzebnymi rzeczami dla „dobra własnego. Zadawniona to u mnie choroba; niedziwicie się „więc dzieci moje, a znoście mnie i módlcie się za mnie. Rozpieściliście mnie waszem sercem i na świat wypchnęliście. Nie daj „Boże wam doznać, co to jest być w mieście jak Paryż bez przyjaciela, z którym by można o Zbawicielu naszym, Chrystusie „Panu pomówić“.

¹ Zapiski rekolekcyj od 1—4 listopada 1818.

² Do *Cecylii Chołoniewskiej* 22 listopada 1818. List polski.

³ Do *Grocholskich* 9 Grudnia 1818. List polski.

Po bliższem rozpatrzeniu się przekonał się Stanisław, że i w Paryżu znaleźć można takich przyjaciół, że i tutaj „istnieją wielkie „cnoty, cnoty słodkie i skromne, cnoty wszelkiego rodzaju, i że cnoty „te kryją się nieraz tam, gdzie zdawałoby się, że najtrudniej je „odnaleźć, między ludźmi żyjącymi po elegancku, po światowemu“¹. Przebiwszy raz cienką salonową powłokę, ukrywającą te cnoty przed oczami obojętnych znajomych, można było i z tymi przyjaciółmi długo i gorąco pomówić o Chrystusie Panu, a niektórym jak np. pani Świeczyn zwierzyć się nawet z piękniemi, choć w niedość jeszcze ściśle ramy ujętemi, zamiarami na przyszłość². Zupełnie już wprost i szczerze wylał Chołoniewski całą swą duszę, skreślił obraz wszystkich swych wątpliwości przed spowiednikiem księdzem Borderies, odbył generalną spowiedź, „która mogłaby posłużyć za tekst, do „pięknej bardzo energicznej homilii“ i zapytał o radę. Spowiednik odpowiedział roztropnie, że jeśli nie czuje szczególnego powołania do stanu duchownego, to wtedy nie potrzebuje długo a bezużytecznie biedzić się z myślami, ale idąc drogą wskazaną przez naturę, a zatem przez Boga, naprzód niech się postara o dobrą żonę a potem dopiero, jeśli obowiązki ojca rodziny zostawią mu nieco wolnego czasu, będzie można zastanowić się jak najlepiej go użyć. Wyborna rada i w teorii Chołoniewski najzupełniej na nią się zgadzał, ale czy głos Boży wzywa go do stanu duchownego, czy owa raz po raz a każdą razą silniej występująca chęć, rozszerzenia w około chwały Bożej, nie jest właśnie oznaką, że Bóg inne ma jakieś względem niego zamiary: oto praktyczne pytania na które spowiednik odrazu odpowiedzieć nie chciał i nie mógł, a które dnia niemal każdego stając przed duszą młodzieńca, coraz natarczywiej domagały się odpowiedzi.

I kto wie, w którą stronę już teraz stanowczo skierowałyby się kroki Chołoniewskiego, gdyby bardzo smutne wieści z Janowa, otrzymane w chwili najgorętszej walki i pracy nad sobą, nie zwróciły nagle w inną stronę jego myśli i nie zmusiły go do co najrychlejszego wyjazdu z Paryża. Od kilku już miesięcy każdy niemal list przynosił nowe szczegóły o słabości ojca spowodowanej

¹ Do *Grocholskich* 24 marca 1819.

² Do *Grocholskich* 19 maja 1819.

a przynajmniej przyśpieszonej boleścią, jaką napęłniły go wiadomości o krótkiej lecz bardzo ciężkiej chorobie córki Cecylii; pod koniec maja listy zwiastować poczęły tak zatrważające nowiny, że Stanisław zaniechawszy planu zwiedzenia w powrocie Szwajcaryi, wybrał się jak mógł najspieszniej do domu, prosząc Boga, aby mógł jeszcze przynajmniej ojca zobaczyć przy życiu i ostatnie chwile mu osłodzić. Dziesięć dni trwała męcząca fizycznie i moralnie, bo w ciągłej niepewności o stanie ojca, jazda do Wiednia; tu dopiero Chołoniewski odetchnął swobodniej, kiedy Rozalia Rzewuska wręczyła mu uspokajające listy z Janowa. Dalszy pośpiech w drodze byłby zupełnie zbytecznym; czemuż więc, ulegając życzeniom samego ojca i prośbom przyjaciół, nie kończyć w Wiedniu „edukacyi“ przerwanej w Paryżu?

Dawni i nowi, ale wszyscy dobrze znajomi: O. Hofbauer, Kossakowski, Krasicki, Giżycki, Wąsowicz, Podoski otoczyli kołem podróżnika. W salonach hetmanowej Rzewuskiej, która, jak w długie lata później z wdzięcznością wyrażał się Chołoniewski¹, „żywiła dla mnie uczucie rodzonej matki“, poznał Fryderyka Schlegla, a długa dwugodzinna pogadanka o Niemcach i Francyi, tolerancyi religijnej i filozofii, zacieśniła odrazu między nimi węzły jeśli jeszcze nie przyjaźni, to już czegoś więcej, niż prostej salonowej znajomości. Raz zrobioną znajomość podsycala odtąd i zwolna zmieniała w przyjaźń częsta korespondencya, bo dążący do tego samego celu, jak pisał Schlegel w parę lat później do Chołoniewskiego², nigdy w życiu tem, tak szybko mijającym tracić się nie powinni z oka, lecz łączyć się, o ile to możliwem. Z Wernerem, dla którego Chołoniewski umyślnie do Gracu pojechał schodzili po dawnemu długie godziny na niekończących się rozmowach i dysputach. Werner, Chołoniewski i wspólny ich przyjaciel Kohlmann, malarz i poeta zarazem, pędzili przez dni kilka życie prawdziwie poetyczne: Werner przez długie godziny pracował nad jakąś balladą, Kohlmann noc całą ją przepisywał, a później kiedy już Werner z Chołoniewskim odmówili wspólnie różaniec, odczytywano i poddawano nowy utwór wszechstronnej krytyce. Przy jednym z takich literackich posiedzeń

¹ Do *Rozalii Rzewuskiej*. Janów 9 czerwca 1844.

² Wiedeń. 2 czerwca 1823. List francuski.

wspomniano o Włoszech, królestwie poezji i sztuki; Włochy były tak blisko, jakże oprzeć się pokusie i nie zawadzić przynajmniej o miedzę rozkosznego kraju, którego kto nie widział, niczego nie widział? Trzej poeci zdecydowali się szybko: siódmego lipca byli już na drodze do Wenecji; stąd Werner i Chołoniewski wpadli na parę godzin do Padwy, a zaczerpnawszy balsamicznego włoskiego powietrza, rzuciwszy okiem raz jeszcze na laguny, a nagadawszy się do syta o religii i Byronie, księżach i romantycyzmie, stanęli w ostatnich dniach lipca w Meriatrost z powrotem z tej prawdziwie romantycznej wycieczki¹.

Całą noc z 30 na 31 lipca przepędził Werner najprzód na rozmowie, potem na tworzeniu poetycznego „pożegnania i pamiątki dla ukochanego brata Stanisława i wszystkich jemu i mnie drogich“.

„Cel, dla którego Chrystus nas połączył
„Trzymać nas będzie złączonych na wieki
„Czy błyskawica, czy nam słońce świeci
„Wiemy, że Boga jednego to dzieci...
„Wiemy, że w niebo prowadzą katusze
„Że ból jest węzłem, co łączy dusze,
„Że tym podarkiem na krzyżu zrodzonym
„Bóg wszystkich swoich obdarza wybranych“. Amen².

Pamięć na chrześcijańskie te prawdy, tak zawsze i dla każdego pożyteczna, dla Chołoniewskiego w tej chwili szczególną miała wartość. Po chwilowym polepszeniu, choroba miecznika zaczęła na nowo przybierać zatrwającą postać, a kiedy Stanisław puściwszy się bez zwłoki w dalszą pospieszną podróż, przybył w połowie sierpnia do Janowa, zastał ojca w łóżku, bardzo osłabionego, a z miny doktorów wyczytał, że rozsądnej nadziei robić sobie nie może³. Sam chory przeczuwał również bliski swój koniec, choć łudził się, że będzie mógł być jeszcze na weselu syna Jędrzeja z panną Elżbietą

¹ Dziennik z podróży do Gracu, Triestu, Wenecji, Padwy. Po francusku.

² Cały wiersz, którego koniec w polskim tłumaczeniu podaliśmy składa się z pięciu sześciowierszowych i jednej jedynastu wierszowej zwrotki. W papierach X. Chołoniewskiego znajduje się oryginalny tekst tego wiersza, tudzież kilka innych utworów poetycznych Wernera przez niegoż dla przyjaciela własnoręcznie przepisanych.

³ Następne szczegóły wedle dzienniczka zatytułowanego: „Papy stan zdrowia dzień po dniu od czasu przybycia mego“.

Giżycką, które odkładane z miesiąca na miesiąc, ostatecznie stanowczo we wrześniu w domu rodziców panny młodej miało się odbyć. Na Stanisława przypadł niemiły obowiązek wyperswadowania ojcu tego zamiaru; coraz większa niemoc uczyniła go do wykonania niepodobnym. Sama więc tylko Emilia ze Izą w oku towarzyszyła bratu na wesele; Stanisław został przy ojcu, a rozmawiając o „Naśladowaniu Chrystusa“ Tomasza a Kempisa i Fenelonie, czytając na głos ewangelią, razporaz przez siebie i przez innych przypominał, czy nie czas by było z Bogiem się przez spowiedź pojednać i przyjąć ostatecznie Sakramenta, które przecież nigdy nikomu nie zaszkodziły. Miecznik w zasadzie bynajmniej się temu nie sprzeciwiał; sam z największą przyjemnością czytał „Naśladowanie Chrystusa“, mszy św., odprawianej w pokoju chciał zawsze koniecznie słuchać na kłęczkach, choć raz o mało nie omdlał z osłabienia; ze spowiedzią tylko zwłóczył z dnia na dzień, ludząc się, że jutro, pojutrze lub za kilka tygodni mniej może będzie zmęczony, lepiej się przygotować potrafi.

Wreszcie w wilię Narodzenia Matki Boskiej „mimo że zrana „odkładał był do jutra, wyspowiadał się jak najpiękniej. Wielka „radość; chciał przyjąć komunię jutro rano na Narodzenie Najśw. „Panny... Później siedząc koło łóżka gadałem o weselu Jędrzeja, „o intercyzie szczęśliwie spisanej, o przybyciu Grocholskiego etc. „Domawiałem sobie cicho modlitwy. Słuch ma tak dobry, iż spytał mnie, co mówię. Odpowiedziałem mu prawdę... Gdym się zbliżył i prosił go o pocałowanie ręki, do czego już go przyzwyczaiłem, westchnął i ścisnął mnie. Ja korzystając z momentu „ukląkłem i prosiłem o błogosławieństwo. Przeżegnał mnie. Dodałem: I dla Emilki i dla Cesi i dla Jędrzeja. Za każdą „razą żegnając mnie mówił: I dla Emilki i dla Cesi i dla „Jędrzeja“...

„Wieczór o 10-tej przyszła szczęśliwa nowina o ślubie Jędrzeja; o drugiej popołudniu odbył się akt ten; pisali Jędrzej „i Eliza do ojca i do mnie. Wszedłem dawszy pretekst szukania „czegoś; potem przypomniawszy, iż dziś dzień ślubu, dodałem, iż „już przyszły i listy o tym ślubie. Kazał je sobie czytać, robił „jakieś trudności co do dnia ślubu. Uspokoilem go mówiąc, iż tu

„zjadą zaraz i wszystko będzie przygotowane dla nich. Czy będą tani? — rzekł. Mówiłem, iż i bez nich bawić się będą“ ...

... „Rano odsłoniłem franki i oznajmiłem, że msza się zaczyna. Służyłem do mszy, wzdychał i uważał pilnie ojciec; gdy przyszło do komunii, odezwał się, że się nie spowiadał i nie przygotował. Przypomniano mu, iż się spowiadał i przygotował, iż dziś N. Panny Narodzenie. Podniósł się trochę i siedzący czekał. Gdy zbliżył się ksiądz z Ciałem i Krwią Przen. westchnął i wymówił ojciec: „Ach, Boże mój!“ Gdy już był blisko, rzekł jeszcze: Ja nie przygotowany, przez szkrupul! Odpowiedział: Przygotowanyś. *Oto Ciało i Krew Pańska*. Nachylił się słaby z uszanowaniem i przyjął Przen. Sakrament. Ksiądz wrócił do ołtarza i ukończył ofiarę mszy św. Słaby przez ten czas ciągle siedział i nie chciał się dla uszanowania położyć, ani też winem zaraz popić. Po mszy przyszedliśmy do niego; gwardyan mu winował; ja kląkłem i prosiłem o błogosławieństwo, a żem wczoraj o Mikołaju zapomniał, tą razą o nie i dla niego prosiłem... Przymtomnie bardzo z gwardyanem rozmawiał. Gdy się ten go pytał, dlaczego tak był niespokojny, odpowiedział: Bom się bał, żem nie przygotowany, i żem pierwiej pacierzy nie zmówił. Uspokoił go gwardyan zupełnie, tak że prosił, aby już nie odchodził“.

„We wtorek, 9 września¹, słabnąć zaczął widocznie. Wyjechałem do Pikowa na spotkanie nowo zaślubionych, aby przyspieszyć ich przyjazd. Przed południem zajechali. Trudno wyrazić radość ojca, wciąż rozmawiał z Elizą. Namówiliśmy go do kilku toastów, aby go tak skłonić do pokrzepienia się starem winem. O szóstej wieczorem sam pierwszy poprosił o Ostatnie Pomazanie... Akt ten odbył się natychmiast w obecności całej rodziny i wszystkich sług; nigdy jeszcze ojciec tak pięknym mi się nie wydał; z cicha spokojnie i poważnie się modlił. Cała ceremonia wyglądała raczej na wstęp do jakiejś wielkiej uroczystości, niż na przygotowanie na śmierć... Nazajutrz rano kazał sobie przynieść kulczyki przeznaczone dla synowej i sam je jej wręczył.. W nocy, z czwartku na piątek, w dzień św. Tekli, patronki dobrej śmierci,

¹ Do *Cecylii Chołoniewskiej* 27 września. 1819. List franc. — Dziennik urywa się z dniem 8 września.

„zasnął ukochany nasz ojciec snem sprawiedliwych, bez konwulsyj, „bez ciężkich boleści, z Chrystusem przed oczami, z Chrystusem „w ręku... Droga jest w oczach Boga śmierć „sprawiedliwego. Zaprosiliśmy biskupa na pogrzeb. Przez dwanaście „dni była ekspozycja ciała, po 50 mszy co dzień; w poniedziałek „22-go eksportacya. Obywatelstwa bardzo wiele, do 2000 ludzi „pospółstwa; prócz innych kazań miał mowę piękną pocziwy To- „maszewski. We wtorek cały dzień w kościele nabożeństwo; Jezuita „piękne miał kazanie. We środę po długiem nabożeństwie i bardzo „pięknem kazaniu ks. Maciejewskiego i egzorcie biskupa, złożyliśmy „ojca nieboszczyka w grobie familijnym, obok matki nieboszczki“.

Śmierć ojca, wespół z wielką boleścią serca spowodowała cały zastęp kłopotów, interesów, familijnych narad i działań; były to miesiące dla Stanisława nad wyraz przykre, a w niektórych otuchy dodawał sobie raz po raz w listach wracającym okrzykiem: „Cześć Jezusowi!“ Wreszcie rozjechał się „sanhedryn familijny“, rođenjeństwo uregulowało majątkowe stosunki z przykładną zgodą, a Stanisław na własną rękę objął zarząd Janowa. Ale prowadzenie spraw majątkowych i gospodarstwo, mimo, iż starał się w nie wżyć i przywoził sobie na pamięć wielkie zadanie obywatela wiejskiego, nie wystarczało mu i nie odpowiadało wrodzonym zdolnościom i skłonnościom. I znowu w rozmowie z samym sobą wśród licznych samotnych podróży, w długich ustnych pogadankach z Grocholskimi, w korespondencyi z siostrą zakonnica i przyjacielem Wernerem, pojawiać się poczęło pytanie, zagłuszone chwilowo nawalem boleści i pracy: „Jak życiem pokierować, aby nie przeszło marnie lecz obróciło się na pożytek ludzi i kraju, na służbę Bożą; czego wódz niebieski odemnie się domaga, pod jaką chorągwią w wojsku swoim stać, w jakim kierunku iść mi każe?

Pytania te, oddawna niepokojące Stanisława, nasunęły mu się z podwójną energią, kiedy w pierwszych dniach sierpnia 1820, wybrał się do Wilna, do siostry Cecylii, która zdążywszy wreszcie do dawno upragnionego kresu, miała się w dzień Wniebowzięcia N. Panny, przez uroczystą profesję na wieki Bogu poświęcić. Widok Maryi, Cecylii po ludzku nawet mówiąc przekonywał, że służba Boża nie tak ciężka, jakby się to z daleka patrzącym wydawać

mogło. „Cesię naszą¹ zastałem w jak najpiękniejszym zdrowiu duszy i ciała. Na tak wielką i dziwnie piękną odmianę, jaką w przeciągu dwóch tych lat zastałem, nie wiedziałbym, co i jak ci powiedzieć, jeśli by mnie psalmista nie dopomógł. Z nim więc nieustannie powtarzać będę, — co już przed rokiem dobrze potrafiłeś ocenić, — że to jest dzieło Pańskie i że jest dziwnem w oczach naszych“. „Nigdy jeszcze nie była tak silną² i nie wyglądała tak dobrze, jak teraz. Twarz szlachetna, wymowna; oko czarujące; rozmawia wolno, ale z większą siłą niż dawniej... Przewidywałem to zawsze i nieraz powtarzałem, że Cesia stworzona do latania tam, gdzie zwykli pocziwi śmiertelnicy z trudnością się wleką“. „Jest szczęśliwa³, zadowolona i w harmonii z sobą samą i ze wszystkimi innemi; a pokój ten jest owocem prawdziwej miłości. Dusza jej przedstawia precudny obraz dla wszystkich, dla których tak jak dla nas żadnych nie ma tajemnic. Na mnie wywarła wrażenie, jakie wywiera na wyobrażenie mieszkańca stref zimnych i ponurych, rzut oka na rozkoszne łąki i lasy, na wspaniałą naturę, roztaczającą się pod wiecznie uśmiechniętem niebem, a które po raz pierwszy daje wyobrażenie o obrazach i barwach w nieczem nie podobnych do jedynie mu dotychczas znanych⁴ ponurych, przyémionych kolorów własnego swego kraju. *O! il bel paëse!*..

W uroczystość Wniebowzięcia N. Panny, w obecności biskupa i tysięcy do głębi wzruszonych tłumów, odbyła się profesya Cecylii, „spokojnej i pogodnej, pięknej ciałem, precudnej duszą“. Stanisław wśród ogólnego wzruszenia i płaczu pożegnał siostrę od stóp ołtarza w imieniu całej rodziny⁵.

...„Świadkiem będąc od lat kilku, twych siostrę kochaną za miarów pobożnych, które cię przy pomocy Boskiej do upragnio-

¹ Do *Mik. Grocholskiego*. Ryga 24 sierpnia 1820. List polski.

² Do *Grocholskich*. Wilno 12 sierpnia 1820. List francuski.

³ Do tychże. Wilno 9 września 1820.

⁴ Do *Grocholskich*. Wilno 16 sierpnia 1820.

⁵ *Pożegnanie siostry Maryi Cecylii Choloniewskiej* zostającej w nowicyacie zakonu Nawiedzenia Maryi Panny w Wilnie, przez zastępującego miejsce rodziny brata młodszego Stanisława w dzień Profesji tejże siostry przypadającej na uroczystość Wniebowzięcia N. Maryi Panny w Wilnie dnia 15 sierpnia 1820. Rękopism. str. 11.

„nego doprowadziły celu, do poświęcenia się na zawsze miłej służbie
„Jezusa Chrystusa, z rozrzwaniem serca dzielę radość i wesele
„serca twojego, bo mi Bóg miłosierny dozwolił, abym się przypa-
„trywał drogom Jego Pańskim, któremi cię łaska Jego do przy-
„bytku najwyższej miłości wiodła, drogom pełnym miłosierdzia,
„łagodności i niebieskiej ponęty, na które ludzie sami podobnych
„sobie nie są zdolni naprowadzić... We wszystkich wypadkach ży-
„cia naszego Opatrzność Boża łagodnie jaśniej nad nami, lecz
„wszechmocność Jego nigdzie w większej okazałości i mocy nie
„stawi nam się przed oczy, jak w powołaniu człowieka do wyrze-
„czenia się samego siebie, do dobrowolnego i zupełnego poświęce-
„nia się Bogu... Któż zwalczy duszę, w swem obląkaniu godniej-
„szą jeszcze miłosierdzia Twojego Panie? Ty jeden, o Boże i Stwórcu!
„Czego świat cały, rozkosze i ciernie jego, okropne losu igrzyska,
„ów nawet do dna wypróżniony kielich goryczy, zgotowany pośród
„burz i namiętności serca; czego ludzie najświętsi nie zdolali, Ty je-
„den dokonasz“!..

Kto znał bliżej tajemnice serca Stanisława, ten słuchając tych słów powiedzieć sobie musiał, że mowca mimowoli zapewne, ale raczej do siebie, niż do siostry przemawia, zasyła modlitwy przed tron Boży raczej za sobą, niż za nią. Istotnie, jeśli aż dotąd wahał się jeszcze niepewny, to w tej chwili uderzony niezamąconem szczęściem siostry, pod wpływem jej rozmów, ale najbardziej, jak silnie był o tem przekonany, pod wpływem jej modlitw, dojrzało w jego sercu postanowienie, które przed dwoma latami, również w Wilnie pod temi samemi wpływami kielkować zaczęło: „wyrzeczenia się samego siebie, dobrowolnego i zupełnego poświęcenia się Bogu“. Jeśli dotąd może piękne, uroczyste sny wykolysane w wyobraźni brał za rzeczywistość; poetyczne marzenia za dobrą, wartość mającą monetę; to teraz patrząc na siostrę, dojrzeć i powiedzieć sobie musiał, że powołanie do służby Bożej nie zależy na marzeniach, lecz domaga się męskich czynów, że jak i życie i chrześcija- nizm, choć opromieniony blaskiem poezji nie jest poezją, tak oszukałby się, ktoby pod wpływem poetycznego natchnienia przybrał się w sutannę kapłańską lub welon zakonnicy. Powołanie do służby Bożej nie może być ani dziełem wyobraźni, ani wynikiem ludzkiego, przez sam rozum podyktowanego rachunku; wchodzi tu

w grę inne wyższe z nieba rodem czynniki, które uszlachetniwszy wyobraźnię, oświeciwszy rozum i zapaliwszy wolę, wskazują rozumowi w dziwnie pięknych, choć prawdziwych kolorach cel, do którego ma dążyć, a wolę prowadzą za rękę do tego celu, tj. do obrania sobie w szczególny sposób interesów Bożych za interes własny, do poświęcenia życia i wszystkich sił tym Bożym interesom. Stanisław otwartą miał duszę na przyjęcie tego światła Bożego, tej łaski powołania, jak ją zowią ascetyczni pisarze; bez trudności więc niebieski ten promień sprowadzony modlitwami i przykładem siostry i wiernych przyjaciół znalazł drogę do jego serca, a dnia każdego przybierając na sile, wnet rozprószyć miał zupełnie dotychczasowy pomrok. „Widzisz więc ¹ *Filiola mea*, cieszył się „i dziękował siostrze, że dobrym jest dla nas Pan, *quoniam bonum „Dominum habemus*. Winienem Mu za Twoją przyczyną tę łaskę, „iż zupełnie już jasno widzę, do jakiego celu mam zdążać, a ufam, „że mi wskaże i odpowiednie środki... Zima mija zwolna, ale „czuje, że mija; obym tylko najprędzej mógł powiedzieć: *Hiems „transiit!* minęła bezpowrotnie! Módl się za mnie!“.

Czas niepewności i ciągłego wahania się, czas nieokreślonych marzeń i burzliwych walk młodzieńczych dobiegł do swego kresu; serce zahartowane doświadczeniem życia, młode jeszcze, ale już niejednem cierpieniem i zawodem zranione, zwróciło się wyłącznie do Boga, który jeden tylko mógł wypełnić i zaspokoić. Bóg woła mię do wyłącznej swej służby, to było teraz dla Stanisława niewątpliwym pewnikiem; pragnienie wyłącznego poświęcenia się Bogu gwiazdą przewodnią, której ani na chwilę z oczu nie spuszczał. I szedł choć z mazołem i przeszkodami za gwiazdą, błyszczącą coraz jaśniejszem światłem, czując i wiedząc, że byle z drogi nie zbaczal, dojdzie do Chrystusa i będzie mógł Mu złożyć hołd powinny z całego swego życia, z wszystkich marzeń, chęci i prac. Innego ideału ani pragnienia odtąd już nie miał, bo odtąd, a można to powiedzieć bez obawy przesady, wszystkie ideały i pragnienia płynęły z tego jednego źródła oświeconego słonecznym promieniem miłości Bożej i do niego wracały.

¹ Do *Cecylii Chołoniewskiej*. Janów 25 września 1820.

V.

Obiór stanu kapłańskiego.

W tydzień po profesyi siostry, podążył Stanisław na dni kilka do Rygi. „Po co do Rygi? ¹. Cesię porzucił! poleciał jak „waryat! Nie zna tam nikogo! powiesz może i brwiami po swemu pokręcisz. Ja ci na to odpowiem: Cesię porzuciłem, abym „Cesi komisu dopełnił, która mi listy do Szadurskiego ² dała i do „O. Calebotty ³, mających się w Rydze na te dni zjechać. Przytem dość mi się chciało odwiedzić przyjaciółkę, czyli przyjaciela „mojego (jak chcesz) *Morze*, którego już od roku nie widziałem. „Wszakże, jeśli się nie mylę, i w tobie dostrzegalem sympatyę do „pani *Morze*, a zatem nie dziw się moim sentymentom, zwłaszcza „że od Wenecyi więcej z nią nabrałem poufalości. Miasto Ryga cudziemiemską ma postać. Budynki dość piękne. Rzeka Dźwina wspaniała. Byłem wczoraj w Dünamünde, przy ujściu Dźwiny do mo-

¹ Do *M. Grocholskiego*. Ryga 24 sierpnia 1820. List polski.

² Ojciec Wizytki, matki Szadurskiej.

³ O. Calebotta, który następnie długo przebywał w domu Grocholskich, i wywarł pewien wpływ na Chołoniewskiego, był Jezuitą. Wprawdzie Jezuici jeszcze w lipcu 1820 zostali z Rygi wypędzeni, ale powszechny szacunek, jakim otaczali ich mieszkańcy, a na pierwszym miejscu generał gubernator Pauluzzi, sprawił, że patrzano przez szpary, kiedy czasem jaki Jezuita zjawił się w mieście. Zresztą ostrze cesarskiego dekretu wymierzone były przeciw zakonowi, jako korporacyi; o pojedynczych członków nie wiele się troszczono.

„rza. Z Brandwachtu w porcie patrząc się na morze Bałtyckie „żółte, brudne i sine bałwany w całej swej okropnej okazałości „rozpościerają się. Kilkanaście okrętów odjeżdżało z pomyślnym „wiatrem... Tęsznota mi się jęła. Oderwałem się od tego widoku, „przypominając sobie ową piękną powieść Goethego o rybaku, któ- „rego serce tak mocno pociągnął strumień jakowyś przeźroczystry, „lecz głęboki, że nakoniec za sercem i samego wciągnął. Tak da- „lece jednak, nie rozumiej, abym był czułym na piękności natury, „a potem: co ma wisieć, nie utonie“.

Mieszkańcy Strzyżawki czytając te słowa domyślali się w nich pewnie jakiejś poetycznej, głębiej sięgającej aluzji. Następne listy, przyjacielskie zwierzenia się, a bardziej jeszcze tryb życia zaprowa- dzony po powrocie z Wilna w „janowskim klasztorze“, jak Choł- niewski pół żartem, pół seryo zamek swój nazywał, utwierdzić ich musiały w przekonaniu, że przeźroczyście a głębokie morze łaski Bożej, nie ślad piękności, lecz piękność sama, ciągnie ku sobie z coraz większą siłą szlachetne to serce. „Dusza wciąż do wiecznej Miłości i dąży i tęskni, rozpoczynał¹ Stanisław pierwszy swój list po odjeździe z Wilna, a nuta ta zawsze żywo brzmiąca, teraz od- zywa się z nową siłą i każdego niemal dnia zyskuje na dźwięku i jasności tonu. Miłość Boża, która rozpałała mu się w sercu nie była poetyczną grą wyobraźni, ani zagadkowym wytworem z Nie- miec zapożyczonych filozoficznych teoryj, lecz była to miłość, rzecby można dziecinna, tuląca się z naiwną ufnością do stóp ukrzyżowa- nego Zbawiciela, szczerze chrześcijańska, w duchu Kościoła i w du- chu świętych pojęta miłość Jezusa. „Bardzo wielki i bardzo słodki „ten ukochany nasz Mistrz, pisał dalej w tym samym liście do sio- „stry, a świat, nawet świat stosunkowo poczciwie żyjący, godnym jest „politowania, że nie zna czaru Bożego, przywiązanego do świętego „imienia Boga-Człowieka. Wszak On przecież tylko dla świata na zie- „mię zstąpił, i wycierpiał tyle dla pozostawienia wiecznej pamiątki „swej słodczy temu światowi, który, jakby zapomniał, jakby nie „umiał przemawiać doń tem słodkiem i straszliwym imieniem“.

*Oft muss ich bitter weinen,
Dass Du gestorben bist,*

¹ Do Cec. Chołniewskiej. Grodno, 18 września 1820. List franc.

*Und mancher von den Deinen
Dich lebenslang vergisst.
Von Liebe nur durchdrungen,
Hast Du so viel gethan,
Und doch bist Du verklungen,
Und keiner denkt daran¹.*

Rzecz prosta, że pokochawszy tak „słodkiego swego Mistrza“, pragnął Chołoniewski jak najwięcej i najlepiej w modlitwie z Nim przestawać, że w gronie równomyślących najmilej mu rozmowa o Jezusie z ust płynęła; że „cierpliwa, wszystko znosząca miłość“, dawała mu sił w ciężkich przejściach, podtrzymywała w codziennych trudnościach. „Mam dużo długów² spłacić w czasie kontraktów, żadnych lub bardzo mało dochodów, znikąd pocziwej rady. „Ale Jezus Chrystus jest przy mnie *omnibus diebus* i to mię podtrzymuje. Odkąd oddałem Mu wszystko, nabrałem więcej otuchy, mam więcej rozumu . . . Na modlitwie bardzo *oschłej* przepędzam pół godziny. Do Komunii św. przystępuję przynajmniej co 15 dni. Pomódl się tylko, aby mi z głowy nie wyleciały wyborne Twoje uwagi co do zajmowania się majątkiem. Głupia gorączkowość mi przeszkadza; roztargnień bardzo wiele. Kiedy nie czas po temu, to mam chęć do modlitwy; kiedy czas odpowiedni, modlitwa idzie jak z kamienia. Tak zawsze dzieje się z tymi, którzy dopiero pierwsze kroki zaczynają stawiać. Ale nadziei tracić nie chcę; ufać będę w Panu, choćby mię zabił. Tak długo, jak cymbał brzącać będę to sobie powtarzał, aż wreszcie i w duszy obudzą się odpowiednie dźwięki“.

W miesiąc później wraca znów do tego samego tematu, który widocznie nie mniej jemu samemu jak i siostrze leżał bardzo na sercu³. „Dziękuję ci serdecznie, że tak się zajmujesz i nie prze-

¹ Często i długo płaczę gorzko Panie,
Pomnąc na mękę Twoją i konanie,
I że niejeden z Twych uczniów gromady
Zamazał w sercu wszelkie Twoje ślady.
Miłością dla mnie gorejąc mój Boże!
Łask swoich na mnie całeś wylał morze:
A otoś zniknął w zapomnienia fali,
I nikt się nawet nad tem nie pożali.

² Do *Cec. Chołoniewskiej* 21 października 1820. List franc.

³ Do *Cec. Chołoniewskiej* 20 listopada 1820. List franc.

„stajesz mię badać, jak idą interesa mej duszy... Rozmyślanie od-
„prawiam wiernie każdego dnia. Przerywam je odczytując krótki
„jaki rozdział ze św. Augustyna lub innej jakiej książki przypada-
„jącej do mego duchownego smaku; później medytuję dalej. Ponie-
„waż nie rozumię się dosyć na tych interesach i jestem wystawiony
„na gorączkowy pośpiech, a stąd na silne roztargnienia, musiałem
„sobie dopomódz książką rozmyślań o Ewangelii, jak ktoś co nie-
„bardzo pewnym jest własnych nóg, woli raczej chodzić o lasce,
„niż bez niej zmęczyć się po nad siły, a może nawet narazić się
„na ustanie w drodze. Mam już dosyć doświadczenia, aby wiedzieć,
„że rozmyślanie, odprawiane wiernie choćby z największą oschłością,
„jest największą zachętą i przygotowaniem do Komunii św.“

W rozmyślaniach tych, w kornej modlitwie przed Bogiem, pierwszym pytaniem, jakie Chołoniewski sobie stawiał i wszechstronnie rozbierał, było znowu: „Czy Bóg odemnie żąda, abym mu słu-
„żył w stanie duchownym, a jeżeli żąda, jakich chwycić się mam
„środków, aby spełnić najlepiej najświętszą Jego wolę“? „Pomódl
„się dla mnie o ducha pokory i umartwienia“, powtarza raz po raz
w listach do siostry, bo w świetle pokory i umartwienia, panując
nad duszą i ciałem, najjaśniej widać wolę Bożą“. Z końcem paździer-
nika zwierzył się Chołoniewski przed Grocholskimi ze swymi pro-
jektami, zapytał o radę i nie zawiódł się na ich nie tylko braterskiej,
ale chrześcijańskiej przyjaźni. „Oboje odznaczają się¹ w słu-
„żbie Pana Jezusa; bardzo mi dopomagają w dobrych projektach,
„które czasami na przyszłość sobie klecę; ja znowu, kiedy tylko
„sposobność się nadarzy, zapraszam ich do rozmowy o Chrystusie“. O. Calebotta wzywał, choć nieznanego jeszcze sobie osobiście Cho-
łoniewskiego do Rygi, aby tam obszernie z nim rozmówić się, prze-
dyskutować powołanie do stanu kapłańskiego i zgodzić się na obiór
pewnych środków; zawikłane interesa majątkowe nie dozwoliły na
razie na spełnienie tego projektu, później ustąpił on miejsca innym
lepszym i praktyczniejszym. Zamiast do Rygi postanowił Chołonie-
wski, prawdopodobnie za poradą Grocholskiego, udać się do Wie-
dnia, odbyć tam pod kierunkiem Redemptorystów porządne rekole-
kcyę, a jeśli Bóg zawoła, to bez wahania się pójść za jego gło-

¹ Do Cec. Chołoniewskiej 20 listopada 1820.

sem; jeśli Bóg pozwoli, to w Rzymie, stolicy chrześcijaństwa przygotować się do święceń kapłańskich, aby pod każdym względem, tak cnoty, jak i nauki stać się kapłanem wedle serca Bożego, prawdziwym pośrednikiem między Bogiem a ludźmi.

Takie były główne, nie dość jeszcze dokładnie zarysowane linije ogólnego planu; szczegóły czasowi, okolicznościom, zmiennym stosunkom i względom należało zostawić. Młody właściciel Janowa, bił się na chwilę bardzo na seryo z myślami, czy z majątku się zupełnie nie wyzuć, i nagi nie pójść za nagim Chrystusem. Wątpiwość ta wskazywała na wysoki nastrój duszy, lecz zostawiała ją w spokoju, bo Chołoniewski, pragnąc siebie Bogu poświęcić na służbę, wszystko swoje w ofierze przynosił, a nie wiedział tylko, czy lepiej w ten, czy w inny sposób ofiarę tę złożyć; dotkliwzemi mu były duchowne walki, przez które każdy i to zazwyczaj tem cięższe przechodzić musi, im bardziej własne życie ukształca na wzór życia Chrystusowego. Jasno świecące słońce łaski Bożej zachodziło od czasu do czasu za chmurę, a tysiączne fantastyczne strachy, przerażające widma, korzystając z nadejścia nocy, wyrastały i olbrzymiały przed okiem. W takich ciężkich chwilach pocieszały zasmuczonego pełne serdecznej wyższej miłości listy siostry Cecylii, „które „są dla mnie, pisał Stanisław¹, jakby latarnią morską wśród do- „kół roztaczających się ciemności, jakby promykiem słonecznym, „oświecającym wnętrze czarnej mej jamy“; dźwigała znużonego szczera, gorąca modlitwa: „O miłości, miłości², nie opuszczaj nas; niech „nie słaba iskierka, ale wielki ogień jasnym i żywym zapali się pło- „mieniem... Zlituj się nademną o Jezu! Wszak imienia Twego na- „wet nie mogę wymówić bez Twej pomocy, a cóż dobrego mógłbym „bez Ciebie uczynić“?

W styczniu 1821 r. wyjechał Chołoniewski na kijowskie kontrakty, aby ściągnąć nieco grosza i jeżeli się da wydzierzać przy najmniej parę folwarków przed projektowaną podróżą wiedeńską, a może i rzymską. Kontraktowy zgiełk nie zdołał przygłuszyć głównej myśli, około której wszystkie inne teraz się obracały. „Nie „mogłem załatwić³ wszystkich interesów w Kijowie, ale spodziewam

¹ Do *Cecylii Chołoniewskiej*, 27 lutego i 22 marca 1821. List franc.

² Do *C. Chołoniewskiej*. Kijów. 29 stycznia 1821. List franc.

³ Do *C. Chołoniewskiej*, Kijów 29 stycznia 1821.

„się, że w ten lub inny sposób, za łaską i miłosierdziem Pańskim,
„skończę je przed jaskółkami. Wspomagaj mię, najukochańsza
„moja przyjaciółko, radami i modlitwami, bo czas mój bliski;
„chwała na wieki i dzięki Chrystusowi, iż nie przestaje pukać do
„drzwi mego serca. Prawda, z interesów jeszcze się nie wywikłałem;
„ale dusza moja coraz bardziej spojona i przywiązana do kotwicy,
„którą Bóg w odwiecznym miłosierdziu raczył rzucić w czasie burzy
„dni mych minionych. Dusza moja, powtarzam sobie z Dantem,
„przeszła, jak wielki ten geniusz, przez *la città dolente*:

*Ma già volge il mio disiro e il velle,
Siccome ruota che igualmente è mossa,
L'Amor, che muove il sole e le altre stelle*.

*Amen!*¹

Wielki tydzień przepędził Chołoniewski w Berdyczowie „pod opieką cudownej Matki Bożej“², której prosił gorąco, „aby otwo-
„rzyła mu bramę, przed którą stał i kołatał“. Ach! kiedyż wreszcie
brama ta się otworzy! „Dusza moja³ wzdycha za stanem, w któ-
„rym mogłaby stać się przyjemniejszą P. Jezusowi, a zatem mniej
„niegodną Jego miłosierdzia. Oto na czem zależy moje powołanie;
„innych pobudek nie miałem i nie mam“. I dla tego właśnie,
że szedł za tak szlachetnymi i rozumnymi pobudkami, wal-
czył Chołoniewski przez parę jeszcze miesięcy i zwalczył wrodzoną
niecierpliwość, która szepiała mu zdradziecko, aby rzucić wszystko:
długi, interesa, pozaczynane sprawy, a powiedziawszy domownikom:
„Radźcie sobie jak możecie“, puścić się bez dnia zwłoki w przed-
siewziętą drogę. Lecz wreszcie, wprawdzie nie z początkiem czerwca,
jak się spodziewał, lecz dopiero z końcem lipca, ułożyły się inte-
resa, usunęły przeszkody. „Jeden tylko Pan Bóg wie⁴, jaka mię
„nieraz porywała niecierpliwość, owa niecierpliwość, co jak woda,
„która zwolna wezbrała, z tem większą siłą przewala się przez
„tamy, zastawione ze wszech stron przez świat i jego wymagania,

¹ Lecz już powiodła me chęci i wolę,
Jak równo koło toczy się przez pole,
Miłość, co wprawia w ruch gwiazdy i słońce.

² Do *C. Chołoniewskiej* Berdyczów 11 kwietnia 1821. W. Sobota. List francuski.

³ Do *C. Chołoniewskiej* 18 czerwca 1821. List franc.

⁴ Do *C. Chołoniewskiej* 30 lipca 1821. List franc.

„w koło ludzi pragnących zdążać prostą drogą do Chrystusa Pana.
„Módl się teraz tylko i proś ukochanego naszego Zbawiciela, aby
„nie była to niecierpliwość wierzgającego dziecka, które po chwilce
„zapomina na wszystkie swe troski, ale ażeby niecierpliwość ta,
„niecierpliwość dobra i rozumna, przyniosła owoce odpowiednie łasce,
„jaką czyni mi Pan mój i Bóg mój, wzywając mię do swej służby.
„Bóg tak jest wielki, iż nikt, ani na ziemi, ani w niebie, nie jest
„sam ze siebie godzien, aby mu służyć; ale zarazem tak jest nie-
„skończenie dobrym, że najnędzniejsze stworzenia, byle okryły się
„płaszczem Jego miłosierdzia, mogą a nawet i powinny przystąpić
„do jego świętych ołtarzów“.

Smutne, ale szczerze chrześcijańskie było pożegnanie z rodziną, z domem całym, „Lunią i jej staruchami“, nad którymi Stanisław zdał opiekę szwagrowi. Na razie jechał wprawdzie tylko do Wiednia, ale dokąd stamtąd obrócić miał swe kroki, na jak długo żegna Podole, tego nikt w tej chwili na pewno nie mógł przewidzieć. W każdym razie słuszną można było mieć nadzieję, że zbliża się czas, w którym ostatecznie rozejdą się chmury męczących niepewności, a nadzieja ta napelniała otuchą serce Chołoniewskiego i osładzała mu ciężkie chwile rozstania się z ukochanymi. I wy nie smućcie się, mówił żegnającym go, bo jeśli was opuszczam, to dla Chrystusa. „Emilka będzie nieco smutna po moim wyjeździe, „pisał na samem wsiadaniu do szwagra¹, bo wie, że ją bardzo kocham i szanuję, — ale się pocieszy łatwo, bo sama Chrystusa „nad wszystko przekłada. Ciesz się więc i Ty bracie, Mimie kochany, z tego zmiłowania Boga nad moją nędzą, że mi na koniec „dozwala próbować dróg, które mi Jego miłosierdzie przeznaczyło. „Polecam się więc bardziej niż kiedy Twym modlitwom i żegnam „Cię nie smutnem, ale wesołem sercem, z dobrą nadzieją uściskania Ciebie, kiedy Bóg zechce... Emilka i Lunia odprowadzają „mię do Berdyczowa dzisiaj, we czwartek; w poniedziałek będę na „Wniebowzięcie w Poczajowie, a stamtąd do Łopatyna się udam, „gdzie zabawiwszy kilka dni, na Lwów, Kraków do Wiednia naj- „przód się udaję, gdzie mam się dopiero oryentować, co ze mną „dalej ma być“.

¹ *Janów*. 11 Augusta, dzień wyjazdu mego. 1821. List polski.

Stosownie do tego skrupulatnie wykonanego planu, znalazł się Chołoniewski w dzień Wniebowzięcia N. Panny przed cudownym obrazem Matki Boskiej Począjowskiej, aby wzorem dawnych rycerzy, idących na ważne, dalekie wyprawy, pokłonić się najprzód paniswych myśli, obraz jej we wdzięcznem swem sercu wycisnąć, a z imieniem jej na ustach, mając zapewnione jej łaski, śmiało podążyć w nieznanie sobie kraje. „Podziękowałem raz jeszcze Matce „Boskiej¹, że przed dziesięciu laty ocaliła mię od podwójnej śmierci, „doczesnej i wiecznej i że uprosiła mi na to łaskę dłuższego życia, „aby mię później zachęcić do wejścia w służbę Boskiego Swego „Syna“. Dzień odpustowy nie był, co prawda, najspodobniejszy do dłuższej, z wewnętrznem skupieniem odprawianej modlitwy; młody pielgrzym, mając świeżo w pamięci ład i porządek francuskich i niemieckich nabożeństw, poddał pod pierwszem wrażeniem, nie znając jeszcze naszego ludu od wnętrza, bardzo ostrej krytyce ówczesne polskie, a w szczególności począjowskie odpusty.

„Pielgrzymki² do tego tak wsławionego miejsca nie bardzo „mię zbudowały. Nie znają tu ani jednego ze środków, używanych „za granicą dla należytego pokierowania i ujęcia w karby pobożnych tych ćwiczeń. Tłumy ciągną bez porządku, bez nadzoru zakonników, nie śpiewają wspólnie pobożnych pieśni. Kupa z trzech „lub czterech tysięcy ludzi wszelkiej płci i wieku popycha się, cisnie się, szturcha się po drogach; jedni zakładają obozowiska po „lasach; inni w najlepsze się fetują; zwłaszcza żebracy wszelkiego „stroju i rodzaju wyglądają na ludzi, którym obiecano sprawić wesoły, hulaszczy bal. Na miejscu odpustowem ten sam nieporządek „i jeszcze więcej zgorszenia; ciekawa zwłaszcza rzecz przypatrywać „się spowiedziom. Nadchodzi jakiś zakonnik i z wielką biedą „dostaje się do konfesyonału silnie zbudowanego, aby mógł znieść „bez szkody szturmę penitentów. Natychmiast potężna gromada, „mężczyźni i kobiety rzucają się na ten punkt wytyczny i następują „puje atak, pod wszelkimi możliwymi kształtami. Penitent, który „szczęśliwym losem wybrany najbliższym jest kratek, musi się „poddąć, jeszcze przed skończoną spowiedzią, bardzo ostrej poku-

¹ Do *Cec. Chołoniewskiej*. Lwów. 10 września N. St. 1821. List franc.

² Do *Grocholskich*. Łopatyn. 3 września N. St. 1821. List franc.

„cie, bo dźwiga na barkach ze trzydzieści ciał leżących jedno na drugim, a które, jak kłosa w jeden snopek związane, podnoszą się i spadają na przemian... Duch pielgrzymek jest duchem najzupełniej chrześcijańskim, ale jeśli ma przynosić owoce zasługujące na niebo, to powinien najprzód przeniknąć do wnętrza duszy... „Ale prowadzić swą duszę ogłupiała, skurczoną i schyloną ku ziemi do źródeł wszelkich łask; fabrykować jakąś bez nazwy mieszaninę z niskich żądź i najświętszych czynności; składać Bogu jedynie zewnętrzną, cielesną ofiarę, nie podejrzewając nawet, że P. Jezus zupełnie się czegoś innego domaga: to mię pobudza do bojaźni, do drżenia o innych, a najprzód o siebie samego“.

Całe dwanaście dni zabawił Chołoniewski w Łopatynie, majątku stryja swego Franciszka Ksawerego, u którego pobyt uprzyjemnił liczny zjazd wielu bliższych i dalszych krewnych. Stryj, „Pan Łowczy“, — jak go powszechnie nazywano — był silnie przekonany, że Stanisław, tak jak dzisiaj robią możni Anglicy, zdecydował się na podróż jedynie dla oszczędności, i usiłował go namówić, aby nie szukając obcych bogów, z nim razem przepędził zimę we Lwowie. „Atak, sądząc po zewnętrznym pozorze¹, był słaby, ale słowa płynące z bardzo czułego, a zarazem bardzo bojaźliwego serca, dotarły do najgłębszych zakątków mej duszy i silnie ją wzruszyły. Wiele innych ciężkich, przykrych myśli rzuciło się jednocześnie na mnie i napelniło kielich goryczą. Wreszcie wyjechałem w piątek raniutko i tego samego dnia przyjechałem do Lwowa. Cały ten dzień dusza moja chodziła w ciemnościach. „Kilka razy chciałem zawracać, aby jeszcze parę tygodni spędzić z kochanym naszym staruszkiem. Ale z drugiej strony szło do ataku, jasne, niczem się nie dające przekupić poczucie obowiązku, a nadzieja, że jutro złożę ten krzyżyk u stóp ukochanego Zbawiciela w najwyższym trybunale spowiedzi, podtrzymywała mię i zaciągnęła, choć z biedą, do Lwowa. Muszę wam jeszcze dodać, że zachcianki powrotu do Janowa były uszczęśliwione, znajdując po-myślną sposobność i weszły w przymierze przeciw memu sercu z zachciankami Łopatyińskiemi. Spowiedź sobotnia w lwowskim

¹ Do *Grocholskich*. Lwów. 10 września 1821. List franc.

„kościół Bernardynów, chociaż bardzo nędzna, zrzuciła jednak ze „serca ten ciężar. Dziękować za to miłosierdziu Pańskiemu! O dro- „dzy moi, w jak błyszczących barwach, pomimo naszej ślepoty, „przedstawia nam się czasem to miłosierdzie. Opuściwszy Łopatyn, „wjechałem w smutne sosnowe lasy, serce mi się ścisnęło, wzdy- „chałem z głębi duszy do Chrystusa, dużo płakałem, ale mało się „mogłem modlić. Nagle przychodzi mi na myśl otworzyć na chybił „trafił książeczkę „Naśladowania“, i zaczerpnąć pociechy z pier- „wszych zdań, które wpadną mi pod oko. Po raz pierwszy spró- „bowałem tej praktyki, przez niejedną zresztą piękną duszę zaleco- „nej, i znalazłem w Ks. II. Rozd. 12, następne słowa: „Czasami „Bóg cię opuści, czasami cię bliźni doświadczy, a co gorzej, często „sam sobie będziesz nieznośnym“. Przeczytajcie sobie cały ten ustęp, „a pojmiecie, jakim dla mnie był balsamem“.

Nerwowa tęsknota za domem, za drogami sercu, jedna z naj- niebezpieczniejszych pokus dla dusz do wyższej doskonałości wy- branych, bo trudno w niej nadzwyczaj postawić granicę między szlachetną, chrześcijańską miłością rodziny, a niewieścią grą ner- wów, chorobliwą grą wyobraźni; oddalona na razie, wracała nieraz jeszcze, lecz zawsze pobijana doświadczoną już bronią, ustąpiła wreszcie zupełnie pola nie mniejszej, lecz rozumniejszej, a zatem spokojnej miłości. Na razie w drodze ze Lwowa do Krakowa me- lancholia nie miała sposobności zarzucić swych sieci, jak w drodze z Łopatyna do Lwowa, bo całą uwagę podróżnika zajmowała rzecz prozaiczniejsza, choć niemniej nieprzyjemna: silna fluksya w zębach, której nabawił się poetyzując z jednym z przyjaciół po zachodzie słońca nad brzegami Pełtwi. Wojskowy doktor w Mościskach nie wiele pomógł; opuchnięty, zmęczony gorączką powłókł się nasz po- dróżny do Łańcuta, gdzie skoligaceni z nim przez Rzyszczewskich Alfredowie Potoccy przyjęli go z otwartymi rękami i przez dwa tygodnie, aż do zupełnego wyzdrowienia, nie pozwolili opuścić go- ścinnego zamku. „Mam tutaj dobre książki¹, codzienną gazetę, Je- „zuitów, Kościół, Mszę w zamku, prześliczne pomieszkanie, widok „wspaniały... , a co miłsze i ważniejsze, mieszkańcy i właściciele „zamku są ludźmi prawdziwie Bożymi. Alfred niczego w tym wzglę-

¹ Do *Grocholskich*. Łańcut. 22 września 1821.

„dzie nie pozostawia do życzenia, a to, mówiąc szczerze, najwięcej „pomaga do zawiązania poufaleb, przyjacielskich stosunków... „Charakter Alfreda bardzo miły; żona jego wyborną jest panią „domu i matką rodziny... Niczegoby mi nie brakowało, gdyby nie „to, że gdziekolwiek patrzę na szczęśliwe ognisko domowe, prze- „noszę się myślą do was, i jak Szwajcar choruję nieomal z tęsknoty. „Codzień lepiej się przekonuję, że w moim wieku i mając takich „przyjaciół, jest moralnem niepodobieństwem puścić się w świat, „zdecydować na długą nieobecność, nie wezwawszy pomocy Jezu- „sowej. Można wszystko, wszystko co jest ludzkim, poświęcić, „wyjawszy prawdziwej miłości, a jeśli i ją kto poświęcić zdoła, to „jedynie Jezusowi Chrystusowi, miłości doskonałej“.

Po dwutygodniowej „kwarantannie“ łańcuckiej, nastąpiła rów- nież dwutygodniowa, ale już nie względami zdrowia spowodowana, zupełnie dobrowolna kwarantanna krakowska. W domu jednej z bli- „skich krewnych, która, jak utrzymywał Stanisław¹, ma w kieszeni „biskupa, panów profesorów *e tutti quanti*, a nawet Jezuitów po- „trafiła opanować, zapoznał się i zaprzyjaźnił z główniejszemi zna- „komitościami krakowskiej Rzeczypospolitej, zwłaszcza z biskupem „Woroniczem i z prezesem senatu, Wodzickim. „Wodzicki człowiek „przyjemny i gościnny²; biskup tutejszy świątobliwy i uczony, „dwie rzeczy, które pięknie razem wydają się. Dom swój umeblo- „wał, że tak powiem, historią polską. Z wielką pracą wszystkie „dzieje krajowe, od początku do zgonu Polski, w kilku salach wy- „malowane. Malarz rodak wiele talentu okazał. Ks. Woronicz „z wielkim dowcipem urządził obrazy, pamiątki...; szczegóły oso- „bliwie ostatnich wypadków pięknie odmalowane na ścianach, ko- „lumnach, sufitach... Szanowna to praca w oczach Polaka, chlubna „dla Ks. Woronicza, który nieliczne dochody poświęca na zacho- „wanie, pielęgnowanie najmniejszych pamiątek, zabytków ojczyznej „ziemi, które coraz bardziej stają się rzadkami“.

Widok świetnej niegdyś, dziś opustoszałej, jakby dogorywa- jącej dawnymi wspomnieniami żyjącej stolicy, widok zwłaszcza kró-

¹ Do *Grocholskich*. Kraków. 2 października 1821.

² Do *Grocholskich*. Kraków. 8 października 1821. List częścią polski.

lewskiego niegdyś zamku, który tyle pięknych, sławnych i wielkich dni pamiętał, wywarł na Chołoniewskim, jak na duszy każdego Polaka, co wzył się choć trochę, choć trochę zrozumiał i pokochał historię swego kraju, nadzwyczaj smutne i rzewne wrażenie. „Pewny „jestem¹, że nawet ruiny Rzymu nie przemówiłyby mi tak silnie „do serca, jak ruiny Krakowa. Serce nasze bardziej zahartowane „na widok zmiennych losów rodzaju ludzkiego, wziętego ogólnie, „a Rzym był całym rodzajem ludzkim, był stolicą narodów; ale „przedwczesny upadek i śmierć współczesnego nam narodu, któ- „rego zwyczaje i tradycje przechowujemy wszyscy, jak przechowu- „jemy rodzinne portrety, ma w sobie coś ponurego, przygniatającego „duszę. Zbliżyliśmy się do grobów wielkich naszych królów, do miejsc „uświęconych cudami wszelkiego rodzaju przez wielkich naszych „mężów; serce bije nam z miłości i czci dla tych wielkich histo- „rycznych wzorów; niestety! niebiańskie to wzruszenie trwa za led- „wie chwilę! Czyż jesteśmy dziećmi tej samej rodziny; czyż słabe „to pokolenie może sobie rościć prawo do pokrewieństwa z temi „pięknymi i silnymi duszami, ozdobą swych wieków? Zimne ich „prochy nie już nie mówią do otaczających; żywi ich nie słuchają, „i nie rozumieją. Świątynia opuszczona, arka oniemiała. Stawiając „wciąż pod pręgierz pogardy czasy, które zowiemy *barbarzyńskimi*, „chcielibyśmy się otrząść z niegodnych pamiątek przeszłości. Ostat- „nie to nieszczęście, do którego dojść może naród, który już stra- „cił swą samoistność; jest to narodowe samobójstwo! Nie pozwiję „na to, co zwyczajnie nazywają *patryotyzmem*; zresztą o nazwę mi „nie idzie, bo w niczem ona nie zmienia uczuć ożywiających duszę, „a uczucia te właściwie stanowią o wartości człowieka. Widok „Krakowa poruszył we mnie klawisz ukryty na dnie serca; wszak „aż do końca życia nowy jakiś, nieznany dotąd raz po raz się od- „zywa. Różne, nagle jakby mimowoli ogarniające mię uczucia do- „wiodły mi, że i w biednym moim sercu znajduje się kącik, „w którym drzymała miłość ojczyzny. Jest to dla mnie jakby nowe „jakieś odkrycie odłogiem dotąd leżącego kraju. W jednej chwili „zrozumiałem całą siłę i znaczenie owych słów wielkiego proroka:

¹ Do *Grocholskich*. Kraków. 8 października 1821.

„O! Jeruzalem, jeśli na cię zapomnę, niechaj prawica moja uschnie“.
„Strzedz będę z pewnym słodkim niepokojem tego odnalezionego
„kraiku; me serce poświęci mu najczulsze starania; czuwać nad
„nim będę, jako nad kosztowną częstką życia mej duszy, jako nad
„najpiękniejszym spadkobierstwem, przez ojca mi przekazanem. Samo
„nawet bolesne przeświadczenie, że nową tę miłość karmić mogę
„jedynie wspomnieniami nieistniejącej ojczyzny, doda mi ognia do
„żarliwego ukochania tej innej, lepszej ojczyzny, której Jezus Chry-
„stus jest naczelnym wodzem. Pomagajmy sobie jak możemy. Amen“.

Rozbudzona ze snu szlachetna miłość ziemskiej ojczyzny szła odtąd bez przerwy w parze z miłością do ojczyzny niebieskiej; jed-
na drugiej nie przeszkadzała, przeciwnie, w miarę wzrostu drugiej,
rosła i szlachetniała pierwsza, młodsza jej siostrzyca. Pracując dla
Boga, rozszerzając cześć i miłość dla religii, nakłaniając swych
ziomków do życia prawami religii unormowanego, więcej się podo-
bno Chołoniewski ojczyźnie przysłużył, niż tylu innych, którym,
jak to doskonale choć mimochodem zaznaczył, nie tyle chodziło
o rzecz samą, o prawdziwy patriotyzm, ile raczej o dźwięcznie
brzmiającą nazwę patrioty.

Pierwsze niemal kroki po przybyciu do Wiednia skierował
Chołoniewski do klasztoru Redemptorystów, gdzie od pewnego czasu
mieszkał dawny przyjaciel i doradca Werner, który ze swej strony
bił się z myślami czy wstąpić do zakonu, czy dalej jako świecki
kapłan Panu Bogu służyć. Werner przyjął przyjaciela z otwartymi
rękami. Obaj byli oni w tej chwili w tem samym mniej więcej po-
łożeniu, obaj czuli i rozumieli, że jeśli nie chcą kołować bez końca,
kreślić piękne plany, mazać je i na nowo kreślić, to raz wreszcie
trzeba powziąć stanowczą decyzję, a potem rzucić się w wodę
i płynąć odważnie. Jakoż Stanisław, wykonując punktualnie już da-
wniej ułożony program, przedewszystkiem zabrać się postanowił do
gruntownych rekolekcyj, w czasie których wiarą oświecony, łaską
Bożą wsparty, w tę lub ową stronę miał swą łódź ostatecznie skie-
rować. „Wespół ze mną, wynurzał się siostrze w dwa tygodnie po
„przybyciu do Wiednia¹, podziwiać będziesz dobroć Chrystusową,

¹ Do *Cecylii Chołoniewskiej*. Wiedeń. 1 listopada 1821. List francuski.

„która zaprowadziła mię już wreszcie do bezpośredniego celu, dla któ-
„rego do Wiednia przyjechałem. O. Passerat, zastępca o. Hofbauera,
„generała Redemptorystów, uchodzi w oczach wszystkich ludzi poważ-
„nych za człowieka obdarzonego rzadkiem światłem i szczególnymi łá-
„skami w prowadzeniu dusz. Drogi ten Ojciec, przełożony nowicyatu Re-
„demptorystów, podjął się dawać mi rekolekcyę przez mniej więcej dzie-
„sięć dni. Będę je robił w ich klasztorze. Otworzę zupełnie serce
„memu kierownikowi; wymaluję mu ze wszystkimi szczegółami
„mapę tego kraju. Rekolekcyę tę, pojmujesz to doskonale, zdecy-
„dować mają o bardzo wielu rzeczach, a zwłaszcza o podróży do
„Rzymu. Godzina moja wybiła¹, godzina ważna, jedna z tych,
„koło których, jak koło osi, całe życie ma się obracać i w nowym
„krażąc kierunku“.

Tradycyjnym, przez św. Ignacego naszkicowanym sposobem
odbyły się rekolekcyę. Cały czas, od piątej rano do dziewiątej wie-
czorem, zajęły rozmyślenia, badania własnego sumienia, wszechstronne
zastanawianie się nad wyborem stanu, konferencye z duchownym
przewodnikiem. Zły i dobry Anioł staczali ciężką walkę w krainie
myśli, opisaną tak jasno a jędrnie przez św. Ignacego w książce
„Ćwiczeń duchownych“, walkę o duszę, tem zaciętszą, że nieraz:

Jedna chwila tej bitwy wyrzeka
Na całe życie o losach człowieka;

zły anioł wzbudzał smutek, mącił pokój serca, starał się wystawić
służbę Bożą w ciemnych, posępnych kolorach; dobry Anioł dodawał
sił, oświecał umysł, napelniał serce błogim pokojem; zapewniał, że
byle śmiało wstąpić na Łódź za Chrystusem i ufać Chrystusowi na
słowo Jego, ucichną wichry, uśmierzy się burza, rozproszą się ciemno-
ści. „Z początku, opisuje sam Chołoniewski przebyte walki i różno-
„rodne zasadzki nieprzyjaciela², wiele się nacierpiałem z powodu
„iluzyj, podsuwanych mi przez złego ducha. Tak np., pod pretek-
„stem że należy pozostawić umysł w zupełnej obojętności co do
„wyboru stanu życia, usiłowałem usunąć ze serca wszystkie poprze-
„dnie zamiary zostania księdzem; tymczasem samo to usiłowanie

¹ Do *Emilii Grocholskiej* Wiedeń. 1 listopada 1821. List francuski.

² Do *Cecylii Chołoniewskiej* Wiedeń. 21 listopada 1821. List franc.

„wprawiało mię w niepokój, bo jak później zreflektowałem, już
„w Wilnie powziąłem ogólne postanowienie oddania się służbie Bo-
„żej. Z drugiej znów strony, kiedy zastanawiałem się, w jaki spo-
„sób mam praktycznie to postanowienie wypełnić, to czasami kłam-
„liwy jakiś, zbyt pośpieszny zapał doradzał mi wybrać drogę do-
„skonalszą, jako bezpieczniejszą, a wyborny duch, ożywiający zgro-
„madzenia Redemptorystów i niezwykle zalety wielu jego członków,
„dodawały tym myślom pozoru i blasku; to znów chwilami czułem
„wyraźnie, że nie mam ani odwagi, ani pociągu do tak wysokiego
„stanu doskonałości. Burzliwe te przyływy i odpływy zatopiły pra-
„wie zupełnie biedną mą duszę; zwolna dopiero Sakramenta św.,
„światłe rady duchownego przewodnika rozjaśniły horyzont i odda-
„liły nawałnicę, w czasie której lepiej jeszcze mogłem poznać całą
„głębnię mej nędzy, lepiej przekonać się, jak mało mogę sobie sa-
„memu zaufać. W kilka dni później wydało mi się, że na razie trzeba
„myśleć tylko o rzeczy najbliższej i najważniejszej, tj. o wstąpieniu
„do seminaryum w Rzymie, a dalszą przyszłość zostawić z zupełną,
„wspaniałomyślną ufnością w rękach Bożych. Biedna moja głowa
„i serce tak się zmęczyły zaraz przy pierwszych szturmach, że na-
„stępne rozmyślenia odprawiałem machinalnie, budząc tylko często
„akty zupełnego zdania się na wolę Bożą w małych i wielkich rze-
„czach. . . Mój spowiednik głasuje obecnie również za Rzymem, każe
„mi dość często przystępować do Komunii św. i dodaje mi, ile może,
„otuchy. Silnie jestem przekonany, że najlepszą dla mnie rzeczą
„jest na rady jego zupełnie się spuścić. . . Tenże O. Passerat będzie
„mi mógł towarzyszyć, jak się przynajmniej spodziewam, w podróży
„do Włoch. Dla mnie byłoby to prawdziwe szczęście. Nie wyjadę
„prawdopodobnie przed Bożem Narodzeniem; zresztą, cel mój jeden
„jedyny: wypełnienie woli Bożej, ale co do s r o d k ó w, żyję z dnia
„na dzień. . . ; bo wszystkie środki¹ składam w ręce Bogu, na któ-
„rego wszystko bez targu zdać, wszystko mu poświęcić winie-
„nem, jeśli chcę działać konsekwentnie i z nadzieją dójścia do celu“.

Nazajutrz po ukończeniu rekolekcyj wylał Chołoniewski dzięki
przepelniające mu serce w polskim wierszyku, nie czarującym ani
blaskiem obrazów, ani harmonią rytmu, ale w którym przecież z pod

¹ Do *Grocholskich*. 22 listopada 1821

chropowatej formy przegląda tak głębokie i prawdziwe uczucie, że nie jeden z mistrzów poezji mógłby mu go pozazdrościć¹.

„Ach! długom na świecie drzymał,
Szperał i marzył zbyt długo,
I dobrzem o szczęściu trzymał,
A nieszczęścia byłem sługą;
Grzechu noc czarna zajęła
Umysł i serce wzburzone,
Już me nadzieje zwiedzione,
Już i niewinność zniknęła.

Dziecinnych latek wspomnienia
Jak czarujące sny złote,
Jak harfy niebieskiej brzmienia
Chciałyby słodzić tęsknotę. —
Daremnie; bo słusznie mściwe
Jędze w sumieniu nie zmarły:
Niebo mi z serca wydarły
Duchy te nielitościwe.

Kiedy wśród piorunów błysku
I strasznej żywiołów wojny
Słońce w przecudnym połysku
Ukaże promień spokojny:
Natura cała przybiera
Kolory jasno posępne,
Lecz wkrótce mgły niedostępne
Światło zwycięzkie rozdziera.

Ukaż się Jezu! me słońce!
Przywróć pogodę mej duszy,
Ciebie mam tylko obrońcę,
Ciebie jednego poruszy
Głęboka nędra grzesznika —
Okropne umysłu cienie
I ciężkie serca uśpienie,
Wszystko Twe światło przenika“. —

„W nim też, dopisywał już prozą poeta przepisawszy swój „wierszyk szwagrowi², moja ostatnia nadzieja. Woli jego szukać „jedynem nadal będzie mojem zatrudnieniem. Dotąd mój X. Passe-
rat i X. Calebotta radzili mnie tu się zatrzymać przez jakiś czas,

¹ Pisma pośmiertne t. II. 154. W dwóch rękopismach, które mam pod ręką, zachodzą pewne warianty, ogólnie raczej niekorzystne, niż korzystne dla wiersza później widać polerowanego.

² Do *Grocholskiego*. 20 grudnia 1821. List polski.

„aby dobry wybór zrobić z miejsc, w których gruntownie teologii „uczą. O Wiedniu z tego względu myśleć nie można, bo tu wiele „nieładu i dziwacznej mieszaniny o tych naukach. Zostaje więc Paryż i Rzym do wyboru. Zdaje mi się, że na Rzymie skończy się „deliberacya“.

Zaledwie Chołoniewski skończył rekolekcyę, rozpoczął je Werner, a idąc, jak mu się zdawało, za otrzymanem światłem, przywdział w dzień Niep. Poczęcia N. Panny habit Redemptorysty. Chołoniewski był obecny przy obłóczynach przyjaciela, a ceremonia ta i prosta, ale bardzo serdeczna przemowa O. Passerat'a głębokie na nim uczyniła wrażenie. A ja, pytał, czyż prędko ujrzę się w kapłańskiej sutannie; czyż prędko, kiedyż wreszcie postanowienie me i projekty będę mógł w czyny zamienić? Pytanie to stawało przed okiem tem naturalniej i z tem większą siłą, że, jak się niebawem ze smutkiem przekonał, zamierzona podróż do Rzymu nie tak prędko, w każdym razie nie za parę tygodni, ani nawet miesięcy przyjsć mogła do skutku. Teologia, jeśli ją kto bierze na seryo, wymaga, nie mówiąc już o dokładnej znajomości języka łacińskiego, pewnych przedwstępnych, zwłaszcza filozoficznych studyów, których Chołoniewskiemu zupełnie brakowało. Na domiar, oddawna skołatanie zdrowie domagało się natarczywie radykalnej kuracyi, a jak z jednej strony Chołoniewski nie chciał i nie mógł poświęcić osobnych kilku lat na uczenie się w Rzymie łaciny i filozofii, tak z drugiej strony należało przygotować spory zapas sił fizycznych, aby wybrawszy się raz do Rzymu nie kwękać i nie chorować, lecz z całym zapalem i możliwym wyteżeniem jać się twardej naukowej pracy. Z tych względów ułożono w rozmowie z zaprzyjaźnionymi Redemptorystami i z O. Calebottą, o którego pobycie we Wiedniu po paru dopiero miesiącach Chołoniewski z wielką radością się dowiedział, że najlepiej będzie z łaciną i filozofią prywatnie, o ile można najspieszniej, we Wiedniu się uprzatnąć, latem podreperować zdrowie w jakim kąpielowem miejscu, a później dopiero o Rzymie pomyśleć.

Niemaló trzeba było mieć energii woli, aby te postanowienia, zwłaszcza pierwszą ich część, należyście wypełnić. Można wprawdzie było zamknąć się w swym pokoiku, otoczyć foliałami i słownikami, ale ani zamki i klucze, ani wał z potężnych „in folio“, nie mogły

obronić przed troskliwą natarczywością przyjaciół, których skargi na pustelnicze życie Chołoniewskiego aż na Podole dopłynęły i przywiodły mu stamtąd cały potok wymówek i żalów. W pierwszych dniach grudnia zawitał do Wiednia brat Jędrzej ze żoną z poślubnej paryskiej i szwajcarskiej podróży, którą, mówiąc nawiasem, odbył własnymi końmi; braterstwu przecież trudno było zakazać wstępu do swej fortecy, trudno było ograniczyć ich odwiedziny na pewne urzędowe godziny. Natomiast raz tylko w tygodniu wychylał się do gościnnych salonów Rozalii Rzewuskiej, która, choć męczona ciągłą migreną i gorszą jeszcze troską o przyszłość czworga dzieci, ściągała jednak do siebie, jakby magnetycznie, dyplomatów i uczonych, godziła przy swym stoliku filozofów z poetami, a jednych i drugich nieraz trafną myślą dziwiła. Dłuższe godziny, nie żałując już czasu, spędził przy łożu umierającego w kwiecie wieku Ksawerego Zamojskiego, przygotował go na śmierć, z prawdziwie braterską troskliwością zajął się pogrzebem, sprosiwszy nań wszystkich Polaków bawiących we Wiedniu. Życie poświęcone wyłącznie modlitwie, nauce, dobrym uczynom, urozmaicone tylko przyjacielską rozmową z równo myślącymi, dobrym było praktycznym wstępem do obranego kapłańskiego stanu; ale prowadzone ze zbytniem może wyężeniem zostawiło nowe ślady na skołataniem już zdrowia. To też ledwie wiosna zaczęła w walce nad zimą przemagać, a już doktorzy zmusili coraz bardziej na siłach upadającego pacjenta zamienić męczące pielgrzymki po oderwanej krainie filozofii z bardziej realistycznymi pielgrzymkami na świeżem powietrzu, po kąpielowych chodnikach z kubkiem wody mineralnej w rękę.

Wyjeżdżając z Wiednia w towarzystwie Calebotty przez Dreźnie do Karlsbadu nie przewidywał Chołoniewski, że raz jeszcze na zimę założyć będzie musiał w Wiedniu kwaterę, aby znowu z wiosną wyruszyć do Cieplic. Ożywiona korespondencya z rodziną, z Fryderykiem Schległem, z Rozalią Rzewuską, czasem jakiś wierszyk na prędce przetłumaczony lub sklecony, dłuższe rozmowy z O. Calebottą, z Jezuitą Landesem, z Jędrzejem i żoną jego Elizą, a później z siostrą Emilią, która w połowie 1823 r. zjechała z córeczką Manią do kąpeli w Egrze, uprzyjemniały kuracyjne nudy, ścieśniały bardziej węzły krwi i przyjaźni i raz po raz roztwierały szerszy jakiś widnokrąg przed wyobraźnią, sercem i rozumem.

Zwłaszcza O. Calebotta, „którego jednym z celniejszych rysów jest „obok wielkiej gorliwości wielka łagodność i wyrozumiałość w prowadzeniu drugich“ — zyskiwał sobie u niego z dnia na dzień wpływ coraz większy i widoczniejszy. „Obcowanie z tym człowiekiem, otwierał swe serce przed Rozalią Rzewuską¹, stało się epoką „w mem życiu. Jego słowa były dla duszy mej promieniem, w którego świetle cały świat przedstawił mi się inaczej niż dotychczas“. Żalobna wieść o śmierci wspólnego przyjaciela, Wenera, w nowym kierunku popchnęła pufne rozmowy, odżywiła dawne wspomnienia i wstrzęsła do głębi serca szczerze kochającego nieco ekscentrycznego księdza-poetę, który przed śmiercią, jakby dla zamknięcia całego życia jednego pasma zmiennych przygód i dziwnych awantur, pożegnał się z habitem Redemptorystów i z chorobliwą niespokojnością za nowemi drogami zaczął się oglądać. Pierwszy Schlegel zakomunikował Chołoniewskiemu w długim, serdecznym liście bliższe szczegóły o zgonie wspólnego przyjaciela².

„Przyjaciół nasz miał śmierć bardzo spokojną i słodką. Choć „rował na prawdę tylko dziesięć dni i zasnął, powiedzieć można, „zanim poznano, że niebezpieczeństwo tak bliskie i groźne. Stąd „też i ja nie miałem pociechy widzieć się z nim bezpośrednio przed „śmiercią. Za to z pociechą przypatrywałem mu się po śmierci; „wyglądał jakby spał, a na twarzy spokojnej jak nigdy za życia, „wyrzył się słodki uśmiech pielgrzyma, który już doszedł do niebieskiej ojczyzny. Co do opuszczenia zakonu Redemptorystów, „najlepiej byłby zrobił, nigdy do nich nie wstępując, ponieważ, nie „mówiąc już o zdrowiu, nie było to jego powołanie, tak że prawdziwi jego przyjaciele i ci co go dobrze znali, nie mogli mu mieć „za złe później uczynionego kroku. A jeśli wystąpieniem tem „z klasztoru wzbudzić mógł w pierwszej chwili pewien niesmak „i różne, niezbyt pochlebne sądy, to wynagrodził winę i spłacił „światu dług zaciągnięty przesłicznym testamentem, łączącym w so-

¹ *Drezno*. 4 września 1822. List franc. Rozalia Rzewuska na wiosnę 1882 r. opuścić musiała Wiedeń „z niezmiernym żalem całego miasta“, jak pisał Chołoniewski do szwagra, aby ratować „zrabowane gospodarstwo“ w Opolu.

² *Wiedeń*. 2 czerwca 1823. List francuski.

„bie wszystko, czego wymagała sprawiedliwość, delikatność uczuć
„i przyjaźń. Ucieszyłem się niemało, znajdując w testamencie tym
„dowody głębokiego jego przywiązania i wdzięczności dla Twej ro-
„dziny, drogi przyjacielu! Dzieła jego pośmiertne, mające wyjść,
„jak mówią, w ośmiu tomach, są własnością Redemptorystów, któ-
„rzy przygotowują je obecnie bardzo starannie do druku, pragnąc
„im zjednać jak najszersze uznanie. O. Coudenhove więcej ci
„będzie mógł w tym względzie podać szczegółów, skoro będzie
„miał szczęście ujrzeć Cię w Karlsbadzie. Zazdroszczę mu praw-
„dziwie tej podróży; przydałaby mi się dla zdrowia, a towarzystwo
„Twoje i O. Coudenhovego dopełniłoby miarki szczęścia. Czuję
„wielką potrzebę bardziej się zbliżyć i zjednoczyć z ludźmi, dzie-
„łającymi ze mną tak zupełnie te same religijne uczucia, poświęcają-
„cymi się dla tego samego duchownego powołania... Bądź więc
„tak łaskaw, Panie Hrabio, a zawiadom mię o swych planach na
„przyszłość, o projektach dalszych podróży, abym myślą przynaj-
„mniej mógł za Tobą pogonić, kiedy w rzeczywistości pogonić nie
„wolno. Ludzie dążący do tego samego celu, nigdy w życiu
„tem tak szybko mijającym nie powinni tracić się z oka“.

Jakie twe plany na przyszłość; zdecyduj że się raz stanowczo, jedź do Rzymu lub wracaj do Janowa; takie pytania i wezwania, bezwzględnie w innych okolicznościach najsluszniejsze, z najlepszych płynące chęci, prześladowały Chołoniewskiego ze wszech stron, wystawiały głowę z każdego listu, z każdej dłuższej rozmowy. Łatwo wam mówić i pisać i do stanowczego kroku zachęcać, odpowiadał biedny prześladowany, ale zechciejcie raz zrozumieć, że chory do kilkoletnich i ciężkich studyów nie mam po co zasiadać i że kiedy ludzie rozumni, ducha Bożego pełni zajęli się moją duszą, to bardzo by było nieroztropnem z mej strony uchylać się z pod ich kierunku i jak nowy Don Kiszot w zbroi z tektury, z drewnianym pałaszem w rękę, puszczać się na oslep, z próżną choć zakatarzoną, zgorączkowaną głową, nie tylko moralnie, ale i fizycznie, gdzie zniecierpliwiona fantazyja poniesie. Nie umiem ani po polsku, ani po łacinie; więc uczę się po polsku i po łacinie, czytam „faworytów „moich, Skargę i Kochanowskiego“¹, z maleńką Manią „po łacinie „szwargoczę, i z nią moją kuchenną łacinę węgierską po

¹ Do *M. Grocholskiego*. *Mariaschein*. 28 maja 1823. List polski. •

„trochu sobie przypominam“¹. Nadmiar choroba do prawdziwej pracy mi przeszkadza; muszę więc przedewszystkiem przywrócić „dobrą harmonię między Jaśnie Wielmożną Duszą, a kochanym „sługą ciałem, nieodbitcie potrzebną do naszego szczęścia“². Niech no tylko załatwię się z reumatyzmami, katarami, gorączką, a w dodatku z laciną; niech trochę przyprowadzę do porządku już nie tylko cielesne, ale i duchowe zwłaszcza słabości i ułomności, które „jak nocne ptaszki kryją się w mem wnętrzu, a dopiero kiedy pro- „myk Boży na dno duszy się przedostanie, wylatują zaniepokojone „całą hurmą niby na popis“³; — a pewnie dłużej namyślać się nie będę, chociaż i teraz właściwie nie namyślałem się, lecz kiedy już raz za granicę na kurację się wybrałem, to chcę się radykalnie wykurować i z dusznej i cielesnej gorączki, a nie wpaść w błąd „nam Polakom zwykły, którzy jeździć po różnych krajach „umiemy, ale mieszkać za granicą nie umiemy“.

Naturalnie, jak widać już ze słów powyższych, mieszkanie to za granicą miało być w myśli Chołoniewskiego nie celem, lecz środkiem służącym do tego, aby później lepiej i rozumniej módz u siebie i dla swoich pracować. Jakoż paroletni pobyt za granicą nie zmniejszył ani osłabił miłości do kraju rodzinnego; przeciwnie miłość ta, puściwszy pączki w starożytnym podwawelskim grodzie, rozwinęła się w piękny kwiat na gruncie katolickim, rozkwitła i wydała bujny owoc coraz większego przywiązania do ojczystych pamiątek, coraz żywszego zamiłowania ojczystego języka. Tęsknił za krajem, ale nie była to tęsknota sentymentalna, rozplywająca się w kilku obowiązkowych wykrzyknikach i westchnieniach; tęsknota nie tak za krajem, jak raczej za wygodami własnego domu; z takiej „miłości ojczyzny“ nielitościwie sobie żartował: „Tak „jak niegdyś owi smętni towarzysze Eneasza⁴, pisał pół poważnie, „pół żartobliwie, wszędzie z sobą Ilionu pamiątki wozimy, wszędzie „mamy naszą rzekę *Xanthus*, nasz strumyk *Simois*; żyjemy za „granicą sercem i zwyczajami polskimi, bo nam z nimi dobrze. „Ale, jak nieraz się trafiło towarzyszom Eneaszowym, że im nie

¹ Do *M. Grocholskiego*. Cieplice. 1 stycznia 1824. List polski.

² Do *M. Grocholskiego*. Mariaschein. 28 maja 1823.

³ Do *Emil. Grocholskiej*. Wiedeń. 3 stycznia 1823.

⁴ Do *M. Grocholskiego*. 9 maja 1823. List polski.

„pozwalano po trojańsku żyć i smutne pamiątki Troi po „różnych odnawiać miejscach, tak i my teraz nie wszędzie możemy „po polsku żyć, to jest jak poczciwemu Polakowi przystoi. „Stąd tęsknota do swojej zagrody, która, choć nudami ekonomicz- „nemi najeżona, miła przecież każdemu, bo szlachcic polski długo „bez dysponowania być nie może, a za granicą prócz lokaja, kupca „lub stangreta, nikt ani czapki nie ruszy przed Jegomością. *Hinc „illae lacrimae*“. Prawdziwy patryotyzm w innej musi występować szacie; nie zamykać oczu na własne niedostatki; nie zakrywać ran, lecz szczerze nad niemi boleć i szukać na nie odpowiedniego lekarstwa. „Jeśli w którym z nowoczesnych narodów¹, to w naszym geniusz podobny do Jeremiaszowego powinienby się ukazać. „Rozwalin narodowych i przedmiotów lez gorzkich jest aż nadto. „Ducha pobożności nie masz, ducha tego Boga, który swym dzielnym powiewem, w oczach Ezechiela pole kościami okryte w naród „żywy przemienił. *Omnes inutiles facti sunt usque ad unum*. Patryotyzm czerpany w gazetach angielskich lub niemieckich... Któż „myśląc o tem, od lez się potrafi powstrzymać?“

Czarny ten, do zbytku rozpaczliwy obraz, zrodzony pod widocznym wpływem kazań Skargi, jego napomnień i dziś ziszczonych przepowiedni. Wczytując się znów w drugiego swego „faworyta“ Kochanowskiego, spróbował Chołoniewski choć zdaleka wstąpić w jego ślady, a łamiąc się bądź w krótkich oryginalnych wierszykach, bądź w tłumaczeniach z Novalisa i Byrona² z trudnościami rytmu i rymu, starał się udoskonalić w języku polskim, który jakby mszcząc się za dawne zaniedbanie, długo nie chciał szyi poddać pod jaźmo i tylko z ciężkiem wysileniem dawał się utrzymać w rytmicznym szeregu. Oryginalnym — nie genialnym zapewne, ale najmilszym może i najbardziej charakterystycznym między tymi wierszykami było ułożone w imieniu Mani „dziecięcia trzyletniego, wiązanie ojcu kochanemu na dzień imienia jego, 10 września 1823 r.“³.

„Na Papy święto Mania nie zajdzie,
Ktoby ją zaniósł Papie, nie znajdzie,
Ni na wiązanie
Manię też stanie:

¹ Do *Mik. Grocholskiego*. Cieplice 30 kwietnia 1824. List polski.

² *Pisma pośmiertne* t. II. str. 153 np.

³ Wierszyk niedrukowany.

Był grosz w woreczku; ubodzy wzięli:
„Chrystus był biedny“, tak powiedzieli.
Jam żalowała Pana i dała;
Nie ma więc Papie Mania co posłać
Ni tu tak pięknych zabawek dostać:...
Zabawki piękne będziesz miał w niebie,
My tam zbiegniemy rade do Ciebie...

Po tym wstępie następuje dopiero wiersz właściwy, ofiarowany ojcu na imieniny:

„Kantyczek mały,
Co go śpiewały
Z Manią aniołki:

„Dziecię rzuciło posłanie,
Woła Ciebie Chryste Panie,
Woła Ciebie święta Panno,
Prześliczna Gwiazdo zaranna!
Manią ją zowią, wy dobrze wiecie.
Manię słuchajcie, modli się dziecię.

„Pragnie chwalić Ciebie Boże
Sama potrafić nie może,
Lecz ją Aniołki nauczą,
I świętym pańskim poruczą:
Aniołki wielbić Pana umiecie,
Manię nauczcie, prosi was dziecię

„Robaczek ów, po dniu ciemny,
Smutny mieszkaniec podziemny,
W nocy dla Ciebie się pali
I swem światełkiem Cię chwali:
Co ów świecący robi w noc skrycie,
Toż duży robak, toż robi dziecię...

„Kocham Cię Panie, boś miły,
Kocham Ciebie z całej siły,
Daleś mi mamučkę lubę,
Daleś mi czerwoną szubę,
Pape, zabawki... Aniołki wiecie,
Jak się tem wszystkim raduje dziecię.

„Aniołki wy przy mnie siedźcie,
Wszystkie pokusy odpędźcie;
Aniołki Mamučkę strzeźcie,
Po ogródku przed nią bieżcie;
Mani do dziury nie sprowadźcie,
Ani Mamučki, — boi się dziecię.

„Prześliczna gwiazdo, świeć Papie;
Niech go Mania prędko złapie!
Papa duży, a ja mała,
Dalekom też odjechała,
Więc nie dogonię... wy potraficie.
Aniolki lećcie!.; prosi was dziecię.

„Dziecię, gdy rzuci posłanie,
Śpiewa, śpiewa — nieprzestanie.
Potem o Bożię się pyta,
Znów śpiewa, z książeczki czyta:
Jakież to piękne i wdzięczne życie,
Niech tak prześpiewa dni wszystkie dziecię.

„Dziecię piękne piosneczki umie,
Dziecię katechizm rozumie;
Wujaszek święty i miły¹
Duszeczki odnowił siły,
Panie mu zapłać! Chryste, me życie,
Kochaj go mocno, błaga Cię dziecię.

„Daleś mi sukienkę białą,
Gdy mnie w chrzcie obmyto małą;
Suknia maleńka, — ja rosnę,
Niech z niej nigdy nie wyrosnę:
O to Cię proszę i błagam skrycie,
Służyć do śmierci będzie Ci dziecię“.

W trzy lata później Chołoniewski ułożył znowu wierszowane powinszowanie dla szwagra, który tymczasem na wiosnę 1824 r. postąpił na godność gubernatora. Porównując jeden utwór z drugim widzimy tę samą serdeczność uczuć, tę samą niezmienną miłość, ożywiającą członków tej chrześcijańskiej rodziny, znaczny postęp w języku, pewne oswojenie się z prawidłami rytmu i rymu, ale zarazem przychodzimy do przekonania, że Chołoniewski poetą się nie narodził, i że dał niemały dowód zdrowego rozsądku, uważając wierszowanie tylko za zabawkę, za wytchnienie po pracy i — za nic więcej. Nowe to powinszowanie odsłania nam choć na chwilę wnętrze gubernatorskiego domu w Kamieńcu; jakże tam nie wejść, nie uczestniczyć w tak pięknie przygotowanej rodzinnej niespodziance,

¹ Mowa o Ks. Calebocie, którego Mania nazywała „wujaszkiem“. (Przypisek Ks. Chołoniewskiego na jednym z licznych egzemplarzy tego wiersza).

która ma osłodzić solenizantowi całodzienne nudy urzędowych przyjęć i pokłonów? Jeśli już nie całej tej „scenie“, to przynajmniej początkowi i końcowi, jako najlepiej malującym całość wiersza i otoczenie poety, warto się przysłuchać.

SCENA LIRYCZNA

grana w Kamieńcu Podolskim 10 września r. 1826,
w dzień Imienin JW. Gubernatora, o godzinie 8-iej
z rana, na pokojach.

Aktorowie	{	Matka Emilka.
		Wujaszek Stanisław.
		Córeczka 7-letnia Mania.

Scena wyobraża gabinet poświęcony ważnym pracom pierwszego urzędnika w gubernii. Na stołach pliki papierów, po ścianach wisząca broń rozmaitego rodzaju i kształtu, licznie i groźnie przed oczami wchodzących błyszcząca. Na niższej półce rozmaite mechaniczne narzędzia. Gubernator w lekkim rannym ubiorze zegar nakręca Mania córeczka wchodzi na ranną gawędę do ojca; lecz tą razą bokiem się sunie, plecami ściany szuruje i z nieśmiałością w rękę Ojca pocałowawszy, mówi... Z daleka i powoli Emilka i Stanisław nadchodzą.

MANIA: Pater mi! dawno, trzy lata minęło,
Sama już nie wiem..., skąd mi się to wzięło,
Żem Tobie piosnkę dała na Twe święto,
Za to do domu napowrót mię wzięto;
Bom gdzieś daleko bardzo z Mamą była,
Gdzie księży, krzyżów i obrazków siła.
Tam dwóch wujaszków miałam i kanarka,
Pieska, królika, — przewyborna parka...
Jeden z wujaszków sążniste miał nogi¹
Drugi był starszy, z twarzy niby srogi:²
Tegom się bała, tamtego nic wcale,
Bo też żył ze mną bardzo poufale.
Ten co wspanialszy, był też bardzo miły,
Lecz go me lalki pewnie unudziły,
Bo już odjechał... dotąd nie powraca,
Oltarz mu stroję, ach! daremna praca!
Może go Matka Boska gdzieś wstrzymała,
Zapewne lepsze zabawki mu dała.

¹ Chołoniewski.

² O. Calebotta.

Ci wujaszkwowie wszędzie z nami byli
I nas włóczęgi po świecie uczyli,
Pobożnych piosnek i łacińskiej mowy,
Świętej o Panu Chrystusie rozmowy...
Dobrze mi było z mojami lalkami,
Z ptaszkiem, z królikiem, dobrze z wujaszkami...
Na Twoje święto czegoś mi nie stało,
Wziąć nas do Ciebie nie było tam komu,
A serce bardzo tęskniło do domu.
Chciałam byś wiedział, com Tobie życzyła,
Jaki był pacierz, com wówczas mówiła,
Więc ci kantyczek mój posłałam mały...

Ale dziś nie jestem już dziecko, jak mi rano mama powiedziała, lecz panieneczka: lepiej się zatem i dłużej za Ciebie modliłam, a teraz zaśpiewam ładną piosnkę o św. Mikołaju. Emilia i Stanisław wtórują śpiewowi kończącemu się modlitwą za solenizanta.

Recitativo suflera zamyka przedstawienie:

„Nakoniec temu
Pocie zlemu
I wierszoklecie,
Co tu tak plecie:
Głupstwa przebaccie,
Uprosić raczcie:
Upamiętanie
I zaniechanie
Grzechów bez liku,
Wierszów bez szyku.

(Zastona spada; pokoje tymczasem napełniają się czolobitczykami).

Wiersze i liryczne sceny skusiły nas do lirycznego skoku przez trzechletni przeciąg czasu. Trzechlecie to upłynęło głównie w Janowie, dokąd Chołoniewski zawitał w jesieni 1824 r. z długiej zagranicznej pielgrzymki, a upłynęło na żmudnych, wciąż niby się kończących i nigdy nie chcących się skończyć walkach z przeszkodami, przygotowaniach do podróży rzymskiej i gospodarsko-pieniężnych interesach, lub niemniej dokładnie wyrażając się: kłopotach. W pierwszych tygodniach po powrocie do domu, Chołoniewski nie wątpił, że najdalej za kilka miesięcy będzie się mógł wybrać do wiecznego miasta, a nadzieja ta dodawała mu bodźca

i otuchy w pracy. „Ja tu, pisał do szwagra¹, tak zarzucony jestem interesami, że ledwie radę dać sobie mogę, i żeby nie nadzieja, że to ostatni rok nimi się biedę, nieby mię w Janowie „nie zatrzymało“. „Szamotać się będę² z mymi interesami do czasu, „a jak ten minie, to czego nie rozplączę, to przetnę“. Ale próżne to były chwilowe odgrążania się; chcąc nie chcąc trzeba było jeden węzeł po drugim rozplątywać i to spokojnie i pomału, żeby rozplątując jeden, dwóch innych nieostrożnie nie zawiązać. Niemiała to była robota: „Nie wiem już czasami³, jak tu sobie dać radę „w tym odmęcie i nieładzie, od którego wielkie moje lenistwo „wzdryga się, za co mię będą w skórę bili“; lecz trudna rada⁴, „trzeba aby każdy *à son poste* znajdował się, gdzie go Chrystus „na jaki czas postawi“. „Dobrze przynajmniej⁵, że zbliża się rok „jubileuszowy z pociechą i lekarstwem na wszystkie te nasze „biedy“.

Wielki jubileusz, zapowiedziany dla Rzymu na r. 1825, a dla reszty świata chrześcijańskiego na rok następny, był dla całego Podola prawdziwą oazą, wytchnieniem dla dusz zmęczonych codzien-
nemi troskami, podniesieniem sere i umysłów pochylonych ku ziemi jałową, powierzchowną nauką, płynącą z zachodu; przerażonych coraz ciemniejszymi chmurami na narodowym i społecznym widnokręgu. Żarliwy Dominikanin O. Jakób Falkowski, przeor klasztoru św. Jakóba w Wilnie, zjechał w towarzystwie kilku swych współbraci na Podole i po miastach i miasteczkach głosił miłościwe lato, ściągając ze wszęch stron tysiące wzruszonych, oplakujących swe grzechy słuchaczy⁶. Nadzwyczajne skutki jubileuszowego nabożeń-

¹ Janów 16 grudnia 1824.

² Do *M. Grocholskiego*. Janów 20 lutego 1825.

³ Do *M. Grocholskiego*. Janów 27 lutego 1825.

⁴ Do *Grocholskich*. Janów 3 marca 1825.

⁵ Do *M. Grocholskiego*. Janów 30 października 1825.

⁶ Kazania jubileuszowe gorliwego mowcy wyszły następnie p. t.: *Kazania na Podolu w czasie wielkiego jubileuszu w r. 1826 odprawionego przez XX. Dominikanów litewskich*. W Wilnie 1827. — „Wszystkie te kazania, pisze historyograf Dominikanów polskich, są układu Falkowskiego, tylko dla uwiecznienia pamiątki swoich współpracowników, podobało mu się ogłosić własną pracę pod ogólnem nazwiskiem“. Por. *Rys dziejów Zakonu Kaznodziejskiego w Polsce*, przez X. Sadoka Barączca. T. II. 150.

stwa w Kamieńcu utorowały drogę następnym misyom; za przykładem biskupa, gubernatora i jego rodziny, szlachta przodowała ludowi w drodze do kościoła, kruszyła się, zapominała na dawne waśnie, a podając z ust do ust wieść o cudownych nawróceniach i dziwnych drogach łaski Bożej, coraz szersze koła zajmowała ogniem wznieconym w rozpamiętywaniu prawd wiecznych. Chołojewski pokrzepiwszy się na duchu, wzmocniwszy się w dobrych postanowieniach w Kamieńcu, zajął się energicznie urządzeniem misy jubileuszowej w Winnicy; wszystkich zjechać się mających obywateli zaprosił do siebie stale na obiad, śniadanie i kolacyę, wziął na swój koszt utrzymanie uboższych włościan Janowskich, słowem nie żałował ni pieniędzy, ni pracy, a skutek stokrotnie uwieczzył te jego apostołskie starania, niby przygrywkę do kapłańskiego zawodu.

„Teraz, pisał do gubernatora nazajutrz po ukończeniu misy¹, „zdam ci rachunek z zabaw naszych jubileuszowych w Winnicy. „Najprzód zająłem się rozesłaniem listów twoich do marszałka „i obywateli powiatu winnickiego; niżej wyczytasz skutki tych „odezw twoich. Biskup² i misjonarze przybyli we czwartek „(21 czerwca) wieczór do Winnicy. W piątek wieczorem przyby- „łem *processionaliter* z parafią Janowską do Winnicy. Sierakowski „stary szedł także piechotą od rogatek Pietniczańskich. Bractwo „z księżmi Dominikanami wyszło naprzeciwko nas i powitali mową. „Zacząło się nabożeństwo jak zwyczajnie w sobotę tym porząd- „kiem, co i w Kamieńcu. Falkowski śmielej jeszcze gadał. Obywa- „telstwa więcej było jak w Kamieńcu; 7000 komunikujących; na- „koniec wczoraj, dnia ostatniego zakończyło się *Doliną Jozafatową*. „Procesya bardzo była piękna; policya wszędzie dobra. Plakali „przy konkluzji mocno. Wiele widocznych korzyści z tego błogo- „sławieństwa Boskiego daje się widzieć... Dziś wszyscy obywatele „dziękowali Biskupowi i X. Falkowskiemu. Dziś duży obiad dla „duchowieństwa w Pietniczanach. Trzy luterki przesły na wiarę „katolicką. Dziś także wracam do Janowa“³.

¹ Do *M. Grocholskiego*. Winnica 28 czerwca 1826.

² Biskup Kamieniecki, ksiądz Franciszek Mackiewicz.

³ Por. opis jubileuszu w Winnicy przez również naocznego świadka Al. Grozę u *Helleniusza* „Wspomnienia lat minionych“. t. II. 319 np.

Za właścicielem przybył do Janowa na parę dni słusznie należącego mu się odpoczynku „pocziwy O. Falkowski“ i znowu dalej powędrował na misję do Tulczyna. Chołoniewski rozmówił się szczerze z gorliwym misyonarzem o swych zamiarach, i zyskał w nim nowego, prawdziwego przyjaciela. To też jak grom spadła nań w parę tygodni później powszechnie głoszona, choć nie wiedzieć z jakiego źródła płynąca, wieść o śmierci O. Falkowskiego, któremu, jak opowiadano, po kazaniu krew tak się gwałtownie ustami i nosem rzuciła, że o ratunku nie było nawet co myśleć. „Toby była prawdziwa klęska¹ w Kościele Bożym naszej prowincyi. Śmierć taka do zazdrości dla żołnierzy prawdziwych Chrystusa Pana: ginąć z bronią w rękę, w dobrym boju i na placu bitwy. Ale życie takiego świętego kapłana z drugiej strony powiązane jest z pomyślnością tyłu dusz, iż taka strata niełatwo może być wynagrodzona. Bóg może wszystko, i dlatego czyli żyją, czyli umierają Święci Pańscy, *Jemu* żyją, *Jemu* też umierają, a nasienie w ziemię wgrzebane i zbutwiałe w plenniejsze kłosa porasta“. Szczęściem pogłoska się nie sprawdziła, a Chołoniewski, który przez następnych kilka miesięcy ciągle niemal był na wózku, objeżdżając, to za interesami, to z pożegnaniem przed dłuższym wyjazdem za granicę, spokrewnione i zaprzyjaźnione domy w Pietniczanach, Sokołówce, Hrycowie, Tulczynie, Romanowie, nie raz jeszcze spotkał się z O. Falkowskim i nie jedną z nim odbył duchowną konferencyę.

Również w swym rodzaju żywe i ciekawe toczyły się w czasie tej pielgrzymki, choć nie konferencye to „gadaniny“ z Henrykiem Rzewuskim, narzeczonym, a niebawem mężem bliskiej kuzynki Chołoniewskiego, Julii Grocholskiej. Rzewuski o autorskiej karierze w tej chwili jeszcze podobno nie marzył, ale rozmowa jego tryskała dowcipem i to miłszym niż później, bo goryczą nie zaprawionym, a kiedy np. w przyjacielskiej korespondencji z Chołoniewskim pióro rozmachał, to wychodziły z pod niego „sądziście i bardzo pocieszne listy“², w których jak w ziarnku, krył się humor i talent Soplicy. Znając błyszczące zalety Rzewuskiego dziwić

¹ Do *Grocholskich*. Hryców 30 lipca 1826.

² Do *Grocholskich*. Janów 8 listopada 1826. List francusko-polski.

się nie można było, i Chołoniewski nie dziwił się, że „za barankiem, za motylkiem, lecz tą razą... za kochankiem pobiegnęła panienska“¹. Rzewuskiego — Soplicę Chołoniewski cenił wysoko, cieszył się z jego pism, zachęcał do nowych; dopiero przeciw Bejle wystąpił z bolem serca, ale bardzo stanowczo. Lecz do chwili, w której Rzewuski w Bejlę się przemienił, wiele jeszcze wody miało upłynąć; tymczasem nic nie mąciło wzajemnej harmonii: Rzewuski opowiadał przyjacielowi o Mickiewiczu, towarzyszu swym w wycieczkach po Krymie; Chołoniewski rysował portret Rzewuskiego, odczytywał pewnie z nim razem poświęcone towarzyszom krymskiej podróży sonety Mickiewicza i układał już sobie może w myśli, za wiele dopiero lat spełniony program podróży po tych lasach, stepach i górach, „gdzie orły dróg nie wiedzą, kończy się chmur jazda“.

Tymczasem, o wiele prozaiczniej, brnął wózek po zdawało się nieprzebytych błotach, a którym konie, choć przyzwyczajone do podobnych topieli z biedą tylko podolać mogły. Wszędzie bramy otwierały się na oścież przed pożądanym gościem, ale starym obyczajem łatwiej było w nie wjechać, niż wyjechać. „W Hrycowie „pięciodniową“², w Romanowie dziesięciodniową, w Janowie dwuniedzielną, w Pietniczanach ośmiiodniową, nakoniec w Sokolówce „dziesięciodniową odbyłem kwarantannę. We wszystkich tych „miejscach karmiono mię i podejmowano *gratis*, ale oznaczony czas „trzeba było dosiedzieć, bo na warcie stała niezmordowana niczem „gościnnosć“.

„W Hrycowie nie domagałem³, teraz lepiej już jestem, ale „muszę postem się bawić: *ex necessitate virtus*. Wczoraj byliśmy „w M... Dawny dług wizytowy oddałem :

Modnie wszędzie, dworno wszędzie;
Co to będzie?! Co to będzie?!

„Możnaby i to *variante* dodać: Nudno wszędzie; głupio wszędzie. Bardzo mi tęskno za wami, za Manią, lecz bar-

¹ Do *M. Grocholskiego*. Janów 30 października 1825.

² Do *M. Grocholskiego*. Tulczyn 13 grudnia 1826.

³ Hryców 30 lipca 1826.

„dziej jeszcze tęskno za Chrystusem, któremubym chciał zupełnie się poświęcić; ale jak to powiadają: rada dusza do raju, lecz „grzechy ją nie puszczaają“. „W Pietniczanach¹ nie ustanne dyssertacye, różańce i czytania nabożne. W Sokołówce²: rachunki, beczki „ceglane, nowe modele taczek, instrukcye słowne i na piśmie na „dalsze gospodarstwo. Wieczór trochę czytania żywotów, rysowanie „nie karykatur, *facecye* polskie, których nową kolekcycę od Rzewuskiego nabyłem. To wszystko tuczy ciało, może i rozum, ale „dusza biedna mrze głodem. *Povero me!*... Karol Brzozowski tak „był laskaw, że się podjął opieki dóbr moich, pod czas bytności „mojej za granicą. To wielka moja wygrana, którą Tobie winienem „Mimie kochany. Bo Ty, jak go raz zamagnetyzowałeś „dobrze, to on już nie przestał być *en rapport magnétique* i ze „mną faworytem Twoim. Bodaj to klamki Pańskiej trzymać się! „Do Kijowa wypada mi jechać, dla popłacenia długów Tobie i innym. W Białocerkwi daliśmy sobie *Rendez-vous* z p. Karolem i mamy „stać na jednej stancyi, przez co mniejszy dla mnie koszt będzie“.

Wyprawę na kijowskie kontrakty, ostatnią przed wyjazdem do Rzymu, pobyt w Kijowie i powrót do domu spisał Chołoniewski dla Grocholskich w obszerniejszym, dość ciekawym dzienniczku³. Po raz pierwszy spotykamy tutaj, później bardzo często powtarzający się w jego pismach oddźwięk staropolskiego humoru i stylu, naszpikowanego od czasu do czasu widocznie z rozmysłu łacińskimi makaronizmami. Czy na nowy ten sposób pisania nie wpłynęły rozmowy i opowiadania Rzewuskiego; czy był tylko wynikiem wczytywania się w polskich autorów dwóch ubiegłych wieków? Najprawdopodobniej i jedna i druga przyczyna i żywe

¹ Do M. Grocholskiego. Tulczyn 13 grudnia 1826.

² Majątek Karola Brzozowskiego.

³ Dzienniczek ten, którego pierwsza część datowana z Kijowa, 26 stycznia 1827, rozpoczyna się od słów „*Quid tibi proderit, si universum mundum „lucratu fueris, anima vero tua detrimentum patiatu*”; to tekst na ten rok „dla mnie wybrany losem i dlatego pod jego świętą banderą żurnal mój przesyłam wam moi Najmilsi“. Jak kiedyindziej tak i tą razą, nie podajemy całego tego dzienniczka, ale tylko pewne ustępy, które bądź na postać ks. Chołoniewskiego, bądź na współczesne stosunki rzucają jaśniejsze jakie i ciekawsze światło.

i pisane słowo równą tu grały rolę; w każdym razie na pochwałę Chołoniewskiego powiedzieć trzeba, iż naśladowując dawny ton i dykcję, nigdy nie wypadł z miary; próbował pisać, jakby pisał szlachcic z saskiej epoki, ale szlachcic rozsądny, umiejący utrzymać na wodzy swój dowcip i pchające się przebojem na świat wyjątki z klasycznych poetów, nie upity ani winem, ani pochwałami sąsiadów, wynoszących w niebiosa jego ciceronyańską swadę.

„Czternastego stycznia z rana, w piątek po rannem przebudzeniu i pakowaniu się, dlatego, że sam pierwszy raz wybie-
rałem się do Kijowa, bez sekweli kassyerów ect. musiałem wziąć się w kupę i papierki i rachunki powoli porządkować i zbierać, abym czego nie zapomniał i w *decess* nie wpadł, i to przedłużyło mój wyjazd do późnego śniadania, które ja tylko dla wstydu nie nazwałem obiadem, chociaż wszystkie w sobie kondycje obiadowe zawierał. Zapomniałem powiedzieć, że się tego dnia świętą spowiedzią na drogę posilił i moje niegodne modlitwy za was wszystkich, jak zawsze, Bogu złożyłem. Było to Imię Jezus w tutejszym Kościele, najpiękniejsze święto, jakie może być na świecie. Przeszedł i Gwardyan pocziwy na pożegnanie; potem obskoczyli krajcy i szewcy, jak to bywa po staremu w Janowie. Ten berlacze dla kozaka niósł, ów płaszcz stary nową kitajką dla pana podszyty, tamten kozuch dla kucharza. Trzeba było i z tymi się pożegnać, czyli raczej z ostatnią drobną monetą w sakiewce. Uciekając więc już przed tym ostatniem natarciem siadłem w sanie z Cieszkoskim. Antoni obok furmana, kozak z tyłu niby to dla pewności kasy pańskiej, bom się zrezygnował być w Kijowie bez kassjera, ale bez kozaka jechać na kontrakty, tego nie mogłem wymódz na sobie: zdało mi się, że mi bez niego potrzebnej kontraktowej fantazy zabraknie...

„W niedzielę 16 stycznia w Białocerkwi zaspiałem ranną porę; P. Karol (Brzozowski) zastał mnie w łóżku... Zapropnowałem Mszę, bo to niedziela była. Oni się spieszyli na popas za Białocerkwią, bo swoimi końmi jechali, i czekając jakiś czas w kościele nie doczekali się Summy. Że ja pocztę mogłem mieć, obiecałem ich na popasie dogonić i summy doczekałem się. Kościół budowy dość wyniosłej, murowany, ale wewnątrz goły a obrazy

„aż do wstydu brzydkie. Fundatorowie Braniccy wiszą po ścianach,
„ale ich miljonów nie widać wewnątrz świątyni Pańskiej...

„*W poniedziałek*, w południe stanęliśmy w Kijowie... Tegoż
„dnia zaniemogłem cokolwiek i nie mogłem rozpocząć kontraktowej
„*activitatem*. Przez emissaryusza tylko kartki zapraszające do ku-
„pna wsi Ludwika¹, przylepiać kazałem.

„*We wtorek* uporządkowałem papiery i rejestra i zacząłem
szczęśliwie płacić z rana, a po obiedzie po sali kontraktowej *per-*
„*ambulando* czas trawiłem... Henryk z Pohrebyszcz² wielce zgry-
„ziony i wstydzający się. Kobiety Pohrebyskie z matką na czele wy-
„prawiły paniczów do Kijowa: Adama i Henryka. Tymczasem
„Ryźnicz niejaki, kupiec odeski przejeżdżał przez Pohrebyszcze
„i wstąpił do dworu jadąc do Kijowa. *We* dni kilka nastąpiło we-
„sele. Panna Paulina, kasztelanka Witebska i senatorówna rosyj-
„ska poszła za pana Ryźnicza, kupca, wdowca, blisko lat piędzie-
„siąt mającego... Kasztelanowa i siostry były na ślubie. Tylko se-
„kret przed bracią tu dopiero się wykrył i bardzo się zgryźli. Kon-
„zolowałem, jak mogłem Henryka, który razem z Adamem bratem
„stoi i proponowałem przyjąć to za pokutę owej dumy Radziwiłłow-
„skiej, która nie mogła być doborniejszym szwagrem ukarana. *Sic*
„*transit gloria mundi*...

„21, 22, 23, 24, 25, 26 *stycznia* — najnudniejsze na świecie.
„Z rana włóczymy się jedni do drugich za interesami. Dzień do
„dnia podobny... „Kiedy Henryka z Pohrebysz jak Mefistofelesa
„ciągną, aby szedł do tak nazwanej *Spelunki* t. j. *Rendez-vous de*
„*jeu*, to on do nas ucieka z narzekaniem i jak może się wykreca.
„Braciszek Adam z *Teżyzną* siedzi mu na karku, która to *Teżyzna*
„żyje ostrygami, szampanem popija, oświeca się Walterskotem i pra-
„cuje dzielnie nad konkordancją między Boskimi dziesięcioma przy-
„kazaniami, osobliwie szóstym a prawidłami *du beau monde*...

„Ostatnie pismo moje, ciągnął Chołoniewski swój dyaryusz
w kilkanaście dni później³, *usque ad 27 Januari* czynności *et dicta*

¹ Ludwik Grocholski, brat Mikołaja, właściciel Hrycowa.

² Pohrebyszcze majątek Rzewuskich na Wołyniu.

³ Sokołówka 10 lutego 1827, z motto: *In patientia vestra possidebitis animas vestras.*

„moje wyrażało. Nie wiem, czy doszło rąk *Illustrissimi*, to tylko
„wiem, że sam na pocztę zaniosłem. *Eadem die i. e. 27 Januarii*
„upakowawszy manatki swoje poszedłem do sklepu szukać *dulce*
„jakię *oblectamentum pro parvula comitissa*. Jakoż znalazłem *cum*
„*magno gaudio meo*, małe maskary wystawiające za małym poru-
„szeniem pocieszne krotchwile, bo dwóch *per modum* Chińczyków
„gra na skrzypcach i bębenku, a trzeci *sine intermissione saltat*,
„na wszystkie strony dziwnie zręcznie wyskakując... Poszedłem
„potem odwiedzić pana brata stryjecznego Władysława starościca
„kołomyjskiego¹. Zastałem nieboraka z wielkim bólem zębów, nie
„był i słowa w stanie przemówić; posłano po balwierza i pijawki,
„ale i te nie wiele pomogły. Nie mogąc się rozmówić z słabym,
„czekałem póki mu się nie polepszy i wziąłem w ręce książkę,
„którą na stole starościca znalazłem. Były to Dyalogi wesołe, czyli
„tak zwane *Komedye* przez Aleksandra Fredrę, brata pana Maksy-
„milianiana, napisane. Zachwalano mi autora, że miał być bardzo *in-*
„*geniosus* i krotochfilny; do tego też wierszem rzecz swoją okrasil.
„Otwieram więc książkę z ciekawością. Tytuł pierwszej komedyi:
„*Mąż i żona*. Pierwsza scena: Elwira i Adolf siedzą na kanapie
„trzymając się za ręce. Rozmowa ich pełna oświadczeń miłości, wzaje-
„mnej stałości i to jeszcze im żywszy sentyment ich rozmowa wyraża,
„tem piękniejsza kadencya i wiersz gładszy. Zbudowany bardzo tem sta-
„dłem, że to się i tak pięknie kochają i tak dobrze wychowani, że na-
„wet potoczne dyskursa wierszem prowadzą, nie mogłem zrozumieć,
„dlaczego przy końcu Elwira powiada, że jej się jednak nie godzi ko-
„chać Adolfa. Biedzę się, jak to jedno z drugim polatać, kartki
„w niecierpliwości przewracam, i trafem napadam na tę, gdzie jest
„rejestr osób grających. Czytam ... o zgrozo! o głupstwo moje! Tak
„to mnie autor na dudka wystrychnął, że myślałem, iż stosując się
„do tytułu sztuki, ta niewiasta i ten młody człowiek tak poufale
„z sobą rozmawiający, muszą być mąż i żona; a to nie prawda,
„bo jejmość żona, ale *cudza*, a jegomość młody gach, który ją mę-
„żowi zbałamucil. Wraca mąż prawdziwy, garderobiana rozpędza
„kochanków. Nie miałem ochoty dalej czytać, tak mi żal było,

¹ Władysław Chołoniewski, syn Ignacego, rodzonego brata Miecznika,
i Józefy z Hryniewieckich.

„żeśmy jeszcze nie dość *oświeceni*, abyśmy na narodowej scenie „ogłądać mieli i przypatrywać się wszystkim wybiegom i najskryt- „szym fortelom występku cudzołostwa. Przecież ta sztuka grana „we Lwowie z wielkim aplauzem. Autor jej młody uważany już za „jednego z pierwszych, którzy oryginalne komedye polskie pisać „się odważyli. W tej sztuce żona zbałamucona przez młodego tre- „fnisia, garderobiana przez męża, samże gach jejmoścín bałamucony „przez garderobianę. Wszyscy jedni drugich ustawicznie oszukują, „ustawicznie kłamią, ustawicznie są w obawie, ustawicznie usiłują „na pozór w największej żyć zgodzie i przyjaźni. Ten obraz aż „nadto prawdziwy tego, co się codziennie po miastach naszych „dzieje, razi nieświadomych tej taktyki wielkiego świata. I chociaż „występek ma bez wątpienia swoją śmieszłą stronę, kto jednak „nieprzyzwyczajony widzieć go tak obnażonym ze wszelkiej przy- „najmniej pozornej uczciwości, ten na owe sceny *Męża i żony* po- „wie: Prawda, tak się w samej rzeczy oszukują, tak kłamią, tak „szczeroci nie mają, ale pomimo wielu śmieszności, dowcipu „i trafnych żartów, którymi owe sceny talent autora zaprawił, *nie- „zabawna to prawda*, przynajmniej nie byłbym ja kontent z siebie, „gdybym po takiej sztuce bardzo był wesół, bo z czego to się „cieszyć, po ludzku tylko mówiąc, że do tego przyszło w Polsce, „że wierny obraz związku tak świętego, tego to kamienia węgiel- „nego towarzystwa ludzkiego i dobra ojczyzny, jest istotnym „paskwilem stanu małżeńskiego. Wszelako po wszystkich polskich „teatrach grają tę sztukę i nią się szczycą, jako ozdobą sceny na- „rodowej. Może co jeszcze i w rozwodach upatrzą śmiesznego i nam „komedję napiszą pod tytułem: *Rozwody*. Jeśli gdzie, to w Polsce „taki geniusz komiczny powinienby się zjawić, bo to na takie fa- „cecyce ziemia klasyczna...

„Nakoniec p. Karol¹ z pożegnaniem przyszedł. Ten pan „uprzejmy przystał na moją prośbę odwiedzenia Janowa i podjęcia „się opieki mego majątku pod czas bytności mojej za granicą. Wi- „działem, że moja bytność w Sokółówce miłą mu być może, oraz „dowodem, ile umię cenić obietnicę jego..., więc już nie wprost do „Janowa, ale na Sokółówkę wracać mi wypadnie. Oświadczyłem

¹ Brzozowski.

„moją intencję, którą bardzo wdzięcznie przyjęto... Gromadę po-
„dróżną dopędziłem na pierwszej stacyi. Dużych sań z budami
„czworo, trzy sanki małe, 37 koni, p. Karol i Zenon Brzozowscy,
„Serwatowski powiernik Siestrzencewicza, p. Floryan Jełowicki,
„ja i dwudziestu kilku sług składało bandę naszą...

„28 stycznia... Te dni podróży ubogie w wypadki, podo-
„bne do siebie przez akuratność kwatermistrza, P. Karola urodzo-
„nego Bieleckiego, który szczęśliwie każdego dnia, do każdej
„z przeznaczonych met noclegowych całą bandę doprowadzał. Co
„do mnie tak w Kijowie, jak i tu w podróży nie wiedziałem, co
„to pomyśleć o czem, tak opatrnie przyświecało nam owo *sidus*
„*mirabile* W. Bieleckiego... Ponieważ prócz stepu *nil dignum visu*
„w karczmie przeznaczonej nam na nocleg nie upatrzyłem, zatem
„jak nasz biskup Krasicki o Ryczywole, tak ja o niej zamilczeć
„wolę.

„29 stycznia. Po modlitwach rannych herbata *de consuetudine*
„w gronie towarzyszków podana; facecye i żarty pocieszne. Popas
„we wsi której nazwiska zapomniałem. Osobliwość w niej ta tylko,
„że ten co ją kupił nabierał pieniędzy pracując *in sudore vultus*
„dzień i noc nad kartami. Więc to mu nie koniecznie tak łatwo
„przyszło, jakby można z razu sądzić, bo terażniejszy król Faraon
„coś ma wspólnego z owym egipskim, i jak tamten żydom póki
„żył nie dawał spokoju, tak i ten terażniejszy bezsennością
„i innymi plagami trapi swoich honorowych sprzymierzeń-
„ców.

„30 stycznia. Że to niedziela, tośmy rano wstali bardzo, aby
„trafić na Summę do Granowa, gdzie i popas był przeznaczony.
„Udało się nam Bogu dzięki; wcześniej stanęliśmy, Summy i kaza-
„nia dobrego słuchaliśmy. Kościół drewniany, nędzny; miasteczko
„również nieokazałe, choć pięknie położone; za to sławne koza-
„kami... Granowskie kozaki odzież dawniej mieli całą z cielęcych
„skórek. Bardzo im to miało być do twarzy. Widziałem jednego
„tego rodu; przystojny był, ale prócz twarzy nic nie miał na sobie
„cielęcego. *Honores mutant mores*. Nocleg wypadł dnia tego w Har-
„paczce dobrach JWP. Jełowickiego, szwagra P. Karola, gdzie
„był uprzedził nas P. Floryan, starszy syn i towarzysz podróży
„naszej. Stanęliśmy wieczór; bardzo nas uprzejmie gospodarstwo

„przyjęło. Staruszek i sama pani bardzo przyjemni ludzie... J. W.
„Grafini, siostrze mojej bardzoby się podobała ta pani, bo i rozu-
„mna i prawdziwa Polka z uprzejmości i grzeczności bez tresury
„francuskiej, ani żadnej innej zagranicznej. W tym domu zastaliśmy
„także i pannę Ksawerę¹ z *Madam* Polką; przy ciotce czas ten
„niebytności ojca swego przebyła. Radość wielka całej familii.

31 stycznia. Zrana przypatrując się po dniu położeniu rezy-
„dencyi państwa Jełowickich, łatwo mogłem osądzić, że w lecie musi
„pięknie wyglądać i że ogród wspaniały, założony przy nowym
„domu, który prawie zupełnie skończony. O zupełne skończenie
„jego nie dbają gospodarstwo, tak są przywiązani do starego, acz
„szczupłego domku. Ogród ma być piękniejszy nawet od Bałano-
„wieckiego i Obodowskiego ogrodów państwa Sobańskich, które tu
„słyną w okolicy. Ponieważ za dwa dni Gromuicznej N. Panny
„fest, a najbliższa parafia Obodowiecka, więc p. Karol zapropono-
„wał, abyśmy dzień ten jeszcze w Harpaczce zabawili, a nazajutrz
„na wilię do Obodówki o trzy mile odległej na noc zajechali. Chę-
„tnie na to przystałem, mając intencję spowiadania się na to
„święto.

1 lutego. „Wcześniej w Obodówce stanęliśmy i gospodarstwo
„wielce pomieszane zastaliśmy, przytem córkę panią Giżyckę i sa-
„siadkę z Berszady, smutną p. Piotrową Moszyńską. Powrót p.
„Róży Sabańskiej tę familię zatrwożył; przywiozła wiadomości nie
„wiele uspokajające... lecz jej samej nie było... Takie wypadki
„nie zdadzą się do mego dyaryusza. *Sunt lacrymae rerum* ... a ja
„w tej dyspozycyi umysłu nie zacząłem i nie skończę dyaryusza
„mego. *Transeamus ad meliora*.

2 lutego. „Miałem szczęście przystępować do Najśw. Tajemnic
„za wszystkich wielkich i innych małych i strapionych wielu, któ-
„rych pełen jest świat, moje modły niegodne zanosić przed Bogiem.
„Po obiedzie i długiej konwersacyi z gospodarzem o gorzelniach,
„fabrykach, wełnach, owcach i eksportacyi i importacyi krajowej,
„wyjechaliśmy do Sokolówki i za półtorej godziny u mety podróży
„siedmiodniowej stanęliśmy bez szwanku.

¹ Ksawera Brzozowska, później żona Henryka Grocholskiego z Pie-
tniczyn.

„Od dnia drugiego aż do dziesiątego lutego, godziny w Sokółówce jednostajną, niczem nie przerwana swobodą, odznaczają się; jednakowe rozrywki, zatrudnienia i rozmowy stanowią podział dnia. Po modlitwach i medytacji rannej odwiedziną gospodarza domu. *Consultationes* względem Janowa, *Scrutinia* rachunków kontraktowych, projekty, jak ma być w Janowie, kiedy ja wyjadę; „wszystko to wielce dla mnie korzystne, bo p. Karol dziwnie *generose* przyjmuje na siebie ciężar moich interesów; dlatego i ja z mojej strony staram się akomodować i wywdzięczam się mojemu bawieniem, facecyami i inną dworszczyzną, zdając zupełnie na jego wolę, kiedy mi powie, że już gotów jechać ze mną do Janowa. Po takich konwersacyach spacer konny, lub piechotą, lub sankami *en famille*. O pierwszej obiad, po obiedzie muzyka, potem znów *perambulatio*, wieczór herbata; po herbacie żywoty „Świętych czytamy głośno, potem rysunki; podczas kolacyi, której nie jadam, jest tylko chwila wolna na różaniec w stancyi; po kolacyi *iterum* muzyka, dość wczesnie rozchodzimy się. Tak tu mi dni uchodzą. Gdybym był Hannibalem, możeby Sokółówka była dla mnie Kapua, ale że ja nie zbrojną ręką dążę do Rzymu, to może i z Sokółówki jakoś wybrnę...

„11 lutego w Piątek przybył wielmożny Zaliwski w interesach do pana Karola. Jestto zacny mecenas, *devotissimus* domowi J. W. Hieronima Sobańskiego, dziedzica na Balanówce i innych szerokich włościach. Mąż ten, acz nieco przejrzałego wieku, „o dziwnej czerstwości na twarzy, w całym ruchu i układzie ciała *juvenilem aetatem ac fervorem ostendit*. Bardzo subtelnym puderkiem włosy upstrzone, ubite, utarte i tak misternie trefione, żeby w *kunstkamerze* jakiej za najpiękniejsze krystalizacye, pod szkłem „figurować mogły; przytem żabot i halstuch dziwnie sztucznie i świeżo układane. *Homo ille peritus* kawaler piękny kapitał posiada; szuka tylko serca, aby w niem swe własne wraz z swoim kapitałem pod klucz Hymenea św. mógł zamknąć. Nie wątpię, „że i ten Eneas *post tot discrimina rerum* dopłynie do swojej Hesperyi i swoją znajdzie Lawinię.

„12 lutego... Z rana, jak zazwyczaj odwiedziłem konie, krowy „panny Ksawery, które bardzo pięknie i porządnie utrzymane... „Najporządniej kury i drób utrzymane, bo mają kojce *per modum*

„łóż teatralnych, tak, że każda kura i kapłon osobną ma swoją
„łóżę, miniasto w niej siedzi, i tak się na wszystkie strony wierci,
„jak te wielkie w Wiedniu panie na operze włoskiej Rossiniego.
„Ale mnie te kury i kapłony jeszcze więcej bawią; jakoż bardzo
„są pocieszne. Mularz, poddany marszałka przybył potem do swego
„pana, aby mu pokazał, gdzie i jak chatę postawić, na którą już
„miał drzewo gotowe. Pojechaliśmy na miejsce i p. Karol poradził
„mu dobrze, jak się zdaje. Tu chłopci mają przesąd, że chaty do-
„brze nie można postawić, jeśli pan nie powie jak, — i bez pana
„w wielu innych rzeczach nie chcą sobie poczynać. P. Karol
„utrzymuje, że to zabobon nieszkodliwy i ja też uważałem, wędru-
„jąc po świecie, że w wielu bardzo wioskach nie ma takich zabo-
„bonów, ale też prawda, że wioski te były bardzo nędzne.

„13 lutego. Niedziela. Była rada, czy wybrać się do Obodówki
„tak rano, żeby na Summę tam stanąć, czy też zważając, że droga
„już nie tak dobra, a półtorej mili dobre, bezpieczniej na Mszy
„domowej przestać, aniżeli na hazard obydwie Msze puścić. Już
„to trzecia niedziela od Kijowa, jak jestem bez słowa Bożego.
„Smutno mi zrobiło się i żal na sercu. Tak sobie pomyślałem:
„Boże dobry! Jak to my mało czujemy tego prawdziwego głodu
„duszy, kiedy nam się zdaje, że nam na niczem nie zbywa, że
„wszystkiego mamy podostatek, a jeśli zdarzą się jakie nieszczęścia,
„to upatrujemy je w wypadkach, w których świat nam nie dopi-
„suje. Czerstwiliśmy na ciele, rubaszni i jowialni a dusza z płaczem
„woła: *Date obolum*, i to już czasami tylko, bo nakoniec letargiem
„uśpiona nic nie woła. *Sedentes in umbra mortis*. Cała tu taka
„okolica; nie słyhać słowa Bożego, rzadko jakie porządne nabo-
„żeństwo, przypadkami i jak nawiasem dowiadują się o świętach.
„A jednak są tu i ludzie dobrzy z wielu dobrymi skłonnościami.
„Lecz dostatki, zabiegi o nie, wszystek im czas trwonią i najobfit-
„szy w dary naturalne charakter nie uchroni się od owej rdzy du-
„szę wskrósź przenikającej, którą zdradza pomyślność doczesna połą-
„czona z dostatkami i z brakiem wszelkiej duchownej pomocy. Po
„całym świecie to *gorąco*, to *zimno* bardzo wedle stref odpowiednich
„sługom Pańskim lub nieprzyjaciółom Jego; — ale tu to *letnio*
„i zdradliwie *letnio*, bo człowiek przywykły do tego nie czuje, jak
„zimno wciska się do serca i w głębi duszy bezpiecznie lodem osiada.

„Tom wszystko sobie myślał i rzewnie żalowałem siebie i drugih, „którzy to tak wystawieni jesteśmy na *wieczne zmarznięcie*. Po „Mszy w tej materyi nieco z pannami rozmawiałem. Panna Ksawera poszła do okna i płakać zaczęła. Jam to widział i żał mi się tej panny zrobiło, co się tak jeszcze boi Boga. Przyszedł ojciec...; wielce mię ten pan zbudował swoją gorliwością o dobro „chłopków, łagodnością, cierpliwością i jednostajnością humoru, w którym to abecadle ja ani sylabizować nie umię.

Stanąwszy z powrotem w Janowie, rachował Chołoniewski na pewne, że skoro tylko odwiezie „kochaną Lunię Dobrodzikę“, stosownie do jej życzenia, do klasztoru Wizytek w Romanowie i odda pod opiekę przełożonej klasztoru, a dawnej jej wychowanki Matki Cecylii, sam już bez dalszej zwłoki będzie mógł wybrać się w od dawna zamierzoną i przygotowaną podróż. Postanowienie Luni dodało mu nowego jeszcze bodźca. „Szanować trzeba¹ chwalebna intencję i wolę tak świętą i gorliwą w wieku, który bardziej do „spoczynku, jak do pracy skłaniać powinien. Tak to się codzień „sprawdza przypowieść Pańska. Robotnicy przed zachodem słońca „przyzwani, też zapłatę biorą co i ranni. A ja może z drugimi „tymi pracownikami, zamiast zapłaty, batogi wezmę. Nie daj tego „Boże!“.

Jakoż nie zważając już na „coraz nowe psoty, które dyabel płała i płała“², naznaczył Chołoniewski stanowczo swój wyjazd na początek maja, tembardziej, że zdawszy gospodarstwa „nie a nie już w Janowie nie miał do roboty“³. O wyjeździe, towarzyszach podróży i jej przygodach opowie najlepiej sam Chołoniewski w dzienniczku, którego starannie spisany, później nieraz poprawiany i obrabiany początek, warto przytoczyć w głównych ustępach, tem bardziej, że z humorem pisany, a z literackiego punktu widzenia nie bez pewnej wartości; następne bardziej doraźnie na papier rzucane notatki, tylko w streszczeniu opłaci się podać.

¹ Do *Grocholskich*. Janów 8 czerwca 1826.

² 18 marca 1827.

³ 5 marca 1827.

VI.

Dyaryusz podróży z Kamieńca Podolskiego do Rzymu,

miasta stołecznego państw Papieskich przedsięwzięty w towarzystwie p. Henryka Grocholskiego, starościca Zwinogrodzkiego, którego Śliźniówna, córka J. W. Śliźniowej quondam Instygatorowej Koronnej rodzi, a ojciec p. Michał, starosta Zwinogrodzki, znaczne posiadał włości w województwie braclawskiem, zaczętej dnia 6 maja, Anno a nativ. Domin: MDCCCXXVII, o czwartej godzinie po południu.

Ponieważ ci¹, co będą czytać to opisanie podróży mojej do Rzymu, dobrze znali rodziców moich i jaki piastował urząd w Rzeczypospolitej ś. p. ojciec mój, dobrze wiedzą, zatem będąc wolnym od obowiązku, do którego każdy dobry szlachcic polski winien się poczuwać, okazania, skąd ród swój wiedzie, gdzie jest osiadły, czy w Litwie, czy w Koronie, czyli też na Rusi, już wprost *ad rem* przystąpię i opowiem jako z swej persony dobrze znany osobom, do których rąk to pismo dostanie się, co mogło mnie być powodem do rozpoczęcia tego dyaryuszu.

¹ Początek ten znajduje się w papierach ks. Chołoniewskiego w czterech odrębnych, bardzo starannie przepisanych kopiach. Autor pragnął cały dzienniczek podróży do Rzymu i pobytu tamże w ten sposób obrobić, ale czasu czy chęci, a może czasu i chęci zabrakło.

Nie jest rzecz tak łatwa (jakby zrazu można myśleć) odgadnąć, dlaczego podjąłem się dyaryusz pisać. Pisał, prawda, p. Maszkiewicz, towarzysz znaku (jeśli się nie mylę) pancernego, Dyaryusz wyprawy wiedeńskiej, pod dowództwem króla Jana *glorioso* odbytej, i dobrze zrobił, bo z tego pisma dowiadujemy się o wielu szczegółach, tyjących się tego wielkiego króla i bohatera, o których nawet p. Rubinkowski, dworzanin królewski, w swojej *Janinie* nie wzmiankuje, a któreby bez pracy p. Maszkiewicza w niepamięć poszły. Pisał Cezar, wielki hetman wojsk rzymskich, *Dyaryusz* czyli *Commentaria* wojen swoich we Francyi, którą podówczas Rzymianie Gallią nazywali, i także dobrą rzecz zrobił, bo to jego dzieło, acz zwięzłe, dla wszystkich z powołania swego lub z wrodzonej skłonności bawiących się wojennem rzemiosłem, wielce jest pożytecznem. I Xenophontes, wódz sławny, szeroko pisał, jakim sposobem dziesięć tysięcy bitnego greckiego żołnierza, przez daleko liczniejsze nieprzyjacielskie wojska otoczonego w kraju perskim, bez szwanku do kraju ojczyzstego bezpiecznie doprowadził. Piękny ten odwrót, czyli *rejterada* tak mądrze przez Xenophontesa wykonany został, iż mu on więcej sławy przyniósł, niżeli bitwa jaka wygrana innemu wodzowi zjednać by mogła, w której i ślepe szczęście ma swoje prawo. Stąd to powiadają, niejednemu wodzowi do podobnych *rejterad* głowa się zapaliła, tak, że wołają mądrze *rejterować*, niżeli po żakowsku *postępować* i bić się. Inni choć nie w wojennych materyach, przecież zawsze w ważnym jakimś celu (jakim są naprzykład nauki) pisali. I tak mamy śp. JO. wojewody Wileńskiego, księcia Radziwiłła, Sierotki, peregrynacją do ziemi świętej. Bogobojny ten pan tę drogą pamiątkę pobożnego serca swego w piękny sposób opisał. Niedawnemi czasy pewien Francuz p. Chateaubriand (Szatobryan) wydał na świat *Itinerarium z Paryża do Rzymu* i na powrót, dzieło pełne ciekawych szczegółów, tyjących się ziemi świętej i Jerozolimy, a ciekawych nietylko dla pobożnych katolików, bo tych lada czem zbyć można, byle co o świętościach Pańskich wspomnieć, ale nawet i dla *uczonych*, którzy posiadają rzadki przywilej przez głęboką naukę nabyty, w nic łatwo i mocno nie wierzyć, ani też bądź czem nie dać się rozczulić. Podobnych opisów podróży zacząwszy od tej, którą nam

stary i ślepy Homer (jak mówią poeta grecki) zostawił o Odysseuszu, aż do tej, którą przed kilkudziesiąt laty pewien obywatel Sardynii około własnego pokoju swego odbył i opisał na wzór dawniejszej podróży przez Angielczyka Cook około świata szczęśliwie dokończonej, mógłbym naliczyć więcej, gdyby mi czas, a osobliwie erudycya wystarczyła. Ale że tu tylko najbardziej idzie o wytłumaczenie powodów mojego dyaryusza, przyznać muszę, że i na tę trochę erudycyi o dawnych pisarzach podróży, dla tego jedyńie zdobyć się musiałem, żeby przekonać czytelnika, że ja tak ważnych przyczyn do pisania nie mam, jakie mieli dopiero tu wspomnieni Cezar, Xenophontes, p. Maszkiewicz, p. Chateaubriand, JOX. Radziwill. *Sierotka* i inni.

Można to było, prawdę powiedziawszy, bez wywoływania z prochów nieboszczyków króciej powiedzieć — ale cóż? kiedy to człowiek ułomnej natury nie jest zawsze panem ani swego języka, ani swego pióra (przez co się nie mało złego dzieje na świecie); przeprosiwszy więc za moją długą i mniej może potrzebną przedmowę, nie mając jednak serca podrzeć tych kartek, tak jak ogrodnik nie ma odwagi ściąć drzewa, które sam sadił, chociaż mu kwaśne rodzi owoce; w krótkości już powiem, że jadąc do Rzymu, że nie będąc ani hetmanem żadnym, ani wojewodą, ani uczonym, ani posłem, tylko dobrym szlachcicem województwa braclawskiego, a za życia ś. p. ojca mojego Miecznika W. Koronnego, Miecznikowiczem Koronnym (albowiem okropna zmiana losów narodu i mój tytułik w otchłań niepamięci pogrzebła), nie znajdowałem potrzeby opisania podróży mojej i zamyślałem tylko na kalendarzu berdyczowskim rubrykować dnie jakie ważniejsze, z powodu wypadków przytrafiać się mogących na popasach lub noclegach. Lecz siostra starsza i mąż jej, bardzo na mnie łaskawe rodzeństwo, nie chcieli pozwolić na moją do Rzymu perygrynacyą, póki bym nie obiecał im, iż będę codzień zapisywać cokolwiek by mi się ważnego, a nawet mniej ważnego w tej drodze przytrafiło. Żeby przytem przełamać wstręt mój do tej mozoly, jako małobiegłemu i niedoświadczonemu w literackich pracach, prosili mnie, abym się nie wysilał ani na wymowę, ani na erudycyę, ani na żadną rymotwórską sztukę, a co do nauk, ponieważ geografia, powiadają, jest jedna z najpotrzebniejszych umie-

jętności w podróżach, to jeśli bym się znalazł w kłopotcie i nie wiedział np. jak się nazywa miasto jakie, przez które bym przejeżdżał, albo też rzeka, która by gdzie pod miastem płynęła, radzili mnie braterstwo, abym na ratusz posłał do burmistrza, lub jeśli by go nie było, do fary do proboszcza, a wreszcie i do dzwonnika, zapewniając, iż którykolwiek z nich niezawodnie powiedziałby mi nazwisko miasta, w którym mieszka i rzeki, która pod niem płynie. Że zaś datę roku i miesiąca w kalendarzu berdyczowskim, który mnie dał O. Józef Karmelita, znaleźć bym potrafił, łatwo tego już sam się domyśliłem. Tak więc zaspokojony w tej mierze postanowiłem — ile w mojej możności — zadośćuczynić woli kochanego braterstwa, i dać im dowód mojego przywiązania i afektu ku nim niepospolitego; boć tem samem że dla nich tylko dyaryusz będę pisał, przekonam, że *per omnes dies peregrinationis meae in hac lacrymarum valle* będę miał w pamięci drogą ich przyjaźń. Zaczynam tedy *ad majorem Dei gloriam* to opisanie podróży mojej rzymskiej i powtarzam, że dzień 6 maja *vet. styli, anno a nat. Dom. 1827*, w piątek o czwartej po południu był dniem wyjazdu naszego z Kamieńca Podolskiego.

I. Epigraphium.

*Qui multum peregrinantur
Raro sanctificantur.*

De Imit. Thomas à Kempis.

II. Epigraphium.

*I na lądzie i na morzu,
Wszędzie bieda, mój Grzegorzu.
Biskup Krasicki.*

Rok 1827.

Dnia 6/18 maja o czwartej godzinie po południu wyjechaliśmy z Kamieńca Podolskiego. Temi słowy zakończyłem moją przemowę do czytelnika. Wszakże dla lepszego zrozumienia tej okoliczności będę musiał wejść w niektóre szczegóły. Trzeba więc wiedzieć, że cała nasza podróżna komitywa składa się z JW. Gubernatora podolskiego, żony jego, córki sześciolatniej, panny Aleksandry Kąt-

skiej, p. Henryka Grocholskiego i autora tego dyaryusza, przytem dość liczna czeladka. Dwóch lokaji: jeden Woźniakowski szlachcic (idąc za opinią lokajskiego herbarza, chociaż państwo gubernatorstwo Janem po prostu go zowią), drugi Siergiej, Moskal co za Polaka służy, kamerdyner Piotrowski, szlachcic formalny, furman podobno Józef, kucharz nowo przyjęty a zatem nieznanym mnie; czterech poczytlionych, których imiona zapomniałem wypisać, Bazyli także furman, Galicyanin i Antoni kucharz z Janowa. Powozów było cztery, kocz i bryczka gubernatora na resorach — furgon tegoż, nowego wynalazku, rozumie się dla tych, co nie podobnego nie widzieli, w których rzędzie i ja się mieszczę, nakoniec kocz mój, co wiele rozlicznych odbył podróży, bo już przez lat ośm zagraniczne zwiedzał kraje, przez co w wielkim był u nas poszanowaniu. Byli tacy, co radzili, żeby go porzucić w domu dlatego, że stary, lecz ja sądziłem, że to zaleta, bo starości towarzyszy zwykle doświadczenie, jakoż było ono widoczne zewnątrz i wewnątrz po całej jego budowie. Zrana furgon z Siergiejem lokajem, kucharzem i kuchnią wyprawiono do Tynny, o cztery mile odległej wioski od Kamieńca. Cug sześciokonny kary gubernatora powiózł ich. Zapomniałem jeszcze pomieścić w liczbie wyjeżdżających z nami z Kamieńca pannę z fraucymeru p. gubernatorowej na imię Rudlicką, Kowalczuka z Strzyżawki rodem i chłopca *per modum* kamerdynera p. starościca Zwinogrodzkiego. Ci więc wszyscy wyjeżdżali z Kamieńca, ale nie wszyscy w jedną stronę — gubernator z żoną, córką i panną Kątską udają się do Proskurowa, stołecznego miasta powiatu tego imienia, a stamtąd w dalsze powiaty Lityński i Winnicki; albowiem z urzędu swego powinien gubernator tego roku przepatrzyć w nich to wszystko, co pod jego zostaje zarządem. Kowalczuk wraca się na Proskirów do Strzyżawki *ad Penates*, ażeby zostawszy w Kamieńcu, czując się osieroconym, nie uczęszczał do Koguta¹, albo też do Dłużka, przez coby znaczny zrobił ubytek arendzie Strzyżawieckiej. Chłopiec p. Henryka jedzie z powrotem do Pietniczan z wielkiem utrapieniem serca. Przystał na to do pana swego, aby (jak on mówi) *wojażować*. Pokazało się potem, że za młody na

¹ Karczmy wolnej od okupu blisko Kamieńca.

długą podróż zagraniczną, i że lepiej przestać na Antonim, starszym, dojrzalszym; — chłopiec mógł sobie myśleć, że dość nam było mieć stary kocz, niedobrze więc pojmował, dlaczego i sługa miał być niemłody. Musiał jednak przystać na tę zmianę losu i wracać do domu. Tym więc sposobem wytłumaczyłem, jak wszyscy tu wyrażeni w drogę się puszczali, chociaż nie wszyscy, jak my, do Rzymu jechali.

Skoro tylko powozy nasze ukazały się na rynku, wzbudziły w licznych widzach stolicy, odpowiednie podobnym ważnym wypadkom uczucia. Ukazał się też i JP. Łapa (herbu zapewne Niedźwiadek), policmajster miasta Kamieńca, na pięknym i potężnym koniu gniadym, któremu, dlatego żeby był podobny do koni w Anglii krótkie mające ogony, ogon ucięto. Policmajster, człowiek wieku nieco podżyłego, podpułkownik, w całej paradzie siedział na koniu, tj. miał szpadę, ostrogi i kapelusz z piórem, co się nie po mału przyczyniło do uświetnienia naszego wyjazdu; jakoż to znać było po gęstych kupach żydowskich, które z wielką uniżonością czapki uchylały przed tak poważną komitywą. Za miastem wstąpił gubernator na chwilę do generała obozującej tam na polach brygady, potem odprowadził policmajstra na powrót do miasta z poleceniem, aby drzewa przez mieszczanów Izraelitów nad drogą sadzone lepiej były pielęgnowane i prędzej rosły. Przejeżdżając koło nowo budującego się klasztoru PP. Wizytek za miastem, oglądaliśmy ziemię, w której mają być założone fundamenta z kamieni i wapna mających się tam dostawić. Kamieni już były piękne kupki. W tem okazała się zguba; mój surdut zapomniano w domu. Łaskawe braterstwo postanowiło czekać na powrót poczytliona, który po tę zgubę został wysłany. Trwało to pół godziny, przez który czas p. Roguski, artysta podolski, podbiegłszy chyżym krokiem rekomendował interes swój, siebie artystę dojrzalego i młode artyściątka działwę swoją wspaniałym sercom i względom gubernatorstwa i starościca pana Henryka; znany jest ten artysta z pięknego wykonania transparentów, które ozdabia widokami krajowymi, osobliwie Podola. I chociaż JW. X. Kalasanty Czertwertyński dowodził mu błąd statystyczny, jakoby w jego widoku stawu kaczki były polskie, a rybacy po niemiecku ubrani, wszelako artysta ten tak jest dobrym patriotą, jego dzieci tyle patriotycznych wierszy deklamują,

iż mu Podolanin każdy przyznać musi, że jest dobrym nawet malarzem.

7 *Maja*. Miejsce w którym nocujemy, wieś Tynna niegdyś starostwo czyli królewszczyzna w nagrodę zasług wojennych dana na wieczne czasy ś. p. księciu de Nassau o którym wszystkie kraje europejskie chwalebnie wspominają. Pojął za żonę Polkę. *Osobliwości Tynny*. Zazieram do opisu starożytnej Polski p. Święckiego, nie wspomina o *Tynnie*. Statystyka Podola ks. Marczyńskiego nie przepuszcza jej w milczeniu. Ale, że i ja Podolanin, to chociaż statystyki nie uczyłem się, wiem jednak tak dobrze jak i ks. M., że w Tynnie piękny Kościół z obmurowaniem wspaniałem, jak na parafię i z bardzo pięknymi lipami, które jak wiankiem pysznym opasują cały Kościół. Oberżysta imieniem Galli Włoch; między szafami obsadzonemi wybórnymi likworami, zawieszono są kopiersztychy wielkie i małe różnego gatunku i koloru, a z pośrodku średniej belki spuszczone jest urna alabastrowa mająca służyć za lampę. Ci co się znajdują na tem powiadają, że Hetruskowie podobnych używali, chociaż ani karczem ani szynkowni nie mieli. Sprzęty te kosztowne dowodzą, że p. Galli niegdyś był kupcem, lecz zmiana czasów, rządów i miejsca, przymusiła p. Galli najprzód z rzędu kupca we Lwowie, zejść na amatora sztuk pięknych w Kamieńcu, a potem na szynkarza czyli oberżystę w Tynnie, gdzie dochowuje jeszcze szczątków dawnej swej pomyślności. Ciekawszy jeszcze nad to wszystko i godniejszy uwagi jest cmentarz tynnieński z powodu ostatniej woli księcia de Nassau. Kazał się pogrzebać obok dużego cmentarza na osobnem miejscu i nazaczył pewną sumę na wyposażenie kilku wieśniaczek, pod warunkiem, aby na jego grobie zawsze kwiaty świeże utrzymywały. Grób jego teraz ledwie znaczny, bo cały obrósł chwastem i pokrzywą, a nawet nie ogrodzony. Kwiatów niema, przez lat kilka po śmierci widziano kwiaty, potem coraz mniej ich było, na koniec pokrzywa się pokazała. Jakże ten cmentarz zdał mi się obrazem serca niewdzięcznego. Skoro tylko zniknie z oczu przedmiot wdzięczności, bujne jej kwiaty z początku pięknie wzrastają, z czasem coraz ich rzadziej widać, ażei nakoniec i nie znać w tem sercu pomnika, ani śladu najmniejszego dobrodzieja zapomnianego; chyba go zgadywać trzeba po obfitych

chwastach i pokrzywach obmowy i nicowania życia tego, który już w swej obronie stanąć nie może.

Do Proskirowa wcześniej zajechaliśmy. Przed miastem prawie o staję wyjechał p. policmajster naprzeciw gubernatora i raport zwyczajny do rąk oddał. Człowiek średniego wzrostu, otyły, lecz bardzo czynny; znać to było z pierwszego rzutu oka, po kasztanku na którym siedział bardzo zasapanym i pieniając się. Za przybyciem naszym do kwatery już dla gubernatora przygotowanej, liczna populacja żydowska wysypała się nagle ze wszystkich stron miasta dla przypatrywania się naszemu przybyciu i powozom stojącym. Największe zdawał się w niej wzniecać uszanowanie furgon gubernatorski; kształt jego mało widziany w tych stronach, nie mało się przyczynił do blasku naszego wjazdu.

Niedziela 8 maja. Fest wielki dla mnie. Kościół głosi dziś wiekopomne czyny Stanisława Szczepanowskiego, biskupa krakowskiego, patrona mojego; nie wiem czemu się więcej dziwować w życiu tego wielkiego człowieka: czyli mocy i odwadze duszy, z którą do końca życia swego króla zapamiętałego upominał, czyli łagodności i słodyczy serca, z którą surowy obowiązek strofowania sprawował.

Na *pozór* wygrana Bolesława, ale także na *pozór* tylko, bo chociaż w kawałki porąbał biskupa krakowskiego, przecież te kawałki się zrosły; całej Polski stały się ozdobą święte kości, a król zabójca nie tylko tronu nie potrafił dochować, ale nawet piędzi ziemi polskiej, tyle ile na grób potrzeba, nie mógł pozyskać.

Tradycya dość poważna mówi, jakoby królowi przed śmiercią ukazał się z twarzą wesołą, oznajmując mu, że jego ostra pokuta za wstawieniem się przezeń umęczonego, została od Boga przyjęta. Zjawiają się niekiedy na tej ziemi męże, którzy z powierzchowności do innych ludzi podobni, śmierci jak i oni podlegają, wewnątrz są jednak aniołami. Takie to przydaje Bóg wielkim grzesznikom za *anioły stróże widome*, jakby im jeszcze nie było dosyć na niewidomych, którzy ich nigdy nie odstępują. Przyjaciele Anieli ci widomi, różnią się tem tylko od niewidomych, że ich człowiek może odpędzić od siebie śmierć im zadając; lecz oni śmiercią się nie zrażają, ale raczej większej siły i ochoty nabierają, bo już w rządzie prawdziwych aniołów niewdzięcznymi mocniej się opiekują.

Tegoż dnia po rannem nabożeństwie Braterstwo kochane przyjęło mnie z życzeniami najpiękniejszymi. Łatwo wierzyć słowom osób, których serca przez tyle lat życia mego najczulszą obdarzały miue przyjaźnią. Powtórnie poszedłem do Kościoła z gubernatorem, potem oddaliśmy wizytę marszałkowi JW. Kosteckiemu, w jego kwaterze, która była na probostwie — i wszczęła się rozmowa o starożytnościach historycznych miejscowych, które z polecenia najwyższego, gubernator usiłował zbierać w naszych podolskich okolicach. Ciężko się dopytać dalekiej starożytności pomników. Co uszło spustoszeniu częstemu Tatarów i ościennych Turków, nie ocalało przed niszczącym możnowładztwem komisarzy i rządów, jedynych prawie panów owych krain za czasów polskich. Archiwa grodzkie dla budynków drewnianych najczęściej pastwą były ognia. Klasztory jedne, najlepszem być mogły schronieniem dziejów krajowych; lecz z upadkiem ducha zakonnego klasztory stały się odludnymi; z duchem pobożności straciły i miłość nauki. Biblioteki przeistoczyły się na lamusy i składy sprzętów niepotrzebnych, a co tam i owdzie znaleźć się mogło ciekawego dla historii krajowej, stało się zdobyczą niezmordowanej pracy i iż tak powiem napaści uczonej, sławnego Tadeusza Czackiego. Tym sposobem skarby narodowe stały się skarbami kilku partykularnych. Biblioteki pp. Czackiego i Ossolińskiego wzrosły z pustoszenia bibliotek zakonnych i owej wielce sławnej, znanej pod imieniem biblioteki Załuskich. Są to skutki nieodzowne upadku kraju; kiedy się okręt rozbije, każdy z tonących niezaprzeczone zdaje się mieć prawo do szczątków drogich skarbów, które z otchłani oceanu z życiem własnym na brzeg bezpieczny wydzwignąć zdoła. *Apparent rari nantes in gurgite vasto: Troiae gaza tabulaeque*; próżna więc praca żeglującemu późniejszymi czasem po tym samym morzu już uspokojonem, szukać śladów i ułamków wspaniałego okrętu. Niestaly element burzliwy wszystko pochłonał, tak drogie skarby i klejnoty jak i podle kamienie, któremi obciążano korab ojczyzny. Cisza wróciła z nowem słońcem, zda się czasem nawet, iż w tym morzu tak jasnym i cichym jak w czystym źwierciedle przejrzeć się można, lecz na dnie samem głęboko zagrzebane leżą skarby cnót i dzielności, narodowych wspomnień i nadziei ojczystych, których próżno najbystrzejsze oko dostrzedz usiłuje.

Jak widzę wpadam w niepotrzebny zapal i styl nieprzyzwoity dyaryuszowi. Wracam do Proskirowa. Przed samym obiadem przybył p. Szaszkiewicz powinowaty p. gubernatora, bo ma za sobą siostrzenicę jego. Człowiek wieku dojrzałego i charakteru bardzo przyjemnego. Po obiedzie spacer po mieście w gronie familijnem odbył się. Policmajster był dowódcą honorowym i z wielką uwagą przysłuchiwał się projektom i poleceniom tyczącym się upiększenia miasta, które może być z czasem ozdobą powiatu, jak się reszta domów drewnianych wypali i nowe staną murowane. Pies Piżon faworyt gubernatora zaniemógł, wszystkich na siebie zwrócił uwagę. Ogólne było zdanie, że ruchu większego potrzebuje i kuracyi majowej. Policmajster natychmiast przeznaczył łąkę piękną na ten przedmiot; i z zwykłą swoją gorliwością podjął się dyrekcyi tego maiku psiego.

9 maja przeznaczony na dzień naszego wyjazdu. Tu trzeba przystąpić do szczegółów mniej może szlachetnych, ale które znaczny wpływ miały na dalszą naszą determinacją względem furmana. Dotychczasowy Leopolita Bazyli, grubą myłkę zrobił. Wyjeżdżając z Kamieńca, pożyczył z pojazdów gubernatorskich poduszki kareciane, rzemienie różnego rodzaju, śruby etc. a co najgorzej, że pożyczył w sekrecie, którego mu stajenni gubernatorscy nie dochowali; wrzask więc się zrobił wielki w stajni. Znalaziono poduszki w naszym koczku i zaczęto krzyżeć: złodziej Bazyli. On się obruszył na tę obmowę. Kiedy przyszło do sprawy, dowodził, że on to dla mnie swego pana pożyczył; bo to się *zdać miało* na potem. Mógł to sobie pomyśleć, że biorąc od szwagra poduszkę dla szwagra nie bardzo błędził; ale jeśliby to był błąd, a jak wmaiwiali w niego kradzież, to *między swymi*, czyli jak Francuz mówi *cela restait en famille*; przecież przelekleliśmy się jego eksplicacyi i natychmiast odprawić postanowiliśmy; zapłaciliśmy mu całą należytość, wprzód wyrobiwszy dla niego paszport od gubernatora za granicę. Przystał na wszystko, bo w stajni gubernatorskiej miał partyę przeciwną; przyszło do pożegnania po wzięciu odemnie zasług swoich, gdyż starano się prędko go wyekspedyować, aby jeszcze jakiej pożyczki nie chciał zrobić na drogę. Przypadkiem gubernator nadszedł na tę scenę pożegnania. Stał p. Piotrowski, kamerdyner na środku stajni; stał naprzeciw niego winowajca, na

około nich grono poważne kuczerów, kuchtów, forysiów, zwoszczyków i żydów. P. Piotrowski miał zlecenie odprawić go *cum dignitate*; wziął tedy assumpt od morału. Musiało to jednak być czule, bo Bazyli coraz to mu sięgał do cholewy ręką i żegnał się, a chociaż nieco niedelikatna rewizya rzeczy jego poprzedziła, on wyższy nad te podejrzenia bez goryczy dziękował p. Piotrowskiemu za służbę i za obrok duchowny, a przy końcu podobno i serca furmańskie rozczulił. Nie wiem czy mówił: żegnam was żłoby, kocze, konie, bicze, jak owa Joanna d'Arc w tragedyi p. Brodzińskiego, żegnając się z łąkami i polami, ale to wiem, że skromnie wyszedł. Tymczasem gubernator kazał policmajstrowi szukać nowego furmana niby dla siebie, w kilka godzin znaleźli człowieka młodego, czarniawego, smutnego, średniego wzrostu, który był za Galicyanina zbiegłego uważany, chociaż nigdy nie był w Galicyi; nie miał świadectwa, ani świstka, nie wiedział gdzie i z kim ma jechać, zresztą miał być dobrym, trzeźwym i zwał się Daniel. Ugodził się z nami za 180 zł. na rok i odzież bez wysługi. Ten trochę przejechał kasztanki i potem zaprzągl. Przyszła godzina rozstania się. I tak już sami sobie zostawieni: staroście autor tego dyaryusza, Antoni lokaj, Daniel kuczer, cztery kasztanki, piąty wierzchowy; ci do koczki zaprzężeni, my w koczku siedzący *definitive* w dalszą podróż puściliśmy się i do Mikołajowa miasteczka p. Marsz. gub. Przechodzieckiego na noc zajechaliśmy. Tu nie było godnego wspomnienia, prócz tego, że żydówka gospodyni nie chciała nam odpowiadać na nasze pytania o wypadkach jarmarku w Czarnoostrowie, pierwszy raz dziś przez dziedzica z pompą zaprowadzonego, nie wierząc, abyśmy skądinąd jak z jarmarku mogli jechać. Należy stąd tylko wnosić, że nam zapewne na minie jarmarkowej nie zbywało.

Środa 10 Maja. Stanęliśmy o zachodzie słońca w Radziwiłowie. Mając list do p. Korolenka dyrektora komory od p. Mikołaja nie chcieliśmy ani zajrzeć do gospody, myśląc jeszcze dziś stanąć w Brodach. Żydki nam perswadowały najmocniej przenocować i eksortowały aż do komory. Cóż się stało? Najprzód p. Korolenka nie zastaliśmy. Wyjechał i nie miał powrócić aż niewiem kiedy; pierwsza negatywa. My jednak nie tracąc fantazyi zajechaliśmy wprost na tamożnię. Zastaliśmy sessyę w komplecie. Byłoż nam! Zastępujący dyrektora jakiś p. Ugriumów Trębicki

z góry nam trudność zrobił względem assygnat zaklinając nas, abyśmy się z nimi nie taili, bo choć uwierzy przed roгатką jako słowu szlacheckiemu, to za roгатką zrewiduje (widać, że za roгатką *verbum nobile* nie uchodzi) i jeśli znajdzie assygnaty skonfiskuje, choćby cały majątek. Przy świadkach prosił nas i groził, podając oraz sposób zmieniania pieniędzy u żydów radziwiłowskich, którzy już jak owady do nieboszczyka jakiego ciała, do naszej kieszeni zewsząd się zlatywały. Wahaliśmy się długo, nakoniec nocą przymuszeni, do pokory przynagleni, za radą niejakiego p. Bodyski udajemy się do poczmajstra miejscowego, p. Giersa brata rodzonego naszego p. Vice gubernatora, który tu bankierskie życie prowadzi. Przyjął nas grzeecznie, wszystkiemu zaradził, bo wziął nasze assygnaty a dał weksel do wszystkich bankierów brodzkich na tyleż ryńskich ile mieliśmy rubli assygnat, tak żeśmy jeszcze na przemianie zarobili; przyznał przytem, że byłby p. Trębicki w razie naszego zaparcia się pewnie zrewidował, jak to już nieraz zrobił. Lecz nocować musieliśmy u brata żydka radziwiłowskiego; i dopiero nazajutrz 11 maja o 8-ej z rana bez wielkiej rewizyi, lecz jednak za ukazaniem wekslu Giersa puścili nas do Brodów; gdzieśmy o 9-ej stanęli, wprzód jednak w Radziwiłowiu mszy wysłuchawszy, bo to było Wniebowstąpienie. W Brodach zastaliśmy jeszcze Summę i dobre kazanie. Osobliwość tego dnia, prócz tych mitręg które nie są osobliwością w tym kraju, że kiedym zaproponował przez Antoniego Danielowi aby się przyznał, że jest Szymonem, bo w paszporcie to imię stało, to ten poczciwy chłopiec mocno na to się obruszył, utrzymując, że go ochrzcili Danielem i że Danielem chce żyć i zginąć. Na komorze mógł być ambaras; użyłem więc fortelu i kazałem Antoniemu w negocyacyę z nim wejść i powiedzieć, że u mnie jest zwyczaj wkładać imię nowe służącemu którego przyjmuję, lecz że pomimoto tego i stare może zachować. Przystał więc na to aby był Szymonem i Danielem i pod temi dwoma imionami przejechał.

Czwartek 11 maja. Stanęliśmy w Brodach w oberży p. Pa-cha, dość porządnej na takie miasteczko. Mój towarzysz podróży zajął się urządzeniem kwatery, ja wstąpiłem do pobliskiego kościoła, w którym jeszcze summę zastałem. Było i kazanie dość piękne z powodu festu Wniebowstąpienia. Kościółek nędzny; zwyczaj jednak tutejszych kościołów nie mieć kaznodziejów czytających

swoje kazania, zdaje się bardzo dobry, bo ksiądz, jeśli czyta kazanie, to dla tego, że nie umie go, a jeśli nie umie, to choć sam go napisał i najlepiej, mało robi na słuchaczach wrażenie. Myśli jak najpiękniejsze, jeśli nie będą ożywione duchem i głosem mówiącego, stają się martwemi. Kto utrzymuje, że głos ludzki nie może nic przydać do mocy i piękności myśli, ten nie dość zna tajemniczy pociąg, którym Bóg obdarzył mowę ludzką; ten to przywilej człowieka, który go najwięcej od innych zwierząt odróżnia i do Stwórcy przybliża.

Piątek 24 maja. (N. S.) Po obiedzie będąc drugi raz u p. Fontany, rządcy dóbr Fr. Potockiego, zastaliśmy dwóch Francuzów świeżo przybyłych z Wołynia, którym z rozkazu W. Księcia wyjechać kazano. Sądzę, że byli nauczycielami po domach obywatelskich, powierzchowność ich nie była powabna. Jeden młody miał coś bardzo nieszlachetnego w twarzy, drugi podżyły wzroku bystrego i niespokojnego. Rozmowa ich nieszczególna, nieboraki zdawali się bardzo niekontenci z podróży swojej. Czy tylko W. Księcia nie dano do przeczytania Doświadczyńskiego, biskupa Krasickiego, że się tak na tych Demonów zawziął, że i nasienia w kraju już dość z nich oczyszczonym, nie chce zostawić. P. Fontana chciał nam sam ułatwić przejazd komory austriackiej, ale dla nadeszłych listów musiał się wstrzymać i kazał sekretarzowi swemu, aby go wyręczył. Jakoż się to nam bardzo przydało, bo już dla bliskiego zachodu słońca trudności nam robiono do przeważenia kilku łyżek srebrnych, które z sobą mieliśmy. Wymowa naszego przewodnika, poparta naszą elokwencyą kieszonkową, rzeczy ułatwiła. Bez najmniejszej rewizyi puszczono nas i chociaż już było słońce nisko, przecież nie bardzo późno stanęliśmy na noc w Podhorcach PP. Rzewuskich, ozdobionych pałacem starożytnym, który jutro z rana postanowiliśmy oglądać. Na wielką hańbę moją tyle razy przejeżdżając przez Podhorce, ani razu w pałacu nie byłem¹.

¹ Święcki utrzymuje, że Brody były dziedzictwem Stanisława Koniecpolskiego kasz. krakow. i że twierdza przez niego wystawiona w starożytności była znakomita. Fontanna zaś mówi: że za Józefa II. na rzecz rządu została zabrana tym sposobem: Cesarz Józef jechał przez Brody do Kaniowa; ówczesny dziedzic pan podkomorzy Potocki, obojętny na honor podejmowania cesarza wyjechał na ten moment z zamku. Cesarz przybył, zastał wygodę w zamku,

Sobota 25 maja. Z rana odwiedziliśmy zamek wystawiony przez Koniecpolskiego hetmana. Cellaryusz świadczy, że król Jan III. i syn Jakób często tu przebywali. Teraz pająki i mole zajęły sale marmurowe, dawne kobierce i makaty, pamiątki drogie starożytnej pomyślności i dumy panów polskich. Pałac ten znany wszystkim z pięknego położenia, wspaniałych komnat marmurowych i wielu bardzo ciekawych obrazów mężów w Polsce sławnych, któreby pilnie pielęgnować trzeba, bo choć niektóre niezgrabnym pędzlem oddane, przecież są one także rodzajem kronik. Niestety! zupełnie pustoszeje; dachy deszcz przepuszczają, a po ścianach wilgoć krystalizacyę formuje: pokazują to staroświeckie porcelany, kanapy, krzesła. Obrazy zagraniczne nie są szczególne, stół na którym Jana Sobieskiego ochrzczono, z Oleska tu się dostał. Pamiątki te piękne, smutne wrażenie robią. Teraźniejsi właściciele ich nie są w stanie je ożywić ani swoją bytnością, ani tym duchem, dla którego i najlichsze ułamki rozbitego ojczyzny statku nie są martwe, nie są nieme, nie są podle. Wprowadzono i tu zwyczaj niemiecki zapisywania podróżujących imiona do księgi białej. W Niemczech to robią odwiedzając zwaliska starych zamków; widno, że i Podhorce do tej klasy zapisano. W nie bardzo pięknym humorze zniewolony przez burgrabiego, podpisywałem moje imię pod temi słowy: *O quam mutati ab illis*, z Wirgila; może to nie grzecznie, stało się. Popasawszy o milę za Złoczowem, a wytchnąwszy dla niezmiernego gorąca w Winnikach, stanęliśmy o 8-ej wieczór we Lwowie tegoż dnia, w oberży *Hotel d' Europe* na drugim piętrze.

Niedziela 26 maja. — *Lwów.* Idąc do domu Łowczego uwagę naszą ściągnął bulwar przed jego oknami, przez miasto nowo ozdobiony. Zdaje się jakby umyślnie dla zabawy i widoku Łowczego, Lwów ten spacer urządził. Są tu bukszpany, kioski, *niby jak od*

lecz właściciela nie zastał. Wkrótce dał uczuć, że mu się to nie podobało, bo przechadzając się po wałach zamkowych, stanął na jednym punkcie skąd widok był na miasto i stuknąwszy laską o ziemię rzekł: *Die Stadt gehört dem Grafen, aber die Festung ist mein.* A że przeciwko takowej intramissji na grodzkich sądach, ani lubelskich nie można było protestować; więc ta twierdza była w posiadaniu rządu austriackiego, aż do nowej intramissji w 1809 r. przez armię polską wziętej, która była przyczyną, że za powrotem pokoju zniszczył rząd fortyfikacye.

niechcenia, a słowiki, szpaki, i gile po oknach sąsiednich domów w klatkach zawieszono, tak jak w *Emrodzie* nieszczęściu, tak tu *szczeńściu* lwowskiemu *dodają wdzięku*. Koło samego domu wyschły, blade, smutny, chorobą jakby wewnątrz wypalony, zawołał na nas i przywitał młody człowiek, którego ledwie z głosu mogłem poznać, że to był Adam Zamojski. Skarżył się, że go przeziębienie do tego stanu przywiodło. Jeden to był z braci czterech, najwięcej aplikujący się w szkołach. Bawił jakiś czas przy p. Ordynacie w Warszawie, potem na podróż się puścił, niedawnymi czasy osiadł na wsi, a tu tylko dla poratowania zdrowia przybył.

Zastaliśmy p. Łowczego w domu, przyjął nas z zwykłą sobie dobrocią. Zaprowadził nas do sali jadalnej letniej, pięknie kwiatami ozdobnej, tak dalece, że i pagórek na przeciwko okien cały różami osadzony był. Tam obiad na nas czekał, a my na damy, które także na ten objad były zaproszone. Widno, że nam rad był starszek, bo preparatywy były do cukrów i wina szampańskiego, i damy do garnituru były sprowadzone, jak się potem okazało, bo tego co dzień nie mieliśmy. Ukazały się nakoniec pośród krzaków róż i woni rozlicznych, pani Uruska Łukaszowa z córką około lat 19-stu mającą, skromnie ubraną, bo włosy tak miała uplecione jak Mania. Za to mama i guwernantka Angielka suto wystąpiły. P. Henryk Fredro brat p. Maksymiliana, p. Dzierzgowski, p. Kossakowski, hr. Korupatnicki, Adam Zamojski składali towarzystwo obiadowe. Konwersacya była miernie interesująca, przecież zawsze czegoś się można było nauczyć. Dowiedziałem się od JW. Dzierzkowskiego, że ks. H. Lubomirski przysłał naczynie gliniane (alias garnek) z ułamkiem strzały w miedź oprawnej; kazał nam z tej miedzi wnosić, że to są sarmackie zabytki głębokiej starożytności, ja zaś i to sobie w prostocie pomyślałem, że i przed tysiącem lat, ludzie tej ziemi kiedy jedli to z garnka jedli, a kiedy się bili, to co tylko znaleźli ostrego, choćby i miedzi kawałek, tem nieprzyjaciół kłóli. Teraźniejsi zaś krajowcy, osobliwie ci co mają prawo wojować, nie z garnków, ale z mis srebrnych jedzą, a do broni nie miedzi, ale stali i spiżu używają. To jednak nie zły postęp w cywilizacyi, choć i przez lat 1000, bo żeby ludzie nie jedli i nie zabijali się, do tego się cywilizacya nie mięsza. Od JW. hrabiego Korupatnickiego dowiedziałem się, że ks. wojewoda Radziwiłł *Panie Kochanku*, chwa-

lił się przed swoim plenipotentem a ojcem p. hrabiego, że kiedy księciu ktoś na kompanii zarzucił, dlaczego na wytartym złym kontuszu, guzy brylantowe poprzyszywał; on miał odpowiedzieć: Panie Kochanku! Stary kontusz, bo go dwunastu wojewodów Radziwiłłów wytarło.

Poniedziałek 28 maja. Od dnia tego aż do 7 *Junii* naszego wyjazdu, cały czas zszedł na traktowaniu z p. Łowczym w interesie mojej rodziny wiadomym. Skutek tej negocjacji również wiadomy, dla tego i dla innych powodów przyzwoitości, dyaryusz o całym tym interesie zamilczy. A że ten interes zajął cały czas we Lwowie, tak że inne wszystkie przedmioty jak przez mgłę ukazywały się, a osoby jak figury w *Kamerze Obskurze*, dlatego i dla wiadomości wielce obszernych, tak samego Lwowa jak i mieszkańców jego, które przyszli czytelnicy tego dyaryusza posiadają, nie pozostaje mi jak tylko napomknąć, że codzień p. Łowczemu uwagę moją oddawałem, że to łaskawie zdał się uważać i nakoniec nadspodzianie grzecznie przyjął moje zwierzenie się z celu mej podróży, dziękując mi za moją w nim ufność, że nas Gubernatorowi na assamblach prezentował, gdzie było ciasno, gorąco i głośno, bo kolacyi na assamble nie zaprosili, ale za to bardzo była zła herbata; że mój kolega długo się wahał czy prezentować się, czy nie bogatej panie Uruskiej, a puściwszy ten zamiar w przewłokę, brakiem nie dość dobrze przychodzących do nóg trzewików powodowany, nie kusił się więcej o tę znajomość, odkładając ją *ad faustiora tempora*. Że ks. arcybiskup Ankwicz łaskawie nas przyjął, a mnie wziął za brata Jędrzeja i wizytę nam oddał. Że p. Dzierkowski z teraźniejszych mieszkańców lwowskich najślusniejszy, a p. Bułhakina najmniejsza ze wszystkich niewiast, że nakoniec po ukończeniu wszystkich interesów małych i wielkich, po zdaniu o nich sprawy rodziny i napisaniu listów, po nabyciu konia kasztanowatego i przyrzeczeniu p. Lipińskiemu, że się oddadzą jego waryacje Paganiniemu, po trzydniowym pobycie, o 5-ej po południu w wielkie gorąco wyruszył nasz kocz *item* restaurowany tego roku może już 999-ty raz, z wrót oberży „hotel Europy“ w podróż krakowską, krakowskiem przedmieściem.

W Łańcucie pomimo chęci widzenia państwa Potockich, musieliśmy przestać na oglądaniu samego ogrodu i pałacu bez właści-

cieli, którzy w różne strony rozjechali się. W Łańcucie fest. Trójcy św. obchodziliśmy, i z tego powodu mieliśmy zręczność poznania szanownych Ojców *Soc. Jesu*, których tu trzech na parafii znajduje się. Dodać także należy, że w Bochni pies rzeźnicki bardzo ogromny zciągnął uwagę mego towarzysza podróży tak dalece, że się jego biografią zatrudnił, a kiedy mu imię jego wypadło z pamięci, wielce się tem frasował, aż póki go sobie nie przypomniał.

13 Junii. We środę tedy o 10 zrana po sześciodniowej podróży, szczęśliwie do pięknego i starożytnego miasta Krakowa przybyliśmy. Wprost udaliśmy się do dawnej mojej znajomej p. Karoliny oberżystki oberży Krotza, która nam wygodną stancję na drugim pięttrze wygotowała za cenę skromną.

14 Junii Czwartek. Boże Ciało. Ceremonia i procesya solenna na rynku dość wspaniała, tylko że damy wystrojone nadto, przed władzami Rzeczypospolitej, także w paradzie wielkiej postępującemi, pierwsze miejsce zabrały. W rzędzie i szeregu pięknym, długim księży świeckich, dostrzegłem młodego Łubieńskiego¹, którego wprzódy nigdy nie widziałem. Zgadłem go po wzroku jasnym, spokojnym i jakowejś dziecinnej szczerości, którą wykazuje jego czoło zupełnie otwarte. Włosy miał na tył głowy zaczesane, na dwie połowy przedzielone, z natury kręcące się.

15 Junii. Poznałem ks. Łubieńskiego i do mszy mu służyłem w kościele Franciszkańskim. Wszelkie mnie ofiarował rekomendacye do Rzymu i na obiad zaprosił, na którym siostra jego Skarzyńska z córką i synowie, Łubieński syn nieboszczyka z pierwszej żony znajdowali się. Familia ta cała bardzo przyjemna i enotliwa. Każde z rodzeństwa ma swój charakter oddzielny, a wszyscy są bardzo prości, otwarci i pobożni. Łubieński wiele mi ciekawych rzeczy o Rzymie opowiadał, o Bacchanaristach, Jezuitach etc. i radził także *Collegium Romanum*². Tegoż dnia przybyła familia Brzozowskich, p. Karol z dziećmi, bardzo byli zdziwieni, że nas traf jakiś do jednej sprowadził oberży. Ci państwo do Karlsbadu

¹ Późniejszy biskup Tadeusz Łubieński.

² Poznałem się także z ks. Skórkowskim, dziekanem tutejszej kapituły, bardzo godnym człowiekiem, z ks. Stachowskim exjezuitą, sekretarzem biskupa krakowskiego, który mi dał ważne pisma do Rzymu, lub do oddania Internuncjuszowi Ostiniemu w Wiedniu.

jadą. Tegoż dnia także i bratowa, kochana Eliza, przyjechała. Zastalem ją u kraty, od niej się też dowiedziałem z żalem, żem się z Jędrzejem rozminął. On z Wiednia przed żoną wyjechał, zabawił kilka dni w Krakowie, a po drodze do Starejwsi wstąpił. To zboczenie jego z drogi cesarskiej, było powodem naszego rozminienia się. Przez cztery dni co tu Eliza bawiła, cały dzień z sobą albo u kraty przepędzaliśmy. Bardzo wiele ciekawych rzeczy dowiedziałem się o ich podróżach po Włoszech, o sposobie, jakim ich przyjął Papież, jak był na nich łaskaw, na Jędrzeja. Kiedy go brat przy prezentacyi w nogi pocałował, a drudzy co z nim byli tego nie zrobili: powiedział mu ojciec św. na audyencyi: *J'ai remarqué, que vous etiez le seul d'entre les catholiques alors présents, qui avez rendu honneur à la dignité dont je suis révetu. Quant à ma personne, je sais que j'en suis indigne; mais je suis content du bon exemple que vous avez donné aux catholiques devant des chrétiens, qui ne sont pas de notre religion (a było także kilku heretyków na tej prezentacyi) et qui ont pu voir quel doit être le respect des catholiques pour la caractère sacré qu'ils voient en moi* — czyli coś podobnego. Wiele i długo mnie mówiła o innych w Rzymie znajomościach, jak z powodu rozwodu p. Ilińskiego i innych w Polsce zagęszczonych. Ojciec św. miał powiedzieć: *J'admire la bonne foi de ces gens avec laquelle ils croient vraiment qu'ils sont divorcés.*

19 Junii. Od tego dnia aż do Niedzieli 24 Czerwca nie godnego pamięci i zapisania. Codzienne wizyty i rewizyty Brzozowskich u Łubieńskich *et vice versa* —; sentymentalno patryotyczno-uczono-filozoficzne dyalogi P. Karola z ex-profesorem a terazniejszym senatorem Sołtykowiczem, o których powtórzenie każdego poranka upraszałem p. Karola dla rozerwania go i osłodzenie mu braku Sokołowieckich zatrudnień. Jednego z tych dni, p. Henryk z młodymi Rzewuskimi (familią przybyłej z Królestwa), Brzozowskimi, Łubieńskimi, bandem pojechał do Wieliczki dla zwiedzenia żup solnych, tam cały dzień wesoło przepędzili: ja dla bólu zębów w domu zostałem. Dowiedzieliśmy się także od bratowej, że oni sami i państwo Badeniowie młodzi, Sebastyanowie, którzy także z Włoch dopiero wracali, całą podróż swemi końmi odbyli.

Nakoniec 24 czerwca w Niedzielę po południu, szczęśliwie

przejechaliśmy granicę bo i szeląga od nas nie wzięto, a zajechawszy na noc o dwie poczt od Krakowa, to jest do Izdebnika, znowu familię Brzozowskich zastaliśmy, i dopiero w Ołomuńcu po czułych pożegnaniach rozjechaliśmy się każdy w swoją stronę: Brzozowscy drogą karlsbadzką, a my do Wiednia, dokąd dojechaliśmy po trzydniowej męczącej jeździe (bo gorąca nieznośne były) bez najmniejszego wypadku, ani przypadku.

Dnia 30 *Junii* o 4 tej popołudniu na ostatniej stacyi stanęliśmy. Tu zamiarkowawszy, że nasz Daniel nie będzie umiał kręcić się, ani orjentować po mieście wzięliśmy pocztę, jakoż i dobrze na tem wyszliśmy bo i konie gorącem bardzo były znużone i nasz Daniel ledwie je luzem doprowadził, tak odchodził od siebie na widok nigdy niewidzianej dotąd ilości tak wielkiej domów, ludzi, drzew, koni i wody w Dunaju. Na wielkim moście jechał pocztylion jak zazwyczaj powoli. Antoni odezwał się: Ludzie toną. Jakoż ujrzelśmy w tem samym momencie, że tratwa porwana przez rzekę, jakiś czas walczyła z wirem, potem wkrótce rozsypała się — opodał kilku ludzi płynęło — pocztylion z flegmą utrzymywał, że to z szkoły pływaczów próbę robią — ale kilka batów z wielką szybkością goniących i lament ludzi nad brzegiem, przekonało nas, że Antoni przybysz lepiej widział, niżli pocztylion bywalec wiedeński. Zacząłem się modlić, bom sobie wspominał te słowa Pisma: *Zwo schwimmen doch einer... Ot dojdzie już bat... dochodzi... o... już nie dadzą rady... jeden już blisko... ot go wyciągają na bat... a drugi — niema... ot ot... poszedł na dno...; okropne ucinki, które mnie, jako źle z daleka widzącemu, przez te kilka minut całej katastrofy o uszy odbijały się. Słowem kiedyśmy na most wjeżdżali, dwóch ludzi zdrowych zupełnie o śmierci nie myślało... na środku mostu już byli w wodzie — obydwom śmierć i nadzieja w oczach na przemiany stały — na końcu mostu jeden się tylko niezawiódł na nadziei, drugi poszedł tam, gdzie nie chciał i niespodziewał się pójść, bo powiadają, że i w ręku śmierci człowiek nie spodziewa się umierać; a tak zawsze mniej więcej śmierć jest tym złodziejem nocnym niespodzianym, o którym Pan w Piśmie ostrzega: *Vigilate ergo et orate*. Z niewielką fantazyą, jak się można po takiej scenie było spodziewać, wjechaliśmy do Leopold-*

stadu i stanęliśmy o 5-tej wieczór w oberzy blisko bardzo mostu miejskiego, pod *Złotym baranem*.

Ponieważ wiele nagłych i nieprzewidzianych interesów sprawiło opóźnienie w dyaryuszu od momentu naszego przyjazdu do Wiednia, zatem dla lepszego porządku i objaśnienia wypadków przez ciąg naszego tu pobytu, już nie dzień po dniu będę je spisywać, ale stosownie do podziałów czasu, przez okoliczności same odznaczonych. I tak pierwszy podział od przybycia naszego do Wiednia dnia *30 Junii* aż do przeniesienia się do Badenu *12 Julii* 12 dni w sobie zamyka, w którym przeciągu czasu następujące ważniejsze szczegóły godne są wspomnienia.

Na drugi dzień odwiedziłem zgromadzenie Redemptorystów, gdzie znalazłem dawnych znajomych. O. Veith wiele mi ciekawych wiadomości o niemieckich krajach udzielił: między innymi powrócił do religii katolickiej, księżnej Anhalt Köthen, siostry króla pruskiego; hałas który z tego powodu powstał między protestantami, zwłaszcza, że list dość żywy króla samego do siostry pisany, drukiem ogłoszony, stał się tekstem mnogich pism polemicznych między stronnikami religij sobie przeciwnych. Niejaki Bekedorf uczony berliński, znany z dzieł swoich o edukacji publicznej, zostający w służbie królewskiej w wydziale naukowym, przeszedł na religię katolicką, i do tego jeszcze pismem powody tej zmiany, jak mówi Veith, gruntownie bardzo ale przytem niedelikatnie ogłosił; miejsce i pensję utracił. Kochanego ks. Passerat z wielką pociechą zastałem w dobrym zdrowiu, — Podgórski w Królestwie. — Znacznie Zgromadzenie to w liczbę urosło. Otrzymało także dwa miejsca w Styryi: jakoż przyznać trzeba, iż jest złożonem z wielu ludzi zdatnych, uczonych, gorliwych i zupełnie w duchu pokory fundatora swojego pracujących. Są tu dotąd uczeni: Madlener, Passy, młody Welsesheim, który na profesora się formuje, hr. Coudenhove tymczasowo został kanonikiem wiedeńskim, mowę tymczasowo, bo dział między dziećmi jego nieukończony był powodem, że mu cesarz odradził wstąpienia formalnego do Zgromadzenia, póki interesów familijnych nie pokończy; przytem mu kanonią tutejszą ofiarował. Odwiedzałem także tego pobożnego i gorliwego kapłana, zawsze trwa w przedsięwzięciu powrócenia do Maria Stiegen.

Tam też dowiedziałem się, że internuncjusz Ostini, na którego

miejsce zjechał nowy nuncyusz Spinola, jeszcze bawi w Wiedniu, ale lada dzień ma wyjechać. Bardzo się tem ucieszyłem, bo prócz tego, że miałem od ks. Stachowskiego ważne pisma do niego, rad byłem poznać tak sławnego z nauki kościelnej pralata, i jego łasce i protekcyi polecić się. Nie tracąc więc czasu nazajutrz w południe udałem się do nuncyatury. Zapytawszy o kwaterę internuncyusza, którego Papież już obdarzył godnością arcybiskupstwa *in partibus* nie pamiętam jakiego, zaprowadzony zostałem na pierwsze piętro. Zaraz na wchodzie od pierwszej sali ukazała mi się osoba, której rysy zdały mi się być znajomemi. Widać było, iż był z rzędu kamerdynerów, patrzył na mnie długo, potem dla zameldowania zapytał mnie o imię; gdym mu je wyrecytował, idąc już do drzwi stanął, wrócił się, przybliżył się do mnie, chwycił mnie za rękę, znów odszedł, znów się przybliżył. *O Jezus!! O Jezus!!* za każdym ruszeniem się powtarzając: *Dass ist ja der Herr Graf*. Nie wątpliwe znaki na twarzy i w całej postawie, dobrej ku mnie chęci, zaostrzyło moją ciekawość, pamięć i chęć odgadnięcia, kto był ten na mnie tak łaskawy pokojowy. Pokazało się, że to był niejaki p. Wasserman, niegdyś introligator z swego rzemiosła, potem dozorca nieboszczyka Wenera przy jego ostatniej chorobie, (jakoż o nim Werner w testamencie nie zapomniał) nakoniec dla wiadomości włoskiego języka na posłudze dworskiej przy internuncyuszu. Często się zdybywaliśmy w pomieszkaniu u Wenera, stąd przy niespodzianem terazniejszym spotkaniu, niespodziany rozrzuwający efekt. Gdy ten cokolwiek się uspokoił, zameldował mnie p. Wasserman i wnet wprowadził. Zostałem w sali dwóch mężczyzn: jeden wysoki, pleczysty, twarzy śniadego koloru, z brwią posępną i na oczy nasuniętą; drugi mały szczupły, nie okazujący nad lat 49. Z czoła i zarysów twarzy do Napoleona, przynajmniej tak jak go malują, bardzo podobny; także włosy czarne, czoło wysokie i znaczące, oko ciemne połyskujące także, nos orli, i usta przycięte całę miłe, taż bladeść niebieskawa włoskim twarzom właściwa. Porwał się z miejsca, a zaledwie zasłyszawszy imię moje, które mu zupełnie obcem nie było z powodu poznania się z bratem moim Jędrzejem, prezentować mnie zaczął ministrowi Portugalskiemu Villa Secca, bo tym był ów słuszny mężczyzna; posadził mnie koło siebie, znów się zerwał i odprowadził żegnającego się Portugalczyka,

ręką mnie wskazując z wrzaskliwym rzymskim akcentem: *Eh! restez là* — wrócił się, zaprowadził do swojego gabinetu, posadził mnie naprzeciwko siebie, sam wskoczył w krzesło przed swoim kantorkiem, zbliżył się do mnie tak, żeśmy się kolanami tręcali, porwał mnie za ręce i z uśmiechem bardzo miłym i głosem donośnym kilkanaście kwestyj zadał, nie czekając prawie odpowiedzi; to wszystko było dziełem kilku minut. Czulem dobrze, że wstąpiłem w atmosferę włoską, gorętszą i przenikliwszą od zwyczajnej niemieckiej, którą dotąd otoczony byłem. Wziąłem się więc jak to mówią w kupę, a chociaż mój szanowny egzaminator nieźle mówił po francusku, ja się przecie na włoski język sadziłem, aby nic nie utracić z oryginalności słów jego. Gdy mu oddałem listy ks. Stachowskiego, potem listy księży Łubieńskich i Szczyta, gdy mu powiedział, że Werner, którego on był nauczycielem w religii katolickiej, i przywiódł do odwołania protestantyzmu w Rzymie, był moim przyjacielem wielkim, krzyknął: *Hé! Werner était mon fils; vous êtes le fils de Werner, hé! par conséquent mon petit — fils*, i odtąd zawsze mnie tak nazywał. Po różnych dyskusjach, które często we dwóch razem kontynuowaliśmy, bo ciężko było samemu dokończyć odpowiedzi, dowiedziawszy się o moich zamiarach, zaproponował mnie z najlepszym sercem, abym z nim jechał do Rzymu, i kazał mi o szóstej popołudniu przyjść do siebie. Wychodząc i odprowadzając, pytał mnie się jak tu przyjechałem? czy pocztą, swoim powozem, lub inaczej, a dowiedziawszy się, że swojemi końmi, już w ostatnich drzwiach krzyknął: że karych koni potrzebuje nuncyusz, i dobrze by było, żeby można mieć kare: odpowiedziałem, że moje kasztanowate i niedość paradne dla JW. Nuncyusza i na tem się skończyła pierwsza wizyta.

Po obiedzie zastałem mego protektora o oznaczonej godzinie. Znów się wszczęła żywa konwersacya o moich zamiarach. „Czytałem rzekł, list ks. Szczyta, który WPana chwali bardzo, ale powiada, że nie umiesz decydować się łatwo: Trzeba, trzeba! Ale prawda! Kiedy będziesz w Rzymie znajdziesz we mnie przyjaciela, a jeśli zechcesz i ojca duchownego. Nakoniec, żeby rzecz z rozważą i gruntownie doprowadzić do końca, małe konsylium złożymy z trzech uczonych i bogobojnych ludzi, między którymi, jeśli chcesz żebym się znajdował, z ochotą to zrobię — a wtedy kiedy nam się zechcesz

zwierzyć (bo wybór od twojej woli być powinien, ale kiedy wybierzesz osoby, to już na zdaniu ich przestać trzeba) to my damy opinią o twojem powołaniu, która powinna być dla ciebie regułą. A jeśliby głosy podzielone były? — he! to za większością trzeba pójść. Ale zdecydować się trzeba — he! prawda? Co! — Ja i na jego zdaniu przystanę, odpowiedziałem: i to będzie dla mnie dostatecznem. No! no! no! *Omne verbum stet in praesentia duorum aut trium testium*. He! prawda, he! i tu mnie pocałował. Tymczasem i to na plac wyszło, że Malfatti nie radzi, abym na gorąca jechał do Rzymu, ale dopiero tam stanął w Oktobrze, żebym w Badenie kąpiele brał. Trzeba tu dodać, że sam Ostini kazał mi, ze względu zdrowia do Malfattego udać się i podług jego opinii decyzję powziąć dalszą, jechania zaraz z nim, lub później. Natychmiast więc kazał mi iść za radą Malfattego, zostać w Badenie i nie myśleć już o jeździe z nim, obiecując wszelką protekcję i wstawienie się u Ojca św. w Rzymie.

Poznałem także temi dniami księżnę Kaz. Lubomirską, szanowną damę bardzo. Ciągłe niemoce ledwie ślad jakiś lub raczej cień zostawiły dawnej piękności. Ta pani sławna z dobrych uczynków i z pobożności odwiedza często Redemptorystów i ks. Ostini. Zastałem ją tam jednego wieczora, przytem niespodziane dla mnie było spotkanie się z arcybiskupem ormiańskim czyli Mecheterzystów tutejszych, którego krótko widziałem w Berdyczowie przed sześciu laty. Wtedy jako misyonarz wracał z tureckich krajów i wstąpił do Janowa, lecz mnie nie zastał, tylko siostrę Emilkę. Kapłan pobożny i słodki, w Wiedniu wyniesiony został na tę dostojność. Poznałem także prałata będącego przy nuncyuszu Mgr. Lucciardi — a po odejściu księżnej Lubomirskiej, chociaż był na wyjeździe do Metternicha, zaprowadził mnie ks. Ostini do nuncyusza Spinola i jemu prezentował mnie. Człowiek to niemający więcej jak lat 40, chudy, blade, cichy i poważny, ale przytem bardzo grzeczny i szczerzy w obcowaniu. Niemogąc zatrzymać mnie wtedy dłużej prosił, abym go po powrocie z Badenu odwiedził. Raz jeszcze w dzień wyjazdu byłem u ks. Ostiniego, zastałem liczną kompanią. Pokazywał nam krzyż bogato w brylanty ozdobny, który dostał w upominku od cesarza i szczerze nim się cieszył. Bo go tu cesarz i wszyscy bardzo polubili. Nacierał na arcybiskupa ormiańskiego, jako na wacho-

dniego człowieka, aby swoją opinię powiedział, czy kamienie piękne. Wszyscy chwalili, arcybiskup grzecznie się uśmiechał, ale milczał ciągle pomimo nacierania gęstego Ostinięgo o zdanie i nie dał się wypłoszyć z powziętego systematu neutralności, wśród powszechnych aplauzów nad droгим upominkiem. Tą razą już zupełnie pożegnałem się z ks. Ostini, który z zwykłą swoją dobrocią wszelką pomoc obiecał. Nieraz przerywał rozmowy nasze temi słowy:

Hé! quel âge avez-vous? — „36 ans“ — 36 ans? Et Vous avez fait quelques études? Vous savez un peu de latin? — „Oui Mgr, quant aux études, je les ai faites misérablement comme on les fait dans une éducation moitié domestique, moitié publique“. — „Aha! vous n’êtes pas habitué aux classes, au règlement? Avez — vous le courage de rester au séminaire pour reprendre vos études? de porter l’habit? He! — Pourquoi pas Mgr? J’essayerai et puis nous verrons“. — Ha! bravo! bene! bravo! He! bravo! i tym podobne wykrzykniki z dziwną wesołością i dobrocią dawały się słyszeć. I te rozmowy były jeszcze przeplatane szczegółami o nowo przyjętym kamerdynerze Hiszpanie, który w Polsce długo był. Kazał mu przyjść, pokazać attestata; kazał księżnie Lubomirskiej i mnie abyśmy wyegzaminowali jego papiery i wiadomość języka polskiego, czy to wszystko zgodnem było z jego ustną relacją. A po okazaniu się prawdy, która pomyslną była kamerdynerowi, bardzo się tem cieszył, i kiedy brał frak po odjeździe księżnej Kaz. wdał się z nim *a parte* w różne morały i rezonowania o obowiązkach i korzyściach jego powołania kamerdynerskiego na świecie, zawsze swoje propozycje donośnem i brzmiałem *He! ? vero? non è?* popierając.

Temi dniami odwiedziłem także dawnego znajomego, uczonego Schlegla. Przemienił swoją kwaterę, mieszka na Alster-Vorstadt w domu p. Karoliny Pichler, wiedeńskiej de Genlis. Zostałem go dopiero przybyłego z Baden, pulchnego, zdrowego i bynajmniej nie podstarzałego. Jejmość została w Baden i sam miał tam wrócić nazajutrz. Krótko zabawiwszy, odjechałem z przyjemną nadzieją widywania go częściej i swobodniej w Badenie.

8 *Julii*. Po kilkakrotnym próżnem wypytywaniu się o godzinie, w którejby można zastać ks. Hohenlohe w Dornbach, postanowiliśmy nakoniec tego dnia po południu spacerem pojechać do Dornbach. Towarzyszem naszej przejazdki, był tą razą poczciwy

Grimm. Stanęliśmy na miejscu o godz. 6 wieczór, przechodząc koło dworu księcia Szwarceberga, ujrzelśmy na podwórzu moc karet, koni paradnych, wszystko w ruchu i gotowości do spaceru. Pukaliśmy się spytać, czy jest w pałacu ks. Hohenlohe i kiedyby można go widzieć — mała była nadzieja pomyślnej odpowiedzi... Lokaj galonowany przecież odpowiedział z niemiecką flegmą, że możnaby się z nim widzieć, ale że w tej chwili dwie rzeczy są na przeszkodzie: pierwsza, że księstwo czekają tylko na niego, druga, że ks. Hohenlohe pobiegł do kobiety jakiejś, która gdzieś w ogrodzie miała się zarzązać. Przerażeni nieco tym niespodzianym tragicznym wypadkiem, już nie tak dla widzenia ks. Hohenlohe, jak dla dowiedzenia się o dalszym ciągu tej smutnej powieści puszczaemy się prostą ulicą, sami nie wiedząc dobrze, gdzie ona nas doprowadzi; stanęliśmy nakoniec u kraty, która jedną część ogrodu od drogi publicznej przedziela. Zapytany jakiś chłopiec stojący tam na straży, czy ks. Hohenlohe tędy nie przechodził, zapewnił, że go nie było tu jeszcze, lecz, że słyszał tylko, jakoby przy jakiejś umierającej kobiecie się znajdował, ale nie wie gdzie? Zostawały nam do wyboru dwie drogi, ta którą krata przedzielała i druga mniej upiększona, a nawet trochę zarzucona. Tęśmy obrali, gęste kupy ludzi nas mijaly, wyprzedzały, lub szły za nami, ale ich twarze spokojne były, rozmowa wolna, a jeśli który lub która upuściła słowo o nieszczęściu, które nas zajmowało, to bynajmniej nie przyspieszało kroku spaceru niedzielnego, na który przez cały tydzień zbierali się. Dalej dopiero zatrzymała nas większa kupa ludzi. Z pierwszego zapędu chciałem się przez nią przedrzeć i dalej iść, myśląc, że i to zgromadzenie nie będzie umiało nam powiedzieć nic ciekawego, ale jeden mężczyzna chudy, wysoki i blady, wziął mnie zlekka za ramię, prosząc grzecznie, żebym się wstrzymał i ukazując przytem ręką o kilka kroków od drogi pod krzakiem, leżącą na ziemi kobietę, około której trzech mężczyzn się krzątało. Przerażający to był widok — wszyscy trzej mężczyźni klęczeli: jeden z boku jej koło szyi opatrywał i przywiązywał, drugi ją od grzbietu wpół wzięwszy pod ramiona obiedwoma rękami, mało siły już mającą podniósł i prawie na powietrzu trzymał: trzeci bliżej nas klęczał jedną nogą, na drugiej się opierał ręką, aby mógł lepiej z kobietą rozmawiać. Kapelusze czarne letni miał

nasunięty na głowę, surducik także letni koloru fioletu spłowiałego. Twarzy ani jego, ani kobiety nie można było dostrzedz, kapelusz był na przeszkodzie. Słysząc było ciche gadanie między nim a konającą; naokoło głucho milczenie — ciekawy co ta rozmowa nadto głośna na spowiedź miała znaczyć, zapytałem cicho tegoż mego błędnego przestrzegacza, który mi się zdawał być świadomym wszystkich tych wypadków: czy jest tu ksiądz? — „Jest“, odpowiedział. — „Czy ten co rozmawia z kobietą?“ — „Ten sam, dla tego proszę się nie zbliżać, bo choć jej nie spowiada jeszcze, przecież pobudza do wyznania szczegółów tego nieszczęścia“. — „Gdzież jest ks. Hohenlohe?“ — „Oto ten ksiądz co klęczy“. Jużem nie pytał dalej, tylko starałem się zachwycić nieco rysów twarzy księdza, ale na próżno; i mój błędy ostrzegacz zamilkł, a kiedy odpowiadał, to krótko, ucinkowo, nie patrząc na mnie i nie spuszczać oka z księcia, tylko czasami niespokojnie się oglądając po za siebie, jakby na kogo czekał. W tem usłyszeliśmy wszyscy te słowa księdza: *Dominus sit in corde tuo*... i westchnienia i mowę łzami przerywaną, potem znowu cichość i szeptanie jak na spowiedzi. Ludzie na kilka kroków zagnała odstępili — szmer się zrobił, niektórzy klękli, drudzy się zaczęli modlić, inni stali jak posągi. Zaledwie to poruszenie ustało, podniósł się trochę kapelusz księcia, a z przeżegnania ręki widać było, że daje absolucyę. Wnet potem powstał na nogi i zdjął kapelusz, rzucił oczyma smutnemi po tej kupie ludzi, która jak wianek okrągły uszykowałą się. Zrozumieli, że każe się modlić. Wszyscy więc zdjęli kapelusze, wszyscy się głośno zaczęli modlić. Leżała pośrodku nieszczęśliwa, książę stał nad nią z rękami do modlitwy złożonemi, oczy w dół spuszczone i prawie zamknięte. Zebranie wielkie ducha, i silna w wierze modlitwa, tak były widocznemi na jego twarzy; że najobojętniejszy człowiek w podobnych momentach, bez uczucia nie mógłby się na niego patrzeć. Po skończonej modlitwie poleciwszy jej głośno, aby po niego kazała przysłać, jeśliby go żądała jeszcze widzieć — odszedł i my za nim. W tem i powóz, który miał do szpitala zawieść tę nieszczęśliwą, nadjechał; przy pomocy chirurgów posadzono ją i zawieziono dość szczęśliwie, później dowiedziałem się, że się wyleczyła i przyznała, że sama nożem tęnym kilka razy się zacięła

w szyję, chociaż pierwiej utrzymywała, że ją człowiek jakiś duży miał zarznąć.

„*Dnia 12 lipca*¹ wyjechaliśmy do Baden..., gdzie zastaliśmy Schległów, którzy również tu do kąpiel przybyli. Papa Schlegel zagłębił się bardziej jeszcze niż dawniej, w magnetyczne i mistyczne medytacje. Genialny to uczony, głęboki i dowcipny marzyciel, zawsze bardzo przyjemny, bo z dziwną prostotą kombinuje wszystkie swe pomysły z zasadami katolickimi. Biedna moja głowa nie może przecież wszystkich jego teoryj pomieścić i ze sobą pogodzić. Henryk szturmuje doń coraz nowemi pytaniami. Pani Schległowa bardzo miła staruszka, pełna dowcipu, zajmuje się ciągle dobrymi uczynkami; a rozmowa z nią bardziej mię jeszcze buduje, niż rozmowa z jej mężem, chociaż często można od niego usłyszeć bardzo piękne i wzniosłe rzeczy. W Wiedniu dotrzymuje nam towarzystwa księżna Kazimierzowa Lubomirska, słaba ciałem, ale silna dobrymi uczynkami, będąca prawdziwym wzorem pobożności. Prostota jej trafiłaby wam do serca...

Przed czterma dniami zrobiłem wycieczkę do Eisenstadt we Węgrzech, o pięć mil od Badenu, wespół z O. Libockim, rektorem Redemptorystów, który uczy mię orientować się w brewiarzu. Przypatrzyliśmy się malowniczej węgierskiej ziemi, jej winnicom, górom i jednemu jeziorowi. Eisenstadt jest własnością księcia Esterhazego. Wielki zamek, kuse i brzydkie ogrody angielskiego kroju, które kosztowały miliony, bo przeniesiono do nich z wielkimi kosztami kawałki skał, wyglądającemi jak smaczne, dosyć duże biszkopty, lub *baby święcone*, i sprowadzono wodę parowemi pompami... Dziś w niedzielę, byliśmy na przesłicznym kazaniu O. Veith'a; wielki to kaznodzieja“.

*30 sierpnia*². *Wiedeń*. „Dwadzieścia kąpeli w Baden nie zaszkodziło mi, a może z czasem, jak się spodziewam, wywrze jaki skutek na nieszczęśliwe reumatyzmy. Stary Kossakowski, sekretarz ambasady rosyjskiej w Rzymie, który jadąc do Petersburga tutaj

¹ W tem miejscu przerwa w dzienniku; następnych kilka szczegółów wyjętych z francuskiego listu do Grocholskich z 29 lipca 1827.

² Do *Cecylii Chotoniowskiej* list francuski i do *Mik. Grocholskiego* list polski.

się zatrzymał i nuncyusz Spinola, opatrzyli mię listami rekomendacyjnemi... Dziś o 9-tej rano powieszono nieszczęśliwego Jaroszyńskiego. Henryk poszedł na miejsce stracenia; ja widziałem go tylko trzy dni temu, kiedy stawiono go pod pręgierzem dla gapiącego się ludu. Przykro było nań patrzeć, tyle w postaci jego przebijają się niepokoju, którego nie mogła zamaskować wyuczona teatralna poza. Poczciwi Redemptorzyści chcieli go do wieczności przysposobić, ale wołał jakiegoś kapelana wojskowego, z którym prędko, po huzarsku się załatwił. Wybrałem się do niego, do więzienia z Henrykiem i kochanym naszym Podolaninem, Wołodkiewiczem, który bawił z nami u wód dla zdrowia żony; widzieć się z nami nie chciał. Niech Bóg nie wypuszcza nas z swej opieki, bo zawsze i wszędzie, tylko *pierwszy krok kosztuje*“.

Italiam Italiam petimus. (Aen).

31 sierpnia¹ Baden. Nie bardzo rano udało mi się wstać, p. Henryk mnie uprzedził, wzięliśmy się do pakowania. Nad tem głowy łamaliśmy, aby i wszystkie fraki i wszystkie buty i wszystkie książki zabrać, a przecie lekko się wybrać. Po długich konferencych, buty, fraki zabraliśmy, a półkopy książek zostawili, bo nam powiedzieli, że we Włoszech fraki i buty źle a książki dobrze i tanio robią. Nieźle się wreszcie udał pakunek, kocz nie zdawał się być przeładowanym, bo prócz waliz, czterech skrzynek i kuchni nie było w samym koczku tylko dwa płaszcze, surduty, dwie poduszki, dwa pularesy, dwa pistolety, pałasz, sześć książek, tak dalece, że zgiąwszy się we dwoje można było jeszcze do koczka wleść. Wyruszyliśmy o 6-tej czterema końmi, pożegnania dość czule poprzedziły nasz wyjazd, gospodarstwo domu dziękowało bezustannie za to, żeśmy u nich tak długo pod jednym dachem stali, Sefa sztubdziewka dygała także często, Józef exkuczer nasz uśmiechał się z daleka tylko skoro dostał swoją należytość, ale kiedy mu p. Henryk nadał 20 groszy, wtedy z rozrzewnieniem zaczął go klepać po ramieniu, nakoniec Grimm pocziwy za miasto nas odprowadziwszy, ze łzami w oczach polecił nas Bogu.

1 września. W Neukirchen przeprawiliśmy się przez rzekę, raczej rzeczkę, nie bardzo większą od dobrego potoku, ale niezmiernie bystrą i pieniającą się. W tej wsi znaleźliśmy się u końca tej rozległej płaszczyny na której Wiedeń osiadł, i która z jednej strony Węgry i pobojuwisko Wagram zajmuje, a z drugiej opiera się o pasma gór, które od Wiednia ramionami gęstemi w Styryą się wkorzeniają. Tu już we środek tego pasma gór wjechaliśmy, tu się już ciągle przed naszymi oczami rozwijały widoki jak najpowabniejsze. Ukazał się też nam Montblanc styryjski, tj. tak nazwany *Schneeberg*, któremu się łysina od śniegu błyszcziała. Antoni nie chciał wierzyć, żeby śnieg mógł się utrzymać tak blisko słońca, i utrzymywał, że to piasek, a Szymon zapytany o zdanie *in dubio* czyli raczej neutralnym zostawał: kontentując się zwykłą uwagą: *Kto go tam wie?* Mąż odbierający myto rozstrzygał kwestyę zapewniając, że to śnieg. I chociaż to był trafem Polak z pod Gdańska, który chciał nam po polsku cały swój żywot przeszły opowiedzieć, lecz nie mógł dla pośpiechu i braku czasu; przecież Antoni coraz się obzierając na Schneeberg potrząsał głową i mówił: *to szczo to; szczo Nimci howarat' szczo to snih! abo to Nimci prawdu skazat.*

Niedziela 2 września. Przebudziłem się o 5-tej z rana i przygotowałem się do spowiedzi. Dzień był pochmurny, ranek chłodny. Idąc do Kościoła, góry czerniejące od gęstych lasów jodłowych, jak w czepkach się ukazały, takie tumany na samych ich wierzchołkach osiadły. Przy Kosciółku mało ludzi zastałem, ale ksiądz już był, najpotrzebniejszy ze wszystkich. O siódmej samej nadszedł i p. Henryk. Liczne było zgromadzenie, lud bardzo pobożny i małe dziecięcy z różańcem w rękę klęczały. Jedną z intencyj dzisiejszego mojego nabożeństwa była, aby uprosić u p. Jezusa dobre natchnienie względem wyboru drogi do Włoch. Jakoż po skończonem nabożeństwie powróciwszy na kwatery zasiedliśmy z p. Henrykiem na radę i mapę przed sobą rozłożyliśmy. W Brück to jest o pocztę dalej rozchodzą się drogi, jedna prowadzi do Salcburga, druga do Gracu. Droga na Grac i Tryest nierównie bliższa. Wprawdzie w Wiedniu ułożyliśmy plan jechania na Salcburg i Insbruck i Medyolan; lecz gdy przyszło już wybierać drogi, a krótsza była jeszcze do wyboru, to nim kawa była wypita, nastąpiła decyzja jechania na Grac. W Brück przed Kościołem samym, drogi do Salcburga i Gracu

rozdwajały się; po pod sam Kościół szła droga do Gracu, a w prawo opodal od Kościoła oddzielała się droga do Salzburska. Daniel stanął i pytał którą ma jechać? ja spojrzałem na p. Henryka wątpliwym wzrokiem, p. Henryk trwał stale w przedsięwzięciu, a przechodzący wieśniak zapytany o drogę Gracką, wskazał tę, która była bliżej Kościoła. O dwie mile od Brücku, w Rettelsteinie wiosce popas wypadł. Kilka landkuczerskich powozów stało przed austeryą. Jegomość jeden słusznego wzrostu, po francusku zaczął nas konwersacją bawić, oznajmując, że jest z Belgiki, że mieszka blisko Gracu: ale wzajemności w podobnych relacjach nie znalazł u nas, chociaż po francusku odpowiadaliśmy. Nasze kasztanki w poręcz zaprzężone najwięcej Styryjczyków bawią, i to jedno im służy za wskazówkę, że z dalekich północnych krajów jedziemy. Często droga tak pod skały jest przyparta, że dwom powozom z ciężkością by rozminąć się przyszło. Nad głowami przejeżdżających na urwiskach gór zamki wiszą, a w dole bystre rzeki bałwany zdają się aż pod powóz cisnąć, z taką mocą i pędem ocierają się o drogę murem obwarowaną. Nie daleko Gracu w Frontesten miasteczku na wysokiej górze nad rzeką, Redemptorystę z brewiarzem w ręku ujrzeliśmy. Dopierośmy płacąc myto u mostu dowiedzieli się, że tu im także klasztor dano. Dość późno stanęliśmy w Gracu, ale to było jeszcze nieprzyjemniej żeśmy miasto całe i kilka przedmieść splądrowali, nimeśmy kwatery dla siebie i dla koni znaleźli; nakoniec po zwiedzeniu mnogich zoologicznych austeryj, jako to: orłów czarnych, złotych, koni, koników, baranków i różnokolorowych dzikoludów straciwszy prawie nadzieję (bo nam zawsze jarmarkiem, który tu się zaczął perswadowano, abyśmy byli wyrozumiali), za pomocą poczciwego jakiegoś plebejusza znaleźliśmy schronienie za rzeką na przedmieściu prowadzącym do Lajbach w oberży *Pod czerwonym krzyżem*, dość dobre.

3. *Września*. Przyznać muszę pomimo mojego włóczenia się od lat najmłodszych, zawsze dotąd jakąś czuję nieśmiałość, kiedy mam pierwszy raz do cudzego jakiego kraju wjeżdżać. Myśl ta: nie masz tu jeszcze żadnego na ciebie łaskawego, coby cię przywitał, choćby oziębłe ścisnął za rękę, lub jakieś przyjazne słowo powiedział; ta myśl oziębła znacznie wszystkie bujne wyobrażenia, któremi zwykle wędrowni karmią się, nieznanome zwiedzając kraje, takie osobliwie jak kraj włoski; przytem za stary już jestem, abym

tylko samemi żył marzeniami i na takim strawnym bardzobym zgnędział. Bardzo mi więc miło z początku przynajmniej znajomą drogą do Włoch się wcisnąć, droga, która mnie przyjemną z Wernerem nieboszczykiem podróż w pamięci odżywia. Odwiedzić także mamy Mariatrost, sławny w pobliskości cudowny Kościół i klasztor, w którym trzy niedziele w towarzystwie Wenera przepędziłem. Dnie pokoju słodkiego, dnie świętej cichości i spoczynku, dnie może najpiękniejsze całego życia mojego, w których pierwszy raz żywo uczułem cokolwiek tej słodyczy, której doświadczają wszyscy szukający schronienia pod skrzydłami opiekuńczemi Matki Miłości wiecznej, Królowej nieba i ziemi, która na tem miejscu jak na wielu innych cudami słynie. Jak inny człowiek jestem; już mi się zdaje żeśmy blisko Rzymu, już mi długa droga, która nam pozostaje, krótką się wydaje, lekko mi na sercu i myśli jasne i swobodne, a jak odwiedzę Matkę Najśw. w Mariatrost, w tem prawdziwym miejscu pociechy, zapewnie jeszcze będę zdrowszy na duszy i ciele. W południe wyruszyliśmy na miasto z zamiarem szukania Kollmana dawnego mego znajomego i towarzysza podróży weneckiej. Dopytawszy się do Joanneum, którego on jest dyrektorem, łatwo znaleźliśmy kwatery jego. Po niemieckiem zwyczajnem zakolataniu wysła kobieta błada, nie wielka, dość młoda i niedbale odziana, która zdziwionem nieco okiem nas obydwóch zmierzyszy, na zapytanie, czy jest p. Kollman, zimno odpowiedziała, że wyszedł. Lecz kiedym powtórnie się pytał o samą panią Kollman, jakież moje było zdziwienie, kiedy mnie ta nieznajoma powiedziała: wszak to ja sama. Ja panią Kollman znałem, myślę sobie, była kobieta nie młoda i brunetka, a ta młoda i blondynka, czy już moja tak pamięć stępieła, żebym się tak grubo pomylił? Widząc te wahania się, zapytała się nakoniec o nasze nomina i pronomina. Przyszło do eksplikacy i dopiero po jej grzecznem przyjęciu i oświadczeniu, że mąż jej bardzo nam będzie rad, że teraz wyszedł na sesyę, ale wróci o wpół do trzeciej, domyśleć się mogłem, że to druga żona, a pierwsza musiała umrzeć, bo to już ośm lat minęło jak tu byłem; pierwsze więc *deficit* w rejestrze moich tu znajomych, pierwsza osoba już nie żyjąca; na tem się nie skończy. Pożegnawszy się na chwilę, poszliśmy szukać obiadu i znaleźliśmy dość zły pod *Węgierską Koroną*; chociaż nam jeden mieszkaniec tę koronę bardzo smaczną wystawiał. Na czas wróci-

liśmy do kwetery Kollmana i zastaliśmy całą familią. Przyjął nas bardzo szczerze z radością i otwartością odpowiednią jego jowialnemu charakterowi, który pomimo znacznej na ciele akwizycyi, nic swojej wesołości i żywości nie stracił. Wszczęła się żywa rozmowa o przeszłości i terażniejszości, o Wernerze, poezyi, malarstwie, którem się ciągle bawi, tak dalece, że wszystkie swoje apartamenta ubrał obrazami swojego pędzla. Polecał do swego gabinetu i przyniósł nam nowy twór niez mordowanego swego geniuszu w zawodach sztuk pięknych, tragedję *Dante*, do której pewien sonet nieb. Wenera myśl mu podał, obdarzył nas dwoma egzemplarzami, potem zaprowadził nas do swojego warsztatu malarskiego i ukazał piękne dwa obrazy historyczne z jednej ballady Wenera utworzone. Chciał mnie je nawet koniecznie darować, ledwie się od jego hojności wymówił.

Wtorek 4 września. Przebudziliśmy się tak, aby podług umowy wczorajszej z p. Kollmanem na Mszy św. być w Mariatrust, o półmiki od Gracu odległem. P. Kollman prezentował nas nowemu proboszczowi, człowiekowi przyjemnej twarzy i wieku średniego. Stary przeszedł proboszcz w Mariatrust; kapelan jego, człowiek młody; Werner; burmistrz Gracki, do którego byliśmy zapraszani na obiady; matka Francuza tu osiadłego de Baché; p. Kollmanowa: ci wszyscy z rejestru żyjących wymazani, i to w przeciągu lat tylko ośmiu. Nikogo więc w klasztorze tutejszym ze znajomych nie zastałem. Po mszy rekwalnej i drugiej czytanej na intencję nieboszczyka Wenera, oglądaliśmy kościół. Tą razą więcej zwrócił uwagę moją: znalazłem go daleko ozdobniejszym od Mariaszeńskiego. Ołtarze wszystkie z marmuru rozmaitego koloru, wykutego z tej samej góry, na której stoi klasztor. Położenie miejsca całego i widok z okna umieszczonego na końcu długiego korytarza klasztornego na dolinę Mariatrustu, przy którym po całych godzinach dawniej siadywałem, bardzo się podobały p. Henrykowi, i ja to miejsce święte nie bez rozrzewnienia opuściłem. Wszystko mija na świecie i prędko. Ten komunał gwałtem się na myśl nabija, przy tylu odmianach i wyszłych z tego świata znajomych; a drugi jeszcze trwożliwszy w ślad za nim idzie: Oni już czasu nie mają, i za użycie czasu w życiu swoim stosowne, wzięli wieczną zapłatę, a my żyjący — jak z czasu korzystamy? To bieda,

że podobnych komunalów nie zawsze można wybić sobie z głowy; ale źle mówię: nie bieda lecz raczej łaska Boska. Proboszcz uprzejmie nas przyjąwszy, pokazał nam stancję Wernera i wiele grzeczności powiedziawszy, pożegnał nas. Schodząc z góry, mieliśmy intencję odwiedzić p. de Baché, Francuza tu osiadłego. Zastaliśmy go w oberży na dole. Ledwieśmy się nawzajem poznali. Ja go znalazłem bardzo podstarzałym, alem moją uwagę sobie schował, a on mnie bardzo grubym znalazł, i to mnie otwarcie powiedział. Bardzo mnie był rad, żałował, że tak krótko bawimy. Dowiedziałem się od niego w kilku minutach, że matka jego umarła, że ma dwa konie polskie, a jednego wierzchowego kasztanka bardzo pięknego, że p. Villele, minister, wiele ma dowcipu, a król Karol bardzo poczciwy, że p. Savary nieraz mu mówił, aby się w tej okolicy nie żenił, ale raczej wrócił do Francji, że tylko czeka dobrej sprzedaży swego tu majątku, aby wrócić do swego kraju. Bardzośmy się czule pożegnali.

Wracając do Gracu wydrapaliśmy się na górę zamkową, z której najpiękniejsze widoki na wszystkie strony były nam do wyboru. Nie mogę tu ominąć dwóch wypadków w życiu współczesnych nam osób, które godne są być umieszczonemi na kartach żywotów ks. Skargi: pierwszy z młodości księcia Porcii, magnata włoskiego, który mając brata starszego majorata, sam puścił się na wędrowkę tak, że o nim i ślad zaginął. W kilka lat potem pewien Kreishauptman z Villach, wysłany w rządowych interesach do księcia toskańskiego przybył do Florencji. Chęć odwiedzania miejsc godnych uwagi w tem mieście zaprowadziła go i do szpitalów, a między innymi do największego *S. Maria*. Jakież było jego zdumienie, kiedy w jednym z sług szpitalnych poznał księcia Porcię, dobrze sobie dawniej znajomego. Nie wierząc oczom swoim zapytał o niego dyrektora szpitalu, który go upewnił, że to był najgorliwszy i najpilniejszy z sług szpitalnych. Natychmiast doniósł o tem księciu toskańskiemu. Incognito księcia Porcii znikło a przeto i łatwość pełnienia dalszych usług w świętem ukryciu; musiał wrócić do familii. W krótko brat starszy umarł, a on po nim został majoratem. Kollman, który bawił przy nim lat wiele, opisuje go jako nieco oryginalnego, lecz przytem wielkich cnót męża. Przed kilku mie-

siącami umarł w Wenecyi rozdarowawszy jeszcze za życia ubogim wszystkie swe sprzęty, a nawet i łóżko na którym umarł.

Drugiej rzeczy pięknej o baronie Hohenberg dowiedzieliśmy się. W r. 1823 pan ten z Prus rodem, dostawszy po śmierci ojca w podziale 150 tysięcy talarów przeszedł na wiarę katolicką i wstąpił do Bonifratrów w Wiedniu. Chciano aby na księdza się wyświęcił, lecz on się od tego wymówił, pragnąc jedynie jako laik szpitalny najpodlejsze odbywać posługi. Nic niema tak podłego, tak przykrego w oczach ludzi i świata, do czego by się niewymowną radością nie garnał: pierwszy przy łóżku chorych, ostatni w rzędzie siedzących u stołu, a wszelkie w tej mierze dystynkcyje przełożonego, ciągle umie od siebie oddalać. I te dwa wysokie przykłady ukazują się nam w XIX. wieku, kiedy wszystkie zakony do grobu idą a nawet pobożni ludzie żywota dziwne dawnych świętych mężów z przestachem jakowymś czytają, jakby ich wyższość zbyt niedostępną była dla nas, ich życie całe świętą egzaltacją, na którą się wzdryga oziębła i zarozumiała nasza cywilizacya. Boże odpuść nam! Cieszymy się jednak Panie, że miałeś, masz i mieć będziesz zawsze, jak dawniej wierne sługi.

Obiad zjedliśmy w oberży Wildeman, po obiedzie wróciliśmy do p. Kollmana. P. Kollman odprowadził nas na stancję; przypisał się pięknie na prezencie zrobionym z tragedyi swojej *Dante*, nawzajem przyjął od nas na *nezabud* album wiedeńskie z widokiem Badenu. Wszystko to i pożegnanie odbyło się bardzo sentymentalnie: tak Niemcy lubią.

23 września. Środa. W Mahrburgu miasteczku dość porządnem nad rzeką Drawą popasaliśmy. Książki nasze opisujące te kraje, wiele pięknego o tem mieście wspominają, ale ja piszę to tylko co widziałem, a tu nie miałem czasu nic widzieć prócz staro oficera, który z nami z żoną u stołu siedział. Trochę zmoczeni stanęliśmy we wsi Gonnowie na nocleg; oberża dobra, tego dnia już w kraje przez Sławian osiadłe wjechaliśmy. Pierwszy żuraw koło studni podobny do tych, jakich u nas używają, wskazał nam, że jesteśmy pośród pobratymczego nam narodu. Lud łagodny, Wendy, jeden z licznych szczepów słowiańskiego rodu. Mowę ma zbliżoną do dyalektu czeskiego i dalmackiego, trudną dla nas do zrozumienia. Mój towarzysz pilnie pracuje nad żurnalem i do-

bry przykład nam daje — prawdziwą kancelaryę zaprowadzamy na popasach i noclegach.

Piątek 7 września. Z St. Oswald wyjechawszy jak zawsze o 6-ej zrana, stanęliśmy o południu w Lajbach, stolicy gubernialnej Illiryi, sławnej z swego kongresu. Oberzysta na poczcie, do któregośmy w goście zajechali, Polak, dawno tu już osiadły, przecież polskiego nie zapomniał języka. Ponieważ to była Wilia Narodzenia N. Panny, wypadło tu nocować.

Lajbach. Sobota 26 septembra o 6-tej z rana zastałem Kościół katedralny pełny i kazania kraińskie czyli illyryjskie. Poszedłem do bernadyńskiego, gdzie łatwiej było można znaleźć spowiednika, chociaż i tam bardzo było ciasno; przecież się udało szczęśliwie. Wysłuchaliśmy dwóch Mszy, i o 10-tej dopiero ruszyliśmy o dwie mile. Koń dyszłowy z przydomku *kacap*, dostał choroby, którą nasi zowią *mysz*: na które Daniel utrzymywał, że trzeba mu szydłem po pod uszy wiercić. Wiem z doświadczenia, że nasze konie znoszą te kuracze gwałtowne, a przy łagodniejszych książkowych zdychają; nie będąc sam biegłym w tej sztuce, musiałem się zdać na geniusz p. Szymona, i niezłe z tem było; bo koń po odpoczynku krótkim, przyszedł do siebie. Nocleg nam wypadł w Adelsbergu. Godna uwagi nowa droga cesarska, prowadzona wielkimi górami, kształtem wstążki rozrzuconej, tak, że z małą pracą na wielką wysokość przesmykami często w skale żywej wykutymi, nieznacznie się wjeżdża.

Niedziela 27 Septembra. Po mszy Primarii, którąśmy już o 6 ej zrana mieli w kościele tej wioski, zastaliśmy na kwaterze czekających na nas przewodników do oprowadzenia nas po poblizkiej tu będącej sławnej jaskini. Kilka funtów świec wzięli z sobą dla oświecenia jaskini, przytem czterech ludzi z kagankami nam towarzyszyło. W Wieliczce sale równie są piękne jak w jaskini Adelsbergu; lecz w tej strumień z hałasem pod skały wpadający, przyczynia się do większej dzikości i posępności widoku.

Wcześniej stanęliśmy na popasie w Sezannie, gdzie moc Włochów huczno biesiadujących z Triestu przybyłych zastaliśmy. Wcześniej przed zachodem byliśmy pod górą Oberring w wiosce, w której się znajduje komora poprzedzająca wolne miasto Triest. Kazałem stanąć, zaprowadziłem p. Henryka i Antoniego na wierz-

chołek góry, z którego jednym rzutem oka, po przebyciu czterodzinnej podróży przez kraj skalisty i wulkaniczny, ukazuje się cały Golf Adryatycki, z nadbrzeżnemi miastami, zamkami, i całym tym krajem górzystym i niezmiernie romantycznym, który zowią *littorale*. P. Henryk kontent był z tego widoku, Antoni utrzymywał koniecznie, że choć ta woda z jednej strony nie ma brzegów, one tak i tam koniecznie gdzieś być muszą. Daniel, który na nas czekał z koczem, nie zezwolił na to, co mu Antoni poddawał, że to rzeki te, których tyle poprzęjeżdżali, tak szeroko wylewały; ale mniemał, że to duży staw, czyli jezioro; nie chciał i na to się zgodzić, żeby tu bywał spust na ryby. Spuszczaliśmy się godzinę z góry i zajechaliśmy do oberży dość czystej niemieckiej, pod szyldem „Wilka“. Jeszcze tego wieczora zaprowadziłem p. Henryka na Molo, do Bursy, do Kanału, to wszystko mu się bardzo podobało: znalazł miasto ludniejszym od Odessy i piękniej położonym. Tego wieczora jeszcze odesłaliśmy list do p. Kollmana młodego, będącego w biurze konzula.

Poniedziałek dnia 28 Sept. Trieste. Tu już lud włoski i alpany z winogradu tak urządzone: że ktoby siadł na podwyższonem nieco miejscu, temu w usta grona same wpadną. Odwiedził nas o 10-ej p. Kollman i wszelkie usługi grzeczności ofiarował — pierwszy interes ważny przemiany pieniędzy, drugi dostania się okrętem do Wenecyi: lądem trzeba jechać półczwarta dnia, morzem 12 godzin; ale na statek parowy koni nie biorą. Przed obiadem odwiedziliśmy na łódce okręt kupiecki amerykański z Boston przybyły. Patron okrętu utrzymywał, że w zimie port Bostonski zupełnie zamarza i śniegu mają kilka łokci: pytał się nas jakiego my kraju ludzie, a kiedyśmy odpowiedzieli żeśmy Polacy, rzekł: ja także Niemca, z Germanii niedawnymi czasy z Bostonu tu przywiózł. Po obiedzie nastąpiła przemiana pieniędzy, pocziwy Kollman przyniósł luidory, napoleondory, kolloraty, monety które kurs mają we Włoszech, i za które trzeba było oddać wszystkie nasze banknoty niemające ceny w Lombardyi; to interes skończony: ale drugi podróży morskiej, jeszcze wiecej zawikłany. Kocz i ludzi samych przez Littorale na 3 1/2 dni jazdy bez wiadomości i języka puszczać nie można. P. Kolman, na którego najwięcej liczyliśmy, nie może dla rachunków w biurze, w tej porze odjechać. Lehnlokaja wło-

skiego równie niepewnie dać ludziom za towarzysza; bo to ptaki przebiegłe. P. Kollman obiecuje postarać się o pewną osobę; równie gospodarz domu.

Środa 12 septembra. Znalazł się nakoniec przewodnik, który naszych ludzi i koni do Fusino ma przeprowadzić. Na Włocha nie chcieliśmy się spuścić: za tego Niemca gospodarz ręczy, za gospodarza ręczy młody p. Kollman, za którego ręczy ojciec mieszkający w Gracu. Ludzie nasi i konie potrzebować będą trzy dni najwięcej na tę podróż, pojedą na Palmavechia, ponieważ krążyć muszą wzdłuż zatoki morskiej; dlatego tyle czasu im potrzeba, zwłaszcza, że pocztowy trakt oddala się nieco od brzegów morskich. Wyprawiliśmy ich rano opatrzywszy pieniędzmi, napomnieniem, aby z rana wyjeżdżali a przed nocą wcześniej stawali na odpoczynek. Trzeba było im też paszport wyrobić osobny, zaleciliśmy także przewodnikowi, aby ulokowawszy ich w Fuzino w karczmie i zapewniwszy się o cenach karczemnych natychmiast nas odwiedził w Wenecyi i dał znać o swoim przybyciu. Ponieważ dopiero o 10-tej wieczór pakietbot największy miał popłynąć do Wenecyi, wcześniej zamówiliśmy sobie dwa miejsca z łózkami porządnymi, spróbowawszy pierwiej, czy się w framugach nam przeznaczonych korpusy nasze pomieszczą. Tegoż dnia przez dzień odwiedziliśmy jeszcze niektóre tutejsze ciekawości: Katedrę, budowlę niezmiernie ciekawą z powodu swojej starożytności; postać jej zewnętrzna i wewnętrzna, wiązanie dachu bez sufitu, kolumny stojące we dwa rzędy z granitu, przez czas w ziemię znacznie wbite, wieża z ogromnych ciosów, rzymskim trybem bez wapna ołowiem spojonych: widocznie okazują, że ten gmach z świątyni pogańskiej na chrześcijańską przerobiony. Szczęci się przytem ciałem św. Justyna męczennika. Kościół w starem mieście pojezuicki już okazuje cokolwiek przepychu zwykłego w kościołach włoskich: obfity w piękne marmury. Wracając na kwatere, dawnego nadybaliśmy znajomego Bernarda Potockiego. Żonę u wód nad Renem gdzieś zostawił, sam tu przybiegł dla zwiedzenia Dalmacyi, a ztamtąd może i wysp Jońskich. Powierzchność jego świeża, młoda i wesola, mało co przybrała powagi odpowiedniej małżeńskiemu powołaniu. Dowcip i łatwość wielka w tłumaczeniu się; ta spuścizna po rodzicach zda się, iż w całości mu się dostała. Miło mi go było widzieć, odwiedziliśmy go na kwa-

terze; nadszedł tam przybyły dla zdrowia do wód morskich niejaki p. Niepokojczycki. Wieczorem w porcie ruch wielki poprzedzający odjazd paketbotu: jedni biegli z tłumoczkami, aby się nie spóźnić, bo teraz wielka akuratność w odjeździe Paketbotu, drudzy przyjaciół odprowadzali, inni się żegnali na brzegu, inni jeszcze aż na paketbocie wizyty swoje przedłużali. W tej liczbie byli p. Bernard i Kollman: nakoniec bije 10-ta wrą kotły, dym bucha z kominu żelaznego, bałwany się pienią pod kołami i huczą, przyjaciele szybko po mającym już usunąć się moście biegną, żegnają nas i opuszczają. Już nogi nasze poczuły niestałość nowego elementu. Okręt podaje bok ku morzu, liny po słupach marmurowych warcząc opadły i puściły go na wolność. Płyniemy wśród najdoskonalszej ciszy nocy dziwnie pogodnej, iskrzącej się milionami gwiazd:

Błyszczą w haremie niebios wieczne gwiazd kagańce,
Wśród nich po szafrowym żegluję przestworze
Jeden obłok, jak senny labędź na jeziorze,
Pierś ma białą a złotem malowane krańce

Mickiewicza sonet. Bakczy-seraj.

Z Środy na Czwartek.

Żagle na kształt chorągwi gdy wojnę skończono,
Drzemią na masztach nagich, okręt lekkim ruchem
Kołysa się

Mickiewicza sonet: Cisza morska.

Ten piękny obraz Mickiewicza ciszy morskiej, najlepiej maluje naszą żeglugę nocną. Ruch bowiem parowego statku, przy zupełnej ciszy i pogodzie, tak jest nieznaczny, iż uczucia nasze zupełnie są odpowiednie tym, które Mickiewicz znajdujący się na okręcie zwyczajnym nie parowym, na kotwicy stojącym, w tym pięknym sonecie wyraził. Przecież na pozór nieruchomi, prędko biegliśmy po przeźroczystem jasnem morzu, tak pogoda była piękna. Większą mieliśmy ciszę od tej nawet, która mnie z Wernerem przed ośmiu laty na tem samem morzu sprzyjała. Natłok wspomnień i uczuć rozmaitych na myśl się nabijały; ale bując jej pomimo nowości widowisk i położenia, różne okoliczności prozaiczne nie dozwoliły. Między innymi alterkacja dwóch towarzyszków podróży naszej; nam byli obcy, między sobą zdawali się być zażyli. Mniejszy większego wzrostem zapytał, coby rozumiał o tej smudze białej, która po niebie pogodnem, pomiędzy niezliczonemi gwiazdami rozlała się: „O! rze-

eze większy: to droga mleczna“. Mniejszy na to: „Ale co to droga mleczna?“ Większy zniecierpliwiony: „Jakże tak można się pytać? kiedyś odpowiedział, że to droga mleczna, to więcej już się nie wypada pytać, dla wielce ważnej przyczyny, że tę smugę wszyscy nazywają mleczną drogą i na tem przestają, a zatem kiedy inni na tem przestają i dalej się nie pytają, dlaczegoż mnie WPan o to dalej się pytasz?“ — „Nie obrażaj się, rzecze znowu mniejszy, bo kto się pyta o objaśnienie, ten nie myśli obrażać“. — „Przepraszam, bo WPan nie kontentujesz się tem, że to jest mleczna droga, i to jest *quaestio intempestiva* i napaść“, odezwał się z poruszeniem większy; a że byłem opodał, a p. Henryk bliżej, przed nim wytoczył swoją sprawę, a ja bojąc się do tego kompromisu o gwiazdy być wciągnionym, dręczony przytem poczynającą się fluksją, uciekłem z pomostu do kajuty, gdzie zastałem już prawie wszystkich po łózkach spoczywających. Jeden młody z tych panów, zabłądził do mego łóżka i do mojej poduszki, tak, że z ciężkością przyszło mi się kolei doczekać. Przyznał mi, przebudziwszy się, że pierwszy raz na morzu, że mu się głowa kręci i wrócił do swojej poduszki, a ja na mojej spoczałem nieco. P. Henryk pomimo mojej perswazyi, chciał na pomoście doczekać się wschodu miesiąca, który późno już się ukazywał, i wschodu słońca: po godzinie łatwo mi się było przebudzić, bo i ząb bolał i nikt z nas pasażerów nie był rozebrany. Wróciłem na pomost, zastałem p. Henryka siedzącego na ławce w płaszczu i głębokiej poetycznej medytacyi zanurzonego; to bieda tylko, że żadnemu z nas, ani na sonety nie stało poezyi. Noc ciągle była śliczna, już nam znikły z oczu brzegi Istrii, już i lampa morska znikła i przestała migać swem światelkiem; za to lepsza nam weszła na niebie — wysunął swe rogi miesiąc z głębi otehlani błękitnej, i puścił srebra rzekę wzdłuż przestrzeni bez granic. Niewielu nas było pasażerów, kajuta bardzo pięknie umebłowana i oświetlona, próżna była, bo wszyscy prawie na pomoście znajdowali się. Jedni snem znużeni, drudzy z obojętną twarzą przywykłą do tych pomp natury, paląc cygara, oczekiwali słońca dla widzenia Wenecyi i ułatwienia interesów, które im bliżej zdawały się być serca, niżli sentymta romantyczne. Kapitan średniego wieku człowiek, Włoch prawdziwy, oka żywego, bystro czarnego i odpowiednich bakenbardów, zimno rozkazy wydawał,

i twierdził, że dwoma godzinami prędzej niżeli zwykle bywa, staniemy w Wenecyi. Po trzech godzinach nowy przepych, słońce z morza wypływa, bo na pewnym punkcie żeglugi tej krótkiej, kiedy tylko morze i niebo oczom pozostają, wszystko co tylko się ukazuje, zda się z wody wyradzać. Nie dziw tedy, że poeci owi dawni podobnymi widokami napojeni, o tylu bajkach marzyli; widoki takie nieoswojonym z nimi wrażenia zostawiają podobne do snów, które nas trwożą lub bawią przez krótką noc. I nam czasami przechadzającym się, czasami nieco drzemiącym, ciężko przychodziło rozróżnić co było na jawie, a co we śnie. Nakoniec ukazały się przy podwyższonem świetle słońca, wieże Wenecyi. Tu już drzemać się nie chciało. Dwie godziny zbliżaliśmy się do tego dziwnego miasta, które co chwila coraz jaśniej, rozmaiciej i pyszniej swe piękności nam odkrywało. P. Henryk bardzo się tem cieszył; dla mnie to już nie był nowy widok. Kiedyśmy minęli Sido i znaleźliśmy się otoczeni pysznemi kościołami *S. Georgio*, *Salute* i innemi marmurowemi, jakby po wodzie pływającemi gmachami, przyznał p. Henryk, że widok ten jego oczekiwanie przewyższył, a że nawet przewyższył i ów widok, którego mu dostarczają ojczyste brzegi rzeki między Pietniczanami a Strzyżawką. Kotwicę zarzuciliśmy niedaleko *Palazzo ducale* po 13-godzinnej najszcześniejszej żegludze. Opadła nas jak szarańcza gromada celników, ale kapitan nasz biegły w podobnych delikatnych przeprawach, dla ulżenia rewizyi swoim pasażerom, niezliczonymi facecyami i jowialnością niepospolitą, potrafił ułagodzić ostrość rewizyi tego nowego rodzaju potworów morskich, równie dla wielu strasznych, jak kiedyś owe scylle i charybdy mogły być dla Ulissessa i Eneasza.

* * *

W Wenecyi zatrzymali się nasi podróżni dwanaście dni¹, chodząc po Kościołach i galeryach obrazów i przysłuchując się śpiewom gondolierów. Służący tymczasem: Antoni i Daniel, nieczuli na

¹ Od przybycia do Wenecyi dzienniczek zmienia się w urywkowe, lakoniczne notatki, które staranniejszego obrobienia nigdy się już nie doczekały.

piękności włoskiej natury, bardziej byli czuli na wspaniałe winogrona, których nie żalowali sobie, popijając je wodą. Poezya zemściła się srodze na tych zbyt konsekwentnych zwolennikach praktycznego realizmu, nasylając na nich, niebawem po wyjeździe z Wenecyi, potężną febrę, która parę jeszcze razy przed przybyciem do Rzymu dała się biedakom we znaki. Chcąc nie chcąc trzeba się było dzień dni zatrzymać w Ferrarze, zwiedzając ciekawości miejskie: biblioteki, w których należało podziwiać rękopisma Tassa i Ariosta; więzienie Tassa, noszące jeszcze świeże ślady spełnionych tam dziwactw Byrona; wreszcie klasztor Jezuitów, w którym z nadzwyczajną radością przywitał rodaków i codziennie długie godziny spędzał z nimi na rozmowie, wygnany przed dziesięciu laty z ojczyzny O. Kuczyński „święty prawdziwie człowiek“¹. W Bolonii nowa czekała, niemniej miła niespodzianka. Mezzofanti, umiejący już wówczas około czterdziestu języków, dowiedziawszy się o przybyciu Polaków, pobiął do nich czempredzej na polską gawędkę, przyjemność, do której nie tak często nadarzała mu się sposobność. Ponieważ Mezzofanti żywo interesował się literaturą i poezją polską, Henryk Grocholski posłał mu jeden z najnowszych sonetów Mickiewicza, za który uczony lingwista podziękował skomponowanym przez siebie polskim wierszykiem. Czy wierszyk ten, czy rozpaczliwe narzekania sług wzdychających za polską kuchnią, i odżywiające się w ten sposób własne wspomnienia, czy coraz pilniejsze wczytywanie się w Mickiewiczowskie sonety, rozbudziły w Chołoniewskim na nowo obumarłą poetyczną żyłkę — dość, że w Forli chwycił za pióro i wyłał swe gastronomiczne żale i skargi w humorystycznym wierszyku:

*Zrozpaczonego włoską kuchnią Polaka*²

SONET DO BARSZCZU

Potworna metamorfoza sławnego sonetu A. M.

„Niemie, domowa rzeko moja i t. d.“

Barszczu, domowa zupo moja, gdzież są rury,
Z których szpik wyciskałem w usta niemowlęce,
Którymi potem dzielne uzbroiwszy ręce,
Tęschnemu żołądkowi zabijałem kury?

¹ Do *Grocholskich*. Loreto 18 paźdź. 1827.

² Pisma pośmiertne t. II. 150.

W tobie, pulchna słoninka, chlubna z swej urody
Lubiła się przeglądać w mięsnych uszek gronie;
Tu obraz jej malowny w srebrnej misy łonie,
Łyżką nieraz mąciłem, zapaleniec młody.

Barszczu, domowa zupo! gdzież są smaczne soje,
A z niemi tyle szczęścia, łakoci tak wiele —
Kędyż jest na pieczyste miłe z sokiem cielę?

Gdzież miłsze burzliwego miodku niepokoję?
Kędyż jest wódka moja? gdzie tatarskie ziele?
Wszystko przeszło — ach! czemuż nie przejdą lzy moje?

Przejeżdżając przez Loreto, niepodobna się w niem było dni kilka nie zatrzymać. Tu znowu Antoni i Daniel z większą pewnie radością, niż panowie ich na Kuczyńskiego i Mezzofantiego, natrafili na księdza, który mógł ich zrozumieć i wypowiedać. Obaj nieboracy z trudnością na nogach się trzymali, a choć Chołoniewski, sam już teraz układał im „speiscetle włoskie“, nie zawsze mógł przypilnować dokładnego wykonania swych przepisów, i jeszcze z oczu nie stracono Loretańskiego domku, a już powtórzyła się dawna, smutna zwrotka: „Antoni ledwo łązi, a Daniel ma tercyannę“.

„W Tolentynie¹, pisze w liście do Grocholskiego, odwiedzi-
„liśmy kościół dość piękny, Twego, kochany Mikołaju, wielkiego
„patrona. Mury korytarzów klasztornych całe zamalowane cudami
„tego świętego. Przed jego ołtarzem i grobem, msze na twoją in-
„tencję były zmówione. Z Tolentino do Foligno jest naszych siedm
„mil, a tutejszych czterdzieści trzy. Wjechaliśmy w Apeniny, okryte
„lasami z krzewów, czyli drzew, które naszym treibhauzom tylko
„są wiadome, tak dalece, że i erudycya p. Henryka, w botanice
„znakomita, nie raz doznawała wielkich utrapień. Urwiska skał po
„nad bystrymi potokami i piękne drogi murowane, szerokie, wzdłuż
„tych przepaści wijące się, bardzo się nam podobały, chociaż deszcz
„zaczął nas moczyć. Ale kasztanki nieczułe na te romantyczne wi-
„doki, bardzo sobie Apeniny sprzykrzyły; nakoniec trzeba było na
„największych górach wziąć pocztę. Staaliśmy godzinę przed zacho-

¹ Do *Grocholskich*. Rzym. 30 paździer. 1827. List polski.

„dem słońca w Casenuove, małej wioszczynie między górami. Karczma „niegodziwa; dziesięć wiorst czyli mil do Foligno, choć godzina „tylko do zachodu. „Próbujmy szczęścia“, rzekł p. Henryk. „Pędź „przyjacielu!“ Pędziliśmy nieźle, bo wszystko było z góry, lecz ta- „kie przykre Apeniny, że mimo najśliczniejszej drogi, trzeba było „co moment hamować i to nas w noc zapędziło. Coraz pytamy się „jak daleko; a miasta nie widać. *Ciemno*, miesiąca nie ma, „wjeżdżamy w wąwozy i lasy oliwne; dzwony tylko zdala odezwały „się, zapowiadające *Ave Maria*, po której we Włoszech nie dobrze „na drodze się bawić; przecież stawać musieliśmy dla ustawicznego „hamowania. *Co to będzie? Co to będzie?* Ale ten dzwon *Ave „Maria* dzwoniący, przepędzał wszystkie strachy; szczęśliwie, choć „późno w nocy, zajęchaliśmy do Foligno, porządnego miasta... „*Kacap*, koń dyszlowy, podbił się nieco przez sympatyę z Danie- „lem, który gniewa się na febrę, na Włochy i na Antoniego, wy- „mawiającego mu, że pozwala febrze, aby go trapiła“...

„Spoleto, miasto stare, położenie bardzo wspaniałe, pełne „dawnych szczątków po Rzymianach i Gotach... Ale tych wspo- „mnień, szczątków, rozwalin, tradycyji klasycznych, romantycznych, „uczonych, literackich, wojennych, tyle cudzoziemiec znajduje, prze- „stąpiwszy tylko nogą granicę włoską, takim się staje erudytem „*nolens volens*, bo *Ciceroni* jak belfery krzyczą mu wszędzie nad „uszami: *Vedi Signor! vedi! Ecco! Ecco!*, że po kilkuniedzielnem „podróżowaniu we Włoszech, osoby jak ja, mniej rzeźwego i by- „strego umysłu, w rodzaj osłabienia władz duchowych popaść „mogą. Tylu rzeczom dziwować się trzeba, tyle rzeczy wielbić „i wychwalać, tyle oglądać, tylu się przysłuchiwać, że nakoniec „radby człowiek, aby mniej było pięknych rzeczy do widzenia, albo „przynajmniej nie tyle w krótkim czasie. Ile razy przyjeżdżamy do „nowego miasta, wzdychając mówię do p. Henryka: *Ah! voilà „encore des belles choses à voir*. To czyste barbarzyństwo z mojej „strony, ale szczerza prawda. Szczęściem od Spoleto do Rzymu nie „ma znacznych miast. Jak przychodzi czasami otworzyć naszego „*Guide Neugebauer*, z strachem patrzymy, czy wiele zapowiada cie- „kawości, bo to my przez dwa miesiące tak *ciekaw*, a to nie „żart...

„W *Otricoli* pierwszy raz przejechaliśmy Tyber sławny. Tu „z miasteczka ukazał się nam, jak wstążka, rozwinięta wzdłuż naj- „śliczniejszej doliny, Apeninami opasanej, które to mają do siebie „właściwego, że się okazują zawsze, jakby umyślnie w amfiteatr „ułożone... Tu także znaleźliśmy jeden punkt z widokiem bardzo „podobnym do tego, który nad Dniestrem mieliśmy na owej górze „wysokiej, gdzie klasztor odwiedzaliśmy w skale wykuty. Tylko, „że Tyber nie taki bystry, ani tak szeroki, jak Dniester. Stąd na „noc stanęliśmy w miasteczku *Civita Castellana*, bardzo podobnem „z położenia do Kamieńca, tylko mniejszem; lecz podobne skały „i urwiska i wjazd przykry. Radbym przecież tutejszy most na „przepaści przez Rzymian zbudowany, na model do Kamieńca „przesłać, bo na podobnem miejscu godziłoby się u was most po- „stawić...

„Droga publiczna pyszna. Mogliśmy być tego dnia w Rzymie, „aleby to było późno bardzo, a tak się niegodzi wjeżdzać do „Rzymu. Postanowiliśmy więc z cierpliwością, nie bez zasługi po „dwumiesięcznej mozolnej podróży, w *Monte Rosi*, ostatniej gospo- „dzie o trzydzieści wiorst od Rzymu, wcześniej zanocować. Niewy- „powiedziana to dla mnie była pociecha, tak blisko być Rzymu. „Mało w nocy spałem, wyglądając jutrzeńki pożądaney; na ogro- „mne transporta indyków żywych, w paradnych kojceach do Rzymu „wiezionych z zazdrością patrzałem, że nas wyprzedzały. Nakoniec „przy pomocy Boskiej wczoraj, 29 października, o godzinie szóstej „z rana, — Daniel zdrowszy, konie dobrze odpoczęły, Antoniego „dyaryja trochę ustała; — wytaczamy kocz, ja i konie zaprzęgam, „byle tylko mię już do Rzymu dowiozły. Jedziemy tak żywo i ka- „sztanki pocziwe tak prędko do sił przychodzą po jakiejkolwiek „wygodzie, iż mi się zdało, żeśmy ze Lwowa dopiero wyruszyli, „kiedy byliśmy już na tym wzgórku, z którego cały Rzym ma być „widno. Wołam ustawicznie to na Daniela, to na Antoniego: „*A widzicie co?* to stawać każe, to p. Henryka do patrzenia na- „mawiam, to do perspektywy się biorę. Napróžno! deszcz, mgła! „Daniel powiada: *At! widno jakieś wsie*. Ja na to się niecierpli- „wię. Antoni go poprawia: „*Ja dawno baczył jakojuś wieżu we- „łyku*“. — „*Jedź dalej!*“ bo napróžno upatruję. I tak pomimo

„najszczerzej chęci, dla deszczu i mgły, a potem gęstych wąwo-
zów, nic się nam Rzymu nie ukazało, aż póki pod same domy
przedmieścia nie podjechaliśmy. Tu się niebo wyjaśniło; kasztanki
pędem z pagórka się puściły; pierwszy raz wtedy dopiero ujrza-
łem kopułę św. Piotra. Nie zdała mi się bardzo wielka, ani taka,
jaką ją sobie wystawiał i dotąd się nie zdaje, chociaż byliśmy
już w kościele, ale to robi iluzya optyki i wielkich stosunków
budowli rzymskich, które tu oko otaczają“.

VII.

W Rzymie.

„O wpół do ósmej zrana stanęliśmy na pysznym placu *Del popolo*, pod bramą *Del popolo* marmurową. Zapytano o paszport, potem nas do *dogany* przez pół godziny, wielką ulicą *Corso* prowadzono. Tym sposobem przyjechaliśmy po pod sławną *Colonna Antonina*, a przed dawną świątynią Piusa Antonina, a terazniejszą *doganą*, Daniel na kasztanki: *Prr!* krzyknął z wielkim tryumfem, że je aż do samego Rzymu doprowadził, bom mu to zawsze do serca przygadywał... Po obiedzie, acz znużeni, pobiegliśmy na pocztę i tam mieliśmy szczęście znaleźć listy Cesi i wasze... Nieczytając, pobiegliśmy do Watykanu; tam u grobów św. Piotra i Pawła, tych bohaterów świata chrześcijańskiego, modły moje niegodne ofiarowałem za was wszystkich, za każdego z osobna kilka pacierzy mówiąc. Dziękuję Ci, kochany Mimie, za Twój piękny list, tak długi, tak pełen dobrych rad. Masz bardzo rację, że mi każesz pamiętać o stracie czasu i wystrzegać się zasadzek złego ducha. To głos prawdy i przyjaciela; obym takiego wszędzie znalazł!”

Rosyjski ambasador w Rzymie, Grzegorz Gagaryn, dowiedziawszy się o przybyciu polskich podróżnych, zajął się nimi natychmiast z uprzedzającą grzecznością, zaprosił raz na zawsze do swej łoży w teatrze, ofiarował się wprowadzić ich na arystokratyczne rzymskie salony, a choć widać było, że projekta Chołoniew-

skiego nie zupełnie trafiają mu do przekonania, zanadto był grzecznym, aby zdziwienie swoje zbyt wyraźnie objawić. W kilka godzin po pierwszej dłuższej rozmowie, przysłał Gagaryn swym protegowanym bilety zapraszające na wielki wieczór do ambasadora francuskiego, księcia de Laval Montmorency. Wymówić się było tem trudniej, że Chołoniewski poznał był jeszcze księcia przed kilkunastu latami w Paryżu; rad więc nie rad wyciągnąć musiał szambelański mundur na dnie kufra ukryty i zrezygnować się na parogodzinne kłanianie się rzymskim i w Rzymie bawiącym znakomitościom. „Olbrzymie salony ambasady francuskiej¹ były przepelnione; wszystko tu ma większe niż gdzieindziej rozmiary, wynajęszy ludzi, którzy jedni tylko, tych samych są co gdzieindziej rozmiarów. Sześć już lat temu, kiedy byłem ostatni raz na tego rodzaju recepcyi, ale przekonałem się, że ta gałąź cywilizacji europejskiej w niczem od tego czasu nie rozwinęła się i nie zmieniła. Ciągłe jedno i to samo w kółko: wiele pań siedzi jedna obok drugiej z lekko znudzoną miną, a w pośród tego amfiteatru z toalet, stoją i trącają się gromady mężczyzn, którzy nie mają ani czasu, ani miejsca, ani chęci do jakiegokolwiek dłuższej rozmowy, bo ciągle płynące strumienie uniformów, fraków, księżych płaszczy i czerwonych czapeczek, ani na chwilę zatrzymać się nie dadzą na jednym miejscu. Przyływ ten i odpływ unosi cię ze sobą, mimo twej woli i wiedzy po przez wszystkie sale, aż do ostatniego pokoju, i dopiero kiedy dojrzysz kilka figur francuskiego kontredansu, przypominasz sobie, że jesteś u francuskiego ambasadora, bo zresztą salon w Rzymie niczem się nie różni od salonu w Paryżu, lub Petersburgu. Znaczna ilość sutann i czerwonych pończoch nadaje jeszcze jedynie tutejszemu towarzystwu pewną wyłączną, bardziej poważną postać. Naliczyłem dziewięciu kardynałów na tym balu. Przedstawiono mnie młodemu, pobożnemu, bardzo tutaj popularnemu kardynałowi Odescalchi. Miałem dla niego listy; długo i pocziwie rozmawiał ze mną o Jędrzeju i Elizie i bardzo ich chwalił...“

Z Polaków, więcej niż przyjaźnie, bo z prawdziwie macierzyńską miłością przyjęła Chołoniewskiego znana w całym Rzymie i po-

¹ Do *Grocholskich*. Rzym 11 listopada 1827. List franc.

wszecznie poważana matrona, księżna Stolnikowa, Dorota Czartoryska¹, której najmłodsza córka Celestyna wyszła była za spokrewnionego z Chołoniewskim, Stanisława Rzyszczewskiego. „Stara księżna „Czartoryska² mieszka w klasztorze Urszulanek. Dźwięk jej głosu przypomina mi Cesię. Bardzo jest żywa, podobna do córki swej Rzymszczyńskiej, rozmawia z dowcipem i ogniem. Wygląda na wielką panią; bardzo nabożna, bardzo grzeczna; sama nam zaproponowała, że nas kardynałom zarekomenduje“. Raz zawiązane stosunki już się nie rozerwały; w czasie pobytu w Rzymie Chołoniewski stałym był gościem w skromnych pokoikach księżnej Doroty; później częste listy, wzajemne prośby o rady, i modlitwa nie dozwoliły ostygnąć tej pięknej, prawdziwej przyjaźni. Za cicerona ofiarował się Chołoniewskiemu, dobrze znany w polskiej kolonii w Rzymie, ksiądz Zajączkowski; z przyszłym trybem życia, z zwyczajami rzymskich seminariów i akademii zaznajamiał go ksiądz Scipion, który wespół z księdzem Łubińskim odbył był studia w zostającym pod dyrekcją Jezuitów *Collegium Germanicum*. Młody Kazimierz Czetwertyński, stojący właśnie w tej chwili na rozstajnej drodze i będący mniej więcej w tem samym stadyum życia, w którym znajdował się Chołoniewski w czasie pobytu swego w Paryżu, dopełniał w tym czasie tego poufnego kółka najbliższych przyjaciół, różnymi losami przypędzonych do Rzymu, a odnajdujących tutaj jakby drugą wspólną ojczyznę, mających sobie codziennie tyle rzeczy do powiedzenia *po polsku*.

Będąc w Rzymie, pragnął Chołoniewski przedewszystkiem widzieć Papieża i otrzymać jego błogosławieństwo; dzięki uprzejmości Gagaryna nadspodziewanie prędko spełniły się te jego życzenia. „Jedynastego listopada³ mieliśmy szczęście być prezentowanymi Ojcu św. Było nas wszystkich siedmiu na audyencji: pięciu „Rosyan, dwóch nas Polaków. Wprzód zawołał Ojciec św. księcia „Gagaryna samego, który przez kwadrans bawił u niego; potem „nas zawołano, t. j. księcia Gorczakowa, który tu przybył na miej-

¹ Dorota Barbara z Jabłonowskich Czartoryska, wdowa po Józefie Klemencie, księciu z Klewania na Korcu Czartoryskim, stolniku W. Litewskim.

² Do *Grocholskich*. 11 listop. 1827. List franc.

³ Do *Grocholskich*. Rzym. 28 listopada 1827. List polski.

„sce Kossakowskiego; p. Wielhorskiego, kamerherra petersburskiego; „Krywcowa, sekretarza ambasady; Naryszkiina młodego; mnie i Henryka. Weszliśmy razem, jeden po drugim, jak szyldwachy na „wartę. Książę Gagaryn prezentował nas wszystkich po kolei; ja „byłem trzeci w rzędzie. Ci panowie co przedemną szli, w rękę „Ojca św. całowali, nisko bardzo kłaniając się razy kilka; ja zaś „z Henrykiem padliśmy mu do nóg z wielką radością. Ojciec św. „przyjął nas stojąc bez piuski i bez stopy, w białej zwykłej swej „sukni. Dobrze tego dnia i zdrowo wyglądał. Słuszniejszy ode mnie, „chudy, zda się mieć lat 60, ale ma ich 68. Twarz łagodna, dowcipna i pańska, uśmiech bardzo przyjemny i pobożny. Kiedym „przypadł do nóg Ojca św. lukta się wszczęła. Papież mię ręką „nie dopuszczał, mówiąc z wielkiem przymileniem: *La prego, La prego*; musiałem więc kilka razy od jego świętej ręki umknąć; „nakoniec gdym upatrzył chwilę sposobną, nie usiał mię ręką za- „trzymać i miałem szczęście krzyż św. na jego szanownych nogach „ucałować. To wielka pociecha!: *Tu es Petrus etc.* Gdy się prezentacya skończyła, Ojciec św. rzekł do wszystkich ogółem:

„*Tutti questi Signori parlano senza dubbio l'italiano, perchè i Russi e i Polachi parlano con gran facilità tutte le lingue*¹⁴.

„Obróciwszy się potem do księcia Gagaryna: *La ringrazio molto per la conoscenza, che mi ha procurato*² i na tem się skończyła audiencya rosyjska. Nakoniec poprowadził nas książę Gagaryn do kardynała sekretarza stanu, Della Somaglia, który także „bardzo mile o Polakach wspominał. Książę Gagaryn bardzo „skaw na nas, woził nas po ambasadorach. Henryk na wszystkie „strony zapraszany; moje interesa *pryncypalne* także nie źle idą“...
Najważniejszym z tych *pryncypalnych* interesów, było w tej chwili rozstrzygnięcie pytania, objającego mu się zresztą raz po raz o uszy: „Do którego seminaryum wstąpić zamyslasz? Czy do *akademii duchownej*, w której niedawno jeszcze temu przebywali dwaj: Jan i Michał Szczyttowie i Korsak³; czy z Łubieńskim i Sci-

¹ Wszyscy ci panowie umieją bezwątpienia po włosku, bo Rosyanie i Polacy z wielką łatwością mówią wszystkimi językami.

² „Bardzo panu dziękuję, żeś mi dał sposobność zrobić tę znajomość“.

³ Korsak umarł w Rzymie; Michał Szczytt wstąpił do Jezuitów i umarł

pionem, do *niemieckiego collegium*, czy może do *rzymskiego seminaryum*, w którym Wiktor Ożarowski studia odbywa? Samemu nie łatwo było się zdecydować; bardzo więc rozumnie udał się Chołoniewski po radę do dawnego swego protektora Ostinięgo i do doświadczonego w drogach Bożych Jezuity, O. Rosavena, którego obrał sobie za duchownego przewodnika. Obaj zgodzili się, „żem „już za nadto stary¹, abym potrafił się nagiąć łatwo do ściślejszej „feruły w innych seminaryach, i że przeto zrobię najlepiej wstępując do Akademii duchownej, gdzie prócz większej wolności co do „reguły, w domu dają wszystkie kursa, a nawet mieć można go„dziny wolne dla lekcji partykularnych, jeśliby ich kto zażądał. „Taka to jest więc ta *Academia Ecclesiastica*, założona przez Pa„pieżów dla samej szlachty, która duchownemu stanowi chce się „poświęcać. Ponieważ w papieskim państwie wszystkie wyższe „urzędy są w rękę duchowieństwa, stamtąd więc tak na duchowne, „jak i na świeckie urzędy wychodzą *subjecta*. Kardynał Pacca jest „protektorem; Papież teraźniejszy był w niej wychowanym. Ma ona „przytem prawo udzielania po dostatecznym egzaminie, stopnia „doktorskiego w nauce teologicznej i prawie kanonicznem. Tam „zdecydowałem się wstąpić; proście Boga, aby moją nieudolność „pobłogosławił“.

Ostini zawsze jednakowo żywy i uczynny, ledwie dowiedział się o decyzji swego protegowanego, poprowadził go sam i przedstawił prefektowi, czy raczej, jak go nazywano: prezydentowi *Akademii duchownej*, Sinibaldiemu. „A będziesz się mógł poddać regu„laminowi? zapytał tenże bez ogródek. Jeśli tak, to sam postaram „się u Ojca św., aby ci pozwolił wstąpić do Akademii“. Jakoż za kilka dni doniósł, że Papież daje najchętniej swe pozwolenie i błogosławieństwo, a kiedy i Gagaryn, który z początku robił pewne trudności i chciał, aby Chołoniewski jako urzędnik dworski poczekał na cesarskie pozwolenie z Petersburga, przyrzekł tymczasem patrzeć przez palce na księżą sutannę i prosił tylko, aby w gazetach nic o całej tej rzeczy nie pisano; nie stała już na drodze

w wielkiej świątobliwości, jak świadczy jego życiorys napisany w języku włoskim.

¹ Do *Grocholskich*. Rzym 29 listopada 1827.

żadna poważna przeszkoda, aby ostatecznie pożegnać się z szambelańskim mundurem, z balami u ambasadorów i rzymskich książąt. W czasie ośmiodniowych rekolekcyj odbytych w Gesù pod kierunkiem O. Rosavena, zerwała się chwilowo wielka burza pokus, ale Chołoniewski zbyt już często przedsiębrał podobną żeglugę, zbyt doświadczonego miał sternika, aby kierując się jego radami, i własnym doświadczeniem, narażonym był na zatonięcie. Jakoż po burzy nastąpiła cisza, a choć pozostało jeszcze pewne drżenie serca, pewien niepokój: Jak to dalej będzie? to przecież gdy 13 grudnia odprowadzony „tryumfalnie“ przez Henryka Grocholskiego i księdza Scipiona, zajął nasz seminarzysta przeznaczone sobie dwa pokoje w *Akademii duchownej*, pełną piersią odetchnął swobodnie, jak człowiek co po długiej, męczącej podróży, dojrzy wreszcie zarysowujący się zdaleka, lecz wyraźnie cel, do którego dążył.

W pierwszych miesiącach pobytu w *Akademii* odświeżył sobie Chołoniewski w pamięci i uporządkował w głowie główne filozoficzne zasady; następnie przykładać się zaczął bardziej wyłącznie do teologii i wnet spostrzedz mógł z radością, że nauki nie idą mu tak tępo, jak się tego z początku obawiał. Sympatyczni profesoro- wie: Fornari, Vezzardilli dodawali mu ducha; prywatne lekcye, płacone po osiem skudów za dwadzieścia godzin, dozwoliły mu niebawem w naukach z kolegami się zrównać; regulamin był łagodny, a kiedy raz w pierwszych dniach pobytu w *Akademii*, Chołoniewski mimowoli go przekroczył, to roztropny Sinibaldi wyjął go od zwykłej kary i dozwolił okupić się kawą i likierem, zafundowanym po obiedzie dla wszystkich akademików. To też już po dwóch tygodniach, zanotowuje sobie Chołoniewski w dzienniczku: „Zaczynam się orjentować; strachy mijają“; i zaraz nazajutrz: „Niepokój się zmniejsza“; i w parę dni później: „Uspakajam się coraz bardziej“. Prawda, że kiedy znowu trzeba było zasiąść do jakiego egzaminu, a jeśli na czem to na najrozmaitszych egzaminach w *Akademii* nie brakowało —; kiedy miał mieć teologiczną dysputę, lub odczytać musiał w czasie obiadu, wypracowaną przez siebie rozprawę, to znowu dawny strach wychodził z kryjówki i nielitościwie pastwił się nad biedakiem. „Jak przyjdzie gadać *en public*, żartował sam

„ze siebie¹, to mi serce bije i krew do głowy bije: to są spazmy, „Mości Dobrodzieju“. „Mały to czyściciel, poważniej pisał do siostry², który zawdzięczam w części wielkiej irytacji nerwowej, po „matce odziedziczonej, bo wiesz, jak matka nasza na nerwy cierpiała; a w części olbrzymiej miłości własnej, niecierpliwiającej się, „że nauki tak wolno, po ślimaczemu liżą. Kiedy mam w szkole odpowiadać, to nieraz mi serce bije jak żakowi. Napisałem już po „łacinie jedną rozprawę, ale jak pomyślę, że trzeba ją będzie odczytać przed kilkunastu słuchaczami, czerwienię się jak rak z wzruszenia. Prawdziwie, doskonała to materyja do upokorzenia się, „gdybym tylko z niej umiał korzystać. Koledzy śmieją się nieraz „z mych strachów i ja sam się z nich śmieję, dopóki nowego ataku „nie dostanę“.

Między kolegami tymi znajdowali się: hr. Bindangoli; hr. della Porta „tega głowa“, jak Chołoniewski w nawiasie notuje; książe Carraciola; hr. Piccolomini; hr. Emaldi; hr. Della Torre; książe Medici; Virgili „tęgi teolog i mój przyjaciel“; Volponi „dobry, bo bardzo łaskaw na mnie“. Po obiedzie, zwłaszcza w zimie, schodzili się wszyscy na rozmowę do pokoju Chołoniewskiego, do którego nie mniej jak uprzejmość gospodarza, ściągali ich obficie palący się ogień na kominku. Gawędka toczyła się wesola; ognia dodawała jej młodość, bo choć i sam Chołoniewski raczej był młodym, niż starym, to jednak w kole kolegów wyglądał jak poważny patriarcha. „Wielu z moich towarzyszków³ mógłbym być ojcem, „bo najstarszy z nich ma 28 lat, a są co mają tylko ośmnaście“. Im dobrze dysputować, wraca znów do tego samego, jak upiór jaki na każdym kroku niepokojącego go, raz po raz na stół wracającego przedmiotu, im dobrze i dysertacje pisać i ze mnie żartować „ale „kiedy w wydrukowanym programie dysertacyj, które tu się co „tydzień odbywają w przytomności kardynałów, w materyjach albo „prawnych albo teologicznych, znalazłem już swoje imię z wyznaczonym już historycznym tematem na miesiąc *Juli* tego roku, tak „znovu fanaberyja niepospolita i zarozumiałość wzdygnęła się na

¹ Do *Grocholskich*. Rzym. 1 grudnia 1828. List polski.

² Do *Cec. Chołoniewskiej*. 29 listop. 1828. List franc.

³ Do *Grocholskich* 16 stycznia 1828. List polski.

„samą myśl tylko wystąpienia z uszami króla Midasa. Oj! dobre „to, dobre przeprawy; dopiero to się zobaczyło, wiele to pokory, „małego o sobie rozumienia, rezygnacyi człowiek przez tak długi „czas uzbierał; dopiero to się przekonało, że póki okoliczności nie „zmuszą do ekspensy, człowiek niedbały nigdy nie wie, ile ma ka- „pitału. Wtedy się z sobą rachuje, kiedy go w kluby wezmą, wtedy „tylko zaczyna cokolwiek pozuawać, jaką ma w kieszeni monetę. „I ja się teraz po wszystkich kieszonkach macam i znajduję miedź, „tam gdzie mi się zdało, że było cokolwiek srebra“.

Z zapalem przedsięwzięta, z natury swej niełatwa nauka, sprzymierzyła się z niepotrzebnemi wzruszeniami, którym rozum napróżno wstępu zakazywał i na współkę, wezwawszy jeszcze na pomoc niezdrowy dla cudzoziemca rzymski klimat, uczyniły w krótkim czasie niejedną silną szczyrbę w zdrowiu Chołoniewskiego. W pierwszych miesiącach żartował sobie wprawdzie z Grocholskiego, że większe ma od niego wygody, bo choć niema pieca, lecz za to ma słońce włoskie¹; lecz wkrótce przyszedł do przekonania, że obok pięknego, zimowego słońca, bardzoby się nieraz przydał, stary przyjaciel, niepiękny, ale wygodny piec podolski. Kominek pieca nie mógł zastąpić, a w dodatku nabawił swego właściciela, nieroztropnie się z nim przyjaźniącego, bardzo silnego zapalenia oczu, które cofnęło się dopiero, przed zwykłą rzymską kuracją, silnem puszczeniem krwi; — kuracją, która z początku bardziej niż sama choroba przeraziła chorego. Puszczanie krwi pomogło na oczy; na coraz silniejsze osłabienie nawet rzymscy doktorzy nie poradzili ulubionych sobie pijawek, ale natomiast zalecili najmocniej wyjechać co prędzej z Rzymu na parę przynajmniej tygodni, aby odetchnąć innym, zdrowszem powietrzem.

Chołoniewski posłuchał i wyjechał na parę tygodni do Albano, ale kiedy na uroczystość Bożego Ciała powrócił do Rzymu, mógł się przekonać, iż do zdrowia nie zawsze da się zastosować głoszona przezeń teoria, wedle której „o cielsko troszczyć się nie trzeba, bo koło skrzypiące, daleko i długo chodzi“²; rad nie rad zgodzić się musiał na użycie radykalniejszej kuracyi w celu usunięcia złego,

¹ Do *Grocholskiego*. Rzym. 25 stycznia 1828.

² 8 listop. 1828.

a zwłaszcza w celu uspokojenia nerwów, rozstrojonych gorącami i zbyt natężoną pracą.

„Morichini doktor mój¹, prezydent Sinibaldi i spowiednik „Rosaven każą mi do Neapolu na miesiąc lub dwa pojechać; podreperowawszy zdrowie wrócę do Tivoli, w okolice Rzymu, aby przez czas wakacyj nadgrodzić to, co się teraz traci na nauce“. Był to najlepszy plan; wprawdzie nie tylko nauki, lecz bardziej jeszcze wycieńczona kasa silnie przeciw niemu protestowała; lecz Chołoniewski miał tyle rozumu, że zważał raczej na „kosztowne“ zdrowie i rady dobre życzących, niż na te nie w porę przychodzące skrupuły i protesta.

„Czternastego czerwca, donosił z Neapolu zaniepokojonym poprzednimi listami Grocholskim², ruszyłem z Kazim Czetwertyńskim z Rzymu, w sobotę, na godzinę przed północą, publiczną, dość wygodną karetą... Jadąc całą noc, bo to jedyny sposób jazdy we Włoszech w gorąca, zastaliśmy nazajutrz mszę w Velletri. Kraj smutny Kampanii rzymskiej, ustąpił ślicznej krainie... Błota pontyńskie w lecie tak się ładnie wydają, jak i Śniwodeckie i Bohowe w Janowie; wszystko jak okiem zajrzysz pięknie, zielono. Z niedzieli na poniedziałek po wypoczęciu kilkogodzinnem w *Molo di Gaeta* noc całą przeleciawszy, bo poczty włoskie wyborne, stanęliśmy w tym to rajy neapolitańskim o 11 z rana, w poniedziałek, 16 czerwca. Kazał nam doktor dla gorąca z Rzymu wyjechać, ale tu nas lepsze jeszcze dogoniło. Za to mamy ulgę ze strony morza i mamy kwaterę wygodną nad golfem. Tu już w głowie się kręci, i ani sposób opisać ileby się chciało, tego wszystkiego, na co się nam tak przyjemnie patrzeć z balkonu od rana do wieczora. Oto: wyspa Capri, cała zatoka morska, Wezuwiusz etc. etc. Dobrze bardzo Kazio mówi, że to miasto tak umyślnie stworzone na to, żeby głupie w niem życie prowadzić. Tyle tu zmysły mają łakotek niewinnych, że myśl wydaje się człowiekowi o tyle tylko potrzebną, aby wiedział o tem, że żyje. Tu dopiero *Dolce far niente* w całej swojej *grandiosità* daje się widzieć, tak jak religia katolicka w Rzymie. ... Zdybałem dawną znajomość dyplomatyczną, JP. Fontona, który z moim *abateckim fra-*

¹ Do *Grocholskich* 14 czerwca 1828.

Neapol 24 czerwca 1828. List polski.

„*k*iem nie mógł się zaraz zorientować, a mnie się zdaje, że tak „całe życie chodziłem. Noce bezsenne mię często trapią i zawroty „głowy; zresztą nie źle się mam i życie prawdziwie *Lazarońskie* „prowadzimy, w którym charakterystyczną pozycją jest leżenie do „góry brzuchem. Kazio jest moim kasyerem, nieodstępny *Achate-* „*sem* i wielką dla mnie pociechą; modlimy się razem i przystępu- „jemy równie często do ołtarza Pańskiego“.

Lazarońskie życie dobre na dni parę; dłużej chociaż z ko- nieczności prowadzone umysłowi czynnemu musi się stać wstrętnem. To też po miesiącu słodkie *Far niente* przemieniło się w gorzkie; Chołoniewski patrzeć już nie chciał ani na Wezuwiusz, ani na neapolitańską zatokę, ani na w dali w promieniach słonecznych i we mgłę ukazujące się, jakby zaczarowane wysepki. „Obrzydl mi py- „szny Neapol¹, bo się w nim moja woła nie dzieje, która była, aby „książką się bawić, ale Boska, która jest, aby cierpieć i cicho sie- „dzieć. Nie ma więc na to innej medycyny, jak cierpliwość“. I rzeczywiście pomogła wypróbowana ta medycyna, bo kiedy mi- nęły tropikalne gorąca, zdrowie wróciło samo ze siebie i dozwoliło zająć się znowu książkami, z którymi tem energiczniej odnowić trzeba było chwilowo przerwana znajomość, że groźne upiory, przed- stawiające się w postaci publicznej dysputy teologicznej i aż trzech odrębnych egzaminów przed wyższemi święceniami: subdykonatem, dykonatem i kapłaństwem, pukały do drzwi dopraszając się wstępu.

„Pozawczoraj, pisał Chołoniewski w połowie stycznia 1829², „wielką batalię odbyłem i łacińską dysertację, — a co najgorzej, „że mi kazano pozapraszać kardynałów. Protektor nasz, święty sta- „ruszek *Pacca*, Camerlengo kardynał *Galetti*, *Zurla Card. Vica-* „*rio di Romo*, kard *de Gregorio*, *Nasalli*, *Benvenuti* kardynałowie „i monsigniorowie zjechali się. Ofiarowałem na trzy msze na inten- „cyę św. Ignacego, aby mi animuszu dodał. Trzeba wiedzieć, że „*Disserens* na środku przed stolikiem siedzi, obok siebie ma całe „grono siedzących kolegów, a naprzeciwko, jak *wiatr marcowy* „*w same oczy*, kardynałowie i inni słuchacze miejsca zajmują. Nie „dość na tem! Trzeba dobrze nałamać języka na pronuncyację

¹ Do *Grocholskich*. 24 lipca 1828.

² Do *Grocholskich*. Rzym 15 stycznia 1829. List polski.

„włoską łaciny, która zupełnie jest różną od naszej; inaczej niktby
„tu i samego Cicerona po polsku wymawiającego nie zrozumiał.
„Po skończonej dysertacyi, którą się czyta, przynoszą prezydentowi
„puszkę, w której na kartkach imiona akademików są zapisane.
„Losem wyciąga imiona dwóch. Ci panowie muszą jeden po dru-
„gim po łacinie jedną mi zadać objekeyę, a ja na nią odpowie-
„dzieć, czy źle, czy dobrze. *O povero me!* Przecież póki się zjeż-
„dżali zaproszeni, póty moja wewnętrzna konfuzya cokolwiek trwała;
„jakem nakoniec zasiadł do stolika, po wymówieniu pierwszych
„dwóch słów, taka mię jakowaś opanowała zuchwałość, że ledwie
„co do głosu, jak i sposobu recytowania nie stałem się zbyt
„śmiały, poufaly. Zwłaszcza usłyszawszy w czasie exordyum milego
„Pacca: *Bene, molto bene!* jak Piotrus¹ głęboko odetchnąłem i da-
„lej już mężnie postępowałem. Jak przyszło odpowiadać na obje-
„cye, to już mi szło jak z masłem. Kontenci byli ci panowie *Pur-*
„*purati* i prezydent; kto był w Rzymie wie, jak te osoby wielkie,
„są grzeczności i pobłażania pełne. Uraczyłem ich także wyjątkiem
„z historyi polskiej i to im się podobało, a mnie bardzo na rękę
„było pokazać im, jak też u nas pisali po łacinie w XVI. wieku,
„przytaczając do materyi mojej potrzebne słowa arcybiskupa gnie-
„źnieńskiego, Jakóba z Uchań. Ostatni peryod exordyum mego
„przyłączam tu dla *Mima*²; może go cokolwiek rozśmieszysz.

„Wychodząc, kardynał Zurla, kiedy ktoś odezwał się z słu-
„chaczów: *Uti verus Sarmata, locutus es*³, wziął mnie za rękę

¹ Ktoś ze znajomych lub służących.

² *Mikołaja Grocholskiego*. *Etsi ante omnia obsecranda est mihi gratia vestra, ut illas, quas multis dignioribus patentes aures praebere non renuistis mihi etiam commodare velitis; tamen quibus justis ex causis hanc veniam a vobis impetrare possim, nescio. Nimiae enim temeritatis videbitur forsitan, quod imperitus ego, homo non Romanus, coram hoc tam illustri clarissimorum virorum consessu, praeclaro Romanorum sermone, ausus sum disserere. Sit tamen mihi pro ratione benignitas vestra. Magis me illa allicit quam terreat magnitudo! Jam ipsa praesentia vestra bono me animo jubet esse! Christo enim, cujus vitae ac doctrinae praestantissimam rationem universo fidelium gregi in vobismetipsis, Eminentissimi Principes, praebetis; Christo clamat Doctor gentium: non est Judaeus neque Graecus.*

³ „Mówiłeś, jak przystało na prawdziwego Sarmatę“.

„i śmiejąc się, powtórzył: *Bene dixisti: Christo non est Judaeus, neque Graecus*¹“.

Kilku przyjaciół, znając stan nerwów Chołoniewskiego, wyjechać mu chciało, aby egzamin przed subdyakonatem odbyć się mógł nie wspólnie z innymi, lecz osobno, z pominięciem urzędowych ceremonij i formalności. „Ofiary tej², pomimo, iż nie dla mnie „pierwszego zrobionoby podobny wyjątek, nie przyjąłem, bo serdecznie nie cierpię jakiegobądź rodzaju przywilejów i staram się „ściśle trzymać wspólnych dla wszystkich reguł“. Egzamin zresztą nie był trudnym, ale choćby był o wiele trudniejszym i przykrzejszym, czemże by to było w porównaniu do wewnętrznej pociechy, którą Bóg mu serce przepelniał, a którą pewnie i temu w szczególności zawdzięczał, że tak szczerze i ochoczo, bez żadnych ulżeń i zastrzeżeń nosić pragnął raz wzięte jarzmo Pańskie. „W samą Wielką sobotę opisywał nowo wyświęcony uroczystości i wrażenia tych na całe życie pamiętnych dni³, kardynał Zurla wyświęcił mię na subdyakona. Do „święceń różnych stanęło nas koło dwustu; do wyższych ośmdziesięciu „sześciu. Kiedy ubrano mię w albę, uczułem taką słodką a spokojną radość, taką wdzięczność dla Pana, że ci tego wyrazić nie „potrafię. Zdawało mi się, że ten łaskawy, Boski nasz Mistrz daje „mi do rąk nie tylko łaskę przyjmowanego teraz Sakramentu, ale, „że nadto wkłada na mnie pierwszą ową szatę niewinności na chrzcie „otrzymanej. . . Prawdziwie w *suknię wesela* Bóg mię ubrał: *indumentum laetitiae*, jak wyraża się rytuał rzymski, którego modlitwy „w uroczystych tych chwilach idą prosto do serca i przepelniają „duszę jakimś niewypowiedzianym majestatem, właściwym tylko „Kościołowi Chrystusowemu“.

Przygotowania do egzaminu przed dyakonatem przerwała, zostawiając również w sercu najmiłsze wspomnienia, uroczysta audyencya udzielona całej Akademii duchownej, przez zasiadającego dopiero od półtora miesiąca na stolicy papieskiej Piusa VIII. „W tym

¹ „Dobrześ powiedział; Chrystus nie rozróżnia między Żydem a Gre-czynem“.

² 7 kwietnia 1829. List franc.

³ Do *Grocholskich* 30 kwietnia. Wtorek Wielkanocny 1829. List franc.

„momencie¹ wracamy z audyencji Ojca św., który całą naszą aka-
„demię z prezydentem na czele, raczył dziś przypuścić do pocało-
„wania nóg swoich. Było nas wszystkich ośmnastu. Przyjął nas sie-
„dzący na krześle w białej sukni, bez mucetu purpurowego. Leon
„XII. choć chorobą zmęczony, niezmiernie coś delikatnego i pań-
„skiego miał w całej postaci; ten Ojciec św. ma coś więcej pa-
„tryarchalnego i ojcowskiego w twarzy. Kolory żywe, oko bystre,
„włosy srebrne, podobny do *Jüngling mit den Silberhaaren*,
„uśmiech pełen życia i wesołości serca. Po prezentacji każdego
„z osobna, kazał nam powstać i miał do nas nauczkę przez dzie-
„sięć minut. Nie możesz sobie wystawić, jak wdzięczny jest taki
„kaznodzieja! Mówił po włosku z wielką słodyczą i tym afektem
„rodzicielskim, który wprost do serca przenika, bo temu monarsze
„pokoju wszystkie dzieci zarówno są mile. Na tę stolicę św. nie
„z lada sercem zasiąść się godzi; trzeba je mieć jak morze. W tym
„momencie koledzy moi notują tę alokucję... Zakończył, oświad-
„czając, że nam z całego serca apostolskie daje błogosławieństwo;
„klękliśmy więc znów wszyscy. Po błogosławieństwie, gdyśmy wy-
„chodzili, powtórnie dał sobie nogi całować. Ja nie mogłem wy-
„trzymać, żebym mu po kilka razy nóg nie całował. Z niewypo-
„wiedzianą dobrocią (jak to nieboszczyk ojciec, kiedy mówił cza-
„sem: *Mon enfant!* ściskając nas), położył mi rękę na głowę:
„*Bravo, bravo! Polacco!*“

„Dziś z rana, donosił znów Chołoniewski w niespełna miesiąc
„później pod datą 13 czerwca², w kościele Laterańskim, kardynał
„Zurla rękę kładł na niegodną głowę moją i wyrzekł: *Accipe Spi-
„ritum Sanctum*³. Dziś mi dał w ręce księgę Ewangelii i powie-
„dział: *Accipe potestatem legendi evangelium in Ecclesia Dei tam
„pro vivis quam pro defunctis*⁴. Dziś dana mi jest moc udzielania
„wiernym Przen. Krwi Pana mojego najukochańszego Jezusa Chry-
„stusa, jeśliby księdza zabrakło, kazania i chrzczenia solennie z po-

¹ Do *M. Grocholskiego* 19 maja 1829. List polski.

² Do *Grocholskich*. 13 czerwca 1829. Wilia św. Trójcy. List polski.

³ Przyjm Ducha świętego.

⁴ Przyjm władzę czytania ewangelii w Kościele Bożym, tak za żywych jak i za umarłych.

„ruczenia wyższej władzy duchownej. Dziś zostałem dyakonem Ko-
„ściola katolickiego. Jaka godność, ale jakie nieodpowiednie jej moje
„życie przeszłe i teraźniejsze. Dziękujcie więc Panu za mnie, *quia*
„*fecit mihi magna qui potens est*¹. Rekolekcyje dziesięciodniowe
„odbyłem w najpiękniejszym miejscu, jakie sobie wystawić może-
„cie, na górze *Coelium* w klasztorze OO. Passyonistów wśród ga-
„jów cyprysowych. Z okna rozwaliny Kolloseum, pałaców Cezarów
„i inne obrazy znikomości świata jednym rzutem oka objąć można
„było. Zdala błyszczą gmachy Rzymu, pomniki świetne, wystawione
„prostym i pokornym rybakom. Co dzień przed oczyma miałem
„przykłady życia pokucie i rozmyślaniu męki Pańskiej poświęco-
„nego. Zakonnicy Passyoniści są jedni z najściślejszych w tym
„kraju... Wszystkich przykładem raczej, niżli wymową uczą mą-
„drości krzyża, która głupstwem jest dla świata. Ale *homo carna-*
„*lis non percipit quae sunt spiritualia*²: tegom się bardziej niż
„kiedy własnem doświadczeniem w tych niewielu dniach nauczył⁴.
Bądź co bądź nie wiem, pisał w innym króciutkim bileciku do
szwagra³, „czy tobie wielka wstęga tyle przyjemności zrobiła, ile
„mnie stula, kiedym ją pierwszy raz jako dyakon wdział na po-
„przek“. „Egzamin *ad presbyteratum*⁴ na pierwszego *Septembra*
„naznaczony; dzień święcenia nie zaraz nastąpi, ale jak miarkuję,
„po willegiaturze: to zależeć będzie od kard. Odescalchi, który
„z wielką uprzejmością życzy sobie, abym z rąk jego przyjął świę-
„cenie. Tymczasem strach na Stacha starego w grzechach, młodego
„w nauce“.

„Piętnastego *Augusta* zaczęły się wakacje; koledzy po wię-
„kszej części rozlecieli się, jak ptaszki z klatki. Żal trochę, bo się
„człowiek przyzwyczaił żyć *in communitate*“. Samemu Choloni-
skiemu zdawało się może na chwilę, że tego roku potrafi w Rzy-
mie mimo skwarów nad książką wysiedzieć, ale roztropniejszy ks.
Rosaven, despotycznie „zdecydował, że pierwiej odpocząć i przewie-

¹ Albowiem uczynił mi wielkie rzeczy, który możny jest. (Łukasz I. 49).

² Człowiek cielesny nie pojmuje tego, co jest Ducha Bożego. (I. List do Korynt. II. 14).

³ Do *M. Grocholskiego* 1829.

⁴ Do tegoż 22 sierpnia 1829.

„trzyć się trzeba“¹, a potem już i nauka raźniej pójdzie i dusza lepiej się będzie mogła łączyć z Bogiem na modlitwie. Milsze Bogu posłuszeństwo niż ofiara, powiedział sobie nasz *Staś Dyakon*, jak teraz w listach się podpisywał, i nie namyślając się już dłużej puścił się 12 września z „pocziwym“ ks. Zajączkowskim, na pobożną peregrynację do Assyżu, Monte Corona, Alwerni i t. d.

„O piątej z rana, czytamy w dzienniczku², ruszyliśmy z Rzymu „wetturinem. Mieliśmy dwóch podróżnych Rzymian; powóz ciasny, „towarzystwo przyjemne, wetturin licznymi obdarzony talentami. „Śpiewał arye z Rossiniego, wiersze i sonety deklamował, erudycją „się popisywał: tragedją Dantego, Jerozolimą, Petrarką; zapewniał, „że matka Romulusa była Agrippa, na co nie chciał przystać je- „den z podróżujących; nie źle przytem jechał. Stanęliśmy na popas „w nędznej lokandzie, samotnie położonej wśród Kampanii rzym- „skiej, jak rozbitego okrętu ułamek wśród morskiej przestrzeni. „Aż do samej Civita Vecchia ciągnie się to morze spustoszenia po „nad prawdziwym morzem“. W każdym miasteczku biskup, jego kapelan, lub przełożony miejscowego klasztoru przyjmował gościnnie podróżnych, raczył ich czekoladą i radami na dalszą drogę. Tak jadąc powoli, ale wygodnie, to wetturinem, to czasami biskupim powozem; gawędząc z jednymi o książkach Lamennais'go, z innymi o rozbójnikach, których tradycya żywo tkwiła w pamięci mieszkańców; z innymi jeszcze o freskach, posągach, obrazach; pasąc oczy widokiem tych fresków i obrazów, pięknych i zachwycających, ale mniej jednak pięknych i zachwycających niż oblany południowem światłem obraz włoskiej natury, zwiedzili polscy turyści jakby w przelocie Viterbo, Montefiascone, Orvietto, Sienne, zabawili kilka dni w Florencyi, gdzie słynny ks. Sebastyan Ciampi, były profesor literatury starożytnej w Warszawie, długo i dużo rozповідаł im o sobie, o Warszawie i historii polskiej; pomodlili się serdecznie w słynnych na cały świat chrześcijański świątyniach, które były właściwym celem ich pielgrzymki, i odświeżeni,

¹ Do *M. Grocholskiego* 10 września 1829.

² W dzienniczku tym zatytułowanym: *Podróż do Sanktuaryów* a bardzo lakonicznie prowadzonym, brakuje kilku ostatnich stronnic, niedopisanych, lub prawdopodobnie zatraconych.

zagrzeni na duchu oglądaniem pamiątek po tylu wielkich i świętych mężach, w drugiej połowie października wrócili do Rzymu. Za kilkanaście dni nastąpić miała dla Chołoniewskiego najważniejsza chwila w życiu: święcenia kapłańskie, cel długich marzeń i gorących pragnień, uwieńczenie wytrwałej pracy naukowej, i niemniej wytrwałej pracy nad sobą samym. Jeśli kiedy, to przed tą stanowczą chwilą, należało się obejrzyć wstecz po za siebie i nakreślić czy raczej wydoskonalic plan działania na przyszłość; to też ledwie Chołoniewski zajechał przed swe pomieszkanie, i złożył w niem podróżną walizkę, bezzwłocznie skierował kroki do dobrze już sobie znanego klasztoru Passyonistów i tu w czasie dziesięciodniowych rekolekcyj korzył się przed Bogiem, a rozpamiętywując życie Jezusa, prosił gorąco: Daj mi się stać kapłanem wedle Serca Twego!

Jakie uczucia przepelniały duszę dobrego wojownika za sprawę Bożą, kiedy w dzień Wszystkich Świętych klęcząc przed ołtarzem pałacowej kaplicy kardynała Odescalchiego, brał z ręki tego dostojnika Kościoła i doświadczonego starszego przyjaciela, insygnia nowej swej godności, kiedy otrzymywał władzę pośredniczenia między Bogiem a ludźmi w Przen. Ofierze, sprawowania sądów nad sumieniami ludzkimi? Zwyczajem swoim skreślił Chołoniewski historję dnia tego i wyjaśniającą ją „mapę swego serca“ w długim liście do siostry zakonnicy, ale list ten przez tyle rąk z kolei przechodził, że wreszcie jedna tylko jego cząstką ocalała wśród długiej tej, a niebezpiecznej podróży, choć i jedna ta przechowana stroniczka dosyć wskazuje jak szczęśliwym był nowo wyświęcony kapłan i jak Bogu dziękował, że mu dozwolił dobiec do zamierzonej mety¹.

„Otóż, co się stało tego dnia z twym bratem *lajdakiem*. „Rzuciłem ci tylko jakby parę kawałków niezgrabnie oderwanych „z tej ślicznej ceremonii, wzniosłej i majestatycznej jak wszystko, „co Kościół ustanowił, a którą możesz sobie lepiej uprzytomnić „z *Rituale Romanum*. Wstyd mi, żem się w taki długi wdał opis; „Tobie jednak te szczegóły nie będą obojętne, a nie mogłem na so- „bie przenieść, aby się z Tobą nie podzielić tem, co na zawsze

¹ List francuski; wyrazy podkreślone po polsku.

„w mem sercu pozostanie wrytem. Po odprawieniu modlitw dzięk-
„czynnych i kiedy już kardynał Odescalchi złożył szaty pontyfikalne
„i przeszedł do swych apartamentów, zaprosił nas wszystkich na
„czokoladę, sorbety i lody, śniadanie któremu tutaj poddać się mu-
„sisz. Panie weszły drugimi drzwiami. Skorom tylko przeszedł przez
„próg, kardynał podszedł ku mnie, powinszował mi najczulej, a po-
„tem rzekł: *Bisogna guadagnar l' indulgenza*¹ i musiałem świę-
„temu temu biskupowi dać ręce do ucałowania. Później wszyscy
„obecni, jeden po drugim ręce mi całowali, na pierwszym miejscu
„kochana, czcigodna Czartoryska. *To wielka konfuzya była. Sie-*
„*dliśmy do śniadania, ale mnie się więcej płakać chciało, niż jeść.*
„Dziwnem też mi się wydało zrządzenie Opatrzności (albo nazwijcie
„to przypadkiem) że wyjąwszy księży i Czartoryskiej, wszyscy inni
„obecni mężczyźni i kobiety byli konwertytami: hr. Marya Woron-
„cow, Mistres Millingen z córką, malarz Veith syn pani Schleglo-
„wej z pierwszego małżeństwa. Panie te były takie poczciwe, że
„na moją intencję, podczas Mszy komunikowały; Woroncowa spła-
„kała się jak dziecko“.

„Nazajutrz odprawiłem pierwszą Mszę św. w podziemiach Ko-
„ściola św. Piotra, na grobie Apostołów. Niepodobna wam odmalo-
„wać nadziemskiego czaru tego miejsca. Ani jeden promyk dzienny
„tu nie przedostaje się; płoną tylko kandelabry i marmurowe lampy,
„odbijając złoto ołtarza i gorejące na nim światło. Dano mi ornat
„ciężki od złota i haftów; kielich, który nie tak łatwo było można
„podnieść. Przełożony Missyonarzów, Roberti, i ks. Zajączkowski
„asystowali mi. Nie wiedziałem, czy na ziemi, czy na innym jakim
„świecie się znajduję, ale pomimo tego przypominam sobie dobrze,
„że ani o Tobie, ani o wielu innych w *Memento za żywych* nie
„zapomniałem. Odtąd codzień Mszę św. odprawiam bądź w Aka-
„demii, bądź w *S. Maria Maggiore*, cacku prawdziwym. Dziś mia-
„łem za Ciebie Mszę w Kościele św. Cecylii, na grobie tej męczennicy.
„Ukochany, poczciwy Scipio towarzyszy mi zawsze w tych wy-
„cieczkach, odprawia Mszę zaraz po mnie, *i nawzajem sobie służymy,*
„*z wymówką, że on za moich we Mszy się modli, a ja za jego kre-*

¹ Należy zyskać odpust.

„wnych. Dziś więc także dla Cesi była jego Msza. W ten sposób „pielgrzymowaliśmy już do pokojów św. Ignacego i św. Stanisława „Kostki, przemienionych w kaplicę“.

„Nie dziwnoż Ci, Kochany Bracie, pisał Chołoniewski w parę „dni później do szwagra¹, że ten Twój Stach, zestarzały w złych „nałogach, księdzem został? Dziś przy łasce Boskiej już trzynastą „Mszę odprawiłem w kościele Lateraneńskim; przy każdej przy- „chodzą mi w usta imiona wasze w Memento. Jaka to dla mnie „pociecha, obok wielkiego postrachu, mieć czem wywiązywać się „wam za tyle dowodów miłości. *Fecit mihi magna, qui potens „est*²...

„Powiadasz, że nie wiesz, kiedy powrócę. Ja sędzę, że byle „wola Boża w tem była, (a dotąd mniemam, że jest), to prędzej „może to nastąpi, niżli myślimy. Czas jest wielki okpiwacz: to bie- „gnie, to lizie stósownie do poruszeń serc naszych; w końcu ukaże „się, że bieży mocno i porywa z sobą drogie chwile zaniedbane, „lub użyte z korzyścią dla wieczności. *Non defrauderis a die bono „et particula boni doni non te praetereat*³, to codziennie chciałbym „mieć przed oczami, oraz pamiętać na ten napis piękny, którym „widział pod szczątkami rzeźb i malowideł starej szkoły włoskiej „w Florenckiej jednej kaplicy⁴: *Omnia praetereunt, praeter amare „Deum*. Tak, Mimie drogi, przyjdzie czas, że się zjedziemy przy „pomocy Boskiej i znowu się rozjedziemy; to w smutku, to w we- „selu, to w ucisku, to w nadziei, przebieżemy tę krótką i niespo- „kojną podróż życia tego, nakoniec i tenże sam czas dla nas na „zawsze się skończy, a miłość Chrystusa nigdy i na żadnym miej- „scu się nie skończy“.

Więc choć się serce rwało do swoich, do kapłańskiej pracy na rodzinnej ziemi, to wiedząc, że czego się w Rzymie nie nauczy, tego na Podolu nie będzie ani czasu, ani sposobności się uczyć,

¹ 17 Listopada 1829. List polski.

² Uczynił mi wielkie rzeczy, który możny jest.

³ Nie utracaj dnia dobrego, a cząstka dobrego daru niechaj cię nie mija. (Ekkł. XIV. 14).

⁴ Wszystko mija, prócz miłowania Boga.

nakazać trzeba było sercu milczenie i dalej dzień po dniu zbierać nowe skarby rozumnej pobożności i pobożnością zaprawnej nauki, a bardziej jeszcze uczyć się, jak tych skarbów z korzyścią używać, w jaki sposób, hojną dłonią między ziomków je później rozdzielać. „Zostawszy księdzem¹, skarżył się, jestem jak ten, któremu skarb wielki danoby w ręce, a on przez głupstwo nie umiał go użyć“. Szlachetna żądza pracowania nad rozszerzeniem chwały Bożej, żądza potęgowana w każdym rozmyślaniu, w każdym zwłaszcza re-kolekcyach, odpowiadała na te skargi: Kiedy nie umiesz to się ucz; to pytaj innych od siebie mędrszych; to módl się i staraj wszelkimi siłami, abyś został odpowiedniem narzędziem w rękę Bożem. Tak, to mój obowiązek, powtarzał sobie Chołoniewski i nim się powodując odrzucał jak pokusę, wszelką myśl o przyspieszeniu wyjazdu z Rzymu, a przygotowując się energicznie do doktoratu z teologii, coraz częściej i doskonalej z Bogiem obcując i zapoznając się z drogami wiodącemi do wyższej chrześcijańskiej doskonałości, korzystał z niewielu pozostałych chwil i pewnej większej swobody, jaką mu teraz zostawiono, aby w poufnej rozmowie z dobranymi przyjaciółmi zaczerpnąć światła, zagrzać serce, zapytać o niejedną praktyczną wskazówkę i radę.

Takim przyjacielem i więcej niż przyjacielem, bo powiernikiem wszystkich uczuć, marzeń i zamiarów na przyszłość, był na pierwszym miejscu, młodszy o kilka lat od Chołoniewskiego, ziomek jego, ksiądz Scipio. Od pierwszych dni przybycia Chołoniewskiego do Rzymu, wspólnie zwiedzać poczęli chrześcijańskie i pogańskie pamiątki wiecznego miasta; obaj poszli razem na Mszę Papieża i obaj się na niej podobno rzewnie splakali; obaj przy świetle księżycy oglądali Kolosseum; a wróciwszy do domu z tego rodzaju nabożnych zarazem i artystycznych wycieczek, długie trawili godziny, to udzielając sobie doznanych wrażeń, to zastanawiając się poważnie, w jaki sposób służyć Bogu i wszystkie czynności do tego jedyne-go celu kierować. W dzienniczku wraca raz po raz utarty frazes: „Długa pogawędka z Scipionem“; nie dziw, że kiedy ks. Scipio ostatniego czerwca 1830 opuszczał Rzym wybierając się w drogę

¹ Do M. Grocholskiego, 18 stycznia 1830.

do Krakowa, nie obeszło się bez głębokiego, łzami zapieczętowanego żalu. Nieco inaczej, choć również dobrze i serdecznie ukształtował się stosunek z ks. Zajączkowskim. Żarliwy ten, czasem, jak w dysputach z Mickiewiczem, aż do pewnej szorstkości żarliwy kapłan, marzył o założeniu w Polsce stowarzyszenia zajmującego się drukowaniem dobrych książek; znajomym sobie kardynałom, zwłaszcza kardynałowi *de Gregorio* przekładał potrzebę, aby Ojciec św. w osobnej encyklice zagroził polskich biskupów do energiczniejszej walki z niekatolickimi prawami o małżeństwie; a kiedy kardynał zażądał memoriału na piśmie, z takim zapałem wziął się do pracy, że bez chwili zwłoki chciał opuścić Rzym i popędzić wspólnie z ks. Chołoniewskim do Polski, dla zasiągnięcia na miejscu dokładniejszych informacji. *Est tempus tucendi, est tempus loquendi* odpowiedział Chołoniewski na te nieco zbyt sangwinistyczne nalegania i ani myślał dla wielce problematycznych korzyści, schodzić z jasno wytkniętej drogi. Swoją jednak drogą głęboko czcił i kochał gorliwego kapłana podobnie, jak czcił i kochał uczącego się wówczas w Seminarjum *Rzymskim* Wiktora Ożarowskiego, jak chętnie obcował z całą liczną, chwilowo lub stale bawiącą w Rzymie kolonią polską: młodymi Sapiehami, Alfredem i Arturem Potockim, Władysławem Sanguszką, Adolfem Grocholskim, Henrykiem Rzewuskim, a zwłaszcza z gościnną, w dziejach literatury naszej dobrze znaną rodziną Ankwiczów, „u której, notował w dzienniczku, wszyscy „przebywający tutaj Polacy regularnie się schodzimy“.

Czy u Ankwiczów, co najprawdopodobniejsza, czy gdzieindziej spotkał się po raz pierwszy Chołoniewski z znanym już sobie dobrze z dzieł i opowiadań Rzewuskiego autorem *Krymskich sonetów*; dość, że niezadługo po przybyciu Mickiewicza do Rzymu, bardzo się doń zbliżył, a niebawem w ścisłym słowa znaczeniu, zaprzyjaźnił. W dzienniczku czytamy od czasu do czasu notatkę: „U Mickiewicza wizyta“, lub znowu: „U Ankwiczów wszyscy Polacy się schodzimy; Mickiewicz“. I w listach do rodziny lakoniczna wzmianka¹: „Mickiewicz poczciwy często mnie odwiedza“. Niemniej niestety lakoniczne wzmianki w korespondencji samego Mickiewicza. „Z Polaków nowo przyby-

¹ Do M. Grocholskiego, 1 stycznia 1831.

„łych, donosi poeta Odyńcowi¹, jest tu hr. Rzewuski dawny mój „znajomy dobry z Petersburga i Krymu, o którym Tobie nieraz „gadałem. Z nim i z ks. Chołoniewskim (teraz bardzośmy się zbliżyli) najwięcej czasu trawię“. W jakim kierunku i nad jaką materią toczyły się długie te pogadanki; co zawierała w sobie późniejsza poufała a częsta korespondencya Mickiewicza z Chołoniewskim, tego nawet w przybliżeniu podać nie jesteśmy w stanie, bo wszystkie przez długi czas starannie przechowywane listy Mickiewicza, w krytycznej chwili przez zbytnią może ostrożność zostały zniszczone, a o listach Chołoniewskiego i ślad zaginął. Z nawiasowo tylko tu ówdzie rzuconych słówek w listach p. Ankwiczej, księżnej Zenezdy Wołkońskiej, Odyńca i innych, przekonujemy się, że dwaj przyjaciele mimo oddalenia i odmiennych losów nie stracili się z oka i co więcej znaczy, że niejedna różnica w zdaniu i sądzie nie wpłynęła nigdy na oziębienie raz zawartych stosunków.

Innym znów przyjacielem, o którym Chołoniewski słusznie z Mickiewiczem powtarzał:

*Szczęśliwa przyjaźń, świętym jest na ziemi,
Kto umiał przyjaźń zawrzeć ze świętymi,*

był Dominikanin z klasztoru *Supra Minervam*, głośny kaznodzieja, O. Jabalot. Piękną postać tego zakonnika odmalował Chołoniewski w pisanych dużo później *Wieczorach i przechadzkach rzymskich*², które stósownie do pierwotnego planu zwać się miały *Wieczorami dominikańskimi* i zawierać w sobie, wedle wzoru danego przez słynne *Wieczory Petersburskie*, przystępne, głównie na nauce św. Tomasza oparte wyjaśnienie, wielu najpraktyczniejszych i najważniejszych filozoficznych i teologicznych zagadnień. Forma dialogu najbardziej zawsze Chołoniewskiemu odpowiadająca i tutaj bardzo dobrze i zręcznie jest użytą; tem większa szkoda, że autor napisał tylko dwa „Wieczory“ i tytuł trzeciego, przerwał raz na zawsze pracę tak pożyteczną a tak świetnie się zapowiadającą. Lecz odłamek ten nie jest bez wartości, bo przenosi nas jakby żywcem do skromnej dominikańskiej celi, na odbywające się tu raz po raz umysłowe uczy; wskazuje na kilka przynajmniej ścieżek, po któ-

¹ Rzym. 19 listopada 1830. Wydanie paryskie 1870. Tom I.

² Pisma zbiorowe t. II. str. 189—284.

rych szły w tym czasie myśli młodego teologa, na kilka punktów, koło których obracały się naukowe jego prace.

W pierwszym „Wieczorze“ rozmowa rozpoczyna się od dominikańskiego habitu, który wśród skwarów letnich ciężyc by powinien i naturalnie przechodzi na określenie i dokładniejsze zastanowienie się nad zakonnem powołaniem. O. Jabalot, pochodzący widocznie z polskich Zabłockich, jak mu ks. Stanisław żartobliwie dowodzi, wyciąga Summę św. Tomasza i na niej swe argumentacje opiera, a przytem zeszedłszy raz na temat sobie ulubiony, nie szczędzi pochwał dla anielskiego doktora. „Niewyczerpana to materya dla „każdego uczonego z rzędu synów św. Dominika. Więc i ja trochę „przez grzeczność, a trochę szczerze zacząłem wtórować tym świętym panegirikom: ale jak to bywa, kiedy komu nie idą rzeczy „wedle myśli, jęła mi się też pokusa niby *more academico* kontrować i rzekłem ledwo nie z przekąsem: Wielki to był święty „i wielki filozof na swój czas“.

Można sobie wystawić, jak się O. Jabalot musiał obruszyć na taką herezyę: „Cóż kochany panie rozumiesz przez to: *na swój czas?* Czy może, że w naszym wieku filozofia św. Tomasza na nie „się nie przyda, że na nasze czasy postępu (*del progresso*) za stara „i scholastyczna; słowem *sapit aliquid tenebrarum medii aevi*¹?

„Ot, brednię powiedziałem, wyznał otwarcie ks. Stanisław, ale „za to się nie gniewajcie, bo to tylko przypomnienie tysięcznych „żartów i skarg, jakich się na scholastyków nasłuchałem, kiedy „przeciwnie w uszach mi jeszcze tętnią pochwały Lockego i Con- „dillaka“.

Szczere to przyznanie się do winy rozpozgodziło oblicza Dominikanów i sprowadziło rozmowę na błędne wychowanie młodzieży, której niby w imię nauki podawane magiczne formuły zaciemniają rozum i zagradzają mu drogę do światła. „Kiedy mu pleban wy- „kładał Pismo Boże, wierzył biedny młodzieniec, że Bóg z niczego „świat stworzył, że Opatrzność Jego do końca wieków nad rodza- „jem ludzkim w miłosierdziu czuwa. Przybywając do Akademii do- „wiaduje się na kursie chemicznym, że materya jest wieczną; w geo-

¹ Trąci cokolwiek cieżnotą wieków średnich.

„logii, że albo nie było potopu powszechnego, albo przeciwnie było „kataklizmów z pół kopy; w historii powszechnej, że człowiek za- „wsze był dobrym, coraz będzie lepszym — a zatem nie potrzebuje „Zbawiciela... W tem zamieszaniu umysłowem wielce dręczącym, „bo duch ludzki szuka pokoju w prawdzie, wymagają po biednym „uczniu, aby porządnie szykował swe myśli rozhukane, jak młode „rumaki... , żądają po nim, ażeby imaginacyę, napływem obrazów „najwyższych rozkołysaną, rozum zarozumiałością nadęty, brał w ciasne „klubu zimnych prawideł kunsztownej logiki, albo zimniejszych „jeszcze formuł matematycznych“. Czyste niepodobieństwo! Zrobiono rozwód z wszelką powagą, z wszelką wiarą, a teraz ni stąd ni zowąd każą się tysiącom rozumów kłaniać kilku śmielszym rozum- kom, które ogłosiły, że wynalazły niezależność rozumu, a w rzeczy sa- mej wymagają dla swych teoryj, bez porównania bardziej ślepego posłu- szeństwa, niż Kościół dla dogmatów wiary. „Na mocy swego monopoli- „lium oświaty narzucają samowolnie młodemu umysłowi swoje apophte- „gmata, aksjomata i dogmata naukowe: niema ratunku dla młodzieży, „musi przyjąć warunki pod którymi umiejętność jest im obiecana, albo „w nieczynności gnuśnieć i być pośmiewiska i wzgardy celem. Każą „jej rozlatywać się na niezliczone kursa i objekta w jednym roku „tłumnie wykładane bez odpoczynku dla ucznia, bez przejścia lo- „gicznego z jednego przedmiotu na drugi, bez poprzedzającego po- „silku przygotowanych wiadomości. Jest to prawdziwe polowanie, „szczwanie za nauką. Kto zręczny i silny myśliciel, ten trafi cza- „sem na zwierzynę jaką; niedołężni i trwożliwi błędzą i giną w le- „sie nieporządných wyobraźni, wśród wrzasku i hałasu ochotników „na lowy; bo w takowym systemacie szkolnym o to najbardziej „idzie, aby umysły na świat wychodziły, pod jednostajną wyrazistą „barwą uniwersyteckiego ducha“ ...

Ależ, nieśmiało pyta ks. Stanisław, czyż wszystko to właśnie, co tak gorliwie zarzucasz nowym systematom wychowania: zmaćce- nie myśli, przygłuszanie ducha, czyż to nie charakterystyczne ce- chy średniowiecznej scholastyczności?

Nie trudna była na to odpowiedź. Wykazawszy czem właści- wie jest okrzyczana scholastyka i że dlatego wszyscy ci, którym idzie o zamacenie prawdy, taką do niej czują odrazę, bo w tem zwierciadle zbyt wyraźnie by na jaw ich sofizmata wystąpiły, prze-

schodzi jeden z obecnych Dominikanów w krótkości całą historię scholastyki, chętnie przyznając, że i ona jak każda rzecz ludzka, miała swe zboczenia, rozkwit i przekwit. Lecz jaki to był bujny i piękny rozkwit, jak wysoko i prosto w niebo wtedy myśl ludzka się wzbijała, o tem przekonać się może każdy, kto sam zagłębić się spróbuje w dzieła chrześcijańskiego geniusza: św. Tomasza z Akwinu.

Ks. Stanisław niedawno był dopiero wstał od dzieł Anielskiego Doktora; nie dziw, że posłyszawszy to imię zapomniał na z dawnych lat tętniące mu w uszach szyderstwa ze średniowiecznej mądrości, a nawet na rolę przybraną chwilowo, widocznie na przekorę Dominikanom. „Bądź co bądź wyznać muszę, zawołał z niehamowanym „już zapalem, że ja pomiędzy utworami rozumu ludzkiego, nic podobnego nie znam jego *Summie*. Wspaniałość zarysu całego systemu teologicznego, ukształcenie organiczne wszystkich jego części i ścisłość naukowa w roztrząsaniu najsubtelniejszych kwestyj metafizycznych, daleka od wszelakiego jałowego mędrkowania, — sumiennność w przywodzeniu najboleśniejszych zarzutów, — jasność w ich wykładzie, — a nadewszystko jakowaś niewysłowiona ciichość ducha unoszącego się wysoko po nad ciężkie chmury błędu, rozpraszającego je samą tylko mocą światła wyższej krainy; to wszystko zupełnie odróżnia od innych metodę św. Tomasza. Dziwna rzecz! owe logiczne, potężne ujęcie wszystkich podrzędnych pomysłów w jedną organiczną całość, owa sumiennność i ścisłość naukowa —, wszystkie zalety, o które terazniejsza niemiecka filozofia tak mozolnie się dobija, wystawione są jakby na wzór w tym samym św. Tomaszu, na którego dzieła filozofia ta, począwszy od czasu reformy, z uśmiechem pogardy patrzyła, — pod piórem jego, szermierstwa analizy, dyalektyki i syntezy, w których rozum filozoficzny największy swój tryumf zasadza, nie wydają owego przykrego szczęku broni umysłowej, którą pycha zaostrzyła. Walki te rozumu z błędem pod dowództwem geniuszu jego, nie ranią, ani upakarzają przeciwników: są one stanowcze, lecz ciche i wspańniałe; — styl jego głęboki, jasny i przeźroczysty, podobny do pogodnego morza, w którym uważne oko może na dnie osiągnąć drogą konchę perłową“ . . .

Jedna mię tylko trapi pokusa, przyznaje ks. Chołoniewski

w dalszym toku rozmowy, dlaczego prace sw. Tomasza w naukach przyrodzonych tak są słabe i błędne? Bo nauki te, odpowiadają Dominiikanie, w jego wieku niemal jeszcze nie istniały, bo później dopiero podłożono pod nie kamień węgielny doświadczenia. Chwając św. Tomasza nie myślimy twierdzić, że wszystko pojął i wszystko wyczerpnął; zgodzimy się i na to, że „styl jego przedziwny „pod względem dobitności, siły i zwięzłości, nie mógł być podobnym do stylu Bemba, Mureta i Maffeiego“ . . . Ale niechże ci, którzy tak z tego się gorszą, „wezmą w rękę którego z najślawniejszych „filozofów szkoły niemieckiej. Tutaj zaraz jesteśmy wprowadzeni do „istnego labiryntu terminów dziwacznie potworzonych; postępujący „czytelnik wśród tych kolczatych parkanów myśli, po coraz krętszych „i ciaśniejszych ścieżkach, niema wytchnienia. A każdy z ich autorów „filozoficznych ma swój odrębny labirynt, właściwą terminologią, która „ogromem i potwornością daleko przewyższa wszystkie podobnego rodzaju koncepta scholastyków najwybijalszych. Ci przynajmniej umieli „się godzić na znaczenie i wartość tychże samych wyrazów: w te- „rażniejszej zaś rzeczypośpolitej filozoficznej, każdy autor jest sa- „moistnym despotycznym twórcą nietylko systematu i myśli w nim „panującej, ale i języka filozoficznego. Dla pojęcia więc dzieła, „trzeba przedewszystkiem prosić autora o jego *lexicon* filozoficzny, „uczyć się jego mowy — i tak z każdym; a dla porównania je- „dnych autorów z drugimi, trzeba się uczyć języków każdego „z osobna, lubo wszyscy tym samym, niby germańskim dyalektem „piszą. *O che torre di Babel!*“.

Przyjaciele nasi długoby jeszcze rozprawiali, gdyby dzwonek klasztorny wzywający na wieczerzę nie przypomniał, że człowiek nie tylko z duszy, ale i z ciała złożony, i że „samą scholastycznością nakarmić go trudno“. Następnego wieczora O. Jabalot zaczął opowiadać wzruszającą historię o młodej Biankinie, świętej prawdziwie dzieweczce a siostrze jednego z kolegów ks. Stanisława w akademii duchownej; lecz zanim dokończył tego wzruszającego, dziwnie pięknie i idealnie skreślonego epizodu, znów nielitościwy dzwonek rozpedził rozmawiających. „Więc do jutra“. „Do jutra“, przyobiecali sobie przyjaciele i prawdopodobnie obietnicy dopełnili. O. Jabalot uzupełnił rozpoczęte opowiadanie, potem wywiązała się znów pewnie filozoficzna dysputa; ale jak się to opowiadanie skończyło,

o czem toczyła się dysputa; do jakiego wspólnego celu jeśli nie w rzeczywistości, to w książce przynajmniej, wszystkie te dysputy miały się kierować: wiele było rzeczywistych „wieczorów“, a wiele być miało spisanych; — o to samego autora i pozostałych po nim papierów, próżno pytać; a własnych teoryj i domysłów podawać się nie oplaci, choćby dla tego, aby nie wpaść w błąd tylekroć przez Chołoniewskiego schłostanych, z własnego „ja“ świat i jego dzieje wytwarzających, filozofów niemieckich.

Bądź co bądź i z tych ulamków mamy już pewne wyobrażenie o stosunku do O. Jabalota i paru z jego zakonnych towarzyszków. W rozmowie z Dominikanami zagłębiał się w najgłębsze tajniki teologii; z Jezuitami: Rosavenem i na krótki czas przybyłym do Rzymu O. Landesem rozprawiał o filozofii; z Veithem i Schlesserelem, wielkim przyjacielem Wenera o literaturze; z Overbeckiem oglądał kościoły i galerie, zachwycił się gotowymi już obrazami, jak poglądami i projektami wiekiego mistrza. W równie bliskich stosunkach pozostawał ze słynnym kaznodzieją a zarazem generałem Teatynów, O. Venturą. Przyjaźń ta dawniej już zawiązana, ścięśniła się zwłaszcza w czasie letnich miesięcy 1831. Chołoniewski namyślał się właśnie, gdzie ma tego roku wakacje przepędzić, kiedy jak burza wpadł do niego młody Medici, pytając czyby wespół z nim, z O. Venturą i z tegoż synowcem, nie zechciał wybrać się do Neapolu. Z największą chęcią, odparł grzecznie Chołoniewski¹, choćby nie dla Neapolu, to dla samej przyjemności jechania w tak dobrej kompanii. Za kilka godzin wszystko było do drogi gotowe i „o pierwszej po północy, notuje Chołoniewski w dzienniczku, ru-
„szyliśmy z Rzymu. Szczęśliwie bardzo stanęliśmy w Velletri z rana;
„po złej kawie, wesoło, wśród officyum, *De Profundis* i dobrych
„rozmów strawiliśmy czas aż do Fondi, gdzieśmy zajechali w po-
„łudnie. Lecz pokazało się, że *lasciapassare* ani Mediciemu ani
„Venturze nie pomogło; trzęśli nas trzy godziny nielitościwie; ja
„nie nie miałem, dla tego *lasciapassare* nie potrzebowałem. To
„nas spóźniło bardzo, w niebezpiecznych miejscach przejeżdżaliśmy
„nocą“ ...

¹ Cała podróż do Neapolu i Sycylii wedle dość obszernego dzienniczka, pisanego po polsku.

„18 sierpnia o 9 z rana zmęczeni gorącem, a co bardziej ciasnotą powozu dla nóg, stanęliśmy w Neapolu. Naprzeciw generała Ventury, wyjechał jego prokurator generalny. Tak byli grzeczni, że mi pozwolili noc jedną w klasztorze przebyć. Ten dzień przespany i zmitrężony“.

„19 sierpnia. Msza św. na grobie św. Kajetana. Wizyta pani Woroncow, która rada mi bardzo, chce, żebym w jej domu stał i codzień na obiedzie bywał... Przez te całe dwa tygodnie życie dość cicho przepędzam. Wizyty u Ventury, który zajęty i karessowany od ministrów. Msza św. codzień w *S. Pascale*: medytacya w domu; obiad u pani Woroncow; kąpiel w *Villa Reale*; spacer wieczór i różaniec... Od M. wziąłem książki...; ciekawe także są gazety, które z ciężkością dostaję. Wahalem się, co mam robić, czy siedzieć tu, czy z Venturą do Sycylii jechać; wszędzie ekspens i strata czasu. Mniejsza mi się jednak zdała strata czasu z Venturą jechać. Miałem na tę intencję Mszę św. i stało na tem, że jade z Venturą“...

„31 sierpnia... Barki zaczęły nas z portu ciągnąć, bo zupełnie cisza. Pięknie miesiąc ukazał się blisko pełni, widok przepiękny rzucając na Neapol, i brzeg cały w nocy niezliczonymi ogniami błyszczący... Wesoło zaczynamy tę podróż. Zaraz wzięliśmy się do dokończenia *officium*. Puszczam się w kraje nieznanome; daj Boże, aby z korzyścią dla duszy! Z wiekiem stygnie ciekawość, a powiększa się żądza pokoju duszy i tego, co go zjednać może. Podróże najprzyjemniejsze; mają wiele nieprzyjemności, z których korzystać umieją ludzie *quibus omnia proficiunt ad bonum*¹...“

„2 września. Po zachodzie słońca płomień wielki bucha z Stromboli, która jak kopiec ogromny na morzu pływający ukazuje się. Dopędza nas okręt, który z nami wypłynął z Neapolu i to się opóźnia, to nas przegania według wiatru. Różaniec i litania śpiewana na nim, dochodzi do nas“.

„3 września. Piątek. Wyspa Stromboli dziwnie się ukazuje. Jest to góra samotna, jak gdyby w morzu zatopiona; wulkan nie z samego szczytu, ale pod wierzchołkiem, jak z pod czapki, nie-

¹ Którzy z wszystkiego pożytek umieją wyciągnąć.

„ustannie miota ogień, lawę i kamienie; tak, że cała ta strona „przykra i spadzista, jest zasypiana lawą i popiołem. Po przeciwnej „stronie dwie wioseczki na zieleniejących i mniej spadzistych fał- „dach góry osadzone... Teraz zbliżyliśmy się bardzo. Dziwny wi- „dok z pod szczytu góry; przykry co kilka minut huk, jakby „grzmotów, lub artyleryi daje się słyszeć; płomień okropny, różowo „czerwony ukazuje się nad samym kraterem, jak wianek...”

„4 września. Aż do południa cisza; po południu wiatr ogro- „mny nie dopuszcza nas do kanału Messyńskiego... Wiatr coraz „się wzmacnia. Przykry widok nie oswojonemu. Biegniemy jak strzała „na osłep; miesiąc wschodzi, okropnie oświeca morze czarne i pie- „niące się. Różaniec ze wszystkimi. Noc bardzo zła, wiatr prze- „ciwny, szum morza okropny, sen oczu się nie trzyma...”

„Niedokładnie tę noc straszną opisałem, bo niespokojność „umysłu była na przeszkodzie... Morze huczało, czarne, srebrną „pianą upstrzone, przy blasku miesięcznym. Wyobrażenia moja, z mo- „rzem nieoswojona, niewypowiedzianie była przerażona; zdało mi „się, że widzę obraz zagniewanego oblicza Pańskiego... Skoro „tylko ze dniem ukazała się sprzyjająca powódź, kapitan postano- „wił wejść w kanał pomimo przeciwnego wiatru; sądził, że powódź „mu pomoże wiatr zwyciężyć i do Messyny dopłynąć. Towarzyszyło „nam kilka innych okrętów kupieckich i jeden brygantyn grecki, „który z wielką śmiałością przerznął drogę i z rozpuszczonymi ża- „glami tak blisko nas przeleciał, żeśmy z bliska *fezy ich krasne*, „wasy obwisłe i miny jeszcze zawieszystsze i jakby nam przedrwi- „wające widzieć mogli. Ventura prosił kapitana, aby jeśli wiatr nie „zmieni się, do Milazzo przybił, on słuchał wszystkich i nie nie „odpowiadał. Mieliśmy także na okręcie Reformata i dwóch kapi- „tanów z rekrutami: jeden artyleryi, drugi infanteryi, ludzi grzeci- „nych bardzo. Kapitan zwłaszcza infanteryi więcej odemnie bać się „zdawał, ale żartobliwy był człowiek, jak to mówi p. Michał Gro- „cholski; prosił nieraz kapitana okrętu, aby nie dogadzał okrętowi „i ujął mu tej bawełny trochę, przez bawełnę rozumiejąc żagle, „które rozpychane gwałtownością wiatru, sił wielkich nabierały. „Okręt nasz, wyjechawszy zupełnie z kanału, do brzegów się zbli- „żywszy, w ciszy płynął, a potem obrócił się i jak strzelec na „zwierzę, tak na wiatr czekał. W tem ujrzelśmy wszystkie nasze

„okręty wracające i ów zuch Grek nie lepszego doznał losu; wyrzucony od wiatru za kanał, pokornie za nami cofał się. Kapitan nasz widząc chmurne bardzo niebo od zachodu, wróżył deszcz, a zatem przemianę wiatru. Ja się i deszczu i ciszy lękałem: deszczu dla burzy nadchodzącej, ciszy dla niemożności dojechania do Messyny... W tem nagle: wiatr! zakrzyczano. Zrywa się okręt, nagle jak strzała poleciał... Z wielką radością, nie bez trwogi jednak, abyśmy znowu po chwili w tył nie odskoczyli, drugi raz między Scyllą i Charybdą przelatywaliśmy. Wyszli nam przeciw nam piloci. Nie pokazali się, kiedy wiatr był przeciwny i odganiał; my też nimi wzgardziliśmy, kiedy nam już był po myślnym i rzuciliśmy kotwicę o pierwszej po południu w porcie Messyńskim. W chwilkę potem burza z grzmotami wypadła, ale my już byli bezpieczni. Pan Bóg miłosierny kazał wiatrom zwiastującym tę burzę zawieść nas do portu pysznego, w którym burze nie szkodzą. Panie Jezu Chryste, jaki mnie wiatr do Twego portu zanieś i wiele jeszcze burz przetrwać mamy? *Salva nos, perimus!*

„Godzinę nas wytrzymali na okręcie, nim znaleźli panów urzędników *Della Sanità*. Musieliśmy barką do domu *Della Sanità* w największy deszcz i wiatr puszczać się... Tam nowa scena śmieszno-nudna, której opisać nie mam teraz czasu. Przełożeni dwóch tutejszych domów Teatyńskich, wyjechali naprzeciw nam, ułatwiali jak mogli; nakoniec po godzinie i stąd nas puścili i szczęśliwie powozami do klasztoru *Dell' Annunziata* przybyliśmy o trzeciej po południu. Wygody wszelkie; doskonale wino, jedzenie i chleb. Znużeni jesteśmy bardzo“.

„6 września. *Poniedziałek*. Ponieważ rzeczy zostały na okręcie, musiałem w Teatyńskim habicie mieć Mszę św. z wielką moją pociechą, po pięciodniowym poście. Zakonnicy ci wszyscy grzeszni, uprzejmi i dobrego wychowania ludzie. Nowicyat tu mają i konwikt dzieci. W chórze z nimi officyum mówimy...

„7 września. *Wtorek*. Jedziemy do stawów pod samą latarnią morską, z wody morskiej uformowanych... Piękna to droga po nad morzem koło ogrodów i pomieszkań rybaków. Lud hoży, czystszy od Neapolitańskiego, śmiało i dziko w oczy patrzy. Zastaliśmy w jednym kościółku nad morzem benedykcyę. Ksiądz

„pod komżą surducinę zachował i sam świece gasił. Pierwszy raz
„w życiu ujrzałem po całej tej drodze wegetację tak silną; pier-
„wszy raz płoty z aloesów i fig indyjskich, których ślady w Ja-
„nowskiej oranżeryi z wielkiem staraniem i szkodą, ledwie mogą
„się dochować. Owych fig góry całe, jak grochem były zasadzone.
„Dawno już, bardzo dawno nie doznałem podobnej ze spaceru
„ziemskiego przyjemności. Zdało mi się być młodym...”

„11 września. Sobota. Po rannej Mszy św. barka porządna
„z trzema majtkami i o jednym żagielku czeka na nas u brzegu.
„Pogoda i cisza morska. Przydany nam niejaki Valentino, syn urzę-
„dnika z Reggio, nowicyusz teatyński, który w Reggio mając rodzi-
„ców, pragnął ich odwiedzić przed podróżą swoją do Rzymu, bo
„ich dużo bierze ze sobą generał. Paszport nam dano do Kalabrii,
„a mnie zrobiono Abbatem teatyńskim. Puściliśmy się wesoło tym
„niebezpiecznym kanałem; na środku kilka szturchańców dobrych
„wzięła nasza barka; jam eicho prosił Boga, aby się wśród samego
„kanału wiatr nie zziemił, o co tu nie nowina... W San Gio-
„vanni tak były bałwany barkę o brzegi, że musieliśmy wysiąść,
„aby nie być zupełnie zmoczonymi. Marynarze barkę holować za-
„częli; myśmy puścili się piechotą uzbrojeni w kije. Droga piękna.
„zrobiona po nad morze, wśród sadów i wiosek przechodząca...
„Luźne, wesołe kupy z jarmarku wracające zdybywaliśmy, śpie-
„wali i wybijali tarantellę na tamburinie. Porządnie ubrani; nie
„tak jednak oryginalnie, jak w okolicach Rzymu. Sześć mil pie-
„chotą szliśmy po wielkim piasku; drugie sześć osiołki za nas zro-
„biły... Nowicyusz nas zaprowadził do swoich rodziców, którzy
„grzecznie nas przyjęli i stancję w oberży znaleźli. Fest N. Panny
„z wielką uroczystością i jarmarkiem. Wieczór powozów ze dwa-
„dzieścia przeleciało kilka razy pryncypalną ulicę, jak na Corso
„rzymskiem. Damy i panowie wyelegantowani. W wielu powozach
„muły różnych kolorów zwyczajem krajowym, a i muły wyelegan-
„towane. Huk jegrów i paziów; illuminacya suta“.

„12 września. Niedziela. Z rana Mszę św. szczęśliwie odpra-
„wiliśmy w małym pobliskim kościółku; potem familia Valentina
„zaczęła nas powozem także po Corso, jak elegantów po gorącą
„wozić, a myśmy byli bardzo brudni i w czapeczkach... Po obie-
„dzie przysłano nam jeszcze prezenta: kosz pomarańcz, doskonały

„pasztet z sycylijskimi konfiturami i dziesięć par przepiórek obla-
nych... Przyszli marynarze...; przyszła para wołów; weszliśmy
w barkę, która skakała brzydko koło brzegu... Mniej nas tej
noey zdarto...“

15 września. „Zrana, o czwartej puszcza się z Giarre na
mulach, do sławnego kasztana rosnącego na ramionach Etny. Pię-
kne i czyste, jak łąca, niebo; jutrzienka pyszna i prawdziwie różowa,
jak ją poeci opisują. Przebywszy piękne siola, położone między
lasami winogradowymi i oliwnymi, stajemy u kasztana pożądanego.
Z daleka wygląda jak chałupa okrągła naszych pobereźników, ga-
łęziami zieleniejącymi się okryta. Jest to prawdziwe *monstrum*
między drzewami.

16 września. „Zjeżdżając z wzgórzów Etny dziwnie piękny
widok. Płaszczyzna tak jak nasza Ukraina, zboża dostarcza całej
Sycylii, a niegdyś i Włochy i Grecyę karmiła... Ogromne niby
rzeki lawy czarnej, zachowały formy dziwaczne płynu spierającego
się i burzącego się; zda się morze uchwycone w chwili, kiedy
wzdyma swe fale. Czarne te i twarde bałwany, okropnie przera-
żają pośród najpiękniejszej na okolo vegetacji: to jak kazanie
o piekle wśród balu... Zdybaliśmy Teatyna, rektora *Collegium*
nobilium Kataneńskiego; wziął nas do karety i zawiózł na kwatere.
Wspaniałe budynki w kwadrat; podwórza w koło; pawiment py-
szny; marmurowe kolumny; mury jak forteczne; sale ogromne.
Mile nas przyjął staruszek i dał pyszny apartament każdemu“.

„Zapomniałem wspomnieć o szczególniejszym zwyczaju sycy-
lijskim witania się nawzajem: *Benedicite*; wszyscy jakiego bądź
urzędu, charakteru, wieku lub stanu, o błogosławieństwo są pro-
szeni, wszyscy drugich o błogosławieństwo proszą. To *Benedicite*
po ulicach tak słyhać, jak w Rzymie: „Sługa“, „Sługa Pański“.

17 września... „Czeka na nas z karetą poczworną pan Cape.
Wszystkie te honory dla Ventury, który tu ma krewnych i przy-
jaciół między panami. W Sycylii zakonnicy jeszcze panują. Uda-
jemy się do Benedyktynów; pałac, nie klasztor... W południe
przybywa generał Ventura. Po południu przysyła nam powóz księżę
Valsavoja; p. Cape, ani D. Luigi, synowiec biskupa, karetą nie
traktują nas, bo zajęci generałem Venturą. Wizytę oddajemy księciu
Valsavoja; zastajemy go na podwórzu, bardzo *en negligé*; zdał

„mi się portyerem swego pałacu, ale bardzo nas kordyalnie przy-
„jął. Nadszedł młody. Z nim plan zrobiliśmy zwiedzenia wierzchoł-
„ków Etny; mamy w niedzielę, na godzinę przed północą wyjechać,
„a wieczór we wtorek wrócić. Starzy księża nam odradzają. Rektor
„powiada: Przeczytajcie opisanie; to dość“!..

18 września... „Wyjeżdżamy na przeciwko biskupa Orlando,
„wracającego z wizyty dyecezyi, który nas do swej karety bierze
„i wjeżdżamy do jego pałacu tryumfalnie. Żali się na jeden klasztor
„panieński; sprawę z nim toczy i przegrywa, jak Kamieniecki.
„Wszędzie jedna bieda“.

19 września... Po obiedzie wybraliśmy się z O. Culterą
„w dalszą podróż na Etnę, na dwóch mułach dobrych, z przewo-
„dnikiem na trzecim mule, opatrzonym też prowizją żołądkową.
„Trochę przed zachodem słońca przybywamy do Nicolosi, ostatniej
„wioski strefy kwitnącej Etny. Kazali się nam opatrzyć dobrze
„w płaszcze, kaftany i t. d. Mieliśmy listy od Valsavoja do p.
„Gemmettaro, uczonego właściciela i mieszkańca tej wioski. Grze-
„cznie nas przyjął: dziwił się, że nam *Muletier* wyperswadował,
„że podróż tę odbędziemy w 24 godzinach. Śmiał się z racyi tego
„i wiele rezonował o Etnie. Oryginał nie mały; misternie o wulka-
„nie tymże gada, jakby młodziak o swojej kochance; tłumaczy jak
„może, eksplozje lawy i rozmaitość jej biegu, nie zgadza się w wielu
„rzeczach z innymi uczonymi, osobliwie z Ferrarą; zwiedził, zmie-
„rzył i wydał plan kanału podziemnego lawy, który przed nim nie
„był przystępnym. Ci panowie pięknie tłumaczą wszystko, co jest
„skutkiem eksplozji wulkanicznej, działania lawy i kształtu grun-
„tów utworzonych mocą tych wyrzutów; lecz skoro dotknąć przy-
„czyny samych wulkanów i sposobu, w jaki wewnętrzne te siły olbrzy-
„mie przygotowują ten płyn misterny, wszyscy się uśmiechają mi-
„sternie, przyznając jednak grzecznie, że dotąd rzecz jest w sekrecie“.

Wiher, mgła i deszcz nie dozwolił naszym turystom dostać
się na szczyt Etny; prawdę mówiąc, Chołoniewski nie zbyt się po-
gniewał na ten niepomyślny zwrót rzeczy, a idąc choć nieco późno
za radą doświadczonego rektora, zadowolnił się oglądnięciem bar-
dzo szczegółowego i dokładnego planu Etny. W Katanii czekał już
na podróżników Ojciec Ventura obiecując sobie, że Chołoniewski
tego jeszcze dnia będzie mógł mu towarzyszyć do Syrakuzy; ale

zmęczony tylu niewygodami i tylu pięknosciami polski turysta, wyprosił sobie aby mu dozwolono wypocząć choć kilkanaście godzin i dopiero w środę 22 września wsiadł z nietajoną obawą do niezbyt wygodnie przedstawiającej się lektyki, przez dwa muły niesionej. „Trzeci muł niesie przewodnika i część pakunku; czwarty muł „wszystkie nasze rzeczy i chłopca małego. Drugi przewodnik pie- „szo idąc długą laską, jak tyczką wiechciową, pogania tylniego „muła. Na mułach, jak na cerkwi ruskiej, muzyka z dzwonek. „Muły i przewodniki spiesznym idą krokiem; ustawicznie wołają „na muły i dzwonki ustawicznie dzwonią. W lektyce ciasno na „nogi i głowy nie ma gdzie zeprzeć. Ruch nie jest tak zły jakem „sobie wyobrażał. Niesłuchanie zle miejsca bezpiecznie przebywa „się. Jechaliśmy stepem Katanii, potem dobry kawałek drogi nad „morzem brodziliśmy, tak że bałwany obijały się o piersi; wszy- „stko to dla mułów, aby w piasku nie tonęły. Przybyliśmy na po- „pas do oberży; polskie nasze karczmy są pałacami w porównaniu. „Podjadłszy trochę na zimno — na gnoju — z prowizyj nam danych, „wpadamy po trzech godzinach kołysania się na ślad starożytnej „drogi. Przy spuszczeniu się z góry pięknie się ukazuje Syrakuzę „na wyspie nieco górzystej z wspaniałymi bramami, mostami i słynną „fortyfikacją z czasów Karola V. Naprzeciw nam wyjeżdżają ka- „retą dwaj OO. Teatyni“.

Dzięki towarzystwu O. Ventury składano Chołoniewskiemu w Syrakuzie prawdziwie książęce honory. Biskup przysłał mu swój powóz do dyspozycyi, i zaprosił na wielki obiad „bez końca“; brat Ventury, poważny kanonik, kazał podziwiać z kolei wszystkie cieka- kowości miasta i co mniej jeszcze było zabawnem, zmuszał do „nudnych wizyt również bez końca“. Co gorsza, nie tylko w Syra- kuzie trzeba się było poddać tym nie upragnionym honorom. Do- brze jeszcze, kiedy jak przed bramami Piazza, tylko deputacya Teaty- nów czekała na przybywających; lub jak w Caltanissetta, Jezuitci podejmowali suto podróżnych w klasztorze, w którym niegdyś Ven- tura jako Jezuita część młodości przepędził; w Palermo nie udało się wyjść tak obronną ręką.

1 Października. Piątek. „Wyjeżdżamy nocą z *Valle lunga* „o drugiej po północy. Trakt murowany; przecież każą nam lek- „tykjery co trzy mile wysiadać przez przywiązanie do mułów...

„Cały ten kraj piękny, bo góry lasami oliwnymi okryte; widoki romantyczne; tu i owdzie ruiny zamków. *Muletier* jeden młody ukazał mi zdala wioski, mówiąc z intrygującą miną: *La sono i par-rini maritati*¹. Są to albańskie kolonie wyznania grecko katolickiego. Spodziewał się wielkiego zadziwienia po mnie, ale na próżno. Szczęściem dla nas trafił się próżny fiakier wracający do Palermo; ugodziliśmy się z nim, a wzięwszy ważniejsze rzeczy, przesiadliśmy się do niego we czterech. Stanęliśmy w ostatnim *borgo* przed Palermo. Tu wszyscy mężkiej płci familii Ventury czekali na nas: ojciec, bracia i stryjowie. Przesiedlamy się do paradnego landa, olbrzyma, jakiegom jeszcze nie widział, bo nas dwanaście osób szeroko w nim siedziało w koło jak w wianku. Liberya galonowana. Tak się rozpoczął nasz tryumfalny wjazd. Na przedmieściu czekała na nas karetą galowa, kardynalska z ośmioma karetami innemi. Do kardynalskiej karety wsiadł generał Ventura z sekretarzem; jam został w drugiej z ojcem jego, staruszką bardzo miłąm. Nie koniec na tem. Kiedyśmy przez *Toledo* tutejsze przejeżdżali, liczne kupy Palermitanów witaly i czapkowały Venturze; cieszy ich to, że Teatyni, którzy w Sycylii pierwszą rolę i słusznie grają, Sycylijezyka wreszcie po trzystu latach za generała dostali. Przy kościele stanęła karawana; wsiadł pierwszy Ventura; taki się tłum zrobił, że nam ciężko za nim było wejść. Lud się usunął do Wielkiego Ołtarza, gdzie mu *Sanctissimum* wystawiono i *Te Deum* śpiewano. Ojciec Ventury z wielką radością odpowiadał i wskazywał *Il Generale* wszystkim dopytującym się go z pospólstwa; wszyscy wiedzieli, że był *Je-zuitą*, bo tak głośno jeden drugiemu jego biografję opowiadał. Po błogosławieństwie przeszliśmy do zakrystyi, w której czekały na Venturę: siostry, siostrzenice i matka Cultrery. Wielkie ewisceracyjne radości kobiecej. Familia ta bardzo poważana i uchodzi za jedną z owych, co słyną z staroświeckiej pobożności i poczciwości. Tylko cośmy weszli do naszych kwater i mnie dano elegancką celkę, jakiej jeschcem nigdy nie widział dotąd, z najwykwintniejszemi wygodami, zaraz musieliśmy się udać do klasztoru Dominikanek, gdzie u kraty czekały dwie zakonnice, siostry Ventury.

¹ Tam są księża żonaci.

„Potem pojechaliśmy do rodziny Cultrery, gdzie zastaliśmy całą familię: siostry, siostrzenicę, wnuki, zakonnicę Dominikanę w habicie dla polepszenia zdrowia poza klasztorem siedzącą jakiś czas: to rzecz zwyczajna w Sycylii“.

2 października. „Wizyta barona Ventury starego, konsula papieskiego, w mundurze generalskim, z krzyżem jakimś złotym i gwiazdą papierową czy szychową, jak to aktry mają, kiedy królów grają. Grzeczny i mowny. Baron ojciec i syn oprowadzają mnie po mieście... Polak tu u pospólstwa uważany jako rodzaj czarnoksiężnika; w tym względzie zabawny miałem epizod na górze Etnie...“

11 października. „Słabo mi się robi od ciągłego zwiedzania. Tymi ciągle pięknymi i jeszcze piękniejszymi widokami już dosyć nasyceni jesteśmy...“

17 października.... „Nie nowego. Tęskno mi za Rzymem i za krajem“.

Dziennik odtąd codzien lakoniczniejszy; Chołoniewskiemu już nie tylko patrzeć na sycylijskie widoki i pałace, ale i pisać o nich się nie chciało. Wprawdzie nie samymi tylko widokami w tym czasie się karmił. Cały szereg niepokaźnych, ale bitem piśmem w Neapolu i Palermo zapisanych kajecek, a zawierających obszerne wyciągi z Ojców Kościoła i słynniejszych kaznodziejów włoskich, najlepszym jest świadectwem, że teolog nasz nawet w rozkosznej królestwie obojga Sycylii, nie należał do zwolenników słodkiego *Far niente*, nie tracił ani na chwilę z oka głównego swego celu, a rozrywki przeplatając poważnymi studyami, nigdy nudom nie dozwolił na serwo u siebie zagościć; lecz zawsze poważna praca stała i stać tu mogła tylko na drugiem miejscu, a Chołoniewskiemu pilno było, aby co prędzej wrócić jej przynależne, pierwsze stanowisko. Z prawdziwym więc zadowoleniem, siadł 23 października na okręt, mający go odwieść do Neapolu.. Podróźni dobrej byli myśli; ubrali małpeczkę kapitana w sukienkę z czerwonym kapturkiem i bawili się jej skokami, jak najlepszym teatralnem przedstawieniem. Ale po kilkunastu godzinach zmienił się wiatr, a z wiatrem zmieniło się dotychczasowe wesołe usposobienie.

„Zaczyna się taniec przykry okrętu. Ścisk, zamieszanie; biedny synowiec Ventury cierpi, w konwulsjach się miota; dzieci,

„klerycy, kobiety chronią się do naszych komórek. Bóg mnie jed-
„nak wzmacnia, iż sam jeden tylko mogę codzień całe officyum
„zmówić. Nie jest to jednak bardzo wielka burza, ale tylko *mare*
„*grosso*, jak oni nazywają i wiatr *fresco* i przeciwny. Nic, albo
„bardzo mało się posuwamy... W nocy gorzej jeszcze. Okręt kła-
„dzie się na wszystkie strony, skacze, skrzypi i jak kołyska na po-
„wietrzu zawieszona, hojda się. Ustać i chodzić ciężko. Jedyna po-
„ciecha leżyc spokojnie i cieszyć się nadzieją w miłosierdziu Pań-
„skim. Zmieszany, ale nie słaby łączę od jednego do drugiego i jak
„mogę cieszę; żal mi osobliwie synowca Ventury, który jak kona-
„jący jęczy... Kapitan wesoły, zdatny i rzeźwy człowiek, z wielką
„pracą mozoląc się całą noc, wypycha się nakoniec, pomimo przeci-
„wnego wiatru, do golfu... Jeden z majtków dla rozweselenia udaje
„głos dziecka nowonarodzonego, koguta, przepiórki; arkę Noego
„chce nam wystawić. Z niecierpliwością pośród stękań słabych,
„wyglądam jutrzni i zarzuciwszy na siebie płaszcz, wybiegam na
„pomost... Przed wschodem słońca, jakby różowym, srebrem tka-
„nym welonem, okrywają się wyspy, góry i cały amfiteatr Neapolu.
„Na Wezuwiuszu kolumna dymu gęsta, czarna, prostopadła, leniwie
„z paszczy do góry się wzbija, długi warkocz po ciemnym błękiecie
„pogodnego nieba, jak chorągiew żałoby na mil kilka roztaczając.
„Wielkie uczucie budzi widok ładu po nudnej żegludze; cóż to być
„musi, kiedy żegluga miesiące trwa? Zgadł kapitan przed południem:
„Wiatr! wiatr! zakrzyczano; lecimy jak najpomyślniej; zrywa się
„okręt i dąsa. Dobrze to opisał Mickiewicz; znać, że co widział,
„nie co czytał, szczęśliwie oddał wierszem. Wesołość powszechna.
„Jedni się krzątają i przebierają w eleganckie suknie; drudzy pa-
„kunki swe gotują; wszyscy do stołu, do obiadu się garną. Ja po-
„dziękowałem za wszystko i stanąwszy na przodzie, używałem wi-
„doku i pociechy widoku przybycia do portu. Barki, jak
„mrówki nas otoczyły; ci, co leżeli w półumarli, zerwali się jak gdyby
„nie cierpieli nigdy. Protekcya Teatynów prędko nas wybawiła z rąk
„doganierów. Miło mi było widzieć, jak te kleryczki w najnowsze
„sukienki swoje przybrawszy się, poważnie na barce przeprawiali
„się. Między nimi są i dziesięcioletnie dzieci. Wszystkie te miłe
„i ładne chłopięta, pośród najgorszego morza wesoło na pomoście
„siedzieli i o burzach rozmawiali i o wiatrach duby prawili. Choć

„niektórzy nieco słabiali, żaden nie był smutny; tylko poleżawszy „trochę, do cukierków i sucharów się brali i znowu na pomost „wracali.

„Biegnę do Woroncowowej, którą zdrową z dzieckiem zastaję. „Bardzo łaskawie mię przyjmuje; pakę listów oddaje, między in- „nymi dwa od Juluni Rzewuskiej. W obydwóch: z Wiednia i z Flo- „rencyi prosi, abym jej przygotował kwatery w Rzymie; żał mi, „żem nie mógł jej usłużyć. Inne listy od sióstr; trwożliwe o moje „życie z powodu przerwanej korespondencyi...

1 listopada. „Po południu u zakonnic poświęcających się ado- „racyi N. Sakramentu. Znajomość zabrana z przełożoną *Maria Giu- „seppe*, która fundatorką jest razem. Niezmiernie czuła i wesola „i interesująca. Proponuję Venturze zabrać na koszt mój kilku Tea- „tynów do Rzymu...

5 listopada. *Czwartek*. „Wielką miałem pociechę dnia dzisiej- „szego. Pani Nodet wczoraj napisała do przełożonej *Adoratrice*, „prosząc, abym mógł dostać miejsce w Kościele podczas obrzęd- „profesyi trzech nowicyuszek. Jakoż, skoro tylko do Kościoła przy- „byłem, łaskawie mię przyjęto i naprzeciw kraty, przy której cere- „monia miała się odbyć, dano mi krzesło ponssem wybite. Przele- „kłem się tego honoru, który mię żenował... Po komunii zakonnic „odsunięto zasłonę przed kratą i najwdzięczniejszy ukazał się nam „widok. Chór za kratą obszerny; w końcu kaplica, do której sze- „rokie, całą szerokość chóru zajmujące schody prowadzą tak, że „kaplica ukazuje się jak Kościółek na wywyższeniu znacznem... „Światło z kaplicy tylko do chóru wpada i słabymi promieniami „go oświeca. Po obydwóch stronach na schodach stały profeski, „nowicyuszki i probantki...; naprzeciw Panny Starszej siedziała na „krześle królowa z paniami dworskimi za nią stojącymi... Łatwo „sobie wystawić piękność widoku, który się nam przedstawił. Białe „probantki najwyżej przed ołtarzem stały; za niemi nowicyuszki „szkarłatne; coraz niżej kolory się zciemniały, bo profeski czarne „welony miały zapuszczone. Wszystkie trzymały świece; szkarłaty „oświecone blaskiem świec gęstych, różami umalowanych, dziwnie „pięknie błyszcząły. Trzy nowicyuszki przyjęły Najświętszy Sakra- „ment; potem przybył biskup otoczony klerem do Kościoła. Allo- „kacya jego była prosta i stósowna: *Quaesivi, quem diligit anima*

„*mea; tenuium et non dimittam*... Zakończył polecając modlitwom, zdrowie monarchy. Królowa siedziała smutna i napuszona. Potem „zwykle poświęcenie i oddanie welonu; profesya solenna... Nowe „profeski wstępując po schodach, pokłoniwszy się królowej, pięknie bardzo wszystkie siostry powitały... Panna Starsza tutejsza „dziwne na mnie wrażenie zrobiła. Nie widziałem jeszcze zakonnicy „tak miłej, ducha tak przenikliwego i wesołego przy największej „prostocie w obcowaniu. Ona jest fundatorką regół tego zgromadzenia i inne domy ma w Hiszpanii zakładać. Prosiłem abym „mógł z nią korespondować. Na Woronicową zrobiła niewypowiedziane wielkie wrażenie“.

Prośba o pozwolenie korespondencyi nie była tylko czczą grzecznością. W papierach ks. Chołoniewskiego przechowało się kilkanaście listów Matki Józefy od Najświętszych Serc Jezusa i Maryi¹, listów tchnących uieudaną życzliwością, gorącem, a rozumnem nabożeństwem. „List twój, pisała w jednym z nich, o zupełnem poświęceniu się Bogu, bardzo mię uradował. Wielkie Cię pole czeka; „teraz czas przygotowania; korzystaj-że z niego najlepiej. Zajmuj się pewnie słuchaniem spowiedzi; z początku musi Cię to „trochę turbować“. „Nakoniec więc, czytamy w liście pod datą „3 grudnia 1831 r., będziesz mógł, jakieśmy ze sobą projektowali „zacząć energicznie pracować nad rozszerzeniem chwały Bożej. Co „do smutnego losu Polski serce nas boli, choć się tego można „było spodziewać; modlitwami tylko możemy ją wspomagać“. I znowu w innym liście: „Za twą ojczyznę modlić się będę, w piątce szczególnie modlitwą się łączmy“. Chołoniewski odwdzieczył się zakonnicom wyjednując u Papieża za pośrednictwem kardynała Odescalchiego, zatwierdzenie pewnych zmian w regule, które Matce Józefie bardzo leżały na sercu. Raz tylko jakiś ksiądz, polecony przez Chołoniewskiego, mocno go skompromitował, pytając u fórty klasztornej: Czy tutaj mieszka zakonnica prorokująca? „Zdziwiłam się i zawstydziłam mocno tem zapytaniem, żali się niemile dotknięta „przełożona; proszę Cię wybij mu z głowy te myśli, których nie „wiem skąd mógł nabrać“. Lekka ta chmurka, przeleciała szybko

¹ Listy te pisane po włosku. Pierwszy nosi datę 5 listopada 1830 r.; ostatni 2 października 1832.

nie pozostawiając za sobą śladu; w następnych listach nie ma już mowy o niedyskretnym księdzu, ale natomiast Matka Józefa rozwodzi się szeroko nad szczęściem wspólnej znajomej Pelagii Dziekońskiej, która w tym czasie wstąpiła do nowicyatu w jednym z rzymskich klasztorów.

Całą smutną zimę z 1831 na 1832 spędził Chołoniewski monotonnie przy książkach, gotując się do egzaminu doktorskiego; i najmilsze to jeszcze były te chwile spędzone przy książce, w samotnym, cichym pokoiku, bo skoro kiedy spotkał się zwłaszcza z jakim znajomym rodakiem i o wiadomości z kraju zapytał, z bardziej pochyloną głową wracał do domu i poczciwemu dziennicznkowi z nową jakąś bolesną wieścią musiał się zwierzać. „Dzień ósmego lipca¹, był naznaczony na odbycie egzaminu. W wilję egzaminu „w szkole w wielką trwogę wpadłem, z której się śmiał potem Fornari. Noc niespokojna. W sam dzień egzaminu po Mszy św. wielki „ucisk na sercu, jak Lunia nasza kochana mawiała, zwłaszcza, że „wczoraj mówiono coś o odłożeniu egzaminu, i czekano na Oriolego „dwie godziny. Fornari przyszedł mię cieszyć, a potem i sam Monseigneur, wyraźnie jakby na śmierć *konfortowali*, co mi się potem „tem śmieszniej wydało, że jeden z moich egzaminatorów, sławny „*Confortator*, dziewięćdziesięciu już przeszło na rusztowanie towarzyszył. Po pierwszych wewnętrznych uciskach nie źle poszedł egzamin ustny. ... Kazali mi wyjść i ballotowali; przywołano mię, „okazano wszystkie galki białe; kazano losem wybrać dwie tezy, „nagotować się na nie do argumentowania *in forma* w Poniedziałek — na tem się zakończyła pierwsza przeprawa“...

„*Dwunastego lipca* przyszedł dzień feralny na mnie; przecież „mniej byłem zmieszany, jak ósmego... Ciż sami egzaminatorowie. „Wesoło mię przyjęli, długo pierwej szwargotali; ja ich temi słowy „przywitałem: *En reus capitale damnationem subiturus*². Z ciężkością zacząłem *in forma* dysputować, przecież szło; baka jednego „w dystynkcyi uciąłem, ale to był bak nie rozumowania, ale terminologii; poprawiwszy się sam, dalej poszedłem i jakoś ta pierwsza argumentacya, chociaż szła jak wóz niesmarowany po gru-

¹ Dzienniczek w tym roku prowadzony wyłącznie po polsku.

² Macie winowajcę czekającego na wyrok śmierci.

„dzie, przecież doszła do końca. Zaczął Fornari o Templaryuszach
„z historyi; już mi lżej cokolwiek było i nie brakło argumentów;
„bardziej tylko nad tem męczyłem się, aby nie być rozwlekłym,
„i jak najmniej błędów językowych popełniać. Kiedy na czwartą
„objekcyę odpowiadając w największym byłem ferworze, przerwali
„mi i powiedzieli, że dosyć. Kazali wyjść; wkrótce potem zawołali
„i grzecznie bardzo oświadczyli, że *cunctis suffragiis*¹ jestem do-
„ktorem *ad honorem*. Nie mogłem wytrzymać i powiedziałem im,
„że mojem przekonaniem nie należało mi się, bom czuł, że gotując
„się pierwej i często prywatnie lepiej argumentowałem, jak na
„samym egzaminie. Jeden z nich, Bigni odezwał się: „Więc nas
„masz za niesprawiedliwych, albo za ignorantów“. Odpowiedziałem:
„Ani jedno, ani drugie, ale macie wzgląd na jaką taką dobrą wolę
„cudzoziemca“. Fornari śmiejąc się: „Więc jeśli chcesz, to znowu
„będziemy ballotowali“. „Przepraszam, rzekłem, co się stało to się
„stało, a mnie dobrze z łaski waszej korzystać“... Ceremonia
„22 Julii w Sapienza odbędzie się, i dyplom mi wydadzą za opła-
„ceniem taksy, 30 skudów“...

„21 lipca, znowu się kwestye odnowiły co do formalności
„względem naszych doktorskich godności. Posłano po kanonika
„Gili, który ostatni się doktoryzował. Zapewnił, że złożył takse u Do-
„minikanów i na tem przestał; tak i mnie kazano zrobić... Prze-
„widywałem trudności; udałem się więc do mojego kochanego Ja
„balota. Mocno brał stronę sekretarza kolegium teologicznego,
„O. Modeny, ale z taktem. Natychmiast sam mię wprowadził do
„niego. Tak ten lichy interes poważnie brany dał mi poznać, że
„tu idzie o przywileje i dekrety korporacyjne; więcej jeszcze mia-
„łem się na ostrożności. Jakoż zgadłem. *Padre Modena* grzecznie
„nas przyjął, ale szeroko rozwódził żale na Prezydenta Akademii,
„względem nie zachowania prawideł kolegium teologicznego i uzur-
„pacyi niektórych jego przywilejów, między innymi: wyznaczania
„egzaminatorów... Że *akademia kościelna jest rispetabilissima*,
„ale nie jest pośledniejszą *Sapienza*, że pieniądze O. Latini (Do-
„minikaninowi) trzeba odnieść i jemu wizytę oddać. Ja skromnie
„na tę dyssertacyę odpowiedziałem, składając najprzód na stoliku

¹ Wszystkimi głosami.

„30 skudów taksy, a potem oświadczając z respektem: „Przeko-
„nany jestem, że wszyscy ci panowie rację mają, lecz mnie jako
„podwładnemu, nie wypada rozstrzygać, ale tylko prosić o przyję-
„cie do *depozytu*. Ks. Jabalot, czując, że dłuższa dyskusya śmie-
„szną by się stała, zaproponował przesłać te pieniądze Ojcu Latini
„a mnie poradził abym mu wizytę oddał, pewnym będąc, że go
„nie zastanę: i tak wszystkie trudności ustały. Pokazało się później
„że Dominikanie mieli rację; dobrze więc, że sprawy akademii
„nie podjął się być adwokatem“.

„22 lipca w Czwartek, odbył się akt solenny w uniwersytecie
„rzymskim *Sapienza*, zaproszeni byliśmy na 8³/₄ z rana... Pełna
„wielka sala i kandydatów i spektatorów. Po kwadransie ukazały
„się kolegia: teologiczny, prawniczy, medyczny, filozoficzny, filolo-
„giczny, każdy w stosownych kolorach i togach; świeccy księża
„i zakonnicy rozmaitych zakonów. Przybył po nich i kardynał Ka-
„merling Galetti. Sala przybrana w adamaszki. Kardynał zasiadł
„na podwyższeniu, kolegia na ławach kobiercami okrytych, w dwóch
„rzędach ustawionych. Bardziej ku środkowi siedzenia dla kandy-
„datów; na samym środku stolik z księgami, z biretem i pierście-
„niem. Wszyscy miejsca zasiedli; nam kazano zbliżyć się do tronu
„kardynalskiego, przeczytano *professionem fidei* i każdy z osobna
„złożył stosowną przysięgę na Ewangelię. Potem kardynał odczytał
„krótką przemowę po łacinie. Jeden z kolegium prawniczego, ad-
„wokat konsystorza papieskiego, stanął pośród kandydatów prawa
„i po krótkiej alokucyi zwyczajnym obrządkiem dotknął biretem
„głowy każdego, pierścieniem palca, dał władzę przemawiania z ka-
„tedry przez roztwarcie księgi i uściskanie. Toż z nami zrobił p.
„del Signore, delegowany od kolegium teologicznego; z medykami
„profesor medycyny i t. d. Każdy z nich do swoich kandydatów
„odpowiednią miał mówkę... I to się dość żwawo i prędko od-
„było. Najwięcej ubawiła wszystkich alokucya profesora medycyny.
„Między innymi rzekł do swoich nowo-uwieńczonych doktorów: *Do-*
„*ctores estis, sed adhuc docendi; nolite igitur respicere ad pauxil-*
„*lum quae scitis, sed potius ad infinita quae ignoratis*¹ i to z twa-

¹ Jesteście doktorami, ale jeszcze uczyć się wam należy; nie uważajcie więc na tę kropkę wiedzy, ale raczej na to nieskończone morze, o którym nie macie wyobrażenia.

„rzę ponurą i surową. Potem imieniem wszystkich nowych dokto-
rów *Pasquazi* z prawa podziękował i zakończył upominając
pobożnie, jak umiał najlepiej (boć laik), abyśmy niezapominali, że
laurea w niebie przyjemniejsza nam będzie, jak ta w *Sapienza*
pozyskana; na co się bardzo chętnie zgodził każdy, zwłaszcza, że
wielkie gorąco wzmogło się i coraz nieznośniejsze nam było przez
godzinę całą czytanie listy wszystkich nagrodzonych i rozdawa-
nie medalów. Z sali przeszli wszyscy do kościółka akademickiego,
gdzie mszę śpiewano i *Te Deum*. Wszystko to trwało dobre trzy
godziny“.

Towarzysze Chołoniewskiego z Akademii duchownej, pozyska-
wszy doktorski wawrzyn, mieli otwartą drogę do najwyższych ko-
ścielnych godności; jeden z nich, Della Porta, otrzymał nawet jeszcze
przed doktorskim dyplomem, nominację na papieskiego szambelana
i jako taki towarzyszył nieraz Papieżowi w przechadzkach, z któ-
rych później budujące a ciekawe anegdoty kolegom opowiadał. Cho-
łoniewskiemu, jak opowiada rodzinna tradycya, miano również otwo-
rzyć bardzo świetną perspektywę na przyszłość, zachęcając go usilnie,
aby pozostał w Rzymie; jako zadatek przyszłych godności i zaszczy-
tów otrzymał już teraz krzyż maltański i został szambelanem pa-
pieskim. Światne imię, znajomość świata, bliskie stosunki z wyższemi
sferami zarówno w Rosyi, jak w Polsce; dawniejsza dyplomatyczna
służba w Petersburgu, nie mówiąc już o ważniejszych przymiotach
serca i umysłu, uzdolniały go bezwątpienia do zajęcia wybitnego
stanowiska w hierarchii kościelnej. Ale ja, pisał do rodziny, nie na
profesora, ani na jakiegoś dostojnika, ale na prostego księdza się
kieruję; pragnę pracować u swoich i dla swoich, między tymi, mię-
dzy którymi Pan Bóg mię postawił. W tej myśli przyjechałem do
Rzymu; a pobyt w Rzymie jeszcze mię bardziej utrwalił w powzię-
tym zamiarze. A więc teraz, za łaską Bożą zebrawszy w Rzymie
ile się dało, zasobów duchownych i naukowych, podążę do was
czempredzej obrabiać ziemię od Boga mi wyznaczoną; na Podolu
użyczony mi talent może przynieść jakieś owoce; w Rzymie jeśli-
bym go nie zmarnował, to w każdym razie niepotrzebniebym tylko
zawadzał godniejszym i rozumniejszym.

Nie wszyscy podobno godzili się na te zapatrywania i wuioski;
ale Chołoniewski, choć całą duszą przywiązał się do Rzymu, rzym-

skich przyjaciół, kościołów i pamiątek, był w tym względzie niewzruszony. Dzień wyjazdu naznaczony był 30 września, różne przeszkody przewlekły ten termin aż do 13 października. Smutne było pożegnanie; Chołoniewski ściskając ostatni raz kardynała Odescalchiego i O. Landesa rzewnie się rozplakał. „Trudne, zapisuje w dzienniczku, było rozstanie się z tylu dobrodziejami, z grobami św. Apostołów Piotra i Pawła po tylu odebranych tu dobrodziejstwach“. Wreszcie usadowiono się w powozie; obok Chołoniewskiego usiadł ksiądz Ożarówski, naprzeciw zajęło miejsce dwóch księży rzymskich, jadących do Bolonii czy Mediolanu. Ksiądz Ożarówski, podobnie jak Chołoniewski, wracał do Polski. Ciężko było obu przyjaciółom na sercu, kiedy po raz ostatni spojrzeli na kopułę św. Piotra, znikającą poza wzgórzami; żal ten osładzała wspólna modlitwa, wspólne pobożne czytania, wspólnie układane projekta i plany, jak znajomość, cześć i miłość Bożą w ojczyźnie głosić i rozszerzać. Z przeszkód, które w zamiarach tych mogły ich spotkać, nie bardzo sobie zdawali sprawę, a choć wiedzieli, że bez przeszkód i trudności się nie obejdzie, to myśl o tych trudnościach raczej rozpalala, niż oziębiała szlachetny ich zapal. Ktoś trzeci, obojętny, słuchając tych rozmów i zamiarów, możeby się był z politowaniem uśmiechnął; skutek okazał, że choć obaj żarliwi kapłani nie dopięli zapewne wszystkiego, co sobie wymarzyli i zamierzili, to przecież wspólna ich usilna praca przyniosła błogosławione owoce, bez porównania obfitsze, niż tego się było można po ludzku spodziewać, a ślady pracy tej po dziś dzień jeszcze podobno nie zupełnie zaginęły.

VIII.

Apostolskie prace.

Dobre w serce Chołoniewskiego rzucone nasienie wzniosłych, miłością Bożą i bliźnich przejętych zamiarów; twarda, ciągła praca podjęta nad udoskonaleniem własnego serca i rozumu, aby rozum i serce harmonijnie przyczyniać się mogły do spełnienia tych zamiarów, wydały już w Rzymie piękne i bujne kwiaty; właściwe owoce zaś wydać miały dopiero w ojczyźnie. Chołoniewski nie szukał w wiecznem mieście ani nowych wrażeń, ani tem mniej karyery, lecz tylko najzdrowszego i najlepszego pokarmu dla ducha i umysłu; zaspokoivszy teraz wedle możności to swoje pragnienie, wracał czempredzej do rodzinnego kraju, aby dlań pracować, dzieląc się z współziomkami nabytymi skarbami. Jak pracę tę praktycznie rozpocząć, w jakim kierunku z szczególnym naciskiem ją prowadzić, do czego mam się wzięść najprzód? — takie pytania zadawał Chołoniewski sobie i towarzyszewi swemu ks. Ożarowskiemu, wracając do Polski; ale że na sposobności do pracy z pewnością mu nie zbędzie, że jako obywatel, jako uczony, a przedewszystkiem i na pierwszym miejscu jako kapłan, będzie miał przed sobą na Podolu obszerne, aż za obszerne pole do działania, o tem ani na chwilę nie wątpił i w tem się nie mylił.

Jednostajnie tocząca się, smutna droga przez Kampanję rzymską doskonale nadawała się do poważnych rozmyślań i rozmów nad przeszłością i przyszłością. „Kampanja rzymska, notował Chołoniewski w nieodstępnym dzienniczku¹, zaraz w pierwszym dniu po wyjeździe z Rzymu, bardzo pomaga przyjeżdżającemu „do zebrania ducha, do rozmyślania wielkich prawd, przygotowuje „umysł do rzeczy wielkich, które ma oglądać; wyjeżdżającemu służy za upomnienie, czego ma się spodziewać po „nowcach świata, jeśli opuści stolicę wiary i starych cnót chrześcijańskich, jeśli w sercu przynajmniej nie zachowa pamięci na „tak hojnie rozsypane w Rzymie cuda łaski i natury. Nie może „sobie wystawić, kto nie widział, ile te pola bezbrzeżne, *ubi resonat silentium Domini*, umysł podnoszą, ile nam mówią o Bogu „i o naszym stosunku do Boga“. W Lorecie odprawili podróżni Mszę w świętym domku, a Chołoniewski ofiarował drogocenną lampę z podziękowaniem N. Pannie za tyle za jej przyczyną otrzymanych dobrodziejstw: „że wyjechałem z Janowa świeckim, a wracam kapłanem; że przez cały czas pobytu w Rzymie miałem „przed oczami najpiękniejsze przykłady cnót i pobożności“. Otrzymane w Rzymie polecające listy do wielu osób w Bolonii, Medynie, Medyolanie i kilku jeszcze innych miastach i miasteczkach, nie na wiele się przydały, bo kto tylko biedą, lub nagłem zajęciem nie był przykuty do miasta, wyruszył z pewnością na wieś używać październikowych wakacyj. Szczęściem Manzoni przynajmniej, którego Chołoniewski bardzo rad był poznać, bawił w tej chwili w Medyolanie; ale czy słynny poeta zechce przyjąć nieznanego sobie polskiego księdza? Włoscy znajomi dawali na to pytanie nie bardzo zachęcające odpowiedzi. Rektor medyolańskiego seminarium X. Ratti „przyznał, że będzie może trudnem poznać się z Manzoni, który skromny i spokojność lubiący, unika zgiełku; przecież „zaręczył, że będzie tentował. Kazał nam za godzinkę wrócić. Byliśmy akuratni; przyniósł nam przyjemną nowinę, że Manzoni „chce nas przyjąć“.

¹ Dzienniczek ten, bardzo zresztą tym razem lakonicznie prowadzony, urywa się już po kilkunastu dniach.

„Manzoni jest wieku średniego, bliski jednak pięćdziesięciu lat, błydy, twarzy podłużnej, poważnych rysów, oczy ma żywe, bardzo momentami, jąka się nieco; słodczy, skromność i ciche, cierpienie malują się na jego rysach. Palil fajeczkę przy kominku, kiedyśmy weszli; zastaliśmy go w gabinecie. Z uprzejmością, bez przesady, a nie ze zbytnią poufalością przyjął nas ten dobry człowiek; widać było, że przekonany o naszej chęci szczerzej i prostej poznania poczciwego człowieka bardziej jeszcze, niż sławnego pisarza; dość też chętnie na przyjęcie nas zezwolił, zwłaszcza że mu księży towarzystwo nie jest przykre, ani obce. Mało co, lub wcale nie o jego pismach nie było mowy. Zdanie swe wyraził o Bourdaloue, Segnerim. Goethe po prostu zginął. Goethe mówił Cousin'owi: *Le doute me tue*. Chciał bardzo Manzoni poznać *l'Abbé Lamennais*; stronnikiem jest jego wielkim; *l'Avenir* czytał. Ksiądz Lamennais mawiał w Rzymie o Włochach: „Brak im było dotąd języka dla wyrażenia obecnych potrzeb towarzyskich; dopiero Manzoni język im stworzył“. — Powtórzyłem te słowa Manzoniemu. Zdanie jego o pobożności francuskiej i budujące, skromne wyznanie błędów młodości. — Nie można było dłużej go nudzić; pożegnaliśmy się z żalem, że tak mało korzystać mogliśmy z towarzystwa takiego człowieka, wdzięczni jednak Opatrzności Bożej za te krótkie chwile, co nam tak miłe i pożyteczne zostawiły w sercu wrażenia“.

Długa, gorąca modlitwa przed relikwiami patrona Medyolanu, św. Karola Boromeusza, którego święto właśnie bardzo uroczyście obchodzono, pokrzepiła podróżnych na dalszą, nużącą drogę. A była to droga istotnie tym razem nużąca, bo już w ostatnich dniach 1832 r. stanął ks. Stanisław z wiernym swym towarzyszem i dogonnym przyjacielem, nigdzie dłużej się nie zatrzymując, na ojczyściej ziemi; a niebawem powitał dobrze sobie znane mury Janowa, przycisnąć mógł do serca z utęsknieniem czekającą go, ukochaną rodzinę.

W liczbie zbiegających się ze wszech stron przyjaciół i krewnych, zabrakło jednego, którego ks. Stanisław kochał zawsze i cenił, jako najlepszego przyjaciela, a starszego brata — Mikołaja Grocholskiego. Smutne współczesne wypadki krajowe uwięziły Grocholskiego w Kijowie, a zapędzić go miały daleko na Wschód, bo

aż do Kurska; choć stosunkowo niezbyt długo na wygnaniu bawił i w każdym liście zapewniał, że mu na niczem nie zbywa, łatwo sobie wystawić, z jakim niepokojem zwracano myśl ku wygnańcowi, jak losem jego martwiono się równie w Strzyżawce, jak w Janowie i Kamieńcu. Na pierwszą wiadomość, że Mikołaj opuścił już Kijów i dalej na Wschód podążył, wysłał ks. Stanisław do stroskanej siostry Emilii list krótki, ale w którym całe jego prawdziwie braterskie, głęboko chrześcijańskie serce się odbija ¹: „Choć „spodziewana, przecież była mi bolesna ta nowina; tembardziej „Tobie, moja Mysiu. Bardzo w to wchodzę i ubolewam, lecz cieszę „się przytem, że mamy co cierpieć i na tej ziemi wypłacać długi „nasze i cieszyć się z krzyża Chrystusowego, bez którego życie naj- „pomyślniejsze byłoby nieznośnem; bo na tej ziemi, na której Pana „naszego tak srodze traktowano, wstyd i bolesno dzieciom i wier- „nym żyć bez cierpień. Głowa cierniem ukoronowana, a członki „mają leżeć w puchu?! Cieszymy się więc, żeśmy nie odrodne dzieci „tak wielkiego i kochanego Ojca... Moja Mysiu, jak ci też zdro- „wie służy i humor? Zrób sobie dobry kapitał dobrego humoru, „żebyś z gołemi rękami nie przyjechała do Mima; i mów sobie nie „raz: wszystko fraszka, przeciwko wieczności. Stare to, ale korzy- „stne dla duszy przysłowie“.

W podobny sposób, to wzrok ku niebu kierując, to własnym dobrym humorem wywołując uśmiech na usta, pocieszał Stanisław samegoż ciężko doświadczonego szwagra ²: „Codzień o Tobie w ofie- „rze św. pamiętam z obowiązku przyjaźni, pokrewieństwa i wdzięcz- „ności: *Funiculus triplex non facile rumpitur*. Pamiętaj o Matce „Bosce Bolesnej; Jej lasce się polecaj i bądź dobrej myśli. *Et haec „olim meminisse juvabit*“. Podobnie wreszcie, bo w tym zwłaszcza czasie przypadło mu być Aniołem pocieszycielem całej swej rodziny, dodawał otuchy siostrze, a raczej poważnej już teraz Matce Cecylii, lękającej się nie bez podstawy o byt przed trzema latami założonego przez Grocholskich klasztoru Wizytek w Kamieńcu i pół poważnie, pół żartobliwie zalecał i prosił, aby robiąc co można, niepożyteczne troski na Pana Boga zdała, który

¹ Ziatkowce 28 kwietnia 1833.

² Berdyczów 25 maja 1833.

radził i radzi o swej czeladzi. „I mnie samemu, dodawał kiedyindziej¹, nie trzeba tej prawdy z pamięci wypuszczać; w czasie mej „nieobecności znaleźli się ludzie, którzy robili co mogli, żeby mię „zrujnować. Dzięki Bogu — nie potrafili; i w przyszłości Bóg nas „obroni, byleśmy z naszej strony, Bogu ufając, sami rąk nie opu- „szczali, a starali się o rozszerzenie chwały Bożej, spełniając starą „zasadę: *Ora et labora*“.

Niezadługo po powrocie z Rzymu objechał Chołoniewski kilka- naście pokrewnych sobie i znajomych podolskich i wołyńskich domów, a przy tej sposobności przypatrzył się ważniejszym potrzebom i nie- dostatkom prowincyi, w której miał pracować; na wózku i długo w noc po pożegnaniu gościnnych gospodarzy rozmyślał, w jaki sposób i w jakiej mierze może i powinien do uchylenia tych niedostatków się przyczynić. Biedy te i potrzeby po dłuższej niebytności w kraju w tem jaskrawszych kolorach się przedstawiały. Niezupełnie jeszcze wymarłe tradycye saskich czasów złączyły się z resztkami nieda- wno modnego wolteryanizmu, a przyzwawszy jeszcze na pomoc ra- czej wspomnienia i pewne tkliwe uczucia, niż rzeczywistą dawną polską pobożność, wytworzyły w bardzo wielu umysłach i sercach prawdziwy chaos, obraz z lekka powleczoney wprawdzie ogólnym pokostem religii i odziedziczonego od przodków przywiązania do wiary, ale którego pojedyncze części wzajemnie się ze sobą kłóciły, ciągnąc na przemiany swego nieopierającego się właściciela, to do Sasa, to do lasa. Nieraz ten sam, co rano bardzo pobożnie Mszy św. słuchał, a pacierza za nic w świecieby nie opuścił, bo mu tak matka nieboszczka nakazała; wieczorem gorszył się z katolickich dogmatów, które znał raczej z Woltera niż z katechizmu; prawil niesłychane cuda o potędze i wolności rozumu, filantropii, postę- pie, konieczności rozwodów; jedne katolickie dogmata przyjmował, drugie samowładnie na poczekaniu odrzucał, i nie zdając sobie na- wet z tego sprawy, mając się wciąż za dobrego katolika, tworzył sobie raz po raz, wedle chwilowej fantazyi i humoru, nową reli- gię, z najróżnorodniejszych strzępków coraz niefortunniej i nie- kształtniej zlepianą. Przywiązania do religii w ogóle nie brakowało,

¹ Janów 11 maja 1833.

było go może w tym czasie więcej, aniżeli przed trzydziestu lub czterdziestu latami; ale brakowało zwłaszcza znajomości fundamentalnych podstaw wiary. Duchowieństwo, którego obowiązkiem było znajomość tę rozszerzać, samo zbyt mało w ogóle było wykształcone, przedewszystkiem zbyt mało znało broń i sposób wojowania francuskich i niemieckich „filozofów“ a raczej niedowiarków, z których polscy prowincjonalni „filozofowie całą swą mądrość czerpali, aby mogło skutecznie stanąć do zapasów i rozszerzyć konieczny a zabienny wpływ na wyższe, wrzekomo czy istotnie bardziej oświecone sfery społeczne. Panowie i szlachta chętnie wprawdzie widzieli księdza między sobą, ale nieraz przyzwyczaili się nań patrzeć wyłącznie jako na miłego towarzysza do zabawy i pogawędki; poważniejszych kwestyj w tych pogawędkach dotykano rzadko, a i wtedy ksiądz, jeżeli ze znajomością rzeczy nie łączył potrzebnej ciętości i niezależności, łatwo wychodził nie obronną ręką, cofał się, tłumaczył i w końcu, nieraz nie bez szkody dla sprawy, dawał za wygraną.

Ks. Chołoniewski zając mógł i zajął odrazu w tym względzie zupełnie odrębne stanowisko. Znaczna fortuna, imię i stosunki rodzinne otwierały mu na oścież wszystkie pałace, dwory i dworki; dozwalały przemawiać wszędzie nie tylko w kościele, ale i w salonie śmiało i niezależnie. Dowcipy z Woltera, argumenty z Rousseau'a zaczerpnięte ustępować i wstydliwie kryć się musiały wobec uczonego, wybornie znającego ich pochodzenie, dowodzącego jasno, że te wrzekome argumenty znalazły już od dawna należną odprawę, i że przytaczanie ich prawdziwym jest anachronizmem. Więcej może jeszcze niż wewnętrzna wartość tych dowodów, na której nie wielu podobno nawet z najzarliwiej rozprawiających podolskich filozofów w całej pełni poznać się umiało, działał cięty, pewnym odzieniem staropolskiej jowialności nacechowany dowcip; wyborne, wprost do wyobraźni trafiające porównania, któremi Chołoniewski jak piśmienne tak i ustne swe rozprawy i dysputy umiał i lubiał zabarwiać. Słuchający dziwili się, że tyle rzeczy, które dotąd wydawały się im zawilemi a może i sprzecznymi, były, byleby je należycie zrozumiano, proste a piękne, odpowiadające równie rozumowi jak sercu. Pod wpływem słów gorliwego kapłana stwierdzonych najdobitniej własnym przykładem i życiem, któremu nawet najniechętniejsi nigdy nic zarzucić nie mogli; głoszonych w różny

sposób, ale zawsze z tem samem silnem przekonaniem i miłością równie na ambonie, jak w konfesyonale; równie w wytwornych salonach jak w literackich gabinetach: otwierały się serca i wielkich i maluczkich na prawdę i piękność wiary i życia z wiary; zaczynało lepiej rozumieć a zatem i goręcej miłować wiarę chrześcijańską, i zwolna, ale tem głębiej dokonywała się zmiana na lepsze, którą późniejsi pisarze nie zawahali się nazwać: „religijnem odrodzeniem Podola“.

Bezwątpienia zmiana ta na lepsze, uwidoczniającą się choć nie w równym stopniu we wszystkich warstwach społecznych, nie była wyłączną zasługą Chołoniewskiego. Uroczyście obchodzony jubileusz w r. 1826 wstrząsnął umysłami, sprowadził całe tłumy na drogę praktycznego wykonywania Boskich i kościelnych przykazań; kilka domów w całym tego słowa znaczeniu katolickich roztaczały w około siebie cześć i miłość dla wiary; gorliwi i bogobojni kapłani, których dzięki Bogu nie brakowało, pracowali z wyteżeniem, a Bóg pracy ich błogosławił. Nie wyłączone więc zapewne, ale niemniej pierwszorzędne stanowisko w tem dziele religijnego odrodzenia — jeśli tak nazwać je można — zajął nasz ks. Stanisław. Współcześni uważali to za pewnik niepotrzebujący dowodów; późniejsi, choć nieraz przez mgłę tylko wiedząc, na czem polegały zasługi Chołoniewskiego, pewnik ten jednak tradycyjnie przyjęli i nie omieszkali powtarzać go przy każdej nadarzającej się sposobności, nie wchodząc zresztą bliżej w rozwiązanie pytania, na czem zwłaszcza te zasługi, praca i wpływ jego się zasadzały? Zupełnie dokładnej i wyczerpującej odpowiedzi na to pytanie dziś dać nie podobna, tembardziej, że sam Chołoniewski, trzymając się zasady, którą sobie nakreślił w rekolekcyjnych zapiskach, o działalności swej ani dużo mówić, ani pisać nie lubiał; a po latach pięćdziesięciu napróżnoby się w tym względzie uciekać do ustnej w ogólnikowych wyrazach uwielbienia zamykającej się tradycyi. Ale choć nie można dać takiej, jakąby należało, na jakąś przynajmniej zdobyć się można; choć dziś kreślony obraz wypada może nieco blade, wielu rysów odtworzyć nie zdoła, musi nieraz zadawałniać się nie najpiękniejszymi szczegółami, ale tymi, które jakby od przypadku na papierze, czy w pamięciach ludzkich pozostały; to jednak mimo iż tak uszkodzony i splowiały dowodzi, że owa tradycyjnie przecho-

wana cześć dla „podolskiego apostoła“ na silnej opierała się podstawie i choć ze szkodą naszą zbyt ogólnikowo wyrażana, była czemś więcej, niż grzecznym frazesem, przyjacielskiem uznaniem, zręcznem pochlebstwem.

Biskup kamieniecki, Maćkiewicz, równie jak biskup łucko-żytomierski, Michał Piwnicki, umieli ocenić, jak ważnym czynnikiem może być ks. Chołoniewski w duchownem odrodzeniu powierzonych sobie dyecezyj, i obaj w pierwszych zaraz miesiącach po powrocie ks. Stanisława z Rzymu, weszli z nim w ożywione, rzec można przyjacielskie stosunki. Na chwilę nawet ks. Piwnicki, widocznie za poradą ks. Ożarowskiego, który w Rzymie jeszcze bawiąc, pilnie urządzenia tamtejszych seminaryów studyował, a następnie w kraju na możliwe udoskonalenie seminaryów zawsze główną kładł wagę, — zamyślał powierzyć Chołoniewskiemu zarząd swego seminaryum: „Proszę najusilniej, pisał w dłuższym liście ponawiając poprzednie ustne propozycye¹, proszę z całą ufnością, „abyśmy *unctis viribus* poświęcali prace nasze w łuckiej dyecezyi ukształceniu młodzieży duchownej i podniesieniu jej ducha „w stanie duchownym... Racz poświęcić najpiękniejsze swoje talenta ku chwale Bożej w dyecezyi łuckiej, która będzie umiała „oceniać prace Jego gorliwe“. Chołoniewski chętnieby się był podobno zgodził na tę propozycyę, dającą mu szerokie a wdzięczne pole działalności; gdyby jednocześnie biskup Maćkiewicz i gorącymi prośbami i wyraźnym niemal rozkazem nie wymógł na nim, że dyecezyi Kamienieckiej nie opuści i wzbraniać się nie będzie przed zajęciem w kapitule wakującego właśnie urzędu dziekana katedralnego. Napróżno Chołoniewski od tej godności wymówić się pragnął; napróżno przedstawiał, że zbyt młody jeszcze jest w powołaniu kapłańskim i zbyt mało zna potrzeby dyecezalne. „Tem „więcej, odpowiedział Maćkiewicz na te przedstawienia², pobudziłem się do przedstawienia J. W. Pana na stopień dziekana katedralnego, że unikasz tego wszystkiego, co błyszczy na świecie. „Tak ludzie cnotliwi, święci, posiadający wielką naukę robili i rozbiją!... Nie wymawiaj się J. W. Pan; przedstawienia już posła-

¹ Łuck 3 września 1834.

² Kamieniec podolski 3 września 1834.

„Iem... Uważaj w tem wolę Bożą; wreszcie masz tyle światła, „rozumu i nauki, że nie zechcesz zniweczyć dzieła najlepiej mu ży- „czących“. W obec tak natarczywych nalegań, popartych energicznymi krokami, zrobionymi bez poprzedniego zezwolenia głównie interesowanego, ale których nie można było cofnąć bez kompromitacji biskupa, wyboru nie było; Chołoniewski zawiadomił Ożarowskiego, że z przykrością zrzec się musi wspólnie ułożonego, obu równie milego projektu, i zajął stanowisko przez Maćkiewicza sobie wyznaczone.

To rychłe wyniesienie na stosunkowo tak wysoką godność wzbudziły musiało w innych okolicznościach niechęci i skargi; tym razem, jeśli w pierwszych tygodniach jakie żale i skargi dały się słyszeć, to ucichnąć one musiały w obec coraz powszechniejszego i głośniejszego uwielbienia dla niezmordowanej, we wszystkich kierunkach objawiającej się apostołskiej pracy nowego dostojnika. Z szczególnem zamiłowaniem oddał się Chołoniewski kaznodziejstwu. W Rzymie jeszcze gotował się pilnie do tego ważnego urzędu, robiąc liczne wyciągi z Ojców Kościoła i znakomitszych pisarzy i kaznodziejów, kreśląc krótkie szkice kazań, próbując swych sił we francuskich przemowach i egzortach, głoszonych w kilku zwłaszcza zakonnych kaplicach. Ale w Polsce dopiero w ojczystym języku rozwinąć się miał i mógł w całej pełni piękny jego talent; wymowa, zawsze z głębokiego przekonania płynąca, nabrała praktyczności, siły i barwy zachwycającej i przekonywującej coraz liczniej i chętniej gromadzących się słuchaczy.

Wargi kapłańskie będą strzedz umiejętności i zakonu pytać będą z ust jego: ponieważ Aniołem Pana zastępów jest. Wysokie powołanie i zadanie kapłana-nauczyciela nakreślone w jędrnych tych wyrazach przez proroka Malachjasza¹, stało zawsze przed oczami Chołoniewskiego, jako wzniosły ideał, do którego pragnął i starał się jak najbardziej zbliżyć. Pamiętając, że kaznodzieja spełnia posłannictwo Boże, nie szczędził pracy, aby to posłannictwo wypadło jak najświetniej; z drugiej znów strony nie zapominał, że Chrystusa, nie siebie sa-

¹ *Malachiasz. II. 7.*

mego na ambonie ma opowiadać i że najwznioślejsze myśli, najbardziej błyszczące oratorskie zwroty, jeśli nie wiodą do lepszego poznania i pokochania Chrystusa i wiary Jego, nie są prawdziwą chrześcijańską wymową, ale wyłącznie tylko jej karykaturą. Stosy notatek z najlepszych polskich, włoskich, niemieckich i francuskich mowców; liczne własnoręcznie przezeń spisane i uporządkowane wyjątki z pism Ojców i doktorów Kościoła; parę grubych rękopiśmiennych książek, opatrzonych wspólnym tytułem *Zapas kaznodziejski*¹, rozpoczętych w Rzymie, później na Podolu aż do ostatnich chwil życia prowadzonych i uzupełnianych; świadczą po dziś dzień najlepiej, jak Chołoniewski na seryo na urząd kaznodziejski się zapatrywał i nie żałował ni czasu ni pracy, aby kształcąc się na najlepszych mistrzach, choć zdaleka w ślady ich wstępować i wedle możliwości wszystkim stać się wszystkim.

Istotnie to była najwyższa jego ambicya; przedewszystkiem i na pierwszym planie miał zawsze na oku duchowny pożytek dusz, które nauczał; oryginalność i bogactwo myśli, blask krasomówczych zwrotów, świetność wyrażenia, słowem to wszystko, co mogłoby i miałoby naturalnie mu zjednać literacki poklask i szerszą sławę, nie nęciło go, jeżeli takim kosztem okupiłoby należało jasność i pewną ewangeliczną prostotę wykładu, zadawalniającego umysł i serce ludzi wykształconych, ale przystępnego i dla maluczkich. Był to kaznodzieja *popularny* w dobrem i prawdziwym tego słowa znaczeniu: nie siebie samego, nie własną swą naukę, lecz Chrystusa

¹ Zupełny tytuł tego zbioru brzmi: *Zapas kaznodziejski, czyli wyciągi i wolne przekłady na język ojczysty: kazań, mów, rozmaitych pism ascetycznych znakomitszych polskich, włoskich, niemieckich i francuskich kaznodziejów i pisarzy*. Dla dania jakiego o nich wyobrażenia a zarazem pracowitości ks. Chołoniewskiego w tym kierunku, dość będzie choć w najgłówniejszych zarysach z treścią jednej z wymienionych książek się zapoznać. Tak np. pierwsza z rzędu zawiera: blisko sto mniej lub bardziej obszernych wyjątków kazań i homilij Ojców Kościoła, przeważnie: Ambrożego, Augustyna, Chryzostoma, Bernarda, Grzegorza W., Leona W., Fulgencjusza; kilka listów św. Hieronima; wyjątki z *Sumy* św. Tomasza; kilkanaście modlitw i przykładów, wyjętych z żywotów świętych; wyjątki z *Ćwiczeń duchownych* św. Ignacego Lojoli; przekład kazania *Bossueta*: „O żywocie skrytym w Bogu”; przekład trzech kazań *Veitha*. Wszystkie wyjątki z doktorów i Ojców Kościoła w poprawnym przekładzie polskim, dokonywanym z niemałym staraniem, jak widać z licznych poprawek i zmian.

opowiadał; a choćby zabrakło świadectwa żywej tradycji, to i z martwych słów dziś jeszcze widać, że gorącym swem, kochającym słowem, wielu i silnie do Chrystusa pociągać musiał.

Po raz pierwszy wystąpił Chołoniewski na szerszej scenie kaznodziejskiej i odrazu wymową zasłynął w październiku 1833 r., na pogrzebie krewnego swego, Michała Grocholskiego, starosty zwinogrodzkiego, właściciela uroczej Strzyżawki. Obecny na pogrzebie Henryk Rzewuski, mąż córki zmarłego Julii; sama Julia, brat jej Henryk Grocholski, wreszcie biskup Maćkiewicz, wymogli na mowcy, że pozwolił wydrukować swą przemowę, która też niebawem wyszła w Berdyczowie, opatrzona dedykacją: „Henrykowi hr. „Grocholskiemu, Julii z hr. Grocholskich hr. Rzewuskiej, po zgonie najlepszego ojca dzieciom pobożnie zasmuconym, na pamiątkę „wspólnej miłości, przyjaźni i tęsknoty po zmarłym, poświęca krewny, przyjaciel, kapłan St. Myszka Chołoniewski“. Odczytując dziś jeszcze tę przemowę, którą Chołoniewski podobnie jak wszystkie swe nauki i kazania, stając do walki z wygodną może, ale nie chwalebą tradycją, wygłosił z pamięci: nie trudno pojąć szczery zachwyt słuchaczy, zbyt zresztą przez innych ówczesnych kaznodziejów nie rozpieszczonych. Język piękny, na pisarzach XVI w. wykształcony, w obec którego dawniejsze młodzieńcze wypracowania robią wrażenia bohomazów, postawionych obok nie arcydzieł wprawdzie, ale obrazów wykończonych i pociągających; idzie w parze z treścią bogatą, w źródłach Objawienia zaczerpniętą; z uczuciem płynącym spokojną, ale głęboką rzeką. Chołoniewski widział przede wszystkim w zmarłym krewnym dobrego chrześcijanina i dobrego chrześcijanina wysławiał; jak we wszystkich późniejszych swych mowach, tak już w tej pierwszej na chwilę nie zapomniał, że wszelkie ziemskie zaszczyty i pochwały, zwłaszcza w obec otwartego grobu, bardzo tylko względną mieć mogą wartość, i że szczególnie kapłanowi w imieniu Kościoła przemawiającemu, nie wypada zbytniej wagi kłaść na to, na co Założyciel Kościoła nie kładł żadnej wagi. Stąd, stojąc tak nad tym, jak nad innymi grobami; tak łącząc oblubieńców ślubnym pierścieniem, jak wkładając raz po raz na ręce pierścień oblubienic Chrystusowych w kamienieckim klasztorze Wizytek; stanowczo zerwał z tu i owdzie błakającymi się pozostałościami i nawykniętymi panegirycznej epoki; sławił nie

ziemskie przymioty, ale nadprzyrodzone cnoty; nie ludzkie, ale Chrystusowe rodowody i herby.

Biskup kamieniecki zachwycony przemową ks. Stanisława nad grobem starosty zwinogrodzkiego, zamianował go natychmiast kaznodzieją przy swej katedrze. Nie była to *sinekura*, a przynajmniej Chołoniewski za taką jej nie uważał; rzadka była niedziela lub święto, w które zimą w Kamieńcu w katedrze, latem w Janowie, lub w której z sąsiednich wiosek, nie głosiłby słowa Bożego. W pierwszych latach po powrocie z Rzymu rzadko kiedy Chołoniewski wyszedł na ambonę, nie spisawszy wprzód dosłownie całego kazania. Później, wśród nawału coraz liczniej rosnących i coraz cięższych zajęć zadawał sobie za zwyczaj rzuceniem na papier kilku notatek, cytował z Pisma i Ojców św., choć i wtedy, kiedy tylko mógł, całe kazania długo w noc pracując — jak świadczą o tem woskowe plamy, niby pieczęcie po rękopismach rozsiane — najdokładniej i z wielką pilnością wyrabiał. Zresztą najlepszem codziennym przygotowaniem, nie mówiąc już o znanym nam „Kaznodziejskim zapasie“ było wierne każdego rana zazwyczaj na tle ewangelii odprawiane rozmyślanie.

Całą działalność kaznodziejską Chołoniewskiego podzielićby można na dwa główne peryody. W pierwszym żywo mając przed oczyma harmonijną całość zaczerpniętej w Rzymie teologicznej wiedzy, odsłaniał przed słuchaczami piękności jej i tajniki; kładł główny nacisk na szerzenie — o ile można — najdokładniejszej znajomości prawd wiary, wychodząc z bardzo słusznej zasady, że kto pozna majestat i piękność wiary Chrystusowej, ten musi się przed nią ukorzyć i nie może jej nie umiłować. W drugim peryodzie obejmującym mniej więcej ostatni dziesięć lat życia, zbliżywszy się bardziej i głębiej poznawszy społeczeństwo, dla którego pracował, jego wady i potrzeby; wstępnym bojem na te wady uderzał, potrzeby i choroby serca analizował jako doświadczony już lekarz i podawał na nie praktyczne ewangeliczne lekarstwa. Nauka Chrystusowa, mniejsza o to w słowach czy w czynach wyrażona, była zawsze, równie w pierwszym jak i w drugim peryodzie, nie tylko głównem, ale — śmiało rzecz można — jedynem tłem wszystkich jego przemówień; tylko w pierwszych latach nieco szkolnie podawana, nie zrosła się jeszcze tak z życiem jak później, osiągnąć i prze-

niknąć nie mogła najskrytszych, a pomimo to tak dobrze kaznodziei znanych zakątków serca ludzkiego. Różnica ta tembardziej w oko wpada, że z biegiem lat i zewnętrzna szata: styl, obfitość i dobór zwrotów i wyrażeń, stosując się do treści, coraz bogatszą i barwniejszą się staje; jednocześnie uczucie z początku jakby umyślnie tłumione, coraz szerszą rzeką się rozlewa; wyobraźnia zbyt lekliwie w karbach trzymana większą zdobywa sobie wolność; a tak nieco może suche przez czas pewien kazania i homilie nabrawszy ciała, życia i ognia, z inną zupełnie siłą w zwartych szeregach nacierają na wrogów: na grzechy, wady, pokusy; w innym świetle i blasku roztaczają wspaniały obraz dogmatów wiary.

Homilie były zawsze ulubionem polem naszego kaznodziei. Zapoznawszy się w czasie codziennych rozmyślań z wszystkimi osobistościami, odgrywającymi choćby najmniejszą rolę w opowiadaniu ewangelicznem; przypatrzwszy się ich sprawom, przysłuchawszy się ich rozmowom, odczytawszy niejako zapisane w sercu myśli ich, zamiary i pragnienia: chętnie i bez trudności odmalowyywał następnie Chołoniewski te dokładnie wprzód przez siebie poznane postacie i dzieje, wyciągając dla swych słuchaczy, jak wyciągał dla siebie w czasie rannego rozmyślenia, obfity owoc duchowny z każdego wypadku, nieraz z każdego słowa. Zwłaszcza w kaplicy Wizytek, gdzie prócz zakonnice zgromadzało się nieliczne grono dusz żądnych wyższej doskonałości, rzucał pełną ręką jako w przygotowaną już i obrobioną rolę, ziarno nauki Bożej *nie w przytudzających mądrości ludzkiej słowach, nie w mądrości ludzkiej, ale w mocy Bożej*;¹ wszędzie i w każdym wypadku wskazywał Chrystusa, jako drogę, prawdę i życie; roztrząsał nieraz najdrobniejsze szczegóły ukrytego zakonnego życia, uczył jak chronić się złudzeń czartowskich, jak każdą czynnością, każdym poruszeniem igły niebo sobie kupować; słowem słusznie powiedzieć można że nauki te, to nie były ani kazania, ani egzorty, ale wspólnie odprawiane praktyczne a pobożne rozmyślenia.

Kto słyszał Chołoniewskiego głoszącego prawdy Boże w kamienieckiej katedrze, a rozmyślającego też same prawdy w kaplicy

¹ List I do Korynt II, 4, 5.

Wizytek, temu zdawać się mogło, że słyszał dwóch różnych, w dwóch różnych światach żyjących ludzi. Katedralny kaznodzieja świetną wymową porywał nie tylko serce, ale rozum i wyobraźnię, wprowadzał słuchaczy do salonów, komnat, gabinetów; malował grzechy i nałogi w nich goszczące; przysłuchiwał się rozmowom toczącym się po domach i ulicach; odsłaniał wstydliwie kryjące się w głębi serca zamiary i myśli. Pozostały z lat dawnych i błąkający się jeszcze wolterowski cynizm i rozpusta pod płaszczem tego cynizmu się kryjąca; rujnująca moralnie i materialnie gra w karty z niemniej rujnującymi libacyami zazwyczaj połączona; niemoralne powieści Sue'ów i Dumasów, które jak dawniej Voltaire'ów i Rousseau'ów, chciwie na Podole z Francji sprowadzono, a chciwiej jeszcze podobno czytano: miały w Chołoniewskim wszędzie, ale przedewszystkiem na ambonie wroga jawnego, który bez żadnych ogródek i względów nazywał złe złem, a truciznę trucizną. Niepodobna naturalnie już nie tylko rozebrać, ale choćby zwrócić uwagę na wszystkie te kazania i poszególne ustępy, tchnące życiem i prawdą, ważne i ciekawe uie tylko z kaznodziejskiego punktu widzenia, a które w sercach słuchaczy musiały raz po raz wywoływać ciche przyznanie się do winy, uczucie żalu i chęci poprawy; dla dania jakiegokolwiek wyobrażenia o wymowie Chołoniewskiego, tak rozgłośnej i pożytecznej w swym czasie, wystarczy przytoczyć na chybił trafił parę obrazków, widocznie ze życia dla poprawy życia naszkicowanych. Oto np. paru ludzi oddanych duszą i ciałem karnawałowej zabawie, śmiejących się niezdrowym, jakby obłąkanym śmiechem, kiedy serce namiętnościami zranione, lez i goryczy pełne: ¹

„Oto zasiadł do stolika ślepej fortuny, młodzieniec w wiośnie życia — wszystko mu się uśmiecha i on wszystkiemu; — uroda, zdrowie, dostatki i ten rumieniec ce na jego niezwiędłych jeszcze jagodach rozkwita, zapowiadają mu długi, nieprzejrzany szereg wesółych, szczęśliwych lat; wszystko mu jest igraszka — on też gra ciągle i stawia na kartę imię, majątek, niewinność i pokój sumienia. Słuchajcie, jakie tam przy pozornem zdrowiu gwałtowne bicie

¹ *Kazania* ks. St. Chołoniewskiego. Kraków 1888. Nauka w czasie czterdziestogodzinnego nabożeństwa. Tom I. Str. 224 i np.

serca na widok rulonów złota nagromadzonych przed bankierem, jaka w tem sercu wzmaga się gorączka chciwości i zazdrości lub dumy tryumfującej za każdym przerzuceniem szczęśliwej lub nie-pomyślnej karty: wszelako ten młody człowiek umie pokrywać cierpienia swoje wewnętrzne: śmieje się, śmieje się głośno! Drugi wplątawszy się niebacznie w sieci miłostek niszczących jedność małżeńską, wpada w ciężką niemoc duszy, namiętność go pali, sumienie go dręczy; sercem jego na przemiany miotają: żądza niedobra, bojaźń utraty, gorsza jeszcze nadzieja nieprawego szczęścia, czasem żalność za straconą niewinnością; gwałtowne to bicie serca ze snu go budzi, lecz on te męki ukrywać umie, — śmieje się głośno, ale nie wesoły to śmiech! ... A ten co wiarę swych ojców zupełnie opuścił; co o Bogu tyle tylko wie, ile o Nim w modnych romansach wyczytał; co sobie wedle kaprysu wiarę utworzył, sumienie urządził, prawa moralne przepisał, od których jako najwyższy prawodawca sam siebie uwalnia, ile razy namiętność tego po nim wymaga; co z politowaniem patrzy na owych poczciwych katolików, którzy tak często do spowiedzi przystępują... cóż o takim człowieku wnosić? Czy tęsknota serca mu nie zatrzuwa, czy serce to gwałtownie nie bije? Bije i gwałtowne bije, lecz on przez ciągle opieranie się głosowi sumienia, tak się z temi konwulsjami moralnemi serca oswoił, jak oswajają się z cierpieniami swojemi chorzy nieuleczalni. Prawdziwie straszna to choroba luboć na śmiechu się kończy; śmiechem usta się skurczyły, śmiechem konwulsyjnym znakiem nadechodzącej śmierci.

Mowca w krótkich słowach opowiedział wewnętrzne dzieje kilku serc; za chwilę rzna w paru rysach jakby ogólny obraz karnawałowego szalu¹: „Przejdźmy przez ulicę pierwszego lepszego miasteczka. Usłyszymy śmiejących się wesołych ludzi różnego wieku i stanu. Cóż to ich tak rozśmiesza? Trochę brudnych żartów. — Zatrzymajmy się przy tym wspaniałym domu. Dopiero co zajęchały tu piękne pojazdy, wysiadają z nich strojnie ubrani ludzie wielkiego świata. Wejdźmy za nimi na to zgromadzenie, bo to są zapewne osoby lepiej wychowane. Zasiadają do biesiady. I cóż jest zaprawą bankietu? — Brudne żarty i dwuznaczne słowa. — Czyż

¹ *Kazania* T. I. Str. 227.

są tam panie, panienki? — Są. — A cóż robią? — Śmieją się. — Uciekamy z tego domu bojąc się zarazy, znowu na ulicę. Oto przelatują koło nas w wesołym szale szczęśliwi, szlachetnie zrodzeni młodzieńcy, śmieją się głośno, żartują. — Cóż ich tak uszczęśliwia? co tę wesołość wywołuje? — Te same brudy, też same haniebne żarty“.

Kiedyindziej wprowadza Chołoniewski innego rodzaju postacie „nieszczęsnych, jak ich nazywa, tłumaczy Pisma św.“, którzy głosząc wygodną, pozornie miłości pełną tolerancję, chełpią się, że piekło z niebem, występki z cnotą roztropnie pogodzili¹. „Oto, mówią, na wszystko czas dajemy. Młodość wyszumieć musi, to czas uciechy zmysłowej; wiek dojrzały: czas zabiegów, dumy i źbiorów; wiek sędziwy: czas pokuty i nawrócenia się do Pana Boga — *omnia tempus habent*. Kiedy z poważnymi kapłanami, panami, uczciwymi niewiastami rozmawiać nam przychodzi, rozsądek i dobry ton wymagają, ażeby pięknie rozprawić o religii, porządku społecznym, obyczajności; a kiedy jesteśmy w wesołej kompanii, tak zwanych tęgiech chłopców, hultajów dobrze wychowanych, to znowu dobry takt wymaga, ażeby zabawy i dobrego humoru nie psuć i owszem pomagać dowcipnie do brudnych żartów i gorszych zamiarów — *omnia tempus habent*. Kiedy sumienie i cnota nakazują chrześcijaninowi, aby się nie wstydział wiary przodków swoich; urzędnikowi, aby stosownie do władzy sobie poruczonej stanął w obronie uciśnionego; podwładnemu, ażeby przez pochlebstwo prawdy nie zdradzał; sędziemu, ażeby względów ludzkich nie kładł na szali sprawiedliwości: to ci wszyscy ludzie powinni to święcie pełnić wtedy, kiedy pora ku temu. Ale kiedy np. wierny katolik między tak zwanymi *filozofami* w kościele się znajduje, to niech się nie żegna i nie klęka, bo nie pora po temu; kiedy przed sędzią, siedzącym na trybunale, stanie fortuna z zawiązanymi oczami i z trzosem złota, to roztropność ziemską każe sędziemu schować najprzód trzos złota, a potem wziąć z rąk fortuny przepaskę i własne oczy zawiązać, bo kto przyjął od tej pani złoto, ten powinien także przyjąć ślepotę — ponieważ ona jednego daru bez drugiego nigdy nie udziela; wszystko ma więc swój tryb, swój

¹ *Kazania*. Na niedzielę zapustną. T. I, str. 193.

czas. W zapusty puszczać zmysłom wodze, ile tylko można, a w poście pościć i pokutować także ile można, to jest *prawie nic*, bo na to zdrowie, kieszeń, krewni, świat elegancki, dobry ton nie pozwolą.

Choloniański gromił i karmił, lecz niedość karmił śladem dawnych moralistów lub satyryków, kaznodzieja chrześcijański wyższe i szczytniejsze ma zadanie: podnosić serca i umysły do góry, do chwaleń Boga je pobudzać, do miłości Stwórcy i Zbawiciela swego zapalać. Główne to zadanie kaznodziei, głównem też było zadaniem Choloniańskiego; każda nauka jego, choć martwe pismo nigdy o żywym słowem należytego wyobrażenia dać nie może — i dziś jeszcze świadczy, że na ambonie chciał być i był nie suchym pedagogiem, ale raczej ojcem uczącym swe dzieci, bolejącym nad ich błędami; dobrym Samarytaninem, leczącym z równą zawsze miłością choćby najcięższe rany, zadane przez grzech i namiętność. Głęboka miłość dla słuchaczy i płynąca z niej, a w każdym niemal zdaniu widoczna chęć przyczynienia się do dobra ich duszy, była przedewszystkiem tym magnesem, który ściągał do ambony Choloniańskiego; była kluczem otwierającym serca na jego słowa. Kazania kamienieckiego mówcy nie odznaczają się dogmatyczną ścisłością i bogactwem Skargi lub Bourdalou'ego, nie wzbijają się w górę orlim polotem Bossueta lub Goliana; najwłaściwiej może jeszcze, jeśli już szukać mamy porównań z bardziej znajomymi kaznodziejami, powiedziećby o nich można, że zapal i poetyczna wyobraźnia Antoniewicza weszły tutaj w retoryczne karby Massillona, a obu często przewyższając treścią, ostatniego zwłaszcza zewnętrzną barwą nieraz przypomina.

Czyż wynikaćby z tego miało, że Choloniański zajmuje między kaznodziejami naszymi tak ważne i poczesne stanowisko, jak np. Massillon między francuskimi? Zdolności mu do tego nie brakło; brakło czasu i sposobności. Gdyby był mógł zawsze, tak jak francuzcy kaznodzieje ze złotej epoki poświęcić codzien kilka godzin zebraniu i przygotowaniu odpowiedniego materiału, aby następnie w swobodnej chwili i z swobodną głową z materiału tego równie wspaniale jak pożyteczne, w drobnych nawet szczegółach wykończone gmachy budować; to bezwątpienia na podobnem, jeśli nie na wyższym stanowisku w literaturze naszej kaznodziejskiej mógłby

był stanąć. Niestety! jak już wspomnieliśmy, ledwie w pierwszych latach po powrocie z Rzymu, kiedy jeszcze w historię dusz ludzkich nie dość był wtajemniczony, a oporny język polski z pewnym trudem nałamywać trzeba było do posłuszeństwa, na taką pracę, i to nie zawsze czasu starczyło. Późniejsze improwizacye, częściej niż spisane i wypracowane kazanie, porywały wprawdzie i nawracały słuchaczy; ale bądź co bądź bliżsi i najbardziej wykształceni przyjaciele odżalować nie mogli, że tak niezwykle kaznodziejski talent w innych pracach się zużywa i potomności nie zostawi po sobie odpowiedniej spuścizny. W ostatnich dopiero miesiącach życia ustępując i własnej chęci i coraz natarczywszym naleganiom przyjaciół, zapragnął już nie dorywczo, z chwil kradzionych innym staraniom korzystając, lecz wyłącznie pracy kaznodziejskiej się poświęcić; postanowienie to nieszczęściem powziął za późno!

Zbyt wczesna śmierć nie dozwoliła zasłużonemu robotnikowi w winnicy Pańskiej spełnić w całej rozciągłości zadania, o którym marzył; nie dozwoliła zająć między kaznodziejami naszymi stanowiska, do którego uprawniał go talent coraz piękniej się rozwijający pod wpływem energicznej pracy i niemniejszej żarliwości o chwałę imienia Bożego; ale czyż owoce z pracy tej i żarliwości już zrodzone służyć miały tylko współczesnym słuchaczom, a dla potomnych bezpowrotnie przepaść? Czy nie należało przechować kazań przez Chołoniewskiego opracowanych, aby martwe to słowo prowadziło dalej choć w pewnej mierze dzieło, które z ambon podolskich tyle dobrego działo? Takie pytanie zadawali sobie wszyscy, co znali i słyszeli bardzo zresztą szeroko znanego i głośnego kamienieckiego mówcę, i wszyscy jednomyślnie na pytanie to odpowiadali twierdząco. Kraszewski zaraz po śmierci przyjaciela publicznie o wydanie kazań jego się dopominał; Arcybiskup Hołowiński, również przyjaciel Chołoniewskiego i podobnie jak on pisarz i kaznodzieja, na pierwszą wiadomość o śmierci serdecznego swego druha, pisał do Mikołaja Grocholskiego¹:

„Po ś. p. księdzu Stanisławie pozostały rękopisma, któreby „koniecznien wydrukować należało. Wiem ja, że on mając chwałę „u Boga, nie potrzebuje chwały ludzkiej, ale tu nie idzie o chwałę,

¹ Petersburg 8 września 1846.

„lecz — o zbawienny pożytek. Szczególniej warte są druku jego „kazania, w których nauka, żywa wiara i święte namaszczenie naj- „obficie tryskają ku ochłodzie dusz szukających zbawienia. Mo- „żnaby było komu znającemu się powierzyć przejrzanie rękopismów „i przygotowanie do druku. Jeślibym mógł zasługiwać na zaufanie, „tobym miał za szczęście i najśłodszą pracę wydanie jego kazań. „Niechbym choć tę pamiątkę uczynił mężowi, któregom zawsze ko- „chał i wielbił. Lecz jakkolwiek podoba się uczynić, zawszebym „prosił w imieniu wszystkich, aby jego kazania były wydrukowane“.

M. Cecylia choć uznawała zalety ks. Hołowińskiego, sprzeci- wiała się wręcz poruczeniu mu wydawnictwa kazań¹, „bo on innego „był ducha, jak Stasiuniowy, a kazania muszą być przejrzane i nie- „dokładności poprawione, — bo w prędkim pisaniu i mowie mogło „się coś wślizgnąć, czy z cytacyj, czy innym sposobem, co potrze- „bować może poprawy. Najmocniej upraszam, żeby się z nira w tej „mierze niekomplimentować, i nic a nic mu nie posyłać. Albo od- „dać papiery Stefanowi (Witwickiemu); albo najlepiej samemu się „do nich zabrać“. Grocholski poszedł za tą radą i sam z pomocą Matki Cecylii zajął się częściowem przynajmniej uporządkowaniem kazań; poczem choć w dziesięć dopiero lat po śmierci ks. Stanisława, bo w r. 1856, wysłał je do Warszawy, gdzie w drukarni XX. Misyonarzy miały być wydane. Kazania do Warszawy doszły, ale tutaj znowu dziwne jakieś, nieprzyjazne fatum na nich zacię- żyło. Kilka miesięcy przyaresztowano je w biurach namiestnictwa; kilka a może i więcej lat więziono je w drukarni XX. Misyonarzów, i ostatecznie — mimo że sprawą tą zajmowało się kilka wpływo- wych i energicznych osób, między innymi p. Róża Sobańska — nie wydrukowano. I znów po kilkunastu latach jedna z nieistniejących już dzisiaj firm krakowskich podjęła się wydania cyklu kazań Chołoniewskiego o Najśl. Sercu Jezusowem; długo zwłóczyła z roz- poczęciem wydania, wreszcie w krytycznej chwili sprzedała manu- skrypt, który widocznie, choć ani grosza zań nie dała i nie wy- pełniła przyjętych zobowiązań, uważała za swą bezwarunkową wła- sność. Odtąd o kazaniach Chołoniewskiego cicho i głucho; czasem tylko, np. w pismach Helleniusza i Dr. Antoniego J. pojawia się

¹ Do *Mik. Grocholskiego* 16 października 1846.

skarga i zapytanie: „Co się stało, czy bezpowrotnie już zaginęły „kazania podolskiego mówcy?“ Odpowiedź na to pytanie dało wreszcie w roku bieżącym wydawnictwo tych kazań, uskutecznione w Krakowie¹, z przechowanych przez najbliższą rodzinę, bądź własnoręcznych rękopismów Chołoniewskiego, bądź wiernych odpisów, sporządzonych pod okiem M. Cecylii. Nie są to jeszcze wszystkie kazania; brak w nich wymienionego już cyklu o Najśl. Sercu Jezusowem; brak francuskich przemów, wygłoszonych w Rzymie i Odessie, które w tłumaczeniu zbytby może blade wyglądały, a wątpię, aby warto je było w oryginale podawać; w każdym razie i z tych dwóch tomów powziąć można wyobrażenie o kaznodziejskiej działalności i gorliwości Chołoniewskiego, wychyla się w pełnym blasku szlachetna, poważna, miłością dla Boga i dla ludzi opromieniona postać podolskiego apostoła.

Mniej może głośną, ale bodaj czy nie skuteczniejszą jeszcze działalność rozwinął Chołoniewski szerząc znajomość niezrównanych ćwiczeń duchownych św. Ignacego Lojoli; przewodnicząc w tej drodze licznym duszom, pragnącym choćby raz w życiu na seryo nad życiem swem, jego początkiem i celem się zastanowić, wyższej doskonałości łaknąć. Wiedząc z własnego doświadczenia, jaką wagę mają dla duszy dobrze odprawione rekolekcyje; jakie nowe światy jej odkrywają i na nowe zupełnie tory popchnąć ją mogą, nie szczędził ks. Stanisław pracy i starań, aby Boże to lekarstwo z należytą znajomością i w należyty sposób sercom podawać i w tej ważnej, ale niełatwej, przez nieprzyjaciół duszy mnogimi zazwyczaj przeszkodami najeżonej wędrówce, być jej doświadczonym wodzem, mistrzem roztroptym a odważnym. Rekolekcyje odprawiane pod najbieglejszymi mistrzami w Paryżu, Wiedniu i Rzymie, zaznajomiły go gruntownie z całym planem i taktyką św. Ignacego; pozwoliły wglądnać i ocenić mądrość prawideł, rad i przepisów, którymi twórca „Ćwiczeń duchownych“, ze wszęch stron niejako duszę otacza, nie pozwalając jej ani na chwilę zboczyć z prostej, najkrótszej drogi wiodącej do zamierzonego celu; prowadziły go kolejno drogą skruchy i pokuty, drogą pracy i cierpienia ponoszo-

¹ *Kazania* ks. Stan. Chołoniewskiego. Tomów 2. Kraków 1888. Nakładem J. K. Żupańskiego i K. J. Heumanna.

nego dla pozyskania sobie królestwa Bożego, a modlitwą osłodzonego; drogą miłości Bożej — pokazując jakby w miniaturze, wszystkie te coraz wyższe drożyny i ścieżki, któremi dusze wierne Stwórcy swemu służące, do Stwórcy swojego całym życiem dążą. Ale inna jeszcze jest rzecz odnaleźć i wdziierać się samemu po wązkiej ścieżce wiodącej do nieba; a inna po tej ścieżce drugich prowadzić. Zrozumiał to ks. Chołoniewski i dlatego, nie zadawalniając się nabytą już praktyczną, a niemal rok rocznie w czasie własnych rekolekcyj pomnożoną wiedzą i doświadczeniem; zabrał się do formalnego studyum nad złotą książeczką św. Ignacego, uważając słusznie, że najzdrowszej i najczystszej wody najłatwiej ze samego źródła zaczerpnąć. Pozostałym dowodem tego studyum jest niewielka z 67 stronnic złożona, bardzo starannem piśmem wysztychowana książeczka, zawierająca z niemalą widocznie pracą przetłumaczone na język polski niektóre ważniejsze prawidła, uwagi i przestrogi, wyjęte z „Ćwiczeń duchownych“ św. Ignacego. Na pierwszej kartce czytamy następującą dedykację, nowy ślad przeszlicznego stosunku, jaki zachodził między ks. Stanisławem a Matką Cecylią, tym dobrym Aniołem stróżem, którego jeśli nie głośnym prośbom, to odgadniętym życzeniom i ten przekład z pewnością zawdzięczamy:

„Najukochańszej w Bogu Siostrze Maryi Cecylii Chołoniewskiej, Mistrzyni nowicyatu Zgromadzenia Nawiedzenia N. Maryi „Panny, tę duchowną pamiątkę szczęśliwej trzy miesięcznej pory „z Nią przepędzonej r. 1837 w Kamieńcu, poświęca brat i wielki „miłośnik Jej duszy.

X. *Stanisław Chołoniewski.*

Najukochańsza Siostrzo!

„Trudno jest ubogim bogaczów obdarzać. Siedzącym przy „bankiecie królewskim zebrackie potrawy nie przyjdą do smaku. „Wszakże ponieważ i szczenięta jedzą z odrobin, „które padają z stołów panów ich, przyjm łaskawie „Siostrzo, tę trochę okruszyn, które i dla mnie upadły ze stołu „Oblubieńca Twego, a które ci szczerem sercem ofiaruję — a jako „Chrystus pokory niewiasty Chananejkiej nie odrzucił, tak i Ty „moją stałą nie wzgardzisz miłością“.

Zapewne okruszyny to, ale złote i żałować tylko należy, że M. Cecylia nie wymogła na bracie przetłumaczenia całej książeczki św. Ignacego, do czego jedyny, pełen namaszczenia, nieco archaiczny styl jego wybornie się nadawał¹. W każdym razie i dziś ktoby

¹ Oto ułożony przez samegoż tłumacza i na końcu umieszczony:

Spis materji w tej książeczce zawarty:

- 1) Prawidła dla rozpoznania wzruszeń duszy przez rozmaitych duchów wznieczanych, ażeby dobre tylko przyjmować a złe odrzucać.
- 2) Inne pożyteczne prawidła do dokładniejszego badania duchów.
- 3) Niektóre uwagi o rozeznaniu szkrupulów, które szatan do duszy wrzuca.
- 4) Św. Ignacego Lojoli niektóre ważniejsze przestrogi dla osób doskonałości chrześcijańskiej pragnących.

Nadto przełożył ks. Chołoniewski, choć do książeczki tej nie wciągnął: „Reguły wyboru“.

O trudności tego tłumaczenia ten tylko może sobie zdać sprawę, kto usiłował choć parę zdań św. Ignacego na język polski przełożyć i jeśli nie zna, to przynajmniej słyszał o obszernej literaturze rekolekcyjnej, o mnóstwie nie zawsze w każdym szczególe ze sobą zgodnych komentatorów i komentarzów *Ćwiczeń duchownych*. Chołoniewski powodując się dobrze zrozumianym pietyzmem, nie chciał uronić ani jednego słowa tego prawdziwego w swym rodzaju arcydzieła, a jednocześnie usilnie starał się o poprawność języka polskiego. Nie łatwe było zadanie dopiąć tych dwóch celów, wzajemnie ze sobą nieraz walczących; czy i jak Chołoniewski potrafił i tę i liczne inne trudności pokonać, o tem najlepiej zaświadczyć może sam przekład, z którego tutaj dla interesujących się tą kwestją, kilka wyjątków podamy. Oto np. parę prawideł w pierwszym rozdziale umieszczonych:

Prawidło IX. Trzy są ważniejsze przyczyny utrapienia duchownego:

1) Z powodu oziębłości i lenistwa w ćwiczeniach naszych duchownych, słusznie pociechy Boskiej pozbawieni bywamy. 2) Ażebyśmy próbę z siebie okazali, jakimi jesteśmy i czy zdołamy poświęcić się służbie i chwale Bożej, bez obecnego jakowegoś jurgieltu pociech i darów duchownych. 3) Ażebyśmy zupełnie byli przeświadczeni, iż to nie jest w mocy naszej, nabyć lub zachować gorącą pobożność, potężną miłość, obfitość łez, albo inną jakąkolwiek wewnętrzną pociechę; lecz że wszystkie te rzeczy są dobrowolnymi darami Boga; jeśli więc będziemy je sobie przywłaszczać jako nam należne, wpadniemy w występki pychy i próżności, z wielkiem zbawienia naszego niebezpieczeństwem...

Prawidło XII. Nieprzyjaciel nasz ze względu niedoleżności sił własnych i krnąbrności umysłu obyczaj niewieści przybiera. Albowiem jak kobieta jaka z mężem zwaśniona, skoro spostrzeży, że on się jej stawi stałem i podniesionem obliczem, natychmiast traci odwagę i ucieka; jeśli zaś go lęklwym i skłonny do ucieczki uważa, do największej wbija się śmiałości i z wściekłością nań napada; podobnie zwykł szatan zupełnie upadać na odwadze i sile, ilekroć widzi duchownego zapaśnika nieustraszonem, twardem czołem opierają-

chciał wzbogacić ascetyczną naszą literaturę, niełatwem do wykonania, i dotąd podobno zupełnie zadowolniająco nie wykonanem, dokładnem, a o ile można dosłownem tłumaczeniem całych *Ćwiczeń duchownych św. Ignacego*, znaleźćby mógł w przekładzie ks. Chołoniewskiego niejedną wskazówkę i pomoc.

Dokładne oddanie nie tylko przewodniej myśli św. Ignacego, ale często bardzo delikatnych jej odcieni, najlepiej pokazuje, jak Chołoniewski starał się i potrafił wystudyować arcydzieło twórcy rekolekcyj, tę drobną w objętości a tak wielką w skutkach książeczkę, o której powiedziano, że więcej nawróciła grzeszników, niż liter w sobie zawiera. Nie dziw, że pod kierunkiem tak dobrego i starannego mistrza, zrozumiano niebawem na Podolu, że rekolek-

cego się jego pokusom. Lecz jeśli napadnięty lekliwie pierwszym jego zamachom opiera się, nie masz na ziemi potwora zjadliwszego od niego, sroższego i zaciętszego w wykonaniu, ze szkodą naszą, żądry złośliwego i upartego jego umysłu.

Prawidło XIII. Tenże sam wróg nasz postępuje obyczajem każdego niegodziwego lubieżnika, który dziewczę uczciwych rodziców córkę, lub żonę pocziwego jakiego małżonka uwieść pragnąc, wszelkim stara się sposobem, ażeby słowa i rady jego ukryte były, a niczego więcej się nie lęka i nienawidzi, jak żeby ich nie wyjawiała córka ojcu swemu, albo żona mężowi, dobrze wiedząc, że w ten sposób życzenia jego i chęci w niwecz obrócone zostaną. Podobnie i szatan usiłuje, ażeby dusza, którą podejść i zgubić pragnie, zdradzieckie poduszczania jego tała. Obraża się zaś wielce i ciężką znosi mękę, jeśli spowiednikowi, alboliteż duchownej jakiej osobie odkryte zostaną, przez których, wie dobrze, że na głowę porażony będzie.

Prawidło XIV. Przeciwnik nasz zwykł także naśladować naczelnika wojska, który ma chęć obszoną twierdzą zdobyć i zrabować, opatrzywszy wprzód posadę i fortyfikację miejsca, na słabszą bije stronę. Równie więc i on obchodzi duszę, chytrze śledząc, jakimi cnót warowniami tak moralnemi, jak i teologicznemi jest ona uzbrojona, z jakich jest ogołocona; a przybrawszy wszystkie swoje wojenne narzędzia, ufny, że nas przełamie, w tę najmocniej uderza stronę, którą w nas mniej zabezpieczoną i strzeżoną postrzeża.

Juz z paru tych wyjątków powziąć można wyobrażenie o tym przekładzie w swym rodzaju jedynym; niezmierna tylko szkoda, że całości nieobejmującym. Prócz wymienionej już książeczki, znajdujemy jeszcze w papierach Chołoniewskiego tłumaczenie „Regół wyboru“, które jednak ostatecznego obrobienia nie doczekało się. Fragmenta to, ale i te fragmenta powtarzamy raz jeszcze, oddaćby mogły, zdaniem naszym, niemalą usługę, przy ewentualnym *klasycznym* przekładzie „*Ćwiczeń św. Ignacego*“ którego, da Bóg! prędzej czy później doczekać się musimy.

cye nie są karą, ale lekarstwem, najlepszym środkiem do ocucenia duszy ze stanu oziębłości i pchnięcia jej do doskonalszego służenia Bogu; że ci nawet równie księża jak i ludzie świeccy, co z początku z pewnem uprzedzeniem o rekolekcyach słuchali i mówili, poznawszy z własnego doświadczenia ich moc i słodycz, w następnych latach nie tylko sami na nauki a raczej głośne rozmyślania Choloniewskiego się garnęli, ale i innych ociągających się słuchaczy ze sobą prowadzili. Kilka takich rozmyślań w całości spisanych; kilka schematów rekolekcyj to dla „ukochanego Mima“, to dla „księży dyecezyi kamienieckiej“, to znów w ogóle „dla wiernych w katedrze kamienieckiej“, mam przed sobą; a sądząc po tych zapiskach, i dziś jeszcze życiem i gorliwością tryskających, ziarno to na zupełnie jeszcze świeżą, niejako dziewiczą rolę padające wzrastać musiało w piękne i bujne owoce. Po poprzedniej spiekocie francuskiego niedowiarstwa, które tyle serc wypaliło; gdy w powietrzu już wisiały ciężkie burze, które i dziś jeszcze nie przeszły, potrzebną była oaza, w której dusze codziennymi trudami życia zmęczone, jakby oslepione, mogłyby się wiarą oświecone spokojnie w koło siebie rozglądnać; zebrać sobie zapas prawdy na następne długie lata głodu; prawdą i miłością Bożą do przyszłych walk się uzbroić. Taką oazą w duchownem życiu Podola, dla tych zwłaszcza, co sami stanowiskiem swem i urzędem mieli w życiu tem innym przewodniczyć były rekolekcyje, których nie sam tylko Choloniewski udzielał, ale które dopiero pod jego wpływem i za jego przykładem zmieniły się z szeregu luźnych często nauk w organiczną całość, wedle metody św. Ignacego zbudowaną, duchem jego ożywioną, wiążąc w ten sposób umysły, hojniejsze błogosławieństwo Boże jednając i dając wreszcie należyte wyobrażenie czem są i jakie skutki rekolekcyje mieć mogą.

Na odprawiane w kaplicy Wizytek, zwykle trzydniowe, parę razy nawet ośmiodniowe rekolekcyje, zbierało się nieraz do dwustu osób, które raz zbawiennego tego lekarstwa zakosztowawszy, same później, jak ks. Stanisław z radością stwierdzał, natarczywie go się domagały. „Wielki ma dar Staś do oświecenia duszy, zdaje sprawę mężowi Emilia Grocholska¹ natychmiast po ukończeniu takich

¹ Do *M. Grocholskiego*. Bez daty.

rekolekcyj. Miał też pociechę, że niedarmo pracował i zdrów i wesół. Sam ks. Stanisław o dawanych przez siebie rekolekcyach zwykle ani słowem nie wspomina; czasem tylko wśród mnóstwa innych wiadomości i interesów lakoniczna wzmianka¹: „Zaczynam dziś (albo: „skończyłem dziś“) rekolekcyę ośmiodniowę u Wizytek, na żądanie świeckich osób“. A przecież dawanie rekolekcyj, choć bardzo z nimi praktycznie i teoretycznie obeznanemu nie przychodziło bez pracy. Świadkiem tej sumiennej pracy obszernie szkicowane rozmyślenia, z których np. jedno „O śmierci“ zajmuje dziesięć stronic dość ścisłego pisma; świadkiem zabląkany przypadek w papierach: „Porządek dzienny ćwiczeń duchownych pięciodniowych, dla Najukochańszego, Najmilszego w Chrystusie Brata Mima“ i dołączone do tego porządku, również ręką Choleńiewskiego skreślone: „Pożyteczne przestrogi“, tudzież „Wybór cnót do nabycia i przeciwnych im występków do zwalczania“. Notatki te przekonywują najlepiej, jaką wagę ks. Stanisław przywiązywał do należytego odprawiania rekolekcyj, jak je brał na seryo, a żądając, aby je odprawiający również na seryo brali, trzymał się co do litery instrukcyj św. Ignacego. „Przypominam drogiemu memu Mimowi, kończył swe pożyteczne przestrogi, że milczenie i wewnętrzne i zewnętrzne skupienie „się jest niezbędnym warunkiem do osiągnięcia z rekolekcyj pożądaných owoców. Dlatego żadnych wizyt przyjmować nie należy; listów „nie czytać, ani ich nawet nie otwierać. Te tylko czytać i te mieć „książki, które przewodnik duchowny naznaczy i pozwoli; nawet „w dozwolonych książkach to tylko czytać i rozmyślać, co tenże „nakaże: *qui vult finem, vult media*². Mim nie jest w tym wzglę-
„dzie nowicyuszem; rozumie wielką wagę drobnych rzeczy i prze-
„pisów w prowadzeniu interesów duszy; wie z doświadczenia, że
„cały pożytek duchowny rekolekcyj zależy od akuratności w za-
„chowywaniu porządku dziennego i od wspaniałomyślnej ufności,
„z którą podróżnik wybiera się w tę kilkudniową drogę, przykrą
„czasem dla zmysłowej natury, ale dobroczynną dla duszy, nie wa-
„hającej się ponieść wszystkich możliwych ofiar, byle za tę cenę od-

¹ Do *M. Grocholskiego* Kamieniec 16 marca 1846.

² Kto chce dojść do celu, ten chce użyć odpowiednich środków.

„nalazła Boga swego, najwyższy swój cel w czasie i wieczności: „*Accinge, sicut vir lumbos tuos... Confortare et esto robustus*“¹.

Skreślenie choćby najnie dokładniejszego obrazu dziwnych działań i skutków łaski Bożej nawracającej i przekształcającej serca w tych rekolekcyjnych ćwiczeniach, wysuwa się z pod pióra z samej już natury rzeczy; sam jeden Chołoniewski obraz ten mógłby być może w części nakreślić z pokornych wyznań w konfesyonale słyszanych; z opowiadań tych, którzy do niego, jako do przewodnika duchownego po radę i pociechę spieszyli. Widząc, jak wielu, nawet z dalekiej zagranicy, we wszystkich ważniejszych trudnościach po radę do niego udawali się, i rad danych chętnie słuchali; jak nieraz ważne i trudne przedstawiali mu kwestye do rozwiązania i za dane sobie odpowiedzi serdecznie byli wdzięczni; czytając te długie nieraz, z pełną ufnością pisane listy, w których najrozmaitsze osoby z rozmaitszemi jeszcze niedolami swemi przed Chołoniewskim się zwierzały i z pełną ufnością wierny wizerunek swej duszy starały się mu przesłać, dorozumieć się możemy, ile dobrego działać musiał doświadczony ten mistrz duchowny dla serc, które same w ustnej rozmowie, z wszystkimi szczegółami, mogły mu swe rany i potrzeby otworzyć; jak sercom tym proste, do coraz wyższej doskonałości prowadzące ścieżki wskazywał; ile wlewał do nich balsamu niebieskiej pociechy!²

W ostatnim roku życia nie zadawałnając się pracą na ambonie i w konfesyonale, udzielaniem rekolekcyj i z dniem każdym rosnącą korespondencją duchowną; skorzystał ks. Stanisław bawiąc w Strzyżawce z długich zimowych wieczorów i urządził w salonie formalne lekye, a raczej prelekcyje katechizmu, których panowie, dzieci i słudzy równie chętnie słuchali. Brak znajomości katechizmu uważał on zawsze za jedną z głównych ran naszego kraju: „Serce u nas dobre i wierzyłoby chciało, zwykł był mawiać; ale nie wie

¹ Przepasz jako mąż biodra twoje (*Job XXXVIII. 3*). — Zmocnij się a bądź mocny (*Daniel X. 19*).

² W papierach po Chołoniewskim znajduje się bardzo wiele listów pisanych do niego z prośbą o radę i pomoc w różnych pokusach i trudnościach; ale zaledwie dwie lub trzy odpowiedzi udało się nam odszukać. Pierwszych streszczać nie ma naturalnie żadnej potrzeby; natomiast prawdziwą szkodą jest brak drugich, które mogłyby rzucić jasne światło na wewnętrzne dzieje pięknego tego serca.

w co ma wierzyć; nie wie zazwyczaj, co to znaczy: wierzyć — stąd tyle u nas niekonsekwencji; tak łatwo najbałamutniejsze zarzuty mięszają nas i sprowadzają z dobrej drogi. Z wielką przeto radością patrzył na zgromadzone koło siebie w Strzyżawce grono pilnych słuchaczy, szczęśliwy, że może w wierze] ich utwierdzać i rzucać w tę dobrą rolę bujne nasienie prawd Bożych. W tej chwili Choloniewski znany już był i ceniony nietylko na Podolu, ale w całej Polsce, jako znakomity pisarz; mówiono o nim głośno i powszechnie, że dobrze na infułę biskupią sobie zasłużył, i że prędzej czy później ominąć go ona nie może: — widać że był on prawdziwym uczonym i odpowiednim kandydatem na rządcę diecezji, kiedy tak sobie cenil najgłębszą i najpotrzebniejszą ze wszystkich nauk, i komu i kiedy mógł, starał się ją w umysły wpoić, w sercach zaszcześcić.

IX.

Tłómacz, literat, poeta.

Kiedy latem w Janowie, zimą w Kamieńcu, po całodziennej pracy, z umysłem odświeżonym serdeczną pogawędką wieczorną w gronie rodziny i przyjaciół, zasiąść mógł wreszcie Chołoniewski przy obszernym swym, książkami i papierami zarzuconym biurze, natenczas zapominając o wszystkich kłopotach i troskach, najmil-sze pędził chwile, z piórem w ręku, otoczony dokoła wskrzeszo-nemi przez siebie pięknymi postaciami z umiłowanej przeszłości, oddychając idealną atmosferą chrześcijańskich cnót i obyczajów, którym dawną cześć i miłość w ojczyźnie zapewnić było jedynym celem literackich jego mozołów.

Do pióra czuł ks. Stanisław oddawna pociąg. Nawet przed wy-jazdem do Rzymu, mimo licznych a rozpraszających umysł podróży i zajęć, mimo borykania się z mszczącym się za dawne zaniedba-nie językiem i stylem, młody dziedzic Janowski nie zadawał się bynajmniej pisaniem czy podpisywaniem samych tylko rejestrów, kwitów i listów; nie zadawał się nawet skleceniem kilku, po-dziwianych w całym sąsiedztwie, okolicznościowych wierszyków; lecz poważnie na świat się patrząc, a żywo zajmując się najpo-ważniejszymi zagadnieniami i serca i rozumu, przetłumaczył słynne, wówczas całą Europę zajmujące dzieło księdza Lamennais'go:

„O obojętności w kwestyach religijnych“ i znaczne ustępy z najznakomitszego może podziś dzień ascetycznego podręcznika, ułożonego w XVI w. przez hiszpańskiego Jezuitę Rodriguesa. Co prawda, pierwsze te próby równie na filozoficznym jak na ascetycznym polu nie wypadły świetnie. Przekładu Rodriguesa nie doprowadził Chołoniewski do końca, zrozumiawszy snać, że daleko lepsze i odpowiedniejsze jest staropolskie tłumaczenie, choć z pewnymi nieużywanyymi zwrotami i wyrazami, niż tłumaczenie wrzekomo do dzisiejszego języka zastósowane, w gruncie zasiane galicyzmami, nieraz wprost z gramatyką polską się kłójące. Te same względy nakłoniły go do cofnięcia z drukarni najprzód petersburskiej, później berdyczowskiej, przekładu ks. Lamennais, choć i tu i tam druk już był rozpoczęty; — i dobrze się stało, bo jak pozostały rękopism przekonywuje, tłumacz więcej miał poczciwych chęci, niż umiejętności; sądził, że piękność stylu zawisła na sążnistych, o ile można zawilgłych frazesach, słowem z piórem zupełnie obchodzić się nie umiał. Mówiłem niby i bazgrałem po polsku, przyznawał się później bez ogródki, ale gdyby starzy Polacy z Zygmuntofskich czasów z grobu wstali, zapłakaliby rzewnymi łzami czytając te dziwolągi: do szkoły tobie chodź i samemu bakałarza słuchać, nie innym w książkach bakałarzować! Jakoż poszedł Chołoniewski do szkoły Zygmuntofskich klasyków, nie wzgardzając jednocześnie lekcjami współczesnych założycieli polskiego romantyzmu, a pod ich wpływem jeszcze w czasie pobytu w „Akademii duchownej“, gramatyczne błędy stanowczo ustąpiły, a z czasem i styl zmienił się do niepoznania. W tym względie podziwiać tylko należy żelazną pracę Chołoniewskiego; każdego roku styl jego z dawnych pęt już wyzwolony, widocznie się doskonali, nabiera lekkości i oryginalności; aż wreszcie w kilku ostatnich na większą skalę zamierzonych pracach staje się nietylko posłusznem, ale i znakomitem narzędziem w ręku tego samego mistrza, co jeszcze przed niewiele laty kilku porządnych zdań polskich skleić nie umiał, prywatną korespondencję dla ułatwienia sobie pracy po francusku prowadził, a przynajmniej gęsto francuszczyzną ją szpikował.

W pierwszych latach po powrocie z Rzymu nie dowierając jeszcze literackim swym siłom, przetłumaczył Chołoniewski, jakby w celu zaprawienia się do przyszłych oryginalnych prac, głośne

wówczas książki: *Narzędzia męki Chrystusowej* i *Słowa nieprzyjaciół Chrystusa*, znanego sobie osobiście wiedeńskiego kaznodziei Jana Emanuela Veitha¹. Postać, charakter i rodzaj wymowy ks. Veitha naszkicował sam Chołoniewski w „Przypisku tłumacza“ umieszczonym w pierwszej z tych książek, a w którym nie domyślając się nawet, że w części własny swój portret kreśli, tłumaczy się niejako, co go do tego szczególnie autora pociągnęło. „Cechą geniuszu ks. Veitha jest rzadkie nader połączenie dwóch żywiołów, na pozór sobie przeciwnych: wesołej, lotnej myśli z głębokiem czuciem i pojęciem wszelkich nędz serca ludzkiego. . . Owa wyższej strefy, szlachetna, poważna, nieobrażająca wesołość ducha, na której starzy nasi ojcowie dobrze się znali, którą angielski język wyraża dobitnie przez słowo *humour*, niewypowiedzianym wdziękiem wszystkie jego pisma okrasza. W głębokiej znajomości oryentalnych języków czerpie ks. Veith żywe barwy płomienistego Wschodu, które prosty, serdeczny styl jego prawdziwą oryginalnością piętnują. Z kazalnicy głos jego słaby, lecz jasny; mowa, zda ci się zrazu płynąć z cicha, jak czysty, spokojny strumień; wkrótce jednak czujesz, jak nieznacznie do serca tajników głęboko wnika; jak proste słowa niewygasłe ślady ogniste po sobie zostawiły... Wzrostu jest szczupłego, twarzy bladawej, której nic przyjemnie nie odznacza prócz oka jaśniejącego wysoką myślą, głębokiem rozrzwiniem“.

Pomimo tego tak pochlebnego z szczerą sympatją nakreślonego portretu, Chołoniewski nie ludził sam siebie i innych i nie przeceniał wartości książek przez siebie przetłumaczonych. „W poczet tak zwanych genialnych utworów utworów zaliczać tych książek nie można, oświadczą bez ogródki², a przecież z rąk ich wypuszczać nie chcemy. Czytając je, zdaje nam się czasem, iż jakiś nad wyraz wspaniały, liतोściwy, niewidomy przyjaciel do znę-

¹ *Narzędzia męki Chrystusowej* przez ks. Jana Emanuela Veith, kaznodzieję kościoła katedralnego w Wiedniu. Tłumaczył z niemieckiego ks. Stanisław Chołoniewski. Wilno. Nakład i druk T. Glücksberga 1842. Str. 311. (Z ryciną). — *Słowa nieprzyjaciół Chrystusa* wyszły w rok później również w Wilnie nakładem Glücksberga. Str. VII, 330. (Z ryciną).

² *Słowa nieprzyjaciół Chrystusa*. Kilka słów tłumacza. VII.

kanego troskami serca naszego słodkie słowa przemawia, słowa pokoju. Doznaną pociechę pragnąłem ci przynieść w tym przekładzie szanowny czytelniku!... Cóż to więc za książka, boć każdy, któremu czas drogi (a komuż on tani, zwłaszcza, kiedy idzie o przeczytanie nowej jakiej książki, zakrawającej na nabożną) z sercaby rad, aby mu wprzód, choć krótko a węzłowato, jakiegokolwiek o niej dano zdanie, coć przecie jest? Jakiego rodzaju dzieło? Czy jaka *Nowa heroina*, czy odnowiony *Ołtarzyk złoty*, czy świeżo zaciągnięte *Wojsko affektów*? „Nie, to coś innego, ale co właściwie? Wyjaśnienia napróżno w przedmowie czekamy; ks. Chołoniewski zaciekawwszy czytelnika dyplomatycznie go do samych książek odsyła, a i my dzisiaj, choćby dla lepszego poznania kierunków, w których podążyły upodobania i myśli naszego bohatera musimy z książkami temi radzi nie radzi, choć przelotną zawrzeć znajomość.

Radzi nie radzi, bo choć dzieła Veitha nie są bez niemałych zalet, żal nam trochę drogiego czasu, użytego przez ks. Stanisława na ich przetłumaczenie, czasu ukradzionego oryginalnym pracom, które podobno byłyby dla nas i korzystniejsze i sympatyczniejsze. Lotna myśl, wesołość ducha, żywe barwy płomienistego wschodu widoczne w pismach Veitha i którymi zachwycony Chołoniewski zachwycać się nam każe, grzeszą zdaniem naszym właśnie pewnym zbytkiem lotności i barwności, pewnem zbyt jawnem ubieganiem się za oryginalnymi pomysłami, które pod piórem nie — geniusza, zbyt łatwo wyradzają się w naciągane porównania, w mniej lub bardziej szczęśliwe koncepta, z mniejszą lub większą pracą wyrzeźbione pompatyczne frazesy, przypominające czasem z daleka smutne tradycje makaronicznej naszej epoki. Jak i dłączego Chołoniewski, który tak nielitościwie chłostał w swych pismach wszelką przesadę i makaronizm, mniejsza o to francuski czy łaciński, a w oryginalnych swych utworach tak pięknie umiał zachwalony przez siebie *humour* z poezją i uczuciem połączyć, — nie spostrzegł jednak tych zdawałoby się dość jawnych stron ujemnych w dziełkach przez siebie tłumaczonych? Zagadkę tę wyjaśnia nam z jednej strony szczere uwielbienie i osobista przyjaźń z Veithem, którego żywe słowo w katedrze św. Szczepana inaczej działało i do serc wpadać musiało niż pisane; z drugiej strony gęsto w nich zasiane wzruszające i głębokie rozdziały i ustępy,

które bądź co bądź czasem wbrew zbyt sztucznie pomyślanemu planowi główny a wdzięczny ton im nadają.

W narzędziach męki Chrystusowej przechodzi autor z kolei wszystkie narzędzia niegdyś w Jerozolimie przez żydów i pogańskich żołdaków dla zadania srogich mąk Jezusowi użyte, dziś w podobny sposób w całym świecie używane i odnawiające mękę Zbawiciela. „Zbiór ten obrazów, czytamy w pierwszym, ogólny program całej pracy skreślającym rozdziele, zaczyna się od trzydziestu srebrników; wyrażają one chciwość ziemską, ową haniebną cenę, za którą nieśmiertelnej duszy naszej pozbywamy się; oraz nieskończoną tę cenę, którą z niewoli dusza wykupiona została. Pod figurą latarni, okazują się nam rzetelne dobra i prawdziwa mądrość; jako też przeciwna im pozorna mądrość i wykrętarstwo. Mądrość prawdziwa uczy nas świętych obowiązków. Poznajemy je w trzecim obrazie, w więzach Chrystusowych; widzimy przy nich niewolnicze pęta grzechu i wieczne łańcuchy potępienia. Lecz wyraźniej i mocniej jeszcze ostrzeża nas o tem wszystkim głos wewnętrzny, głęboko ukryty. Obrazem jego jest kur, zwiastun poranka, budziciel świętego Piotra. Wszelako niezrozumianym będzie dla nas i ten obraz, jeśli nie poznamy owej krainy, z której głos prawdy do nas spływa. Zasłona na obliczu tego, „który jest i który był i który przyjdzie Wszchemogący“, oświeca nas względem tajemnicy zakrytego czasu i osłoniętej wieczności. Czas dany jest dla przygotowania się do szczęśliwej wieczności, do krócej niezamazani tylko wnijdą i to nam przypomina Jezusa biała szata. Żebyśmy jednak w czasie przemijającym nie uwięźli, lecz o dobra wieczne dobijali się, do tego nas nakłania Opatrzność dobroczynną snrowością: wyrazem jej są bicz e. Lecz stracony czas nie powraca, a po chłostach miłosierdzia następują, acz późno, ale niezbędnie wyroki sprawiedliwości, sądy wiecznego potępienia; błyszczą one nam w oczy jakby dla przestrogi, w krwawej purpurowej szacie Chrystusa. Dalej nie sięga już nasz rozum, wyobrażenia nasze ustają. Lecz jeżeli nam i te są dostatecznymi, dlaczego nie rozważamy ich lepiej w sercu? Dlaczego podle samolubstwo, nie pochodnia prawdy ewangelicznej tak często nami kieruje? Dlaczego tak nieznośnymi są nam więzy obowiązku? Dlaczego nie słuchamy skwapliwiej głosu sumienia?... Odpowiedź

na te pytania wyczytać możemy w następującym szeregu obrazów, w którym się objawiają przeszkody zbawienia naszego. Szczeremu rozważaniu prawdy staje na zawadzie roztargnienie umysłu; ostrzega nas o tem korona cierniowa. Niestalość woli naszej w niwecz obraca postanowienia nasze; to nam zapowiada berło z trzciny. Niespokojne sumienie szuka jak dogodzić uprzedzeniu o własnej cnocie, chwyta się obludy; dowodem jest tego miednica Piłata. Odrażę serca, z którą unikamy cierpień, albo ich na złe używamy i zbawienną ich pomoc niweczymy, objawia nam krzyż; wyczytać ją możemy na tablicy krzyżowej. Z nieposłuszeństwa Bogu pochodzi owa zuchwała gra z losem, przysłem szczęściem i łaską, czarna chęć powątpiewania o Opatrzności i przeznaczeniu; to wszystko znajdziemy w grze w kości. Nakoniec wzmagające się powątpiewania prowadzą do zupełnego niedowiarstwa; samowolność i bezprawia przerabiają się na bezbożność; tym sposobem gorycz i kwas w sercu osiadają: gąbka octem i żółcią napuszczona, też same smaki nam podaje. Któż przyjdzie na pomoc upadłemu? Któż go z owych siedmiu przepaści zatracenia na drogę zbawienia zaprowadzi? Cierpiąca, w smutki niegdyś opływająca a teraz świetnie na niebie i ziemi panująca, macierzyńskim miłosiernym sercem ku wszystkim ludziom wylana, Przen. Dziewica, Matka Boga naszego. Tę pocieszającą prawdę czytamy w obrazie siedmiorkiego miecza. Kto jej wsparciem wzgardza i upornie trwa w zaślepieniu; temu nakoniec zagraża śmiertelny cios zupełnego i wiecznego odłączenia od światła i miłości Boskiej, wyrugowanie z królestwa Ojca niebieskiego, do którego nikt przyjść nie może, tylko za pomocą Syna. Tę tajemnicę wyrażają włócznia, grób i kamień grobowy z pieczęcią⁴.

Oto ogólny, ściśle następnie w osmnastu rozdziałach przeprowadzony plan, z którego dostatecznie poznać już można autora, sposób jego myślenia i pisania, zbyt o sztuczną harmonię i systematyczność dbający, aby w tych z widocznym trudem posklejanych, a ostatecznie niedopasowanych ramach, nawet rzeczywiście piękne obrazy należyte mogły wyrzeć wrażenie. Tenże sam zarzut, choć w mniejszym stopniu, odnosi się i do drugiego dzieła Veitha, przez Choloniewskiego przetłómaczonego: *Słowa nieprzyjaciół Chrystusa*. Należy nam zbadać i zgłębić, wyjaśnia autor myśl swą przewodnią,

słowa wrogów Chrystusowych, a zatem słowa wrogów Kościoła i naszych, bo w nich odbija się program ich działania, na jaw wychodzą ich zasadzki, pragnienia i uczucia; bo należy zbliżka poznać orężę nieprzyjaciela, z którymi on zawsze i dotąd w duszach ludzkich z Chrystusem wojnę toczy, ażeby mężnie przeciw nim się stawić i od nich nie ponieść szwanku. Stosownie do tego programu rozbiera ks. Veith w dwudziestu rozdziałach dwadzieścia słów, a raczej zdań wyrzeczonych przez wrogów Chrystusa w czasie krwawej Jego męki, a przez ewangelistów wiernie przechowanych¹, z każdego z tych słów obfite nauki ciągnąc, zastosowując praktycznie do codziennego życia, wyjaśniając z nich dzieje świata i Kościoła, ustawiczną walkę miasta Bożego z miastem tego świata. Jak w tej, tak i w książce *Narzędzia męki Chrystusowej*, umieścił Chołoniewski, idąc zawsze śladami Veitha, na końcu każdego rozdziału krótki wierszyk streszczający niejako nauki obszerniej w całym rozdziale rozwinięte a na końcu każdego rozdziału krótki wierszyk

¹ Oto owe słowa, stanowiące tytuł i treść pojedynczych rozdziałów:

1. Wam jest pożytecznie, ażeby jeden człowiek umarł za lud, a nie wszystkim naród zginął. (Jan. XIX. 50).
2. Cóż mi chcecie dać a ja Go wydam. (Mat. XXIV. 15).
3. Któregokolwiek pocałuję, tenci jest, imajcie Go a wiedźcie ostrożnie. (Mat. XXVI. 48).
4. Otoście teraz słyszeli bluźnierstwo — co się wam zda? (Mat. XXVI 65).
5. Prorokuj nam Chrystusie: kto jest, który Cię uderzył. (Mat. XXVI 68).
6. Nie znam tego człowieka. (Mat. XXVI. 72).
7. Toś Ty jest król?. (Jan XVIII. 37).
8. Co jest prawda? Ty się patrz! (Jan XVIII. 38).
9. Co nam do tego — ty się patrz. (Mat. XXVII. 4).
10. Strać tego a wypuść nam Barabasza. (Łuk. XXIII. 18).
11. Oto człowiek! (Jan XIX. 5).
12. Skądżeś Ty jest? (Jan XIX. 9).
13. Nie wiesz, iż mam moc ukrzyżować Cię i mam moc puścić Cię. (Jan. XIX. 10).
14. Strać! strać! ukrzyżuj Go! (Jan XIX. 15).
15. Nie winienem ja krwi tego Sprawiedliwego — wy się patrzcie. (Mat. XXVII. 24).
16. Jeśliś Syn Boży, zstąp z krzyża. (Mat XXVII. 40).
17. Dufał w Bogu, niech Go teraz wybawi, jeśli chce. (Mat. XXVII. 43).
18. Com napisał, napisałem. (Jan XIX. 22).
19. Prawdziwie człowiek ten był Synem Bożym. (Mar. XIX. 19).
20. On zwodzieciel powiedział jeszcze żyjąc: po trzech dniach zmartwychwstanę. (Mat. XXVII. 63).

z najrozmaitszych poetów polskich z niemalą pracą dobrany. Najczęściej spotykamy wyjątki z psalmów w przekładzie Kochanowskiego i Karpińskiego, tudzież oryginalne wiersze obu tych poetów; dalej liczne ustępy z *Bogomyślnych rymów* Stanisława Grochowskiego, kilka ustępów z Miaskowskiego i dwie cytaty z Mickiewicza. Tak rozmyślanie o słowach Pilata: „Nie winienem ja krwi tego Sprawiedliwego“, z których Veith bierze pochop do ostrzeżenia przed niepotrzebnymi wymówkami i fałszywym wstydem na spowiedzi, kończy Choloniewski prześlicznym wierszem:

Z Tobą ja gadam, co królujesz w niebie
A razem gościsz w domku mego ducha...
Lekarzu wielki! Ty najlepiej widzisz
Chorobę moją, a mną się nie brzydzisz.

Rozmyślanie o słowach setnika: „Prawdziwie człowiek ten był Synem Bożym“ zamyka hymnem na cześć Arcymistrza:

„co wszystkie duchy wziął do chóru
I wszystkie serca nastroił do wtóru,
Wszystkie żywioły naciągnął jak struny,
A wodząc po nich wichry i pioruny:
Jedną pieśń śpiewa i gra od początku,
A świat dotychczas nie pojął jej wtku.

Nie warto było może Veitha tłumaczyć, ale kiedy już Choloniewski do tłumaczenia się zabrał, to przyznać należy, że zrobił wszystko, aby nie tylko dorównać, ale i przewyższyć wartość oryginału. Jasno a trafnie i sprawiedliwie wypowiada tę myśl Stefan Witwicki w liście do Emilii Grocholskiej, która jak matka nim się w chorobie opiekowała, i którą też pieszczotliwie *mateczką* nazywa¹: „Oba tomy Veitha przeczytałem po wyjeździe mateczki; „tłumaczenie znalazłem doskonałe, sam oryginał nie bardzo mi do „myśli przypadł, te cytacye z dykeyonarza anegdot, ten ton lekki, „humorystyczny, wesoly prawie, to przerzucanie się *sans façon* od „rzeczy najświętszych do trywialnych, ta sarkastyczność i te czasem „dowcipki, właściwe raczej *memoriam*, poufałemu listowi, albo „wesolemu *feuilletonowi*, — to wszystko mówię przy krzyżu na „Golgocie! przy męce Pańskiej, może się podobać światowszym

¹ 13 stycznia 1846. Freywaldau. *Niwa* r. 1882. T. XXII. „Z teki autografów“ wydanej przez dr. Antoniego J. Str. 605 np.

„jeszcze odemnie czytelnikom; mnie trochę czasami razilo; pragnalbym więcej powagi, skupienia i spokojuści. Niektóre jednak karty całkiem piękne, a w tłumaczeniu, powtarzam, wyborne. Wszakże co mnie się tam mniej trafne wydaje, może właśnie przynęcić do tych książek światowca, a to podobno był główny zamiar autora“.

Rozmiarami o wiele mniejsze, ale do żadnych zastrzeżeń pola nie dające, jest dokonane nieco później przez Chołoniewskiego tłumaczenie milej, szczerą pobożnością tchnącej włoskiej książeczki O. Karola Borgo: *Nowenna przygotowująca do uroczystości Przen. Serca Jezusowego*¹. Ks. Stanisław wierny a gorący czciciel Serca Jezusowego, jak kazaniem tak nowenną tą pragnął wskrzesić i rozszerzyć w Polsce nabożeństwo, które dawniej, w XVIII jeszcze wieku prześlicznie u nas zakwitnąwszy, poszło w rodzaj zapomnienia i zbyt mało w tym czasie, z prawdziwą szkodą dla serc i dusz znane było i cenione. Do tego celu, zwłaszcza do pouczenia, na czem właściwie nabożeństwo do Serca Jezusowego zależy, wybornie nadawały się i nadają rozmyślenia O. Borgo, łączące w myśl Kościoła najściślej ze sobą związane nabożeństwa do Przen. Sakramentu i do Serca Jezusowego; śledzące niejako krok za krokiem tajemnicze życie Boskiego tego Serca w Przen. Sakramencie, — życie błogosławione, ofiarne, pokorne, miłości pełne, czynne, ukryte, wyniszczone, a jednak jaśniejące chwałą, zdrojem łaski będące. I dzisiaj, choć już tyle posiadamy oryginalnych i tłumaczonych dzieł i dziełek o Najśl. Sercu, nowenna O. Borgo poczystnie między niemi zajmuje miejsce; w czasie, w którym ks. Chołoniewski na język polski ją przekładał, dusze pobożne zbyt często jałowymi tylko, wrzekomo poetycznymi frazesami o Sercu Jezusowym karmione, czuły oddawna rzeczywistą potrzebę takiego zdrowego a pożywnego pokarmu, a podanie im go prawdziwym było dobrodziejstwem.

Prócz tych przekładów drukiem ogłoszonych, znajdujemy w papierach ks. Chołoniewskiego gruby tom pomniejszych rozpraw, artykułów i dokumentów przetłumaczonych bądź z dawnych klasycznych

¹ *Nowenna przygotowująca do uroczystości Przen. Serca Jezusowego*, ułożona z dzieła włoskiego O. Karola Borgo T. J. przez ks. Stanisława Chołoniewskiego. Nowe wydanie tej książeczki wyszło w Poznaniu r. 1874, str. 113 in 32°.

dziel, bądź z nowszych francuskich i niemieckich książek, bądź wreszcie z ważniejszych zagranicznych czasopism. W jakim celu Chołoniewski dokonywał tych tłumaczeń, czy z czasem myślał je może uzupełnić, wedle pewnego planu ułożyć i oddać na użytek publiczny; czy też poprostu, w miarę jak jaka kwestya bardziej go interesowała, jakiś wywód bardziej do przekonania mu trafiał, utrwał go sobie w pamięci tłumaczeniem, które wyłącznie jako materyał do przyszłych prac, jako pożyteczna lektura w dobranem kółku rodzinnem służyć miało? Druga hipoteza prawdopodobniejszą się wydaje, ale którąkolwiek przyjmiemy, zawsze godną jest uwagi dokładna znajomość i zainteresowanie się wszystkimi ważniejszymi kwestyami, które poruszały umysły, a bardziej jeszcze sumiennosc i pracowitość z jaką zwalczał trudności, często istotnie nie małe.

Nie mało np. napoić się musiał nasz tłumacz, zanim zdołał traktat o Aniołach, wyjęty ze *Summy* św. Tomasza, tak względnie poprawnie, a zarazem tak dokładnie po polsku *odtworzyć* raczej, niż przetłumaczyć¹. Nie mniej starannym, poprawnym języ-

¹ Do dania wyobrażenia o tem tłumaczeniu, o którego zdawałoby się nieprzewyciężonych trudnościach wie dobrze każdy, kto miał sposobność choć pobieżnie z św. Tomaszem się zapoznać, zacytujmy początkowy ustęp z Pytania drugiego, jako najkrótszy a jednak pewną całość tworzący.

Pytanie drugie.

O stosunku Aniołów do miejsc na trzy artykuły podzielone.

Potem zachodzi pytanie o miejscu Aniołów, a względem tego trzy są pytania:

- 1) Czy anioł jest w miejscu?
- 2) Czy może być w wielu miejscach razem?
- 3) Czy wielu aniołów może być w jednym miejscu?

Artykuł I.

Czy Anioł jest w miejscu?

Co do pierwszego tak się postępuje. Zdaje się że Anioł nie jest w miejscu, mówi bowiem Boecyusz (*In lib. de Hebdom.*): „Mędrzy powszechnie uważają, że duchy niecielesne w miejscu nie są“ i Aristoteles in *IV Physic* mówi: „Nie wszystko co jest, jest w miejscu, lecz tylko ciało poruszać się mogące“. Lecz anioł nie jest ciałem, jak wyżej się okazało, więc anioł nie jest w miejscu.

2) Prócz tego miejsce jest ilość posiadającą. Wszystko bowiem co jest w miejscu, ma jakieś położenie, lecz mieć położenie nie może przyzwoitem być Aniołowi, gdyż istota jego jest wolna od ilości, której własnością odróżniającą jest mieć położenie. Więc Anioł nie jest w miejscu.

kiem przełożony *Wykład Pieśni nad Pieśniami* znanego lacińskiego komentatora Tirinusa; szkoda tylko, że tłumaczenie to do końca niedoprowadzone bo i dziś wydałoby się je opłaciło. Przewracając dalsze kartki spotykamy zawsze w wzorowym tłumaczeniu szereg aktów odnoszących się do ówczesnego kulturkampfu pruskiego w sprawie małżeństw mieszanych, które doprowadziło do uwięzienia arcybiskupów kolońskiego i gnieźnieńskiego; encyklikę Piusa VIII do biskupów niemieckich, list arcybiskupa Dunina do króla pruskiego, deklarację dworu rzymskiego w odpowiedź na pismo pruskiego rządu w urzędowej gazecie umieszczone, obszerną rozprawę Goerresa z *Historisch Politische Blaetter* p. t. „Rocznica 20 listopada 1837 r.”¹⁴. W ogóle, kiedy tylko w którym z znakomitszych francuskich lub niemieckich czasopism pojawił się jaki ważniejszy artykuł omawiający stan Kościoła polskiego, mniejsza o to w tej, czy w tamtej dzielnicy, Chołoniewski bądź go natychmiast dosłownie tłumaczył, bądź przynajmniej streszczał ważniejsze

3) Prócz tego być w miejscu, jest to brać miarę z miejsca, być zawartym od miejsca, jak się to okazuje z filozofa. (IV. Phisic t. 14 s. 19. Lecz Anioł nie może brać miary z miejsca, być zawartym od miejsca, — bowiem zawierający jest bardziej formalnym (kształconym) od zawartego, jako powietrze bardziej jest takim od wody, jak powiedziano (IV Phisic t. 35 s. 49). Więc Anioł nie jest w miejscu.

Lecz przeciwnie jest, co się mówi w modlitwie: „Niech święci Twoi Aniołowie w niej zamieszkają i w pokoju niechaj nas strzegą”. Odpowiedzieć należy, że Aniołowi przystało być w miejscu — wszakże dwuznaczność jest w tem wyrażeniu: Anioł i ciało są w miejscu. Ciało jest bowiem w miejscu przez to, iż przylega do miejsca wedle dotknięcia rozmiarowej w ilości. To atoli nie znajduje się w aniołach, lecz jest w nich ilość w mocy (virtualis); przez przyłożenie więc mocy Anielskiej do miejsca jakiegokolwiek rodzaju mówi się, iż Anioł jest w miejscu cielesnem.

I wedle tego oczywistem jest, iż nienależy mówić, iż Anioł bierze miarę z miejsca, lub że ma położenie w przeciągłem, to bowiem przystoi ciału umieszczonemu o ile jest pewną liczbą, ilością rozmiarową. Podobnie dla tego nie przystało, ażeby był zawartym od miejsca, albowiem istota niecielesna mocą swoją dosięgając rzeczy cielesnej, zawiera ją w sobie, lecz nie jest przez nią zawarta. Dusza bowiem jest w ciele jako zawierająca, lecz nie jako zawarta. Podobnie mówimy, że i Anioł jest w miejscu cielesnem, nie jako zawarty, lecz jako zawierający pewnym obyczajem. A tak wskazana jest odpowiedź na zarzuty.

¹ Starannie dokonana kopia tego przekładu wskazuje, że Chołoniewski zamysłał go drukować.

ustępy. W innych materyach przełożone dłuższe rozprawy z *Allgemeine Zeitung*: „O filozofii heglowskiej i obecnym stanie tej szkoły“; z *Université catholique* krytyka „Historji Papieżów XVI i XVII w. przez Rankego“; z *Revue Française* „Religia w teraźniejszych społeczeństwach“; „List o Stolicy św.“ Lacordaire'a; „Stosunki umysłowe Francji z Niemcami“ — widocznie również artykuł z którego czasopisma wyjęty, ale z którego, nie wiemy; mnóstwo wreszcie dłuższych i krótszych wyjątków z *Journal de Frankfort*, *Revue Germanique* i paru jeszcze innych czasopism. Jak widzimy wiązanka bogata i dobrze świadcząca o odczytaniu i sumiennosci Chołoniewskiego z jaką na wszystkie ważniejsze kwestye usiłował sobie pogląd wyrobić; o pilności, z jaką przez te tłumaczenia do pisania dzieł oryginalnych się gotował.

Przez czas dłuższy z żadną oryginalną pracą Chołoniewskiego, prócz niewchodzących w rachubę memoryałów, dzienników i wierszyków się nie spotykamy; znowu jak w tylu innych wypadkach życia i tylu innych przedsięwzięciach, Matka Cecylia, choć tym razem pośrednio tylko miała wskazać bratu drogę, którą idąc wiele dobrego na chwałę Bożą mógł zdziałać i zdziałał. Jeszcze w r. 1830 otrzymał Grocholski pozwolenie od cesarza sprowadzenia Wizytek do Kamieńca i wybudowania im odpowiedniego klasztoru poza murami miasta. Wizytki korzystając z pozwolenia przybyły niebawem do Kamieńca, zamieszkały prowizorycznie w wynajętym domu, czekając rychłoli otworzyć będą mogły na większą skalę pensjonat dla dziewcząt w wnoszącym się tymczasem gmachu. Głównych funduszków dostarczyli Grocholscy, dopomogli im Chołoniewscy i parę innych pokrewnych rodzin, ale gdy budowa więcej, niż z początku obrachowano, pochłonęła pieniądze, a z braku tychże coraz wolniej postępowała, należało zwrócić się do szerszych kół z prośbą o poparcie pięknego, a dla okolicznych zwłaszcza prowincyj tak użytecznego dzieła. Odpowiednią odezwę zredagował ks. Stanisław, a pragnąc zainteresować czytających i przedstawiając ważność podjętej sprawy, do hojniejszych jałmużn ich pobudzić, rozwinął kilka uwag o wychowaniu kobiety w ogóle, o pensjonatach zostających pod zarządem zakonnic, a w szczególności o pensjonatach Wizytek.

Nakreśliwszy w niewielu, ale pięknie dobranych rysach wzniosłe zadanie chrześcijańskiej niewiasty, zwłaszcza chrześcijańskiej

matki, pyta Choloniewski, gdzie i kto wlać może w młodociane serca tego ducha, który tworzy takie chrześcijanki i matki? Bez wątpienia jest to przede wszystkim powołaniem samychże matek, i nigdzie lepiej, jak na kolanach matki dziecko nie uczy się wiary, szlachetności i cnót z wiary płynących; ale jeżeli matka z jakiej-bądź przyczyny nie może sama zupełnego wychowania i wykształcenia córce swej udzielić, natenczas do pomocy takie tylko osoby wezwać sobie powinna, które dają jej gwarancję, że macierzyńskim uczuciem dla dziecka jej przejęte, trucizny mu nie podadzą, w duchu Bożym wykształcą je i wychowają. Gdzie znaleźć takie osoby; kto dać może takie gwarancje? Daje je Kościół, uznając pewne zakony, jako mające szczególną łaskę od Boga do wychowania dziewcząt; uznając ich regułę i sposób postępowania, jako rozumny i zgodny z duchem Chrystusowym, a zatem taki, któremu rodzice z góry spokojnie mogą zaufać. Jednym z takich zakonów, któremu Kościół ważue te a trudne obowiązki porucza, jest właśnie zakon Nawiedzenia Najśw. Panny.

„Klasztor Wizytek założony w Kamieńcu składa się z osób „najzupełniej uzdolnionych do należytego wypełnienia tego wielkiego zadania. Wychowanie w nim udzielone odpowiada wszystkim „słusznym wymaganiom społeczeństwa. Wyrozumowana nauka języków; prowadzone wedle z góry określonej metody wykształcenie we wszystkich naukach, mogących ozdobić umysł kobiety nie „zacieśniając jej serca; mówiąc krótko, całe wychowanie i wykształcenie opartem jest na zasadzie dobrze pojętej pobożności łączącej „w sobie prostotę z odpowiedniem zgłębieniem i zrozumieniem rzeczy, podtrzymującej się i żywiącej się raczej praktyką chrześcijańskich i społecznych cnót, aniżeli błyszczącemi, ale bezowocnemi „teoryami. W wychowaniu tem, wykształcenie serca zajmuje pierwsze miejsce, bo dziś zwłaszcza, jak dowodzi doświadczenie, brak tego wykształcenia bardzo smutno daje się odczuć „we wszystkich warstwach społecznych, a rozumiemy wszyscy doskonale, że bez tego wykształcenia najświetniejsze talenta, najpiękniejszymi zdolnościami obdarzone umysły, przedstawiają przerażający widok wciąż upadkiem grożącej, chwastami porosłej ruiny“...

„Kropla wody ofiarowana spragnionemu zasługuje na nagrodę „w niebie. Jakąż dopiero nagrodę przeznaczą Bóg pięknej tej mi-

„łości, co okrywa duchowną nagość, poi umysł niebieskim napojem, „udziela młodym sercom zdrowego pokarmu, od przepaści i zguby „je zabezpiecza?... Skądinąd dusze kochające Pana już na tej „ziemi za dobre swe czyny otrzymują nagrodę; bo dusze te dobro- „czynne rozumieją i cenią sobie wartość modlitwy, tej jedynej jał- „mużny, którą otrzymać mogą; tego wielkiego daru zapewniającego „duszy jedynie prawdziwe i użyteczne bogactwa. Modlitwy wszy- „stkich Wizytek, po całym świecie rozsianych, wznosić się będą do „Boga za dobroczyńców kamienieckiego klasztoru“.

Odezwa nie przeminęła bez skutku; kto, w jaki sposób i w jakiej mierze mógł, spieszył z pomocą, tembardziej, że równie Grocholski jak Chołoniewski, nie zrażając się koniecznemi w takich razach trudnościami, nie przestawali w prywatnych listach pukać do serc szlachejnych o coraz inne usługi, o zaspokojenie jakby z pod ziemi wyrastających i mnożących się potrzeb. Między innymi udał się Mik. Grocholski do kuzyna swego Adama Raciborowskiego z Makowa, z prośbą o wysadzenie owocowemi drzewami świeżo założonego, ale zupełnie jeszcze pustego ogrodu Wizytek. Raciborowski przyjacielem Wizytek i ich pensyonatów nie był; srodze się też rozsierdził, czytając odebrane pismo, a choć prośbie krewnego odmówić mu nie wypadało i nie odmówił, to przynajmniej w cierpkim, *ab irato* skreślonym liście i jakby odpowiadając na odezwę przez ks. Chołoniewskiego nakreśloną, niechęci swej dał niedwuznaczny wyraz¹.

„W jesieni dam polecenie ogrodnikowi, aby ulice w ogrodzie „PP. Wizytek wysadził; lecz życzę, aby Wizytki doczekały cienia „tych drzew. Te mury tak są przy trakcie, że same zachęcają do „wzięcia, i na to projekta łatwo robić; a takich, coby w te mury „zamykały się, aż nadto mała liczba. Wszyscy ubolewają: O gdyby „to były Panny Miłosierne! — bo tych klasztorów ani rewolucya „w żadnym kraju, ani inne zmiany nie niszczą. Litość staranna dla „każdego i w każdej religii potrzebna i zbawienna; wychowanie dla „świata, a za światem oddalenie od rodziców w wieku, w którym „smutków zaznaćby jeszcze nie powinien, za szczęściem i przy- „jemnościami wdycha, nie wiem czy dobre? Co za opinia o tej

¹ Maków. 10 września 1837.

„płci, aby wychowania należytego, cnotliwego, aż za krata przerwając, w murach niedostępnych szukać musiała? Matki, które w świecie były wychowane, a są wzorem cnoty, mają swe dzieci od siebie oddalać w myśli, że lepsze będą, a mogą być lepsze od swych matek, honor swej płci czyniących? Po ukończonej niewoli klasztornej, gdy nie znajdą w rodzicach dobrego przykładu i z przychylnością pilnego czuwania, a w mężu przyjaciela moralnego, w wyborze przyjaźni gdy zostaną omylone i do złego naprowadzone, to i drugie tyle lat mieszkania za krata, w samotności, nie zachowają ich od grzechu“.

Nie pierwszy to raz, choć nie z równą szorstkością wyrażone, dawały się słyszeć podobne zarzuty, czyniąc nie małą szcerbę w rozpoczętem dziele; dla dobra samejże sprawy należało stanowczo z nimi się rozprawić, i dlatego po wspólnej naradzie Chołoniewski napisał, a Grocholski podpisał wyczerpującą odpowiedź, którą najpierw Raciborowskiemu przesłano, a następnie z opuszczeniem pewnych szczegółów, zamysłano oddać na użytek publiczny¹.

„Mówicie: Na co to wychowanie panien po klasztorach? Alboż to nie mamy matek światłych, cnotliwych, zaszczyt przynoszących krajowi“? Jakiż klasztor w świecie choćby najświętszy może zastąpić troskliwość matki około dzieci? Biję i ja czołem przed przykładnymi, rozumnymi matronami i powiadam, że są takie i u nas — może nie tyle ich jest, ileby sobie życzyć można, ale przecież są. Wyznam także, jeśli chcecie, iż trudno bardzo, aby klasztor wyrównał gorliwość matki, jaką na wzór wystawia nam religia chrześcijańska i jaką ona tylko ukształcić może... ale cóż? Nie na tem koniec jeszcze. Ponieważ wszystko, co pod słońcem istnieje, potrzebuje czasu i miejsca żeby istniało, potrzebują ich także najlepsze, najgorliwsze matki. A jeśli zapytane przez nas i zakłete na sumienie, szanowne matrony przyznają się nam pod wielkim sekretem, iż najczęściej czasu i miejsca im brak dla wychowania

¹ Cała ta korespondencja zebrana pod wspólnym tytułem *Korespondencja w sprawie wychowania klasztornego pamien* odesłana została do redakcyi, nie wiemy, którego czasopisma, ale nigdy podobno światła dziennego nie ujrzała. Dlatego umieszczamy z niej obszerniejsze wyjątki, tembardziej że cięte a wzięte z życia uwagi ks. Chołoniewskiego. nie tylko ówczesne stosunki nam malują, ale i do dzisiejszych w pewnej części zastósować się dadzą.

starannego dzieci, na cóż im się przydadzą wtedy dobra wola i cnoty macierzyńskie?

Zacznijmy od damy najwyższego rzędu, której rozum i serce w najpiękniejszej harmonii z sobą wybornie są ukształcone.

Wysoki stan ma wysokie obowiązki, *alias* wysokie nudy, etykiety salonowe, prawa gościnności, powinności gospodyni domu, żony częstokroć znacznego urzędnika, którego także wysokie zatrudnienia zwalają na biedną małżonkę cały kierunek domu obszernego. Tu już nieodbitcie potrzeba czasu i miejsca w sporym wymiarze. Trzeba czasu dla męża, dla gości, dla przyjaciół, dla krewnych, dla dzieci, dla sług — miejsca także trzeba i tego nie mało, miejsca do assambłów, do balów, miejsca do stołów obiadowych, do stolików wistowych, nie mówiąc nawet o toalecie, która u wzorowych matek mniej czasu i miejsca zabiera, niżeli u płochych elegantek. Wszakże i matrony w toaletowej swobodzie krzywdzić się nie godzi. Pytam się teraz, stając w obronie owej wielkiej, ale znękaney damy, kiedy tu czas znaleźć dla dzieci, dla córeczek? Powiecie na to: wzorowa matka wszystkim dla dzieci poświęci! Jak to? i żądania męża? i przyzwoitość stanowi swojemu odpowiednią? i związki towarzyskie? Nie wiem, czy się na to mąż i sumienie zgodzą, i czy same dzieci na takowem poświęceniu dobrze wyjdą?

A cóż to dopiero, kiedy w takim pańskim domu Bóg licznem potomstwem pobłogosławi — kiedy to nie tylko będzie jedynaczka Józia, ale jedynaczka Zosia, jedynaczka Marysia, pięć, sześć, siedm jedynaczek; jak owej wzorowej matce wszystkim tym jedynaczkom sprostać? Albowiem im wyższe będzie ona miała wyobrażenie o poświęceniu się macierzyńskiem, tem bardziej upadać będzie na siłach pod ciężarem tej gorliwości.

A guwernantki, francuzki, angielski, szwajcarki i inne nieprzeliczone zagraniczne *pani-madame* od czego?

Prawda, że się zdadzą. Tylko nie porównywajcie wtedy edukacyi matek z klasztorną — bo widzicie sami, że tak nazwane wychowanie macierzyńskie zaraz przerabia się na wychowanie guwernantek.

Tu już na inuем jesteemy stanowisku.

Francuzi mówią, że *les comparaisons sont odieuses*, i to jest

wielka prawda. Ale cóż robić, kiedy czy chcemy, czy nie, opinia światowa nie przestanie porównywać ludzi między sobą — porównywałmyż i my za nią, ale jak to mówią — bez żłości...

Guwernantka co jest? Wedle najpochlebniejszej definicyi, jest osoba mniej lub więcej oświecona i sumienna, która na tyle i tyle lat, za tyle i tyle pieniędzy podejmuje się być matką przy dzieciach, jednym słowem jest to płatna matka: bo jeśli najlepiej idą rzeczy ze strony światem zaprzątionych matron, to przynajmniej po połowie muszą one dzielić z guwernantkami obowiązki macierzyńskie.

Zapytajmy się teraz prawdziwych matek, jakie ich są zdania o najlepszych owych płatnych matkach — odpowiedź podobno będzie ruszenie ramionami. A jeśli przyjdzie do ścisłych konfesat, dowiemy się pono, że owa klasyczna guwernantka J. Pani Eks-markiza N. była wprawdzie pełna dowcipu i dobrego tonu salonowego Francuzka, ale cóż, kiedy Zosię zbuntowała przeciw matce, wcześniej jej wpajając niezaprzeczoną prawdę, że ona Eks-markiza jej przyjaciółka daleko ma więcej rozumu od mamy; że owa sentymentalna choć tłusta Szwajcarka była zapewne dobra sobie kobieta, ale to bieda, że Józia, która pierwiej lubiła czytać dość gruntowne książki, a dla rozrywki także poczciwą i dowcipną naszą pannę Tańską, teraz po całych nocach wertuje zbyt ważne dzieła Panów: Balzac, Victor Hugo, Dumasa, Jules Janin i ich literackich kolegów. Jak to, zmiłuj się pani, może nawet czytała *Physiologie du mariage*, *les Contes drolatiques*, i owej pani Dudevant, co się pod literackim fraczkiem pana Georges Sand ukrywa, może i te czyta powieści — może nawet sławną *Lelię* czytała? Odpowiedź z westchnieniem będzie: niestety! czytała! te także! A cóż dopiero kiedy owe biedne matki przyznają się do takich *pani-madam*, które nie tylko romansowe książki zalecały, ale i romansowe sceny z domownikami wygrywały!

Wszystko to nie zdaje się przesadzonem, bośmy podobno mniej więcej wszyscy na to patrzyli.

Powiesz dalej: To dobrze każdy wie, że ciężko, że trudno o dobrą guwernantkę, przecież za dobre pieniądze można ją mieć — a wtedy — czyż nie lepiej zostawić córeczkę w domu jak oddawać ją do więzienia klasztornego za kratę straszliwą? Prawda, że krata

i do tego żelazna rzecz wielce okropna, ale dla ludzi myślących, cóż jest w niej przerażającego, czy sama krata, czy niewola, której ona jest smutnym symbolem. Mnie się zdaje nie krata sama, bo sklady z dobrem wytrawnem winem albo maślaczem, bo skarbee ze złotem wszędzie obwarowane są kratami żelaznemi, nikt się na to nie wzdryga, przeciwnie każdy się cieszy z owej obrony od złodziejów i pijaków. Idzie więc tylko o mniemaną ową niewolę klasztorną.

Tu przyznaję trochę trudności w rozwiązaniu prostem rozumowaniem tej kwestyi stanowej. Nadto ją pogmatwały literackie gaduły 18 wieku, a była bardzo prosta. Zaczawszy od nieświętej pamięci jennialnego p. de Voltaire aż do posepnej G. Radcliffe i innych literatek i literatów nie-katolickich, klasztory, mnichy, mniszki, zakony, w niezliczonych ich powieściach i romansach czarne, okrutne, brzydkie, brzydsze nawet od naszych powiatowych *tiurmów* ukazują się, istne gniazda fanatyzmu, zagorzałego zaboronu, odludnego mistycyzmu a nawet i zbrodni. Prawda z drugiej strony, że w naszej starej Polsce inaczej o tych rzeczach trzymano. Mniemano, że francuski, angielski, szwajcarski rozum dobry dla Francuzów, Anglików, Szwajcarów a polski dla Polaków. Prawda, że światła i wspaniała Marya Gonzaga, żona Władysława IV, królowa polska, pierwszą była w Polsce fundatorką Panien Wizytek, że dwór jej niewieści składał się z świetnych z poloru dam po klasztorach wychowanych, że owa miła, bystra, a przytem pobożna Sevigné której dowcip w przysłowie poszedł, nie mniej rozumną, piękną swoją córkę panią de Grignan w więzieniu klasztorzem za owemi straszliwemi kratami kształciła. Nie mówi się już o najznakomitszych z cnoty i rozumu damach wielkich domów naszych upłynionego wieku, które po większej części po klasztorach wychowanie odbierały. Wszakże *repliki* te *pro* i *contra* w naszej sprawie pogmatwanej nie dość jeszcze rzecz wyjaśnić mogą. Jest krótszy sposób jeszcze przekonania się jaka to jest owa niewola panienek w klasztorze wychowanych. Badajmy same niewolnice. Sprowadźmy do jednego ogrodu, dziecię pod guwernantką swobody używające i owę niewolnicę klasztorną i przypatrzmy się sami niepostrzeżeni ich niewinnym zabawom czasu rekreacyi. Z której strony więcej wesołości nie wymuszonej, więcej szczerzej ochoty ży-

cia, więcej dziecinnego wdzięku, więcej owej czystej, wypogodzonej, żadną przesadą światową niezmaconej myśli ukaże się, przy tej powinna być wygrana. Muie się zdaje, że niewolnica klasztorna wygra.

Przebywszy większą połowę ziemskiej mojej wędrówki nie do jednej gościnnej bramy najgościnniejszej Polski naszej zajeżdżałem. Cóż widziałem i dotąd widzę tak po wyższych jak i po szlacheckich domach? Oto, Jegomość siedzi za stolikiem z papierami, albo liteż odbywa konferencyą to z adwokatem, to z rządcą, aż póki nie nadejdzie chwila spoczynku lub przejażdżki. Jejmość (nawet przykładna) z gośćmi w salonie, albo z ogrodnikiem między georginiami i nowemi plantacyami, albo przy fortepianie z Rossinim i Bellinim, albo liteż z rejestrzykami w ręku w przykładowej konferencyi oszczędności z marszałkiem dworu. A Zosia, Józia, Kamilka, gdzie? Jeśli bardzo pilnie edukacya postępuje, przyjdą z rana do herbaty, pięknie mamę ucałują — a potem cały dzień gdzie? — W dzieciarni z guwernantką i z metrami. Dobrze musi mama czasem swoim rozrządzać, żeby się jej udało choć dwa razy w dzień do owej dzieciarni na chwilkę zajrzeć. A kiedy, na nieszczęście, zdrowie nie jest udziałem tej czulej matki, jakto matkom, a osobliwie wyższego, miękkiego wychowania często się przytrafia, cóż wtedy? Wtedy guwernantka zupełnie już w poważny urząd matki wstępuje. Kraty tam prawda nie ma żelaznej, tylko krata konieczności; krata ta tak dobrze jak żelazna dzieci od matki przedziela; z tą tylko, zdaje mi się różnicą, że matka, która swoje dziecię zostawia za kratą klasztorną spokojnie usypiać może, ufna w sumienną bo religijną troskliwość dozoru, a ta, która dzieci swoje z guwernantką zamyka, nie ma innej pociechy jak tę myśl: „przecież i z daleka ją sprowadziłam i drogo ją płacę“ więc powinna być staranna. Oh! wieleż to biednych matek na takim więc srodze się omyliło.

Ale tu dotąd mowa tylko była o matkach wyższego rzędu, obfitujących w dostatki, mogących nawet w razie ciężkim i samą panią Campan, jeśliby żyła dotąd, sprowadzić do córeczek. Przy tych jednak środkach widzieliśmy wiele nieprzełamanych trudności do starannego wychowania, cóż dopiero kiedy zdrowie majątkowi nie towarzyszy, a liczne potomstwo obarcza troskliwość rodzicielską!

Przejdźmy teraz do poczciwych, szlacheckich domów, ale poróżnionych z fortuną. Zapytajmy niedostatkiem, chorobą i liczną familią, tym potrójnym ciężarem przygniecione matki — (a takich jest niestety większa część) zapytajmy je: Co myślicie, szanowne panie o klasztorzem i domowem wychowaniu? które z nich ma większe korzyści? Zapewnie ważyłyście na szalach rozumu i doświadczenia to wszystko, co się zwykle przytacza za lub przeciwko tym systematom edukacyi niewieściej. — Odpowiedzą chóralnym głosem: „Co tam myśleć, co ważyć!! Niedostatek na próżne spe-
„kuły czasu nie ma — nie mamy o czem w domu dzieci wycho-
„wywać, musimy więc je oddać za dom. — Gdzie? Gdzie można —
„do najbliższej pensyi“.

Tu wielce boleśna, a razem drażliwa materya nawija mi się pod rękę. Nie radbym pióro umoczyć w posępne, czarne farby — ale jeśli je roztała i namieszała wszechwładna pani, prawda święta, wówczas trzeba albo pióro porzucić, albo umoczyć — porzucić nie mam powodu — muszę więc prawdę pisać, choć niepocieszającą.

Kiedy pensye świeckie nastaly? — kiedy klasztory ustaly. Zdaje się więc z pierwszego rzutu oka, że ta okoliczność jest na obronę pensyi; albowiem wedle praw ulubionego i pożądanego postępu, rzeczy powinny iść co raz lepiej, po klasztorach nastąpiły pensye, więc są doskonalsze.

Idźmy dalej za tą błogą myślą i nadzieją i przypatrzmy się jakie tam mogą być obfite środki do kształcenia serca i umysłu panienek?

Oto, na pięknym welinowym papierze drukowany prospekt nauk dawanych w panieńskim zakładzie wsuwają nam do rąk. Co tam przedmiotów? Ile języków? Ile kunsztów wyzwolonych? Jaka filozoficzna klasyfikacya? Rzekłbyś: *l'arbre généalogique des sciences* w przedmowie p. d'Alemberta do Encyklopedyi. Aż w głowę zachodzi czytelnik, tak że go pokusa bierze czasem pytać się nie — czego uczą panienki, ale czego ich tam nie uczą? Prospekt ten drukowany, który przez cztery, pięć lat na egzaminach figuruje i przedrukowuje się co rok dla coraz większych postępów nauki. Panienka na koniec wychodzi na świat. Rodzice, krewni pytają się z trwożliwą natężoną ciekawością: Mówi Zosia po francusku? — Mówi. — Chwała Bogu. -- Ale czy pisze także po fran-

cusku? — Nawet pisze nie zgorzej. — Chwała Bogu! — A co? tańczy? — I gra komedyjki P. Scribe weale dobrze. — No to (tak już odzywają się rodzice), przynajmniej nie żał nam tych nieskończonych fasek masła i gęstych rulonów rubli, cośmy w krwawym pocie czoła dla *Madam* posyłać musieli. Tu się już kończą *desideria* rodzicielskie. Ależ niebaczni, zapytajcie się co Zosia umie jeszcze z programatu pysznie wydrukowanego, z owych nauk, sztuk pięknych i języków! — Co tam, umie po francusku! — Ale zmiłujcie się, miłe państwo, egzaminujcie ją także, czy nie zapomniała tego dobrego, którego w rodzicielskim domu cnotliwie nauczyła się? czy nie zapomniała wiary, pobożności, obyczajów i języka ojczystego? — Ach! to znowu co, wołają, jakżeby mogła Zosia zapomnieć czego, kiedy ona po francusku czyta i pisze. — Na to już niema odpowiedzi, bo to jest owe sławne *sans dot* w komedyi *Skapca* Moliera.

O kształceniu serca po pensjach nie wiem co mówić, bo o niem zwykle ich *prospectus* pysznie drukowany milczy dla wiadomych zapewne im powodów. Niejedna gorliwa osoba o edukację publiczną, kiedy jej się pokornie przekłada, że potrzeba i o pielęgnowaniu serca pomyśleć, bez którego uprawa najświetniejsza umysłu mało się przyda, chętnie na to się zgadza, ale w tej delikatnej materji, prócz zwykłego to się rozumie, niczego się więcej od niej nie dowiesz.

Po pensjach na wyższą skalę urządzonych, wielkie koszta i prace łożą na to, co w moich oczach — pozwólcie mnie tego wyrazu — jest tylko mechanizmem owej świetnej fabryki edukacyjnej, którą my pensją zwiemy. Ile wierszów na pamięć mają się panny nauczyć — ile na pamięć odpowiedzi na kwestye od roku przygotowane — ile ptaszków wyszyć — uszów, nosów, ócz i głów wyrysować — ile sonetów, aryj, figur kontredansowych wygrać, wyśpiewać, wytańczyć? — To jest rzecz główna — a obyczajność, a nauka religijna, a przyzwoite z ludźmi obcowanie — to się rozumie — czyli tego się tylko dorozumiewać trzeba! Ale najgłówniejsza rzecz popis roczny, popis świetny, głośny, wystawny, na sposób teatralnej sceny urządzony, na który cały świat męski i żeński hucznie się sprasza pięknymi afiszami, po których wszystkie panny, które mają tańczyć, śpiewać, deklamować jak

aktorki po imieniu i nazwisku żywcem są wydrukowane. Tam każdy swoją rolę wygrać musi, jakoż pospolicie bardzo pięknie grają: matki rolę zachwycającej czułości, mistrzynię wdzięcznej powagi, przełożeni wszyscy świetnego zapалу oświaty. Najsmutniejsza rola biednych pańienek, którym pośród tysiąca ócz wytrzeszczonych na nie, młode eleganty kuratory na dziewicze skronie wkładają wieńce nagrody szkolnej. Odchodzą uwieńczone nie zawsze z wesołą twarzą; być może, że w chwilowem pomieszaniu, zda im się widzieć w kąciку świetnej sali, zalaną łzami skromność panieńską, ukrywającą się w cieniu przed lekkomyślną zgrają. Wszystkiego tego sam byłem świadkiem, i mógłbym na to *nobile verbum* ofiarować. Wszystko to widziałem na własne oczy, owej tylko skromności płaczącej nie widziałem, i to jest bajeczka mojego w y m y s ł u, reszta istna prawda. Wszakże jednak wyznać muszę, że są pensye świeckie, które troskliwość rodzicielską zaspokoić mogą, bo wiem, że niema praw ogólnych bez wyjątków, tylko że ja takie świeckie zakłady edukacyjne kładę w rzędzie owych świetnych wyjątków, które ogólne prawo mocniej jeszcze ustalają...

Ale podobno próżno po powietrzu tylko pałaszem macham, nie mając przeciwnika. Napastuję pensyony, które pospolicie mało kto bierze w obronę, a mnie, prawdę mówiąc, idzie tylko o Wizytki i sposób ich wychowania dzieci. Mówią także zwykle przeciw temu wychowaniu: „Jakże osoby, które się Bogu zupełnie poświęciły i świata wyrzekły, mogą dzieci kształcić przyzwoicie dla „świata, którego nie znają?“ A ja się także pytam: Dla jakiego świata chcecie żeby je kształciły? Zapewne nie do zepsutego, ale do uczciwego. Do tego więc religia chrześcijańska i przykłady cnotliwe usposabiają. Pobożność, skromność nie udana, nazwyczajenie do pracy i obowiązków towarzyskich zgadzają się bardzo dobrze z polem przyzwoitego świata. Żadna najwykwintniejsza tresura światowa, wedle zdania samychże wykwinnych zwolenników świata, nie może być przyrównaną z niewypowiedzianym wdziękiem czystego, nieskażonego serca i umysłu. Cóż ma jeszcze być w klasztorze na zawadzie wychowaniu potrzebnemu dla świata? Może brak nauki? Egzaminujcie Wizytki kamienieckie. Wytrzymają ścisłe badania, przekonano się, że im na gruntownych wiadomościach odpowiednich płci żeńskiej nie zbywa. To może brak talentów przyjemnych, zna-

jomości stosunków świata nieco zawilych? Ale raczcie uważać, że żadna Wizytka w welonie na świat nie rodzi się, że wiele z nich należy do rodzin znaczniejszych w kraju, że wiele z nich w dojrzalej młodości wchodząc do klasztoru świat i tak zwany dobry ton znały, talenta które niewiastę zdobią posiadać mogły i posiadają, a nadto w poświęceniu się szczerem powołaniu swemu, żadnymi prywatnymi widokami niepowodowanym, tyle przynajmniej prawa do ufności rodziców rościć sobie mogą, ile go mają osoby świeckie zacne, lubo całego życia swego sprawie ludzkości w posługę oddać nie są w możności.

Ale na co tu długich wywodów? Uważajmy jak sami postępujemy w rzeczach mniej ważnych. W nauce np. muzyki, kogo chętniej dla dzieci naszych za nauczyciela wybierzemy, czy amatora, co mile brząka na jakimś instrumencie, a potem innym zupełnie odrębnym zatrudnieniom oddaje się? czyli artystę z profesyi, co na tej sztuce całe życie strawił, i jak to mówią zęby na niej zjadł? Mnie się zdaje, że przyjmiemy artystę. Owoż w mojem przekonaniu guwernantka, mistrzyni pensyonu, która jakiś czas życia swego pracuje w zawodzie edukacyi, żeby sobie na męża zarobić, albo kapitalik uzbierać, (rzecz bardzo słuszną) może być bardzo zacną amatorką w sztuce trudnej wychowania, ale nic więcej. A gdyby mnie przyszło wybór robić i szło o moje dziecię, to bym zawsze oddał pierwszeństwo tym, co całe życie z profesyi sumiennie obranej wychowaniu się poświęcają, a po najpewniejszą zapłatę do nieba się udają.

Jeszcze ostatnia trudność. Jeżeli biedna panienska złe przykłady znajdzie w rodzicielskim domu, na złego męża, na niedobrych przyjaciół później natrafi, azaliż młode jej w klasztorzem więzieniu spędzone lata ustrzegą ją od występku? Nie wiem — Bogu to tylko wiadomo, który wszystkim mniej więcej w ciężkich razach dopomaga. Zdaje mi się tylko, że ta trudność na tę kwestyę zamienia się: Z dwojga złego, co lepiej: czy żeby kobieta całe życie w złem towarzystwie strawiła, czyli żeby przynajmniej młode swoje lata w dobrem przepędziła? Niech każdy wybiera co mu się podoba. Wszędzie ludzie — a zatem wszędzie niedoskonałości — nawet i po klasztorach; temu nie przeczę — ale o to idzie, gdzie bezpieczniej

dla dzieci, czy tam gdzie sami ludzie z ułomnościami, czy tam gdzie ludzie ułomni z Panem Bogiem.

Czas położyć koniec tej bazgraninie, która od podziękowania zaczęła się a na dość nudną i długą ramotę przerobiła się. Kochany kuzyn zniosłeś cierpliwie prośbę moją o drzewa; zapewne i tej mojej niezwykłej gadatliwości przebaczysz. Ja zaś i Wizytki nie zapomnimy nigdy dobrego waszego serca. Dobrze bardzo uważasz w swoim liście, że czy szpital czy P. Wizytki będą w nowych murach, zawsze te piękne drzewa makowskie, dobroczynny cień swój rozpościerać będą nad potrzebującymi albo zdrowia ciała, albo zdrowia duszy, to jest dobrego religijnego wychowania. Bóg któremu najlepiej wiadomo, kto pierwsze ma prawo do Jego litościwej Opatrzności stosownie mury te mieszkańcami napelni, a niezawodnie w waszych sercach pozostanie słodka nagroda dobrego uczynku.

Raciborowski nie dał za wygraną; ale nie wiedząc dobrze, co na przytoczone argumenta odpowiedzieć, a w skutek tego właśnie tem bardziej zirytowany, przerzucił się na pole osobistości i właściwymi dowodami nie popartych ogólnikowych z książek zaczerpanych zarzutów, które jądra kwestyi nie dotykając, jedynie o rozdrażnieniu piszącego świadczyły. Wywnioskował, że ponieważ kilka pań, nie wychowanych w klasztorze bardzo jest zacnych i dobrych, zatem klasztorne wychowanie nie tylko jest niepotrzebne, ale i szkodliwe.

Czemu matki do klasztoru dzieci posyłają? Bo im się chce zabaw, interesów, toalety, a żeby nie krzyczano, raz w lat kilka na cukierki lub obrazki przysłał dukatów kilka. A ks. Stanisław Chołoniewski czy za kratą, w niedostępnych murach był wychowany? czy oddalony był od krewnych? Nie ubliżam drugim duchownym i tych nie wymieniam, ale czy mogą mu wyrównać w każdym społeczeństwie — a w świątyni Boga? w skromnem szczerem zanoseniu modłów do Stwórcy?... Gdyby PP. Wizytki wychowywały darmo sieroty a tak starannie, to zasługa byłaby przed Bogiem, ale teraz matka musi kilkadziesiąt dukatów na rok za dziecię płacić i na klasztor prezenta i każda wstępująca kapitał wnosi do klasztoru, do cel na obfitsze wygody dusz pobożnych... Klasztory dawne napełnione licznym gronem mnichów, mniszek, nie bardzo Polskę szczęśliwą czyniły; każdy dom miał kapelana, jak edukację

i policję duchowną; z umierających korzystali, a najczęściej wydzierali istotne utrzymanie rodziny... Niedawno jeszcze temu ks. Falkowski przerażał tylko krzykiem, z Kościoła teatr robił, nie nauczał, tylko gorszył, wyobrażał Boga jak srogą zemstę, a przecież widziałem, jak koniec zakurzonego habitu jego, damy całowały, a on to przyjmował jak powinność. Czyż nie powinien był wzbronić, wytłumaczyć, że cóż dla wyobrażeń Jezusa lub Matki Boskiej czynić będziemy; że to nie jest pokora, tylko bałwochwalstwo... Na co mamy szukać klasztorów do wychowania córek? P. Szymanowska, P. Julia z Grocholskich Rzewuskich, z wychowania rodziców, jaką jest? ...Moja bratowa swe córki nie w klasztorze, ale w własnym dozorze tak wychowała, że honor czyniły matki staraniom. Dlaczego odmawiać zdatności nauczycielkom z innych krajów i innej religii — byle nie sprowadzać nauczycielkę jak fortepian, karetę do domu, ale zapłacić dobrze przekonawszy się o zdatności, a część procentu od kosztówłożonych na mury klasztorne, na zbytckowne życie różnofarbnych mniszek, wystarczą na sprowadzenie nauczycielki...

„Wyczytuję w piśmie Kuzyna z ironią wspomniany naganny sposób zajęcia się matek plantacją ogrodów, rozmnażaniem georginii, co stanowi nie próżniactwo, tylko niewinne uprzyjemnienie życia. A ojca zajęcia się pracą, prawnictwem, rozmową z komisarzem? A w klasztorze czy znajdują występkiem zająć georginiami czas od nauk pozostały, a w ogrodzie je rozmnażać, lub na szkaplerzach igłami wyszywać? Zajęcie się gospodarstwem czy ma być występkiem? A w klasztorze ciągnąć kabałę, czy ks. kapelan rocznie płatny będzie miał Mszę w niedzielę? Przyznać trzeba, że ostrożności są zachowane ścisłe, bo piesek nie może być w klasztorze; jednak na muchy nie mogą znaleźć sposobów, żeby te nie bawiły w murach klasztornych. Mruczeń pacierze godzin najmniej dwanaście w dobę, czy to zasługuje na zbawienie? Tak pewnie, jak być skromną nie widząc nikogo... W każdym wieku i w wielu zdarzeniach gwałtowne uniesienie się nie może być chwalone i nasładowane. A ta dama¹ ogólnie znana z cnót, rozumu, i na powszechny sza-

¹ Cecylia Chołoniewska.

cunek zasługująca z poświęcenia się dla edukacyi panien, bo to czyni z przekonania, że dla dobra ludzkości — sam wyznaję, że za śmiało myśl moją wyjawiam — lecz gdyby to była uczyniła po śmierci ojca, byłaby większa zasługa, lecz ojca nad grobem zostawić, dla uniesienia się, że korona niebieska czeka?! W mojem przekonaniu pierwsze obowiązki dla ojca, a drugie w swem uniesieniu formowane i nie mogły niszczyć pierwszych, a spodziewane niebo z klasztoru Wizytek — być może, ale za prośbą do Zbawiciela przez ojca otrzyma... Zresztą ogół klasztornemu wychowaniu nie sprzyja; po co mu je narzucać?

„Wolno zganić myśli moje, tem więcej, że co to za myśl! odwaga! udać się do tego, który pierwszy kamień założył, dachem pokrył i trwa w zamiarze. doprowadzenia do skutku dokończenia zakładu, a ja słabym młotkiem pukam i chcę walić całe dzieło. Lecz to mnie pociesza, że nie na zło, tylko dla dobra ludzkości to czynię i niewinne panienki do rodziców poodwoziłbym, a Wizytki, przynajmniej po śmierci dwóch dam pierwszych Wizytek przemieniłbym na Panny Miłosierne“.

Nie upłynęło całe dwa tygodnie od przesłania do Strzyżawki tego grubego pamfletu raczej niż listu, kiedy Strzyżawiecki kozak powiósł do Makowa mniej wprawdzie długą, ale logicznie i spokojnie ułożoną, ostateczną już odpowiedź. Ks. Stanisław w uczuciach kapłana i brata zraniony zadać sobie musiał gwałt niemały, aby nie użyć eisnących się pod pióro ostrych choć sprawiedliwych wyrazów; szorstkich bez ładu i składu rzuconych zarzutów nie chciał zostawić bez wyjaśnienia, choć właśnie dla tego braku ładu i składu, rzecz to była wcale nie łatwa; zarazem jednak stanowczo zamknąć pragnął dalszą polemikę, w której mógł przeciwnika pokonać, lecz nie spodziewał się przekonać.

„...Wedle regół ogólnych¹, tak piórowej jak pałaszowej walki, placu boju raz obranego, opuszczać się nie godzi. W ostatnim liście swoim, kuzyn mężnie i wytrwale naciera, jak przystoi na rycerza uzbrojonego, jak sam powiada: młotkiem i kielnią zapewne, jak ja się domyślam, lubo mylnie może. Ale cóż? kiedy ta

¹ 8 listopada 1837.

nasza piśmienna utarczka, jak wszystkie owe udane wojny, podczas manewrów wojskowych, bez żadnego rezultatu kończyć się musi; bo każdy z nas inne stanowisko obrał, z którego zejść nie może. Strzelamy więc gęsto ale na wiatr, a jeśli gdzieś przypadkiem zamieszany ostry ładunek wyleciał, to zapewne nie szkodliwie, dla zbyt wielkich dystancyj.

Ja stanąłem w obronie wychowania klasztornego panien, ale nietylko w zakładzie PP. Wizytek Kamienieckich, ale po wszystkich zgromadzeniach niewieścich porządnie utrzymanych, nie przeczyłem jednak, jak i dotąd nie przeczę, żeby matki nie mogły równie dobrze dzieci swoje wychowywać, tylko wytknąłem trudności, jakie w tym zawodzie spotykają.

Kuzynowi Dobr. podobało się obrać inne stanowisko, na które zejść (wyznam szczerze) nie mam ani ochoty, ani odwagi — stanowisko osobistości, po którym wielce trudno stąpać bezpieczną nogą bez narażenia siebie, albo szanownego zapaśnika na kolce i pokrzywy, które zdają mi się raczej zawadą jak bronią właściwą w podobnych ważnych dyskusjach. Na argument łaskawego Kuzyna, że pani ta i ta, że moja żona, moja córka, mój szwagier, że nasi wspólni krewni, są poczciwi sobie i dobrze edukowani ludzie, chociaż po klasztorach nie wychowywali się, co mam replikować, nie wiem. Chyba tylko wypada mnie klaniać się ciągle, i dziękować za Jego pochlebną opinię, o naszych wspólnych krewnych i powinowatych. Będzie to mnie wprawdzie bardzo przyjemnem, ale nie rozumiem, jak to może przyczynić się do objaśnienia materyi przez nas roztrząsanej. Albowiem Kuzyn w całym mojem długim piśmie nie wyczytał, żebym uważał niepodobnem dobre wychowanie domowe, lubo trudności wyliczałem, na które wedle mego zdania jest narażone.

Nie wiem także, za co mają pokutować teraźniejsze klasztory niewieście, za to, że kiedyś kapelani głupi, albo nieprzykładni, po domach polskich znajdowali się, bo ci kapelani dawno pomarli, a przytem u PP. Wizytek edukacyi nie odbierali. Nic łatwiejszego jak uzbierać gorszące, a prawdziwe anegdoty, dotyczące się np. małżeństw, osobliwie w naszej na nieszczęście klasycznej ziemi co do rozwodów, gdzie to, jak mawiał dobrze ks. de Ligne nie jedna biedna dama z dwoma albo nawet trzema ex-mężami żyjącymi, spo-

tykać się po towarzystwach musi i mówić: „*Quand Monsieur un tel que voilà était mon mari*“ wszakże gdyby z takowych nadużyć wnosić kto chciał, że stan małżeński nie jest dobrym, że małżeństwa nie mogą być szczęśliwe w Polsce, nie pomaliby się rozminął z prawdą. Podobnież źli księża, którzy byli, albo są dotąd, przyświadczają tylko o bardzo starej i pospolitej prawdzie, o ułomności tych, którzy nie są z natury Aniołami, ale ludźmi, lecz nic nie dowodzą przeciw urzędowi kapłańskiemu i tym co go przyzwowią piastują.

W odpowiedzi łaskawego Kuzyna występuje także na plac, już z grobu wywołany ks. Falkowski. Jubileusz i ks. Falkowski byli u nas r. 1826. PP. Wizytki przybyły dopiero 1830 r.; po co więc ten nieboszczyk, jak Piotrowin w sprawie PP. Wizytek musiał się stawić? tego dotąd pojąć wcale nie mogę. W materji naszej edukacyi kobiet, figuruje on rzetelnie, wedle prostego przysłowia polskiego, jak Piłat w kredzie, to jest, jak mi się zdaje, bardzo *extra materiam*.

Ja, który miałem wówczas zręczność, z bliska i ściśle się zapatrywać na czynności nieboszczyka ks. Falkowskiego, przekonałem się, że to był wielce rozsądny, gorliwy, i bezinteresowny kapłan, mocno przejęty obowiązkami swego powołania, a przytem dobry Polak. Anegdoty krzywdzące sławę jego, krążące o nim po świecie ani mego przekonania zmienić, ani jemu szkodzić nie mogą. Dowodzą tylko, że się niektórym osobom nie umiał podobać. Co do mnie, dzielnego kaznodzieję, którego rzemiosłem jest nie pochlebiać, ani prawdy w bawelnę obwijać, podobającego się wszystkim wystawić sobie nie zdołam. Znałem osobiście nie dawno nam zmarłego, kochanego od wszystkich Polaków, arcybiskupa Woronicza. Poeta, mowca, patriota wielki, zdaje się powinien on być u nas wszystkim się podobać. Przecież wiele to było w samej Warszawie osób wielkiego tonu, którym się nie podobał wcale. Dlaczego? Bo prawdę gadał, prawdę nagą, surową, wyrażnie i odważnie. Od kiedy świat stoi, rzemiosło to trudne, źle popłacało. Wreszcie sposób wysłowienia się, — wymowa — to są rzeczy zupełnie zależące od upodobania i smaku literackiego; w tym względzie wolno każdemu myśleć i stanowić co się podoba.

Jeśli za gubernantkami francuskiemi i innymi zagranicznymi

nie wotuję, to być może uprzedzenie z mojej strony, ale z tego względu opinia moja zasłużyć może na pobleżanie, że jako kochający ojczyznę, życzę z serca, żeby jej dzieci w duchu i obyczajach polskich wychowywane były, a mowa ojczysta nie stała się dla nich obcą. Polska na małpowaniu obcych narodów, zawsze wielką szkodę ponosiła, jeśli to zdanie jest także przesądem, to wiem przynajmniej, że go podzielałam z większą częścią moich rodaków.

Co do niewinnych georginij, widzę, żem się nie potrafił jasno wytłumaczyć. Nie tylko nie potępiam zatrudnień ogrodowych, prac wiejskich, ale przeciwnie dla tego, że je uważam jako niezbędne każdego właściciela powinnosci, policzyłem je między obowiązki, których nawet dla edukacyi dzieci zupełnie zaniedbywać nie godzi się. Biedne georginie, skąd by mi się wzięła do nich uraza, kiedy sam nimi się cieszę, a lubo nie tak piękne jak w Makowie, goszczą one i u mnie w Strzyżawce.

Kuzyn w szczeroci serca powiada, że po śmierci dwóch panien Wizytek, zarazby odprawił drugie po dyktatorsku, a dzieci do rodziców by poodwoził. Dajmy na to, że rodzice podziękowaliby Kuzynowi za uczynność, której jego gorliwości nie polecili; dajmy na to, że to była najprzedniejsza, wyśmienita robota, to przynajmniej *en chevalier galant des dames* kuzyn nie powinienby tym biednym dwom Wizytkom, z których jedna siostra nasza, a wizować przezemnie feralnego dnia śmierci, dla uskutecznienia tego, co sądzi być dobrem ludzkości. Mnie się zdaje, że nicby złego się nie stało dla ludzkości, ani wbrew porządkowi natury, aby te dwie poczciwe szlachcianki polskie, nas obu starszych przeżyły, bo jeśli koniecznie idzie o zburzenie zakładu PP. Wizytek, to inni mogą się po nas znaleźć, którzy tego smutnego dzieła równie dokonać potrafią.

Wszyscy, pisze dalej Kuzyn, byliby radzi, żeby nowy klasztor PP. Wizytek, przerobił się na klasztor PP. Miłosiernych, a na ich czele Kuzyn Dobrodziej. Życzenie ufundowania zakładu PP. Miłosiernych jest bardzo święte i dobroczynne. Z serca do niego przystaję. Niech Kuzyn w imieniu ochoczych dobrodziejów, otworzy składkę; — i ja będę dzwonił na to kazanie. Rząd także niezawodnie sprzyja podobnym zamiarom. Kuzyn stając się fundatorem PP. Miłosiernych, dwojakie dobrodziejstwo uczyni: dobro-

dziejstwo ludzkości — i dobrodziejstwo sobie samemu; pożyteczniej zdaje mi się, żeby dwa zakłady istniały PP. Miłosiernych i Wizytek, lubo wedle opinii Kuzyna, nierównie pożyteczne, jak żeby jeden powstał na ruinach drugiego. W naszej biednej Polsce i bez tego dość gruzów i ruin.

Nakoniec Kuzyn namienia w swojej odpowiedzi, że pomimo naszych usiłowań, od chwili ukazania się na Podolu Wizytek, opinia większej części kraju, nie sprzyja tej nowej fundacyi. Zapewne Kuzyn potrafił dobrze porachować głosy, które za nią wotowały. Niechże i mnie będzie wolno kiedyś, przy podanej zręczności, dla zabawki, przyłączyć spis naszych także kresek. Kresek ważnych, bo pieniężnych, bo dobrowolnych ofiar, różnego stanu osób, od najznakomitszej aż do najskromniejszej klasy, z których wielu najmniejszych stosunków pokrewieństwa, przyjaźni, ani znajomości nawet nie mają z familią Maryi Cecylii Chołoniewskiej — a to już stare doświadczenie uczy, że Polak nigdy nie płaci, bez jakowegoś przekonania, chyba za ukazem i egzekucją.

Darujesz Kuzynie łaskawy, że utrudziłem Cię jeszcze przedłuższem pismem — będzie ono w tej materyi zapewne ostatnie. Zdało mi się przyzwoitą rzeczą, lepiej wyjaśnić to, czego w pierwszej odpowiedzi nie umiałem dostatecznie wyluszczyć. Godłem naszym było — w tej poufalej rozprawie — szczerze i po bratersku wynurzyć własne przekonanie jeden drugiemu — i to co się nam przynajmniej zdaje prawdą, po staropolsku, bez ogródki powiedzieć, wedle dawnej owej sentencji: *Amicus Plato, amicus Seneca* (sic!), *magis amica Veritas*. Tegośmy zdaje się dopełnili — a ponieważ jak to zwykle bywa, po długich, przyjacielskich nawet dyskusjach, każdy przy swoim zdaniu, jak mur nieporuszony zostaje, stójmyż i my tam gdzie nas sumienne przekonanie ustalić potrafiło“.

Spróbowałszy raz śmieiej pióra i czując, że z dniem każdym zyskuje w nim coraz wierniejszego sługę; odnalazłszy niejako dzięki polemice w kwestyi odnoszącej się równie do drogich sobie osób, jak i do drogich zasad, właściwą drogę dla swego talentu, wkroczył na nią Chołoniewski z zapalem. Czuję potrzebę i za obowiązek sobie uważam, zwierzał się przed najbliższymi, wypowiedzieć co mi na sercu cięży, uderzyć rycerskim bojem na te tysiacyjne

przesady i kłamstwa, z którymi na każdym polu w książkach, rozmowach i w życiu się spotykam; na te pseudo-literackie, historyczne i filozoficzne teorie, co jak Tatarzy kraj nasz pustoszą, a tem są niebezpieczniejsi, że się często za chrześcijan i pocziwych Polaków przebierają. Tej potrzebie serca, temu obowiązкови rozumiącego swe powołanie kapłana i literata, odpowiedział Chołnowski szeregiem prac, z których pierwsza, ze wszystkich najgłośniejsza, umieściła go odrazu w rzędzie lepszych naszych pisarzy i zjednała mu słuszną nazwę podolskiego „filozofa-poety“. Pracą tą był podziś dzień ceniony i chwalyony, choć za mało podobno znany *Sen w Podhorcach*, jeden z najoryginalniejszych a może i z najsympatyczniejszych utworów, jakie w ogóle posiadamy. Rzadko kiedy w równym stopniu tak harmonijnie sprzęgły się ze sobą prawda i poezya; rzadko kiedy gorzkie prawdy społeczeństwu podane, zdrowe, choć nie popularne filozoficzne myśli wystąpiły w równie pięknej szacie, blaskiem poezyi, czasem iskrami dowcipu świecącej i wabiącej.

Podróżując w młodych latach, opowiada autor, wprowadzając nas zwolna za sobą przez rzeczywisty do zaczarowanego potęgą wyobraźni podhoreckiego zamku — zatrzymałem się w niedaleko od granicy położonych Podhorcach; zwiedzałem z pewnego rodzaju pietyzmem, choć dobrze sobie znany, stary, pełen pamiątek a chyłący się wówczas do upadku pałac Rzewuskich i przy dźwięku wielokrotnie już słyszanych opowiadań starego burgrabiego, przeniósłem się myślą w ubiegłe czasy i dzieje, rozmawiałem z dawnymi panami zamku: hetmanami, senatorami, których portrety choć strojem i wyrazem twarzy odmienne z równym smutkiem zdawały się spoglądać na szerzące się w około spustoszenie. Zapadające słońce coraz częstszy i głośniejszy brzęk kluczów burgrabiego, zbudziły mię na chwilę z zamyślenia; na pół machinalnie opuszczałem zamek, poszedłem do zimnej gospody, próbowałem usnąć na twardym tapczanie, ale wywołane z grobów postacie odejść nie chciały, ciągnęły dalej wspaniałym pochodem, błyszczały bogactwem strojów, toczyły mądre rozmowy w żydowskiej izdebce. Zmęczony próbowałem z początku te mary odpędzić, powtarzałem sobie: „Będę twardo spać, chcę koniecznie twardo spać“ i przyszedł

wezwany sen, ale jakby na to tylko, aby chaos poprzednich obrazów zmienić w ciekawą, a z głęboką myślą urządzoną galeryę.

Pierwsi stają, przysiągłbyś że żywi, dwaj hetmani Stanisław Koniecpolski i Revera Potocki i ręką wskazują na wpół leżącego młodzieńca z piórem w ręku, zdawałoby się pisanie zajętego, o rysach twarzy pięknych, lecz zniewieściałych. Młodzieniec zerwał się, pobiegł do portretu buntownika Chmielnickiego i z zapalem obwołał go geniuszem, bohaterem wolności; stanął przed obrazem Fausta rozmawiającego z Mefistofelesem a deklamując hymn na cześć Getego, geniusz porównał do bóstwa, co z nicestwa światy wyprowadza i nadaje imię temu czego nie było. „Wstrzymaj się Zygmuncie w twych zapędach! Któż jako Bóg!“ zawołali starzy hetmani i chcieli wytłumaczyć młodzikowi czem geniusz na świecie i jakie jego zadanie; lecz on ich nie słuchał, bo nagle drzwi z trzaskiem się rozwarły i rażnym krokiem wszedł Stanisław Mycielski najdokładniej, jakby z obrazu zstąpił, za Mefistofelesa przebrany. Zygmunt zapomniał o hetmanach i zaraz przystąpiwszy do przyjaciela, który przyszedł go zabrać na bal do wojewodziny, uczenie rozprawiać zaczął o Mefistofelesie i Twardowskim, który nigdy nie istniał, lecz jest tylko wielkim *mithusem* XVI. w. podobnym do tych, które niemieccy uczeni w pierwszych zakresach dziejów Rzymu wykryli; obrazem wiedzy pasującej się z zabobonem — tak jak Mefistofel jest *mithusem* już tryumfującej wiedzy. Ale mniejsza o mity, bo teraz, przyznaje się dalej Zygmunt, porzuciłem będącą już na ukończeniu o tym przedmiocie rozprawę, a natomiast wyczytawszy gdzieś, jakiej to rozkoszy umysły doznają, kiedy tworzą nową zupełnie ideę, począłem dumać i wzdychać za szczęściem, jakiego doznawać musi każdy twórca umysłowy; pośród słodkiej tęsknoty, duch mój spragniony oczekuje w skupieniu świętem, rychłoli błyskawica nowej jakiej idei zapłodni wszystkie jego nieśmiertelne władze.

„Właśnie idź do wojewodziny, perswaduje Mycielski, bo do reszty zwarzujesz, jak kiedyś w Wiedniu przed portretem Mickiewicza lampę zapalił i myślałeś o pisaniu *sonetów wiedeńskich*; lub rozkochawszy się w *Manfredzie* Byrona, laziłeś, niby wśród skał alpejskich między szafą, kanapą i kominem, a zwracając się do koszuli rozwieszanej na parawanie, angielskie wiersze w pełni uczu-

cia do niej deklamowałeś. Założyłbym się, że prawdziwi poeci zawsze byli ludzie rozsądni; a tylko chwilowy szal rozhukanej fantazyi nadrabia hałasem, żeby pokryć niedostatek siły duchowej i zrywa skwapliwie i więzy przyzwoitości i odwieczne prawa umysłu, zupełnie w tem podobny do ekliwego szampana, którego pianka wysadza z trzaskiem korek z butelki, lechce trochę podniebienie, lecz w słabości sił nie podźwignie... Kto z góry sobie powie: „Chcę pisać“, ale o czem nie wie i dopiero za konceptem na łowy się wybiera, jak Ty, kiedyś pojechał do Szwajcaryi saskiej, dając za przyczynę, że masz w głowie plan do poematu filozoficzno-religijnego w guście Boskiej komedyi Danta i musisz ze skałami, kaskadami, przepaścistą naturą w magnetyczne stosunki wstąpić — aż wreszcie po całej nocy na górze *Basztaju* spędzonej, porządne goś ślinogorza dostał; kto tak wyciąga rękę za myślami do nocy miesięcznych, harmonik, harf i obrazów szatańskich i podobnych niemieckich sztuczek, — to już źle koło jego autorskiego kapitału“.

Zygmunt chwyta ostatnie słowa raczej, niż myśl przyjaciela i na ich tle najnowszą swoją a genialną, jak zaręcza, teorię zaczyna rozwijać. Wszystkie tradycje: klasyczne, filozoficzne i romantyczne precz porzucić trzeba; na nikogo się nie zapatrywać, do nikogo ręki nie wyciągać, ani do ludzi, ani do natury. Dla tego postanowiłem nic nie czytać, do żadnej książki nie zajrzeć, nawet do wielkiej książki przyrodzenia: staram się wszystko co umiałem wybić sobie z pamięci i w ten sposób na nowy, nie bity jeszcze gościniec skierować bieg moich wyobrażeń. I wiesz jaka prawda w takim samoistnem rozmyślaniu mi się objawiła; jaka postać stanęła przed mym duchem, jako najodpowiedniejsza na bohatera epepei narodowej? Wielka, prawdziwie epiczna i narodowa postać Chmielnickiego, w którego wcieliła się idea odrodzenia, idea reformacyi upadającego od wiecznych waśni ducha lackiego, dzikiem wprawdzie lecz energicznem życiem kozaczyzny.

„Czy ty rozum masz, czyś zupełnie już historję zapomniał? woła Mycielski z oburzeniem. Wszystkie filozoficzno-polityczne nowomodne brednie twoich francuskich i niemieckich broszurek kładziesz *par force* do głowy twego lotra Chmielnickiego i radbyś z niego utworzył to, co Byron z Mazeppy zrobił, co jeden znany mnie i tobie znakomity poeta chciał zrobić z Zyzki Czecha, to jest

urojoną, nigdy nie istniejącą istotę — wielkiego człowieka z ukształconym umysłem — a kroniki, niezaprzeczone dzieje i zdrowa historyczna krytyka w oczy wam krzyczą: fałsz i bajka!

Kronikom i krytyce poetyczny wielbiciel kozaczyzny z drogiby nie ustąpił; ale przemyślny Mycielski grozi, że za pośrednictwem biskupa Woronicza ostrzeże hrabinę Załuską i piękną jej siostrzenicę panią Zofię, Mazurkę, dewotkę a nadewszystko patriotkę, jaki z p. Zygmunta miłośnik kozaczyzny; a groźba ta stokroć lepiej od wszystkich argumentów skutkuje. Romantyk — historyk obiecuje solennie, że o Chmielnickim eposie nie napisze; natomiast zabrać się zamyśla do nowelli, do której kuzynka Zofia myśl mu podała. W lepszym już humorze, rękę sobie na znak zgody podawszy, stają przyjaciele przed portretem kanclerza Ossolińskiego, jednego z przodków Zygmunta, a ten zwierza się, że nieraz zwłaszcza przed ważniejszym jakim przedsięwzięciem, lub gdy obowiązkowi swemu się sprzeniewierzy, widzi przed sobą Ossolińskiego niby na jawie i rozmawiać z nim musi i słuchać jak rozumny kanclerz z dowcipniejszym Mefistolesem się sprzecza, a obaj o względy jego, niby jakiegoś potentata się dobijają... Ot somnabuliczne, gorączkowe mary; trzebaby na nie wzięść coś chłodzącego. Śmieć się Stasiu, czemuś się tak zamyślił?

Stanisław się nie śmieje, tylko na szyi Zygmunta medalik N. Panny zawiesza: „Wszakżeś nie Wolterzysta, bo to już nie w modzie u was?”

„Ale skąd znowu? Ja nabożeństwo do N. Panny najlepiej pojmuję ze wszystkich — nie ma bardziej poetycznego. Każdy prawdziwy poeta Polak, powinien choć myślą pielgrzymkę odbyć do przeczystej Dziewicy Częstochowskiej, Królowej Polskiej i Kasztelanki Czerskiej, jak Ją zowią Mazury. Nie ma w Polsce bardziej narodowego, głębiej wszczepionego w wyobrażenia ludu, jak ten wielki ideał dziewiczej piękności. Ja to wiem najlepiej, który dzieciństwo moje w Mazowszu spędziłem. Patrz i Mickiewicz wpadł na tę myśl — i on jest dewot Maryi — bo to prawdziwy wieszcz polski, który najmocniej zgłębił poezję swego narodu“.

Mycielski wyszedł, Zygmunt do snu się ułożył, kamerdyner lampy zagasił i ciemno, cicho było w moim śnie, aż nowa ukazała się scena, znów z obrazów wystąpił Chmielnicki z dzikim wyrazem

twarży i poważni hetmani, kanclerze i ojciec mój drogi, tak jak go można widzieć na obrazie Lampiego w Janowie. Ojciec za rękę mię wziął i ostrzegłszy, abym korzystał z cudów łaski Chrystusowej, które zobaczę a otrzymanej nauki w las nie puszczał, poprowadził mię do łoża Zygmunta, który wzdychał i jęczał i zawieszony medalik niespokojnie targał, nie zważając na płomienie, co z obrazu Fausta dokoła buchały. Medalik się zerwał i padł z łoskotem, a jednocześnie Mefistofeles z obrazu uprzejmie nadskakując do łożka się zbliżył i poglądał z nienawiścią na dziwny promyk, co po czole młodzieńca przelatując, widomym był znakiem czuwającego Anioła Stróża.

„Módlcie się, rzekł z cicha kanclerz, bo w tej stanowczej chwili losy jego wieczne leżą na szali straszliwej własnej jego woli, ona je sama tylko rozstrzygnąć może, przystając do dobrego lub złego natchnienia; dla tego nikt niema prawa przerwać rozmowy, która nastąpi, prócz mnie — na którego Bóg włożył urząd sumienia jego“.

Więc wszyscy w milczeniu przysłuchują się rozmowie kuszącego z kuszonym. Mefistofeles zacząwszy od starego jak świat, ale zawsze mile słyszanego pochlebstwa, o wielkim rozumie i wiedzy wszędzie głośnego i słynnego hrabiego Zygmunta, podaje mu różne coraz dowcipniejsze sposoby, jak panią Zofię i ciotkę jej sobie pozyskać; próżność starej baby polechtać, aby przyjaźń siostrzenicy jej sobie zapewnić; wmawia i dowodzi, iż mąż Zofii potwór prawdziwy, niegodny tej niebianki górnej sfery, ugrząszszy w błocie teraz o rozwód się stara i o tem już żonie w brutalnym liście oznajmił, a ta nieszczęsna w nadmiarze boleści głośno swą miłość dla Zygmunta wyznała. Cóż teraz czynić, czy opuścić w takim strapieniu tę biedną ofiarę losu i ludzi?

Zygmunt walczy ze sobą, czuje, że to pokusa do podłości go ciągnąca i oprzeć się jej należy, lecz kusiciel czasu nie traci i coraz nowe szepcze wywody, aby zbyt delikatne sumienie zaspokoić. Prawda, że biskup ślub dawał, że panna zezwoliła; ale od czegoż poczciwi świadkowie, od czegoż biegli adwokaci, prawi mężowie, którzy z praw kanonicznych i krajowych dowiodą w razie potrzeby, jak dwa a dwa są cztery, że w zamęściu Zofii było nie jedno stanowcze uchybienie, ale z pół tuzina — do wyboru stronom, na

którym z nich zechcą oprzeć swój proces rozwodowy — a każdy z nich jak miecz obosieczny, przecina jednym cięciem węzeł gordyjski... Zresztą teraz nie pora jeszcze wdawać się w takie dysercacje; przedewszystkiem szlachetne twe serce i rozum domaga się, abyś uspokoił szkrupuły P. Zofii i nie dopuścił, aby ta anielska dusza padła ofiarą fałszywej cnoty... Oświecić ją w jej krytycznym położeniu powinieneś jako przyjaciel bezinteresowny, jako opiekun jej duszy, a potem staniesz skromnie na stronie, szanując czystą jej wolę.

Czego kusiciel nigdyby może nie wymógł wykrętnymi swymi wywodami, tego o mało nie dopiął przemawiając do serca, wyzyskując sentymentalność swej ofiary. Zygmunt zawahał się: „Prawda, ratować ją trzeba! Lecz co czynić? Ach! matko moja, czemu już nie żyjesz? Teraz najbardziej potrzebowałbym twej rady!“

W szczęśliwą chwilą wyrwał się ze serca ten błagalny okrzyk o pomoc. Z tła ciemnego wystąpiła poważna postać matrony, a zbliżywszy się do łoża pocałowała syna w czoło i krzyżyk na czole nakreśliła przestrzegając: „Patrz, żeby światło, które w tobie jest nie było ciemnością; bo tylko przykazanie pochodnią jest, a zakon Pański światłością; bo Pan przykazał: Nie pożądaj żony bliźniego twego“.

Rozświeciło się w umyśle młodzieńca, a kanclerz, czyli sumienie Zygmunta, jak go sam nazywał, rozsunał zapuszczone na okna adamaszkowe franki i wpuścił do pokoju pęk pogodnych, jasnych promieni słonecznych, którymi Mefistoles bardzo widać się brzydził, bo choć z wielkim gniewem i fochami skrył się w najciemniejszy zakątek.

„Patrz Waś, zawołało Sumienie, jak ten kłamca, którego rad słuchasz, jasności się boi. Pozawczoraj namówił cię, żeś całą noc na kosterstwie strawił, krwawą pracę kmiotków na ślepy los narażając; dziś uczy cię, jak piekłu i żądy zadośćuczynić i te wszystkie brudy przypieczętować sfalszowaną pieczęcią prawdy i zakonu Pańskiego, ozłocić pozorem szlachetnej, niewinnej przyjaźni, opieki nad stroskaną duszą...“

Światło z ciemnością, sumienie z szatanem ostatnią, najstraszniejszą walkę w sercu i o serce Zygmunta toczą. Co zrobić, czy namiętności, czy głosu łaski i rozumu posłuchać? Zygmunt waha

się; chciałby światłość z ciemnością pogodzić i nieśmiało zgodę proponuje. „Wszak wyrozumiałość, tłumaczy kanclerzowi, bo Mefistofeles z grzecznym uśmiechem natychmiast rękę do zgody wyciągnął, — jest godłem tych uprzywilejowanych, wspaniałych dusz, które z wysokiego stanowiska boskiej filantropii, patrzą na ziemskie rzeczy; wszyscy wielcy ludzie, dla tego samego, że są wielcy, a że mają głęboką pojętność tak tego, co jest nikczemnem, jak tego, co jest wielkiem, są nad wyraz wyrozumiali. Wszystko więc rozumieją, wszystkiem się przejmują za pomocą tej uniwersalnej sympaty geniuszu... P. Mefistofel uważa życie moralne trochę za lekko, za ironicznie, po Wolterowski i nie dość poetycznie; ale z drugiej strony Pan Dobrodziej zanadto może puszcza się w egzaltację religijną, zbyt się poddajesz metafizyce... Jakaby to była nieoceniona korzyść dla powszechnej oświaty, gdyby tak wysokie dwa umysły mogły wejść ze sobą w bliższe stosunki, jakie to potężne, dobroczynne światło rozpromieniłoby się ze wspólnego ogniska tak wielkich dwóch geniuszów!...

Dobrze, rzekł po namyśle kanclerz, ręki do zgody nie odmawiam, ale niech Mefistofeles wyjdzie z swego ciemnego kąta i stanie w blasku słonecznym.

„Daj mi ten dowód przyjaźni, szepcze Zygmunt, dogódź w tej małej rzeczy, fantazyi tego szanownego staruszka, bo inaczej kwita z przyjaźni i znajomości!“...

Chytry szatan widząc, że sprawę łatwo przegrać może, usiłuje inny tok nadać rozmowie i myślom młodzieńca: to maluje przed jego oczami uludny obraz Zofii nieszczęśliwej; to tłumaczy mu, że żadna na świecie istota wielkiego jego, samoistnego rozumu ujarzmić nie powinna. „Pałaj serce! — szeptał niby sakramentalne, piekielne słowa; — rośnij w pychę ducha! A w miarę, jak słowa te słyszeć się dawały, Zygmunt pasował się coraz silniejszym paroksyzmem, i wyrazy jakieś urwane wydobywał z piersi, z coraz większą dumą i wysileniem. Tę dumę, ten nawał pokus tylko modlitwa pokonać zdolna; więc nie zważając na szyderstwa szatana, ukłękli w pokorze wszyscy zgromadzeni dostojnicy i rozległa się głośna modlitwa: „Zmiłuj się nad nami Panie“, a potem: „Przed oczy Twoje Panie winy nasze składamy!“

W tej chwili rozstrzygał się los młodzieńca, niebo spieszyło

z pomocą, piekło dobyć miało sił i środków ostatnich. „Zjaw się maro serca i pychy, nie ruszaj się!“ rozległ się głos kusiciela, a na to zakłęcie spłynęła prześliczna postać niewieścia w czarownej szacie, z czarownym obliczem. Zygmunt się porwał z łoża, krzyknął: „To Zofia!“ i stanął jak wryty, gdy oko jego spotkało się z okiem niewiasty, ciemnym, łez i rozpaczy pełnym. „Zdecyduj się, wołał Mefistofeles, nie bądź tchórzem podłym!“ „Tak! nie bądź tchórzem podłym i sam siebie zwycięż!“ przywodziło sumienie. „Zwycięzę siebie! — zdecydował się Zygmunt — Boże Ty widzisz moje serce!“ — i w mgnieniu oka z oblicza sumienia i wszystkich klejnotów jego, poleciały błyskawice z trzaskiem gromu; zorały ognistemi bruzdy czarną, rozpaczającą, plugawą twarz Mefistofela — i pochłonął go zupełnie krwawy płomień — a piekielne widziadło niewiasty w kłębach dymu czarnego znikło.

Ciężka była walka, trudne zwycięstwo, ale wielkie i stanowcze. „Gdzie to ja byłem, co się ze mną działo, pytał Zygmunt i tulił się do kanclerza niby z długiego omdlenia do przytomności wracając i oplakując serdecznie dawne grzechy i grzeszne myśli swoje. Nad pokutującym grzesznikiem odezwały się nadludzkie jakieś dźwięki, niebiańskie harfy: to chóry Aniołów wychwalały Boga na wysokościach i zapowiadały pokój ludziom dobrej woli...

Wtem za wychodzącymi w pięknej zgodzie kanclerzem i Zygmuntem, wiatr tak mocno drzwiami pokojowymi rzucił, że mnie ten gwałtowny loskot zupełnie ze snu wybił i tą razą doprawdy oczy otworzyłem. Patrzę, aż to tylko służący wchodzący do izdebki mojej gospody drzwiami zaskrzypił i obudził mnie mówiąc, że już pora wstawać... Tak spokojnie skończył się mój wielce niespokojny sen.

„Calderon della Barca, jednemu z najpiękniejszych dramatycznych swoich utworów, taki dał tytuł: *Życie sen*. Jakoż w istocie w życiu człowieka tak czasem dziwacznie snują się wypadki, iż ona wielce wygląda na sen, w którym, jak to mówią, wszystko się nie dobrze klei. Mnie się zaś widzi, że bywa także niekiedy *sen* jak *życie*, równie pełen prawdy, smętku, goryczy, radości i świętych z nieba napomnień...

Przewodnią, jasno w całym utworze przebijającą ideą autora, było schłostać ostro, ale zasłużenie wybryki wyobraźni i serca, które w tym właśnie czasie, w oczach niejako mnóstwo pełnych nadziei młodzieńców na fałszywe ścieżki sprowadzały i nie tylko w literaturze, ale co gorsza, w sumieniach, rodzinie, społeczeństwie całym, straszne szerzyły spustoszenie. Fałszywy, w karykaturę zmieniony romantyzm, przeciw któremu najenergiczniejszy protest podnieśli samiż twórcy i wodzowie kierunku romantycznego, zagnieździwszy się w poezji przeszedł z niej do historii, do życia, nawet do nabożeństwa, apoteozując zbójcką kozaczyznę; stawiając namiętności i nieokiełzane żądze serca jako wszechpotężne, uszczęśliwiające ludzkość boginie, którym ślepe należy się posłuszeństwo; przekształcając katolicką wiarę i pobożność w sentymentalny zachwyt dla w fantastyczną szatę przybranej pobożności dawnych polskich królów i rycerzów. Rozwody, karty, wino, podkopywały moralność i majątki tem pewniej i spokojniej, że tymczasem za nieprzepuszczającą światła zasłoną utkaną z sentymentalno-poetycznych teoryj, usiłowano złe z dobrem, występki z wewnętrznym poszanowaniem wiary i pobożności, Mefistofelesa z sumieniem wszelkimi sposobami do zgody i wzajemnego porozumienia się doprowadzić.

Tak w paru głównych rysach przedstawia się piękny ten, poezją a zarazem prawdą pociągający utwór, który słusznie i z jednego wyłącznie względu do wspomnianego przez Chołoniewskiego arcydzieła Calderona: *Życie snem* mógłby być porównanym. Kiedy autor odczytał swój *Sen* w zaufanym kółku domowym, zgodzono się jednomyślnie, że wydrukować go trzeba, a po niedługim namyśle dodano, że najlepiej będzie go wydrukować w wileńskim *Athenaeum*, które, jak zapewnił redaktor Kraszewski¹, „na pierwszym względzie ma i będzie miało zwrócenie umysłów na drogę „idei religijnych, zdrowych; starać się będzie ostatecznie wytepić „błąkające się jeszcze niedobitki wyobrażeń, przekonań XVIII w.; „stanie, o ile mu siły pozwolą, do walki z niewiarą, materyalizmem, „sceptycyzmem i nowszym panteizmem młodej Europy. W oddziale „świeżo utworzonym filozoficzno-religijno-moralnym starać się będzie „dziemy umieszczać takie artykuły, któreby zwracały uwagę na

¹ *Athenaeum* r. 1841, t. V, str. VI.

„wałną sprawę pobratania filozofii z katolicyzmem; sprawę dopełnioną w naturze rzeczy, ale nie wyjaśnioną może dla wielu, „mianowicie u nas“.

Kraszewski w ostatnich wierszach programowej swej odezwy zwracał się z gorącą prośbą do pisarzy polskich, „aby nam po „mocy swej nie odmawiali, bo to co uczynią, uczynią nie dla nas, „lecz w sprawie dobra powszechnego“. Jakże było takiemu wezwaniu nie odpowiedzieć? Odpowiedział też na nie Chołoniewski i już w kilka tygodni po ogłoszeniu odezwy, posłał najprzód przez trzecią osobę, jakby dla wypróbowania gruntu, krótką rozprawę: ¹ *Kilka słów o polemice chrześcijańskiej w przedmiotach moralno-filozoficznych, przez kapłana katolickiego dyecezyi kamieniecko-podolskiej*. Rozprawa ta zwięzła, a nawet sucha, raczej po szkolnemu naszkicowana niż obrobiona, za cel miała dowieść, że metoda, która ze swych badań wyłącza podania i naukę Kościoła Chrystusowego, i nie uważa jej jako naturalnego swego dopełnienia i korony, nie może nawet sobie rościć prawa do nazwy metody filozoficznej. Czy przypadkiem „kilka słów“ nie są pro prostu polskim w niektórych szczegółach pomnożonym przekładem jednego z licznych filozoficznych i teologicznych wypracowań po łacinie w Rzymie jeszcze pisanych? Stanowczo odpowiedzieć nie śmiemy, ale i styl i treść rozprawy mimowoli podejrzenie to wznieca; w każdym razie nawet przypuścić nie łatwo, aby ktoś, co już miał w swej tece głęboko a poetycznie pomyślany *Sen w Podhorcach*, miał teraz dopiero, rzucając nagle poetyczną harfę, biorąc rozbrat z właściwym sobie sposobem myślenia, zasiąść do pracy z dobrym zamiarem i niemalą erudycją wykonanej, ale nie odróżniającej się w niczem od mnóstwa podobnych akademickich dysertacyj². Bądź co bądź, kiedy *Athenaeum* tę moją ramotę wydrukowało, pomyśleć sobie

¹ *Athenaeum* r. 1841. T. VI. Str. 1—13.

² Niebawem pojawiła się w *Bibliotece warszawskiej* (r. 1842. Zeszyt z maja) pobieżna, ale nie zbyt pochlebna wzmianka o tym artykule, z którego wynikami, zdaniem recenzenta, zgodzić się trudno. „Utarczka to próżna, odpowiedział w samo jądro trałając, M. Grabowski w *Tygodniku petersburgskim*, bo niewątpliwie autor artykułu a recenzent do słów przywiązują niejednakowe znaczenie“.

musiał Chołoniewski, to przecież i ze *Snem* łaskawie się obejdzie, — i wydobywszy z szuflady leżący w niej od dość już dawnego czasu rękopism, z dobrą otuchą i otwartą już tym razem przyłbicą, odesłał go przez nadwornego kozaka do Gródka, skąd Kraszewski, choć nie bez rozlicznych, nieraz humorystycznie i niehumorystycznie przez samego siebie opisywanych trudności, redagował swe czasopismo w wileńskiej drukarni tłoczono.

„Mój pierwszy krok do znajomości Pana, pisał Chołoniewski w liście do rękopisu dołączonym¹, jest natręctwo grożące nielitościwem znudzeniem... Lecz w piątym tomie *Athenaeum* tak Pan „pięknie i bez ogródki przemówił do wszystkich naszych serc „i umysłów katolickich, iż niepodobna było, ażeby najleniwsze nawet istoty piśmiennego rodu nie poruszyły się na to szlachetne „wezwanie i nie przyłożyły, acz niezgrabnej ręki do pocziwej i sumiennej pracy Pańskiej“...

„Nie wiem jak mam dziękować, odpowiedział natychmiast Kraszewski, a czuć z ciepłego tonu tej odpowiedzi, że była ona czemś więcej niż banalnym redaktorskim komplementem, nie „wiem jak mam dziękować, żeś J. W. hrabia, mnie pierwszemu „dozwolił (przed innymi czytelnikami) przyjemności przeczytania „*Snu w Podhorcach* i polecił wprowadzenie na świat tak pięknego „utworu. Dawno i bardzo dawno żadne pismo nowe takiego na „mnie wrażenia nie uczyniło; dziwiłem się sztuce, z jaką tę „cudną powieść osnułeś J. W. Pan, z jaką ją wykończyłeś, a „dawał mnie cel tak piękny, główna myśl tak poważna, a tak „strojna. I pomyślałem znowu, com niedawno napisał w *Studyach*, „że w tego rodzaju utworze jeden J. W. Pan mogłeś się ustrzedz „zarzutu mieszania rzeczy najświętszych i najpoważniejszych z „najlżejszemi i najbardziej świeckimi, bo trzeba było tak być pewnym „siebie i panem najdrobniejszych szczegółów, aby śmiało złać w je-

¹ Wszystkie listy i szczegóły odnoszące się do stosunku między Kraszewskim a Chołoniewskim wyjęte i cytowane częścią wedle studjum Dr. Antoniego J. „Józef Ign. Kraszewski i ks. St. Chołoniewski“. (Przewodnik naukowy i literacki r. 1878) tudzież z listów Kraszewskiego do Chołoniewskiego, ogłoszonych w całości przez Dr. Antoniego J. w warszawskiej *Niwie* r. 1888; częścią wedle oryginalnych listów Chołoniewskiego przechowanych w zbiorach po Kraszewskim, Bibliotece Jagiellońskiej przekazanych.

„dną całość nauki kanclerza i drwinkowanie szatana. Tylko drzewo „dobre da owoc całe czysty i dobry; i dlatego to powiedziałem „mej braci piszącej, że kto chce być pewnym zdrowia i nieszkodliwości swych dzieł, duszy swej czystości winien być naprzód „pewien... Nie przeczytałem *Snu*, ale pochłonałem, bo mnie tak „ten Zygmunt zajął, że do ostatniej chwili próby opuścić nie „mógł. Jakiś urok szczególnie rozlałeś J. W. Pan na tę swoją krea- „cyę; a co najwięcej podziwiam, to połączenie tyła nauki z taką „żywością imaginacyi zupełnie młodzieńczej, imaginacyi w całej „swej sile i potędze. Potem, cóż to za charaktery! — szatana i su- „mienia; co za myśl cudna upostaciowania ich. Jestem pewny, że „na wszystkich zrobi *Sen* takie wrażenie, jak na mnie, *głębokie* „i *silne*, bo pomyślanym jest głęboko i silnym wydany na świat; „szczęśliwym kto takie sny mieć może. Chociaż zwykłem tomy „*Athenaeum* składać z różnych artykułów, na ten raz i dla tak „*hors de ligne* utworu, pospieszę uczynić wyjątek. Cały prawie tom „trzeci (bo drugi już zredagowany) nowej seryi *Athenaeum* zajmie „*Sen*, parę tylko drobnych dodam mu artykułików za towarzyszy; „przekonany jestem, że za to wszyscy mi podziękują“¹.

Ks. Stanisław bardzo był rad, że redaktor *Athenaeum* na jego propozycyę się zgodził i obiecał cały *Sen* w jednym zeszytcie umieścić. „Trochę to wprawdzie niegrzecznie, pisał z zadowoleniem, „że mój *Sen* dziwaczny w całym prawie jednym tomie rozpierać „się będzie, jak na wygodnem poręczowym krześle, ale kiedy Pan „rozgrzeszasz go z tej inzolencyi, to już i mnie milczeć trzeba“.

To nie niegrzeczność, ale łaska dla czytelników, odpowiedział grzecznie Kraszewski²; nie tylko ja, ale wszyscy, którym *Sen* czytałem, nim się zachwycają. „Ileż to on niebezpiecznych błędów „sprostować może!... Musiałem się źle wyrazić pisząc o nim, gdy „J. W. Pan zdajesz się wątpić, czym ocenił Miecielskiego? Miecielski jest czysto nasza postać, i ja sam podobnych żywych „*en chair et en os* widziałem; narodowa to i z teraźniejsz- „szych czasów figura, upoetyzowana tylko przez poetę. W iluż

¹ Gródek, 3 marca 1842.

² Gródek, 2 kwietnia 1842.

„umysłach od tej lektury zajaśnieć może prawdziwe światło..; ale „dość, bo temi pochwałami, które są tylko *toute justice* mogą się „podać w podejrzenie pochlebstwa, a o *Śnie* mówić mi inaczej nie „podobna“.

Dopełniając obietnicy, umieścił istotnie Kraszewski cały *Sen* w jednym zeszytce, tłumacząc się z tego i poprzedzając go następną wzmianką: Od Wydawcy¹: „Sądzim, że największą czytelnikom naszym uczynimy przyjemność, umieszczając w tym tomie (przeciwko zwyczajowi naszemu), jedną zajmującą go prawie całkowicie rzecz, której rozbitcie na kilka zeszytów zdało się nam „niej ujmować. *Sen w Podhorcach* ma wysoką wartość filozoficznej „rozprawy, a cały wdzięk poezyi-powieści. Zwracamy na niego „szczególną uwagę czytelników, jako na jeden z najcenniejszych „utworów, których ogłoszeniem *Athenaeum* nasze poszczycić się „może“.

Czytelnicy wdzięczni istotnie byli redaktorowi; w każdym razie, choć nie wszyscy naturalnie na myśl przewodnią *Snu* się godzili; owszem, niektórzy gniewali się na autora, skarżąc się, że ich widocznie miał na oku, a nie wypada przecież tak ludzi pocziwych na publiczne widowisko wyprowadzać; to jednak powszechnie żywo *Snem* się zainteresowano, czytano go, i rozprawiano o nim nie tylko w literackich pismach i ściśle literackich zebraniach, ale i w zwykłych gabinetach i salonach. Największy to był podobno dla Chołoniewskiego tryumf, którego imię ogólnie i lepiej dotychczas znane zaledwie w Kamieńcu i Winnicy, stało się głośnie i popularnem w Wilnie, w Petersburgu, Warszawie. Michał Grabowski oceniając *Sen w Podhorcach* w *Tygodniku Petersburskim* z większemi jeszcze, niż sam Kraszewski wystąpił pochwałami², porównując ks. Stanisława z Henrykiem Rzewuskim, który w tej właśnie chwili, ogłosiwszy już *Pamiętki Starego Szlachcica*, a mając w tece *Listopad*, stanął na najwyższym szczeblu autorskiej swej sławy.

¹ *Athenaeum* r. 1842. t. III. *Sen w Podhorcach* wyszedł również w osobnej odbitce u Glücksberga w Wilnie (w 8-ce str. 175). W ostatnich miesiącach wydała wychodząca w Krakowie *Biblioteka Uniwersalna* przedruk tego utworu.

² *Tygodnik Petersburski* r. 1842. Str. 349.

„Kollaboratorowie Athenaeum z małym wyjątkiem czuć się powinni do największej wdzięczności dla wydawcy, że żadnego z nich nie zbliżył do utworu i autora, przy którychby strasznie zdrobniali. Od kilku dni jestem w prawdziwym zachwyceniu od cudownego tego *Snu w Podhorcach*... Pod względem wzniosłości filozoficznej, religijnej i moralnej żaden znany mi nasz utwór do tego równać się nie może... Chłostę bierze *ukrainomania*, którą spostrzegł i P. Kraszewski, ale źle zadeterminował... Co do innych zalet toku powieści, stylu, języka, powiemy, że jest w tem coś tak polskiego, co tylko w *Rysiu* i gnieindziej u autora „Pamiętek starego szlachcica“ znamy. Jedni ci dwaj autorowie nie mają pokrewieństwa z żadną cudzoziemczyzną, z żadną wyłączną naszą literacką szkołą; są źródłowi, prości, poufali, ale tylko jak bywają prości i poufali ludzie najznakomitszego narodu. Oni jedni nie są ani klasyczo-francuzcy, ani niemiecko romantyczni, bo wszystko to niżej się od nich wylęło. Skończę na wyrzucie; wiem, że *Sen w Podhorcach* oddawna napisany; są w tece i inne dzieła. Górując tak bardzo nad wyobrażeniami piszącej publiczności... nie byłoby rodzajem pychy stać na stronie, milczeć i pozwalać, żeby nam u nóg hałasowała literatura Pijmejczyków. Ogłoszenie *Snu* spowodziłoby od dawna wylom, który się teraz sam przez się, ale z ciężkością deklaruje... W imię więc Tego, co rzekł, że niegodzi się się światła zakrywać korcem, ni zagrzebywać talentu, zaklinamy ks. Chołoniewskiego, żeby zajął przeciw w piśmiennictwie polskiem miejsce, które mu się należy, a z którego tak ogromne może oddać usługi prawdziwemu oświeceniu i pożytkowi duchownemu ziomków“.

Ocena ta, obok której nawet kupiecka reklama Glücksberga¹,

¹ W dodatku do *Kuryera Wileńskiego*, przedrukowanym następnie w *Tygodniku Petersburgskim*, ogłosił Glücksberg następną reklamę, której i dziś żaden księgarski prospekt by się nie powstydział: „Ktokolwiek podoba sobie w dziełach Hofmanna i Jean Paul Richtera; dla kogo *Stello* Alfreda de Vigny miał powab wielkich myśli ukrytych pod osłoną cudowności; ten zapewne z największą rozkoszą czytać będzie to znakomite dzieło dostojnego autora... Jestto jeden z tych rzadkich płodów, do którego klucz znajdzie się w każdym sercu żywo bijącym na odgłos wyrazów pełnych znaczenia: przeszłość, obecność i przyszłość“.

dla wydanej przez siebie książki niemal blado wygląda, miała podobno głównie na celu zaciągnąć Chołoniewskiego w szeregi stronnictwa, którego *Tygodnik* był organem. Stronnictwo to dążąc do celów zasługujących na wszelkie uznanie, walcząc śmiało w obronie katolickich i polskich tradycyji przeciw napływającym z zachodu niezdrowym liberalnym teoryom; przekraczało niestety! czasami granice prawdą nakreślone; zbyt silne kładąc farby przesadą odstręczało i dobrej sprawie szkodziło; wzajemnie chwalać się i za najznakomitszych polskich pisarzy, niemal za geniuszów się ogłaszając, zwolna przekształciło się jeżeli nie wprost w koteryę, to przynajmniej w coś, co do pojęcia koteryi ludzaco się zbliżało. Pokrewieństwem złączony z Rzewuskim, suknią duchowną z Hołowińskim, wieloma literackimi przekonaniem z M. Grabowskim, religijnemi zasadami z całą redakcyą *Tygodnika*, miał w nim Chołoniewski z góry niejako wskazane stanowisko, które też byłby z pewnością chętnie zajął, gdyby *Tygodnik* zbyt na prawo nie zbaczając i nieopatrznie sławiąc wiarę na koszt rozumu, nie opuścił środkowej, jedynie prawdziwej i do prawdy prowadzącej drogi. Ale jeżeli Chołoniewski zbroczyć nie chciał na prawo, tem bardziej zejść nie myślał na lewo, zapisując się w szeregi grupujące się koło *Biblioteki Warszawskiej*, która znowu wstępując zdaleka w ślady zagranicznych liberalów i racyonalistów, rozum na koszt wiary wywyższała. *Tygodnik* dyplomatycznie nie szczędził kądziela dla autora *Snu w Podhorcach*, chcąc go tak do siebie przywabić; *Biblioteka* nie żywiąc takiej nadziei, a upatrując w Chołoniewskim wroga, wstępnym bojem na niego uderzyła, nie oceniając, ale ganiąc *Sen* bez miłosierdzia, zapominając nawet chwilami o zachowaniu pewnych przynajmniej pozorów bezstronnej, poważnej krytyki.

Gdyby ten fantastyczny dramat czy powieść, pisał krytyk *Biblioteki* ukrywający się pod literami F. Z.¹, był pojedynczem zjawiskiem w naszej literaturze, gdyby poważne głosy nie ogłosiły go za zorzę nowej epoki piśmiennictwa, nie rozbialibyśmy go obszerniej, bo mimo pewnych rzetelnych zalet, na to nie zasługuje. Dlaczego? Dlatego, że to nie jest cały dramat, ale jedna tylko

¹ *Bibl. Warszawska* r. 1842 grudzień. Str. 618—622.

scena z dramatu wyjęta, dlatego przedewszystkiem, że autor nie uprawia sztuki dla sztuki, która sama w sobie cel najwyższy znajduje, a kto tak jak ks. Chołoniewski przeciw temu prawidłu wykracza, ten popełnia obrazę niczem nie zmazaną, ten nadużywa sztuki, a sztuka ciężko odplaca wyrządzoną zniewagę, odbija bezwładną rękę, która targnąć się na nią śmiała i zwraca cios przeciw zuchwałemu gwałcicielowi. Prawdziwość tego twierdzenia najlepiej, zdaniem krytyka, okazuje sama już treść *Snu w Podhorcach*, którą dość obszernie przytacza, czyniąc po drodze autorowi różne zarzuty, przedewszystkiem ten, że w usta Mefistofelesa włożył wszystko to, co mu się w terażniejszości nie podobało, a dawszy zapaśnikom broń nierówną, nie tylko zbyt łatwą cieszy się wygraną, ale nadto niczem ostatecznego rozwiązania przed trybunałem sztuki nie może usprawiedliwić. „Czy kilka tych napomnień wystarczyć może, aby ująć w karby rozsądku awanturniczą psychologię fantastycznego dramatu? Bezwątpienia nie; uczyniliśmy je przecież, bo ile razy mówimy o utworach szkoły, do której należy autor *Snu w Podhorcach*, mamy za obowiązek wykazać, jak pozorne lekceważenie filozoficznych pojęć naszego wieku ukrywają rzeczywistą ich nieznanomość i niedostateczne pod tym względem ukształcenie“.

W drugiej części swego oskarżenia raczej niż krytyki, sprawozdawca *Biblioteki* z coraz większym zamachem i jawniejszą niechęcią, w coraz ostrzejszych sarkastycznych uwagach się objawiającą, dowieść usiłował, że powieść ks. Chołoniewskiego do wręcz przeciwnych niż były zamierzone, dochodzi wyników i wręcz przeciwnie wzbudza uczucia. Sztuka to zwierciadło... i promienie w krzywym kierunku przychodzące, w przeciwną stronę skrzywione wracają. Ks. Chołoniewski utwór swój dążnościom tegoczesnym nieprzyjazny, musiał przybrać w formy stworzone właśnie przez tego ducha, przeciw któremu powstaje: z Getego zapożycza postać Mefistofelesa, z Szekspira końcową cytate. Czemu dyabła nie uzbroił w rogi, ale go płaszczem hiszpańskim zasłonił? Bo nie chciał rozirytować... i chociaż z bólem serca na taką czasów niegodziwość, musiał się przecież rad nie rad do okoliczności stosować, i w garderobie piekielnej rogi z językiem na lepsze czasy zachować. W cudzy strój przebrany wkrada się do fortecy, bo własnym siłom nie ufa. Na nic mu się nie zda przebranie, poznają go, nie zechcą przyjąć do

siebie, lub gdyby nawet gdzie chwilowy znalazł przytułek, winien go będzie tylko swojej sukni...

Risum teneatis amici! — *O che torre di Babel!* zawołać mógł zwyczajem swym ks. Stanisław czytając te szumnie, ale nie koniecznie logicznie sformułowane zarzuty. W niewiele lat później, jeszcze przed śmiercią Chołoniewskiego, sama *Biblioteka* wystąpiła przeciw zasadzie: „Sztuka dla sztuki“, na której cały gmach krytyczny surowego cenzora *Snu* się opiera¹; a oryginalnie postawione twierdzenie, że kto walczy przeciw błędnym prądom wieku, ten tem samem wszystko co współczesne powinien odrzucać, nie wolno mu znać a w danym razie cytować Getego lub Szekspira, istotnie wręcz przeciwnie zamierzonemu wzbudza „uczucie“. Lecz mniejsza jeszcze bieda z drukowanemi krytykami, bo choć z logiką się kłóciły, można było jakkolwiek zrozumieć a przynajmniej dorozumieć się, o co w nich się recenzentom rozechodziło; gorzej było z niedrukowanemi, które czytelnicy *Snu* pod pseudonimami i anonimami się kryjąc, uważali sobie za obowiązek do Janowa posyłać. Tak np. od jakiegoś nieznanego sobie osobiście czytelnika otrzymał Chołoniewski dość gruby foliant p. t. *Przewidzenie różniące się od Snu w Podhorcach hrabiego Chołoniewskiego*, niezgrabna, niewprawnym stylem osnutą parodią *Snu*, która w całej pełni tego wrazu i bez żadnych okoliczności łagodzących zasługiwała na dany sobie tytuł: *Przewidzenie*. Przeciw „przewidzeniom“ walczyć, byłoby to walczyć przeciw wiatrakom a Chołoniewski choć w danym razie chętnie i odważnie kruszył literacką kopię, nie czuł w sobie powołania na błędnego rycerza i przeto z tym samym filozoficznym spokojem kładł do biórka rękopiśmienne satyry i pamflety, z którym żartował sobie z wygórowanych nagan *Biblioteki* i z wygórowanych pochwał *Tygodnika*. W *Bibliotece Warszawskiej*, pisał do Kraszewskiego²: „Pan Z. strasznie się gniewa na *Sen w Pod-*

¹ „Przebrzmiała już przecie owa płonna, acz pewien zaród prawdy posiadająca teorya „sztuki dla sztuki“; owa teorya dowodząca, iż sztuka jest wyłącznym dla siebie samej celem i że nadanie dzieła sztuki jakiegobądź czy to teoretycznego, czy praktycznego celu staje się zawsze ujmą i zakalą sztuki“. (Aug. Cieszkowski „O romansie nowożytnym“. *Bibl. Warsz.* r. 1846. t. I, str. 143.

² 23 lutego 1843.

„*horcach* i na autora; powiada, że nadużył sztuki i popełnił prze-
ciw niej obrazę niczem nie zmazaną (*sic*). Żeby mnie nie zasła-
niała rewerenda, to niemal trzebaby się lękać wyzwania na ostre.
Zato znowu p. Grabowski z powodu tegoż nieprzespanego *Snu*
raczy mię stawić w swojej korespondencyi literackiej tuż obok
p. Rzewuskiego, na czele jakiejś nowej szkoły katolickiej. Patrzo,
kochany p. Józefie, co to z biednego księdza zrobili“.

W chwili, w której „biedny ksiądz“ kreślił te wyrazy, miał już w tece zupełnie do druku przygotowaną drugą niejako, odrębną część *Snu w Podhorcach*, która powstając przeciw wygurowanemu kultowi rozumu, mierząc się z przyniesionemi do Polski z niemieckich uniwersytetów, filozoficznemi „nowinkami“, prowadziła dalej, choć na innem polu, walkę podjętą we *Śnie* przeciw współczesnym błędom. *Sen w Podhorcach* analizował i leczył choroby wyobraźni i serca; *Dwa wieczory Pani Starościny Olbromskiej*¹, brały pod rozbiór i wskazywały lekarstwa na choroby rozumu. Tak więc *Dwa wieczory* są ze względu na treść uzupełnieniem *Snu w Podhorcach*; ze względu na zewnętrzną strukturę, nie wiele, może aż za mało od niego się różnią, bo wielkiej chyba różnicy nie stanowi czy autor alegoryczne swe opowiadanie oprawi jak we *Śnie* w ramy sennego marzenia, czy jak w *Wieczorach* włożył je w usta jednego z krakowskich profesorów.

Pierwszy wieczór to tylko przegrywka do właściwego opowiadania; przegrywka podobnie jak we *Śnie w Podhorcach* osnuta na motywie z osobistych wspomnień zaczerpanym. Wracając z Karlsbadu na Podole, opowiada autor, odwiedziłem w Krakowie w kamienicy Pod Baranami, siedemdziesięcioletnią staruszkę Dębińska, znaną zazwyczaj pod nazwą Starościny Olbromskiej, a która słusznie uchodziła za typ poważnej, chrześcijańskiej matrony polskiej. W salonie starościny dwie uformowały się grupy: sama pani domu grała w marysaza z kustoszem koronnym Sierakowskim, z dziekanem fakultetu filozoficznego Przybylskim, i z profesorem Jagiellońskiego uniwersytetu Sołtykowiczem; przy drugim stole to-

¹ *Dwa wieczory Pani Starościny Olbromskiej*, opisał ks. Stan. Choleńewski. Wilno, Nakładem i drukiem J. Zawadzkiego 1843 str. 221.

czyła się rozmowa między panią Czacką, córką starościny Olbromskiej; szambelanem Ż. trochę podżyłym elegantem i wołyńskim literatem Janem Marcinkowskim. Matematyk, profesor Szopowicz, staruszek czerstwy, przechadzał się po pokoju niespokojnym krokiem, zaczepiany wciąż od dzieci, bawiących się w sąsiedniej sali i ciągnięty przez nie pół prośbą, pół gwałtem do ciuciubabki. Po przeslizgnięciu się przez inne temata, szambelan skierował rozmowę na nowy powóz hr. Wielopolskiego, świeżo z Londynu sprowadzony, który, jak tego najświeższa moda żąda, cały jest okrągły jak bomba i wszystko w nim okrągłe: okna, tafle, kieszenie, materace, stopnie. Czy taki powóz wygodny, czy taka moda ma sens, czy w ogóle despotyzm mody może być czem usprawiedliwiony; czemu dziś tak często słychać: teraz taka moda, a nigdy prawie: teraz taki obyczaj, teraz taki zwyczaj; co to jest obyczaj i jakie jego stosunki ze zwyczajem i modą? — pytania się krzyżują, dysputa między profesorami i nie-profesorami się zaognia i jak wszystkie dysputy nie doprowadziłyby podobno do żadnych rezultatów, gdyby starościna korzystając z tego, że dzieci naznosiły mnóstwo fantów złożonych w grze przez Szopowicza i domagały się natarczywie naznaczenia mu ciężkiej pokuty, nie nakazała obżalowanemu odczytać nazajutrz, głośno, w obec wszystkich zebranych rozprawy o modzie, zwyczaju i obyczaju, którą, jak się w zapale dysputy pokazało, miał tenże w swem biurku. Cóż było robić? Szopowicz widząc, iż próżna walka z połączonymi siłami poważnych matron i trzpiotowatych panienek, zastrzegł się tylko dyplomatycznie, że ta lukubracya nie z pod jego wyszła pióra, ale z pod pióra pewnego zmarłego Teatyna, człowieka cokolwiek fantastycznego humoru i następnego wieczora z rezygnacyą czytać zaczął zapowiedzianą rozprawę, której ów Teatyn, członek rozmaitych uczonych towarzystw, dać miał tytuł „Obrazy paraboliczne wielkich przygód chrześcijańskiego świata“.

Paraboliczne te, a istotnie cokolwiek fantastycznie odmalowane obrazy, trudno bardzo w wiernej miniaturze przedstawić, trudniej może jeszcze niż wizye podhoreckie. Nie kusząc się o wyczerpanie całej allegoryi, choć właśnie w drobnych szczegółach, w artystycznie rzuconych cieniach i światłach, najwyraźniej okazuje się talent i spostrzegawczy zmysł autora; nakreśliśmy w kilku najważniej-

szych rysach ogólny plan poetycznej tej galeryi filozoficzno historycznych obrazów:

Przez długie wieki panował u nas bez współzawodnika stary chrześcijański obyczaj i dobrze z nim było poddanym. Aż nagle w XVI w. przywędrowali do państwa chrześcijańskiego obyczaju, ludzie po cudzoziemsku przybrani i do nieznaney dotąd nauki poczęli zapraszać, śmieje o wszech rzeczach rozprawiając a na ostre i piórem i słowem i szablą z tymi się potykając, co stanęli w obronie starego obyczaju. Wszakże po niedługim czasie, rozsiewacze fałszu, widząc że nie mnożą się w walce, jako przeciwnicy, rozmyślać poczęli o rozejmie, przekonując i tłumacząc: „Wždy przy końcu ukazać się musi, przy której stronie prawdziwa jest mądrość; — czy u was, gdzie rozum jak wieczny żak po naukę się udaje do wiary i na niej jedynie się wspiera, czy u nas, gdzie rozum o swojej mocy chodzi, a na wiarę patrzy tylko litościwie, jak dojrzały mąż na starą, nieprzydatną już sobie piastunkę... Abyście się zaś nie wymawiali, że u nas — w kraju nowinek — porządku nie ma, króla nie znamy i niema z kim w traktaty wchodzić; oto za króla obieramy sobie sprytnego, urodziwego młodzieńca: m o d ę czyli z w y c z a j, któremu wyłączne, ślepe obiecujemy posłuszeństwo“.

W niewiele dni po tem zawiadomieniu wyprawil stary obyczaj poselstwo do nowo obranego z w y c z a j u, pytając: Ktoś jest, od kogo władzę masz i co o sobie mówisz?

„Uwłaczałoby to mej godności, odparł zwyczaj, abym ród swój miał przed kim wywodzić“.

Posłowie obrócili się do przytomnych magnatów: Dlaczego zwyczaj nad wami panuje?

„Dlatego że on to czyni co i my. A gdyby z nami się nie zgadzał, wtedy nowego króla byśmy sobie obrali, któryby nam zaręczył, że od dawnego jest rozumniejszy i że my od przodków naszych rozumniejsi, bo to fundamentalna i pierwsza zasada państwa naszego, zasada objawiona nam przez niezłomną wiarę w rozum ludzkości. Każdy pojedynczo może być głupim, lecz wszystek naród musi koniecznie w rozum rósć“.

Posłowie się oddalili z gniewem a z w y c z a j wyniesiony na tron przez ludzi miłujących rzeczy nowe i rozumiejąc dobrze, że wciąż poddanych swoich nowościami karmić musi, jeśli chce się

na tronie utrzymać, zapowiedział wielką wyprawę przeciw królestwu obyczaju chrześcijańskiego. Lecz jakiegoż oręża użyć? Żelazo, oszczerstwa, fałsze dawno okazały się nieprzydatnymi; ich miejsce z rozkazu królewskiego zająć miał wszytkowiedzący rozum ludzki, który, jak zdaleka już czytać można było na wspaniałej chorągwi z pałacu królewskiego powiewającej: **Wszystko poznaje i widzi, a czego nie poznaje i nie widzi, to nie jest i być nie może.**

Wielki się tedy ruch wszczął w państwie czystego rozumu. Napelniły się akademie, uniwersytety, gimnazya i szkoły wyznawcami sofii; filozofowie składali kupami foljały, książki in 4^o, in 8^o, in 12^o, poszyty ulotne; i w niewielu leciech napelнили niemi ogromne sale i nad wyraz cieszyli się temi księgozbiorami, jak najbogatszymi arsenałami. W sali przeznaczonej naukom ścisłym wykładano dzieło Laplace'a *Essai philosophique sur les probabilités*, które za pomocą rachunku integralnego, rozwiązywało najzawikłańsze problemata wszystkich w przyszłości mogących się przejawiać działań wolnej istoty, jaką jest człowiek. W sali poświęconej chemicznym rozbiорom rzucano nawiasem niby tę myśl, że podług wszelkich analogii duch ludzki niczem innem nie jest tylko gazem, którego basis wkrótce się ukazać musi w retorcie, skoro tylko doskonalsze aparata sporządzone zostaną... W muzeum wystawione były wielkim kosztem sprowadzone sławne zodiaki z *Denderah* i *Esneh*. Przypatrującym się tym osobliwościom podawano krótkie, lecz pełne głębokiej erudycyi rozprawy, które żadnej wątpliwości nie zostawiały, że te pomniki poważne są owocem obserwacyi astronomicznych kilkudziesiąt tysięcy, ba! nawet kilku milionów lat potrzebujących. Nie poślednią także ciekawością były naczynia pełne różnych cieczy, a w których za pomocą mikroskopu widne były owe niedawnemi czasy dopiero należycie zbadane żyjątko pod nazwą infuzoriów czyli namoczków. Indukcya filozoficzna na ich widok naprowadzała na tę genialną myśl, że człowiek także, który kiedyś miał poczuć w sobie boski swój rozum, mógł bardzo dobrze początkowo być tylko takowym namoczkim, wynikłym z mułu wielkiego kataklizmu. Orangutana postać była wskazana jako jedna z wyższych pośrednich transformacyj, ukazujących się w tej postępowej anthropogonii“.

Pod wpływem mnożących się profesorów, filozofów i mądrości ich, przemienił się niebawem cały naród czystego rozumu na pokolenie bakalarskie; niewiasty rzuciły kądziel i igłę i brały się do książek; niektóre z nich nawet dzieła pisały — a tak wkrótce więcej się ukazało nauczycieli, niżeli uczniów; więcej mówiących, niż słuchających. Zebrał się tedy lud przed pałacem króla, domagając się, aby się mu wystarał o uczniów i słuchaczy „bo my czujemy, że nasza wielka nauka zadławieniem nam grozi, jeśli ją na świat nie puścim“.

„Dobrze mądre i miłe dzieci, odpowiedział panujący Z w y c z a j, pójdziemy zdobyć państwo tego ciemnego obskuranta, co się obyczajem chrześcijańskim nazywa. Znajdziecie tam podstatkiem nieuków do oświecania; będziecie mogli do woli wygadać się, wyklucić i wydysputować. Weźcie tylko broń waszą: foljały, zodzajki, retorty: bo nie chcemy z przesądem wojny toczyć inaczej, jak orężem światła i nauki“.

Zebrały się hufce a sam król wystąpił na ich czoło siedząc na potężnym Kameleopardzie, dziwnem zwierzęciu, które podarowane przed laty przez mądrego czarnoksiężnika jednemu z arabskich emirów, dostało się następnie w ręce niemieckiego filozofa, a od tegoż za grube pieniądze przeszło do stajni królewskich. Kto siadł na Kameleoparda, popatrzył przez teleskop na łbie jego umocowany, ten w jednej chwili zmieniał się jakby w innego człowieka: serce napędliało się odwagą, ogniste myśli i słowa napływały do głowy i ust. Pełnym więc był odwagi król i z zadowoleniem spoglądał na potrójne szyki wojska swego. W pierwszym postępowały pułki dziennikarzy i jurystów pod chorągwią żurnalistyki... Pełniły one powinności przedniej straży; lekko uzbrojeni byli w naukę, ale każdy z nich miał trąbkę sporządzoną z tej brzoszurki swojej, która najwięcej hałasu narobiła. Przy nich w odwodzie stały mocniej uzbrojone hufce dziejopisarzy i kronikarzy. Drugi szyk trzymali uczeni z profesyi; za nimi pacholki prowadzili mnóstwo osłów i mułów ojuczonych foljałami i rzadkimi rękopismami. W trzecim szyku stali poważni filozofowie; dzielili się oni na mnóstwo oddziałków, a wśród każdego oddziałku powiewała chorągiew z godłem: „Mój systemat najlepiej wszystkie zagadki świata rozwiązuje“.

O kilka mil za wojskiem posuwał się wspaniały dwór panującej królowej Filantropii, która również z wysokim swym małżonkiem na wyprawę wyruszyła. Tu wszystko oddychało pokojem, rzewnem zamilowaniem ludzkości i słodką, poetyczną melancholją. Paziowie rozrzucali między lud bonbonki, w papierki misternie obwijane, na których różowemi literami taki był napis:

*O mortels! la philanthropie
Est l'unique de vos amies!*

Cały fraucymer jaśniał od drogich materyj, szalów, klejnotów; Filantropia bowiem mając na względzie dobro rękodzielni, przemysłu krajowego i wielkich interesów handlowych, sama wespół z damami dworu swego coraz inne przybierała stroje. Gdzie tylko przez dobę dwór musiał się zatrzymać, tam litościwa królowa pragnąc, aby ani chwila nie była straconą dla ludzkości, urządziła teatr, bal kostiumowy, lub koncert poświęcony ubogim. A jeśli nieprzewidziane przeszkody nie dozwalały skuteczniej podobnych szlachetnych czynów, królowa ze łzą w oku zwykła powtarzać te pamiętne słowa Tytusa: Straciłam dzień!

Wojsko całe nocą odbywało drogę, bo nie chciało z obcej jakiejś, górnej i dalekiej, lecz z własnej korzystać jasności i cieszyć się nią, a ta zupełnie przy świetle słonecznem znikala. Z początku wszystkie hufce szły w zgodzie; ale nieznacznie dały się słyszeć coraz głośniejsze spory. Filozofowie patrząc z pogardą na muły objuczone książkami uczonych, cieszyli się, że oni wcale nie potrzebują tego ładunku książkowego, bo sami wszystkim dyktują dzieła; że ich to wielkiem jest powołaniem tworzyć systemata, organizować naukę, a tem samem życie wlewać w prace martwe uczonych i erudyków, których przyrównywali do mułów świata umysłowego tj. do pracowitych, wytrwałych i potrzebnych im, — filozofom — zwierząt, lecz nieplodnych w genialne, twórcze myśli. Uczeni znowu utrzymywali, że filozofowie to raczej prawdziwymi są pasożytami, a wielkie odkrycia przez naukę porobione, nakręcają napuszoną retoryką do swoich czczych marzeń, z których na kształt istnych kuglarzów i szarlatanów, porobili sobie około głowy sztuczne promienie, co skoro do nich się zbliżysz, siarką i fosforem rażą powonienie. Wreszcie rozjątrzeni erudyci, chcieli wyparować filozofów z pierwszego szyku, lecz to im się nie powiodło, bo filozofowie

mówniejsi byli, mocniejsze mieli płuca od uczonych, którzy ślęcząc dniem i nocą nad książkami nadwątlili sobie piersi -- więc przechrzyczeli uczonych. Dla zwiększenia jeszcze nieporządku piskliwsze i liczniejsze krzyki dziennikarzy i jurystów głużyły komenderówkę filozofów. Ci mocno obrażeni, przemocą swych straszliwych słoniów poczęli potrącać szeregi uczonych na ostatnie szyki dziennikarzy, którzy widząc wdzierających się między siebie uczonych, wielce się zrazu dziwili i nie mogli pojąć, czego oni chcą od nich. Nie rozumieli także ich dyalektu uczonego. Wszakże zmieszawszy się z nimi, po niejakiem czasie wyuczyli się naprędce pewnej ilości słów języka uczonego, a przekręcając je po swojemu w większą jeszcze zuchwałość się wzbili i już na cały głos wołali, że erudyci i uczeni nie bez nich począć nie zdołają. I tak wzmagaly się i rosły spory, aż póki w blasku wschodzącej jutrzzenki nie ukazała się stolica nieprzyjacielskiego państwa.

Wspaniała to była stolica, pracą wieków zbudowana. Szkoły pełne były słuchaczów; kościoły pełne były pobożnych; uczeni, urzędnicy nie lekceważyli kunstmistrzów, a ci znowu nie kładli się w poczet najwyższych mistrzów i nauczycieli ludzkości: bo wszyscy jednego tylko uznawali najwyższego mistrza na ziemi — Chrystusa, którego krzyż światłem słonecznym błyszcząc, z wysokości kościołów nad całym miastem królował.

Mieszkańcy ujrawszy nadsciągające wojska nie stawili im oporu, owszem gościnnie je przyjęli, jako pielgrzymów i gości, nie jako wrogów, nie podejrzewając nawet, aby ktoś niezaczepiony, mógł czyhać na cudze mienie i wolność. Najeźdźcy jedli, pili, grali wesoło; aż dopiero po kilku dniach za poradą jednego z niemieckich filozofów, który na śledzionę cierpiał, wyzwał król czystego rozumu, króla obyczaju chrześcijańskiego i cały naród jego na wielką dysputę, od wyniku której miało zależeć, kto miał miasto posiadać i w niem panować.

Dobrze, odpowiedział w imieniu prawowitego króla przemawiający starzec. Wielka sławą i zacnością pierworodna cora króla naszego obyczaju chrześcijańskiego *O p i n i a* panująca w chrześcijańskich narodach zgadza się na wasze żądanie, aczkolwiek w swych warunkach niedorzeczne. Jutro rozwiąże ona wszystkie wasze trudności i zarzuty“.

Filozofowie w pierwszej chwili mocno się obrnszyli, że słaba niewiasta ma przeciw nim do walki wystąpić i spokój nie wstąpił w ich serca, dopóki naczelny sztab nie rozkazał im w domu spokojnie siedzieć, a samej tylko królowej Filantropii z nieroztropną kobietą się zmierzyć. Wyruszyła więc Filantropia w pięknej amazonce, na dziarskim rumaku, pewne głosząc zwycięstwo, zahukana okrzykami swych stronników i służalców, ale ledwo ujrzała swą przeciwniczkę, drzeć poczęła jak liść jesienny, mdleć i wołać:

„Apollinie! muzy! wy wszyscy zwolennicy moi, wiedźcie o tem, że ta dziewica na tronie była niegdyś moją panią, a ja nieszczęśliwa królowa do jej francymeru należałam“.

I tak wołając i lkając uciekła z swym orszakem, a tylko niewielu filozofów i uczonych pozostało przed tronem, nie dając się od dysputy odstraszyć. Francuz komplementa prawił; Niemiec niby ciężkie kule działowe, rzucił wyrazy: *Dus Selbstbewustsein Das An-und-für-sichsein*; uczeni kazali pacholkom czempredzej wszystkie swe rozprawy poznosić; podróżnicy paki z rzadkościami rozpakowali; ale cóż, kiedy nie mogli się zgodzić ze sobą, ani na materję dysputy, ani na metodę walczenia z rozumem dziewicy na tronie i coraz większy zgiełk i nieład się rodził. Nawet zwolennicy tegoż samego systematu poczęli jedni na drugich następować; miotali na siebie z wściekłością foljały grube, rękopisma, narzędzia i aparaty fizyczne, mumje i inne rzadkości; — i straszna byłaby rzeź powstała, gdyby dziewica na tronie, wstrząsnąwszy złotą swą dzidą nie wypuściła z niej gromów i błyskawic, które w jednej chwili wszystkich filozofów, sawantów, jurystów, dziennikarzy, pieszych i konnych, słoniów i małpeczki z pawiami zmusiły do sromotnej ucieczki. Filantropia dosiadłszy kameleoparda, również uciekła; król czystego rozumu zniknął bez śladu i dopiero w lat kilka potem w żebraczem odzieniu zjawił się na dworze obyczaju chrześcijańskiego błagając o miłosierdzie i opowiadając smutne swe przygody.

Niegodna małżonka, opowiadał król, pozbawiła mię tronu i na większą jeszcze hańbę kazala mi zostać sekretarzem u filozofa Niemca. Lecz i na nią przyszła godzina zemsty. Filozofowie zwali ją wprawdzie królową, lecz w coraz warowniejszym pałacu zamykali, bez swego pozwolenia i towarzystwa na krok nie pozwalając się ruszyć,

aż wreszcie i samo imię Filantropii zmienić kazali na wspa-
nialsze: Oświata i choć ciągle niskie wybijali pokłony, nigdzie
na krok jej nie puszczali bez swej assistencyi. Wreszcie jurystom
i gazeciarzom sprzykrzyły się te filozoficzne rządy i poczęli łącznie
z fakcją uczonych i sawantów podróżników w kluby się zbierać.
Ktoś zapaleńszy wystąpił z tłumu i zawołał:

„Filozofowie zgubili naród, bo mniemana oświata jest tylko
lalką dowolnie przez nich poruszaną!“

„Precz z filozofami, precz z ich królową!“! odpowiedzieli
tłumy i nie uspokoiły się póki na tronie nie posadzono nowej kró-
lowej, córki jakiegoś zwiędłego jurysty i bardzo do ojca podobnej;
z litości tylko dozwolono filozoficznemu rodowi uważać zdetronizo-
waną Oświatę i nadal za swoją królowę, pod warunkiem wsza-
kże, aby się bynajmniej nie mieszała do rządów krajowych“ ...

„A to niezła moda, odezwał się jakiś elegant, obierania
panujących“.

I wnet z całego tłumu jeden wesoly głos powstał: „Moda!
Moda! Niech żyje królowa nasza moda! Nie chcemy nigdy innej
królowej, jak m o d ę!

Co robić? pytali zeniepokojeni ministrowie, ale mądry prezy-
dent roztropnemi słowami niepokój ich i wątpliwość usunął:

„Nad płochym, nieroztropnym gminem nikt właściwiej pano-
wać nie może, jak ta panienska, którą nazwali m o d ą; a wiecie
dlaczego? Bo ona jest do jednego z przewodników rozhukanego
gminu podobną; jest jego godną córką. Lecz ponieważ ta jej wię-
tość trwać długo nie może, należy wczesnie postarać się o pewną
ilość podobnych niewiast, z których się powinien składać fraucy-
mer naszej królowej oświaty, tak, żeby co kwartał przynajmniej
mieć w pogotowiu dla gminu kandydatkę do korony, myślącą, ga-
dającą, strojącą się i postępującą wedle obyczaju któregośkolwiek
z tych pospolitych ludzi. Niechaj się gmin coraz nową królową
cieszy i bawi; my tymczasem w rzeczywistości samowładnie bę-
dziemy panować, zwłaszcza mając pod strażą swoją kameleoparda“.

Nagle dały się słyszeć groźne, straszne okrzyki: „Śmierć albo
kameleopard!“ — to tłumy ludu podburzone przez zwolenników
dopiero co wybranej królowej, domagały się wydania Kameleoparda.
Wszczęła się walka, a wśród coraz większego zamętu zwróciły się

ostrza mieczów równie przeciw Kameleopardowi, jak przeciw królowej Oświacie...

...Tu marszałek dworu P. Starościny Olbromskiej wszedł do pokoju i poważnym ozwał się głosem: „Kolacya już na stole“ — a Szopowicz w gnieniu oka złożył rękopism i mimo wszelkich próśb i zaklęć nie chciał dalej czytać, utrzymując, że i tak za ostrą już poniósł pokutę. W kilka lat po tym wieczorze — kończy autor swe opowiadanie — w przejeździe przez Kraków odwiedzając prof. Szopowicza, prosiłem o pozwolenie mi kopii rozprawy Teatyna. Chętnie mi jej udzielił, wszakże tylko po to miejsce, w którym przerwana została rozprawa kolacyą P. Starościny Olbromskiej. Dalszego ciągu w żaden sposób nie mogłem od niego wymodlić. Ciągłe mi się składał temi słowy: „Dość będzie Panu i tego dzieciństwa na pamiątkę mojej pokuty — i żadnych innych racyj nie dobyłem z niego. Dziś po kilkudziesięciu latach, znalazłszy w starej mojej tece ten pocieszny rękopism, odczytałem go z uwagą i pomyślałem sobie: Dobrześ powiedział zacny Szopowiczu! To wielkie dzieciństwo — i nie więcej...

Czy to istotnie „dzieciństwo“, „brednie tuzinkowego pisarza“, „koncept jezuicki“, „niesmaczna ramota“, jak sam Chołoniewski na ostatnich stronicach swej pracy, nie przebierając w wyrazach wielokrotnie się wyraża? Dla tego, kto odczytał uważnie choćby tylko powyższe streszczenie, odpowiedź zbyteczna. Zapewne, surowy krytyk znajdzie bez trudności i napiętnować potrafi nie jeden brak i błąd, których autor umiał się ustrzedz we *Śnie w Podhorcach*. Nie dość czasem jasno nakreślone i określone alegoryczne postacie i zagadkowe ich znaczenie, brak wyraźnych drogowskazów w tym gęstym lesie allegoryj, nużą umysł tem bardziej, że czytający dotarłszy nawet do ostatniej kartki nie wie jeszcze i nigdy się nie dowie, czy w domysłach swoich, naturalnie nie co do ogólnego, jasno wytkniętego planu, ale co do tego lub owego szczegółu, nie wszedł przypadkiem z ścieżki w myśli autora wytkniętej. Co np. ma przedstawiać tajemniczy Kameleopard? Czy schlebienie namiętnościom, czy wypływającą z tego źródła popularność, czy i które przymioty olśniewające tłumy? Jakie ma znaczenie cała historia Kameleoparda, którą autor z widocznem upodobaniem od najda-

wniejszych czasów wywodzi, wyliczając rozmaitych jego panów, smutne i wesołe koleje. Do domysłów szerokie pole otwarte; stanowczej odpowiedzi tak w tym, jak i w kilku innych jeszcze razach udzielić nie łatwo, ale łatwo pojąć, że ciemne takie ustępy i w ciemnych chmurach ukrywające się postacie odstraszały niejednego czytelnika, a mniej chętnym dla autora krytykom dawały wyborną sposobność do zamknięcia oczów na oryginalny, a bardzo starannie obmyślony plan, jeśli nie w całości, to w bardzo licznych szczegółach wybornie przeprowadzony. Zwłaszcza krytyk *Tygodnika Petersburgskiego* dał wyraz swemu złemu humorowi¹. „Trudno dzisiaj „żyć sobie takich dzieł, w których ledwo setny zrozumie o co „rечь chodzi; ogół zaś wcale nie jest jeszcze wdrożony do takiego „pisania; tytuł popularny. każdego zawiedzie i imię znakomite „autora zachęci, a potem czytając książkę, jest biedak na nie- „mieckiem kazaniu“. Krytyka za surowa, ale która jednak tłumaczy nam, dlaczego *Dwa Wieczory* nie wywarły odpowiedniego wrażenia; dlaczego te same pisma i ci sami ludzie, co tak żywo *Snem* się zajęli, o *Wieczorach* ledwie półsłówkiem, a czasem nawet i półsłówkiem nie wspominają.

Dwa Wieczory, choć rok przedtem napisane, wyszły dopiero po wielu staraniach w r. 1843 nakładem Zawadzkiego, a kto wie czy i kiedyby się pojawiły, gdyby nie pośrednictwo Kraszewskiego, który do walk z księgarzami przyzwyczajony, energicznie bronił interesów przyjaciela. Stosunki z Kraszewskim związane początkowo z powodu przysłanego do *Athaeneum* „*Snu w Podhorcach*“ zamieniły się niebawem już nie w znajomość, ale w dozoną przyjaźń. Chołoniewski nie zetknął się nigdy jeszcze osobiście z Kraszewskim, a już przeglądając ich korespondencję, widzi się jasno, że to dwaj prawdziwi przyjaciele, którzy nie dla interesu tylko i nie dla samej tylko grzeczności tak częstemi listami się obdarzają. A cóż dopiero, kiedy ks. Stanisław, zgadzając się chętnie na z pewną nie-

¹ *Tygod. Peters.* r. 1844. Str. 345. Redakcja zastrzegła się wprowadzić w przypisku: „Za zdania w niniejszym artykule wyrażone, wydawca *Tygodnika* nie bierze na się odpowiedzialności“, ale nie mając już teraz nadziei zwerbować Chołoniewskiego do ściślejszych swych szeregów, zadowolniła się tem platonicznym oświadczeniem.

śmiałością uczynioną propozycję Kraszewskiego, zawitał we Wrześniu 1842 do Gródka, uściskał dłoń młodego a tak już głośnego literata, i kilka dni w rodzinnem jego kółku przepędził. Wspólnie odczytano *Dwa Wieczory*; wspólnie toczono długie, późno w noc przeciągające się pogawędki; wspólnie układano plany przyszłej literackiej zwłaszcza pracy na ojczystej niwie. Wrażenie tej kilkodniowej, rozkosznej a zarazem tak pożywnej dla serca i umysłu uczy duchowej, wryło się głęboko w duszach jej uczestników, złączyło ich ze sobą niemal braterskimi węzłami. W dni kilkanaście po odjeździe ks. Stanisława pisał doń Kraszewski zdając sprawę z tego wrażenia tem miłszego, że osłodziło mu rok skądinąd w różne smutki i przykrości bogaty:¹ „Przeleciałeś Hrabio, jak błyskawica, „aleś po sobie na całe nasze życie zostawił wspomnienie; w naszym „życiu, przeplatanem częściej frasunkami niż weselszemi chwilami, „to złota nitka, którą potrafimy szacować. Pomyślisz Hrabio, że Ci „pochlebiam, że Ci się przymilam tylko, ale z duszy, z serca chciej „uwierzyć, że uszanować i ukochać Cię, jak kogo swego potrafi- „liśmy, jak pamięć Twoja u nas pozostanie w jednej głowie i serca „komórce z pamięcią bytności najdroższych nam osób... Ten rok „dla mnie był ciężkim rokiem próby; zmiłuj się, chciej tam kiedy „wesprzeć nas swoją świętą modlitwą. Ja się modlę, ale Bóg nie- „godnych modlitw posłuchać nie chce i rzuca nas z jednej w drugą „próbę“.

Chołoniewski nie szczędził przyjacielowi i modlitwy i chrześcijańskiej pociechy: „Miejmy wielką ufność, odpowiadał na list „powyższy, w modlitwie i w krzyżu świętym. Co tylko było wiel- „kiego i wspaniałego na świecie, spłynęło na ziemię z krzyża Pań- „skiego; Pan Jezus najdroższych swoich przyjaciół krzyżem tym „ozdobił i uszczęśliwił; kto tak, jak On kochał ludzi, musiał naj- „lepiej wiedzieć, jakie skarby są utajone w cierpieniach z miłością „i ufnością znoszonych. Wprawdzie wszędzie jest cierpienie, ale „nie wszędzie krzyż Jezusa, przy którym tylko miłość cierpliwa „stoi. Tego ani starożytna mądrość, ani samopoznanie Heglo- „wskie nie nauczy, ale nauczyć tego może jedna modlitwa z po- „korą odmówiona“... Współ z serdecznym tym listem poszedł do

¹ Gródek 11 października 1842 r.

Gródka drugi o wiele grubszy list, już nie tylko dla samego redaktora, ale i dla redagowanego przezeń pisma przeznaczony. Wywiązując się z uczynionej obietnicy przesyłał Chołoniewski do *Athenaeum* przechowane w Janowie *Dwa listy hr. Józefa de Maistre z r. 1810 do Jana Potockiego krajczyca koronnego*, a ciekawe te dokumenty poprzedził obszerniejszym wstępem w formie listu skreślonym, w którym dla szerszej publiczności streszczał niejako główne punkty gródeckich pogadań, potępiał stanowczo tak w życiu jak w literaturze równie salonową francuszczyznę, jak wrzekomo narodowe baragolstwo, i w kilku najgłówniejszych ryśach zapoznał ją z oryginalną a wybornie sobie znaną postacią Jana Potockiego.

„Kiedy zajeżdżający powóz, rozpoczynał Chołoniewski swój pierwszy list¹ i to nielitościwe słowo: żegnaj! którego ja „dotąd nie nauczyłem się ani wymawiać, ani słuchać obojętnie, „popsuły chwile tyle mi pociechy przynoszące; Pan Dobr. zro- „biłeś uwagę, że przerwana pocziwą rozmowę należy kończyć, „choćby na lichym papierze. Te przyjazne słowa trafiły do mego „przekonania; wzięły nawet górę nad wrodzonym lenistwem; boć „łacno sercu przystawać i kwapić się do rzeczy mu przyjemnych. „Nie wiele więc myśląc, spełniam radę mi daną“.

„W ostatniej naszej gawędzie o zmarłych pisarzach kraju na- „szego, przyszła była kolej na Jana Potockiego, krajczyca koron- „nego. Przypominam sobie, jak Pana D. mocno zajęły niektóre „szczegóły życia tego niepospolitego człowieka, których mogłem „mu udzielić ze wszelką sumiennością historyka, świadka. Około „tego uczonego ziomka naszego krążyła (iż tak powiem) moja dzie- „cinna ciekawość, moja pierwsza młodość. Oryginalna postać Po- „tockiego mocno się wypiętnowała na niespłowialej jeszcze imagi- „nacyi, jak wszystkie pamiątki poranku życia. Nic dziwnego, był „on sąsiadem ojca mego i całe zimy przesiadywał w rodzicielskim „domu“... Dotąd nie mamy nawet dokładnego spisu dzieł Jana Potockiego; daleko mniej jeszcze znane jest światu jego oblicze literackie i filozoficzne. Erudyci instytutu paryskiego od-

¹ *Athenaeum* r. 1843, t. II. Str. 62—117. Mimo obietnicy i wyraźnej zapowiedzi w *Athenaeum*, pierwszy ten list był zarazem ostatnim.

wołują się do niektórych pism Potockiego; skądże więc pochodzi taka względem niego obojętność naszej literatury? Prawda, pisał po francusku i tylko po francusku; lecz czyż i to nie anomalia uwagi godna? Zresztą to mniejszej wagi pytanie, dlaczego jedna jaka znakomitość w pamięci ludzkiej, jak na dnie morza pogrzebana, kiedy inne o wiele mniej warte osobistości po wierzchu pływają; wspominałem tu o tem pytaniu dlatego tylko, bo naprowadza mię ono na rzecz daleko ważniejszą, na losy najświętszych, wysokich przedmiotów przez długie lata pokrytych grubą mgłą pogardy i rozmyślnej obojętności, a takowe epoki okazują się czasem, nie tylko w naszym, lecz i w europejskiem piśmiennictwie. Jabym je nazwał epokami salonowymi.

Choloniowski dobrze znał salonowe błędy i śmieszności, nie raz w salonach porządnie wynudzić się musiał; rad więc, że wreszcie dobra się do tego nadaje sposobność, kreśli z życia wzięty, śmieszny, ale zarazem smutny obraz „naszych salonów na krój francuski urządzonych“, maluje jakby dwa odrębne światy, na które kraj nasz, jak długi i szeroki się podzielił, „jeden salonowy francuski, drugi nie-salonowy rodzinny“.

W salonie francuskim „człowiek jak na mękach siedzieć musi. „Przyszedł, żeby ze swoimi o swoich rzeczach pomówić, jak umie, „jak Bóg dał; żeby sam czegoś się nauczył od świadomszego, „choćby trafnej manipulacji cukrowych fabryk, dobrego zarządzania ziemi, która go karmi... Szczęśliwy, jeżeli może u sąsiada „salonowego zbogacić się jakąś dobrą, szlachetną myślą, acz starą, „najstarszą jak Salomonowa, byle tylko była żywo pojęta, byle „w nią wierzone i serce do niej przystało. Szczęśliwy, jeśli w zamian sam coś pocziwego może drugiemu udzielić, być człowiekiem swego kraju, swoim ze swoimi — nie Francuzem, nie Anglikiem lub Niemcem; — jeśli wolno mu milczeć, kiedy, jak to „mówią, słowa z serca nie idą; a mówić skromnie, lecz otwarcie, „mężnie, kiedy sumienie, prawda i przyzwoitość milczeć nie każą. „Ale gdzież tam! — nic on z tego wszystkiego począć nie może „w naszych salonach francuskich. Wszystko tam z góry „urządzone, upstrzone, wymuskane, oświecone optycznie, jak na „scenie i to nie polskiej, ale francuskiej. Rzekłbyś repetycyja którejś z komedyjek *PP. Scribe et Compagnie*. Jeszcze, gdybyż to

„jak na komedyi, od której się *entrée* płaci, można być spokojnym
„widzem, toby było pół biedy; człowiekby trochę się pośmiał, tro-
„chę poziewał, dobył zegarka — a przypomniawszy sobie wielką
„cenę czasu, którego przyzwoitem użyciem trzeba sobie dobrą wie-
„czność zakupić, wziąłby śmiało za kapelusz i odszedł swobodnie
„do domu... Ale oóż znowu! — takich rzeczy w żadnym salonie
„nie godzi się robić — z salonu tak wyjść niepodobna; bo w sa-
„lonie niestety! sam jesteś wciągniętym do gry scenicznej. Z par-
„teru włoką cię na scenę, musisz być aktorem, chcesz czy nie
„chcesz — a jeśli broń Boże! nie trafną w swej roli dasz odpo-
„wiedź na replikę drugich aktorów — biadaż tobie! Zaraz mówią:
Quel ton! quelles manières! quel accent français!...

„Zapewne przyzwoite ton i maniere nie są to tylko rzeczy
„starych peruk dworu Ludwika XIV — jak nam to długo
„wmawiać chciano — lecz są cechem, przywilejem wszystkich
„ukształconych umysłów. Nigdy baragolstwo nie będzie cnotą
„spartańską, wdziękiem narodowym..., nigdy także szarman-
„teryja nasza francuzka nie będzie prawdziwą cywilizacją“.

Salonowy świat ciągle coś szczebiocze konceptami, których się
z francuskich książek nauczył; w nim damy nasze trzymają berło
francuszczyzny. Nie-salonowy, rodzinny, razi czasem pewną szorst-
kością, dla tego przedewszystkiem, że damy nasze, znając tylko
książkowy, francuski świat, a z rzeczywistym naszym nie chcąc się
poznać i ważności jego zrozumieć, nie ozdabiają go trafnem poję-
ciem przyzwoitości, owym, iż tak rzekę, szóstym z my-
słem, którym tak hojnie Opatrzność je uposażyła dla zlagodze-
nia i pomiarkowania zbyt ostrego szczęku opinii i głosów męskich...

A jakież jeszcze z tego wnioski? Oto, jak są dwa rzeczywiste
światy, salonowy i niesalonowy i u nas i w całej Europie;
tak też w całej Europie i u nas są dwie równoległe literatury sa-
lonowa i antisalonowa, wciąż z sobą o lepsze grające i na
siebie bijące. W pierwszej z udaną obojętnością przemilczają to, co
wszystkim ciąży na sercu; w drugiej, aż nadto głośno, czasem na-
wet bezwstydnie i niepoczciwie rozprawiają o tem, co wielu nie
chciałoby z serca dobyć na jaw. W literaturze francuskiej, angielskiej,
niemieckiej ścierają się od schyłku XVIII w. te dwa prądy.
U nas przekład *Świątyni w Knidos* Montesquieu'go tak pysznie

wydany, jak tego wyżebrać sobie nie mogli, już nie mówię Krasiecki, Naruszewicz, Trębecki, ale nawet nasi starzy, zygmuntownscy pisarze, między którymi król wymowy naszej, Chryzostom polski Skarga dotąd czeka daremnie na mniej bibułowaty papier i dokładny zbiór wszystkich pism swoich. Nawet nasz serdeczny, popularny Karpiński nie tak prędko mógł się w salonach prezentować, które czasem wiersze jego, jak sam z ust pewnej, bardzo znakomitej damy naszej słyszałem, do kategorii częstochowskich rymów odsyłały. A cóż dopiero powiedzieć o naszym zacnym Brodzińskim; o autorze *Dum Ukraińskich*, o śpiewaku *Grażyny*? Przez jakież to ciężki nowicyat musieli oni przechodzić, nim literatura salonowa zezwoliła na tolerowanie ich jako *malum necessarium*, pod nazwą romantyczności narzucone...

Ilekróć mnie niemłodemu zdarzyło się spotkać pięknych zdolności młodzieńca, ulegającego przez miłość własną nieszczęsnej chętcie przyswajania sobie jakiegokolwiek obcej narodowości; — zapominającego, że prawdziwy polor nie da się jak kostyum maskowy przywdziać zewnątrznie... tylekróć w nim dostrzegłem jakoby dwóch ludzi odrębnych i do siebie niepodobnych. Jeden salonowy, mówiący gładko, lecz zimno, obojętnie o wielu rzeczach, w które ani trochę nie wierzy; drugi nielubiący salonów, wymowny, serdeczny, pełen wiary i miłości, lecz zagłuszony przez pierwszego, ciągle z nim walczący i ciągle przezeń zawstydzany. Jeżeli tedy ten dwoisty człowiek weźmie się do pióra, wtedy utwory jego będą doskonałym wizerunkiem tego, co widzimy na większą skalę w salonowej literaturze. Kto go zbliska pozna, wnet się przekona, że nie tylko nie wypowiedział wszystkiego, lecz, że coś daleko lepszego zachował w zanadrzu, lubo się tego może wstydzi. Przekona się, że autor w nim zacząjony, zakrzyczany przez salonowego, nieskończenie lepszym jest od tego co się wypisał. Nie jednemu z nas — i mnie samemu kilkakrotnie — zdarzyło się spotkać pisarza nie zbyt rozgłośnej sławy; — a poznawszy go dobrze, zachwyceni jego rozmową pełną życia i oryginalności, dopadłszy rękopismu jego, z którym się ukrywał i na wieczne zapomnienie skazał — żalością przejęci, ledwieśmy mu w oczy nie powiedzieli: „Ach! czemuś kochany Panie do druku nie pisał tak, jak z nami rozmawiasz — tak, jakeś pisał nie dla salonów?“

W niesalonowej literaturze odbędzie się nieraz wielka rewolucya umysłowa, a w salonowej przez długie jeszcze lata nic o niej nie wiedzą. Filozofia salonów żyła ciągle jeszcze z okruszyn wiedzy Condillaca, Gibbona i całego ogona wolterowskiego, kiedy za granicą wszyscy poważniejsi ludzie dawno już tylko z uśmiechem politowania o nim wspominali. Dziś znowu amatorowie i tłumacze starego Herdera sprzedają nam jego pomysły, jako nowy towar filozofii niemieckiej — wtedy, kiedy Niemcy o nie wiem wiele mil od niej odbiegli po żelaznej kolei bez względnej wiedzy. Takie drogomany między obcą i krajową literaturą, wydają się nam jak telegrafy źle urządzone lub zepsute, które wszystkie wiadomości zagraniczne nie w czas, zapóźno, albo opacznie sygnują. Nasi zwolennicy filozofii są często jak ci niebaczni parafianie w stolicy, którzy nie mając dobrze uregulowanych zegarków, przybywają czasem na teatr po skończonej sztuce, kiedy kurtyna zapadła i lampy gaszą...

U nas także jak w całej niemal Europie ukazała się w XIX w. w niesalonowej literaturze reakcja przeciwko pomysłom wieku zeszłego. Jako dowód i próbkę tej reakcyi stawia Chołoniewski korespondencyę między niesalonowym, lubo po francuzku piszącym Janem Potockim, a sławnym hr. Józefem de Maistre. W korespondencyi tej, tem ciekawszej, że do druku nie przeznaczonej, występują w szranki wiedza głęboka lecz wierząca, z nauką także niepopolitą, lecz owioniętą fernejjskiem powietrzem...

Po tem oryginalnie pomyslonem niby wyznaniu wiary a jak Chołoniewski ze zbytnią skromnością wyraża się, po tej „nielitościwej gawędzie“, o współczesnych równie społecznych, jak i literackich stosunkach następują w polskim tłumaczeniu dwa listy *de Maistre'a* zawierające przyjacielską, ale nie mniej bez ogródki podaną krytykę skreślonego przez Potockiego Systemu chronologicznego, którym, — jak dowcipnie francuski uczony zauważa — równie niedowiarkom jak i wierzącym musi się niepodobać: pierwszym, że zanadto jeszcze „po kapuceyńsku“ jest pisany; drugim, że zamała kładzie wagę na chronologię biblijną: Chronologia nie jest wcale nauką odosobnioną; trzeba, żeby się zgadzała z metafizyką, z teologią, z fizyką, z filozofią historii. Dlaczego i jak ma się z temi naukami zgadzać; jakie są główne zarzuty, przeciw

niektórym zwłaszcza datom w Piśmie św. podanym; jakie na te zarzuty odpowiedź, lub wytłumaczenie dać należy? — Oto pytania na które de Maistre odpowiada w drugim liście z wrodzoną sobie jasnością, a z niemalą erudycją, wskazując delikatnie, ale bardzo stanowczo, co w dziele Potockiego uważa za wręcz do przyjęcia niemożliwym, od francuskich filozofów na ich słowo zapożyczonym fałszem.

Redaktor *Athenaeum* i wielu z czytelników tego pisma żywo zajęło się nie tak może listami de Maistre'a, jak raczej wstępem do tych listów, rozbierającym pytania ważne, na ustach wszystkich będące. „Dużo a dużo takich listów“, prosił i natarczywie domagał się Kraszewski. „Pomimo że mi odmawiasz, nie wierzę i nie „mogę wierzyć; przyjdzie ochota do pisania, przyjdzie chwilka „współczucia dla redaktora, i dasz mi, Hrabio, list drugi, trzeci“. Ochota do pisania przysła, ale Kraszewski korzystać z niej nie miał; postać Jana Potockiego, ledwie paru grubymi rysami w *Wstępie* do *pierwszego listu* naszkicowana, stanęła teraz niby żywa przed pamięcią i wyobraźnią wskrzeszając dawne wspomnienia; napominając, że warto potomności je przekazać. Chwycił Choloniowski za pióro, ale zamiast dalszych listów nakreślił dokładniejszy nieco wizerunek Potockiego, który choć przez autora widocznie do druku a najprawdopodobniej do *Athenaeum* przeznaczony, zaginął gdzieś w rękopiśmiennych stosach, i nawet w „Pośmiertnych pi-smach“ nie znalazł przytułku.

„Obraz ten z galeryi życia mego“, stanowić miał w myśli autora jeden niby rozdział obszernego pamiętnika na pierwszym planie przeznaczonego dla siostry Cecylii, w którym, podobnie jak w tego rodzaju dziełach Getego lub Chateaubrianda, rzeczywiste wydarzenia, jeśli same z siebie zbyt byłyby prozaiczne, osłonięte być miały przeźroczystą szatą poezyi; w którym czasami poezya, biorąc górę nad prozą życia, sama występowałaby wszechwładnie łącząc w harmonijną całość świat realny z idealnym, nadając niejako dotykalne kształty filozoficznym systematom, historycznym poglądom. Nieodżałowana szkoda, że myśli swej nie zdołał Choloniowski w czyn zamienić, że nawet planu całego dzieła nigdzie jasno nie nakreślił; piękna i pouczająca byłaby to galerya, kiedy każdy obraz, który miał do niej należeć, umysł i serce ciągną. Je-

dnym z tych obrazów — jak autor wyraźnie w tytule zaznaczył — był *Sen w Podhorcach*; drugim wprost z życia skopiowanym i dlatego właśnie tem ciekawszym i nie tylko na głębszych znawców obrachowanym jest: *Proroctwo hr. Józefa de Maistre w Petersburgu przesłane Janowi Potockiemu r. 1810, sprawdzone w Uładówce r. 1841.*

Jedna z postaci, zaznajamia nas Chołoniewski z swym bohaterem, najpierwszą rolę grająca w mojej dziecinnej fantazyi, była postać Jana Potockiego. Jakże mogło być inaczej? Pierwszy kawaler maltański w purpurowem mundurze, z złotymi, przesłicznymi haftami i szlifami, który przybył do Janowa, był Jan Potocki... Był to pan powszechnie miany za uczonego, czyli *savanta* z profesyi; dystrakt wielki, śmiałek nad śmiałkami, matematyk biegły; prawda, że za to po polsku ledwie parę słów sklecić umiał, a co gorsza, nieznajomości tej się nie sromał. Całe zimy w Janowie przesiadywał; w późniejszych latach samotnie, z podagrą się męcząc, mieszkał zazwyczaj w pobliżkiej Uładówce. Tutaj to — jak szczegółowo a bardzo zajmująco opowiada dalej Chołoniewski, świadek niemal naoczny — zastrzelił się nieszczęśliwy Potocki w listopadzie 1815; w tymże samym domu i miejscu syn Jana, Alfred Potocki, w 26 lat później najprzykładniej z Bogiem się pojednawszy do śmierci się gotował... Ale cóż się stało — powiesz może kochana Siostró — z proroctwem de Maistre'a? Oto właśnie w czasie ciężkiej choroby P. Alfreda, z której tenże teraz dopiero szczęśliwie wyszedł, żona jego, krzątając się po ciasnym domku, natrafiła na jedną szafkę pełną ksiąg i papierów. Były to rękopisma i księgi starego Jana Potockiego. Przygnieciona frasunkiem mniej na nie zważa. Wszakże przerzucając karty listu wyżej wspomnianego de Maistre'a, nie może się odeń oderwać, tak treść jego jest zajmującą. Przyszędłszy nakoniec do pewnego peryodu pisma tego, zapłoniwszy się od żalu, woła młodego syna Alfreda, a wskazując mu oznaczone miejsce rękopisu oddaje mu go do rąk i drżącym głosem mówi: „Dobrze żebyś to przeczytał Fruziu! albowiem spełniły się słowa de Maistre'a, przyjaciela nieszczęśliwego dziadka twego“.

„A Fruź czytał jak następuje:

„Są w twoich dziełach rzeczy, które czytam z wielkiem zmar-

twieniem, takie jak np. ów pocisk, którym zamykasz tak niewłaściwie twego Manetona. Jeśli nie przestaniesz dowcipem swym i imaginacją zbaczać z prostej drogi, pozwól, abym Ci powiedział, Panie Hrabio, co z pewnością Cię spotka. Będziesz miał syna, wnuka i t. d., który będzie tak myślał, jak ja; rzecz to niezawodna, zważając zwłaszcza na przewrót pojęć, który dopełnia się już a niebawem dopełnić się musi w umysłach. Ten Potocki będzie miał także syna. Kiedyś, dnia pewnego, z posępną powagą powie on jemu: Słuchaj synu, zakazuję ci czytać książki twego... dziada Jana... I będziesz z tego powodu niepokieszonym, kochany Hrabio!

Data listu jest r. 1810.

„Dziś r. 1841 zbawienny przewrót w umysłach już nastąpił.

„I Fruż, wnuk Jana Potockiego, młodzieniec najpiękniejszych nadziei i Alfred syn tegoż Jana, myślą jak myślał Józef de Maistre, nie jak myślał Jan Potocki.

„I matka w imieniu ojca zakazała synowi, aby nie czytał ksiąg dziada swego Jana“...

Inny zupełnie, nie przerażający już tak ciemnymi barwami, których nawet wrodzony autorowi humor rozjaśnić nie zdołał, jest następny obraz nielicznej tej ale bogatej galerii: *Artykuł nadesłany*¹. W pięknym salonie czterech graczy siedzi przy wiście;

¹ *Artykuł nadesłany*. Obraz z galerii życia mego. Wydanie J. N. Bobrowicza. Str. 104. Lipsk 1846. Stefan Witwicki posyłając w listopadzie 1845 r. Bobrowiczowi tę pracę przyjaciela, poprzedził ją przedmową, w której nie szczędzi najwyższych pochwał równie „znakomitemu autorowi liczącemu się dziś, zdaniem mojem, do pierwszego rzędu pisarzy polskich“, jak i samemu *Artykułowi*: „Jam to pierwszy i miło mi to wspomnieć dał poznać między innymi *Poselstwo*; ja także pierwszy *Pamiętki Soplicy*. Dzisiejszy utwór kładę śmiało obok dwóch tamtych... Prędko zapewne poznają czytelnicy wartość tego pięknego płodu, pełnego poetyckiej i oryginalnej fantazyi — opisów żywych, przyjemnych i biegłą ręką skreślonych — toż znajomość wszelkich teraz umysłowych w naszym kraju ruchów, a nacechowanego wyższą myślą narodowej prawdy i chrześcijańskiej mądrości. Dramatyczność wprowadzonych dyalogów, trafnie rzucony tu owdzie dowcip lekkiej ironii, wysłowienie wreszcie poprawne i gustowne nadały rzeczy tem więcej powabu i życia“ *Helleniusz* pisząc w *Pamiętkach polskich* t. II. str. 680 o „nieskończenie ważnym i ciekawym rękopiśmnie Choloniewskiego p. t. *Charakterystyka Polaków w różnych częściach Polski po rozbiórce kraju* miał widocznie na myśli dawno ogłoszony drukiem *Artykuł nadesłany*.

kilkunastu mężczyzu przechadza się, przerzuca gazety, o polowaniu rozmawia. Wtem młody Tadeusz, który dotychczas jedno z pism peryodycznych uważnie przeglądał, zrywa się z uniesieniem, i przerywając rozmowę i zabawę czytać głośno zaczyna *artykuł nadesłany*, który tak go zainteresował czy rozgniewał.

A mógł zainteresować, mógł może i rozgniewać, bo autor owego artykułu rozbiwał ważne pytanie: czemu my biedni Europejczycy w życiu materyalnem wybornie się pojmujemy, a w życiu ducha dobrze porozumieć się nie możemy, tak że się ciągle odnawia fatalna katastrofa Babilońska, chociaż nikt z nas wysokiej wieży budować nie zabiera się. Dajmy na to, że trafem do jednego domu zjadą się Litwin, Warszawianin, Podolanin, Wołynianin, Polak z Poznańskiego, z Galicyi i z Petersburga. Niechże który z nich użyje którego z owych wyższych, misterynych słów np. *O j c z y z n a*, a każdy z pewnością co innego pod tym słowem zrozumie. Litwinowi snują się przed oczy kontrakty Wileńskie, Mińskie, dawne bale, świetny uniwersytet; — wszystko to minęło. Warszawianin wpatrzył się w ministerya, biura, w eleganckie mundury, w nieprzejrzanę szyki referendarzów, radzców, sekretarzów. U szczytu, jak hafty suto u kołnierza, ukazują się złotem kąpiące hofmejstry, jegermejstry, mistrze obrządków, szambelany i kamerjunkry; — z góry obrazu przyświeca cichym, nierażącym, nocnym blaskiem *Towarzystwo nauk*, niby promień czarowny zachodzącego księżycy, wzywający śmiertelnych do słodkich snów i marzeń poetyckich. Galicyanin powtarza myślą *O j c z y z n a* i zaraz ukazują mu się przed oczy porządne miasta i miasteczka, *chaussée*, parowe dyliżanse, w których kilkaset wołów naraz do Ołomuńca i Wiednia żelazną koleją przelatywać będą... Tam przez długie lata wiele kursów słuchać trzeba, wiele ścisłych egzaminów odbywać, a wszystko po niemiecku... A nadewszystko Wiedeń! Oj! gdyby ojczyzna, toby to wszystko równie pięknie, porządnie, a nawet z większym gustem zafundować można w miłym Lwowie — czego niemalym jest dowodem nowy wspaniały gmach powstający w tem mieście kosztem hr. Skarbka, — bo pomimo ciężkich czasów będzie miał wkrótce Lwów piękny teatr, redutowe sale, kafenhauzy i sklepy świetne... Obywatel pruski wystawia sobie w ojczyźnie wytrawiony plan podatkovania, na polskie kopyto przerobione filozoficzne pomysły Hegla, Straussa, Niebura.

Polak z Petersburga przybyły marzy o jakiejś w chmurach i mgłę ginącej Słowiańszczyźnie; o rządzie, mowie, obyczaju, religii słowiańskiej¹. W umysłach wreszcie podolskich i wołyńskich obywateli wyraz o j e c z y z n a wzbudza wyobrażenia rodzaju niejakiego; podlegając warszawskiemu, galicyjskiemu i litewskiemu wpływowi, przyswajają sobie odpowiednie dozy z różnych tych sposobów myślenia, mieszając je w jedno odrębne *compositum*. Gdzież więc i co jest ojczyzna? Rozmyślałem nad tem długo, nie wiedząc jak sprzeczne wyobrażenia pogodzić, kiedy we śnie czy na jawie jakiś poważny starzec mi się okazał i podał kartę gotyckimi literami zapisaną: karta ta tłumaczyła wymownemi słowy znaczenie o j e c z y z n y, czem ona z woli Bożej jest dla nas, i jakie dobra jej zawdzięczamy; a kiedym dobiegł okiem do samego końca tajemniczej karty, dostrzegłem wyraźny podpis: *Piotr Pawęzki*, stary miłośnik i sługa Polski“...

Tadeusz zakończył czytać *Artykuł nadesłany*, a między obecnymi wszczął się gwar i wrzawa. Jedni pytali: „Kto to Pawęzki?“ Inni: „Czy on autorem tego artykułu?“ „Wszystko to dobroduszną ideologia, tłumaczył z przyciskiem gospodarz domu. Praca, *le travail*, należycie pojęta lepiej nauczy każdego, co jest o j e c z y z n a, co jest Polska (jeśli już koniecznie idzie o znaczenie tych słów), jak wszystkie ideologów całego świata definicje“². Tadeusz znowu, w Berlinie widać wykształcony, pali długą, metafizyczną mówkę, przeplatając ją gęsto niemieckimi wyrazami, propagując „wielkie prawidła krytyki“, które dawno usunęły z widnokregu wiedzy stare facecye np. o babilońskiej wieży, a z którymi niestety autor *Artykułu* nie jest dość obznajomiony. I nie wiedzieć jak długo popisywałby się młody filozof z niemiecką swą wiedzą, gdyby do salonu nie wszedł gość nowy, dawny Kościuszkowski kapitan w francuskim stroju — syn ośmnastego wieku — jak go wszyscy zgodnie nazywali. Mistyk to był swego rodzaju; uważał się za proroka zesłanego od Ducha św. dla szczęścia Polski i narodów: robił pilnie do małych seksterników wyciągi z *Biblii*, z *Volney'a*, *Rousseau'a*, *Szaniawskiego*, i z seksterników tych bar-

¹ Wszystko jak dziś!

² Widać, że i S t a n i c y k a nie brakowało.

dzo nabożnie po kościołach się modlił. Młodzież otoczyła kapitana żartując z nim wesoło, a tymczasem jeden z obecnych, p. sędzia Józef przyniósł *Niesieckiego* z biblioteki i wskazując palcem na jakiś ustęp z rozżaleniem i gniewem wielkim powstał przeciw tym, u których „tylko popłaca Hegel, Szelling, filozofia historyi; filologiczne, orientalne koncepta, zagadki czy baśnie, a w rzeczach swoich wydają się istne cudzoziemcy, Szwaby, Anglicy, Francuzi, którychby wyuczono mowy polskiej, ażeby rzeczy polskie obgadywali, nicowali i do góry nogami przewracali“.

„Co się stało dziś sędziemu? pytano ze zdziwieniem; pytał i Tadeusz biorąc w rękę *Niesieckiego* i rozpoczynając czytać zaznaczony ustęp. Lecz wnet czytanie przerwał, okazując niemałe zaniepokojenie, które drugi, równy jemu filozoficzny myśliciel nazwałby może „fenomenem psychologicznym, wykazującym antagonizm uczonego ja Tadeuszowskiego z ucześnie nie ja Tadeuszowskim, a zatem godzącym na P. Tadeusza *Bewustsein* i *Anundfürsichsein* w krainie wiedzy“. Wnet jednak ochłonął z wrażenia: zapomniałem zupełnie, że Skargowie właściwie Pawężkami się zwali, teraz dopiero Niesiecki mi to przypomniał; trudno bowiem o wszystkich drobnostkach pamiętać! W metafizycznych spekulacjach pamięć lokalna, pamięć słów często odlogiem leżeć musi; przytem syntaksa metafizyczna nie może się dać krępować składnią gramatyczną a zwłaszcza imiona, przezwiska, przydomki familijne, daty, cyfry liczbowe i te drobiazgi wszystkie historyczne, jakże one małą rolę grają w ontologii!...

Jeszcze wszczęła się krótka dysputa o Czackim; poczem najważniejszy z obecnych, P. Werner na powszechne prośby opowiadać zaczął ciekawe koleje życia znanego sobie dobrze autora *Nadesłanego artykułu*; gdy nagle dojeżdżacz Panass ukazał się w drzwiach salonu, i wszystkie się z miejsc porwali wołając: „Są wilki? A odezwały się dzisiaj? Jedźmy! jedźmy! Hej! Janku! Józiu! strzelba moja! pistony! I wśród tym podobnych wykrzykników wszyscy w mgnieniu oka wybiegli, przepraszając Wernera, że nie mogą na ten raz dalej mu służyć i zamawiając sobie na wieczór łaskę jego w dokończeniu zajmującej powieści“...

Między wielu pytaniami i zagadnieniami poruszonymi w *Artykule nadesłanym* z taką znajomością ludzi i rzeczy, z takim ro-

dzimym dowcipem, który jeśli gryzie, to z miłości; w szeregu postaci z życia naszkicowanych, które pytania te w sobie wcielają, wybitne miejsce zajmuje Polak przebywający w Petersburgu, marzący o jednym słowiańskim ciele politycznym, o jednej mowie, jednej religii słowiańskiej. Cały ten ustęp to tylko osłabione już echo głośniejszej burzy, „bolesnego komerażu literackiego“¹, który w tym czasie głęboko umysłami wstrząsnął, wywołując oburzenie w kołach czytających, niesnaski i spory w „pisarskich szykach“. Skąd burza ta przysła; kto był sprawcą, i jakie były powody tego komerażu, do którego usiłowano i Chołoniewskiego wciągnąć, to opowiada on sam najdokładniej, jako świadek dobrze z rzeczą obznajomiony, a w pewnej mierze i aktor osobisty w niej udział biorący, w następnym z kolei „obrazie“, a raczej, jak tym razem wyraził się: „notatce do dziennika życia mego“, która zarazem, jak słusznie mógł dodać, jest notatką: „do historii polskiej literatury“.

„Notatka“² nosi dłuższy, ale dobrze całą sprawę streszczający tytuł: *Potajemne usiłowania skrzywienia opinii narodowej w prowincjach naszych za pomocą peryodycznego piśmiennictwa*. Chcąc dobrze zrozumieć, wyjaśnia na wstępie Chołoniewski, ostatni literacki komeraż, który z powodu gorszącego swego rozgłosu, stał się ważnym symptomatem schorzałego stanu naszego społeczeństwa, należy wprzód wyrobić sobie ogólny pogląd na obecny stan naszego piśmiennictwa. Od r. 1831 nie istniało w prowincjach polskich i istnieć nie mogło żadne poważne pismo peryodyczne; wprawdzie *Wizerunki*, *Athenaeum*, *Rubon* zjawily się w następnej epoce, wszakże tylko w kształcie zbiorowych, nie peryodycznych pism, którym nadmiar nie wolno było umieszczać krytycznych rozbiórów pojawiających się dzieł. Koryfeusze literatury naszej zaznajamiali się jedynie ze sobą i to bardzo nie-

¹ Do *Kraszewskiego* 10 Lipca 1843.

² *Notatka* ta dotąd nie drukowana, zawiera 34 stronnic in 4^o bitego pisma i jest cennym materiałem do całej historii tego zajścia, które w dziejach literatury naszej z ostatnich czasów dość znaczące miejsce zajmuje. Por. *Krechowiecki* „Wiadomości o życiu i pismach Wł. Grabowskiego“. Kraków. 1868. (Odbitka z *Czasu*). — *Dr. Antoni J.* „Józef Ign. Kraszewski i ks. Stan. Chołoniewski“. — *P. Chmielowski* „Józef Ignacy Kraszewski“. Kraków 1888. Str. 176 np.

śmiało za pośrednictwem *Tygodnika Petersburgskiego*. Odzywały się tu i owdzie luźne głosy; szło o to, jakby je powiązać do jednego stroju; jak utworzyć przeważną opinię literacką z cechą krajową, wyrazistą. W tym celu utworzyła się literacka plejada, złożona ze znanych chlubnie pisarzy: M. Grabowskiego, Kraszewskiego, Rzewuskiego, ks. Hołowińskiego, która nawet w czerwcu 1841 r.¹ odbyła uroczystą sesję w Cudnowie, majątności p. Rzewuskiego. Przed sesją tą, Rzewuski będąc w Kijowie, osądził za rzecz potrzebną zbadać w tej mierze myśl gubernatora Bibikowa i zapytał go, czy literacki zjazd w Cudnowie będzie mu przyjemnym? „Dla czego nie? odpowiedział liberalnie Bibikow, bardzo się z tego cieszę, tylko polecam pamięci panów sprawę Słowiańszczyzny. Komis ten p. Bibikowa nie był bezowocnym; zatrzymano go w pamięci i aby uzyskać zezwolenie na peryodyczne pismo krajowe, wysunięto na pierwszy plan wielką sprawę słowiańszczyzny, która jak krzewiciele jej wyrażali się, jest obecnie *à l'ordre du jour*, jest *alfa* i *omega* literatury północnej.

„Zaraz we wstępnych naradach o zamierzonym piśmie, zdania rozdzieliły się. Jedni chcieli je widzieć w polskim i rosyjskim języku na kształt *Kuryera Wileńskiego*, drudzy w języku francuskim, a zamiar ten popierał gorliwie p. Aleksander Przeździecki. Miano już nawet sprowadzić belletrystę Francuza do korektury artykułów naszych Gallo-Słowian, mających dla ziomeków pisać po francusku o rzeczach polskich. Właśnie najzarliwiej sprzeczano się w jakim języku nowe pismo ma być redagowane, kiedy rząd, mimo usilnych a rozlicznych starań, założył swe weto przeciw jego założeniu. Cóż było robić? — zrezygnowano się i pracowano dalej jak dawniej, kiedy w jesieni 1841 r. ukazały się na świat *Mieszaniny* p. Rzewuskiego pod pseudonimem Jarosza *Beyły* i pomieszały gwałtownie szyki pisarskie. W dziele tem, po raz pierwszy od ostatnich zaburzeń krajowych, posłyszano głos boleśnie rozdzierający

¹ Data ta przez Choloniewskiego niebawem po zjeździe Cudnowskim zapisana jest, zdaje nam się, jedynie autentyczną, wbrew mniemaniu Chmielowskiego, który na czas zjazdu naznacza to wiosnę 1839 czy 1840 r. (*Nasi powieściopisarze* str. 133); to znowu zimę 1840 r. (*J. Ignacy Kraszewski* str. 116). Że sam Kraszewski w *Rachunkach* z 1866 r. daty „najdziwniej poplątał“, o tem nie ma wątpliwości.

zasłone dotąd nietkniętą, ukrywającą domowe rany nasze; głos ten zdradzał również ciężką chorobę tego, co go podniósł. Beyła pomimo całego swego dowcipu, trafnych postrzeżeń i napuszonych sentencyj, zawsze jest sobie szubrawcą; widać, że w złym humorze i dlatego tylko szczypie i chłoszcze kolegów, z którymi niedawno się kumał. Wielu nie pojmuje dotąd, jak pióro, co wydało na świat *Soplicę* mogło kreślić *con amore*, żółcią zapuszczone obrazy *Mieszunin* z drobiazgową troskliwością zrobienia z nich portretów *d'après nature*. Dobrze atoli świadomi trybu myślenia i działania autora, łączą tę pozorną sprzeczność odgadną. *Pamiętniki starego szlachcica* są utworem innych zupełnie chwil. Autor ich znajdował się wówczas pod wpływem pogodnego nieba, błogich uczuć i natchnień, otoczony gronem umysłów wzniosłych i dojrzałych. Za zmianą czasu, miejca i horyzontu duchowego, przeistoczyły się także stosunki jego towarzyskie. Nadeszły burze miłości własnej spowodowane miejscowemi przykreimi wypadkami właśnie wtedy, kiedy *Soplicy* wydanie zagraniczne, niespodzianie jak meteor błysnęło sławą nad głową autora i odrazu dźwignęło go na szczybel pierwszych naszych z n a k o m i t o ś c i literackich. Wszelka atoli sława zwłaszcza literacka jest potęgą chwilową, orężem. Fatalnym zbiegiem okoliczności, oręż ten obosieczny, znalazł się w pogotowiu pod ręką autora, w chwili drażliwości z powodu doznanych świeżo przezeń niesmaków od swoich. Trudno było oprzeć się wybornej zręczności załatwienia z niemi dawnych rachunków. Kredytem więc i szerpentyną p. cześnika Parnawskiego uderzył on na szlachtę dorobkową. Dostało się po łbie winnym i niewinnym jak na dawnych sejmikach polskich. W przedmowie jeno zastrzeżono obyczajem Gerwazego klucznika, że to się stało *pro publico bono* — i tak wyleciał na świat jak z procy pierwszy tom *Mieszunin*“.

„To krótkie sprawozdanie jednolitości potężnej głowy autora *Soplicy* i *Mieszunin* jest wprawdzie zupełnie odmiennem od tego cośmy czytali w recenzjach p. Grabowskiego. Szanujemy wszelkie sumienne przekonanie, lecz nie znajdując w zdaniu zacnego estetyka dostatecznych powodów do odstąpienia od naszego sposobu widzenia rzeczy musimy przy nim pozostać — trzymając się starego prawidła *libertas in dubiis*“.

„Cokolwiek dłużej zastanowiliśmy się nad tym wypadkiem — bo on sprawił nagłą, ważną zmianę na horyzoncie naszym literackim. Świetna plejada belletrystów, z czterech celniejszych gwiazd złożona¹, doznała chwilowego zaćmienia pośród boleśnego wrzasku *deorum minorum gentium* podnoszących rokosz przeciwko autorowi *Mieszanin*. *Tygodnik petersburski*, acz jako pośrednik *inter majestatem et libertatem* widział się jednak kilkakrotnie zmuszonym udzielać swoich ćwiartek bolesnym protestacyom — a choć burzliwsze dla miłości pokoju *procul arcebat* — ujrzano w nim jednak artykuł J. Kraszewskiego, który wręcz oświadczał, że po tylu głosach *pro et contra*, w niemożności się widzi objawienia swego zdania o *Mieszaninach*, z powodu, iż autor na zbyt mocnej zasadzie się oparł². Te króciutkie słówka zrozumiane dobrze w koteryi plejady literackiej, zburzyły jej pierwszą harmonię. P. Grabowski stanął *fortiter* przy boku Beyły jak Patrokl przy swoim Achillesie. P. Kraszewski jak Agamemnon, osłonił smutne oblicze swym fałdzystym płaszczem, a ks. Hołowiński głosem Nestora z kapłańską swadą koil rozdrażnione umysły. Potrafił nawet dopiąć gorliwością swoją, że podczas kontraktów kijowskich osobiście się zbliżyły strony poróżnione. Wszakże zadane przez *Mieszaniny* rany były zbyt świeże i głębokie. Przewiązano ich tylko na pędce jak najstaranniej — lecz o zupełnem ich zagojeniu trudno sobie pochlebiać, bo już drugi tom *Mieszanin* był zapowiedziany. Nie była to więc kuracya r a d y k a l n a — lecz tylko plastryk na złym razie.

Wkrótce potem przeniesienie ks. Hołowińskiego na posadę rektora Akademii duchownej petersburskiej, odstąpienie p. Rzewuskiego od redakcyi *Athenaeum*, bardziej się jeszcze przyczyniły do oziębienia stosunków między naszymi magnatami literatury. Utworzyły się dwa coraz wyraźniejsze odcienia w swych dążnościach piśmiennych. PP. Rzewuski i Grabowski otwarcie podjęli się orędownictwa pierwiastków arystokratycznego i słowiańskiego. P. Kraszewski nie sięgając politycznej sfery ruchu literackiego, wziął sobie za cel ożywiania go jedynie w obrębie beletrystyki. Poważne s t u d y a dziejów Litwy szczęśliwie natchnęły utwory jego poety-

¹ PP. Rzewuski, Grabowski, ks. Hołowiński, Kraszewski.

² Jest tam pono i ten wyraz — i tak mocno się ufortyfikował.

czne i w tym zawodzie słuszną mu sławę zjednały. Ks. Hołowiński pomimo swych duchownych w Petersburgu zatrudnień, z niezmordowaną gorliwością uprawiał rolę naszego piśmiennictwa, usiłując pierwszą przywrócić harmonię między koryfeuszami. Lecz ta coraz widoczniej słabła, a *Korespondencya Literacka* p. Grabowskiego drukiem ogłoszona, nowych niesmaków i nieporozumień stała się przyczyną. Ks. Hołowiński mniej już ufny w skutki swego pośrednictwa, bardziej się zbliżył do chorągwi P. Kraszewskiego. Taki był stan rzeczy do obecnej chwili.

W dalszym ciągu swego sprawozdania opisuje Chołoniewski „smutniejsze jeszcze znaki na literackim niebie“, które okazały się od początku r. 1843: apostazję Jankowskiego, zatrawiające wieści o jakimś gorszącym liście M. Grabowskiego do p. Strutyńskiego, adjutanta gubernatora Bibikowa. Długi ten list, a raczej memoriał, w którym Grabowski jawnie wyznawał, że zdaniem jego „samoistna „historia polska jest już ukończoną i że odtąd Polska żyć tylko „może jako członek Rosyi lub Sławiańszczyzny, jako członek, którego misją jest, być działaczem powolnym i użytecznym w losach „wielkiego rosyjskiego państwa“, — cytuje Chołoniewski dosłownie wedle jednej z licznych kopii, krążących po kraju. Co sądzić o tym liście, co sądzić o dołączonym do niego programie założyć się mającego dziennika, w celu rozszerzenia i przeprowadzenia myśli w memoriale zawartych? Jakie bądź zrobimy przypuszczenie o autorze listu: czy jest on człowiekiem sumiennym, czy obłudnym w dobrym niby celu, czy działającym z polecenia i natchnienia rządu; w każdym przypuszczeniu okazuje się partaczem i studentem, wdającym się nie w swoją rzecz...; ciągle w tej swojej ramocie rozmija się z logiką i wpada w sprzeczności.

„Tu kilka jeszcze okoliczności nadmienić należy, dla lepszego „wyjaśnienia całego biegu rzeczy“.

„Ks. Chołoniewski kilku pisemkami w przedmiotach moralno-filozoficznych, zwrócił był uwagę plejady naszej literackiej. P. Grabowski z urzędu estetyka bardzo pochlebnie raczył o nich wyrokować w *Tygodniku petersburskim* i w swej korespondencji — a ks. Hołowiński powołał dawne usiłowania swoje bezskuteczne, ażeby nowo ukazującego się pisarza wciągnąć do koteryi literackiej. Chciano, żeby on także zaciągnął się do szeregów estetyków, —

żeby się ciągle zalecał publiczności w *Tygodniku petersburskim*, w *Pielgrzymie* p. Ziemięckiej i w *Atheneum*. Sypano mu hojną ręką, zwykle słodkie dla literata słówka genialności, samorzutności, głębokości *et similia*. Pisz — pisz — księżu! (wołano jednym chórem) pisz zmiłuj się — żeby i nam było co o Tobie pisać — a zobaczysz jak pięknie zakwitnie oświata i estetyka — ale ksiądz tchórz, przeraził się tak niezasłużonemi aplauzy — obawiał się też, ażeby mu się rewerenda nie zaszargała i nie podarła wśród tych wyścigów na szczyt parnasu naszego — więc jako trwożliwy obskurant, po kilku nieśmiałyłch krokach, stanął pod górą i umilkł. — Nie obejdzie się to zapewne bez jakiegoś zgorzzenia estetyków — ale ksiądz uparty, żał mu rewerendy, nie chce dalej iść — jeno czeka jak prostak co to dalej będzie — pokazało się w końcu, że nie źle na tem wyszedł — a to z następującego wypadku“.

„Już w marcu tego roku pisał Beyła do p. W., że radby się z ks. Chołoniewskim widzieć w Janowie i pomówić z nim w jednym ważnym przedmiocie. Ks. Chołoniewski wysłał z Kamieńca umyślnego do Beyły, prosząc go, ażeby tą pewną drogą, odkrył tę ważną okoliczność. Beyła w wielce grzecznej odpowiedzi wymawiał się od tego, z powodów niby dyplomatycznych — *alias* i *nsynuaacyi* osób rządowych — odkładał tę komunikacyę do widzenia się z ks. Chołoniewskim w Janowie, które miało nastąpić w lecie. Takie były słowa jego listu. „Z niczem się wypisać nie chcę — a to „z dwóch powodów — pierwszy, że chociaż mnie coś powierzyć, „jest to rzucić korek na wodę — że żadna reguła nie jest bez eks- „cepcyi, oczywiście ekscepcyja musi być dla zwierzchności; drugi, „że może rzecz zaczynająca się zawiązywać, sama z siebie się roz- „wiąże, jak to często bywa — ale powtarzam, że ta tajemnica pod „żadnym względem niebezpieczeństwem nie grozi“ — i na drugim miejscu: „Jest to gatunek *insynuaacyi*, która jeśliby skutek od- „powiedni otrzymała, z niej może być jakaś korzyść, jeśli nie, rze- „czyby pozostały jak dziś są, bez żadnego pogorszenia“ ... Wpadaliśmy w Kamieńcu na różne domysły, na projekta władzy dotyczące się murów Wizytek Kamienieckich — alboliteż literackiej jakiejś roboty w duchu rządowym. Na tę ostatnią myśl naprowadzał nas list Beyły, pełny pochlebnych wyrazów i dworszczyzny do ks. Cho-

loniewskiego i chlubienie się, że p. Grabowski w swej *Korespondencyi*, jedną aureolą sławy literackiej uwieńczył skronie Beyły i ks. Chołoniewskiego, stawiając ich obu na czele nowej jakiejś szkoły literackiej.

Zwierzenia się te poufałe i literackie, tem bardziej uwagę na siebie ściągały, że ks. Chołoniewski od lat już wielu w żadną z Beyłą nie wdawał się korespondencją ani poufałą ani literacką.

W czerwcu przybył Beyła do Janowa, lecz rzeczy, wbrew naszemu oczekiwaniu pozornie w dość dziwnym kształcie na jaw się ukazały. Beyła był w humorze opozycyjnym władzy — mocno przeciw niej językiem szermował — zresztą małowiający w materyach literackich, wyraźnie w tym względzie dyplomatyzował z ks. Chołoniewskim. Co się zaś tyczy insynuacyi wyższej, zapowiedzianej w liście z tak uroczystą swadą, nic innego na jaw nie wyszło, jeno wiadome żądanie odstąpienia murów Witytek, które nawet z przypadku tylko i jakby nawiasem dobył Beyła z ust nie samego Bibikowa lecz p. Pisarewa. Takie to *ridiculum mus* czyli figę wydała na świat owa zapowiedziana tajemnica. Nie pomalutko zadziwiło ks. Chołoniewskiego. Byłby on może ścisłszą rozpoczął inkwizycję z Beyłą, zwłaszcza za pomocą listu jego, gdyby inne jego kłopoty tudzież stan irytacyi umysłowej Beyły, ilekroć była mowa o Bibikowie i jego projektach nie uczyniły ks. Chołoniewskiego obojętnym w tej mierze. Jakoż, Bogu dzięki, dobrze się stało. Albowiem jasno się już okazuje z sławnego listu do Strutyńskiego, że insynuacya z góry zapowiedziana przez Beyłę, nie co innego miała porodzić jeno ten projekt. Oczywiście więc, i ks. Chołoniewski, licha persona miała być wezwana do tej wspaniałej roboty, a Beyła podjął się tej pięknej, dyplomatycznej misyi. Widoczna także, że Beyła zniechęcony jakimś niepowodzeniem po drodze rządowej, kwaśny na Bibikowa, na którego srodze się skarżył ogólnikami, obrócił się po staremu za innym wiatrem, żeby mu pierwszy nie tyle w oczy smalił. Tak więc, albo przybył do Janowa, z powziętem już przedsięwzięciem nie robienia ks. Chołoniewskiemu powyższej insynuacyi, bo był gniewny na jej orędowników — alboliteż aura Janowska nieprzyjazną się ukazała podobnym kofidencyom. Dość, że je zagrzebał w milczeniu, lecz żeby zamydlić oczy, prawił o murach Witytek — a tak, wprawdzie góra

rodząc, niedorzeczną mysz tylko wypuściła na świat — ale pierwsze nasze domysły nie były bezzasadne — bo pokazało się, że ta góra miała także w pogotowiu węża *boa*. Bóg miłosierny miał na pieczy serca szczerze i proste, a góra ta w samym wybuchu wciągnęła napowrót w swoje wnętrzości brzydką bestyę. Zawsze, w najmniejszych wypadkach sprawdzają się te słowa pisma Bożego *Misericordia Domini, quia non sumus consumpti*.

Jest także w tem wszystkim, jedna okoliczność godna zapisania do kategorii sprzeczności serca ludzkiego. Beyła, przyznaje o sobie, że jak korek rzucony w wodę, tak powierzona mu rzecz jaka, na wierzch wypłynąć musi. Trzy dni bawił on w Janowie, gawędził wesoło, jowialnie po Beyłowsku — s w a d a jak zdrój płynęła z ust wymownych — *plenus* był *sermonibus* — a przecież — korek nie wypłynął na wierzch. Więc i przysłowia zawodzą czasem⁴.

Od czasu rozpowszechnienia listu Grabowskiego, stosunki naszych magnatów literackich, z konieczności inny kształt przybrać muszą. Ciekawa dość rzecz, jakie obejmą stanowisko względem p. Grabowskiego i Beyły, wydawcy zwłaszcza pism periodycznych i zbiorowych; jaki się ukaże manewr literacki w szych pp. Kraszewskiego, Bomby, p. Ziemięckiej, ks. Hołowińskiego, redaktorów *Biblioteki Warszawskiej*, *Tygodników petersburgskiego*, *poznańskiego* i t. d.: — gorliwi bowiem antagoniści partyi p. Grabowskiego, starają się o to usilnie, ażeby wierna kopia sławnego listu doszła rąk wszystkich wyżej wzmiankowanych znakomitości literatury polskiej¹.

Jak głośnem echem obila się po całym kraju niewesoła ta sprawa, której historję najdokładniej może podaje streszczona powyżej *Notatka*, o tem świadczą między innymi liczne ustępy z ówczesnej, żywo prowadzonej korespondencyi między Chołoniewskim a Kraszewskim. „O sławnym liście Michała (Grabowskiego) „wiedziałem dawno, pisał Kraszewski² w trzy miesiące po ukoń-

¹ Pod rękopismem położona data: „Pisałem w Janowie 26 lipca. Uroczystość św. Anny. 1843 r.

² 1 listopada 1843. *Niwa* „Z korespondencyi J. I. Kraszewskiego“ r. 1888 str. 328.

„czeniu *Notatki*; — klęska to okropna, zabił mię tem; — długo „nie wiedziałem co począc z sobą — teraz oswoilem się. Wiem, „że Michał żałował swych niewczesnych wynurzeń, że zakrzyknięty „upadł na duchu, że gryzie się, że tłumaczy; ale takie olbrzymie „głupstwo (mówię jeszcze delikatnie) zrobiwszy — *ex inferno nulla „redemptio*. Co się tyczy: *ex inferno nulla redemptio*, odpowie- „dział Chołoniewski, który błąd potępiając dla błędzącego czuł ser- „deczną litość, — to niezawodna prawda, lecz póki przy życiu „człowiek, może i powinien zejść z drogi, prowadzącej do tak nie- „dobrej kwatery, przez świętą rozumną pokorę: bo wielka szkoda „talentów i serca, które Bóg na swoją chwałę i pożytek bliźnich „stworzył“.

Przyszłość pokazała, że Chołoniewski miał rację. Jeden krok uczyniony nie taktownie i nie na czasie, nie powinien wymazać z pamięci zasług całego życia, nie może stać się nieodwołalną przeszko- dą do zbierania dalszych zasług. Sam zresztą Kraszewski cofnął zbyt sangwinistycznie wydany wyrok, zbliżając się później do Gra- bowskiego. Kiedy ten ostatni w wiele lat potem w serdecznym, choć nieudolnie napisanym wierszu spowiadał się i bronił zarazem:

Głos przyjaciół młodości aż do mnie dopływa;
Oni dają świadectwo o pobudce czystej
Każdej z mych myśli, choćby ta myśl była krzywa.

— w gronie tych przyjaciół widział zapewne okiem duszy Kra- szewskiego obok Chołoniewskiego.

Notatka jest ostatnim z wykończonych, stanowiących w sobie pewną całość utworów, z których składać się miała „galerya życia mego“. W *Pismach pośmiertnych*¹ pomieszczono jeszcze, a raczej pomieszczono tylko, kilka na prędcę rzuconych szkiców, wię- kszych lub mniejszych ułamków, zawierających nieraz prześliczne ustępy, rzewne szczegóły, pełne rozumu uwagi. Wszędzie tu, jak w poprzednio już wspomnianych *Wieczorach i przechadzkach rzym- skich*, osobiste wspomnienia służą Chołoniewskiemu za tło, na któ- rem rozwija swe poglądy na różne bądź praktyczne, bądź teo- retyczne kwestye; służą mu raz po raz niejako za pretekst do

¹ *Pisma pośmiertne ks. St. Chołoniewskiego*. Tomów II. Wydanie J. N. Bobrowicza. Lipsk 1851.

omówienia pytań, do wynurzenia się z myślami, które w danej chwili najbardziej go zajmowały. *Wyjątek z dziennika życia mego*¹ przedstawia plastycznie sposób wychowania przyjęty w polskich dworach i pałacach na początku bieżącego wieku; ścierające się wpływy: wolteryński wyobrażony w osobie szambelana, z szczepolskim, katolickim, którego przedstawicielem jest rotmistrz Radwański. Do tego samego tematu wraca Chołoniewski w mniej lub bardziej obszernych urywkach: *Treść pamiętników niektórych przyjaciół młodości mojej*; *Memoranda, czyli żywot Steplowskiego*; *Wody krzeszowickie*²; *Soliloquia P. Baltazara Radwańskiego*³. Prześliczne, rzewne ustępy zawierają się w pisanej w ostatnich miesiącach życia oryginalnej parafrazie hymnu *Magnificat*⁴; z tego zwłaszcza względu oryginalnej, że czytelnik przerzucając pierwsze kartki, sądzi, że ma przed sobą powieść, lub ciekawy pamiętnik, a dobiegając do ostatnich, spostrzega z zadziwieniem, że niewiedząc nawet kiedy wszedł nieznacznie na czysto ascetyczne i teologiczne pole. Co prawda, nie pierwszy to raz uciekał się Chołoniewski do tego rodzaju literackiego fortelu dla zwabienia czytelników, którzy prócz kalendarzów, jednym tylko powieściom do swego domu wstępu dozwolali; nigdzie jednak fortel ten nie występuje tak jawnie na światło dzienne, jak w niedokończonym i nie zredagowanym ostatecznie *Magnificat*.

Gdyby Chołoniewski mógł być opracować i zebrać w jedną całość wszystkie te „notatki“ i „wyjątki z dziennika“, byłoby to prawdopodobnie najpiękniejsze z dzieł jego, a kto wie, czy i nie najpożyteczniejsze. Jak we wszystkich zapiskach prowadzonych od pierwszej młodości dla samego siebie i najbliższego kola rodziny, tak w tym zwłaszcza dla wszystkich ziomków spisywanym „dzienniku“, którego kilka tylko i to niedokończonych rozdziałów zdążył napisać, miał zawsze Chołoniewski przed oczyma wytknięte przez samego siebie правило: „Dziennik dla mnie nie jest zabawą literacką, ani powabną — jest rzeczą ważną, jest mojem niepochlebiamą-

¹ *Pisma pośmiertne* t. I. 7—75.

² *Tamże* t. I. 75—336.

³ *Tamże* t. II. 108—129.

⁴ *Tamże* t. II. 1—108.

„cem zwierciadłem, groźnym dyrektorem, pisanem sumieniem. Nie „pisz nigdy, mówiła święta moja siostra, czego niema w twojem „sercu, choćby ci się to jak gwiazda w głowie świeciło, a pisz „skromnie, żeby później serce cię od dumnego słowa nie bolało“. W „notatkach“ i „zapiskach“ nie ma ani jednego dumnego słowa, ani jednego, któreby ze serca nie popłynęło; największa to ich zaleta, ale i tem większy żal do autora, że miasto coraz nowy obrazek zaczynać, paru z nich przynajmniej nie dokończył; tem dotkliwsza szkoda, że z licznych tych materyałów do budowy zebranych, nie stanął gmach zamierzony.

„Niedokończone te poemata“ wyszły przeważnie z pod pióra Chołoniewskiego w ostatnich dwóch latach jego życia, kiedy przyjaciele mniemali, że coraz cięższe troski, coraz bardziej pogarszający się stan zdrowia zmusił go do pozostawienia odlegiem literackiego pola. Wprawdzie i w tym czasie w każdym prawie liście Kraszewskiego spotykamy prośbę: „Pisz! pisz Hrabio“, ale czuć, że sam proszący nie ufa zbyt mocno skuteczności swych namów, a przy układaniu programu dalszych zeszytów *Athenaeum*, artykułów Chołoniewskiego, choć „gorąco pożądanym“ w rachubę nie wciąga¹. Inaczej było parę lat wstecz, zwłaszcza w miesiącach bezpośrednio poprzedzających i następujących po osobistem zbliżeniu się w Gródku. Wtedy nie tylko Kraszewski raz po raz za nową jakąś przesyłkę do *Athenaeum* mógł dziękować, ale jeszcze ośmielony uczynnością przyjaciela, kolatał o jego łaskę dla protegowanego przez siebie *Pielgrzyma*. „Gdybym śmiał, pisał do Janowa „pod datą 2 kwietnia 1842 r., dołączyłbym tu kilka słówek o artykuł już nie dla mnie, ale dla p. Ziemięckiej, do wydawanego „przez nią w Warszawie pisma peryodycznego, najlepszych intencyi i ducha p. t. *Pielgrzym*... P. Ziemięcka jedna nie owioniona „duchem heglowskim, którego są zwolennikami prawie wszyscy piszący, jako uczniowie berlińskiego uniwersytetu, wychowani na

¹ „Stosy ramot, żali się Kraszewski w *Tygodniku petersburskim* z r. 1844, zawalają półki redakcyi, a niema co drukować: niektórzy bowiem ze znakomitych pisarzy uznali, że czas włożyć szlafmycę i pójść spać“. Str. 204. Pisząc te słowa miał Kraszewski z pewnością w myśli na pierwszym miejscu Chołoniewskiego, któremu w osobistej korespondencyi robił te same, tylko w delikatniejszej formie wyrażone zarzuty.

„Heglu. P. Ziemięcka była heglistką i wróciła do wiary od pan-teizmu; głowa niepospolicie uorganizowana na kobietę. Ona tam „bez współczucia, pomocy i przyjaciół, a wartoby przecie nie dla „niej, ale dla pięknego, przedsięwziętego przez nią dzieła coś uczynić“.

Ks. Stanisław choć cenil pracę i dobre chęci Zamięckiej, choć słyszał już przedtem „o niepospolitych zdolnościach tej pani“, nie mógł, zdaje się, wmówić w siebie zbyt wielkiej admiracji dla pism jej filozoficznych. „Wyznać muszę¹, że jest smutnem zjawiskiem „literatury warszawskiej, to wystąpienie na plac niewiasty w obro-„nie filozofii chrześcijańskiej, dla braku mężów, coby chcieli prze-„mówić dobre słowo za sprawą nie już cywilizacji warszawskiej, „ale europejskiej“. Ale wspólnie z tem wyznaniem czuł dobrze i wyznawał zarazem, że byłoby bardzo nie po rycersku wymawiać się od niesienia pomocy śmiałej amazonce, i ledwie parę upłynęło tygodni przysłał dla *Pielgrzyma* za pośrednictwem Kraszewskiego dwie do celu i filozoficznego tonu tego pisma nastrojone rozprawy: *Uwagi o stylu pod względem psychologicznym*² i *O wpływach racjonalizmu na tegoczesną literaturę i sztukę*³.

Obie te rozprawy stanowią pewną całość z trzecią rok przedtem w *Athenaeum* ogłoszoną p. t. *Kilka słów o polemice chrześcijańskiej przez kapłana katolickiego dyecezyi podolsko-kamienieckiej*⁴; w każdym razie na tym samym obracają się gruncie, za jawne zadanie mają wykazać mylne drogi, na których błądziła nie-rzaz współczesna literatura, a bardziej jeszcze współczesna krytyka; zapytać o powody tych „literackich obłędów“, wskazać drogokazy, wedle których każdy pisarz kierować się musi, jeżeli nie chce zejść na manowce. Choć we wszystkich tych rozprawach „kapłan katolicki“ z nikim w szczególności po imiennie nie polemizuje, to widocznie jednak na pierwszym planie ma na oku ów mnożący się, w niemieckich uniwersytetach wykształcony zastęp „absolutnych marzycieli“, którzy wciąż „powiększają nasz babiloński gwar i odmęt“. Z niebezpiecznymi tymi marzycielami walczył, słabe strony ich

¹ Do *Kraszewskiego* 14 kwietnia 1842. *Przew. nauk. i lit.* T. VI. Str. 616.

² *Pielgrzym* r. 1842. T. III. Str. 151—175.

³ *Pielgrzym* T. III. Str. 217—251.

⁴ *Athenaeum* r. 1841. T. VI. Str. 1—13.

odkrywał we *Śnie w Podhorcach*, a później w *Dwóch Wieczorach*; lecz jak sam doskonale czuł i pisał, podając niejako myśl przewodnią, cel i program podjętych przez siebie filozoficznych studyów¹: zamętowi temu rozumów „nigdy i nigdzie sama beletrystyka sprostać nie zdoła; na to trzeba katedry filozofii chrześcijańskiej, dzieł nie długich, lecz treściwych, któreby jasnym, poważnym stylem powoli oswajały publiczność naszą z najważniejszymi prawdami starego katechizmu, wszakże pilnie się wystrzegając używać słowa tego nieznośnego dla dumy naszych filozofów supergenialnych. Bardziej, zdaje mi się, trzeba z silnem przekonaniem skromnie wyluszczać to, co dla nas jest prawdą; opierać się na mocnej podstawie objawienia i dziejów świata, niżeli wdawać się w podrzędną, drobiazgową, pełną osobistości polemikę, która choćby najdowcipniejsza, zwiększa tylko hałasy, przekonania nie zdradza, bo ludzie mają ten zły obyczaj, iż zwykle posadzają o jednostronność i prywatę tych, co się w ich oczach kłóca, a kłótnią wydaje im się każda polemika, której nie poprzedza spokojne, dokładne, kompletne wyznanie wiary w jakiegokolwiek materyi, bądź filozoficznej, bądź literackiej“.

Stosownie do tego wyznania wiary, Chołoniewski w swych istotnie „treściwych a jasnych“ filozoficznych studyach jak najmniej polemizuje, lecz jako „człowiek mocno wierzący, nie lękający się rozumów i respektów ziemskich“², wyklada poprostu odwieczne zasady przez wiarę i zdrowy rozum podane, uważając, że w należytem ich zrozumieniu tkwi najsilniejsze lekarstwo dla uzdrowienia „chorych dusz, które cieszą się, że mogą o jakąś wielką siłę moralną się oprzeć“. W *Kilku słowach o polemice chrześcijańskiej* postawił sobie autor głównie na celu, przestrzedz przed zbytnią, niezdrową ufnością we własny rozum, który bardzo nierozumnie radby nieraz zrzucić wszelkie wędzidło powagi i tradycyi, byle móżdż się poszczycić jakąś, niby samoistnie wymyśloną teorią, oryginalnym na świat poglądem. Tę samą tezę, tylko o wiele obszerniej, z szczególnem zastosowaniem do literatury i sztuk pięknych i krążących o nich teoryj, w mniej szkolny a bardziej literacki

¹ Do *Kraszewskiego*. Janów 6 października 1845.

² Tamże.

sposób rozwija Choloniewski w drugim z wzmiankowanych powyżej artykułów umieszczonych w *Pielgrzymie: O wpływach racjonalizmu na tegoczesną literaturę i sztukę*. Skąd, pyta na wstępie autor, dzisiejszy rozwój racjonalizmu, który wydarłszy berło niedawno jeszcze wszechwładnie królującemu materialistycznemu kierunkowi, najniebezpieczniejszym stał się wrogiem wiary chrześcijańskiej? Wyższego rozmiaru umysły sromaly się krzepnąć w materji. Musiała więc filozofia XIX wieku chcąc nie chcąc pójść na zwiady za P. Bogiem, szukała Boga w duszach ludzkich, a dostrzegłszy w nich odbłask Jego światłości, dumą olśniona odbłaskowi temu cześć Boską oddała. Pod wpływem tej pogańskiej, w najściślejszem słowa znaczeniu bałwochwalskiej religii, rozwijają się i kwitną, a raczej wędnieją: historia, poezja, sztuki piękne. Racyonalista piszący historję, tak ma nabiłą głowę rozlicznymi traktatami o filozofii historii, że niczego mocniej się nie obawia, jak ażeby nie wydał się światu zbyt mało filozoficznym. Stąd maniera, stąd wrzeczka bezstronność, która oznacza nie sprawiedliwość, ale udaną, zimną obojętność dla wszystkiego i wszystkich; stąd ślepotą na rękę Bożą przerzucającą swe złote pasma wśród pogmatwanej przedy dziejów ludzkich. A czemu dopiero jest poeta i artysta bez wiary i sumienia? Czy taki „ma serce i umie patrzeć w serce?” Przykładem odstrasającym jest Voltaire w wierszach swych o Dziewicy Orleańskiej; muza wyrzekłszy się ideałów Bożych, odurzać się musi orgjami dawnych korybantów. Bez wiary i miłości sztuka przemienia się w rzemiosło; współ i w miarę z odrodzeniem wiary i miłości — odradza się sztuka i literatura, jak odrodziła się u nas w słynnych sporach romantyków z klasykami, które, choć mimo wiedzy spierających się, były bardzo ważne, bo były w gruncie reakcją wiary i sumienia przeciwko materializmowi XVIII wieku. Wszakże i dziś pewnej obawy — może to niepotrzebne strachy na Lachy — pozbyć się nie możemy. Kazano nam niedawno wołać *anathema* na inwokacyę Apollina, na całą tę od mulów zjedzoną ruchomość parnasu klasycznego — i słusznie. A teraz zdaje nam się, jakoby chciano znów nam wmówić nabożeństwo do starych bożków poganizmu słowiańskiego: do pośwista, marzanny, dziezwanny, białego i czarnego Boga i t. d. . . do cywilizacji, która się świetnie rozwinać miała, czy mogła na przekór nawet świa-

tlu chrześcijaństwa¹. . . Parnas grecki, czy słowiański, jest zawsze sobie parnas, zabawka niewinna, prozaiczna i nie więcej. Wszystko można improwizować prócz wiary, miłości i sympatyj serc.

Można i piękny, czarujący styl zaimprovizować, — walczy znów Chołoniewski z innego rodzaju krytykami w artykule: *O stylu pod względem psychologicznym*, a przecież w styl taki ubrać rzecz złą, szkodliwą, lub nic nie warta. Tegoczesna krytyka tak przemawiać zwykła do każdego pisarza: *Ante omnia i post omnia* żądam od ciebie albo geniuszu, albo zdrowego rozumu, albo nauki, lub przynajmniej szczęśliwego wysłowienia się. Jedną z tych rzeczy powinieneś mieć koniecznie, jeśli chcesz rachować na moje względy. A serce, a wiara, a sumienie? Jeżeli je możesz sobie przysposobić, odpowiadają krytycy bez zająknięcia się, to nie zaszkodzi; lecz nie troszcz się, bo żadna z tych rzeczy nie jest *conditio sine qua non* pomyslnego dla ciebie wyroku. Kto pięknym stylem, ale fałszywie pisze o przyrodzie, — tego ogłoszą biegłym szarlatanem. Kto władając pięknym, dowcipnym stylem wystąpi z dziełem czysto moralnym, religijnym, to go ogłoszą wielkim, znakomitym autorem, lubo — dodają przez szkrupuł jakiś — niebezpiecznym dla wielu. Skąd ta nierówność sądu? Czyżby styl zajmował może jakieś środkowe miejsce między np. naukami przyrodzonymi a moralnością; większego był znaczenia i ceny od pierwszych, mniejszego od drugiej?..

Do tego samego cyklu, co trzy powyżej omówione artykuły, zaliczyć można w pewnej przynajmniej mierze i w pierwszej zwłaszcza części: *Odpowiedzi ks. Stan. Chołoniewskiego na dwa pytania*: 1) *Co znaczy słowo „Postęp ludzkości“ w duchu nauki Chrystusowej?* 2) *Jak zabezpieczyć sobie zbawienie w stanie małżeńskim?*² Pytania takie rzeczywiście zadały Chołoniewskiemu „dwie

¹ Grabowski wychwalając w *Tygodniku Petersburgskim* te „głębokie, dzielne, jasne“ artykuły Chołoniewskiego, niemile jednak wzmianką o słowiańskim poganizmie był dotknięty: „W tym względzie, pisał, nie dzielimy obaw i wstrętu autora; — należy tylko naturalnie w właściwych się trzymać granicach“. — Niedaleka przyszłość pokazała, jak nie łatwo było, raz na to pole się zapędziwszy, właściwych granic nie przekroczyć.

² Wydane już po śmierci autora w Wilnie 1847 r. nakładem Teofila Glücksberga. Str. 240. Kraszewski przeczytawszy rękopism pisał do ks. Stanisława: „Jeśli kto, to ja, tego stylu pełnego wdzięku, prostoty, świeżości i poezji, peł-

zadne, pobożne osoby“ — a „jakże, pyta się w przedmowie do odpowiedzi na pierwsze pytanie, księdzu można było milczeć?“ — Jak można było milczeć, kiedy to słowo postęp, niby rycerz z zakrytą przyłbicą wtargnął w nasze szeregi; kiedy stał się jednym z tych hasel wieku, co jak iskry elektryczne całymi narodami wstrząsają; z tych słów modnych, które tylko dla ludzi bystrzej wglądających w rzeczy, zapowiadają właśnie brak tego, co wyrażać mają. O „postępie“ mówią dziś wszyscy; gwarzą nasze tygodniki; postęp! postęp! słyszysz w około, — a co to jest, co znaczy to misterne słowo, które ludzie tak wynoszą i tak o nie się kłóca, nie widząc zazwyczaj jasno, o co się kłóca? W odpowiedzi następuje szereg wyjaśnień zawartych w odrębnych rozdziałach: co to znaczy słowo postęp zastosowane do człowieka pojedynczo uważanego, a zastosowane do stanu społecznego człowieka; jak właściwy postęp równie pojedynczych ludzi, jak i całych narodów zależy na dążeniu do Boga, drogą przez Boga skreśloną, pod przewodnictwem Boga-człowieka, — ruch wsteczny na oddalaniu się od Boga; jak prawdę tę stwierdza cała historia równie przed Chrystusowych jak i po Chrystusowych czasów, historia każdego serca ludzkiego tak prześlicznie a prawdziwie niby odmalowana w całym psalmie LXXXIII: *Jakże miłe przybytki Twoje Panie zastępów, żąda i ustaje dusza moja do pałaców Pańskich... Błogosławiony mąż, którego ratunek jest od Ciebie; rozłożył wstępowanie w sercu swoim..., albowiem da błogosławieństwo Zakonodawca, pójdą z mocy do mocy, oglądają Boga nad bogi w Syonie.* Głęboką tę, ascetyczno-filozoficzną pracę kończy Chołoniewski prośbą: *Panie Boże zastępów, wysłuchaj modlitwę moją* i następującymi, czuć że płynącymi z serca słowami dobrze charakteryzującymi gorące a pokorne jego serce:

„Nieraz, przyznam się, zastanawiając się nad tym LXXXIII „psalmem, przychodziły mi na myśl pomimowolnie te wielkie słowa „autora *Naśladowania Chrystusa*: „Szczęśliwy kogo sama Prawda

nego wiary głębokiej i stale pogodnej w sobie — tego wykładu myśli tak pięknych, jestem najszczęśliwszym wielbicielem. Pewien jestem, że literatura nasza nic obok tego w dzisiejszym czasie postawić nie zdoła, bo gdzież się łączy tyle uczucia z tak głęboką myślą? (Gródek 29 czerwca 1845).

„uczy nie przez znaki i głosy przemijające, lecz rzeczywiście i bez-
„pośrednio“. Nieraz powiedziałem sobie: O jakże te proste, prze-
„nikliwe słowa Boskiego psalmu, pomimo słabego pojęcia mego,
„przedziwnie mi rozwiązują ową przez namiętności pogmatwaną
„kwestyę postępu! Jaka z nich pociecha płynie, jak wielką na-
„dzieją rozjaśniają horyzont ducha! — a przeciwnie, jak to wszy-
„stko, co mi o tem mówią wielkie i mądre księgi naszych filozo-
„fów i ich misterne rozprawy, jest zimnem i pełnem ponurych za-
„gadek dla serca“.

Druga odpowiedź na pytanie: *Jak zabezpieczyć sobie zbawie-
nie w małżeńskim stanie?*¹, przeznaczona i napisana była pierw-
otnie dla siostrzenicy, a zarazem chrześniej córki Chołoniewskiego,
Maryi Grocholskiej, obecnie (1843) narzeczonej Wojciecha Moraw-
skiego, znajomej nam dobrze z lat poprzednich Mani, dla któ-
rej „Wujaszek“ pisywał różne, pocieszne wierszyki i łacińskie dya-
logi. Pięknie obmyślonym był ten ślubny podarek, a narzeczeni
bez komplementów pisać o nim mogli, że uważają go za „najdroż-
szy i najmiłszy“. Ascetyczny ton, którym pierwsza odpowiedź się
kończyła, tem bardziej przemaga w drugiej; literat-filozof ustę-
puje na drugi plan, dając pierwsze miejsce kapłanowi troskliwemu
o duszę ukochanej siostrzenicy, toczącemu z nią serdeczną a pou-
czającą rozmowę. „Niegdyś małoletnie dziewczę pytałaś mię twego
„pierwszego poręczyciela, jak się wywiązać Chrystusowi z wielkiego
„długu miłości, któryś jako chrześcijanka u niego zaciągnęła; teraz
„już panienska dorosła żądasz odemnie rady, ażebyś w tym nowym
„stanie wiernie Chrystusowi służyła i królestwo Jego osiągnęła.
„Żądania Twoje, kochana Maniu, zbawienne i słuszne. Nie pytasz
„mię bowiem, jak się będziesz mogła bawić w twem przyszłem
„powołaniu, ale jak się będziesz mogła w niem z bawić. ... Po-
„modliwszy się więc do tego Pana, który i najlichszemu nie odma-
„wia swego światła, przesyłam ci moją odpowiedź“.

Wszechstronna to, nie prosta „odpowiedź, odpowiedź co
na rozprawę zakrawa“, jak sam autor w ostatnim rozdziale żarto-

¹ W rękopiśmie jest następny tytuł: *Trochę kwiatów z Ogrójca Pań-
skiego do wieńca ślubnego Mani. 1843. 3 października.*

bliwie się tłumaczy. Czem jest stan małżeński w oczach Boga; jak jakie środki podaje Pismo św. do zabezpieczenia zbawienia w stanie małżeńskim? — oto ważne pytania obszernie rozebrane w dwóch pierwszych rozdziałach. Ludzie nieświadomi obyczaju stolicy Bożej. stawiają nam przed oczy wzory niewiasty, małżonki wedle wyobrażeń, jakie w ich umyśle i sercu się wylęgły... Wszystkie są dziećmi chwili, złudzenia przemijającego. Nie jedną taką pięknie ustrojoną lalkę znajdziesz, Marysiu, w niektórych tegoczesnych miódopłynnych rozprawach o wielkiem powołaniu kobiety. Jedni ukazują ci ją jako kapłankę, która wszystkie najdroższe swe skarby: poezję serca, natchnienie geniuszu stoicznym duchem składa w ofierze na ołtarzu rzeczywistości prozaicznej; drudzy jako misyonarkę wiedzy i równouprawnienia z mężczyzną; inni przeciwnie jako poetyczną istotę, mającą za cel i misję skarbić sobie serca ludzkie tysiącami sztuczkami niewinnej, jak mówi, zalotności; są wreszcie tacy, którzy w stanie małżeńskim nie widzą jeno sprzężenie dwóch istot, zupełnie nie zawisłych, z których każda o tyle drugiej winna podlegać, o ile w niej upatruje wyższość rozumu i charakteru.

Oto wzory podawane małżonkom do naśladowania przez różnych pisarzy i moralistów. A jakież wzór prawdziwy, naśladowania godzien? Ten wyłącznie, odpowiada Chołoniewski w następnym rozdziale, który sam Duch św. nam zaleca, skreślając przez Salomona w Piśmie św. obraz niewiasty mężnej, obraz tak wspaniałą i doskonałą, że Kościół nie waha się w tej niewieście upatrywać rysy przedziwnego żywota Bogarodzicy. Jakże mężna ta, pokorna, pracowita, miłosierna niewiasta różni się od damy kapłanki, damy misyonarki, zowiącej teatru świątyniami, aktorów kapłanami tych kościołów, odwiedzanie ich aktami pobożnymi; od damy podbijającej serca, damy emancypowanej, opowiadającej wesołą nowinę rehabilitacji ciała, dręczonego w tak długiej i ciężkiej niewoli chrystyanizmu! Siłę świętego małżeńskiego związku nie stanowi tylko „wzajemny szacunek i sympatyja serc“, bez której można jeszcze spełniać „zimny obowiązek“ — jak pisze pewne polskie pismo peryodyczne — ale nie można zawrzeć „zupełnego małżeństwa“. Miłość małżeńska na silniejszej podstawie musi być oparta: na sercu Boga i Jego szacunku; do-

bra jest miłość ziemską, ale obok mdłego światelka ziemskiego kochania, zapalić należy na godach weselnych pochodnię z nieba zapaloną w płomieniu miłości Bożej. Inaczej zawsze będzie „ciemno wszędzie, zimno wszędzie“; rak spraw rozwodowych dalej nas będzie toczył, bo płomyk z żywiołu zmysłowości zapalony, za lada podmuchem gaśnie; prędko, zbyt prędko następuje noc rozczarowania...

W obu *Odpowiedziach*, podobnie jak we *Śnie w Podhorcach*, w *Dwóch Wieczorach* i w ogóle we wszystkich dotąd rozebranych literackich pracach, Chołoniewski staczał walkę z współczesnymi błędami, wskazywał fałszywe ścieżki, po których szły równie literatura jak moralność, równie w książkach jak w praktyce życia uwydatniająca się filozofia; z samymiż samowiednie, czy częściej może na ślepo za innymi błędzącymi filozofami i literatami wprost i imiennie kopii nie kruszył, powstając przeciw teoryom, oszczędzając osoby, z zasady nazwisk ich nawet nie wymieniając. W przyjacielskiej korespondencji nie potrzebował naturalnie w ten sposób się krępować; bez ogródek też, w miarę jak przeczytał nową jaką filozoficzną lub literacką książkę, donosił, zwłaszcza Kraszewskiemu, jakie wrażenie na nim wywarła, wyjaśniając w ten sposób na żywych przykładach ogólnie i teoretycznie w rozprawach swych sformułowane tezy. Pisma samegoż Kraszewskiego cenił wysoko; widział w nich i widzieć mógł w tym czasie odzwierciedlenie własnych swych zasad i ideałów:

„Nic mnie Pan Józef nie pisze o Witoldzie trzeciej części „*Witoloraudy*“¹; czy już wyszedł z druku, gdzie i kiedy? *Mindowska* chwala ustalona. Wszyscy zgodnie twierdzą, że to jest najpiękniejszy kwiatek wieńca Pańskiego — a ja mówię: *Amen!* „i prosimy o więcej. Czytałem także z korzyścią dwa tomy *Studyów literackich*, owoc poważnej pracy Pańskiej“. „Przeczytałem niedawno, pisze w kilka miesięcy później² acz już przed rokiem wyszłą powieść Pańską: *Krzyż na rozstajnej drodze*. Uważam ją jako jedną z najszczęśliwszych, które wyszły z pod pióra Pańskiego. Są w niej momenta i chwile, które dowodzą wielkiej znajomości najgłębszych

¹ Kamieniec 10 sierpnia 1844 r.

² 18 stycznia 1845 r.

„komórek serca ludzkiego. Kiedy brat ten, co duszę na służbie „świata zaszargał, rzuca pod krzyż smutnie uzbierane grosiwo...; „opisanie zwolna w nim konającej wiary ojców; te krótkie słowa: „O mój Boże! i możnaż to nazwać życiem!“ — przedziwne są, „a w moich oczach przeważają całe tomy sławionych innych romantycznych utworów. Jest też w tej powiastce ślicznej wybornie „zachowany przepis Goethego: *Man erkennt den Meister an dem, was er verschweigt*. Artykuł w *Athenaeum* o XX. Trynitarzach „jest także jakby z serca mi wyjęty. Cieszyłem się tem wszystkiem „jak dziecko, i gdyby trochę bliżej był Gródek Kamieńca, byłbym „się wybrał do Gródka, żeby P. Józefa mego uściskać za te piękne utwory i ofiarować mu jakie tylko mam najpiękniejsze obrazki“.

A nie tylko ten jeden artykuł, ale w ogóle całe *Athenaeum* chwali Chołoniewski i zachęca przyjaciela do wytrwałości w przedsięwziętem dziele, wymawiając się, że sam nie może mu tyle dopomódz, ile serceby chciało:

„Cóż mam odpowiedzieć¹ na uprzejme i piękne uwagi kochanego P. Józefa o potrzebie pisania, o powodach, które niby „wytrąciły pióro z rąk moich? Oto, że niema innych prócz moich „dolegliwości nerwowych, a po części przytłumienia tej iskierki, „która nam siłą, mocą dobywa z serca uczucia, bez której nigdy „nie pojmovąłem, żeby się godziło martwem słowem drugim się „przykrzać, bo to robota, na którą nie tylko czasu i atlasu, ale „nawet prostego papieru szkoda. Potężnego ogniska burza nawet „nie rozwieje, lecz na świeczkę w niedobrej latarni, taką jak moja, „dość trochę wiatru, żeby ją przygasić. Może Bogu spodoba się „z miłosierdzia swego kiedyś udzielić świętego płomyka, więc się „po staremu weźmiemy do roboty. Dla tego piśmiennym i niepiśmiennym potrzebna nam rezygnacya, o której ze zbudowaniem „czytałem piękne myśli Pańskie, bo rezygnacya nic innego nie jest, „jeno cierpliwość miłości, a cóż być może na ziemi i w niebie szlachetniejszego, mocniejszego od miłości Bożej?... Cieszę się, że Pan Dobrodziej trwasz w przedsięwzięciu nieopuszczenia „*Athenaeum*. Nie mała Pańska zasługa w zwalczeniu tyle trudności

¹ 10 sierpnia 1844 r.

„z niem połączonych — wszakże największe nie są w publiczności,
„lecz w czasie, w którym żyjemy. Jestto epoka przeobrażenia
„*une époque de transition*. Co miesiąc niemal zmieniają się zdania,
„zasady, szkoły wszelkiego rodzaju, żądają więc czytelnicy, jeśli nie
„coraz innego głosu, to przynajmniej innego śpiewu, bo to ma do-
„wodzić *progres*, a ciągle ich opada *terror panicus* żeby nie ucho-
„dzić za retardatery. Najlepiej tego dowodzi obecne piśmien-
„nictwo Francyi i Niemiec, gdzie peryodyczne zbiory co chwila
„w inne przerzucają się barwy. Biegle i sumienne sterniki pism
„takowych tem tylko się ratują, iż językiem w modzie będącym
„przemawiają do świata i stają w obronie zdrowych, odwiecznych
„zasad w wszelkiej gałęzi wiedzy. Są to poczciwi, zręczni lekarze,
„*qui dorent la pillule au malade*, bo też rzeczywiście święta,
„odwieczna, prosta, szczerza prawda stała się nam bardziej niż
„kiedy niesmaczną, gorzką pigułką. Jakże jej nie pozłacać? Wszakże
„wyznać należy, że robota taka przechodzi siły jednego, choćby
„najgenialniejszego pisarza. Trzeba więc kolaboratorów nie tylko
„z talentem, lecz i z zasadami zgodnemi przynajmniej w kardyna-
„nych materyach dla ludzkości — a o drugich zdaje mi się je-
„szcze trudniej u nas jak o pierwszych. Trzeba nadto życia stale
„socyjalnego dla porozumienia się i stósowania do pewnej jedno-
„ści różnorodnych utworów — a my rozproszeni po wsiach, każdy
„sobie *solo* filozofuje, śpiewa, kwili lub krytykuje. Nie mówię już
„o innych, materyalnych zawodach — a że Pan Józef Dobr. dość
„pomyślnie ze wszystkimi walczy, dowodzi tego sześćoletnie życie
„*Athenaeum*, w którym rok jeden zaważy może 10 lat przyjaźniej-
„szej epoki. Nie trać więc, Panie mój, animuszu, z Bogiem i dla
„Boga pracuj dalej, polecaj swoją robotę Przenajświętszej Pannie,
„a wszystko dobre weźmie skutek.

W innym liście znów Chołoniewski pociesza przyjaciela i serce jego, a przez serce pośrednio i pióro do wyższych, chrześcijańskich ideałów kieruje¹. „Zmartwiłem się ostatnim kochanym listem Pańskim i zarazem pocieszony zostałem. Zmartwiłem się, że nie mogę z tak daleka jakiegokolwiek ulgi przynieść cierpieniom przyjaciela;

¹ Kamieniec 10 lutego 1845.

cieszyłem się otwartem i pobożnem sercem jego, które pewien jestem, że i z tego krzyża korzyść dla siebie zdobyć potrafi. Nieurodzaj i ta niespodziewana przeszkoda do podróży warszawskiej i ruina owczarni, nie są to fraszki w położeniu Pańskim, ale prawdziwie ciężkie kłopoty. Jednak nie należy pod nimi upadać, a lubo człowiek w podobnych razach nie tylko piśnie, ale częstokroć jak niedźwiedź w borze ryknąć musi, pamiętać jednak powinien, że w największych utrapieniach nie jest on sam, lecz z nim popołu Chrystus krzyż dźwiga i dodaje sił do walki, a dopuszcza także walki, ażeby dusza nasza poznała, jaki posiada kapitał rezygnacyi, wiary, męstwa duchowego i miłości Chrystusa, bo *in amore non vivitur sine dolore*, a jeśliby nawet bez tego kapitału się znalazła, to poznanie takowe zawsze byłoby nieskończenie korzystnem, bo przez nie zakupić można ową najdroższą perłę pokory, która zawsze chodzi w parze z miłością świętą¹.

Gdyby Kraszewski miał przez całe życie przyjaciela, któryby do niego tak po chrześcijańsku a serdecznie przemawiał, innemi może ścieżkami potoczyłoby się jego życie, innyby duch późniejszego pisma jego ożywał. „Trudno objąć dziś jeszcze ogrom poniesionej straty“, pisał Kraszewski w nekrologu Chołoniewskiego; jeśli względem kogo, to względem niego samego słowa sprawdziły się w całej pełni, w daleko szerszym zakresie, niż kreśląc je, mógł się dorozumiewać.

Jak wileńską, tak też śledził Chołoniewski z wielką uwagą warszawską i petersburską prasę peryodyczną; jak utworami Kraszewskiego, tak zajmował się pismami wszystkich wybitniejszych przedstawicieli współczesnej literatury. „*Biblioteka warszawska* i *Piel grzym*, pisał pod tą samą co powyżej datą, z dzielną wytrwałością pracują“. Swoją drogą, współpracownictwa do *Biblioteki* odmówił¹: „P. Aleksander Przeździecki wzywał mnie listem francuskim, ażebym mu przesłał artykuł do *Biblioteki Warszawskiej* i to je-
„szcze imieniem redakcyi; ale ja odpowiedziałem, że inwalid i nie-
„zdatny do takiej roboty, co nie jest wymówka, ale prawda. Py-
„tasz się Panie łaskawy, odpowiada w innym o rok wcześniejszym

¹ Do Kraszewskiego 8 lipca 1845.

liście¹, com porabiał temi czasy?... Nic osobliwego; cały ten „rok jednostajnie mnie upłynął w starym moim kącie. Pismo Boże, „breviaryz, Augustyn i Bernard św. orzeźwiały nieco moją ospa- „łość duchowną. Nowości literackie, które wpadały mi do ręki „i dorywczo tylko mogłem przebiegać, snuły mi się po głowie jak „cienie chińskie *in camera obscura*. Nie wina to tych pięknych „zabawek, lecz starego oka mego, dla którego już one straciły „swój powab. W *Bigosie hultajskim*² XIX wieku trudno mi odna- „wiać znajomość z starym jego kolegą XVIII wieku — z gry- „masem wolterowskim prócz dowcipu — z tą żyłką do paszkwilu, „która w niektórych tam obrazach przebija się. Mnie się bowiem „zdaje, że prawdziwy humor nie może być bez jakiejś iskierki „miłości bliźniego. Jeśli go chłoscze to dla tego, że kocha go- „dność człowieka i tuszy sobie, że do niej bodźcem dowcipu za- „cne umysły zachęci. Więc obok śmieszności błędu stawia zawsze „powaby szlachetnych charakterów. Bez tego pierwiastku miłości „najdowcipniejszy, lecz ujemny pogląd na towarzystwo ma coś „niewesołego w sobie, bo wyjawia w dostrzegaczu brak jednego „zmysłu — zmysłu piękności moralnej, a na mnie robi wrażenie „przyjemnego formalnego oblicza, w którym za przybliżeniem się „z żalem upatrujemy bielmo na oku. *Bigos* powstaje także na *Mie- „szaniny* Beyly, ale i to grzech przeciw czwartemu przykazaniu: „*honora patrem*, bo dzieci wojują z tatkiem własną jego bronią; „nakoniec te *infiniment petits* parafianszczyzny powiatowe i ledwie „mikroskopem dostrzeżone komerażyki, osobliwości, nie wiem, czy „są błogie dla beletrystyki krajowej — zresztą oddając wszelką „sprawiedliwość dobrym chęciom i talentowi autora *Bigosu*, *dubia* „te moje może zbyt surowe, poddaję pod biegły sąd Pański.

Czy Hrabia znasz, co sądzisz o Hołowińskiego *Dzieciątko Je- „zus*? pyta Kraszewski, który właśnie w tej chwili wygotował dla *Biblioteki Warszawskiej* recenzję głośnego wówczas poematu. Czy- „tałem od kartki do kartki, odpowiada Chołoniewski³ a ta odpowiedź

¹ Kamieniec 10 sierpnia 1844 r.

² *Bigos hultajski*, bzdurstwa obyczajowe, przez Izaśława Blepońskiego (Tytusa Szczeniowskiego). Tomów 3. W czasie, w którym Chołoniewski pisał list powyższy, pierwszy dopiero tom opuścił prasę.

³ Kamieniec 14 czerwca 1846.

jego dowodzi, że choć sam nie tęgi poeta, na poezyi dobrze się znał, trafnie w niej umiał szych od złota odróżnić. „Chcesz wiedzieć koniecznie, jakie to dzieło zrobiło wrażenie na mnie? Ponieważ śmiesznością byłoby z mojej strony dyplomatyzować w tej mierze, odpowiadam więc szczerze i bez ogródki, że w tym ostatnim utworze, jak w *Legendach*, jak w innych tego rodzaju pismach tegoż autora, znalazłem mniej więcej gładkich rymów, mniej więcej dobranych końcówek, wiele usilności zbierania na kupę i sklejaną potrzebnych materyałów, być może najdokładniejsze opisy i obrazki, niezawodnie najlepsze poetyckie intencje i reminiscencje — wszystko co chcecie — prócz prawdziwej poezji, co nie z końcówek wyrasta, ale *ruit profundo ore*, jak śpiewa stary Horacy, a cóż dopiero mówić o poezji biblijnej takiej, jaką ja przynajmniej pojąć umiem. Ot co jest, powtarzam z gwardyanem Bernardyńskim Chodźki — ależ to przedmiot *Dzieciątka Jezus* jest, podług mnie, zwłaszcza w naszej nielegendowej, nie naiwnej, nie ascetycznej epoce przedsięwzięciem olbrzymiem, obfitszem w ciernie od najgórniejszej epopei bohaterskiej. Możeć to się wydać *durus sermo* i zapewne wymagający dowodów krytycznych, lecz tych odemnie jako nie literata *ex professo* zapewne nie będziesz wymagał, laskawy Przyjacielu, bo to rzecz wasza nie moja — prędzej ustnie na coś się zdobędę, jeśli za naszem, da Bóg, widzeniem się, zechcesz już koniecznie brać mnie na egzamin w tej kategorii. *Przenajświętszą Rodzinę* Boh. Zaleskiego, pomimo usterków nieteologa, potrafię z wielką ochotą każdego roku odczytać, boć *spiritum Phoebus illi, Phoebus artem carminis nomenque dedit poetae*, lecz jeśliby mię jaki nowy Dionizyusz Syrakuzkański skazał na powtórne słuchanie *ab ovo Dzieciątka*, wnet bym się z Filoksenem ozwał: *reducite me latomias*. Zresztą uwagi, które mi z owej recenzji przyłączasz, ściągają się właśnie do tych uchybień, które sam autor *Dzieciątka* w surowej swej krytyce przed kilku laty wyrzucał Zaleskiemu; szkoda tylko, że lekcyca dana przez krytyka nie teologowi, samemu krytykowi teologowi tak mało była korzystną¹.

¹ Daleko wyżej niż poetę cenil ks. Stanisław w Hołowińskim człowieka i kapłana, a choć za ideał doskonałości go nie uważał, bronił jednak energicznie przeciw plotkom i „różnym zdaniom ludzkim na niczem nie opartym“.

Silniejsze jeszcze i istotnie o wiele bardziej zasłużone cieżgi dostają się niemiecko-polskim filozofom, którzy panteistyczne marzenia berlińskich profesorów gwałtem w dziwaczny jakiś polski i wrzekomo katolicki strój chcieli ubrać. „Miły Boże! w jakież to ręce biedny nasz język się dostał!¹ P. Trętowski z całą swoją mniemaną głębokością *à la Hegel*, w stylu wydaje mi się równie napuszony, ołowiany (*plumbeus*) i trywialny, jak oratory nasze za Sasów w chryjach swoich podczas aktów weselnych“. „Pisma jego i innych poznańskich absolutnych marzycieli powiększają istotnie nasz babiloński gwar i odmęt“ a nadmiar „język² i duch polski na tortury neologizmów szwabskich wzięty. Cóżby też ks. Piotr Skarga powiedział, żeby mu Trętowski zamiast *dilemma* podał *dwójgońca! O! poveri orecchi nostri!*³ ...

Do „babilońskiego gwaru i odmętu“ w literaturze, do prawdziwego „pomieszania“ pojąć, jak złośliwie a powszechnie wówczas się wyrażono, przyczynił się niemało autor *Mieszanin*. Choloniewski powinowatego bronić nie myślał; uznając w Rzewuskim talent niezwykły, tembardziej żałował, że tak piękny talent zamiast pomagać, szkodził dobrej sprawie, dla której nieraz kto wie, czy nie lepiej byłoby mieć w nim jawnego wroga, niż zbyt gorliwego, skrajnym poglądom hołdującego sprzymierzeńca. Już w przypiskach

W *Opisie podróży kijowskiej* z r. 1840, tak w tym względzie trafnie się wyraża: „Niektórzy surowi Arystarchowie pragną w ks. Hołowińskim wyższej doskonałości w swym zawodzie. Mnie zaś zdaje się, że to jest z ich strony brakiem wyrozumiałości, albowiem niedostatki tego rodzaju są skutkiem epoki i systematu edukacji duchownej wileńskiej, w którym ks. Hołowiński się kształcił; piękne zaś jego przymioty, czystość obyczajów, czułość nieudana i prawosć serca, chęć przedstawiania z ludźmi szlachetnie postępującymi, roztropność niepospolita w tak młodym wieku przy niewielkiej sposobności obeznania się ze stosunkami wyższego świata, pewien instynkt moralny w bezstronnym ocenianiu takich nawet ludzi, którzy blaskiem talentów łącno omamić mogą umysł bystry i chciwy pocziwej sławy literackiej: wszystko to winien ks. Hołowiński szczodrocie Opatrzności, która go dotąd w rozmaitych trudnych położeniach swemi opiekuniami skrzydły osłaniała. Jest w twarzy tego młodego, utalentowanego człowieka pewien wyraz przyjaznego mu szczęścia, to coś, co chrześcijańskie poprostu zowią darem Bożym, a przysłowie gminne dobrą gwiazdą, pod którą kto się rodzi“.

¹ Kamieniec 18 stycznia 1845 r.

² Kamieniec 10 lutego 1845 r.

do *Listopada* odezwaly się fałszywe dźwięki. „Czytałem z przykrością przypisy *Listopada*, pisał zainterpelowany przez Kraszewskiego ks. Stanisław¹, i podzielał zupełnie w tej mierze zdanie Pańskie“. Ale Kraszewski — i nie bez słuszności — nie na same wyłącznie przypiski do *Listopada* się nie godził. Rzewuski, chcąc wystawić, w jaki sposób szlachcic polski względem religii powinien się zachowywać, jaką rolę religia i nakazane lub doradzone przez nią praktyki w życiu jego mają odgrywać, nakreślił obraz generała Kunickiego, „pierwotworu prawdziwego szlachcica polskiego, dla którego religia była obyczajem, nałogiem, ale nie nauką“. Kunicki odpustów nie opuszczał, ale nie miał wyobrażenia, czem właściwie jest odpust; istotę nabożeństwa zasadzał na porządnem zmęczeniu się przy odmawianiu pacierzów, godzinek i brewiarza; uczęszczał na kazania dla tego, że go każde śmiertelnie nudziło; o naukę teologiczną (właściwiej mówiąc „katechizmową“) nie dbał, czując, że świecki nie powinien ani tyle wiedzieć, ani tak się doskonale modlić, jak ksiądz lub zakonnik; natomiast księżom sypał hojne jałmużny, soboty pościł i był nierównie spokojniejszy na sumieniu, niż ksiądz². — „Czyż istotnie, interpelował powtórnie Kraszewski doświadczonego przyjaciela³, doktryna p. generała Kunickiego o nabożeństwie jest dobra? Zmiłuj się Hrabio, chciej moje sumienie uspokoić. Prawdali to, że rozumowanie wszelkie nic nie dowodzi, krom zdolności rozumującego? Prawdali to, że najlepsze nabożeństwo świeckich jest, gdy się niem nudzą, jak p. Kunicki? Prawda, że nie powinniśmy my świeccy starać się o głęboką naukę religijną, bo ta jest szkodliwą?... Chciałbym pozostać przy wierze mojej, w której wzrosłem i która jest droższą nad życie, lecz gdy ją tak ludzie wyszpecać zaczną, ktoś z nas heretykiem musi zostać. Kto? Nie wiem. Zmiłuj się Hrabio, racz odczytać rzecz o nabożeństwie Kunickiego i uspokoić mię w tej mierze“.

Choloniewski pomyślał słusznie, że wąpliwości i trudności,

¹ Janów 6 października 1845 r.

² Por. *Listopad*. Wilno 1848. Str. 263 np.

³ Horodec 15 grudnia 1845. List zamieszczony w *Niwie* z 1 kwietnia 1888 r.

które nasunęły się Kraszewskiemu, a które właśnie popłynęły już nie tylko z braku głębszej nauki religijnej, ale z nieznamomości fundamentalnych jej zasad, — równie łatwo wielu innym nasunąć się mogą; stąd do najbliższego listu dołączył obszernie *annexa*, zawierające uwagi nad pobożnością p. Kunickiego. „Dotykają one¹, jeżeli się nie mylę, wszystkich zadanych mi przez Pana Józefa Dobrodzieja pytań w tej materii. Są zatem dalszym ciągiem naszej korespondencji². Forma ta zdała mi się najprzydatniejszą do mego zamiaru, ponieważ starałem się przy tej zwięzłości umieścić niektóre w naszych czasach nader potrzebne przestrogi kapłańskie względem modlitwy, wiary i jej stosunku z nauką i rozumem. Sądzę to nie od rzeczy, ażeby te uwagi, jako odpowiedź księdza na przesłane mu pytania do druku sobie poszły — boć ze wszystkiego należy korzystać dla oswojenia naszej publiczności z niektórymi, bardzo jej pożytecznymi prawdami“.

Dołączony *Komentarz na dewocyę p. Kunickiego* pojawił się niebawem w *Bibliotece Warszawskiej*³ jako otwarty list do Kraszewskiego, podpisany — stosownie do życzenia piszącego — „poprostu i jak to mówią, całą gębą: ks. St. Chołoniewski“. Kraszewski nie mógł się dość „naradować, nasycić, nacieszyć tym drogim upominkiem“. „Zachowam go, pisał⁴, jako jedną z najpiękniejszych, najsilniej chrześcijańskim prawdziwie duchem natchnionych nauk... Czemuż nie piszą u nas tak wszyscy! Czemu zwłaszcza tego ducha, tej łagodności, słodczy, tego świętego spokoju anielskiej duszy nie ma nikt prócz Ciebie? Czemu każdy z nich, pisząc o rozumie i filozofii, pisze z żółcią; Ty jeden, Panie, ze świętem, ale pełnym ufności w Boga i świętość naszej wiary przekonaniem?“.

Komentarz, który wywołał tak gorące pochwały z jednej strony, wywołać musiał i istotnie wywołał silne rozdrażnienie z drugiej, a owocem tego rozdrażnienia była cięta, miejscami dowcipna,

¹ Kamieniec 26 stycznia 1846.

² Mowa o liście ogłoszonym w *Athenaeum* r. 1843.

³ *Biblioteka Warszawska* r. 1846. Zeszyt LXVI.

⁴ Łuck 3 lutego 1846. *Niwa* z 1 kwietnia 1888.

w ogóle raczej namiętna niż przekonywująca *Odpowiedź*¹, umieszczona przez Rzewuskiego w *Pielgrzymie*. Budująca to rzecz, gniewał się i szydził Rzewuski, że literat się do teologa po sąd udał, aby dowiedzieć się, czy pobożność jednej z osób występujących w *Listopadzie* jest dobrą, lub złą. Kunicki nudził się na modlitwie; czyż to jego wina? Wierzę, że dusze tak wysokie jak ks. Chołoniewski ze wszech miar godne są wszelkich łask i pociech; ale nas biednych grzeszników nie godzi się przyprowadzać do rozpacz. Nie potępiam rozumu, ale zgodzić mi się trudno z nowoczesnymi objaśnierzami wiary, którzy, zamiast jednego podanego przez Kościół, w dwa zawsze artykuły każą nam wierzyć, domagając się aktu wiary w sam artykuł i w to, że ten artykuł przez nich najgruntowniej jest wyjaśniony. Ks. Chołoniewski miłością chrześcijańską powodując się, nie potępia mych intencji, ale obwinia, że nie umiałem dobrze się wyrazić. *Mea culpa!* Tylko czas użyty na wysłedenie wyrażen nie dość ściśle określonych pisarza słabego, ale katolickiego, mógłby być lepiej użytym przeciw pisarzom słynniejszym, a wojującym z Kościołem.

Chołoniewski skruszył kopię o fałszywie przedstawioną pobożność Kunickiego, uważając, że do walki tej, nie jako literat, ale jako ksiądz powinien był wystąpić. Wypowiedział jasno swe zdanie, pragnąc zadość uczynić obowiązkowi; spełniwszy go, nie dał się mimo próśb i zachęt, wyciągnąć na pole „szermierstwa beletrystycznego“. „Literaturę, estetykę, tłumaczył swe zapatrywanie², i wiele takowych przedmiotów umiejętności ludzkiej, *Deus tradidit disputationi eorum*. Skoro nie przeciwią się nauce Kościoła, księdzu, zdaje mi się, nie należy wdawać się w te pojedyńki literackie, bo *in dubiis libertas*, bo jeśli komu, to słudze Chrystusowemu należy szanować prawą swobodę ducha ludzkiego, gdyż i św. Paweł ostrzega go, *ubi autem Spiritus Domini, ibi libertas*, i o Bogu mówi Salomon: *Tu autem dominator virtutis cum tranquillitate iudicas et cum magna reverentia disponis*

¹ Dokładny tytuł brzmi: „Kilka słów odpowiedzi na List J. W. ks. Chołoniewskiego do p. Kraszewskiego pisany, a przez tegoż ogłoszony w zeszytcie LXVI *Biblioteki Warszawskiej*“. (*Pielgrzym* t. III r. 1846. Str. 189 np.).

² Do Kraszewskiego 6 lutego 1846.

nos. Kiedy więc sam Pan i Stwórca tak folguje swemu biednemu stworzeniu w rzeczach nietyczących się zbawienia i wieczności, jakże tam nędznemu służce jego wrywać się i burmistrzować, kiedy go sobie nikt na burmistrza nie obrał. Dopiero kiedy w literackim lub jakimkolwiek innym przedmiocie nauka Boga i Kościoła Jego jest opatrnie wystawiona — wtedy ksiądz musi zabrać głos i w imieniu nie szkoły jakiejś filozoficznej lub literackiej przemawiać, lecz w imieniu Ukrzyżowanego dla mądrych i prostaczków; w takiej to myśli tylko obrałem sobie za epigraf: *quoniam non cognovi litteraturam Domine, memorabor justitiae tuae solius*“.

Publicznie chciał Chołoniewski przemawiać tylko jako ksiądz; w poufnej korespondencyi, żali się na Beyłę jako ksiądz i literat: „Umiarkowanie i skromność przy powrocie do twarzy wszelkiemu literatowi¹“, pisał w tym względzie do Kraszewskiego, zgażając się z nim, że niestety!² petersburski świecznik, gorejąc zbyt mocno, począł płynąć; strzelił płomieniem wysoko, cieszył się nim, i duma go gubi“. Gdybyż przynajmniej sam po stromej pochylności się staczając innych za sobą nie ciągnął; prorokując zastoje literatury, sam do spowodowania tego zastoju, do zniechęcenia równie piszących, jak czytających najwięcej się nie przyczynił! „Co się tyczy stagnacyi w tutejszem piśmiennictwie³, mnie się widzi, że łącznie było Beyle prorokować o tem, co własne Beyły *et Compagnie* koncepta sprawić niezawodnie miały. Czytelnicy słusznie stali się podejrzliwymi względem innych książek, albowiem firma dawniejszej kompanii literackiej już nie popłatna, a nowa dotąd nie ukazuje się. Nikt, ile mi wiadomo, wyraźnie, gruntownie nie wystąpił na plac z swoim odmiennem przekonaniem literackim, bo nawet ci, co urywkowo powstawali na *Mieszaniny*, puszczały sami na świat utwory w duchu Beyłowskim... Póki rzeczy literackie zostawać będą *in hoc circulo vitioso*, trudno -- zdaje mi się -- o kredyt dla naszego piśmiennictwa“.

¹ Kamieniec, 30 listopada 1845.

² *Kraszewski do Chołoniewskiego*. Łuck 3 lutego 1846 r.

³ Do *Kraszewskiego*. Janów, 6 października 1845.

Poważne ascetyczne czy literackie prace przeplatał czasami Choloniewski dla rozrywki i wytchnienia bawieniem się w poetę. Wielkiej wartości pozostałe wiersze a raczej wierszyki nie mają; wielkiej a nawet jakiejś wartości sam twórca nigdy do nich nie przywiązywał i z wyjątkiem paru i to z obcych języków przełożonych, bynajmniej ich nie przeznaczał do druku. W ogóle są to pobożne, smętne rozmyślenia, pełne szczerej miłości Boga, gorącego przywiązania do ojczyznoznego kraju; rozmyślenia rzeczywiście rzeczowe i pociągające, ale często nie dla, lecz raczej pomimo rytmicznych i rytmicznych więzów. Taką np. rzewną, czuć że ze serca płynącą i w chwili prawdziwego natchnienia spisana jest „Pieśń moja wśród burzy świata“¹.

Wszędzie śpiew słyszę na puszczy świata,
Brzęk złotych, wesółych lutni —
Każdy swój wieniec z róży uplata,
A wszyscy z różami smutni . . .

Dziwo! każdy z nich perłę dobywa,
Nadzieją złotą nawleka,
Nić złota pęka — perła lżą splywa
I gorzka w serce przecieka.

„Na morze płynicie! na morze chwały!

„Lecz dumy napnijcie żagle,

„Z pogardą patrzcie na wściekle wały

„I na dno rzućcie się nagle.

„Bo gdzie najsilniej wre powódź sroga,

„Koncha misterna was czeka,

„A w niej prawdziwa, jasna i droga

„Perła zacności człowieka“

Tak zawołali i płyną śmieje,

Płyną za wiatrem złej chuci,

Burza im groby z koralu ściele,

Trupy na piasek wyrzuci.

O czemuż, żali się poeta, nie popatrzyli, nie wyciągnęli rąk do Jezusa, chodzącego po falach; czemu marą, przesądem ogłosili pokornego Boga?

Widziałem tylko w niewdzięcznych dłoni
Konchy nadziei strzaskane;
Widziałem perły martwe u skroni,
Wszystkie z łez gorzkich ulane.

¹ *Pisma pośmiertne* t. II. „Wiersze“ str. 129—186.

Po burzy słodkie milczą już lutnie,
Co szczęsnem zwały złe plemię;
Przeszłości morze wciąż jęczy smutnie
Drzemiącą ostrzega ziemię:

 Że w szczęściu tylko ten lud zakwita,
 Co w Tobie zaufał Boże!
 Co w Twojem sercu jak w księdze czyta,
 Że wszystko miłość Twa może.

Kiedyindziej klęka poeta przed obrazem Maryi i opisuje śmierć Jej błogosławioną; klęka przed ukrzyżowanym „bolejącym Zbawicielem“ i woła z zapalem, który dawnych męczenników tworzył i ożywia¹:

 Ciebie o Zbawco wśród mąk Twych nie poznał,
 Ani ich mocy na sobie nie doznał
 Ten, co się lęka za prawdę umierać.

To znów na granicy starej Polski wita ze łzami kraj swój rodzinny i cierniowe jego drogi, co do raju wiodą²; wita ze łzami wyciśnionemi odmiennego rodzaju boleścią stolicę północną³ „stolicę wiecznej mustry, parad i koszarów“.

 Lecz na polskim kościele krzyż łaciński błysnął,
 Od blasku jego niebo północne pobladło —
 I poznałem, od czego los polski zawisnął —
 I wszystko już w tym krzyżu serce me odgadło.

We wszystkim: w szalejących zimowych zamieciach i w zachwycających pięknościach wiosny, widzi Chołoniewski Stwórcę; podziwia Jego siłę i majestat, miłosierdziu się dziwi, a dziękując za wszystkie dary hojnej ręki Bożej wyznaje i oplakuje własną swą nędzę. Wiosna: ⁴

 Wszystkie przybrała miłości wdzięki,
 Ziemię okryła nadziei szatą:
 Kwiat pełną dłonią sypnęła,
 Wszystkiemi farby błysnęła.

 O jakże słodkie jej panowanie!
 Wdzięczniejsze Twoje, Chryste mój Panie!...
 Pięknie ci ziemio w kwiecistem wianie.
 Milszy Twój wieniec cierniowy, Panie!...

¹ „Wiersz do bolejącego Zbawiciela“.

² „Na granicy starej Polski“ 4 sierpnia 1840.

³ „Powitanie stolicy północnej“.

⁴ „Moja piosieczka czasu wiosny“.

Cieszcie się wszyscy — mnie łyzy przystoją
W wiosnie i lecie, jesieni, zimie,
Bom w wszystkie pory krnąbrnością moją
Panie! Twe święte znieważyl imię.

Cała literacka działalność naszego autora, wszystkie jego pisma w rymowaną czy nie rymowaną formę ujęte, w tonie poważnych rozpraw, allegorycznych powieści lub większych opowiadań skreślone, choć tak różne i treścią i zewnętrzną szatą, jedną mają myśl przewodnią, są zawsze wiernym spełnieniem programu, który sam Chołoniewski niejednokrotnie, a zwłaszcza w wyżej zacytowanym liście do Kraszewskiego postawił dla każdego księdza-literata. Jak słowem i przykładem, tak i piórem walczył on przede wszystkim za sprawę Bożą; znajomość i miłość wiary starał się rozszerzać, a zostawiając najrozleglejszą swobodę zdania, nie mieszając się nawet do wydawania sądów o kwestiach nie odnoszących się do wiary i zbawienia, wtedy „dopiero, kiedy w literackim lub jakimkolwiek innym przedmiocie nauka Boga i Kościoła „Jego opatrnie była wystawioną“, zabierał głos, wyjaśniał nie w „imieniu jakiejś filozoficznej lub literackiej szkoły“, ale w imieniu prawdy i Ukrzyżowanego, katolicką naukę, a samo to wyjaśnienie najlepszym było rozwiązaniem ze złego zazwyczaj zrozumienia rzeczy, z pomieszania pojęć, wynikłych trudności i zarzutów. W ten sposób literackie prace „Apostoła Podola“ były tylko dalszym ogniwem apostołskiej jego działalności; życiem, słowem i piśmem, jak w wierszu do siostry Cecylii się wyraził¹, „jedną zawsze piosnkę nucił, co mu w sercu grała cudnie“, pieśń miłości i chwały Bożej, tej przewodniczki czynów i uczuć, co:

Choć w kraj daleki myśli
Jak gołębie trwożne lecą:
J e d n a z góry lot im kreśli,
K o ł o j e d n e j wszystkie świecą.

¹ „Do Cecylii, siostry mojej“. *Pisma pośmiertne* t. II, str. 155

X.

Ostatnie lata.

Przed wyjazdem do Rzymu wiódł Chołoniewski przez całe nieraz miesiące życie prawdziwie koczownicze: to nadpsute zdrowie, to ważne interesa, to nadzieja świetnej karyery pędziły go na wschód i zachód, do Paryża i Petersburga, do Wiednia i Rygi; po powrocie z miasta wiecznego, mając już jako ksiądz i pisarz jasno przed sobą wytkniętą pracę, rzadko kiedy nawet do spokrewnionych domów z Kamieńca czy z Janowa się wychylał, a dzieląc czas między kapłańskie i literackie zajęcia, znajdując najmiłsze wytchnienie w bliskim kole krewnych i przyjaciół, wszelkie nasuwające się myśli o zagranicznych podróżach i kuracjach oddalał jako pokusy. Niedobre jednak zdrowie, zawsze nie zbyt silne, klimatem rzymskim bardziej jeszcze podkopane, gwałtem domagało się radykalniejszej kuracji. Już w pierwszych miesiącach 1834 r., a więc w kilkanaście miesięcy po powrocie na Podole, skarżył się szwagrowi, który dopiero co z Kurska powrócił¹: „Siedzieć długo

¹ List cytowany przez Dr. Antoniego J. w *J. I. Kraszewski i Ks. St. Chołoniewski* (Przew. nauk. i lit. T. VI. Str. 611).

„nie mogę dla duszności, ale tylko chodzić, albo leżeć; pisać, czytać i pracować bardzo ciężko mi przychodzi“. Lekarze radzili kąpiele morskie. Może się bez kąpieli obejdzie, wmawiał Chołoniewski w siebie i w innych, ale ostatecznie widząc, że mimo chwilowych przerw i złudnych polepszeń, choroba raczej rosła niż ustępowała, poszedł za głosem rozsądku i radami przyjaciół i późną wiosną 1836 r. w towarzystwie całej rodziny Grocholskich wyjechał do Odessy.

Dawni petersburscy przyjaciele i znajomi, między innymi miejscowy generał-gubernator Woroncow, ks. Aleksander Gallicyn, spowinowaceni z Chołoniewskimi Naryszkinowie, serdecznie powitali miłego gościa. Będąc w Odessie zrobić koniecznie należy wycieczkę w głąb Krymu — doradzali miejscowi przyjaciele; radę tę przyjęto ochoczo, i 28 lipca „wielką bandą, jak notuje nasz podróżnik¹, wsiadamy na statek parowy, wyladowany kuferkami, potrzebami i niepotrzebnymi rzeczami naszymi. Karawana nasza składa się z dziesięciu osób, pięciu służących i pięciu źle usłużonych“. W Jalcie czekał na podróżnych poprzednio uwiadomiony Graf Woroncow i obsypał ich grzecznościami: sam najdokładniej przepisał dalszą marszrutę, pożyczył własnego powozu, męskich i damskich siodel; dodał dla bezpieczeństwa i wygody obznajomionego z okolicą masztalerza i eskortę złożoną z podoficera, służącego zarazem za tłumacza i czterech pieszych Tatarów. Otoczenie to robiło na mieszkańców niemałe wrażenie; rozpowiadano, że jakaś książęca rodzina *incognito* podróżuje; w Bujuk-Juzenbash, małe tatarskie miasteczko całe się poruszyło na widok wysokich gości, a *Gołowa* wyjechał nawet naprzeciw nich z licznym orszakiem Tatarów. Mniej hucznie, ale zawsze jednak „po książęcemu“ przyjęto protegowanych generał-gubernatora w Bakczyseraju. Bogaty Tatarzyn, były rosyjski gwardzista wydał zaimprovizowaną ucztę, po której nastąpiły przy odgłosie jednej muzyki dwa odrębne bale: jeden w haremie dla kobiet, drugi dla mężczyzn na podwórzu haremum. Na noc tylko zatrzymawszy się w Sebastopolu, turyści nasi zwiedzili szczegółowo wspaniałą okręt wojenny *Warszawa*, poczem

¹ *Dzienniczek podróży w głąb Krymu*. Lakoniczne te zapiski od ręki zajmują jednak półtrzecia arkusika dość bitego pisma.

śladami Mickiewicza dziwili się: *Aluscie w dzień* i *Aluscie w nocy*, słuchali morskich szturmów, poili się muzyką kwiatów, i na starych wieżycach opustoszałych zamków szukali herbów śladu, imion bohaterów.

Kiedy Chołoniewski po powrocie do Jałty z zachwytem opowiadał w licznych towarzystwach rosyjskiej arystokracji o widzianych cudach natury, jedna z przytomnych pań — zdaje się, stara hr. Woroncowa — zupełnie na seryo namawiać go poczęła do stałego osiedlenia się w Krymie. „A co ja bym tu robił? zapytał zdziwiony ksiądz. „Jakto, cobyś robił; czyż w Odessie niema dość „katolików; czyż rozsiane po Krymie katolickie kolonie nie potrzebują duchownej opieki?“ O prawdziwości tych słów, o niezbędnej potrzebie jak najprędszego zaradzenia duchownym potrzebom katolików w tak zwanej naówczas powszechnie „Nowej Rosyi“ przekonywał się nasz podróżnik na każdym kroku. Choć przyjechał nie dla pracy, ale dla odpoczynku, powiedział w Odessie parę francuskich z wielką starannością wypracowanych kazań, na które zbierała się cała miejscowa arystokracja, ale rzecz prosta, wrażenie kilku temi kazaniem i to na pewne tylko sfery wywarło było kroplą wody tam, gdzie całej rzeki było potrzeba. Jak, jeśli już nie rzekę, to strumyk przynajmniej sprowadzić; jak rozwinąć moralne, religijne życie w tak świetnie pod względem materyalnym rozwijających się nowo-rosyjskich koloniach? — oto pytanie, nad którym Chołoniewski nie sam tylko przemyślał, ale nad którym zastanawiał się zwłaszcza w długich, poufnych rozmowach z zaprzyjaźnionym krymskim wielkorszadzą. Woroncowa zgadzał się w głównych zasadach z poglądami swego gościa; rozumiał, że najgorszymi obywatelami są ludzie nie mający i nie wykonywujący przepisów żadnej religii, i dla tego zwrócił się do Chołoniewskiego z prośbą, aby mu podał na piśmie wyczerpujący memoriał o potrzebach Kościoła katolickiego w koloniach krymskich, obiecując ze swej strony szczere zajęcie się i poparcie tej sprawy. Ks. Stanisław przyjął naturalnie oburącz uczynioną sobie propozycję; bez zwłoki jeszcze w czasie krymskiej podróży zabrał się do pracy, wykończył ją i poprawił w Janowie, wedle wskazówek otrzymanych od administratora parafii odesskiej, kanonika Muśnickiego, i odczytawszy ostatecznie po francusku zredagowany, kilkakrotnie poprawiany me-

moryał¹ kilku księżom i znajomym, wyprawił go w dzień Trzech Króli 1837 r. w imię Boże do Odessy.

W prywatnym liście do memoryału dołączonym Chołoniewski przeproszał za długość swego pisma; delikatnie wspominał o możliwych trudnościach, o trapiących obawach, „które wszystkie jednak ustąpić musiały przed europejską sławą uprzejmości i wzniosłego charakteru W. Ekscelencyi. Zresztą czarna ma sutanna niechaj mi służy za usprawiedliwienie i wymówkę. Spoglądając na nią, wzniecałem w sobie ufność, że W. E. przebaczyć zechcesz pewne nawet natręctwo niezgrabnego sługi, z miłości dla Boskiego Pana, w którego sprawie występuje“.

Memoryał zaopatrzony w *motto* wyjęte z Pisma św.: *Jest czas milczenia i czas mówienia*² rozpoczyna się od nakreślenia ogólnego obrazu wyjątkowych korzyści i ułatwień, które cała Rosya, ale w szczególności południowe jej prowincye nastęrczają do przeprowadzenia systematycznej kolonizacji tych bogato od natury uposażonych obszarów. Rząd bez najmniejszego wątpienia rozumie dobrze, jakie skarby posiada, choć skarby te w znacznej części jeszcze zakopane: świadkiem tego zrozumienia rzeczy tak niezmiernie szybkie „zaimprovizowanie“ Odessy, tak stosunkowo licznie po całym Krymie rozsiane niemieckie kolonije, które osiedliły się tutaj zwabione w równej mierze bogactwem ziemi, co i jawną zachętą i szczerze udzielaną pomocą rządową. Każdy dobrze myślący radby — rzecz prosta — przyczynić się, w miarę swych sił i zdolności, do rozwoju tak pięknie rozpoczętego dzieła; do tego też celu służyć mają następane uwagi. Jako mieszkaniec cesarstwa rosyjskiego pragnałem uwagami temi zadośćuczynić chrześcijańskiemu obowiązkowi, nakazującemu uczynną miłość dla społeczeństwa, którego jest ktoś członkiem; jako katolik miałem przedewszystkiem na oku potrzeby mych współwyznawców.

Po krótkim tym wstępie *ad captandam benevolentiam* dzieli autor memoryału swą pracę na dwie główne części; w pierwszej

¹ *Considérations sur la prospérité morale des Colonies de la N. Russie*. W papierach po Chołoniewskim znajdujemy aż cztery odrębne, nader starannie dokonane kopije tego memoryału.

² Ekklez. III. 7.

wylicza główne warunki, mogące zapewnić koloniom moralny, pomyślny rozwój i najważniejsze w tym kierunku przeszkody; w drugiej praktycznie zastanawia się, w jaki sposób zadosyć uczynić duchownym potrzebom katolickich kolonij w Nowej Rosyi. Rząd rosyjski rozumiał zawsze doskonale, że nie samym chlebem żyje człowiek i dlatego, jak za Piotra W., tak za następnych i za ostatnich cesarzów: Pawła i Aleksandra nie mało dbał o to, aby chrześcijańskim kolonistom zapewnić wolność i możność wyznawania wiary, w której się zrodzili, a która tem samem, że w sercu ich i umyśle głębokie zapuściła korzenie, najsilniejszy wpływ wywierać jest w stanie na moralne ich zdrowie. Każda kolonia — zdaniem najznakomitszych rosyjskich mężów stanu — trzymać się powinna odziedziczonego od przodków wyznania; każda nowość w tej mierze stać się musi źródłem niekończących się niesnasek i kłótni, które znowu najfatalniej oddziałują na moralną jak i na materyalną pomyślność i rozwój kolonij. Niesnaski te, spory powstałe już nie tylko w miasteczkach i wioskach, ale i w pojedynczych rodzinach, nie wychodzą na korzyść żadnego chrześcijańskiego wyznania, przyczyniają się tylko jedynie do powiększenia obojętności dla religii w ogóle, do wygładzenia z serc i pamięci wszelkiej normy chrześcijańskiej moralności, której rząd powagą swą bronić jest obowiązany, i niewątpliwie bronić i strzedz pragnie. Na ogólne te zasady zgadzał się i zgadza rząd cesarski, czego najlepszym dowodem opieka, jakiej nie odmawia różnym wyznaniom chrześcijańskim; nie odmówi więc tej opieki i katolickim koloniom w Nowej Rosyi. Jakież są duchowne potrzeby tych kolonij liczących około 21.000 katolików stale w nich osiadłych; jak potrzebom tym zapobiedzby można?

Przedewszystkiem uderza rażąco brak katolickich księży. Na niezmiernej przestrzeni obejmującej trzy wielkie gubernie: Chersońską, Jekaterinosławską i Krymską rozsianych jest 15 parafij, zarządzanych przez 20 księży, z których pięciu przebywa w Odessie. Kilku z tych księży nie włada dostatecznie ani rosyjskim, ani niemieckim językiem. Każdy ma prócz innych zajęć poruczoną sobie dyrekcję elementarnej szkoły, odległej od kościoła nieraz o wiorst pięćdziesiąt; każdy niemal ma do walczenia z większą lub mniejszą materyalną nędzą. Jeżeli gdzie, to w miejscach, w których katolicy

znajdują się w mniejszości, otoczeni przez nader różnorodne, często niechętne żywioły, duszpasterze ich odznaczać się muszą, jeżeli należy odpowiedzieć mają swemu urzędowi, równie budującym życiem, jak wszechstronna, a głęboką nauką. Czy sądzić można, że pograniczne trzy dyecezye takich właśnie kapłanów w ogóle do kolonij krymskich wysyłają? Nie ubliżając bynajmniej powadze biskupów, nie omylimy się twierdząc, że wołają oni i starają się zachować gorliwszych i uczeńszych księży dla własnych dyecezyj; kogo radzi się pozbyć, kto nie zbyt lubi pracą się obciążać, a tem samem, jak często się dzieje, do podróży i zmiany miejsca okazuje się skłonniejszym, temu ofiarują misye krymskie. Pograniczne dyecezye na odjazd takich księży się nie skarżą; inna rzecz, czy katolicy krymscy cieszą się z ich przyjazdu.

Jakże temu złemu zaradzić; jak zapewnić Nowej Rosyi wzorowych a uczonych katolickich księży, którzy byliby w stanie godnie odpowiedzieć wszystkim słusznym wymaganiom rządu i mieszkańców: katolików i akatolików. Jedynym radykalnym środkiem byłoby założenie w Krymie, najodpowiedniej w Odessie, katolickiego seminaryum na 24 kleryków¹; seminaryum mającego na celu wychowanie i wykształcenie przyszłych krymskich proboszczów, znających zwyczaje i obyczaje swych parafian, mogących się z nimi bez trudności rozmówić w ojczystym ich języku. Naturalnie, seminaryum to, jeżeli przynieść ma pożądane owoce, zależeć będzie musiało we wszystkich szczegółach od wyższej kościelnej władzy; dlatego dla ukoronowania całego tego dzieła, należałoby koniecznie erygować w Odessie katolickie biskupstwo. Odpowiednich funduszów dla uposażenia seminaryum, biskupa i kapituły dostarczyłby mogły bądź pojezuickie majątki, bądź bezpośrednio szczerdność rządu, troskliwego o moralne dobro swych poddanych...

Oto w głównych zarysach treść ważnego tego, z niemałym staraniem i znajomością rzeczy zredagowanego memoriału. Na Wo-

¹ Wedle planu załączonego do memoriału, seminaryum zostawać miało pod zarządem rektora i prefekta; czterech profesorów miało zająć katedry: dogmatyki, prawa kościelnego, historii kościelnej i liturgii, Pisma św.; wreszcie osobny nauczyciel, niekoniecznie ksiądz, uczyć miał praktycznie języków: rosyjskiego, niemieckiego, włoskiego i polskiego.

roncowie, korzystnie zresztą z góry dla sprawy uprzedzonym, wywarł on nie małe wrażenie: „Nie tylko zgadzam się najzupełniej, pisał do Chołoniewskiego w nadzwyczaj grzecznym liście¹, na główne zasady wyrażone w Twem piśmie, ale i na wszystkie szczególności wybornie obmyślane, z wielkiem doświadczeniem, znajomością miejscowości i w prawdziwie chrześcijańskim duchu“. Na teorię najzupełniejsza zgoda; ale jak tę teorię w praktyce przeprowadzić? „Zdaniem mojem, inicjatywa wyjść musi z Petersburga, od tamtejszego katolickiego metropolity. Trzeba będzie tak sprawą pokierować, aby zapytano mi się o zdanie w tej mierze, jako tu tejszego gubernatora, a natenczas z gorliwością płynącą ze szczerego przekonania poprę podany mi przez Ciebie projekt. Ja ze swej strony pierwszych kroków stawiać nie mogę, tem bardziej że, choć bez najmniejszej racyi, podejrzewają mię w Petersburgu, jakobyem zbyt sprzyjał religii katolickiej. Jestem wierny i przywiązany do własnej swej religii, ale zarazem sercem i duszą przekonany jestem o niewymownych pożytkach religijnej tolerancji, jednym z głównych owoców chrześcijańskiej miłości... Oto moje zapatrywanie się. Być może, że prędzej czy później nadarzy się okazja do poruszenia tej kwestyi w inny sposób, niż obecnie przemennie podany, ale zawsze, jak sądzę, najpraktyczniejszą i najbezpieczniejszą byłoby rzeczą, aby inicjatywa wyszła z Petersburga“

Rada była dobrą, ale w Petersburgu nie tak łatwo było kogo znaleźć, coby rozumnie a gorliwie zajął się ważną tą sprawą. Nie widząc innego sposobu, pragnąc zarazem wyjednać sobie paszport za granicę, wyruszył sam Chołoniewski, choć dopiero z wiosną 1838 r. do Petersburga. Inne to było teraz miasto; inni, inaczej usposobieni i myślący ludzie, niż ci, z którymi Chołoniewski w młodości kolegował. Jeżeli Woroncow bardzo przychylnie dla przedłożonego sobie projektu usposobiony, nie tań, że nie tak łatwo będzie sankcyę rządową dla niego uzyskać, zwłaszcza przed ustanowieniem prawosławnego biskupstwa w Odessie lub Chersonie, to petersburscy ministrowie i urzędnicy słuchali z nieukrywanem zdziwieniem czynionych sobie przedstawień i grzecznie, ale i stanowczo

¹ Odessa 21 marca 1837.

przechodzili nad nimi do porządku dziennego. Ten sam los spotkał kwestę małżeństw mieszanych, którą Chołoniewski nieraz w rozmowach próbował poruszać i nad którą przygotowując się do odpowiedzi na możliwe pytania i zarzuty robił w samymże Petersburgu wyczerpujące studia. Dla pociechy wręczono mu nominację na kanonika-pralata katedry kamienieckiej; słaba to była pociecha i nie dziw, że Chołoniewski z żalem wracał do domu, strapiiony nieudaniem się pięknych a daleko sięgających planów; rad, że mógł pożegnać „długie, tęskne ulice Hosudarskiego grodu“¹.

Mniejszą, ale nie mniej dotkliwą przykrością było odmówienie paszportu za granicę, a w szczególności do Włoch. Wieść o tej podróży, będącej od kilkunastu miesięcy celem pragnień stęsknionego do południowego nieba, a zwłaszcza do Rzymu kapłana, rozbiegła się już szeroko i daleko między dawnymi jego przyjaciółmi. „Ks. Chołoniewski, donosiła Mickiewiczowi pani Ankwiczowa², wybiera się do Włoch“. Wybierał się, lecz wybrać się nie mógł i to nie tylko do Włoch, lecz nawet i do austriackich zakładów kąpielowych. „Za dawne moje włóczęgi teraz pokutować muszę“, mawiał ks. Stanisław z uśmiechem, i prócz paru obowiązkowych wycieczek do Kijowa, nigdzie dalej z domu się nie wychylał. Prawda, że czasami, jak np. w r. 1840, i dwa razy do roku trzeba było odbywać niezbyt bliską i wygodną drogę do Kijowa: raz na kontrakta, drugi raz w deputacyi podolskiej szlachty, wezwanej do Kijowa dla złożenia hołdu bawiącemu tam cesarzowi Mikołajowi. Drugą tę podróż, smutne jej i zabawne przygody, sam akt prezentacyi a zwłaszcza długie do niego przygotowania, opisał zwyczajem swym Chołoniewski dla siostry Cecylii w bardzo obszernym, ale nie mniej ciekawym dzienniczku, wybornie malującym ówczesnych ludzi i stosunki³.

¹ „Powitanie stolicy północnej“. *Pisma pośmiertne* t. II, 140.

² Kraków. 10 marca 1838. *Pisma Mickiewicza*. Paryż 1870. t. IX. 237.

³ Dzienniczek ten, a raczej obszerne z niego wyjątki wydał z rękopisu dr. Antoni J. p. t. *Ksiądz Stanisław Chołoniewski. Opis podróży Kijowskiej odbytej w r. 1840*, najprzód w *Przewodniku naukowym i literackim* z r. 1886, a następnie w osobnej odbitce. Wydawca uwiadamia w przedmowie, że wykreślił z opisu „ustępy dotyczące osobistych stosunków piszącego, wrażeń i medytacyj nie obchodzących ogółu“; czy ustępy te istotnie na wykreślenie

Po nużących, choć nie pozbawionych komicznej strony, kowrowodach paszportowych i po wydaniu sporej liczby rubli na sztafety z zapytaniami, czy w ogóle księża mile będą widziani, popędził Chołoniewski do Kijowa w piątek 2 sierpnia „prawie tak gwałtownie, jak Mazepa Lorda Byrona, przywiązany do dzikiego konia, jak złodzieje czujący za sobą pogoń niemiłą, przerzynając się przez piaski sześciokonną karetką, z dobrym kapitałem cierpliwości, który też, mimo sześciu koni i nadskakujących żydów — poczmistrzów, nieraz bardziej jeszcze od brzęczącego kapitału był potrzebny. W cztery dni stanął nasz podróżnik w Kijowie; choć cesarz dopiero za dni kilka miał przyjechać, w całym mieście wrzało jak w ulu, mieszkania za wagę złota nie można było wynająć, a fiakrzy kazali sobie płacić 50—80 rubli asygnacyjnych dziennie. Ósmego sierpnia, w czwartek udzielił generał-gubernator Bibikow audyencji podolskim obywatelom; gubernator, z niemałym zdziwieniem zebranych, przemówił do nich po francusku, a Chołoniewskiego zaszczycił osobnym, gładko ułożonym komplementem. Przez cały dzień i część następnego rozmawiała szlachta tylko o francuskiej przemowie i najpiękniejsze na tem tle snuła nadzieje; zaczęto rozmyślać i głośno radzić, czy i jakie petycye do cesarza podać; ks. Stanisław, ogólnym prądem porwany, chciał też wysunąć naprzód pewne potrzeby parafij i kościołów katolickich, „aby okazać rządowi, jak ma trzymać o duchu katolickim tych prowincyj; — że wiara przodków jest dla nich najważniejszym interesem“, i kto wie, czego by jeszcze nie żądano, a zwłaszcza czego by się nie spodziewano, gdyby Bibikow, wezwawszy marszałków gubernskich: podolskiego, wołyńskiego i kijowskiego, nie oświadczył kategorycznie, że on już sam na własną rękę odpowiednie petycye cesarzowi przedłoży, a prosi bardzo, aby z wszystkimi innymi prośbami i uwagami niepotrzebnie się nie wrywano. Marszałkowie potrójnym, niskim ukłonem pożegnali gubernatora, a szlachta i z nią Chołoniewski „znowu cicho!“

zasługiwały, tego osądzić nie jesteśmy w stanie, bo dr. Antoni J. mimo parokrotnie powtórzonych prośb, nie uważał za stosowne pożyczyć nam ani tego rękopisu, ani innych listów i notatek, których niegdys M. Cecylia do przejrzenia mu udzieliła.

Wreszcie w sobotę, 10 sierpnia przyjechał cesarz z następcą tronu wśród deszczu i słoty. Ks. Stanisław wygodnie z okna wjazdowi się przypatrywał, ale ci, co od piątej z rana do piątej popołudniu przed Ławrem na deszczu i głodni czekali, powracali do domów w rozstrojonych humorach, i innym psuli humory opowiadając o „srogiej“, tem sroższej, że znudzonej i zmęczonej przyjęciem i slotą twarzy cesarskiej. Nie bez pewnego też niepokoju zebrała się szlachta trzech gubernij, pod przewodnictwem swych marszałków, na uroczystą, na południe w poniedziałek naznaczoną audyencyę. Długo czasu upłynęło, wiele krwi się napsuło, zanim zebrani uszykowali się w jakimśkolwiek porządku; Chołoniewskiego, mimo próśb i protestów, wciągnięto gwałtem do pierwszego szeregu, „bo prałat z tyłu przecież stać nie może, — i nie o Jegomościa, ale o stan tu chodzi“ — powtarzano mu z przyciskiem, pchając naprzód i tak dobrze już „przyduszonego i zmiętego“. Od czasu do czasu przerywała monotonię długiego czekania jakieś zabawne nieporozumienie, lub śmieszna awanturka, które Chołoniewski skrzętnie w pamięci sobie karbował i z niemalym humorem w dyaryuszu opisuje; ale ostatecznie nieznośnie było „ciasno, nudno, cicho“, „aż wreszcie zdala u wchodu sali błysnął w lazorowym żandarmskim mundurze hr. Benkendorf, i wnet jak lekki zefiru powiew przeleciał szmer po całej sali: unosił się coraz dalej, aż póki nie skonał na wargach ostatniego obywatela, stojącego na drugim jej końcu“.

Zaczęła się prezentacya. Za każdym nowem poruszeniem obijało się o nasz słuch donośnym głosem przez Bibikowa wymówione nazwisko prezentowanego, a potem brzęk ostróg, oznaczający ukłon cesarski — i nic więcej. Do kilku zaledwie wybranych cesarz parę słów przemówił, przy senatorze Ilińskim najdłużej się zatrzymał, Chołoniewskiego nawet zwykły ukłon ominął, bo gubernator go nie przedstawił, a cesarz nie przypominając sobie naturalnie, że kiedyś jeszcze jako W. Książę spędził sam na sam całe pół godziny z ówczesnym „kamerjunkrem“ na ożywionej rozmowie; ani znać, ani widzieć nikogo nie chciał prócz osób ceremonialnie prezentowanych wedle z góry ułożonej listy. Po odejściu cesarza miał Bibikow mowę, której nikt nie słuchał, później dowiedziano się, że marszałek kijowski Tyszkiewicz został tajnym sowietnikiem, marszałek podolski Przeddziecki dostać miał złotą tabakierkę z portretem

cesarskim jak utrzymywali jedni, z cyfrą brylantową jak dowodzili inni.

Nazajutrz otrzymał Chołoniewski ciekawszą w swoim rodzaju audyencyę u senatora Ilińskiego. Głośny ten, ale w gruncie poczciwy i względem kraju zasłużony oryginał, dźwigał dobrze siedemdziesiąty piąty rok życia, choć na nogi słabował i w dyskursie cokolwiek się zapominał. „Senator jak zawsze przyjął mię bardzo łaskawie i przybierał się do całowania mi ręki“ — poczem wszczęła się następująca, z humorem przez Chołoniewskiego powtórzona rozmowa:

Senator. Kochaneczek! anioleczek! zawsze cię noszę w mojem sercu. Jużem się chciał gniewać na ciebie, żeś mię dotąd nie odwiedził.

Ks. Stanisław. Pragnąłem dawno już szczęścia powitać p. senatora w Romanowie. Czulem, że jest to moim obowiązkiem, dlatego najprzód, że Hrabia tyle zawsze byłeś łaskaw na całą moją rodzinę; powtóre, że jesteś, Panie, dla nas katolików prawdziwie patryarchalnym opiekunem, którego winniśmy kochać i szanować drogo.

Senator. Ja *lotr*, Kochaneczku, i nie więcej, ale dlaczegoż nie odwiedziłeś mnie w Romanowie?

Ks. Stanisław. Z powodu tych nowych nieszczęśliwych urzędzeń krajowych, które nie pozwalają księżom bez paszportu nawet z powiatu do powiatu przejeżdżać.

Senator (poważnie). Co to nie pozwalają! Do mnie przyjeżdżać nikt nie może zakazać. Oto ks. Deszczyński, kanonik, *mon Chapelain*, który ma zawsze przystęp do mego gabinetu o każdej porze. Żebyś był, Kochaneczku, przez niego do mnie się udał, że chcesz być u mnie w Romanowie, ja byłbym Ci dał słówko na piśmie, i nikt w świecie nie byłby śmiał Ciebie zatrzymać. Powiedz Deszczyński, ty wiesz, co to znaczy?

Kanonik (donośnym głosem). Tak jest, p. Senator byłby wezwał ks. prałata. W tem nie ma żadnej wątpliwości, że p. Senator kogo chce może wezwać pismem.

Ks. Stanisław. Ja wiem, że p. Hrabia jako *senator Imperii*, może to, czego innym nie wolno.

Senator. Co to hrabia! Co to *senator Imperii!* *Vanité des*

vanités! Co senator może! Ale *lotra* ma sobie dane od pana naszego *carte blanche* w interesach kraju tego i jego religii; dwa słówka *lotra* na piśmie i wszystko być musi. Powiedz, Deszczyński, czy nie tak?

Kanonik. Tak jest niezawodnie.

Senator. Nie wiedziałeś o tem Kochaneczku. Szkoda także, żeś mnie pierwiej nie uprzedził, że chcesz widzieć cesarza, ja byłbym ciebie obok *lotra* postawił i powiedział: *Sire, voilà un digne ecclésiastique, qui mérite d'être évêque*¹, i wszystko byłoby już skończone. Szkoda. Słyszeliście już zapewne o łaskach ogłoszonych; obiecał mi jeszcze większe na potem, tylko trzeba cierpliwości, a ja mu znowu przypomnę obietnicę. Byłeś także, jak ja, Anioleczku w tym rajku ziemskim: w Rzymie i w Lorecie. Mnie Leon XII dał wszystkie łaski i przywileje, jakie tylko mógł dać.

Ks. Stanisław. Wiem o tem p. Hrabio.

A *Contessa* ciągle trzymając w rękę filiżankę z zimną czekoladą powtarzała kilkakrotnie: *Oh, il lui a donné tout*, wszystko mu dał — *mais c'est la vérité*².

Ks. Stanisław. Czy p. Senator podczas swej ostatniej bytności we Włoszech widział się z szanownym Ojcem Odescalchi.

Senator. Widziałem go w Weronie. *Oh! c'est un grand saint.* Skoro mnie obaczył, tak się ucieszył, że mnie ręce i nogi chciał całować, a ja ręce, nogi jego chciałem całować... Jest tu podobno jeszcze kilku innych księży, ale ja ich nie znam. Takie to teraz czasy, że i oni mnie nie znają. Jakiś tu jest podobno ksiądz Ho — Hoł — ; jak on się zowie, Deszczyński?

Kanonik. Ks. kanonik Hołowiński; zapewne nie mógł dotąd służyć J. W. Panu dlatego, że temi dniami w uniwersytecie zajęci byli przybyciem cesarza, a on jest profesorem w uniwersytecie.

Senator (przerywając). Żadna twoja racya, Deszczyński! *Et haec facienda et haec non omittenda* — a obróciwszy się do mnie rzekł: *Voyez, je suis tout en Dieu*, a mam czas na wszystko...

„Żał mi było widzieć tego staruszka w takim stanie osłabie-

¹ Oto, Najjaśniejszy Panie, zacny kapłan, który zasługuje na to, by został biskupem.

² O! dał mu wszystko; to szczerą prawdą.

nia. Zawsze mu wdzięczność należna będzie od tych prowincyj za tę piękną stałość, z jaką tylekroć stawał w obronie religii katolickiej. Dopóki w Polsce pamiątka zostanie oswobodzenia Kościuszki z więzienia petersburskiego, dopóty Iliński musi być wspomnianym. Wiara jego także niezłomna w tym odmęcie czasów jest moralnym fenomenem godnym uwagi; albowiem ci, których jego śmieszności gorszą, ludzie mu nieprzyjaźni, duchy mocne, co się natrzęsają z osób daleko mniej od Ilińskiego pociesznych, nigdy nie wpadli na myśl szukać obłudy w jego uczuciach religijnych. Niech co chcą mówią, powtarzam, że to nie mały fenomen potęgi wiary naszej, zmuszać płochy świat do poważania siebie wtedy, kiedy się nawet pokazuje w osobie, skąd inąd pobudzającej do owego nieustannego śmiechu bogów, o którym Homer wspomina⁴.

Pobył w Kijowie, mimo paru mniej miłych, ale z wybornym humorem zniesionych epizodów, miał być ostatnim podobno weselszym, żadną ciężką troską niezamąconym polyskiem w życiu Chołoniewskiego. Zdrowie dawno radykalniejszej kuracyi potrzebujące, coraz częściej i dłużej odmawiało służby, a na domiar nieszczęśliwy przypadek znacznie je jeszcze na długie tygodnie nadwyrężył. „Już piąty tydzień łóżkiem się bawię, pisał ks. Stanisław do szwagra pod datą 17 grudnia 1841 r., na progu ks. biskupa płaszcz zaplątawszy mi się w nogi, stał się przyczyną tak gwałtownego upadku, iż, zdaniem Fockelmana, prawej nogi kość *tibia* musiała się trochę rozkłóć i kilka pomniejszych ściągów pękło; kto ich tam zresztą wie? Dość, że mi kazano leżeć jak najwięcej; siedzieć długo nie mogę i pisać mi przytrudno, a po pokoju to tylko na kuli przesuwać się mogę. Jestem formalny, na nic nie przydatny szpitalnik“.

Dolegliwość ta była tem przykrzejsza, że przyszła bardzo nie w porę, bo w chwili, w której biskup Mackiewicz ciężko zachorował i lada dzień mógł dyecezyę osierocić. Choć o kuli i z wielką trudnością zawłókl się jednak Chołoniewski parę razy do biskupa, który „mile go widział, donosi matka Cecylia Grocholskiemu¹, „i dziś podobno ostatni raz błogosławił. Biskup daje dowody szczerzej i żywej wiary, co nas wielce pociesza i osładza te chwile „pełne litości dla niego, a obawy o przeszłość naszą. Ach! be-

¹ 14 stycznia 1842 r.

„dziesięć ona lepszą, czyli podobno gorszą jeszcze?“ List ten pisany był 14 stycznia; nazajutrz we czwartek biskup umarł. Kto będzie jego następcą, kogo kapituła wybierze wikarym generalnym? pytano w całym Kamieńcu, a odpowiedź brzmiała z rzadką jednomyślnością: Chołoniewskiego. Oddawna już obijały się o uszy ks. Stanisława i to nie tylko z ust starego Ilińskiego, zapewnienia i komplementy: „Biskupem będziesz i być powinienes“; komplementów tych słuchał on z uśmiechem, nie sprzecząc się, ale z lekkim odcieniem właściwej sobie ironii wzruszając ramionami; nie mógł jednak przed sobą samym taić, że prędzej czy później do infuły zostanie wezwany, i pytał się z trwogą, czy i jak ciężar ten, zawsze nie mały, a w ówczesnych, coraz smutniejszych stosunkach prawdziwie przygniatający, potrafi udźwignąć? Infuła nie miała wprawdzie spocząc na głowie dobrze na nią zasługującego prałata; ale choć honor ominął, ciężar nie ominął. W sam dzień pogrzebu biskupa Mackiewicza, 21 stycznia kapituła obrała jednomyślnie ks. Stanisława wikarym kapitularnym — „jednomyślnie, do„daje M. Cecylia¹, bez braku żadnego głosu, tak iż trzeba uważać w tem prawdziwe natchnienie Boże“. Chory jeszcze Chołoniewski zmuszony prośbami, obawiając się nie bez podstawy, aby administracya dyecezyi w mniej właściwe nie dostała się ręce, przyjął ofiarowaną sobie godność, ostatni szczebel do biskupiego tronu, jak mu powszechnie powtarzano; jeden chyba stopień do krzyża Chrystusowego, jak mówił sam w gronie poufanych². Niedaleki czas okazał, że ks. Stanisław jaśniej od swych przyjaciół patrzył w przyszłość.

Wybór kapituły potwierdzić miał metropolita; właściwie jednak i to od pierwszej zaraz chwili troska o sankcyę duchowną zesłała na drugi plan, a jedynie obawiano się rządowego *veto*. Jakoż ledwie dni kilka upłynęło, nadszedł z wyższego polecenia kategoryczny rozkaz, który unieważniając dopełniony wybór, zlecał w imieniu i z woli rządu całej kapitule administracyę dyecezyi. Z jakich przyczyn i pod czym wpływem rozkaz ten został wydany; czy

¹ Do *Grocholskiego* 21 stycznia 1842 r.

² Do *Emil. Grocholskiej* 24 stycznia 1842 r.

grały tu rolę nieprzebierająca w środkach ambicya i niska zarządź; czy może w wpływowych sferach nie chciano oddać zarządu dyecezyi kapłanowi wykształconemu w Rzymie, nie tającemu bynajmniej ściśle katolickich, ultramontańskich zasad swych i przekonań, mającemu szerokie stosunki w obywatelskich sferach, gorliwemu a majątkowo niezależnemu? Wszystkie podobno te przyczyny wpłynęły w pewnej mierze na zaszłe postanowienie, które piętnując Chołoniewskiego jako *personam ingratham* raz na zawsze od infuły go odsądzało. Kapituła ustępując konieczności, a nie mogąc wedle prawa kanonicznego przystąpić do powtórnego wyboru, nazaczyła administratorem dyecezyi dla spraw wymagających porozumienia się z rządem prałata Jana Ostapowicza, dając mu tytuł, a władzę, przynajmniej we wszystkich sprawach duchownych, zachowując wybranemu kanonicznie Chołoniewskiemu. Niezmiernie to była trudna i delikatna pozycya: jeden miał rządzić, drugi rządzcą dyecezyi się nazywać; jeden podpisywać rozporządzenia i rozkazy, drugi je wydawać; pozycya tem trudniejsza, że w tym właśnie czasie zbierały się równie nad kamieniecką, jak nad sąsiednimi dyecezyami coraz czarniejsze chmury, a kilka zwłaszcza spraw niemałej wagi domagały się energicznego wystąpienia i pewnej siebie ręki.

Jedną z tych spraw była przedsięwzięta w tym właśnie czasie przez rząd za pośrednictwem petersburskiego kolegium reorganizacya funduszków kapituł katedralnych, a pośrednio i samegoż składu kapituł. Dekret kolegialny, nie uwzględniając dawnych praw i religijnie chowanych zwyczajów poszczególnych kapituł, regulował je wszystkie wedle jednej normy, wprowadzając w ten sposób straszny zamęt, wynosząc bez żadnej przyczyny jednych z oczywistą, a niczem nie zasłużoną krzywdą innych. Między innymi dekretem tym zdegradowany niejako został Chołoniewski; o własną osobę mu nie chodziło, ale jako odpowiedzialny przed Bogiem rządzcą dyecezyi i członek kapituły, pamiętając — jak się sam wyraził — o złożonej przy installacyi przysiędze, uznał za święty swój obowiązek stanąć w obronie praw i przywilejów katedry kamienieckiej. „Ukaz kolegialny, tłumaczy i protestuje głównie przeciw paragrafowi osobiście go dotykającemu, w liście do członka kolegium pe-

„tersburskiego, biskupa Dmóchowskiego¹, pomieścił w spisie prela-
„tur składających kapitułę kamieniecką, w pierwszym rzędzie *Prae-*
„*positum Cathedrae*, a w drugim *Decanum Cathedrae*. Jednak
„w istocie rzecz się ma zupełnie przeciwnie. Wedle ustawy orygi-
„nalnej kapituły kamienieckiej, przez biskupa Hozyusza podpisanej,
„a przez wszystkich biskupów kamienieckich stwierdzonej, którą
„także nieboszczyk ks. biskup i terażniejsi członkowie kapituły za-
„przysięgli, *prima dignitas* jest *Praelatus Decanus*, a druga do-
„piero *Praelatus Praepositus*; o tem przekonywują oryginalne akta
„kapituły i wszystkie wizyty biskupów kamienieckich. Prawda, że
„w niektórych dyecezyach *Praelatus Praepositus* jest pierwszą go-
„dnością, ale zawsze stósownie do ustawy właściwej, która tej ka-
„tedrze służy. Albowiem odwieczna dyscyplina Kościoła katolickiego
„zostawiała kapitułom rządzenie się właściwemi sobie ustawami
„przez ordynaryuszów swoich potwierdzonemi i zaprzysiężonemi:
„porządek więc kapitułny nie był nigdy zupełnie jednostajny we
„wszystkich dyecezyach, lecz każdy biskup przestrzegał pilnie,
„ażeby właściwa ustawa jego kapituły była ściśle zachowana, jako
„spuścizna pobożnych wieków i ozdoba jego katedry, stósownie do
„tych słów psalmisty o Kościele Pańskim: *Astitit regina a dextris*
„... *circumdata varietate*“².

Biskup Dmóchowski zgadzał się w zasadzie najzupełniej na argumentację i wnioski kamienieckiego prałata, przyznawał, że wielorakie istnieją trudności w przeprowadzeniu nakazanej reformy kapituł, ale sam miał ręce związane, bo³ „nie kolegiąlnym, ale naj-
„wyższym ukazem nadana została kapitułom katedralnym postać
„zupełnie inna. ..Kolegium nie przyczynia się bynajmniej do ni-
„czego; cała zaś onego prerogatywa na tem, że musi zalecać, aby
„rychło było spełnionem, co spełniać nakazują“. Po takim wyjaśnieniu nie było można z tej, a w ogóle z żadnej strony silniejszego poparcia się spodziewać, nie można było rozsądnie nawet marzyć o zniesieniu rozporządzenia rządowego; natomiast należało

¹ Do *Kazim. Dmóchowskiego*, sufragana kurlandzkiego. Janów 23 sierpnia 1842 r.

² „Stała królowa po prawicy Twej... otoczona różnaitością“.

³ Biskup Dmóchowski do Chołoniewskiego. Petersburg 11 września 1842.

gruntownie i jak najspieszniej zastanowić się, co kapituła praktycznie a zgodnie przedsięwziąć powinna, do jakich kroków w obrocie swych przywilejów się uciec. Dla wszechstronnego zbadania tych kwestyj, wyznaczyła kapituła z swego łona rodzaj komisji; na czele jej stanął Chołoniewski, a gdy obrady czas pewien bezskutecznie się toczyły, sprowadził je na nowe zupełnie tory w długim memoriale¹, w którym dowodził, 1) „że nowe ukazy monarsze, „acz na pozór sprzeczne z ustawą kapituły, nie stanowią jeszcze „owej naglącej potrzeby do tyle ważnego i stanowczego kroku, „kim jest reforma odwiecznych statutów kapitularnych, przez „członków kapituły zaprzysiężonych. 2) Że spełnienie tych ukazów „da się pogodzić przy bacznem zachowaniu form od rządu przepisanych, z całością ustawy kapituły“.

Jaki cel mają, pyta autor memoriału, nowe ukazy monarsze? Zdaje mi się, że jedynie finansową redukcję; nie troszczą się zaś wcale, jaki pozostanie wewnętrzny skład kapituły, jaki będzie porządek prelatur i kanonikatów. Idzie tylko o to, aby nie było więcej nad sześć prelatur, ani więcej nad trzech kanoników, których dlatego zaliczono do kategorii dziwacznej, pod nazwą *Małej kapituły*, ażeby ich nie kłaść w liczbie prałatów, wyższe pensye pobierających. Rządowi obojętnem jest, — jak wyraźnie jeden z wyższych urzędników dał do zrozumienia — jakie kapituła w swem gronie zachowa dystynkcyę; uwiadamia on nas tylko, że tylu a tylu jej członkom taką a taką odtąd będzie wypłacać pensyę; innym, choćby się nie wiedzieć jak tytułowali, nie płacić nie myśli. W stosunkach więc formalnych z rządem, w podawaniu kandydatów do pensyi, trzeba się kierować wedle nowych rozporządzeń, bo w tym względzie nadaremne i tylko szkodliwe byłyby wszelkie protesty; ale w obsadzaniu opróżnionych prelatur i kanonij, w powoływaniu na statutami naznaczone sesye, w ścisłem zachowywaniu starożytnych, tradycją przekazanych zwyczajów, słowem w całym wewnętrznym swym składzie kapituła może i powinna trzymać się ściśle dawnych swych praw i prerogatyw.

Do memoriału dołączył Chołoniewski po łacinie spisany pro-

¹ Rękopis *in folio*. Str. 14, datowany 30 listopada 1842 r.

jekt do dekretu, w którym kapituła oświadczywszy, że nie ustępuje od swoich statutów, potwierdzonych przez prawa kościelne i władzę krajową, uchwała pewne tylko nominalne zmiany, w celu zabezpieczenia funduszów przez rząd na utrzymanie kapituły przeznaczonych. Czy kapituła przyjęła w dosłownem brzmieniu dekret ten z wielkim widać namysłem, i znać, że przez biegłego kanonistę zredagowany, na pewno nie umiemy powiedzieć; w każdym razie nie zrobiła w nim z pewnością żadnych radykalnych poprawek. Natomiast żadnego już śladu nie mamy, jaki los spotkał poruszone również pokrótce w memoryale projekty utworzenia odpowiedniego funduszu dla zapewnienia zwykłych dystrybucyj kanonikom w chórze obecnym i przeprowadzenia pewnych, choć drugorzędnych tylko znaczenia reform w seminaryum dyecezalnem.

Bądź co bądź, czy kapituła zgodziła się, czy się nie zgodziła na proponowane ulepszenia w seminaryum, nie było czasu w życie je wprowadzić, gdyż niebawem inna już nie drugorzędnej, ale pierwszorzędnej doniosłości kwestya, niemal wyłącznie umysły sobą zajęła. W ostatnich tygodniach 1843 r. nadeszła do Kamieńca, podobnie jak do innych stolic biskupich, nowa przez rząd zatwierdzona ustawa dla seminaryów, sprzeciwiająca się wręcz w niektórych punktach duchowi Kościoła i przepisom soboru Trydenckiego. Regens seminaryum Łuckiego, ks. Wiktor Ożarowski, który w Rzymie jeszcze urzędzenia seminaryów badał z szczególną pilnością, i całą duszą ważnemu swemu urzędowi się poświęciwszy, rozumiał, jaka ciężka na nim odpowiedzialność, pierwszy zwrócił uwagę Łuckiego biskupa, M. Piwnickiego; „na konieczną potrzebę zastósowania kilku paragrafów nowej ustawy do urzędzeń koncylium „Trydenckiego“.

„Winniśmy wdzięczność rządowi, pisał Ożarowski w memoryale¹, podpisanym przez wszystkich profesorów seminaryum Łucko-Żytomierskiego, że raczył zastósować się do kardynalnych praw Kościoła, wyrażając, iż biskup dyecezalny ma mieć bezpośredni dozór nad seminaryum; iż ma doglądać seminaryum pod

¹ Memoryał ten przeznaczony dla biskupa a spisany w języku polskim nosi datę 23 grudnia 1843 r.

względem naukowym, ekonomicznym, a najbardziej pod względem obyczajów; iż ma pilnować nauczycieli, aby obowiązek swój jak najdokładniej spełniali. Zbawienne to paragrafy, ale obok nich znajduje się kilka innych, o których zmiaugę należałoby koniecznie do władzy cywilnej kołatać. Tak wypadaloby, aby kapelan, który oraz ma być ojcem duchownym, miał naznaczoną pensyę osobną i był wyłącznie oddany części duchownej, pod któregooby przewodnictwem młodzieź seminaryjska z zupełną ufnością i korzyścią prawdziwą doskonalić się mogła w drodze duchownego życia. Wypadaloby, aby biskup mógł rektora, inspektora, nauczycielów prezentować rządowi do zatwierdzenia, jako najlepiej znający zdolności każdego, a mianowicie przymioty duchowne, potrzebne na moderatorów seminaryum. Czy nie byłoby również rzeczą korzystną dla dobra seminaryum, aby profesorowie języka rosyjskiego i historii wybierani byli nie z pośród ludzi świeckich, ale z pośród księży, tych mianowicie, którzy chlubnie ukończyli petersburską rzymsko-katolicką akademię? W każdym razie świeccy profesorowie, którzy wedle nowej ustawy katolikami być nie mogą, do rady seminaryjskiej nie powinniby należyć; bo i jakże oni decydować mogą o powołaniu seminarzystów i uchybieniach przeciw temuż powołaniu? Biskup musi mieć prawo, bez odnoszenia się do wyższych władz, załatwiać niektóre sprawy niecierpiące zwłoki, odnoszące się zwłaszcza do *forum conscientiae*. Wreszcie niezbędnem niemal wydaje się postarać o zmianę ustaw w tym kierunku, aby biskup dycieczalny sam był upoważniony do wybierania autorów, których się trzymać mają nauczyciele w seminaryum, lub też aby prospekta i autorowie proponowani przez akademię, tak i w takiej mierze zastosowanymi byli w seminaryach, jak i o ile zgodnem to będzie ze zdaniem dycieczalnych biskupów“.

Chołoniewski, jak widzimy z ówczesnej jego korespondencji pilnie prowadzonej nie z samym tylko Ks. Ożarowskim, nie mniej od przyjaciela ważną tą kwestyą się zajmował, nie szczędząc starań, aby na właściwą, a dobrą drogę ją sprowadzić. Niektórzy, a między nimi i sam rektor seminaryum Kamienieckiego, sądzili, że ostatecznie na nowe ustawy zgodzić się można i że nie opłaci się, zbyt wiele krzyku robić w tej mierze: „Gdyby u nas, odpowiedział cięto a dowcipnie Chołoniewski, porobiono tylko zastę-

pców rektora i inspektora i na tem rzecz się skończyła, mówilibym także z Tobą: to formuła taka, ale oni czem są, będą; ale kto czytał nowe ustawy, które ci zastępcy rektorów i inspektorów piszą i chcą zaprowadzać, ten musi pomyśleć sobie: Oj! to już nie formuła, a ci co te ustawy przyjęli, nie będą tem czem byli. Bo proszę twojej uczonej Wielbności, kiedy ustawy chcą, ażeby seminarya nie od władzy dyecezyjalnej, lecz od rektora akademii i od wyższego nad nim gubernera w mundurku zależały, a Sobór trydencki 23 s. wyraźnie chce, żeby biskup nie kto inny w seminaryum gospodarował i Paweł św. mówi do biskupów: *Attendite vobis et universo gregi, in quo vos Spiritus Sanctus posuit Episcopos regere Ecclesiam Dei, quam acquisivit sanguine suo*¹, czy to formułka tylko? Kiedy chcą, żeby władza dyecezalna, obowiązana była ściśle przestrzegać porządku, który ją samą niszczy, czy to formuła? kiedy świeccy pedagogowie innego wyznania należeć mają do rady seminaryjskiej, i głosować w rzeczach przeciwnego sobie wyznania, czy to formuła? Kiedy nasi rektorowie i inspektorowie nowi wstępując w swój urząd, czyniąc wiadomą naszą *professionem fidei*, oświadczają uroczyście, że prócz dogmatów wiary będą święcie zachowywać wszystkie postanowienia soborów, a mianowicie soboru Trydenckiego, a przytem przykładają rękę do dzieła, które to postanowienie niweczy, czy to także formuła i czy ci panowie będą tem czem byli, nim się na to odważyli? Niech więc twoja uczona Wielbność raczy to swoim delikatnym rozumem ztrutynować, bo ta rzecz w moim nie-delikatnym umie nie mieści się. Cóż ja temu winien? ja nie wielki teolog jeno tak sobie szlacheckiem, prostem sumieniem, o tem wszystkim prandyczę. Mówią — to rzecz nie nowa — było już tak dawniej w W. i jest teraz wyżej, a przecież jakoś się żyło na świecie; — i to prawda — a która mnie na myśl przywodzi to, com słyszał o sławnym generale Miączyńskim dawnych czasów, który na rozmaite bezprawia się rozpasal. Był to pan dowcipny przytem. Owóż z takim się on raz zdaniem odezwał: „Szelmstwo, „to jak ukrop w wanience, kiedy nogi w nią wsadzisz, krzykniesz

¹ Pilnujcie sami siebie i wszystkie trzody, nad którą was Duch św. postanowił biskupami, abyście rządili kościół Boży, którego nabył krwią swą. (Dzieje Ap. XX, 28).

„zrazu oj! oj! — ale potrzyjmy trochę — a potem będzie w s a m
„r a z, przynasz, że to rozumny był szelma, i nie źle znał serce
„ludzkie“.

Jeśli stanowisko Chołoniewskiego w całej tej sprawie było nie łatwym, to pozycja Ożarowskiego była tem trudniejsza, że zapobiegając z góry przewidywanemu oporowi nadszedł do biskupa Piwnickiego stanowczy rozkaz przeniesienia seminarjów z Łucka i Ołyki do Żytomierza, gdzie inny z Petersburga nadesłany rektor miał nowe ustawy w życie bezwzględnie wprowadzić. „Należy nam pisał Ożarowski do ks. Stanisława¹, skupić wszystkie nasze siły, i choć przecierpieć, bronić się, opierając się na samychże zapewnieniach Najjaśniejszego Pana, że w całości i nienaruszone prawa katolickiego kościoła pragnie zachować“. Istotnie nie chcąc sobie mieć do wyrzucenia, że zaniedbał jakiegobądź możliwego środka, udał się Ożarowski osobiście do Kijowa, skąd po sześciu tygodniach z początkiem listopada 1844 r. powrócił do domu bez żadnego praktycznego rezultatu. Biskup Piwnicki usiłował jeszcze bronić ostatnich szańców, przeprowadzić przynajmniej wybór Ożarowskiego na rektora nowego seminarjum w Żytomierzu, „ale odpowiedziano mu, że inny już przeznaczony“ a niebawem samegoż Ożarowskiego zaarrestowano i odstawiono do więzienia w Kijowie².

¹ Łuck. 28 sierpnia 1844 r.

² Ożarowski w liście do Chołoniewskiego datowanym z Kijowa 29 maja 1845 roku, opisuje w następujący sposób swe uwięzienie, które w dziejach kościoła polskiego z ostatnich czasów zasługuje sobie na osobną kartkę: „Dnia 10 maja, w czasie odprawiającego się nabożeństwa majowego do Najśw. Panny, w katedrze Łuckiej, wchodzi do mnie pan policmajster i pan major Poltkowski, który mi wręcza list od p. general gubernatora w treści następującej: *Je vous prie d'avoir la complaisance de livrer tous Vos papiers à un de mes employés chargé de Vous remettre cette lettre et de le suivre à Kief.* (Bądź pan tak grzeczny i oddaj wszystkie swe papiery urzędnikowi, któremu poleciłem ten list Panu wręczyć i udaj się wespół z nim do Kijowa). Byłem tedy tyle grzecznym, że to wszystko wypełnił, ze mną też grzecznie postępowano, i starano się, ażeby jak najciszej i najspokojniej wszystko się spełniło, i w celu zmniejszenia wrażeń przykrego dla mieszkańców Łucka, oficer (i pan kapitan Jazykow) i żandarm dopiero za rogatką na drugi dzień po 7 mej z rana już mi towarzyszyli w dalszą drogę. Pytał mi się major Poltkowski, czy znam Panią hrabinę Leduchowską a z domu Zakrzewską, panią Duninową, Panią Miączyńską i niejakiego Glassera. Odpowiedziałem, że panią

Jeśli była jeszcze jaka nadzieja, że rząd dopuści Chołoniewskiemu przywdziać biskupią infulę, to ostatnie wypadki, a zwłaszcza uwięzienie Ożarowskiego, którego imię z imieniem Chołoniewskiego od dawnego już czasu równie w rządowych jak nie w rządowych sferach najściślej łączono, nadzieję tę stanowczo rozwiązać musiały.

hrabinę Leduchowską dobrze znam i tego Glassera, który jest rzadcą jej majątku będącego blisko Łucka, Krupy, a inne osoby mało, a jednej jeszcze wymienionej wcale nie znam. Powiedział mi major Polikowski, że jeżeli ja nie obawiam przyznawać się do znajomości z temi osobami, to zapewne oskarżenie mojej osoby okaże się bezzasadne, i że tego przekonania jest generał-gubernator. Mogłem domyślić się, że podejrzenie, które padło na mnie pochodzi z listu do mnie pisanego przez panią Leduchowską z Warszawy, o którym wiedziałem, że był posłanym, ale mnie nie doszedł. List ten nie był pisany na pocztę i mógł zawierać komunikacye, które były powodem mego aresztowania. Pierwszego dnia podróży byłem zmęczonym, bom w nocy przeszedł prawie nie spał, bom się wybierał nie wiedząc na jak długo: czy nie na zawsze, wreszcie myślałem jaki to koniec tego będzie, ale szczęściem dla mnie, w Zwiału o godzinie dziesiątej w nocy nie mogliśmy się przeprowić przez rzekę, a chociaż mój towarzysz podróży bardzo spieszył, rad nie rad musiał ze mną nocować. Wypałem się tedy, wypocząłem, a nazajutrz z swobodniejszą myślą i lepszą nadzieją, iż miłosierdzie Boskie wszystko na dobre obróci, dosyć wesoło sobie rozmawiałem z moim towarzyszem podróży. Wieczorem na ostatniej stacyi przed Kijowem zapytałem się kapitana, gdzie też będziemy wysiadać, bo już miarkowałem, że nie będę miał ambarasu szukania dla siebie kwatery. Odpowiedział mi, że zajedziemy do Politzmajstra. Było to już między dziesiątą a jedynastą w nocy, żeśmy zajechali do Kijowa, bo też tak umiarkował mój towarzysz, żeby nie za dnia wjeżdżać. Dano mi zaraz stancję, ofiarowano mi posiłek i wygodę jaką będę potrzebować, ale nazajutrz cały dzień przepędziłem na ścisłych rekolekcyach i nie pozwolono mi wyjść do kościoła. Oświadczone mi, że nie mogę nigdzie wyjść, że człowieka lepiej odesłać, bo i jemu nie będzie wolno wychodzić, i już miałem go odesłać. Zostawiono mi jeszcze kałamarz, pióro, z tem jednak, że nie powinienbym ich używać. W ciągu dnia oświadczone mi, że wieczorem wezwie mnie pan generał-gubernator, i że udzieli mi pozwolenie chodzenia do kościoła. Jakoż koło ósmej, przybył do mnie pan kapitan Jazyków, i zawiózł mnie do pana generała-gubernatora. Przyjęcie było uprzejme jak i dawniej, ale zaraz mi oświadczył, że o to idzie, że list pisany przez panią Leduchowską (którą podobno zatrzymano) wpadł w ręce rządu. Że pani Leduchowska wspomina tam o piśmie przezemnie ułożonym i takowe pismo chce wszędzie rozgłaszać. Że mnie z tego jej pisma mają za naczelnika stowarzyszenia opponującego rządowi. Oskarżenie to w Warszawie wszczęte z delacyi tam zrobionej i z listu pani Leduchowskiej zatrzymanego, przesłane zostało do pana generał-gubernatora Bibikowa, z poleceniem aresztowania osób wymienionych w delacyi, a mnie jako na czele będącego mniemanego stowarzyszenia. Była w tym

W jaki sposób poprzednio już na kandydaturę jego w Petersburgu się zapatrywano, o tem dowiedział się Cholonewski kilku ciekawych szczegółów z ust księcia Marcelego Lubomirskiego, z którym w pierwszych dniach Października 1844 r., zjechał się w Sławucie w domu wspólnego przyjaciela księcia Sanguszki. Były nasz dyplomata, spisał sobie natychmiast ważną tę rozmowę, sprawo-

liście jak widać z odpisu, bo listu samego nie przysłano, wzmianka o przesłaniu 6.000 franków do propagandy lądguńskiej, jakoby zebranych na Wołyniu, i stąd wyobrażenie o jakimś Komitecie francuskim, do którego wymienione osoby pieniądze posyłają.

Generał gubernator zaraz mi powiedział, że się domyślał, że pismo, które pani Leduchowska wspomina, jest to, które podałem o seminarjach do niego, a które on przedstawiał i ministrowi. Wytłumaczyłem mu czem jest propaganda Lądguńska, i moje tłumaczenie ustne dobrze było przyjęte. Później rzecz była z panem Pisarewem. Komunikował mi całe oskarżenie, w oryginale a dał mi zapytania na które odpisałem. Obejmowały te zapytania w treści, jakie moje stosunki z osobami wymienionemi w liście i samą panią Leduchowską. Jakie pismo moje wspomina też sama? Co to za pieniądze posłane do komitetu jakiegoś francuskiego, jakie są moje stosunki z dworem rzymskim? Mogłem na to wszystko łatwo odpowiedzieć szczerze i bezpiecznie. Czynił mi dobrą nadzieję pan Pisarew. W tym nadjechał wielki książę Konstanty, potem cesarz. Czekalem, ażeby się odbył ten przejazd i przyjęcie, poczem udałem się do pana Pisarewa, który mi powiedział, że cesarz na zarządzenie pana generała gubernatora mnie uwalnia, jeżeli się okaże moja niewinność, a innych że mają odesłać do Warszawy. Zapewniał mnie pan Pisarew, że za parę dni będę mógł wyjechać. Tymczasem gdy się udał do generała po wyjeździe cesarza, czy nie natrafiłem na dobrą porę, czy też inny był powód, że zastałem go zmienionego względem mnie, co do uwolnienia, bo mi oświadczył, że to nie może jeszcze nastąpić, póki nie będzie miał wiadomości o rozstrzygnięciu spraw drugich osób zamieszanych. Tak więc znów czekam, co dalej będzie. Dał mi generał pozwolenie chodzenia do kościoła, ale zresztą nigdzie mi nie wolno chodzić, tylko z panem Pisarewem i generałem gubernatorem się widuję, panem Politzmajstrem, u którego moja kwatery. Z kościoła zachodzę czasem do proboszcza i księdza Dobszewicza i tego mi nie bronią. Tymczasem odprawiam rekolekcyje, które mogą mi przynieść większy pożytek od rekolekcyj dobrowolnie odprawianych, bo nie wiedząc co może mi się jeszcze przytrafić, mam nowy powód do szczerzej pokuty. Pomódl się, ażeby z tego wszystkiego skorzystał. ... Łuck okropnie się wypalił od czasu mego wyjazdu. Kościół Brygidek zgorzał, kościół Karmelitów, Bonifratrów, Seminarjum i część kolegium katedralnego, ale kościół katedralny ocalał. Dość, póki byłem w Łucku mieliśmy seminarjum, rządzące się ustawami dawniejszemi. Po spaleniu seminarjum już nie wiem co będzie — tak to nam Opatrzność Boska przeznaczyła patrzeć na walącą się budowę naszych instytucyj kościelnych, a przeciw miłosierny Bóg nie co innego w tem zamierza, jak odrodzenie się nasze duchowne“ ...

zdanie z *interviewu* z petersburskimi ministrami, jakby dziś powiedziano :

„Książę Marcelli będąc tego roku w Petersburgu u p. ministra Kisielewa znalazł się tam w towarzystwie pp. Protasowa, oberprokuratora synodalnego i p. Perowskiego ministra wewnętrznych dzieł. Rozmowa toczyła się około przedmiotów mało znaczących, w tem nie bez namysłu p. minister Kisielew tak się odwie do księcia Marcellego: „Co tam u was słyhać“. — „Nic pocieszającego“ odpowie książę. — „Dlaczego?“ — „Bo cierpimy w rzeczach religii naszej i sumienia“. — Aha! przerwie mu z przekąsem pan Kisielew odwracając się do p. oberprokuratora. To pańska sprawka p. Protasow! Na to oberprokurator przechylając głowę obyczajem swoim z ostrym chytrym wzrokiem obrócił się do księcia i rzekł. „W czemże to jest ten ucisk mój Panie?“ Książę widząc wyraźny zamiar pana Kisielewa, pobudzenia go do szczerego wyluszczenia rzeczy przed p. Protasowem, nie wahał się (jak mi się przyznał) z wszelką otwartością mówić. Zaczął więc od tych słów: Pozwól panie Generale raczej siebie zapytać w czemże tego ucisku religijnego nie ma? I tu na prędce skreślił wszystkie prześladowania, ostatnimi laty przez kościół katolicki doznane, przywodząc zupełne odmienne postępowanie rządu rosyjskiego za panowania Aleksandra i Katarzyny, kiedy polityki rosyjskiej godłem była tolerancya i swoboda sumienia. Nie omieszkał po tem wynurzeniu się replikować p. Protasow, utrzymując, że tyle nadużywano owej wspaniałej tolerancyi Rosyi za poprzednich panowań, iż czas był temu koniec położyć, że księża katolicy zajęci są intrygami, że u nich religia jest tylko pozorem do politycznych zamachów, że ducha pobożności w nich niema — a kiedy ks. Marcelli protestował przeciw tak ogólnemu zdaniu, i przytem zwrócił uwagę, że jeśli jest niedostatek jaki w księżach, przypisać to należy niedostatkowi biskupów prawych, światłych i czynnych, którzy jedni mogą kształcić przyzwoicie duchowieństwo: Panowie (tak się między innemi ozwał książę) nie możecie mieć dobrych księży, bo nie chcecie mieć dobrych biskupów, lecz podajecie Stolicy św. kandydatów zupełnie niezdolnych. „Pokaż mnie panie, przerwał mu z tryumfującym szyderstwem p. Protasow, pokaż mnie choć jednego między duchowieństwem zdolnego na ten urząd“. — „Najchętniej i bez wahania się rozkaz pański

spełniam: ks. hr. Ożarowski i ks. St. Chołoniewski, są w całym kraju naszym znani z prawości i światła kapłani i powszechnie opinia jest za nimi“. Na to już zamilkł p. Profasow, a p. Perowski, który uchodzi za nienamiętnego, poczciwego człowieka, całej tej rozmowie spokojnym umysłem przysłuchiwał się, kiwnął parę razy głową na znak niby aprobacyi, dodał tylko te słowa: generał Bibikow przedstawił rządowi tych dwóch księży jako niebezpiecznych dla rządu kandydatów“.

Czy echo tej rozmowy doszło aż do Bibikowa, wiedzieć trudno; w każdym razie gubernator kijowski zmienił niezadługo zdanie, gdyż sam dał do zrozumienia biskupowi łuckiemu, aby Chołoniewskiego i Ożarowskiego przedstawił rządowi jako najodpowiedniejszych kandydatów na godność biskupów-sufraganów¹. I kto wie, czy do nominacyi tejby nie przyszło, gdyby nie nieszczęśliwy list przez rząd przejęty, któremu Ożarowski wprawdzie nic nie był winien, ale który równie na niego, jak i na powiernika myśli jego i zamiarów ściągnął gniew tem sroższy, im bardziej Bibikow czuł się osobiście niejako dotkniętym, w położonem zaufaniu zawiedziony. Ks. Wiktor Ożarowski bardziej i bezpośrednio skompromitowany, dostał się do więzienia; ks. Stanisław z boleścią utwierdził się w przekonaniu, że niema żadnej nadziei, aby nieprawidłowy stan rzeczy zbyt długo już w dyecezyi kamienieckiej trwający, a przynoszący ze sobą — rzecz prosta — mnóstwo smutnych następstw, dał się w bliskiej przynajmniej przyszłości usunąć.

Ciężka odpowiedzialność i coraz nowe trudności i troski podkopywały i tak niesilne zdrowie; pogorszyło się ono zwłaszcza z początkiem lata 1844 tak dalece, że — jak Chołoniewskiemu sumiennie się zdawało — dłużej trudnych, tem trudniejszych że w tajemnicy niejako wykonywanych obowiązków wikaryusza kapitularnego należycie dźwigać nie był w stanie. W zdaniu tem potwierdzili go lekarze, domagając się energicznie, aby jak najprędzej, jeżeli życie mu miłe, wyjechał do Gräfenberga mniej dla odbycia coraz bardziej w modę wchodzącej „prysznicowo-gräfenbergowskiej“ kuracyi, jak dla usunięcia się choćby na kilka miesięcy od rosnących wciąż, a istotnie przewyższających siły prac i kłopotów. Ustę-

¹ Donosi o tem Ożarowski w wzmiankowanym już liście z 29 maja 1845 r.

pując konieczności złożył Chołoniewski w pierwszych dniach sierpnia 1844 r. na sesyi kapituły rezygnacyę z urzędu wikaryusza kapitularnego, a jednocześnie starał się poinformować, czy i jaką drogą dostałby mógł paszport za granicę. Kapituła rezygnacyi nie przyjęła, tłumacząc się w obszernym, po łacinie spisany urzędowym akcie¹, że wedle prawa kościelnego nie wolno jej bez osobnego pozwolenia kongregacyi biskupów zmieniać kanonicznie obranego wikaryusza. Napróżno Chołoniewski dowodził w liście do jednego z kanoników², „że nie ma *officium* ani *beneficium*, ani „żadnej władzy świeckiej lub duchownej, której rezygnacya sama „przez się byłaby wzbroniona, jeśli według przepisanych reguł się „dopełnia; wszakże nawet *papatum* można rezygnować; złożył je „Celestyn w ręce kardynałów, lubo oni pewnie nie mieli prawa od- „bierać mu władzy“; napróżno do tego listu dołączył obszerny memoryał dowodzący, że kapituła w zdaniu swem z prawem kanonicznem się rozmija. Uczony memoryał wywołał niemniej uczoną replikę i długo może jeszcze przeciągnęłyby się scholastyczne te rozprawy, gdyby zniecierpliwiony Chołoniewski, który w tej chwili bynajmniej nie miał ochoty rzymskich wrażeń odświeżać i wracać do szkolnych dysput, nie przerwał ich słowami: „Ja zrobiłem, co „mi sumienie kazało i dotąd mniemam, że mam prawo do rezygnacyi; wy inaczej sądzicie, więc trzymajmy się tej reguły: „W dogmatach jedność, w rzeczach wątpliwych „wolność, we wszystkim miłość. Nadal nie myślę was „utrudzać tą materyą, boby to było na próżno“.

Napróżno również było o paszport się starać. Na zapytanie, gdzie, u kogo i w jaki sposób może sobie paszport wyrobić, otrzymał Chołoniewski następną poufną odpowiedź³: „P. Hrabiemu, „jako duchownej osobie, pominąwszy władzę cywilną należy starać „się o paszport przez konsystorz, przedstawivszy świadectwo lekarskie o niezbędnej potrzebie wód, czyli kuracyi zagranicznej, „przy czem w prośbie należy wymienić miejsce, do którego się

¹ Akt ten podpisany przez pralatów Marczyńskiego i Budzyńskiego; kanoników: Torosiewicza, Pawłowskiego i Sadowskiego i sekretarza kapituły Heymanna, nosi datę 12 sierpnia 1844.

² Do ks. Budzyńskiego. 14 sierpnia 1844 r.

³ Kamieniec Podolski 30 lipca 1844 r.

„dąży. Konsystorz wniesie przedstawienie do Kolegium, a to „do ministra; minister zaś, ile o obywatelu i duchownej osobie, „czy niema przeszkód do wyjazdu za granicę, zapyta generał-gubernatora, a ten gubernatora; następnie zapewne za rezolucją cesarską każe wydać paszport“. — „Ciekawym, w wiele lat po mojej śmierci paszport dla mnie nadejdzie?“ żartował sobie Choloniewski, podając wedle powyższych wskazówek, prośbę do konsystorza, na którą rzeczywiście ostatecznej odpowiedzi nie miał się doczekać.

Z wiosną 1845 r. wyjechali Grocholscy w towarzystwie Morawskich do Gräfenbergu, pocieszając Choloniewskiego i sami nadzieją się ludząc, że za parę tygodni, może nawet za parę dni i on będzie mógł za nimi podążyć i doznać skutków prysnicowskiej kuracji, o której cuda sobie opowiadano. Liczna kolonia polska pod skrzydłami Prysnyca zgromadzona: Czacy, Rylscy, księżna Ogińska, ksiądz Benjamin Szymański, a zwłaszcza i przedewszystkiem Witwicki, codzienny gość w domu Grocholskich, niektórzy nawet cudzoziemcy, jak Górczaków, Boriatyński i późniejszy generał Jezuitów O. Piotr Beckx, z upragnieniem czekali przybycia ks. Stanisława, którego jedni znali osobiście jeszcze z seminaryjskiej i szambelańskiej epoki, inni listownie z nim się znosili, wielu ceniło go wysoce jako autora, wszyscy czcili jako gorliwego kapłana, wiernego stróża Domu Bożego. Tymczasem całe lato minęło; w listopadzie Grocholscy opuścili *Gräfenberg*, a raczej sąsiadujące z nim *Freiwaldau*, a upragnionego gościa widać nie było. „Pyta „Pani, pisał Witwicki w grudniu 1845 r. do Emilii Grocholskiej¹, „czy przed wiosną nie wyjadę? „Nie — będę już siedział, a gdy „bym i wtedy dosłyszał, że ma być ks. Stanisław, gotówem wtedy „umyślnie i pół roku na to czekać“. I znowu w miesiąc później²: „Bardzo dobrze, że ks. Stanisław chce przecież o zdrowiu swoim „pomyśleć i zamierza przybyć do Prysnyca; mam wielką otuchę, „żeby mu to prędko pomogło...“

W chwili, w której ostatni z wzmiankowanych listów Witwickiego przybył do Kamieńca, gdzie równie Grocholscy, jak

¹ *Freiwaldau* 6 grudnia 1845 r. — *Niwa* r. 1882 str. 603.

² 13 stycznia 1846. Tamże str. 605.

i ks. Stanisław całą prawie zimę bawili, utracono już zupełnie nadzieję uzyskania paszportu dla z dnia na dzień widoczniej upadającego na siłach chorego. Chołoniewski pracował jeszcze dużo: w marcu dawał ośmiodniowe rekolekcyje w kaplicy Wizytek; w kwietniu i w maju spędzał długie godziny przy stoliku, kreśląc nieco gorączkowo parafrazę hymnu *Magnificat*, w którą złożył niejako zamierzał wszystkie swe uczucia, myśli, pragnienia; w czerwcu przyczyniał się „osobistością swą do wielkiej parady w klasztorze Wizytek z powodu uroczystości Serca Jezusowego“ i pisał — choć mu z ciężkością pisać przychodziło — długie listy do swej „Mysi Dobrodziejki“ o wychowaniu wnuków, pocieszając ją w drobnych, zbyt żywo do serca branych kłopotach i kłopotkach, „że to rzecz całego życia wyrwać zielska zła, a polewać dobre kwiaty“. W ostatnich tych pracach i listach przebija coraz częściej jakby jakieś przecucie zbliżającej się śmierci; potężnieje zawsze silny nastrój ascetyczny; wzrok w niebo coraz stalej utkwiony; dusza oczyszcza się w cierpieniach z pozostałych ziemskich naleciałości i pragnień. „Jak to dobrze dla duszy, zwierzał się najbliższemu, powracając do kwestyi paszportowej¹, nie mieć rzeczy po swojej woli. Kto Chrystusa Pana nie chce do domu swego przyjąć tylko w chwale, jak „na zabawę, bez krzyża, ten Go próżno w gościeinę wzywa. Zbawicielowi i w chwale miły krzyż ten, na którym świat odkupił; „niechże nam w pośród nędz tego świata stanie się on słodkim... „Bądźcie dobrej myśli, nigdy mi rzeczy więcej na wspak nie szły, „a nigdy tyle nie miałem słodkiej ufności w Bogu moim...“

Ufność tę wzmagała, cierpienia słodziła gorąca modlitwa, w której braku i niedostatecznem zrozumieniu ważności jej i potrzeby upatrywał Chołoniewski bardzo słusznie, przyczynę wielu nieszczęść i prywatnych i publicznych. Ostatnie słowa skreślone dnia 30 maja 1846 r., trzęsącą się już ręką, w niedokończonyj parafrazie hymnu *Magnificat* są jakby hymnem pochwalnym na cześć modlitwy, jakby testamentową prośbą do najszerszego koła rodaków skierowaną :

¹ List cytowany przez dr. Antoniego J. w rozprawie: „J. I. Kraszewski i ks. Stan. Chołoniewski“. *Przew. nauk. i liter.* Grudzień 1878 r.

„I ksiądz i zakonnik Polak, ze szlachtą swoją świecką jako „się już porozumieć nie mogą! Dlaczego? Bo się nie modlimy po „staropolsku razem, i straciliśmy ufność w pacierzu... Jako z upad- „kiem modlitwy między nami upadła ojczyzna, tak przedewszystkiem „modlitwą tylko powstać może, której wzór przecudny właśnie „znajdziesz w tym śpiewie *Magnificai*. — *Haec spes mea reposita „est in sinu meo*¹...“

Wezwaniem do ufności i modlitwy, okrzykiem: „W górę serca!“ który codziennie przy ołtarzu powtarzając, w pismach swych ślał go w najodleglejsze polskie prowincje, z ambony i w konfesyonale tysiące dusz nim krzepił, zakończył i streścił niejako Choloniewski kapłańską swą i literacką działalność. W czerwcu usiłował jeszcze pracować w kaplicy Wizytek; cieszył się „z wielkiej uroczystości Serca Jezusowego“ i z pomyślnej wiadomości, „że *tandem* rękopism mój o *progressie* przeszedł przez cenzurę i druk już na ukończeniu“; a jednocześnie słabiejac na ciele, wzmacniał się coraz bardziej na duszy, cieszył się, że Bóg ogniem cierpienia oczyszczać mu ją dozwala z ziemskich naleciałości, aby od wszelkich więzów uwolniona, bez przeszkody potężnym lotem wzbić się mogła do ostatecznego kresu długiej swej, nieraz ciężkiej pielgrzymki. „Mszy św. mieć nie mogę i z ciężkością piszę, spowiadał „się przed szwagrem², lecz z cierpień fizycznych, zdaje mi się, „szyć się trzeba, że nam Bóg miłosierny daje pole do zasług „i świętej pokuty; równie bowiem fizyczne, jak moralne cierpienia „i prześladowania zasłużone, czy niezasłużone są ową drogą, nie- „oszacowaną monetą, którą łącząc z zasługami i męką Zbawiciela „naszego możemy się wypłacać sprawiedliwości Bożej. Dlatego, do „każdej z takowych przygód powinniśmy, z duchem wielkiej ufno- „ści i wiary, wołać z św. Andrzejem apostołem: *Ave crux bona!*“

W ostatnich dniach czerwca opuścił ks. Stanisław Kamieniec, aby jak corocznie, parę letnich miesięcy przepędzić w Janowie. Mimo zdrowego powietrza, mimo najtroskliwszych starań, nerwowe cierpienia, zbyt wierni i stali towarzysze od wielu już lat, coraz

¹ Schowana jest ta nadzieja moja w zanadrzu mojem. (Job. XIX. 27).

² Do *Emilii Grocholskiej*. Kamieniec 14 czerwca 1846 r.

³ Kamieniec 22 maja 1846 r.

bardziej się wzmagały, a z początkiem sierpnia przyprowadziły chorego do bardzo groźnego stanu. Chołoniewski do łóżka się nie kładł, ale nie ludząc się bynajmniej spisał testament, a czerpiąc ufność w krzyżu i modlitwie, czekał z zadziwiającym spokojem, rychłoli spodoba się niebieskiemu wodzowi odwołać żołnierza swego z wyznaczonego mu na ziemi stanowiska. Drugiego września (n. st.) przyjął ks. Stanisław klęcząco w komży i w stule komunię św., jako wijatyk, a wzięwszy krzyż w rękę i wpatrując się w rany Jezusowe, odmówił głośno następną, przez tradycję rodzinną wier- nie przechowaną modlitwę:

„Przedwieczny Ojcze, który mi pozwalasz opatrzyć się Cia- „lem i Krwią najświętszą Jednorodzonego Syna Twego na drogę „wieczności: bądź pochwalony i w tej chwili, jako Cię chwalilem „przez całe życie moje. Nie racz pamiętać na grzechy moje, kiedy „zdawać będę przed Tobą potrójny rachunek, jako człowiek, jako „chrześcijanin i jako kapłan; a postąp ze mną według wielkiego „miłosierdzia Twojego!“

Ostatnie to były słowa, ostatnie niejako, najwymowniejsze ka- zanie żarliwego tego sługi Bożego; nazajutrz trzeciego września, po przy- jęciu Ostatniego Namaszczenia, modląc się cicho, słuchając i łącząc się z modlitwami otaczających, żyć przestał. „Ks. Chołoniewskiego stratę cała prowincya oplakuje, to prawdziwie strata Kościoła pol- skiego“, pisano w kilka dni później do Wojciecha Morawskiego; a że słowa te z prawdą się nie miały, tego dowodem pośmiertne oznaki czci, w których cała Polska się złączyła. Na pogrzebie zwracał na siebie szczególną uwagę Kraszewski, który rzucając wszystko, pospieszył z Gródka oddać drogiemu przyjacielowi osta- tnią usługę. „Tłum obywateli, krewnych, przyjaciół — opisuje Kra- szewski smutne te chwile — znajomych z różnych stron przyby- łych i ludu ubogiego był ogromny. Połowa prawie duchowieństwa dyecezyi znajdowała się w Janowie. Ubodzy, których tajemnie wspie- rał ks. Stanisław, cały wylany dla cierpiących w jakikolwiek spo- sób, niektórzy o mil kilkadziesiąt do zwłok dobroczyńcy się przy- wlekli, mówiąc, że to za święty uważali obowiązek“. W Kamieńcu, Wilnie, Lwowie, Warszawie, Petersburgu, odbyły się uroczyste na- bożeństwa żałobne; wszędzie pierwszorzędni kaznodzieje głosili cnoty zmarłego, w którym, jak wyraził się warszawski mowca ks.

Mętlewicz¹: „Kościół stracił najlepszego syna; ziomkowie stracili „swój zaszczyt; poddani stracili nie pana, ale ojca i dobroczyńcę“.

Z głosami pogrzebowych mowców podających jako przykład do naśladowania: enoty, zaparcie się, kapłańskie prace Chołoniewskiego, złączyły się wszystkie poważniejsze pisma polskie, wynosząc literackie jego zasługi. Najserdeczniej i najpiękniej odezwał się Kraszewski w *Athenaeum*²: „W Kościele wojującym mało jest „mężów, coby go zastąpić potrafili, nikt może zupełnie miejsca jego „nie zajmie... My, cośmy go znali osobiście, cośmy go cenili sercem i umysłem, jako człowieka, kapłana, jako pisarza, zbliżeni „ku niemu, głębiej zajrzawszy w anielską duszę jego, bolejem może „mocniej nad innych nad zgonem... Wszędzie jest on najprzód „kapłanem. W życiu prywatnem, publicznem, pisarskiem, widzisz „go zawsze księdzem przede wszystkim. Słodki w towarzystwie, „ujmujący dobrotliwością, grzecznością, współczuciem, dowcipny „z serca nie z głowy, ale dowcipu prawdziwie polskiego, z którego się miłość braterska dla ludzi przebijać umiała — gdziekolwiek był, cokolwiek począł, nie starł z siebie na chwilę świętego i wielkiego charakteru kapłańskiego. Wśród zabawy, gdy „przyszła godzina modlitwy, wychodził od ludzi, aby pokrzepić się „rozmową z Bogiem. W pismach też pomniał najprzód na to, co „stan mu nakazywał: tak zawsze, tak wszędzie!... Słowa kardynała Odeschalchi, który mówił o ks. Chołoniewskim: Idzie „drogą świętych, pozostały może najwymowniejsem a najsprawiedliwyszem ocenieniem jego żywota“.

Kraszewski domagał się i spodziewał się, że potomność spłaci po śmierci dług zaciągnięty za życia „względem jednego z najznakomitszych ludzi w kraju naszym, jednego z najmniej przecież poznanych i ocenionych“. Nie prędko nadzieje te i życzenia choćby w części tylko spełnić się miały. Czterdzieści blisko lat upłynęło od śmierci Chołoniewskiego, a grób jego nie był jeszcze ozdobiony odpowiednim pomnikiem; stanąć on miał dopiero dzięki staraniom proboszcza Janowskiego, ks. Jana Goertza. „Po kilkudziesięciole-

¹ Kazanie na żałobnem nabożeństwie za duszę ś. p. Stanisława hr. Chołoniewskiego, miane przez K. J. K. Mętlewicza, w dniu 24 września 1846 r. u OO. Kapucynów w Warszawie.

² *Athenaeum*. Oddział VI, zeszyt 6.

tniem marzeniu, pisał ks. Goertz do Kraszewskiego pod datą 21 maja 1883 r., postawienia pomnika na grobie ś. p. ks. hr. Stan. Chołoniewskiego, udało mi się nareszcie osiągnąć pożądany skutek. Proponuję napis:

Życie zgasło, lecz dusza wielka i wspaniała
Swą wyższością pośród nas jaśnieć nie przestała:
Roztacza swe promienie między piszącymi
Potęgą wzniosłych dążeń, myślmi szlachetnymi.

Po czterdziestu też dopiero latach zakrzątnięto się żywiej koło zbierania materyałów dla zapewnienia Chołoniewskiemu należacej mu się kartki w dziejach Kościoła i literatury polskiej. W *Dzienniku z podróży Kijowskiej* odsłoniła się w części postać dawnego dyplomaty, przyzwyczajonego po przez siatkę zewnętrznych oznak i pozorów śledzić właściwe poruszające sprężyny, głębiej do jądra rzeczy wzrok zapuszczać, zawsze trafiam, często dowcipnem słowem ludzi i stosunki charakteryzować. W *Kazaniach* daje się poznać ksiądz, asceta, misyonarz; w *Korespondencyi z Kraszewskim* wytrawny krytyk bacznie śledzący w najrozmaitszych kierunkach objawy narodowego ducha; we *Śnie w Podhorcach* samodzielny pisarz, ostrzegający przed fałszywymi drogami i w pismach i w życiu¹. I niniejszego życiorysu jedynem zadaniem, aby piękna ta dusza, która jak pobożne siostry na pośmiertnej pamiętce wypisać kazały: „Dla Jezusa, Prawdy wiecznej, jedynie żyła“ — i pośród nas odblaskiem wiecznej Prawdy: potęgą wzniosłych dążeń, myślmi szlachetnymi nie przestała jaśnieć.

¹ Życzyłyby sobie należało, aby niebawem „Dwa wieczory u p. Starościny Olbromskiej“ i „Odpowiedzi na dwa pytania“, zwłaszcza na drugie: „Jak zapewnić sobie zbawienie w stanie małżeńskim?“ — okazały się w nowym wydaniu. Przekonani jesteśmy, że zwłaszcza ta ostatnia rozprawa, w odpowiednim formacie wydana hojnieby się nakładcy opłaciła, a nie mniej podobno jak przed czterdziestu latami i dziś byłaby na czasie.



TREŚĆ.

	Str.
I. Młodzieńcze marzenia i projekta	5
II. Szambelan cesarski, mason i niedoszły dyplomata	23
III. Zakonne powołanie siostry Cecylii	47
IV. Podróż do Francyi. — Śmierć ojca	59
V. Obiór stanu kapłańskiego	92
VI. Dyaryusz podróży z Kamieńca Podolskiego do Rzymu	132
VII. W Rzymie	177
VIII. Apostolskie prace	220
IX. Tłómacz, literat, poeta	247
X. Ostatnie lata	349
